

MICHAŁ GODLEWSKI

The background of the cover is a dramatic, high-contrast illustration. It features a central figure, possibly a knight or a warrior, standing on a dark, debris-strewn ground. The figure is rendered in dark tones, with a long, flowing cape or cloak that billows out to the right. The background is dominated by a large, bright, circular glow in shades of orange and red, suggesting a massive fire or a sunset. The overall style is painterly and evocative, with a sense of movement and intensity.

Falszywa
przepowiednia



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

MICHAŁ GODLEWSKI

*Falszywa
przepowiednia*



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Rozdział 1

MISJA ZWIADOWCZA

Koniec nabożeństwa wieńczyły jak zawsze gromkie brawa i łyzy niewiast, które nieodmiennie wzruszały się na samą myśl o tak wielkim poświęceniu wobec nich i ich rodzin. Wrecedarm Gideon zszedł z kazalnicy i uśmiechając się promiennie, przyjmował gratulacje za wybitną homilię.

– Wspaniałe kazanie – przyznał rzeźnik i potrząsnął dłonią duchownego tak mocno, że okulary zsunęły się Gideonowi z nosa i niemal spadły na bruk.

– Wielebny ma w sobie tyle empatii – chlapała pulchna kwiaciarka, obcałowując drugą dłoń kapłana.

– Tyle odwagi! Jest pan wzorem dla mojego syna! – wyznał jeden z urzędników miejskich i zamachał przed twarzą kapłana niedużą sakiewką z datkiem.

Wrecedarm stanowczo uwolnił rękę z objąć kwiaciarki, uśmiechnął się skromnie i zręcznym wyuczonym ruchem wsunął datek do obszernej kieszeni błękitnej szaty liturgicznej.

– Wierzę, że pójdzie w moje ślady. Będę się za was modlił – zapewnił i powoli zaczął przeciskać się przez tłumek wiernych.

Nie było to jednak takie proste, gdy bowiem tylko ktoś się orientował, że Gideon znajduje się w jego zasięgu, natychmiast doskakiwał do kapłana i z entuzjazmem dziękował mu za opiekę i poświęcenie.

– Wielebny tyle dla nas robi, czy moglibyśmy mu się jakoś odwdziżyć? – zapytała grupka wyrostków, która zmienacka pojawiła się przed nim.

– Ależ nie trzeba – zaczął Wrecedarm, natychmiast jednak przypomniał sobie, ile obowiązków czeka na niego w domu. Szkoda było marnować taki piękny dzień na zadania gospodarcze. – Nie jest to tajemnicą, że mam do porąbania drewno na zimę – kontynuował jakby od niechcienia. – Trzeba również pozbierać owoce z sadu, zanim spadnie deszcz, nasmarować wszystkie zawiasy w drzwiach, zamieść podwórze i wynieść gnój od krów. Lecz przecież nie będę was obarczał swoimi obowiązkami. Nie jestem już co prawda najmłodszy, ale...

– Niech wielebny o nic się nie martwi – przerwał mu niski piegowaty blondynek. – Przed wieczorem wszystko będzie zrobione.

Po czym hałastra ruszyła pędem przez rynek, jakby ich gonił rzeźnik z tasakiem.

– Nie zapomnijcie także o wymianie skobla w oborze i o wydojeniu krów – zawołał Gideon, zanim chłopcy zniknęli w głębi uliczki.

Następnie przyjął jeszcze kilka tuzinów gratulacji i pół tuzina datków, a kiedy wierni w końcu się rozeszli, ruszył przez opuszczony rynek w stronę swojego domu na obrzeżach miasteczka. Był już trochę znużony przyjmowaniem pochwał, promiennych uśmiechów i pieniędzy, które coraz bardziej ciążyły, zmyślnie poupychane w jego szacie. Odbił więc z ruchliwej ulicy Targowej w malutką uliczkę Szubieniczną, która doprowadziła go prosto pod miejskie mury. Dotarłszy pod kamienną konstrukcję okalającą całe miasteczko, pozdrowił strażnika opartego na stanowisku o halabardę i ruszył spacerowym tempem ledwie widoczną ścieżką wydeptaną wzdłuż muru.

Tutaj miasteczko było zawsze spokojniejsze. Cały wewnętrzny pierścień obmurowań przypominał zaplecze czy może raczej zapomniany strych pełen śmieci: połamanych kół, przerdzewiałych kociołków, rusztów, zapleśniałych i przegniłych ubrań, stosów kości i resztek, o które stale walczyły beznamiętne psy i szczury, od lat nieużywanych i butwiejących wozów, spróchniałych lub połamanych mebli... Rozmaitość odpadów, o których właściciele zapominali lub które celowo wypierali z pamięci. Wrecedarm zaglądał jednak na podmurze dużo częściej niż mieszkańcy, doskonale się więc orientował, kto co ma za uszami. Kiedy brakowało mu pieniędzy, wiedza ta stawała

się bardzo użyteczna. „Jak to jest, że stać was, stolarzu, na marnowanie materiału – choćby starej szafy za domem – a skąpicie na datek dla wielebnego?” Działo bez pudła za każdym razem.

Gideon, przechodząc właśnie za domostwem i jednocześnie warsztatem szewca, dostrzegł nowy „wyzbytek” – kilkanaście kłębków przegniłej już od wilgoci dratwy. Uśmiechnął się pod nosem i zaczął zastanawiać, jakich butów zażyczy sobie tej zimy. Z zadumy wyrwał go aromat świeżo pieczonego chleba. Natychmiast poczuł, jak kurczy mu się żołądek, który od rana nie został niczym napełniony. Wiedziony zapachem pieczywa, skierował się prosto do nowo wzniesionej piekarni. Zapach dobiegający z budynku był błogi i upajający już na ulicy, a kiedy Gideon wszedł do środka, uvertura woni prawie zwała go z nóg. W koszykach na półkach za ladą piętrzyły się wszystkie możliwe rodzaje wypieków – podłużne i okrągłe bochny chlebów, bagietki, małe okrągłe bułeczki, rogalce z delikatnego ciasta, razowe trójkątne bochenki, obwarzanki i precle w wielu kształtach i wymiarach, słodkie bułki z posypką, lukrem i czekoladą, bułeczki nadziewane marmoladą i dżemem, kiełbasy zapiekane w cieście, małe okrągłe placki do smarowania dowolnym sosem, a co najistotniejsze – w niewielkim słomianym koszyku przy oknie spoczywały ulubione przysmaki Wrecedarma: jagodzianki.

– O, wielebny – ucieszył się na widok kapłana piekarz i serdecznie uściśnął mu rękę.

– Witaj, Tom. Jak idą interesy?

– Masa roboty, wielebny. Po śmierci żony mam o jedną parę rąk do pracy mniej... Ale towar schodzi jak świeże bułeczki! – Roześmiał się rubasznie do nieporuszonego kapłana.

– Nie widziałem cię na nabożeństwie – zauważył twardo Gideon.

– Przecież wielebny wie, że samo nic się nie zrobi. Jestem na nogach od czwartej rano, przed minutą skończyłem wypiekać ostatnią partię.

– Bardzo sobie cenię, że dbasz o to, aby mieszkańcy mieli z samego rana ciepłe pieczywo, ale musisz być szczerzy sam ze sobą... Robisz to dla nich czy dla zysku? Nie odpowiadaj, to sprawa wyłącznie twojego sumienia. Ale pamiętaj, że dusza jest ważniejsza od jakichkolwiek pieniędzy! – Spojrzał bezlitośnie prosto w twarz piekarza, którego oczy zaczęły uciekać na boki, jakby zauważył w jednym momencie pół setki myszy w piekarni. – No, ale dość kazań jak na jeden dzień – Wrecedarm rozchmurzył się i uśmiechnął przyjaźnie. – Wpadłem tylko po dwie jagodzianki. Roznosi się stąd taki zapach po okolicy, że nie mogłem się oprzeć.

Tom z prędkością geparda dopadł do okna, wydobyl trzy zamiast dwóch bułeczek i schowawszy je uprzednio w bawełniany woreczek, wręczył Gideonowi.

– To będzie... – kapłan zaczął udawać, że szuka w kieszeni szaty pieniędzy.

– Ależ niech wielebny się nie kłopotuje, to prezent.

– Przepraszam, nie śmiałem wątpić, że stać cię na takie gesty. – Kapłan uśmiechnął się przyjaźnie i ruszył do wyjścia.

Kiedy był już w znacznej odległości od piekarni, Tom dogonił go, powiewając fartuchem i postukując drewniakami po brukowanej ulicy. Gideonowi skojarzył się ze żrebakiem, który dopiero uczy się samodzielnie poruszać. Ukrył jednak uśmiech i czekał na słowa, które niewątpliwie zaraz padną z ust piekarza.

– Przyjdę wieczorem do wielebnego z datkiem. Teraz, sam wielebny rozumie, jeszcze nie mam utargu, ale wieczorem pojawię się z ofiarą.

– Tom, ja nigdy w ciebie nie wątpiłem. – Wrecedarm położył mu serdecznie dłoń na ramieniu, po czym się pożegnali.

Piekarz pospiesznie wrócił do piekarni, a kapłan, zjadając jeszcze ciepłą jagodziankę, udał się ulicą prosto do swojego domu.

Budynek, w którym mieszkał razem z gospożą, leżał w północnej części Rogowa Górnego. Był to w zasadzie mały dworek, ofiarowany Wrecedarmowi przez wiernych kilka lat temu. Wcześniej mieściła się tutaj biblioteka miejska, ale coraz bardziej niszczący obiekt nie nadawał się do przechowywania w nim książek i pism, przeniesiono je więc do ratusza, a budynek oddano pod opiekę i do zamieszkania kapłanowi. Gospodyni, pani Iriena, pracowała wcześniej jako miejscowa bibliotekarka. Była niedużą, wychudłą i zasuszoną już kobieciną, której energii

pozazdrościłby jednak niejeden strażnik miejski. Zawsze nosiła zielony fartuch w żółte kwiatki, a siwe jak śnieg włosy wiązała w warkocz, żeby jej nie przeszkadzał w gospodarzeniu. Od ponad dekady zamieszkiwała dworek, dbając przez cały czas o to, aby książki miały odpowiednie warunki. Niestety, ząb czasu tak naruszył drewnianą konstrukcję, że wilgoć zbyt intensywnie zaczęła zaznajamiać się z miejskimi zbiorami. Brakowało tam męskiej ręki, o ile bowiem pani Iriena świetnie radziła sobie z utrzymaniem czystości i pielęgnowaniem mebli, o tyle nie potrafiła połączyć dachu, naprawić rozklekotanych schodów czy wymienić zmurszałych ram okiennych. Gideon także, realnie rzecz biorąc, nie potrafił nic naprawić, ale nigdy nie musiał tego robić. Odkąd tylko wprowadził się do nowej siedziby, mieszkańcy Rogowa Górnego zadbali o to, by mieszkał w ludzkich warunkach. W ciągu miesiąca dworek odnowiono razem z przylegającymi budynkami gospodarczymi – drewnutnią, kurnikiem i oborą, a sad i ogród dokładnie wypielono, roślinność zaś przycięto. Pani Iriena ze zdumieniem się przyglądała, z jaką pasją i oddaniem mieszkańcy wyręczali jej nowego współlokatora.

„Ma wielebny fenomenalny wpływ na te łążęgi – zwykła mawiać, kiedy kolejny mieszkaniec zaskakiwał ją swoją uczynnością. – Jak żyję już prawie siedemdziesiąt lat, nie widziałam jeszcze, aby dla kogoś tak się starali!”

Dziś Wrecedarm również spodziewał się uszczypliwych uwag na temat mieszkańców, jednak gospodyni zachowała się zupełnie inaczej niż zwykle, wręcz nienaturalnie. Ledwie kapłan zdążył przekroczyć drewnianą furtkę, wybiegła do niego ze ścierką w ręce i z rozwianym włosom.

– Wielebny! Wielebny! – wołała.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony kapłan, gdy gospodyni doskoczyła do niego.

– Ma wielebny gościa – teraz pani Iriena szeptała, rozglądając się nerwowo, czy żaden zbłąkany przechodzień przypadkowo nie podsłuchuje. – Przyszedł sam pan burmistrz. Czeka w gabinecie, ale jaki jest nerwowo... Kiedy zaproponowałam mu coś do picia, zawarczał na mnie, że dopiero południe, a ja przecież proponowałam gorącą herbatę. Rzucił oschle, że czeka na wielebnego w gabinecie, i zatrzasnął za sobą drzwi. Zatrzasnął! Tylko raz widziałam go w takim stanie, kiedy królewski poborca podatkowy zaczął wypytywać o majątki rodzinne. – Gospodyni zaczęła niespokojnie mieć w rękach ścierkę, zupełnie jakby to było ciasto na pierogi. – Coś się musiało wydarzyć, to jest przecież bardzo spokojny człowiek...

Burmistrz Rogowa zarówno Górnego, jak i Dolnego, Harion Goldar, zaiste był oazą spokoju. Zawsze nienagannie ubrany i ogolony, w swoim cudacznym cylindrze i z rodową laską w ręku sprawiał wrażenie kulturalnego i obytego. Ten, kto bliżej go poznał, mógł nawet potwierdzić, że właśnie taki był. Jego język i nienaganne maniere dowodziły, że wywodził się ze szlacheckiej rodziny z tradycjami. Ojciec Hariona zajmował stanowisko nadleśniczego Królewskiej Puszczy, dziadek – zarządcy Folwarku Północnego, pradziadek – skarbnika największego uniwersytetu w królestwie, a prapradziadek był właścicielem ziemskim i mecenasem sztuki.

Od dzieciństwa wpajano mu zasady dobrego wychowania i uczono manier, a gburowatość i trzaskanie drzwiami zdecydowanie do nich nie należały. Burmistrza rzeczywiście coś musiało martwić albo złościć... Ba, może nawet przerażać.

Wrecedarm uspokoił gosposię gestem dłoni i kazał przynieść do gabinetu dwie herbaty – dla niego zwykłą, a dla burmistrza uspokajającą. Kiedy tylko pani Iriena zniknęła za drzwiami do kuchni, kapłan przysiadł na ławie w sieni i zaczął dumać.

Co mogło być powodem tak fatalnego nastroju burmistrza? Czyżby wydarzyło się coś niedobrego? Ale dlaczego Harion przyszedł z tym właśnie tutaj? Gideon poczuł, jak zimny dreszcz wspina się po jego łążwiach w górę kręgosłupa. A jeśli Harion Goldar, burmistrz Rogowa Górnego i Dolnego, zdołał go przejrzeć? Jeśli odkrył, że cała ta wiara, wszystkie modlitwy, nabożeństwa, kazania, duchowe porady, odczynianie uroków i wiele innych rzeczy, które Wrecedarm praktykował jako kapłan, to zwykła manipulacja i przedstawienie?

Gideon przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło i połuźnił kołnierz szaty na szyi. Co ma robić? Czy powinien uciekać? Myślał przez chwilę, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, a na to nie mógł sobie pozwolić. Nie, kiedy w końcu coś w życiu osiągnął, został „kimś”. Nie, ucieczka odpadała. Pozostało mu więc tylko iść w zaparte i wszystkiemu zaprzeczać. Poglądził się po brodzie, rozważając taktykę działania. Nie było możliwości, aby Harion odkrył oszustwo, mógł co najwyżej je podejrzewać, ale religia to kwestia

wiary, nie dowodów, więc takich nie mógł użyć. Chyba że dokopał się do jego przeszłości, kiedy jeszcze nie przewodził wiernym. Bzdura, przecież wtedy był nikim. Ba, gorzej, był bezdomnym włóczęgą, na którego czekała tylko śmierć głodowa. Nikt się nim nie interesował, niemożliwe zatem, aby jakiś fragment jego dawnego życia został udokumentowany. Chyba że...

Niepotrzebnie się nakręcam – pomyślał kapłan i podniósł się powoli z ławy. Co ma być, to będzie – stwierdził odważnie w duchu i powolnym, lecz zdecydowanym krokiem udał się korytarzem do swojego gabinetu. Stał przed wejściem, nasłuchując przez moment, ale zza mahoniowych drzwi nie dobiegał najmniejszy nawet dźwięk, zupełnie jakby pomieszczenie było puste, czego wielebny serdecznie sobie życzył. Kapłan pewnym ruchem rozwarł drzwi i wkroczył do środka.

Gabinet był ogromny. Pierwsze, co rzuciło się w oczy tuż po wejściu do środka, było masywne dębowe biurko stojące pod rozległym oknem naprzeciwko drzwi. W kącie za biurkiem postawiono piec z czerwonych zdobionych kafli, który w zimowe wieczory nie musiał walczyć o względy z resztą wystroju pomieszczenia – poustawianymi pod ścianami szeregami regałów na książki i przeszkłonymi biblioteczkami zawierającymi najcenniejsze tomy i wartościowe bibeloty. Kapłan bardzo starał się ukryć, kontrastującą z ciepłym brązem mebli, chłodną biel ścian, gdzie tylko więc mógł, zasłonił ją obrazami przedstawiającymi „ciepłe” wiejskie pejzaże. Białe pozostawał już tylko wysoki sufit, poprzecinany czterema masywnymi belkami, z których zwisały, najeżone świecami, mosiężne żyrandole.

Harion stał przy jednej z biblioteczek pełnej starych książek, które Wrecedarm postanowił zaanektować ze zbiorów miejskich, i wzrokiem przeslizgiwał się po wytartych grzbietach, przeglądając tytuły. Gdy tylko do jego uszu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi, obrócił się powoli. Minę miał niepewną, a ręce trzymał za plecami, jak przy każdej oficjalnej wizycie. Nic nie wskazywało na pierwszy rzut oka, aby niepokoił się bądź gniewał. Gideon zamknął powoli za sobą drzwi i ruchem ręki wskazał burmistrzowi krzesło naprzeciwko biurka, gdzie przyjmował wszystkich interesantów. Burmistrz usiadł wygodnie na obitym miękką skórą krześle, złożył swój cylinder na kolanach, a laskę położył na gładkim blacie biurka tuż przed ozdobnym sekstanssem i eleganckim porcelanowym kałamarzem. Wrecedarm zasiadł na swoim drewnianym fotelu gabinetowym, uśmiechnął się serdecznie do burmistrza i zapowiedział, że niebawem dostaną herbatę. Harion skinął głową bez słowa i dopiero teraz można było wyczytać strapienie na jego zadbanej twarzy.

– Pan burmistrz tak rzadko mnie odwiedza – zaczął ostrożnie kapłan. – Mogę się dowiedzieć, czy charakter pańskiej wizyty jest bardziej duchowy czy administracyjny? – Splótł palce na brzuchu i zagłębił się w oparciu fotela, czekając na nowiny.

– Rzekłbym, że raczej prywatny – odparł ponuro burmistrz i poprawił się nerwowo na krześle. – Rzecz w tym, że... – przerwał, gdyż do gabinetu weszła właśnie gospodyni. Harion uśmiechnął się sztucznie, kiedy postawiła przed nim filiżankę z gorącym naparem, i nie wypowiedział ani słowa, czekając, aż pani Iriena sobie pójdzie.

Kiedy drzwi ponownie się zamknęły, kapłan dał gościowi ręką znak, aby kontynuował. Burmistrz odchrząknął niepewnie i zaczął ponownie:

– Rzecz w tym, że... miałem sen. Koszmarne sen – wyznał w końcu.

– Rozumiem, że niedawno? – dopytywał Gideon, nieco zbity z tropu.

– Wczoraj. To znaczy z wczoraj na dzisiaj. Obudziłem się o świcie roztrzęsiony i z przejęcia nie mogłem już zasnąć.

Wrecedarm przyjrzał się podkrążonym oczom rozmówcy i odetchnął z ulgą. Z czymkolwiek Harion do niego przyszedł, nie miało to nic wspólnego z jego osobą. Upił łyk herbaty i odstawił filiżankę na bok.

– Jaki to był sen? – zapytał z pełnym profesjonalizmem w głosie.

– Śniła mi się czarna fala, tak mroczna, jakie bywają najczarniejsze, bezgwiazdne i bezksiężycowe noce. Zobaczyłem z okna ratusza, jak ten mrok zalewa rynek, a następnie całe nasze miasteczko. Czego dotknął, czerniało i rozpadało się w proch. Drzewa usychały, domy rozpadały się zupełnie bezgłośnie. Zupełnie jakby były... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – wymazywane z tego świata. – Przerwał i drżącą ręką upił duży łyk naparu.

Odstawił z brzękiem filiżankę na spodek i spojrzał pełnym cierpienia i przerażenia wzrokiem na Wrecedarma. – Ta fala wydobywała się z Rogowa Dolnego – zakończył i zamilkł.

Kapłan patrzył przez moment uważnie na skulonego w sobie urzędnika, zachodząc w głowę, co ma odpowiedzieć. Ludzie, którzy do niego przychodzili, przedstawiali zazwyczaj realne problemy: swoje grzechy, zaniedbania, zdrady, samobójcze myśli... Nikt jednak nigdy nie żskarżył się na koszmary senne. Bądź co bądź to byli ludzie dorośli.

Podrapał się po głowie w strapieniu i próbując nie urazić dumy burmistrza, starał się wyjaśnić, że wszyscy miewają koszmary.

– To nie był byle jaki koszmar, wielebny – zaperzył się Harion, ściskając cylinder na kolanach. – Zacząłem się zastanawiać nad tym głębiej. – Teraz w jego głosie zabrzmiała pasja wymieszana z fascynacją. – Myślę, że coś się święci. Co tak naprawdę wiemy o mieszkańcach Rogowa Dolnego?

– No utrzymują z nami kontakty głównie handlowe – ze sklepami, szewcem, kowalem...

– Kontakty handlowe! – prychnął burmistrz i poderwał się z krzesła. Zaczął krążyć po gabinecie niczym rozjuszony lew. – Nic o nich nie wiemy. Nie mamy pojęcia, co się dzieje tam na dole. Może planują przewrót, rewolucję, a może... – Zatrzymał się nagle i spojrzał uważnie w oczy kapłana. – Może sprzymierzyli się z mocami ciemności?

Wrecedarm ostatkiem sił i zdrowego rozsądku powstrzymał uśmiech. Nie spodziewał się po burmistrzu takiej hysterii z powodu mary sennej. Ten szanujący się, wytworny człowiek zachowywał się tak, jakby znajdowali się w obliczu nagłego, zupełnie realnego zagrożenia. Zatracił wszelkie maniery, które mu wpojono w młodości, strach zawładnął nim całkowicie. Było w tym coś zarówno zabawnego, jak i niepokojącego.

– Nigdy nie widziałem, aby uczestniczyli w nabożeństwach – Harion kontynuował swoje podejrzenia. – Ani razu nie dostrzegłem na nabożeństwie nikogo z Rogowa Dolnego! Co zatem, jeśli czarna fala, o której śniłem, jest dokładnie tym samym zagrożeniem, przed którym ostrzega nas wielebny?

Wrecedarm domyślał się już następstw tej rozmowy. Zapewne miał zacząć odprawiać nabożeństwa w Rogowie Dolnym. Zupełnie mu się to nie uśmiechało. Nikt nie schodził tam od lat. Nawet handlarze kontaktowali się z „dołem” za pomocą szybów wentylacyjnych. Obecny stan polityczno-ekonomiczny miasteczka pod nimi stanowił zagadkę. Zagadkę, której rozwiązanie nikogo nie obchodziło.

– Rozumiem, panie burmistrzu, że przyszedł mnie pan prosić, abym nawrócił mieszkańców Rogowa Dolnego?

– Nie... Na razie chcę tylko, aby wielebny udał się na dół i ocenił, czy rzeczywiście panuje tam aura zła, które mogłoby nas zniszczyć. Kto jak kto, ale wielebny wyczuje ją pierwszy.

– Rozumiem. A jeśli nie wyczuje żadnego zagrożenia ze strony mieszkańców pod nami?

– Wtedy niech wielebny zwróci uwagę na ich przysposobienie. Może po tylu latach rozłąki należałoby ponownie nawiązać współpracę albo chociaż kontakty i koneksje? Nie łudź się, że wciąż uznają moje zwierzchnictwo, chętnie więc spotkam się z ich przywódcą. Myślę, że obie strony mogą na tym skorzystać.

– A jeśli spełni się pana koszmar i się okaże, że Rogowo Dolne znajduje się we władaniu złych mocy? – zapytał uważnie kapłan, spodziewając się jedynej słusznej odpowiedzi.

– Cóż... – Harion myślał przez chwilę, po czym spojrzał wymownie na Wrecedarma. – Jestem pewien, że wielebny lepiej ode mnie będzie wiedział, co wtedy czynić. – Ponownie usiadł naprzeciwko biurka. – Czy mogę liczyć na wielebnego?

– Oczywiście. To w końcu niezwykle ważna sprawa i z radością podejmę się rozwiania pańskich obaw. – Wrecedarm sięgnął po skórzany notes, przekartkował go sprawnie i założywszy okulary, sięgnął do kałamarza po pióro. – Za trzy dni mam akurat wolne popołudnie. Miałem wypowiadać panią Kępię, ale...

– To niemożliwe! – Burmistrz podniósł się gniewnie. – Oczekuję, że jeszcze dzisiaj wielebny uda się na dół. Ta sprawa nie może czekać ani dnia, w każdej chwili może być za późno! – Harion wziął głęboki wdech i opadł z powrotem na siedzisko. – Co powiem mieszkańcom, jeśli jutro z podziemi zaatakują nas hordy potępieńców? Jak wtedy spojrzę sobie w twarz? Trzeba działać, dopóki jest możliwość, nie wolno zwlekać.

Gideon podniósł się z fotela, uspokajając gestem dłoni pobudzonego burmistrza. Nie uśmiechało mu się w ogóle schodzić do Rogowa Dolnego, a myślał, że miałby uczynić to jeszcze tego samego dnia, budziła w nim ogromny, graniczący z buntem sprzeciw. Wiedział jednak, że musi niezachwianie grać swoją rolę. Nie było możliwości, aby się z tego wykręcił, równie dobrze mógł więc to zrobić dzisiaj.

– Rozumiem, że się pan boi, panie burmistrzu. Rozumiem również, że czuje się pan odpowiedzialny za mieszkańców, tak jak ja czuję się odpowiedzialny za wiernych, ale nie powinienem przedkładać domniemanych problemów nad realne. – Widząc, jak Harion czerwienieje na twarzy ze złości, kapłan uniosł ręce w obronnym geście. – Jednak spełnię pana prośbę, jest pan bowiem jednym z moich wiernych, widzę również, jak ta sprawa zaprzęta pana umysł i duszę. Jeszcze przed wieczorem zjawię się w ratuszu, aby zdać relację z mojej, miejmy nadzieję, owocnej wizyty w Rogowie Dolnym.

Harion wstał z krzesła, podniósł filizankę i opróżnił ją jednym haustem. Założył cylinder, ujął w dłoń laskę i wyprężywszy się z godnością, podziękował kapłanowi za zaangażowanie, po czym opuścił gabinet.

Gideon opadł ciężko na fotel, przeklinając w duchu bojaźliwość Goldara, i pociągnął kolejny łyk herbaty. Nie było sensu odwlekać nieuniknionego, oparł więc łokcie na blacie biurka i zaczął się zastanawiać, co będzie mu potrzebne podczas czekającej go wyprawy.

Zejsście do Rogowa Dolnego znajdowało się w zachodniej części miasta. Niegdyś okolica ta tętniła życiem, głównie nocnym. Małe, zamknięte już knajpki przyciągały mieszkańców zarówno z góry, jak i z dołu. Były miejscami, gdzie podziały społeczne nie grały większej roli niż zabawa, czyniąc lokale „obszarami o wzmożonej integracji” – jak pisał o nich nieżyjący już lokalny bard Turien. Obecnie jednak oprócz kilku spiących się ruinek pośrodku opuszczonego placu stała tylko sfatygowana, pomalowana na niebiesko drewniana pergola. To pod nią mieściło się zejście do Rogowa Dolnego – obmurowane polnym kamieniem schody niknące pod ziemią.

Wrecedarm podszedł do drewnianej konstrukcji i opukał ją palcem. Stan nie był tragiczny, gdzieś tam jednak było widać ślady działalności korników malutkie dziurki i obłe rowki biegnące wzdłuż słupów podtrzymujących zadaszenie.

Kapłan chwycił za wyschnięte pędy winorośli, porastającej niegdyś bujnie całą pergolę, i zerwał je, torując sobie drogę do zejścia. Dzień był gorący i słoneczny, jednak Gideon dopiął swój skórzany kubrak na ostatni guzik, kiedy poczuł ziąb bijący z wnętrza. Nie włożył żadnej ze swoich oficjalnych szat, tylko odzienie podróżne: gruby kaftan, pikowany kubrak i brązowy sfatygowany płaszcz, w którym chodził jesienią. Na głowie miał kapelusze z szerokim rondem, a w ręce dzierżył bukową laskę. Wolał nie zwracać na siebie uwagi, a już na pewno nie życzył sobie, aby rozpoznano w nim kapłana. Nie miał pojęcia, co może zastać w tej cuchnącej ziemi norze, wolał więc nikogo nie prowokować. Odkąd żyje i mieszka w Rogowie Górnym, nigdy nie schodził do Rogowa Dolnego – i ten zamiar go przerażał. A jeśli tam zejdzie i już nie będzie w stanie wrócić? Wiedział, że nie ma odwrotu – musi zagłębić się w niezbadany mrok i dowiedzieć się wystarczająco dużo, żeby burmistrz przestał histeryzować. Chcąc nie chcąc, zapalił lampę olejną, którą pożyczył od gosposi, i wzięwszy głęboki oddech, zagłębił się w mrok podziemi.

Stopnie, po których stapał, były dość wysokie i zdecydowanie nierówne. Lampa nie dawała zbyt dużo światła, o ile jednak zdołał przyjrzeć im się w blasku niedużego płomienia, wyglądały na wykute bezpośrednio w skale. Schody były wąskie i ograniczone ścianami, ale tylko na początku. Po mniej więcej stu stopniach ścianę z lewej strony zastąpiła niska barierka. Kapłan nie pokładał w niej ani krzty zaufania i schodził dalej przytulony bokiem do prawej strony schodów. Nagle zauważył żeliwny pordezwiąły uchwyt na pochodnię, trzymający wyglądające na stare łuczywo w żelaznym uścisku równie pordezwiąłej tulei. Wrecedarm przyłożył płomień do mizernej główki pochodni. Ogień z dużym oporem zajmował coraz to większą powierzchnię zbutwiały szmat, trzaskając przy tym i strzelając iskrami. Po chwili żagiew objęła swoim światłem dużo większy obszar niż jego mizerna lampa, ukazując w lepszym świetle nowe otoczenie. Kapłan rozejrzył się i zamarł. Barierka po jego lewej stronie biegła jeszcze przez jakiś tuzin stopni, po czym się urywała. Nie tylko ona – stopnie również zniknęły czy może raczej kończyły się przepaścią. Dopiero po dłuższej chwili Gideon dostrzegł, że zakręcają o sto osiemdziesiąt stopni i biegną dalej w dół. Tyle że

barierki, która powinna odgradzać tym razem prawą krawędź schodów, nie było. Ostrożnie przeszedł obok mrocznej otchłani, którą kiedyś również zapewne coś odgradzało, przytulił się lewym ramieniem do zimnej skały i ostrożnie ruszył dalej.

Podróż w dół była męcząca i stresująca – schody cały czas biegły zakosami, zakręcając. Szczęście, że w strategicznych punktach przytwierdzone były inne pochodnie, które pomagały kapłanowi zorientować się, kiedy może spodziewać się kolejnego zakrętu. Nie potrafił oszacować, ile już trwała podróż na dół. W końcu jednak stanął na płaskim dnie jaskini. Kiedy spojrzął w górę na jasno świecące punkty łuczyw, zakręciło mu się w głowie. Schody pięły się dziesiątki metrów nad jego głową. Na samą myśl o powrotnej wspinaczce zrobiło mu się słabo. Usiadł na przedostatnim stopniu, żeby pozbierać siły.

Rozejrzał się, ale nie był w stanie dostrzec niczego poza nieprzeniknionym mrokiem. Przypuszczał, że znajdował się w gigantycznej pieczarze. Tylko dokąd teraz miał się udać? Brak jakichkolwiek znaków orientacyjnych mógł spowodować, że się zgubi i już nigdy stąd nie wyjdzie. Coraz bardziej zirytowany, że dał się wysłać w tak niebezpieczne miejsce, wstał w końcu i przezornie ruszył wzdłuż ściany. Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, gdy tuż przed nim wyrosła, przytwierdzona do okazałego stalagmitu, tabliczka. Kapłan przysunął latarnię bliżej i przeczytał: „Do Rogowa Dolnego”. Pod literami widniała, równie wypłowiała, jak sam napis, strzałka skierowana w mrok. Wrecedarm jeszcze raz się upewnił, co głosi napis, po czym posłusznie udał się we wskazanym kierunku. Stąpał bardzo ostrożnie, przyświecając sobie nisko latarnią, żeby nie wpaść w żadną szczelinę skalną. Jeden z podróżników wspominał w swojej książce mrozącą krew w żyłach historię, jak to wyruszył na wyprawę badawczą do skalnego tunelu i wpadł w taką właśnie szczelinę. Utkwił w niej na dobre, a nie mogąc wyswobodzić nogi, która zaklinowała się w zwężeniu... Gideon wzdrygnął się na samo wspomnienie opisu tamtych wydarzeń. Ze zdwojoną czujnością zaczął stawiać kolejne kroki.

W pewnym momencie dobiegły go z mroku dziwne, zniekształcone dźwięki. Na początku zamarł, wyobrażając sobie goblina jaskiniowego, który wyszedł na żer i zwęszył świeży kąsek, jednak po chwili uprzytomnił sobie, że dźwięki przypominają miejski gwar, skutecznie zniekształcony przez nierówne ściany z wapienia. Szedł dalej, nasłuchując, aż dostrzegł daleko przed sobą miejskie mury oświetlone latarniami przytwierdzonymi do wapiennych ścian. Im był bliżej, tym więcej szczegółów był w stanie dostrzec. Mury okalały miasto półokręgiem, kończąc się na ścianach pieczary. Nie były zbudowane z cegły czy kamienia, lecz tak jak stalaktyty i stalagmity, powstały z nacieków jaskiniowych. Ktokolwiek je zaprojektował, z pewnością nie dożył chwili, aby podziwiać skończone dzieło. A może były naturalnym tworem, który ludzkość postanowiła zaadoptować do swoich celów? Brama miejska stała otwarta na oścież, a w okolicy nie było widać żadnej straży czy celników.

Wrecedarm poprawił kapelusz, aby rondo zasłaniało jak najwięcej jego fizjonomii, i pewnie przekroczył granicę miejskich murów. Ledwie to zrobił, ogarnęła go taka jasność, jakiej w życiu by się nie spodziewał w podziemnym mieście. W regularnych odstępach od siebie, przez całą wysokość jaskini – od dna do sklepienia – ciągnęły się monstualne stalagnaty podtrzymujące kamienne sklepienie nad miastem, niby kolumny. Porośnięte były nieznanym kapłanowi gatunkiem świecącego w ciemnościach grzyba, którego zielonkawe światło z taką intensywnością omiatało kamienne uliczki. Gideon przez dłuższą chwilę nie potrafił oderwać wzroku od tego fantastycznego zjawiska. Szybko jednak przypomniał sobie, że nie powinien zwracać na siebie uwagi. Nonszalanckim krokiem oddalił się kawałek i odstawił latarnię w załom muru. Następnie ruszył główną ulicą, łypiąc na boki i chłonąc każdy niecodzienny widok. Był zdumiony budynkami, które mijał. Spodziewał się kamiennych konstrukcji, lecz wszystkie budynki były drewniane, najczęściej zbijane z całych bali. Różniły się od dobrze znanych kapłanowi konstrukcji z powierzchni tylko tym, że niektóre okna nie miały szyb, ale coś, co przypominało bardzo cienkie skórzane błony. Wszystkie zaś zamykane były drewnianymi okiennicami. Dachy z kolei były kryte wypalonymi z gliny dachówkami lub gontem. Niektóre, z pewnością już starsze, pokrywała niczym skorupa cienka warstwa nacieku wapiennego.

Mieszkańcy nie zwracali najmniejszej uwagi na nowo przybyłego, już więc po kwadransie śmiało przeciskał się przez zatłoczoną ulicę. Miał szczerą nadzieję, że rozplanowanie miasta jest klasyczne i niedługo wyjdzie prosto na rynek. Nie mylił się. Ulica Wąwozowa, którą zmierzał, wpadała prosto na otoczony sklepami, obszerny kwadratowy plac zapełniony kolorowymi straganami, drewnianymi budkami, skromnymi stoiskami i morzem ludzi kłębiących się

niczym mrówki w mrowisku. Kapłan próbował przystanąć u wylotu uliczki, jednak zbity tłum poniósł go dalej i przeredził się dopiero na placu. Wrecedarm rozejrzał się niepewnie, jednak już po chwili podszedł zaciekawiony do jednego ze stoisk, podpisanego: „Narzędzia”. W drewnianych beczkach, skrzynkach i wiaderkach upchano bez ładu i składu najrozmaitsze narzędzia codziennego użytku: młotki, obcęgi, strugi, gwoździe, kilofy, dłuta, szpadle, grabie... Co za bzdura – pomyślał kapłan. Przecież budownictwo mieli niemal identyczne jak na powierzchni.

Ruszył dalej, szukając czegoś nieznanego, czego w Rogowie Górnym z pewnością by nie usłyszał. Skierował się w stronę bazaru.

Tłum kłębiący się między straganami nie był łatwą przeszkodą do pokonania. Mężczyźni starali się jak najszybciej załatwić sprawunki i ruszyć dalej, co wywoływało ciągłe konflikty z kobietami, którym zależało przede wszystkim na jakości kupowanego towaru.

Wielebny szybko minął kłócąc się właśnie dwójkę klientów i podszedł do jednego ze stoisk. W koszach spoczywały bardzo dobrze znane mu owoce i warzywa, jednak jego uwagę szybko przykuły, leżące w drewnianych skrzynkach, różnokolorowe grzyby. Tuż obok zwisały ze stojaka suszone pędy jakiejś nieznannej zupełnie Gideonowi rośliny, w wiaderkach u jego stóp kłębiły się białoczerwone włókniste korzenie, bulwy przypominające podłużne buraki i wiele innych egzotycznych produktów podziemnej matki natury.

– Podać coś? – zaskrzeczała pulchna sprzedawczyni, łypiąc na kapłana podejrzliwie.

– Nie, nie... Ja tylko... – zaczął się jąkać, lecz po chwili przypomniał sobie, że powinien grać pewnego siebie. – Jestem tutaj przejazdem, gdzie mogę wymienić walutę?

Sprzedawczyni obcięła go spojrzeniem od góry do dołu, jakby oceniała prawdopodobność przybycia, po czym skrzyżowała ręce na piersi i odparła:

– W północno-wschodnim narożniku rynku jest lombard. Może pan coś tam zastawić. – Wskazała głową w bliżej nieokreślonym kierunku, po czym zabrała się do przesypywania dziwnych, mięsistych granatowych kulek do worka.

Trochę trwało, nim Wrecedarm się zorientował, który narożnik jest północno-wschodni, jednak w końcu udało mu się stanąć przed piętrowym budynkiem z szyldem głoszącym, że wszystko ma swoją cenę. Kiedy wszedł do środka, poczuł się tak, jak gdyby wkroczył do labiryntu lub magazynu. Pomieszczenie zastawione było regałami i półkami pełnymi przedmiotów codziennego użytku: okularów w najprzeróżniejszych oprawkach, mniej lub bardziej sfatygowanych lunet, kałamarzy, nożyków o różnej długości głowni, drewnianych i glinianych kubków, zdobionych piór do pisania, książek zajmujących nieraz całą powierzchnię na półkach, tabakier, skórzanych pasów, srebrnych i cynowych sztućców, całych zastaw stołowych, używanych i nowych narzędzi, zapieczętowanych butelek pełnych kolorowych alkoholi i wielu innych. Kiedy w końcu kapłanowi udało się wydostać z zawilego labiryntu regałów, znalazł się przy szerokim blacie kontuaru. Tuż przed nim zza lady wyrósł potężny niczym dąb mężczyzna. Górował nad kapłanem, a jego zdobiona tatuażami, szeroka twarz nie wzbudzała ani krzty zaufania. Gideon uświadomił sobie nagle, w jak niefortunnej sytuacji się znalazł: stał zupełnie sam, w obcym sobie miejscu, naprzeciw osiłka, który oparłszy potężne łapska o blat, przyglądał mu się teraz badawczo.

– Czego? – zapytał oschle, taksując przybycia od stóp do głowy.

– Eee... – kapłana onieśmieliło zachowanie gospodarza, ale szybko pozbierał się w sobie. – Chciałbym sprzedać... ten kapelus. – Niewiele myśląc, zdjął nakrycie głowy i położył na blacie.

– W sensie zastawić – poprawił go osilek i po chwili zaczął przypatrywać się klientowi jeszcze uważniej, coraz bardziej przekrzywiając głowę, niczym pies, który właśnie dostrzegł coś przedziwnego.

Wrecedarm nerwowo przełknął ślinę i stał jak wmurowany, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. Nie znał tutejszych zwyczajów, a najwyraźniej był właśnie uczestnikiem jakiegoś rytuału. Właściciel lombardu sprawiał wrażenie, jakby prowadził ożywioną dyskusję w swojej głowie, po czym zmarszczył groźnie czoło i zapytał o pochodzenie przybycia.

– Jestem podróżnikiem. Słyszałem wiele o tym podziemnym mieście, więc postanowiłem je zwiedzić. – Gideon robił, co tylko mógł, żeby brzmieć wiarygodnie.

– A mnie się wydaje, że już cię gdzieś widziałem...

– Niemożliwe, jestem tutaj pierwszy raz w życiu.

– Wydaje mi się również, że znam twój głos. – Nagle pobrużdżona groźnym grymasem twarz osiłka rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. – To przecież ty, wielbny!

Mężczyzna niemal wybiegł zza lady i pochwyciwszy dłoń Wrecedarma, zaczął nią trząść zawzięcie, aż rozległo się głucho dzwonięcie zębów kapłana.

– Dlaczego wielbny ubrał się tak dziwnie, że w ogóle go poznać nie można? – Właściciel lombardu podrapał się po głowie, lecz już po chwili zrozumiał. – Aha, założę się, że to taki kamuflaż? – Mrugnął porozumiewawczo.

– Właściwie to... – Gideon starał się szybko wymyślić jakieś zgrabne kłamstewko, lecz był tak zaskoczony reakcją mężczyzny, że nie potrafił pozbierać myśli. Zdecydował się na prawdomówność. – Przyszedłem tutaj w bardzo konkretnym celu, ale nie wiem, czy mogę otwarcie z panem rozmawiać.

– Z jakim „panem”? Rodgar jestem. Prowadzę ten przybytek, odkąd przeniosłem się pod ziemię. – Gestem ręki ogarnął całe pomieszczenie. – I właśnie postanowiłem, że zamknę dzisiaj wcześniej. – Zwinnie przecisnął się między regałami do drzwi i zarygłował je z łomotem. Odwrócił się z perlстым uśmiechem i klasnął w dłonie. – Nie co dzień mogę gościć tak znamienitego gościa. Zapraszam na górę. – Śmiało wkroczył za ladę i zaczął wspinać się po drewnianych schodach zamaskowanych grubą zasłoną.

Wrecedarm obejrzał się tęsknie za wejściem, które osiłek przed chwilą zarygłował, i udał się na górę za właścicielem lombardu.

Rodgar powiódł go korytarzem na piętrze do pomieszczenia, które było sprytnym połączeniem kuchni i salonu. Obie strefy funkcjonowały ze sobą w zupełnej harmonii. Regały z książkami przechodziły płynnie w półki zastawione przetworami i przyprawami, a elegancka kuchnia kafłowa z zapieckiem nadawała wnętrzu niesamowity urok. Gospodarz usadowił kapłana przy stole postawionym pod oknem, a sam dorzucił kilka szczap do kuchennego pieca i dołał wody do stojącego na nim blaszanego czajnika.

– Herbata czy coś mocniejszego? – zapytał. – Mam doskonałe wino z Dębowej Kniei...

– Herbata na razie wystarczy – przerwał mu szybko kapłan. Nie wiedział, z kim ma tak naprawdę do czynienia, wolał się więc nie spoufalać.

Musiał ustalić, skąd mężczyzna go zna, skoro – jak sam powiedział – zszedł do podziemi już jakiś czas temu. Czyżby pamiętał go z czasów, kiedy zbójował na powierzchni, jak reszta mieszkańców Rogowa Dolnego? Może nawet spotkali się w czasach rewolucji, którą wywołał Gideon?

Wyjrzał przez okno wychodzące na rynek. Tłum wcale się nie przerzedził, wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej zgęstniał. W świetle wielkich luminescencyjnych grzybów wyglądał jak upiorne gniazdo czerwi. Kapłan wzdrzygnął się i rozejrzał po pomieszczeniu – tutaj również zastosowano dziwne *fungi* jako oświetlenie. Porastały belki stropowe i kilka miejsc na ścianach, jednak w przeciwieństwie do tych na zewnątrz te wydzielaly z siebie przyjemne, ciepłe żółtawe światło.

– Skalne świetliki – wyjaśnił gospodarz. – Jeszcze kilka lat temu używaliśmy archaicznych latarni i kaganków, aż do momentu, kiedy Egidorm odkrył je w korytarzach najniższych jaskiń. Tak go zaintrygowały, że zaczął je hodować. Pierwotnie miały tylko zastępować oświetlenie w budynkach, okazało się jednak, że ich możliwości rozrostu są niemal nieograniczone. Zastąpiły więc latarnie na ulicach. Wspaniałe odkrycie, jak zresztą każde, którego Egidorm dokonał. – Rodgar zdjął parujący czajnik z kuchennego pieca i postawił na stole razem z dwoma glinianymi kubkami, na których dnie znajdował się zielonkawy proszek. Zalał oba gorącą wodą, po czym postawił jeden tuż przed kapłanem. – No to słucham, co to za sprawa? – zapytał, usadowiwszy się na krześle po drugiej stronie stołu.

Wrecedarm zerknął niepewnie do swojego naparu, który zaczął przybierać brunatny kolor, podobny do liściastej herbaty sprowadzanej z południa, jednak ostry zapach wydzielany przez płyn był zupełnie nieherbaciący.

– Napar z mgiełkownika. To okoliczny porost, bardzo smaczny i bogaty w witaminy – wytłumaczył Rodgar.

– Tak... Co do sprawy... – Kapłan odsunął od siebie kubek i jeszcze raz przyjrzał się gospodarzowi. – Najpierw chciałbym zapytać, skąd mnie znasz? Jestem pierwszy raz w waszym mieście, a nie kojarzę, abyś pojawiał się na nabożeństwach.

– Ha, ha! – zagrział osilek w szczerym spazmie śmiechu. – Ależ pojawia się, i to co tydzień. Nie tylko ja zresztą, prawie wszyscy w nich uczestniczymy.

– Niemożliwe, zauważyłbym! – zapewnił kapłan. – Znam wszystkich moich wiernych, a ciebie widzę pierwszy raz w życiu.

– Już wyjaśniam. – Rodgar zachichotał głupkowato. – Wielebny odprawia nabożeństwa na rynku, prawda?

– Zgadza się.

– Znajduje się tam krata odpływowa zbierająca kanałami całą deszczówkę z placu. Szyb prowadzi aż do naszego miasta, do tak zwanego Wodospadu. Kiedy wielebny przemawia do wiernych na górze, my również przysłuchujemy się każdemu słowu z należytą uwagą – gospodarz roześmiał się, widząc zdumioną twarz kapłana.

– Więc to tak... Czyli uczestniczycie we wszystkich moich kazaniach?

– Jak najbardziej. Jesteśmy za nie bardzo wdzięczni. Bez wielebnego nie przetrwalibyśmy tutaj. I co więcej: nie zaczęlibyśmy nowego życia.

– Obawiam się, że nie rozumiem – zmieształ się Gideon.

– Pamięta wielebny, kiedy wszyscy żyliśmy wymieszani niczym plewy z ziarnem?

– No tak, niespokojny czas zamieszek w Rogowie Górnym.

– To dzięki wielebnemu nastąpił podział – ziarno zostało na górze, a plewy na dole. Wszyscy mieliśmy coś na sumieniu, czy to kradzieże, przekręty, szantaże, czy rabunki i wyłudzenia. Grzeszyliśmy, wokół bowiem było tyle dóbr, które wystarczyło sobie przywłaszczyć. Nie kierowało nami nic innego jak zawiść i lenistwo. – Gospodarz pociągnął solidny łyk ze swojego kubka i kontynuował. – Kiedy zgromadzono nas wszystkich tutaj na dole, byliśmy wściekli. Odcięto nas od źródła, które wydawało się nieskończone, a jednak. Przez dłuższy czas próbowaliśmy żyć tak samo jak wcześniej, lecz okazało się to niemożliwe. Nie było wokół nas żadnych dóbr, które moglibyśmy sobie przywłaszczyć, co więcej, nie było miejsca na zawiść, którą mogliśmy racjonalizować nasze zachowanie. Naszymi sąsiadami byli mieszkańcy w identycznej sytuacji co my. Wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku. Zaczęliśmy czuć się zagubieni, pozbawieni celu. Otaczała nas tylko ciemność. Nie wiedzieliśmy, co dalej począć, jak wybrnąć z tej sytuacji. Skąd mieliśmy brać środki do życia, jak zapanować nad otaczającym nas chaosem? Problemy kłębiły się i nawarstwiały z każdym kolejnym dniem spędzonym w izolacji. Byliśmy zdani tylko na siebie, ale nikt nie miał odwagi, aby się do tego przyznać. – Przerwał, wskazując na drugi kubek. – Pij, wielebny, bo wystygnie.

– Ach tak... – Gideon niechętnie uniósł do ust kubek z gorącym napojem i spróbował dziwnej herbaty. Okazała się zaskakująco smaczna i orzeźwiająca, trochę jak napar z mięty wymieszany z jakimś cytrusem. Podczas gdy pociągał kolejne łyki, Rodgar kontynuował opowieść:

– Kiedy opuszczała nas nadzieja na normalne życie i zaczynała ogarniać desperacja, z tłumu wyłonił się on: Egidorm. Był człowiekiem o nadzwyczajnej charyzmie, miał także wizję, którą chciał ziszczyć. Uświadomił nam wszystkim, że nie znaleźliśmy się tutaj bez powodu i musimy to zaakceptować. Nakłonił nas do działania, zaszczepił w nas poczucie własnej wartości i ambicje, których nigdy nie mieliśmy. Pokierował nami jak najwspanialszy dowódca, rezygnując samemu z szczytów. Cały nasz gniew, który żywił się w tamtym czasie do wielebnego, przekuł w pokorę i pragnienie rozwoju. To on zgromadził nas po raz pierwszy pod kratą rynku i nakazał słuchać nabożeństwa. W końcu zrozumieliśmy, że wielebny oddzielił nas od reszty społeczności dla naszego dobra. Jesteśmy za to do zgonnie wdzięczni i mamy nadzieję, że będziemy potrafili odpłacić podobną monetą. – Gospodarz położył sobie wielką dłoń na sercu i spojrzął maślanym wzrokiem prosto na kapłana.

– Wasza zmiana wewnętrzna jest dla mnie najwspanialszą nagrodą – skłamał Gideon, po czym szybko zmienił temat: – Po wysłuchaniu twojej historii mogę śmiało wyznać, co mnie sprowadziło do waszego miasta. – Przyjął sztywniejszą postawę, gdyż to, co zamierzał przekazać, miało wymiar jak najbardziej oficjalny. – Otóż burmistrz Rogowa Górnego, Harion Goldar, pragnąłby ponownej integracji z mieszkańcami Rogowa Dolnego.

Rodgar odchylił się na krześle i potarł szczeciniasty podbródek.

– Rozumiem. W związku z tym na barkach wielebnego spoczęła odpowiedzialność dokonania oceny, czy nasi mieszkańcy są gotowi na powrót do zamożnego społeczeństwa... To dlatego wielebny tak się zamaskował?

– Zgadza się. Kiedy schodziłem tutaj, nie bez trwogi, spodziewałem się zobaczyć zgoła inny obraz, niż w rzeczywistości ujrzałem. Osiągnęliście równowagę i poziom zaawansowania godny niejednego miasta z powierzchni.

– Egidorm nauczył nas, jak sobie radzić w tych warunkach. Sporządził mapy korytarzy prowadzących w głąb, odnalazł wyjście na powierzchnię nieopodal rzeki, pomógł nam zbudować system dostarczający wodę do budynków... – Rodgar westchnął ciężko. – Cóż, będzie nam go brakowało. – Uniósł kubek w geście hołdu i kilkoma ostatnimi łykami dopił resztkę naparu.

– Jak to? Czy to znaczy, że nie poznam tak znamienitego męża i wiernego, jakim jest Egidorm?

– Niestety. Kilka miesięcy temu opuścił nasze miasto. Uznał, że ktoś musi uświadomić reszcie świata zagrożenie, które głosi wielebny. Wyruszył nawracać niewiernych. To jego misja. Jak zwykły mawiać: „W obliczu tak rzeczywistego zagrożenia, jakim jest pierwotne zło czyhające na ludzkie dusze, należy zjednoczyć wszystkich ludzi, aby stanęli ponad podziałami i stawili mu czoła”.

– Mądre to słowa. – Kapłan uniósł kubek. – Wznieśmy zatem toast za człowieka, któremu udało się osiągnąć zamierzony cel w Rogowie. Zarówno Górnym, jak i Dolnym.

Właściciel lombardu nalał sobie nową porcję naparu, po czym uniósł wysoko kubek i obaj opróżnili je do dna.

Wrecedarm Gideon był bardzo zadowolony z wizyty w Rogowie Dolnym. Udało mu się nie tylko spełnić prośbę burmistrza, ale także jeszcze bardziej umocnić swoją pozycję w społeczności. Będzie go teraz czekać dużo pracy przy asymilacji obu stron. Konieczna będzie narada z Harionem, jakie kroki podjąć, aby dokonać tego w miarę łagodnie.

Szedł z latarnią przez mroczną jaskinię, patrząc uważnie pod nogi, żeby bezpiecznie dotrzeć z powrotem na górę. Nie wiedział, która może być godzina. Na oko spędził w lombardzie jakieś dwie, może trzy. Po dziwnej herbacie dał się namówić Rodgarowi na coś mocniejszego, co okazało się równie zaskakująco dobre, jak napar z porostów. Pogadali, pośmiali się – i właściwie tyle. Ot, miło spędzony czas. Jednak mimo ciepłego przyjęcia kapłan nie mógł doczekać się powrotu na powierzchnię. Pobyt pod ziemią zdecydowanie mu nie służył. Niepokoił go tylko fakt, że ten cały Egidorm wyruszył w świat, aby o nim rozpowiadać ludziom. A jeśli stanie się swoistą atrakcją turystyczną regionu i zaczną przyjeżdżać ciekawscy, aby usłyszeć jego kazanie? Ktoś mógłby go zdemaskować. Być może nabożeństwa trzeba będzie odprawiać za zamkniętymi drzwiami, żeby tego uniknąć. To w końcu wiara, a nie cyrkowe przedstawienie. Zanotował sobie w pamięci, żeby uczulić Hariona na taką ewentualność.

Na nabożeństwie mają być tylko wierni – pomyślał, zatrzymując się i spoglądając w górę na serpentynę schodów.

– Z tym też trzeba będzie coś zrobić – mruknął do siebie. Poprawił rondo kapelusza i zaczął się wspinać.

Rozdział 2

DZIEŃ SYRUSA

Każda królewska władza pozostawia „duchy” swojego sposobu rządzenia – prawa i dekryty, które straszą następców. Zazwyczaj bardzo szybko są „wypędzane” z zamku przez nowego władcę i zastępowane kolejnymi, które trwają tak długo, jak pozwoli na to monarcha.

Pierwszy dzień miesiąca w królestwie Anfer był właśnie takim „duchem”. W przeciwieństwie jednak do pozostałych „zjaw i upiorów”, jeżących włosy na głowach licznych władców, pierwszy dzień miesiąca był niczym najgorszy z demonów.

Prawie trzysta lat temu król Syrus V wprowadził wspianą tradycję, która przetrwała wichry i zamiecie historii i utrzymała się do czasów obecnych. Pierwszego dnia każdego miesiąca urzędujący władca miał obowiązek poświęcić cały dzień na audyencje dla poddanych, którzy o to prosili. Przez dwanaście godzin musiał wysłuchiwać interesantów z całego królestwa i odpowiednio reagować na ich potrzeby. Tuż przed swoją śmiercią władca przekształcił tradycję w prawo obowiązujące wszystkich kolejnych monarchów.

Tak zwany Dzień Syrusa został ustanowiony z wielu powodów. Najważniejszym z nich było to, że poddani mieli okazję pojawić się przed obliczem władcy osobiście i własnymi słowami nakreślić mu problemy, z jakimi się borykają. Władca zaś osobiście doświadczał uchybień w swoim sposobie rządzenia i poznawał bezpośrednio poddanych należących do wszystkich grup społecznych. Z założenia miała to być wzajemna relacja służąca wypracowaniu zrównoważonego sposobu władania królestwem. Przynajmniej za czasów Syrusa V. Po jego śmierci kolejni władcy starali się odejść od tego prawa, gdyż żaden z następców nie miał ochoty na wysłuchiwanie o uchybieniach w swoich metodach sprawowania rządów. Olaf Prezeus I nie był wyjątkiem od reguły.

Z samego rana przyjmował dziś na audyencji chłopów, mieszczan, władców ziemskich i wielu innych poddanych, którzy przybyli z najdalszych zakątków Anferu, aby prosić go o przychylne spojrzenie na ich problemy.

W korytarzu przed salą tronową już od świtu ustawiła się długa kolejka oczekujących. Choć wywodzili się z różnych klas społecznych, wszyscy byli równi wobec swojego władcy. Wszyscy oczekiwali w jednym ogonku i wszyscy wykazywali taką samą nadzieję na zaradzenie ich problemom przez monarchę.

Król Olaf szczerze nienawidził pierwszego dnia miesiąca. Próbował coś z tym zrobić na każdy możliwy sposób, jednak za każdym razem ponosił porażkę. Dzień Syrusa był tak zwanym prawem paradoksalnym, czyli został ustanowiony przez władcę, ale zniesienie go mogło być możliwe tylko za zgodą trzech czwartych poddanych, których dotyczył. Prezeus usilnie dążył do znalezienia kruczka, który pozwoli nie tyle znieść to prawo ile je ominąć. Próbował nawet wymazać z kalendarzy pierwsze dni każdego miesiąca, jednak ze względów administracyjnych nie było to możliwe. Prawo było prawem, a mogli je zmienić tylko poddani, którzy prędzej wskrzesiliby Syrusa, niż na to się zgodzili.

Chcąc nie chcąc, Olaf Prezeus I został obudzony przez służbę o świcie, odziany i po sytym posiłku posadzony na tronie w sali tronowej. Mimo że tego dnia czekało go przyjęcie ponad trzydziestu osób, władca miał poważne problemy ze skupieniem się na historiach przedstawianych mu przez lud. Już któryś z kolei wieśniak kłaniał się przed nim w pas, a on za każdym razem kazał mu wrócić za miesiąc, kiedy już przemyśli jego sprawę.

– Panie mój – zwrócił się do niego doradca Abserius, kiedy tylko cuchnący nawozem i bydłem chłop opuścił salę tronową – to, co robisz, jest bezproduktywne i negatywnie odbija się na wizerunku waszej wysokości w oczach poddanych. Niech wasza królewska mość postara się w miarę możliwości nie odsyłać ich z niczym. Niech dostaną chociaż nadzieję, zapewnienie, że wasza wysokość zrobi, co w jego mocy, aby ulżyć tym biedakom.

Olaf ocknął się z zadumy i lekceważąco machnął ręką na znak, że zgadza się ze stanowiskiem swojego pierwszego doradcy. Poprawił się na tronie, wyprostował koronę na skroniach i dał znak strażnikom, aby wprowadzili kolejną osobę.

Drzwi otworzyły się szeroko i po chwili do sali tronowej wszedł mężczyzna w średnim wieku. Jego gładko ogolona twarz zdradzała niepewność sytuacji, w jakiej się znalazł, jednak energiczne ruchy zatarły to wrażenie. Mieszczanin przeszedł przez środek długiej sali i zatrzymał się tuż przed purpurowym chodnikiem, biegnącym od podnóża schodków na podwyższenie z tronem królewskim aż pod same nogi władcy, dostojnego i wyniosłego. Poddany opadł na jedno kolano w geście szacunku i poddaństwa i skłonił nisko głowę. Olaf spojrział zdruzdzonym wzrokiem na swojego doradcę, po czym kazał wstać mieszczaninowi.

– Jak cię zwą? – zapytał król, kiedy mężczyzna niezgrabnie podniósł się z klęczek.

– Baldiarz, mój panie – wydusił nieśmiałym głosem mężczyzna.

Prezeus I patrzył przez moment na tę sierotę, bez krztyny godności i pewności siebie, zastanawiając się, jakim cudem takie stworzenie mogło dojść do czegokolwiek w życiu. Wyglądał jak spłoszone szczenię, które zgubiło się i chodziło w kółko z nadzieją, że w magiczny sposób zostanie ocalone przed nieznanym losem, jaki je czeka.

– Zatem... Baldiarzu, cóż takiego wydarzyło się w twoim życiu, że postanowiłeś skorzystać z prawa do spotkania ze swoim królem i zmarnować nie tylko swój czas, ale także mój?

– Panie – zaczął mieszczanin, jakby zupełnie nie pojął wydźwięku wypowiedzi władcy – przychodzę tutaj, gdyż kilka tygodni temu moja żona zachorowała poważnie i dopiero od wczoraj odzyskuje siły po wielu dniach wysokiej gorączki. Byłem zmuszony wezwać cyrulika, gdyż była tak słaba, że nie mogła podźwignąć się z łoża. Po tym, jak ją zobaczył, kazał sporządzać jej zioła, które przyniósł, i podawać trzy razy w ciągu dnia. Choroba miała ustąpić po kilku nocach. Kiedy tak się nie stało, ponownie poszedłem po tego człowieka. Przyniósł inne zioła z takim samym zaleceniem. Kiedy po tygodniu nie było poprawy i moja żona nadal leżała bez sił, znowu poszedłem po tego człowieka. Tym razem odparł, że nie posiada wystarczającej wiedzy, i doradził mi, abym udał się po medyka, bo moja żona może umrzeć. Zrobiłem, jak mi polecił. Udało mi się spotkać z medykiem i wyjaśnić, z jakim problemem przychodzę. Odparł, że nie jest w stanie udać się do mojego domu w najbliższym czasie, więc sprzedał mi jakieś medykamenty, polecił podawać żonie i zapowiedział się z wizytą za kilka dni. Żonie zaczęło się poprawiać, ale kiedy zjawił się po trzech dniach i ją zbadał, zalecił jeszcze inne mikstury. Minęły dwa tygodnie, gorączka ustąpiła, ale moja żona jest bardzo słaba i niedożywiona. Dlatego właśnie przychodzę, mój panie, gdyż wiem, że muszę w tym tygodniu zapłacić podatek, jak co miesiąc... Proszę, zwolnij nas z opłaty w tym miesiącu, panie mój. Większość pieniędzy wydałem na leczenie żony i jeżeli oddam to, co nam zostało, nie starczy nam pieniędzy na jedzenie. Pomrzemy z głodu. Błagam cię, mój królu, miej litość nad wiernym poddanym. – Baldiarz padł na kolana i w pokornym pokłonie czekał na odpowiedź.

Monarchę po dłuższej chwili wyrwało z zamyślenia znaczące chrząknięcie Abseriusa, który patrzył na niego wyczekująco. Prezeus I spojrział zdezorientowany na swojego poddanego, zwinętego w pokornym ukłonie, i już miał otworzyć usta, aby zgodzić się na... Nie wiedział na co. Znowu się zamyślił o innej sprawie, która go dręczyła. Sprawie, która była z pewnością ważniejsza od tego, z czym przyszedł do niego ten mieszczanin. Czymkolwiek była ta sprawa.

Westchnął. Miał już tego dosyć. Prawo prawem, ale to na nim spoczywała odpowiedzialność za całe królestwo, to on dźwigał na swoich barkach problemy ekonomiczne i polityczne Anferu. To on nosił koronę i dzierżył berło.

Olaf wstał powoli z tronu, podszedł do szczytu schodków, spojrział w dół na żalosną istotę, mieniącą się jego poddanym, po czym machnął ręką, jakby odganiał muchę, i dźwięcznym niby złoty dzwon głosem rzekł:

– Wyprowadzić go.

Abserius, jeszcze zanim ktokolwiek inny zrozumiał wypowiedziane polecenie, błyskawicznie znalazł się u boku króla.

– Ależ panie mój, nie możesz tego zrobić temu człowiekowi. Przyszedł tutaj, gdyż zmusiła go do tego sytuacja życiowa, nie jakiś kaprys.

– Mnie też zmusza sytuacja życiowa – odparł beznamiętnie Prezeus I, kiedy strażę podźwignęły z kolan zdeorientowanego mężczyznę i ruszyły z nim do wyjścia.

– Królu mój – kontynuował doradca, starając się odpowiednio dobrać słowa – ten człowiek ma prawo tutaj przebywać. Wyprowadzając go, nie stosujesz się do prawa, które ustalono...

– Mam gdzieś to dumne prawo! – Olaf chwycił doradcę za misternie zdobiony kaftan i przysunął bliżej siebie, aby lepiej zrozumiał, jakie jest stanowisko władcy w tej sprawie. – Nie będę dłużej słuchał tego dumnia. Nie będę słuchał dzisiaj żadnego z tych dumniów, którzy czekają za drzwiami, rozumiałeś?

– Panie mój...

– Jeżeli wprowadzą tutaj jeszcze kogoś z tej hołoty, odpowiesz za to osobiście, rozumiałeś?

– Królu...

– Zrozumiałeś?! – powtórzył władca, tym razem obryzgując śliną pierwszego doradcę.

– Tak, tak... Zrozumiałem.

Olaf zwolnił chwyt, a Abserius odsunął się raptownie i zaczął nerwowo wygładzać pognieciony materiał na piersi.

– Pójdę zatem ogłosić, że audiencja zostaje przesunięta... – odczekał chwilę na reakcję władcy, a nie dostrzegając żadnych oznak sprzeciwu, kontynuował: – na trzeci dzień miesiąca.

Abserius niemal zbiegł po schodkach i udał się swoim, niedorzecznym w oczach króla, dystyngowanym krokiem w stronę wyjścia, przez które przed chwilą wyprowadzono zmieszanego i przerażonego mieszczanina.

– Abseriusie! – zawołał jeszcze Prezeus I, kiedy doradca znalazł się już przy drzwiach. – Wezwij również nadwornych astronomów, astrologów, mędrców, mistyków i każdego, kto ma choć odrobinę wiedzy i oleju w głowie. I to natychmiast.

Doradca skłonił się pokornie i zaintrygowany wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Monarcha opadł ciężko na tron i znużonym głosem zażądał wina. Po chwili z za przepierzenia znajdującego się za jego plecami wyszedł służący i wręczył królowi złoty puchar pełen bordowego trunku. Władca wypił dwa duże łyki, oddał naczynie służce i niczym obłąkany zaczął siłować się ze złotą zapinką od grubego królewskiego płaszcza. Kiedy w końcu mechanizm ustąpił, wstał z tronu i zaczął przechadzać się wzdłuż krawędzi schodków. Znudzony czekaniem, zszedł po nich i podszedł do umieszczonego w kącie sali stojaka ze zbroją i z orężem królewskim. Przez moment podziwiał misterne zdobienia na błyszczącym kirysie i hełmie, po czym sięgnął po wiszącą na złotym łańcuszku szablę w bogato zdobionej srebrnej pochwie ze złoceniami, wysadzanej trzema dużymi rubinami. Chwycił za równie ekstrawagancką rękojeść i dobył broni. W promieniach słońca wpadających przez jedno z trzech wysokich okien załśniło łagodnie wygięte ostrze, gotowe ciąć i rąbać każdego, kto będzie na tyle głupi, żeby zaatakować Anfer. Monarcha zważył broń w dłoni i wykonał niespodziewane cięcie z góry, prosto na wysoki drewniany czteroramienny świecznik. Jedno z ramion upadło z głuchym tąpnięciem na marmurową posadzkę. Po chwili rozległ się dźwięk otwieranych drzwi, przez które powrócił pierwszy doradca. Podszedł szybkim krokiem do władcy i bez zbędnych ceregieli oświadczył, że wykonał jego polecenie.

– Dobrze – odparł król i zamierzył się na kolejne ramię świecznika.

Broń świsnęła w powietrzu i na posadzkę poleciało kolejne ramię. Po chwili jeszcze jedno cięcie, tym razem poziome, i cała nastawa świecznika leżała u stóp monarchy. Olaf wyczyścił ostrze, przeciągając je ostrożnie między palcami, po czym spojrzął na swojego podwładnego.

– Po cóż tutaj sterczysz?

– Panie mój – zaczął nieśmiało Abserius – nie możesz w taki sposób traktować swoich poddanych.

– Nie? – Król prychnął z pogardą. – Przecież nie wyrządziłem mu żadnej krzywdy – Kolejne precyzyjne cięcie w powietrzu zamigotało w słońcu niczym refleks na tafli wzburzonej wody.

– Władco mój, oni ciężko pracują, mają na utrzymaniu swoje rodziny, płacą podatki. Zapewniają nie tylko złoto i srebro w skarbcu, ale także żywność, wyroby żelazne, drewniane... – Doradca rzucił okiem na wygięte ostrze

szabli, która teraz niczym wściekła cięła ciężki materiał zasłony zwisającej przy oknie. – Produkuje uzbrojenie, zapewniają wierzchowce i transport.

Monarcha nadstawił ucha, jakby nagle coś go zainteresowało, ale już po chwili ćwiczył wypady bronią, kierując się do przeciwnego końca sali.

– Widzisz zatem, mój królu, że nastroje społeczne są bardzo istotne dla funkcjonowania całego królestwa, nie tylko w czasie pokoju, ale także w stanie zagrożenia wojną – podsumował Abserius, podążając za rozbrykanym władcą.

– Posłuchaj mnie uważnie, Abseriusie. – Kolejny atak, a następnie unik, atak i zasłona płazem. – Nie mam zamiaru przedkładać spraw tych małoszkowatych, szarych i nic nieznaczących ludzików ponad sprawy wagi państwowej. Jeżeli mam dalej słuchać tych niedorzeczności, z którymi do mnie przychodzą, to będzie to robił za mnie mój sobowtór. Ja mam już dosyć, tylko marnuję czas.

Monarcha nagle odbił w bok i za cel dalszej wędrówki obrał jednego ze strażników, stojącego pod kolumną podpierającą łukowate sklepienie sali. Zaczął imitować ataki skierowane na nieporuszonego gwardzistę, który twarde wpatrywał się w jeden punkt. Klinga szabli zatrzymywała się o centymetry to od życiodajnych narzędzi, to od części ciała wycierających spod pancerza.

– Wasza wysokość, Dzień Syrusa jest zbyt ważnym prawem, aby wasza królewska moc mogła powierzyć pełnienie tego obowiązku jakiemuś aktorowi. Ponadto takie oszustwo jest wyraźnie przewidziane w dekreście mówiącym o Dniu Syrusa.

– Posłuchaj, ty prymitywny i pozbawiony wyobraźni głupcze. – Monarcha odstał od strażnika i wycelował ostrze szabli w pierś swojego doradcy. – Sugerujesz, że jako władca mam ślepo przestrzegać durnego kaprysu nieżyjącego od setek lat starego capa, który tak samo jak ty nie potrafił patrzeć dalekosiężnie na sposób rządania królestwem?

– Właśnie staram się myśleć dalekosiężnie, mój władco. – Abserius odsunął się o krok od ostrza, lśniącego teraz złowrogim blaskiem, równie intensywnym, jak głód krwi monarchy. – I wyobrażam sobie, co się może wydarzyć, kiedy poddani dowiedzą się o oszustwie waszej królewskiej mocy.

Spojrzenie władcy, dotąd rozognione, w ułamku sekundy zamieniło się w lodowe ostrza, którymi gdyby tylko mógł, przesyłby doradcę na wylot.

– Czyżbyś okazał się na tyle głupi i powiedział to na głos? – wycedził przez zęby.

– Słucham? – Abserius zmieszał się i jeszcze raz przeanalizował w głowie swoją wypowiedź.

– Grozisz swojemu królowi?

– Nie, wasza wysokość. Po prostu staram się uświadomić...

– Jeżeli publicznie, przy świadkach, oświadczasz, że nie jesteś w stanie utrzymać w sekrecie tajemnicy o wadze państwowej, to znaczy, że zagrażasz królestwu. A to ja jestem uosobieniem Anferu, zatem grozisz mnie. – Król opuścił broń i wbił bezlitosne spojrzenie w twarz swojego doradcy. – Czy wciąż podtrzymujesz swoje słowa?

Abserius przełknął ślinę. Został oskarżony i osądzony, zanim jeszcze wydarzyło się cokolwiek, o czym przed chwilą mówił. Czy podtrzymuje swoje stanowisko? Tak. Lud, prędzej czy później, zorientuje się, że jest oszukiwany, a wtedy wybuchnie bunt albo nawet rewolucja dążąca do obalenia władzy. Nie można migać się od obowiązku w stosunku do podwładnych, nawet – czy może szczególnie – będąc królem. Jego intencje jako doradcy nie służą dobru tylko poddanych, ale także królestwa. Wszystkie czynniki zaburzące ład i funkcjonowanie mechanizmów oddziałujących na gospodarkę, politykę i nastroje społeczne mogą osłabić Anfer. Rozbić wspólnotę ludu, rozczłonkować zależny od siebie organizm na części, zbyt poróżnione, aby mogły wspólnymi siłami bronić się przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Wszelkie radykalne zmiany prawa, tym bardziej te, które uderzają w najbiedniejszych i w najbardziej wartościowych poddanych, wymagają czasu. Nie można dokonywać ich jednym cięciem szabli swojej władzy.

– Tak, panie mój. – Doradca wyprostował się odważnie. – Nie cofam swojej wypowiedzi, ufam, że...

– Zatem – przerwał mu Olaf – od tej pory przestajesz być moim doradcą. Pozbawiam cię tej funkcji, a z nią twoich praw i przywilejów, które były ci nadane – stwierdził sucho. – Straże! Wyprowadzić go poza obręb zamku, od tej chwili przebywa tutaj bezprawnie.

Zanim Abserius zdążył zaproponować, dwóch gwardzistów królewskich chwyciło go mocno pod ramiona i pchnęło w stronę wyjścia. Pierwszy doradca po raz ostatni spojrział prosto w szare, zimne oczy władcy i pewnym krokiem, w asyście straży, opuścił salę tronową.

Olaf Prezeus I nie tolerował nieposłuszeństwa i nielojalności. Czy ci głupcy nie potrafili zrozumieć, że są zaledwie doradcami? To on włada Anferem, to on żywi, zapewnia pracę i bezpieczeństwo całemu ludowi. Niewdzięcznicy! To już drugi taki dureń, który śmiał przeciwstawić się metodom sprawowania przez niego władzy. Pod pozorem czego? Dobra ludu? Poddani są po to, aby ich uciskać! Kiedy jego doradcy w końcu to rozumieją? Poprzednik Abseriusa, Izylion, uważał z kolei, że należy dać poddanym możliwość samodzielnej obrony, zezwalając chłopom i mieszczanom na posiadanie broni. Cóż za bzdura! Gdyby na to przystał, królestwo w ciągu miesiąca pogrążyłoby się w całkowitym chaosie. Każdy rzuciłby się po władzę, przecież tylko to jest celem nadrzędnym – władza. Tysiące wieśniaków, którzy zyskaliby po jednym mieczu, natychmiast postanowiliby zrobić z niego użytek. Zechciałoby zemścić się na swoich oprawcach, przemocą sięgnąć po wyższy stan – może nawet po koronę.

Izylion został usunięty ze swojego stanowiska lata temu i zastąpiony Abseriusem, który sprawiał wrażenie pojętnego i lojalnego, a tutaj takie rozczarowanie. Któż zatem będzie następny? Jakie wspaniałe pomysły mu proponuje? Kiedy będzie musiał go usunąć?

Rozmyślenia te przerwał gwardzista, który wszedłszy przez główne drzwi, oświadczył, że przybyli uczeni, po których posłał.

Olaf odłożył szablę na miejsce, wspiął się po schodkach na podwyższenie, zarzucił na ramiona królewski płaszcz i zasiadłszy na tronie, polecił ich wprowadzić.

Przez drzwi do sali tronowej weszło sześć osób – jedna za drugą, niczym posłuszne gąski za swoją matką – przemaszerowało w ciszy przez całą salę i stanęło w szeregu przed królem.

Olaf beznamiętnie przyjrzał się twarzy każdego z uczonych. Na wszystkich malowała się niepewność podszyta strachem. Bardzo dobrze. Władca powstał z tronu i zbliżywszy się nieco do przybyłych, przybrał surowy wyraz twarzy. Nie chciał, aby przestali się bać o swoją pozycję na dworze królewskim.

– Chyba należałoby powitać swojego władcę? – zapytał surowo.

Niemrawy dźwięk wydany przez chórek przestraszonych i onieśmielonych uczonych był muzyką dla uszu monarchy. Strach jest kluczem do posłuszeństwa i lojalności.

– Wezwałem was przed moje oblicze, gdyż byłem świadkiem dziwnego zjawiska wczorajszej nocy. Chciałbym się dowiedzieć, co razem z królową widzieliśmy i czy to może zagrażać Anferowi. – Władca zrobił pauzę, przyglądając się uważnie każdemu uczonemu z osobna, jakby oceniał ich kwalifikacje do rozwiązania tej zagadki. – Wezwij królową! – zagrzmiał do sługi czającego się za tronem.

Mężczyzna zniknął natychmiast za przepierzeniem na tyłach sali tronowej i po dłuższej chwili, która w umyśle monarchy ciągnęła się w nieskończoność, spomiędzy zasłon wychynęła jego małżonka w długiej szmaragdowej sukni z atlasu. Dumnym, wolnym krokiem przeszła po podwyższeniu i stanęła obok swojego tronu.

Król natychmiast podszedł do żony, obdarzając ją spojrzeniem pełnym furii. Co odważniejsi z przybyłych obserwujących monarchę mogli dostrzec mięśnie tańczące nienawistnie pod skórą w okolicach zuchwy.

– Kiedy cię wzywam, masz się pojawić natychmiast – gniewny szept rozlał się głuchym echem po sali tronowej niczym syk węża.

– Wybacz mi, mój mężu, ale nie jestem gepardem, potrzebuję czasu, aby stanąć u twojego boku. – Głos królowej był zimny i wyrachowany.

– Nie jesteśmy sami – przypomniał jej Olaf. – Masz zwracać się do mnie jak do swojego władcy.

– Tak, MÓJ KRÓLU – poprawiła się królowa, wpatrując się tępo w dal.

Władca jakby się uspokoił – jego szybki oddech zwolnił, a napięcie mięśni zelżało, jednak po krótkiej chwili spokoju zmierzyl królową Virejnę wzrokiem od góry do dołu i preludium szału wróciło.

– W coś ty się ubrała? – zapytał wściekły, nie starając się już zniżyć głosu.

Królowa przyjrzała się swojej obcistej atłasowej sukni sięgającej pod samą szyję i długim rękawom rozszerzającym się nieznacznie na końcach.

– W suknię, mój królu – odparła szorstko.

– W skromną suknię – poprawił ją Prezeus I. – Skromność jest domeną biednych nieudaczników i mieszczan bez przyszłości, a ty... – Dobył płynnym ruchem sztyletu ukrytego pod płaszczem królewskim. – Jesteś królową! – Wzniósł ostrze do poziomu nieporuszonego wzroku małżonki, po czym trzema płynnymi ruchami wyciął w sukni głęboki dekolot. Po wszystkich wręczył jej odcięty płat materiału i powrócił na tron.

Virejna wyprostowała się dumnie, po czym zajęła miejsce u boku męża, próbując wymazać z pamięci upokorzenie, którego przed chwilą doznała. Przyjrzała się wyzywająco ludziom stojącym poniżej, lecz cała szóstka wpatrywała się zakłopotana w podłogę.

– Zatem, jak już wspominałem – Olaf, jak gdyby nic się nie wydarzyło, kontynuował opowieść – wczorajszej nocy, kiedy wraz z królową kładliśmy się spać, dostrzegłem przez okno przedziwne zjawisko. Na wschodniej stronie nieba, za Górami Żelaznymi, na zachmurzonym niebie pojawiła się czerwona, krwawa wręcz łuna. Pulsowała przez jakiś czas, po czym zgasła.

– Po chwili pojawiła się ponownie – uzupełniła królowa.

Władca powoli obrócił głowę w kierunku małżonki i z udawanym spokojem przypomniał jej, że jest tutaj, żeby wyglądać, a nie się odzywać.

Królowa, również z udawanym spokojem, spojrzała na męża. Oczywiście wyobraźni widziała jednak ostrze, które przesywało gardło Olafa. Zakrwawiony i charczący Prezeus I osuwał się bezwładnie z tronu, a następnie leżał w szybko się powiększającej bordowej kałuży. Virejna poczuła, jak jej napięte policzki powoli rozluźniają się w delikatnym i niewidocznym uśmiechu.

– Po niedługiej chwili łuna powróciła i zalała krwią nieznacznie większy obszar nieba – wyjaśnił dalej monarcha. – Czy ktokolwiek z was tutaj zgromadzonych ma pojęcie, czego byliśmy świadkami?

Cisza, która zapadła po pytaniu króla, przedłużała się w nieskończoność. Nawet jeśli ktoś miał pewne teorie, bał się odezwać nieproszony. Nieobliczalna porywczosć władcy mogła mieć dla takiego śmiałka oplakane skutki.

– Kistriusie – Olaf zwrócił się do pierwszego z brzegu uczonego, sędziwego mężczyzny z siwą brodą. – Ty jako nadworny astrolog powinienes być zaznajomiony ze zjawiskami, które występują na nieboskłonnie.

– Panie mój – odezwał się słabym głosem astrolog. – Nie wiem, jak miałbym się odnieść do tego fizycznego zjawiska. Zajmuję się oddziaływaniem sił nieujętych w ramy widzialnego świata, a horoskopy, które sporządzam, dotyczą ludzi, nie zaś zjawisk fizycznych.

– Zatem ty się wypowiedz, Mikor'n'iku. Astronomia jest twoją dziedziną, zapewne więc będziesz potrafił wyjaśnić, co widziałem.

Mikor'n'ik, gładko ogolony mężczyzna w średnim wieku, poprawił szatę oraz lunetę i sekstant przypięte do pasa, po czym wystąpił odważnie krok przed szereg. Zaczął tłumaczyć władcy, że od pewnego czasu śledzi komety przemykające po zachodniej stronie nieba, jego kopuła z teleskopem jest zatem zwrócona właśnie w tamtym kierunku.

– Nie pytam, czy również widziałeś to, co ja, tylko czym było to zjawisko.

– Wybacz mi, panie. – Astronom spuścił pokornie głowę. – Nigdy nie spotkałem się ze zjawiskiem, które opisałeś. Zacznę jednak natychmiast je badać – zakończył szybko i wrócił do szeregu niczym błędnie wystawiony pion szachowy.

Mięśnie zuchwy Olafa znowu rozpoczęły swój groźny taniec.

– Żądam odpowiedzi teraz, cóż mi przyjdzie z badań trwających całe tygodnie lub miesiące?

– Wasza wysokość – głos zabrał alchemik królewski, który nagle się ożywił i nierozważnie wystąpił z szeregu.

– Mów, Alviusie – odparł władca, wpatrując się w młodą twarz zupełnie łysego mężczyzny, którego wygląd spowodowany był pamiętną eksplozją w jego pracowni.

– Przypomniałem sobie coś... Niedługo czytałem w jednym z prastarych zwojów, z tych takich naprawdę pozółkłych, o pewnym alchemiku. Rzecz działa się w królestwie Ignis. Alchemik, którego imienia, niestety, nie pamiętam, spowodował gigantyczny wybuch, którego błysk rozjaśnił niebo na wiele dziesiątek kilometrów.

– Alviusie, gdyby to był wybuch, wszyscy byśmy go odczuli – oświecił go Kistrius.

– Tak, a luna trwała tylko przez chwilę, a według tego, co mówi jego wysokość, pojawiła się ponownie – dodał Mikor'n'ik.

– Nie doniesiono mi o żadnym wybuchu – uciął dyskusję monarcha, przywracając ciszę w sali tronowej. Przerwało ją ciche chrząknięcie i głos zabrała arcymagini królewska Kaspira.

– Wasza królewska mość, luna światła, o której wasza wysokość opowiedział, jest prawdopodobnie świetlną emanacją energii. Podobne zjawiska mogą wystąpić w trakcie potężnej ceremonii magicznej, ale niemożliwe jest, aby taka luna była widziana z takiej odległości – dokończyła niezręcznie Kaspira.

Palce rąk Prezeusa I wbiły się w oparcia tronu. Wezwał tutaj tych ludzi, ponieważ rzekomo posiadali jakąś wiedzę, a odkąd się zjawili, słyszy tylko teorie i przypuszczenia. Spojrzał na ostatniego z przybyłych – niewidomego mężczyznę podtrzymywanego przez niemego młodzieńca, który zawsze towarzyszył mu jako przewodnik.

– Ty się wypowiedz, Kaldorze – zażądał władca, siląc się na spokój.

Starzec wznosił opuszczoną dotąd głowę w stronę króla. Władca przyglądał się bez cienia emocji oczom zamglonym bielmem. Mędrzec wraz z młodzieńcem ostrożnym, drobnym krokiem wystąpił przed szereg i trwał tak jakiś czas.

– Mów, Kaldorze – ponaglił go zniecierpliwiony monarcha.

– Wasza wysokość – odezwał się w końcu starzec. – Żyję już sto cztery lata, brałem udział w wielu ceremoniach magicznych, widziałem wiele potężnych eksplozji, nawet erupcje wulkanów oddalonych o dziesiątki i setki kilometrów, byłem też świadkiem niepojętych zjawisk astronomicznych. To, co nam, panie, opisałeś, nie jest jednak niczym mi znanym lub przeze mnie widzianym. A jak już rzekłem, żyję sto cztery lata. Myślę więc, królu, że powinienesz wysłać swoich ludzi, aby sprawdzili, co to było.

Władca poderwał się z tronu. Przypominał teraz kobrę gotową do ataku w każdej chwili. Na czoło wystąpiła mu nerwowo tętniąca żyłka, a wargi drżały w niespokojnym amoku.

– Uważasz mnie za durnia?! – huknęła na mędrca. – Wydałem taki rozkaz, zanim jeszcze zwlekłeś swoje leniwe, pokurczone cielsko z łoża! Jednak wyprawa potrwa, a ja muszę wiedzieć natychmiast, z czym się zetknęliśmy. Dlatego postanowiłem zrobić użytek z nadwornych uczonych, którzy okazali się nic niewartymi nieukami. – Olaf usiadł z powrotem na tronie i oparł się o podłokietnik, rozmasowując obolałą skroń. – Daję wam czas do jutrzejszego wieczoru, abyście wyjaśnili mi, co widziałem. Jeżeli nie podolicie temu zadaniu i nie wytłumaczycie mi, czego byłem świadkiem, każę was zamknąć w podziemiach zamku, a waszą jedyną rozrywką będzie udział w naukowych eksperymentach kata. Na was.

Monarcha polecił wyprowadzić całą szóstkę, po czym zasępiony zapadł się w tronie. Dlaczego musi mieć do czynienia z samymi niekompetentnymi głupcami? Czy naprawdę nikt nie pojmuje wagi funkcji, którą pełni? Otaczają go barany, które nadają się tylko na rzeź. Najwyraźniej zbyt długo zajmują swoje stanowiska, trzeba będzie to ukrócić.

Władca wyprostował się na siedzisku i ruchem ręki odprawił królową, która bez słowa wstała i zniknęła za przepierzeniem. Chciał zostać sam. Miał dosyć głupców, miał dosyć nieudaczników i miał dosyć tego dnia, choć dopiero się zaczynał. Ogarnęła go przemożna chęć wezwania swojego fechmistrza i zatracenia się w treningach walki. Bitwa – tak, to było to, czego mu brakowało. Zgiełk, szcęk oręża, jęki rannych i krzyki konających. Ekstremalne sytuacje wymagające bezpardonowych decyzji. Król rozmarzył się, lecz już po chwili przed jego obliczem stanął jeden z gwardzistów pilnujących sali.

– Wasza wysokość! – Opadł na jedno kolano. – Czy mogę zabrać głos?

– Już to uczyniłeś. Czego chcesz?

– Jakiś czas temu zamknęliśmy w więzieniu włóczęgę. Chodził po ulicach Sobleva, nawołując ludność do wysłuchania proroctwa czy czegoś takiego.

– Możesz się streszczać? – ponaglił go Olaf.

– Zamknęliśmy go, gdyż opowiadał niestworzone rzeczy. Uznaliśmy go za szaleńca. Głosił, że niebo zajdzie... krwią.

– Kiedy to było? – monarcha poderwał się z tronu jak oparzony.

– Cztery dni temu, wasza wysokość.

– Przyrowadź go tutaj, ale natychmiast.

Strażnik poderwał się na równe nogi i wybiegł z sali tronowej. We władcę wstąpiło nowe życie. Rozpierająca go energia przywiodła go do okna na końcu sali. Stał zamyślony, wpatrując się w chmury mknące po osłonecznionym niebie. Wspominał czasy swojego dzieciństwa, kiedy zamiast studiować księgi, potrafił nieraz godzinami wgapić się w rozpędzone obłoki. Ależ był wtedy głupi. Odwrócił się i zaczął krążyć niecierpliwie po komnacie, nie mogąc się doczekać, co usłyszy od tego przybłądy. Być może był zwykłym szaleńcem, ale istniała możliwość, że coś wiedział, a jeżeli tak, należało to z niego wyciągnąć, choćby siłą.

Przy dziewiątym okrążeniu sali tronowej drzwi otwarły się i wszedł gwardzista, ciągnąc za ramię nieco obszarpanego i zaniedbanego mężczyznę. Władca nie bawił się w konwenanse, przypadł do włóczęgi jak obłąkany, na co strażnik natychmiast przycisnął więźnia do podłogi, zmuszając go do klęknięcia przed władcą.

– Słyszałem, że głosisz proroctwo? – Olaf spoglądał na wynędzniałego mężczyznę jak na niższą formę życia.

– Tak, to prawda – przyznał więzień słabym głosem, spoglądając z dołu na władcę.

– Podobno mówiłeś, że krew zasnuje niebo?

– To prawda.

– Cóż za brednie! – Monarcha zaśmiał się sztucznie.

– To nie są brednie. Sami zobaczycie, przyjdzie czas zła i zniszczenia pod niebem zasnutym krwią.

– Skąd to wiesz? – zapytał prędko król, a nie doczekawszy się odpowiedzi, złapał włóczęgę za poły koszuli i szarpnął agresywnie do góry, aż ich spojrzenia się spotkały. – Skąd? – powtórzył pytanie, obryzgując go śliną.

– Od pewnego kapłana.

– Kapłana? Kto zacz? – Po wymownej chwili milczenia puścił mężczyznę i skinął na strażnika. Gwardzista wyprowadził potężny cios w żebra więźnia, pod którym ugięły mu się nogi i upadł na posadzkę. – Kto?

Strażnik kopnięciem zmusił włóczęgę do wygięcia pulsującego bólem ciała frontem do króla. Olaf pochylił się nad wykrzywioną, załzawioną twarzą i szarpnąwszy za zmierzwięte włosy, powtórzył pytanie:

– Kapłan...

– Jaki kapłan? – monarcha tracił cierpliwość. Jeżeli będzie trzeba, zabije tego człowieka, byle się dowiedzieć, kto dysponuje wiedzą, której potrzebuje. – Kto ci to powiedział?!

– Wrecedarm... – wycedził mężczyzna przez zaciśnięte z bólu zęby – Gideon.

Rozdział 3

KONSULTACJE

Niebo nad Rogowem Górnym zasnuło się chmurami. Ciepłe promienie słoneczne, które dotychczas rozlewały się po brukowanych ulicach i spływały po dachach i murach budynków niczym płynne złoto, zostały brutalnie zasłonięte grubą warstwą stratusa – chmury zwiastującej deszcz. Zwykle ożywiony ruch na rynku i ulicach miasta dzisiejszego dnia jak gdyby ustał. Gdzieniedzie tylko przemykały pochłonięte zabawą dzieci, nigdy nieulegające groźbom pogody, oraz beżpańskie psy, szukające resztek jedzenia lub towarzyszy do wspólnej włóczęgi. Mieszkańcy wykonywali wszelkie prace pod zadaszeniem bądź gromadzili się w tawernach, oczekując deszczu, który stanie się pretekstem do spędzenia tam jak najwięcej czasu.

Po tylu słonecznych dniach załamanie pogody zupełnie odebrało mieszkańcom chęć do jakichkolwiek poważniejszych działań. Pozbawieni zapału do pracy, najzwyczajniej w świecie obijali się, wyczekując ulewy.

Tylko w miejskim ratuszu wrzało od chęci do działania, inwencji twórczej i burzliwych dyskusji. W gabinecie burmistrza atmosfera ekscytacji nowym projektem była zdecydowanie gęstsza niż zwiastujące ulewę chmury, co skutecznie odwróciło uwagę wszystkich tam obecnych od załamania pogody. Nad szerokim gabinetowym biurkiem Hariona garbiły się cztery postacie, zawzięcie gestykulujące i pochłonięte żywiołową dyskusją. Po jednej stronie biurka stali burmistrz Harion Goldar oraz Wrecedarm Gideon. Po przeciwnej stronie zaś – dwóch znakomitych budowniczych. Jednym z nich był Aspon Olt – niski, gruby i łysiejący inżynier, słynący ze swoich rewelacyjnych mechanizmów i nietuzinkowych rozwiązań technicznych. Drugi z mężczyzn – Egius Deral – był szczupłym, oprószonym siwizną, gładko ogolonym najznamienitszym architektem w tym rejonie Królestwa Anferu.

Wszyscy czterej pochylali się właśnie nad planami zaściełającymi cały blat mahoniowego biurka i usiłowali wzajemnie przekonać się do swoich pomysłów. Ponieważ debata bardziej zaczęła przypominać kłótnię niż burzę mózgów, burmistrz w momencie kolejnej eskalacji zarządził ciszę i zaproponował, aby zacząć od początku. Pozostali zgromadzeni, wymęczeni gestykulowaniem i niewygodną pozycją, zgodzili się bez namysłu, prostując się i oczekując na ponowne wprowadzenie do tematu przez Hariona.

– Panowie! – Goldar roztarł obolałą skroń. – Przed nami trudne zadanie. Musimy wyjść z inicjatywą i umożliwić naszym przyjaciom z Rogowa Dolnego łatwy sposób komunikacji, abyśmy mogli ponownie stworzyć jedno, niepodzielne społeczeństwo.

– Pragnąłbym również zauważyć, że czas działa na naszą niekorzyść i prace powinny ruszyć jak najszybciej – dodał kapłan, łypiąc poważnie na mężczyzn.

Budowniczowie od ponad godziny przedstawiali swoje projekty, jednak bez skutku. Zarówno burmistrz, jak i kapłan odrzucali sprawdzone od wieków rozwiązania jako zbyt tradycyjne i pozbawione polotu. Było to o tyle nieproduktywne, że nie zgłaszali w zamian żadnych propozycji, czyniąc całą burzę mózgów jedną wielką zgadywaną. Ponieważ budowniczym również zależało na czasie, Aspon Olt postanowił oddać inicjatywę w ręce krzykaczy z drugiej strony mahoniowego blatu. Potarł gęstą brodę i zapytał wprost burmistrza i wielebnego, co proponują.

Pytanie wybiło z rytmu negacji i krytyki Hariona Goldara, który zrobił wielkie oczy i otworzył usta w niemym zdziwieniu. Gideon podjął jednak rękawicę i pochwywszy leżący na biurku ołówek, nachylił się nad czystym arkuszem.

– Osobiście widzę to następująco. – Narysował dwie poziome kreski, mające przedstawiać warstwę ziemi i skał oddzielającą Rogowo Górne od Dolnego. – Powinniśmy wybudować niedaleko schodów szyb, przez który będziemy transportować ludzi na powierzchnię. – Przeciął ołówkiem warstwę gruntu, rysując dwie pionowe linie.

– W jaki sposób? Niby w jaki? Wiadrem? – zakpił Egius, pukając się w czoło.

– Tak, postawimy wielki kołowrót, jak w studni, i będziemy wyciągać ich w wiadrach – podchwycił Aspon i obaj wybuchnęli kpiącym śmiechem.

– Właściwie to myślałem o czymś na kształt żurawia. – Wrecedarm niewzruszenie obstawał przy swoim.

– Co za bzdura – oburzył się inżynier. – Taka konstrukcja musiałaby być olbrzymia. Niewykonalne – zakończył stanowczo.

– To może połączyć kilka takich systemów, aby dźwignia oddziaływała na dźwignię, przez co...

– To już jest wierutna bzdura – przerwał Deral. – Taka instalacja zajęłaby masę przestrzeni, której nie mamy do dyspozycji. Żurawie oddziałujące na żurawie... Kto to widział? Powinniśmy tylko odnowić i na nowo zabezpieczyć schody. Skoro przetrwały tyle lat, to...

– Co to to nie! – zaperzył się Goldar. – Wielebny opowiadał mi, jak mieszkańcy Rogowa Dolnego rozwinęli swoje miasto przez te wszystkie lata. Nie możemy być gorsi, pomysł wielebnego jest tym, czego nam potrzeba. Potrzebujemy innowacji!

– Innowacji? To nie jest zaprojektowanie samoubijającej maselnicy – zauważył Olt. – Tutaj chodzi o bezpieczeństwo osób, które będą korzystać z takiego transportu, a zatem bez konkretnego projektu oraz bez licznych prób i testów się nie obejdzie.

– Testy. – Harion przewrócił oczami. – Kolejny pretekst, aby odwlec w czasie realizację zadania, co?

– A jak to sobie burmistrz wyobraża? – Architekt był bliski wyjścia z siebie. – Będziemy ryzykować ludzkie życie, nie upewniwszy się uprzednio, czy system funkcjonuje bez zastrzeżeń? Już widzę tę ponowną integrację, kiedy mieszkańcy Rogowa Dolnego runą w ciemność z wysokości trzydziestu metrów.

– Debatujemy o testach, a sam system jest dla nas wciąż niewiadomą. – Inżynier stał teraz nonszalancko, podpierając się jedną ręką o blat. – Na początek proponuję system wagoników górniczych, które będą wyciągane łańcuchami pod kątem trzydziestu, czterdziestu stopni, a za jakiś czas, kto wie, może uda się nam zbudować mechanizm, który udźwignie platformę pełną ludzi.

– Jakich znowu wagoników? – Burmistrz zazgrzytał zębami z gniewu. – Przecież w tym celu należałoby wydrążyć sztolnię, położyć tory, a samo wyjście na powierzchnię znajdowałoby się poza obrębem murów miejskich!

– Prawdopodobnie tak. No i drażnienie sztolni potrwa około roku.

– Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! – Goldar po czterokroć uderzył dłonią w blat stołu. – Musimy skończyć przed zimą.

– W tym czasie możemy co najwyżej...

– Zaraz, zaraz... – Wrecedarm uniósł dłonie, uciszając wszystkich. – Ile waży ratuszowy zegar? – zwrócił się do Olt.

– Z tego, co pamiętam, około tony... Chwileczkę, jeśli wielebny chce, żebyśmy użyli go jako przeciwwagi dla tego swojego żurawia...

– Nic z tych rzeczy. Powiedz mi jednak, jak go wciągnęliście na górę?

Inżynier otworzył usta, aby opisać system bloczków i przekładni, którego wtedy użyli, ale pojawiwszy w lot, do czego zmierza kapłan, szybko zaczął analizować w głowie, jak dostosować tamten system do rozwiązania obecnego problemu.

Uwaga Wrecedarma okazała się strzałem w dziesiątkę. W ciągu kolejnej godziny udało się rozrysować projekt mechanizmu, który będzie w stanie unieść platformę mieszczącą do dziesięciu osób. Egius siedział i w skupieniu kreślił kolejne elementy, które bystry umysł Aspona na bieżąco łączył i wprawiał w wyobraźni w ruch. Burmistrz stał nad nimi pochylony, próbując wtrącić swoje trzy grosze, a Gideon, odwrócony do nich plecami, wgapił się w okno, starając się wyobrazić sobie w strugach deszczu konstrukcję wkomponowaną w panoramę miasta.

Przeniesienie całego mechanizmu z umysłu inżyniera na papier było żmudnym i męczącym procesem, a kiedy nareszcie udało się tego dokonać, burmistrz poruszył nowe zagadnienie – estetykę.

– Słucham? – zapytał z niedowierzaniem inżynier. – Czy mam przez to rozumieć, że jak do konceptu wizualnego nie będą pasować okrągłe bloczki do lin, to mamy zastosować kwadratowe? Kolejna bzdura.

– Ależ panie Olcie, proszę się liczyć ze słowami i dać mi wyjaśnić. – Burmistrz sięgnął po jedną z książek spoczywających na zakurzonych półkach, po czym otworzył ją przed obecnymi na jednej z rycin. – To jest Górska Grań – wyjaśnił.

Mężczyźni przyjrzeni się ilustracji przedstawiającej panoramę niedużego górskiego miasteczka, którego ludność trudniła się wydobywaniem. Niskie, drobne budyneczki skupione były wokół masywnej drewniano-metalowej konstrukcji, wznoszącej się ponad dachy i strzechy. Instalacja przypominała rzeźbę szalonego artysty – pozbawioną symetrii, pasujących do siebie kształtów czy jakichkolwiek ozdób.

– Nie chcę takiego paskudztwa w moim mieście – oświadczył Harion i z hukiem zamknął księgę.

– Maszyna to maszyna – zaoponował Aspon. – Ma być funkcjonalna.

– Wyjątkowo zgodzę się z burmistrzem. – Architekt ponownie przyjrzał się wykonanemu przez siebie szkicowi urządzenia. – Trzeba będzie je obudować.

– Obudować? Po kiego grzyba? Jak kogoś będzie razić w oczy, to niech nie patrzy – inżynier prychnął pogardliwie.

– Panie Olcie – odezwał się łagodnie Wrecedarm. – Trzeba będzie zabezpieczyć mechanizm przed działaniem warunków atmosferycznych.

– Otóż to – przyznał Egius. – Panie burmistrzu, wykonam wraz z panem projekt budynku. Myślę, że moglibyśmy uczynić z niego nie lada atrakcję.

– Co pan powie? – zainteresował się Goldar.

– Proponowałbym styl architektury krasnoludzkiej, czyli wykusze i wnęki, a do tego elewacja przyozdobiona mechanizmami kół zębatych i przekładni. Mosiężne elementy będą lśniły w słońcu, a z czasem pokryją się zabytkową patyną.

– Podoba mi się – Goldar poglądził się po brodzie. – Moglibyśmy nazwać ten budynek... „Domem Maszyn”.

– Albo... „Maszynownią” – zaproponował Olt zarażony entuzjastycznym pomysłem.

– Nie, coś bardziej... Może „Pałac Zębatek”? – Architekt niespokojnie bawił się ołówkiem, biedząc się nad doborem słów.

– „Serce Miasta” – stwierdził Gideon.

Zapadło milczenie. Wszyscy spojrzeli na kapłana stojącego niewzruszenie przy oknie. Nie od razu pojęli sens jego słów.

– „Serce Miasta” – powtórzył burmistrz, urzeczony tą nazwą.

– Serce. Organ pompujący krew, rozprowadzający tlen po całym organizmie: od stóp do głów. Genialne – przyznał inżynier.

– Wielebny to ma łeb nie od parady – pochwalił kapłana Deral, po czym zabrał się do projektowania symbolu, który zawisnie na elewacji.

Wszyscy ponownie pograżyli się w konkretyzowaniu wizji i urzeczywistnianiu jej na papierze za pomocą utalentowanych rąk architekta. W ruch poszły pióra i wielobarwne atramenty, które na licznych kartach zostawiały eleganckie linie i krzywizny składające się na wspólny koncept, a na palcach Egiusa – brzydkie, nieregularne plamy.

Nim nastąpiła pora obiadu, na blacie piętrzyły się zapisane i zarysowane dziesiątki projektów i wizji artystycznych. Cała czwórka była już zmęczona i marzyła o posiłku, jednak dążenie do perfekcji było silniejsze. Przy odrobinie szczęścia do wieczora byli w stanie ukończyć cały projekt budynku, dostosowując go zarówno do potrzeb maszyny, jak i do wrażliwego na estetykę wzroku burmistrza. Następnie pozostałyby już tylko korekty zależne od kosztorysu i można by zacząć planować prace przygotowawcze pod budowę.

Kiedy ustalali, czy budynek ma mieć magazyn zewnętrzny, czy wewnętrzny, w drzwiach gabinetu stała sekretarka burmistrza – pani Estera Legran.

Chrząknęła znacząco, a nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony przełożonego, zapukała głośno we framugę drzwi.

Wszyscy czterej spojrzeli na sekretarkę. Burmistrz jednak machnął ręką i nakazał, aby mu nie przeszkadzano, po czym znowu zatopił się w projekcie.

– Ale, panie burmistrzu... – Cienki głos sekretarki ponownie przykuł uwagę wszystkich. – Ma pan... gości.

Harion obrócił się ponownie, gotów złać pracownicę za nachalność, jednak kiedy przyjrzał się jej dokładniej, dostrzegł, że pani Estera jest blada jak ściana. Ściągnął brwi, zachodząc w głowę, o cóż może jej chodzić.

– Co się dzieje? – zapytał w końcu, prostując się i poprawiając swój surdut.

– Przyszli do pana... – sekretarka starała się odpowiednio dobierać słowa – ...interesanci.

– Odpraw ich, przecież widzisz, że jesteśmy zajęci. – Goldar zniecierpliwionym gestem wskazał na blat swojego biurka.

– Rzecz w tym, że... – zaczęła pani Legran, lecz w tym momencie za jej plecami pojawiło się czterech wysokich i barczystych zbrojnych, którzy bez pardonu minęli sekretarkę i weszli do gabinetu.

Mężczyźni wyglądali jak żołdacy żywcem wyjęci z jakiejś misji wojennej. Byli rośli jak góry i szerocy w ramionach, na których opinały się karmazynowe płaszcze. Wszyscy nosili takie same czarne skórznie okolone wojskowymi pasami, przy których zwisały miecze o szerokich ostrzach.

Intruzy natychmiast rozstawili się pod każdą z czterech ścian pomieszczenia, a upewniwszy się, mimo burzliwych protestów burmistrza, że pomieszczenie jest bezpieczne, skupili uwagę na obecnych. Jeden z mężczyzn, zupełnie nieporuszony groźbami Hariona, stanął odważnie oko w oko z poruszonym urzędnikiem. Wojownik był wyższy o głowę nawet od Egiusa, który z przejścia nadal trzymał w powietrzu świeżo zamoczone w atramencie pióro. Srogie spojrzenie intruza potęgowane było dodatkowo przez zupełnie białe lewe oko, przecięte paskudną blizną. Goldar, który stał teraz bezpośrednio przed żołdakiem, szybko uświadomił sobie, jaki zasięg ma ostrze miecza wiszącego u jego boku. Powściągnął emocje i wzięwszy kilka głębokich wdechów, zapytał ledwie grzecznie, kim są przybyli.

– Jestem Veilen – odezwał się ochrypłym głosem wojownik. Wskazał następnie po kolei swoich kompanów, poczynając od blondyna ze złamanym nosem, przez łysego osiłka z wytatuowanym policzkiem i kończąc na brunecie z długimi włosami spiętymi u szczytu głowy. – To są: Byas, Retten i Garion. Jesteśmy oficerami Królewskiej Gwardii Przybocznej.

– Króla Olafa Prezeusa I? – zapytał burmistrz, ściągając w zmieszaniu brwi.

– Królestwo ma jednego króla – odparł sucho Retten, wyglądając badawczo przez okno na plac rynkowy. – Dostaliśmy rozkaz znalezienia kapłana mieszkającego w tym mieście. Mamy go doprowadzić przed oblicze króla.

Wrecedarm mimowolnie skulił się w sobie. Czego król mógł od niego chcieć i skąd w ogóle wiedział o jego istnieniu? Pytania zaczęły kłębić się pod czaszką wielebnego, jednak szybko uświadomił sobie, że nie czas i miejsce na takie rozmyślenia. Zamiast tego zaczął kombinować, jak niepostrzeżenie mógłby opuścić gabinet. Zdecydowanie karkołomne przedsięwzięcie. Każdy z wojaków miał baczenie na wszystkich obecnych w pomieszczeniu. Zanim zdołałby dopaść do drzwi, które wciąż zastawiała ta głupia gęś Estera, zostałaby zapewne powalony na podłogę lub nawet przebity mieczem. Ryzyko było nieopłacalne. Mógł mieć jedynie nadzieję, że burmistrz nie wyda go zbyt szybko i będzie miał czas na zaimprovizowanie jakiegoś planu działania.

– Rozumiem – odparł Harion, przyglądając się kapłanowi kątem oka. – A w jakim celu sam król chce się widzieć z naszym kapłanem?

Gwardzista po prawej stronie burmistrza chwycił za rękojeść swojego miecza i ruszył na Goldara. Veilen jednak powstrzymał go ruchem ręki i nakazał wrócić na swoją pozycję.

– Masz tupet – podsumował pytanie burmistrza Veilen. – Po co król chce widzieć u siebie waszego kapłana, to sprawa naszego władcy i nic wam do tego. Jednak rozumiem, że takie nagłe najście mogło was zaskoczyć i zaniepokoić, wyjątkowo mogę więc zdradzić, że chodzi o najzwyczajniejsze konsultacje.

– Rozumiem – burmistrz pokiwał głową i pod pretekstem rozmyślań przeszedł się kawałek po gabinecie, przesłizgując wzrokiem po towarzyszach. Kiedy napotkał spojrzenie wielebnego, pytająco uniósł brwi. Gideon

prawie niezauważalnie skinął głową na znak, że się zgadza.

Cóż, nie miał wielu możliwości w tym momencie. Gdyby próbował uchodzić za kogo innego, któryś z mieszkańców wyznałby prawdę, świadomie lub nie. Popularność miała swoje minusy. Musiał podjąć rzuconą przez los rękawicę i spotkać się z królem.

– Skoro tak – burmistrz ponownie zatrzymał się przed oszpeconym wojownikiem – wielebny na pewno zgodzi się udać wraz z wami. – Uśmiechnął się fałszywie i odszedł na bok, aby zrobić miejsce Gideonowi, który wystąpił naprzód.

– Ja jestem tutejszym kapłanem – zakomunikował najbardziej opanowanym tonem głosu, na jaki było go stać.

– Witaj, Wrecedarmie Gideonie. – Veilen skłonił się, ku zaskoczeniu wszystkich, przed wielebny. – Jestem Veilen. Nasz czcigodny władca Olaf Prezeus I posłał nas po ciebie, gdyż ma pilne zagadnienie, które pragnęby z tobą omówić. – Wojownik wyprostował się i spojrzał twardo na kapłana. – Wyruszymy przed zachodem słońca.

– Chciałbym się najpierw dowiedzieć, ile ta cała konsultacja potrwa. Jestem zajęтым człowiekiem, a moi wierni oczekują stałej troski i opieki z mojej strony.

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie – odparł sucho gwardzista.

Wrecedarm skinął niechętnie głową na znak, że rozumie, i na nowo pogрузzył się w gonitwie myśli. Przerwał ją raptownie Harion, stwierdzając, że do zachodu słońca jeszcze kawał czasu, chętnie więc zaprosi zbrojnych na wspólny posiłek w swoim domu.

– Nie – Gideon prawie krzyknął. – Niech pan burmistrz nie robi sobie kłopotu, to w końcu moi goście. – Uśmiechnął się sztucznie, przełykając nerwowo ślinę. – Zapraszam wszystkich królewskich gwardzistów do mnie, a panowie budowniczo wie niech pójdą jeszcze z burmistrzem na wizję lokalną przyszłego placu budowy.

Goldar najwyraźniej zrozumiał, co kapłan ma na myśli, gdyż natychmiast zaaprobował pomysł.

Wszyscy wyszli z ratusza, po czym kapłan powiódł nieproszonych gości do swojego domu, obierając najmniej uczęszczane uliczki, aby nie wzbudzać zupełnie mu niepotrzebnej sensacji.

Szli w milczeniu. Gideon rozglądał się nerwowo, czy któryś z mieszkańców nie interesuje się zbytnio ich orszakiem, a jednocześnie zachodził w głowę, co wyniknie z sytuacji, w której się znalazł, i skąd w ogóle władca wie o jego istnieniu. Przecież był nic nieznaczącym dla kogokolwiek poza Rogowem Górnym i – jak się okazało – Dolnym, prostym... Rogowo Dolne... EGIDORM. Olśnienie przyszło szybciej, niż się tego spodziewał. To na pewno był Egidorm, który wyruszył w świat głosić „dobrą nowinę”, a teraz Gideonowi przyjdzie tłumaczyć się z tej „nowiny” przed samym królem.

Wrecedarm wiedział, że wyprawa Egidorma przyniesie kłopoty, ale nie miał pojęcia, że tak prędko to nastąpi.

Kapłan w zadumie powiódł zbrojnych mokrymi od deszczu uliczkami, aż dotarli do jego domostwa. Wprowadził ich do sieni i polecił zaczekać. Sam zaś ruszył na poszukiwania pani Irieny, aby uprzedzić ją o zaistniałej sytuacji. Znalazł gospodynię w kuchni, pochłoniętą doczyszczaniem bardzo osmolonego garnka.

– Pani Irieno – zaczął Gideon przyciszonym głosem – mamy gości.

– Gości? Ależ wielebny chyba widzi, że jestem w trakcie sprzątnięcia... W takim bałaganie mamy przyjmować gości? – oburzyła się kobieta.

– Pani Irieno, to nie są zwyczajni goście. To królewscy gwardziści, proszę więc obchodzić się z nimi... po królewsku – uciął dyskusję.

– Królewscy gwardziści w moim domu? Jakże to? – Gospodyni odłożyła garnek i bacznie spojrzała na wielebny.

– Będę musiał wyjechać na trochę, król chce mnie widzieć.

– Wielebny? No, no... – gospodyni z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Chodzi o jakieś konsultacje... Nieważne. W tej chwili należy nakarmić naszych gości, gdyż przebyli szmat drogi.

– Ależ naturalnie. – Kobieta wytarła mokre ręce w fartuch. – Powyciągam świeże pieczywo, wędliny, sery... Czy mam podać piwo czy wino?

– Ich wybór. – Kapłan uniósł ręce w geście umywania ich od podejmowania takich decyzji. – Ja w każdym razie niczego nie potrzebuję, może więc pani skupić się tylko na gościach.

– Naturalnie – odparła kobieta, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł Wrecedarm z uśmiechem i zaczął wycofywać się z kuchni, kiedy sobie o czymś przypomniał i raptownie zawrócił. – Jeszcze jedno, pani Irieno.

– Pościelić w gościnnym?

– To nie będzie konieczne, wyruszamy jeszcze dzisiaj – odparł zbity z tropu kapłan, jednak po chwili złapał gospodynię za ramiona i spojrzał głęboko w jej zdumione oczy. – Niech pani o niczym z nimi nie rozmawia. O niczym – powtórzył stanowczo, a kiedy kobieta kiwnęła głową na znak, że zrozumiała, opuścił kuchnię.

Po niedługiej chwili wrócił, wprowadzając do pomieszczenia czterech rosłych mężczyzn. Przedstawił im gospodynię, oświadczył, że musi się jeszcze pomodlić i spakować, po czym polecił, aby coś zjedli, a sam szybkim krokiem udał się do swojej sypialni na piętrze. Zatrzasnął za sobą drzwi, po czym usiadł na miękkiej pościeli i ponownie zatopił w zadumie.

Konsultacje. Co niby władca chciał skonsultować z kimś tak mało znaczącym jak on? Przecież nigdy nie rozmawiali, nigdy... Zaraz, zaraz... Musiał myśleć logicznie. Skoro władca dowiedział się o nim od Egidorma, to wie o nim tylko tyle, ile tamten mu opowiedział. A sam Egidorm wie tylko tyle, lub niewiele więcej, ile zasłyszał w kazaniach na nabożeństwach. Król zatem wie tyle, co przeciętny wierny.

Gideon odetchnął z ulgą. Zaczął panikować, że zostanie przyłapany na kłamstwie, ale przecież władca wie tyle, co wszyscy, i to z drugiej ręki. Nie zmienia to jednak faktu, że wielką niewiadomą są oczekiwania Prezeusa od mało znaczącego kapłana. Wzywa go do siebie osobiście, konsultacje te nie mogą być więc niczym banalnym.

Wrecedarm położył się na łóżku i wysilił swoje szare komórki do granic możliwości. Czuł się tak, jakby próbował odgadnąć przyszłość, a nie zagadkę logiczną z kilkoma niewiadomymi. Skupił się na informacjach, które już posiadał, i na życiowym doświadczeniu. Jeśli król dowiedział się o nim od Egidorma, to zapewne z powodu historii, które tamten głupiec rozpowiadał. Rozpowiadał zaś o tym, co Wrecedarm głosił na kazaniach, czyli o jedynym sensie tej religii – o zagrożeniu, które czyha na dusze wiernych. Może chce dowiedzieć się czegoś więcej o tej wierze? Może chce zostać jednym z wiernych? Nie – Gideon szybko oddalił tę myśl jako zbyt naiwną.

Olaf Prezeus I był królem, najważniejszym człowiekiem w państwie, a on z doświadczenia wiedział, że ci wysoko postawieni domagają się dowodów, zanim przyjmą coś na wiarę. Tak przecież było z burmistrzem, który zapragnął doświadczyć zagrożenia osobiście... No jasne – ołśniło kapłana – król również chce dowodu, chce to zobaczyć na własne oczy. Tak, z pewnością właśnie o to chodzi.

Gideon aż usiadł podekscytowany swoją przenikliwością. Wiele lat temu udało mu się otumanić ziołami i porządnie nastraszyć tyle ważnych osobistości Rogowa Górnego, że z królem też powinien sobie poradzić.

Zerwał się z łóżka i zaczął przegrzebywać szafę w poszukiwaniu swojego narzędzia do siania grozy – spreparowanej ze zwierzęcych szczątków maski, którą zakładał po otumanieniu tych głupców oparami ziół. Jeszcze się nie zdarzyło, aby ktoś nie uległ swoim wizjom. Piekarz Tom tak się wystraszył, że pognął co tchu podpalić swoją piekarnię, która wydała mu się wrotami dla demonów i upiórów. Naiwni głupcy.

Po kilku minutach przepokopywania ubrań i butów w szafie kapłan znalazł w końcu to, czego szukał. Dla zdrowo myślącego człowieka maska nie była wcale taka przerażająca – uszyta z czarnych i brązowych skrawków miękkiej skóry, zasłaniała całą twarz z wyjątkiem oczu. Gdzieś tam sterczały przyklejone kępki barwionego na różne kolory futra, fragmenty zwierzęcych kości lub kłów. Całość przypominała akcesorium do jakiejś ceremonii.

Kapłan sprawdził, czy futro nie zostało doszczętnie zjedzone przez mole, upewnił się, że szwy wciąż mocno trzymają, po czym schował maskę do bawełnianego woreczka, gęsto zawiązał rzemieniem i schował na samo dno swojego worka podróżnego. Następnie wyciągnął spod łóżka niewielką drewnianą szkatułkę zawierającą sproszkowane zioła i grzyby halucynogenne, które również włożył do worka.

Następny kwadrans spędził na pakowaniu reszty dobytku, który prawdopodobnie przyda mu się w podróży. Zakładał, że wędrówka potrwa maksymalnie kilka dni, więc nie będzie potrzebował wielu rzeczy, a jakby czegoś mu

zabrakło, prawdopodobnie zapewnią mu to na miejscu, to w końcu królewski dwór.

Kiedy skończył pakować worek podróżny, przypomniał sobie o burmistrzu na przyszłym placu budowy. Chciał z nim jeszcze porozmawiać na osobności, zanim opuści miasteczko. Ostrożnie podszedł do drzwi i przytknął do nich ucho, nasłuchując, jak wygląda sytuacja na dole. Cztery męskie głosy dyskutowały o czymś w akompaniamencie brzdąkania naczyń i dzwonienia sztućców.

Wybornie – pomyślał kapłan, po czym otworzył okno i wygramolił się przez nie, stawiając ostrożnie stopy na wielkiej stercie drewna na opał, zgromadzonego na zimę pod ścianą domu. Balansując ostrożnie, udało mu się zejść po śliskich od deszczu kłodach i stanąć w końcu na stabilnym gruncie. Przygarbiony udał się prędko poza obręb swojego terenu, a gdy nikt go już z domu nie mógł dostrzec, pewnym krokiem ruszył na spotkanie z burmistrzem.

Zastał Hariona stojącego przy zejściu do Rogowa Dolnego – zamyślony spoglądał w czarną otchłań, zupełnie jak Gideon tuż przed zejściem na dół. Wrecedarm podszedł do burmistrza i również wlepił wzrok w czarną pustkę.

– Czeka nas dużo pracy – stwierdził.

– Tak – przyznał Goldar. – Rad byłbym, gdyby wielebny uczestniczył w omawianiu szczegółów budowy z przedstawicielami Rogowa Dolnego.

– Oczywiście, że będę – obiecał kapłan, poruszony myślą, że proces integracji obu miast mógłby go ominąć. – Król prosi jedynie o konsultacje, myślę, że najpóźniej za tydzień będę z powrotem.

– Niech wielebny uważa na siebie. – Harion spojrział poważnie na Gideona. – Różne rzeczy opowiadają o Olafie Prezeusie I. Podobno kazał stracić swoją pierwszą żonę...

– Co pan powie? – zaniepokoił się Wrecedarm.

– Tak, to podobno jeden z tych władców, którzy nie znoszą sprzeciwu. Niech wielebny waży słowa, bo to człowiek drażliwy.

– Dziękuję za radę, ale naprawdę uważam, że wszystko pójdzie gładko i w przyszłym tygodniu będziemy omawiać szczegóły prac z przedstawicielami Rogowa Dolnego. – Kapłan uśmiechnął się optymistycznie. – A czy pan burmistrz byłby tak dobry i zapewnił pani Irienie wsparcie męskiego ramienia pod moją nieobecność? Miałem zacząć malować ponownie fasadę naszego dworku, jednak wyjazd namieszał w moich planach...

– Zlecę to komuś – obiecał burmistrz i uściśnął rękę kapłana. – Powodzenia, wielebny.

– Wierzę, że nie będzie potrzebne – roześmiał się Gideon i ruszył w drogę powrotną do domu.

Nie omieszkał odwiedzić po drodze piekarni Toma i wydębić parę bułek na drogę, co trochę poprawiło mu samopoczucie sponiewierane przez nieplanowaną podróż.

Dzierząc pachnący pieczywem woreczek, wgramolił się z powrotem po stercie drewna na parapet swojego okna i niezgrabnie przelazł przez nie do pokoju. Upewnił się, czy spakował wszystko, co będzie mu potrzebne, po czym przebrał się w ubranie podróżne, zarzucił wypchany worek na ramię i zamykając za sobą drzwi na klucz, szedł na dół do jadalni. Gdy tylko się pojawił, cztery pary oczu spojrzały na niego wyczekująco, a kiedy skinął głową na znak, że jest gotowy i mogą wyruszać, wszyscy gwardziści jak jeden mąż odłożyli trzymane naczynia i sztućce, wstali i bez słowa skierowali się do wyjścia.

Wrecedarm puścił ich przodem, a sam, widząc strapioną minę gospodyni, podszedł do niej i zapewniwszy, że na pewno niedługo wróci, pożegnał się niedbale, chcąc dać do zrozumienia, że ta sytuacja nie jest niczym niezwykłym i nie ma o co się martwić.

Kiedy chwilę później dołączył do królewskich gwardzistów stojących na podwórzu, zapytał, ile właściwie potrwa podróż do stolicy.

– Niedługo – zapewnił Veilen. – Musimy dostać się nad brzeg Plewki.

– Nad rzekę? – zdumiał się kapłan. – Tam zostawiliście konie?

– Można tak powiedzieć – odparł wymijająco wojownik, po czym zasugerował, aby opuścili miasto, nie rzucając się w oczy postronnym.

Gideon przyznał w duchu, że to bardzo dobry pomysł, poprowadził ich więc do ścieżki biegnącej pod murem.

Wojskowi przyjęli szyk kolumny, zasłaniając tym samym Wrecedarma przed ewentualnymi gapiami, którzy mogliby dostrzec go z ulicy. W niedługim czasie dotarli do bramy miasta, przez którą bardzo prędko przeszli, aż znaleźli się w końcu poza obrębem zabudowań, na wyjeżdżonym przez powozy gościńcu. Tutaj gwardziści zmienili formację, otaczając kapłana z każdej strony, jakby był jakąś nad wyraz ważną osobistością. Wrecedarm nie miał pewności, czy chcieli go w ten sposób chronić, czy spodziewali się jego ucieczki. Fakt, że znał okolice lepiej od gwardzistów, nie był jednak wystarczająco mocnym atutem, aby przebić ich liczebność i wojskowe wykształcenie, prawdopodobnie chodziło więc jednak o ochronę.

Kiedy słońce zaczęło w końcu zniżać się ku horyzontowi, a liście na drzewach nasycić się pomarańczowym blaskiem, gwardziści zeszli z drogi i ruszyli przez polanę w stronę zagajnika rosnącego wzdłuż Plewki. Bez słowa powiedli kapłana w gąszcz zarośli i przedzierając się przez młode leszczyny, dotarli w końcu nad brzeg rzeki. Nurt nie był zbyt bystry. Liście, które opadły z drzew na powierzchnię wody, leniwie przemieszczały się na północ, w stronę Rogowa Górnego. Przez gałęzie drzew przebijały się ostatnie tego dnia promienie słoneczne, tworząc nierówne pasy i plamy złotego blasku na ruchomej tafli rzeki.

Gwardziści zatrzymali się i rozejrzeli bacznie, a uznawszy najwyraźniej, że wszystko jest w porządku, zarządzili postój.

Wrecedarm usiadł zmieszany na korzeniu wyginającym się widowiskowo w stronę wiecznie wilgotnego brzegu i zaczął się zastanawiać, na co czekają. Spodziewał się wierzchowców lub nawet powozu, jednak w takim gąszczu jazda była niemożliwa. Czyżby czekali na jakąś łódź? W dole rzeki znajdowało się Rogowo Górne, musieliby więc wiosłować pod prąd, w dodatku nocą. Bez sensu.

Gideona zaczynały ogarniać wątpliwości. Kapłan przyjrzał się badawczo każdemu wojskowemu z osobna. Rzeczywiście sprawiali wrażenie, jakby na coś czekali, ale na co? Zaczynało robić się ciemno, a to raczej nie były warunki sprzyjające jakiegokolwiek formie podróży. Chyba że chcieli przemieszczać się tylko nocą, w sekrecie.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, wpatrując się w ziemię lub gąszcz roślinności, jakby mogło tam być coś ciekawego. Tylko Wrecedarm obserwował w zamyśleniu powoli gasnące, ostatnie złote smugi na tafli Plewki. Odnosił wrażenie, że kiedy zgaśnie ostatni promyk rozświetlający ciemny nurt, coś się wydarzy. Nie mylił się.

W powietrzu nad piaszczystym fragmentem brzegu Plewki pojawiła się pusta przestrzeń – zupełnie jakby ktoś usunął fragment materii w kształcie przypominającym trójkąt. Ta równoramienna wyrwa zaczęła w końcu jaśnieć białym blaskiem i zmieniać swój kształt na bardziej obły, owalny, aż w końcu okrągli.

Wrecedarm wstał zdumiony, nie dowierzając własnym oczom. Z otwartymi ustami przyglądał się temu zjawisku. Rozejrzał się po twarzach pozostałych, chcąc się upewnić, że nie tylko on to widzi. Gwardziści również wpatrywali się w rosnącą teraz plamę białego światła, które paradoksalnie niczego nie oświetlało, jednak w przeciwieństwie do kapłana nie zdradzali ekscytacji zjawiskiem. Wyglądało na to, że zetknęli się z nim, i to nieraz.

Kiedy jasna plama utworzyła pełne koło, dotykając krawędzią piaszczystego brzegu, a dotąd rozmyte kontury się wyostrzyły, zbrojni podnieśli się z miejsc i powoli podeszli do fenomenu. Kiedy tak stali, najwyraźniej czekając na coś jeszcze, świetliste koło płynnie zmieniło barwę z bieli na soczystą zieleń, a jego powierzchnia zaczęła delikatnie falować niczym zmacona wiatrem powierzchnia Plewki.

Veilen podszedł do oniemiałego Gideona i poinstruował go, w jakiej kolejności przejdą przez portal. Kapłan, z wciąż rozchyłonymi ze zdumienia ustami, kiwał niemrawo głową, wpatrując się tępo, niczym zahipnotyzowany, w falującą zieleń przed nim. Garion miał wejść pierwszy, następnie Veilen z Wrecedarmem, a na końcu Retten z Byasem. Wojownik uprzedził kapłana, że po drugiej stronie „tafli przestrzeni”, jak nazwał zieloną powierzchnię portalu, czekają królewscy kusznicy, kapłan nie powinien więc wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, a ręce musi trzymać splecione na karku, aż przejście zostanie za nimi zamknięte.

Gideon zrozumiał, co mówi do niego Veilen, mimo że zupełnie niczego nie pojmował. Czuł się tak, jakby miał skoczyć z krawędzi urwiska w mrok. Nie wiedział, co tak naprawdę czeka go po drugiej stronie tafli ani czy w ogóle coś tam jest. Ogarnął go strach, miał przemożną chęć uciec z powrotem do domu i zamknąć się w swoim gabinecie na klucz. Zaczął nawet rozważać taką możliwość, rozglądając się, czy ktoś zwraca na niego uwagę, jednak kiedy

wojownik z długimi włosami wkroczył w portal, było już za późno. Retten i Byas natychmiast pojawili się za plecami kapłana, a Veilen, stojąc przy portalu, patrzył na niego wyczekująco.

Wrecedarm wziął kilka głębokich wdechów, starając się uspokoić, jednak strach tak go sparaliżował, że nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Z pomocą przyszedł jeden ze zbrojnych stojących za Gideonem, który zniecierpliwiony, pchnął kapłana mocno w plecy. Wrecedarm zatoczył się w przód i „zachęcony” przez gwardzistę, ostrożnym krokiem, zupełnie jakby stąpał po kruchym lodzie, skierował się w stronę Veilena. „Klecho” – usłyszał za plecami, a kiedy się obrócił, zobaczył mknący w jego stronę w powietrzu worek, który zostawił oparty o korzeń. Chwycił go desperacko i zarzuciwszy na ramię, wziął ostatni głęboki oddech.

– Nie ma powodu do niepokoju – zapewnił go Veilen, splatając ręce na karku. – To jak przejście przez pajęczynę – wyjaśnił, siląc się na ciepły ton głosu.

Kapłan pokiwał automatycznie głową i również splótł na karku drżące i spocone dłonie. Zrównał się z wojownikiem, a kiedy zbliżyli się na wyciągnięcie ręki do tafli przestrzeni, spodziewając się zimna albo nawet bólu, zacisnął zęby i powieki. Kolejny krok, który uczynił, wydawał mu się ostatnim. Nic bardziej mylnego. To, co poczuł, rzeczywiście najłatwiej było porównać z przejściem przez pajęczynę. Coś chłodnego oblepiło jego całe ciało, lecz już po chwili uczucie zniknęło i zastąpiła je świadomość zmiany miejsca. Poczuł chłodniejsze, lekko zatęchłe powietrze i twardą powierzchnię pod stopami. To zdecydowanie nie był już brzeg Plewki ani nawet otwarta przestrzeń pod gołym niebem.

Gideon otworzył powoli oczy. Naprzeciwko niego stało w półokręgu sześciu kuszników z bronią wycelowaną prosto w portal, tak jak uprzedzał Veilen. On sam stał teraz obok Gariona z boku i patrzył wyczekująco na kapłana. Wrecedarm w mig pojął, o co mu chodzi, i nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, zajął miejsce obok gwardzistów. Rozejrzał się po komnacie, w której się znaleźli, i dopiero teraz dostrzegł za plecami królewskich kuszników coś na kształt niedużego ołtarza, przy którym stała na oko czterdziestoletnia kobieta o długich czarnych, mocno poprzetykanych siwizną włosach. Między jej wyciągniętymi do przodu dłońmi w powietrzu wirował bardzo szybko jakiś przedmiot, jarząc się takim samym białym światłem, jakie dostrzegł nad brzegiem rzeki. Kobieta zdawała się pochłonięta bez reszty wirującym artefaktem, nie odrywając od niego skoncentrowanego spojrzenia.

Kiedy kapłan przypatrzył się jej wystarczająco dokładnie, jego wzrok spoczął ponownie na tafli portalu. Chciał zobaczyć, jak Byas i Retten z niego wychodzą. Niestety, spóźnił się – zbrojni już podążali w ich kierunku, aby stanąć w szeregu.

Kiedy tylko zajęli swoje miejsca, jeden z kuszników podszedł do kobiety i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu, dając tym samym znać, że już wszyscy znaleźli się po tej stronie portalu. Czarodziejka, którą niewątpliwie była, zmieniła ułożenie dłoni, co spowodowało, że tafla przestrzeni ponownie przybrała białą barwę, a przedmiot wirujący z zawrotną prędkością między jej dłońmi zaczął wyraźnie zwalniać. Wraz ze spadkiem prędkości wirującego artefaktu malało jasne koło portalu. Kapłan obserwował, jak niknie w oczach, kurczy się do rozmiaru tytkwy, po czym przyjmuje trójkątny kształt, zostawia po sobie dziurę w przestrzeni i zupełnie znika, jakby nigdy go tam nie było. Kiedy spojrzął z powrotem na czarodziejkę, dostrzegł lewitującą między jej dłońmi niedużą kamienną piramidkę, której ścianki były pokryte nieznanymi mu, dziwnymi symbolami. Kobieta ujęła artefakt w ręce, po czym ostrożnie położyła na aksamitnym materiale rozłożonym na ołtarzu. Skrupulatnie owinęła piramidkę aksamitem i odstawiła na jedną z półek regału stojącego za jej plecami.

– Możesz już opuścić ręce – poinstruował Veilen, patrząc na Gideona rozbawionym wzrokiem. – Widzę, że nieczęsto masz styczność z magią?

– Jestem kapłanem, nie praktykuję magii, lecz... metafizykę – odparł zakłopotany i prędko opuścił ręce.

Obejrzał się ponownie za kobietą, jednak nie było już po niej śladu, zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu. Kusznicy kierowali się właśnie w stronę jedynych drzwi, a czwórka gwardzistów stała nieporuszona, najwyraźniej znowu na coś czekając.

Ponowne oczekiwanie na nieznanego Wrecedarm planował wykorzystać, aby przyjrzeć się ołtarzowi i znajdującemu się za nim kredensowi, zastawionemu przeróżnymi dziwnie wyglądającymi przedmiotami. Oprócz kamiennej piramidki dostrzegł tam również nieduży przedmiot bardzo przypominający mosiężną wagę, coś na kształt bardzo

grubej lupy, przedziwne kamienne jajko spoczywające na drewnianej podstawce oraz zagadkowo wyglądający kryształ, mieniący się wszystkimi możliwymi kolorami. Nim jednak zdążył ruszyć się z miejsca, drzwi otwarły się z łoskotem i do pomieszczenia wszedł drobny mężczyzna odziany w obcisły wielobarwny strój, w którym uwagę przyciągała zwłaszcza wysoka czapka podzielona na cztery segmenty, sterzące w różnych kierunkach.

Błazen królewski skłonił się przesadnie dworsko i pokiwał wesoło głową, wprawiając w ruch dzwoneczki przytwierdzone do każdego z kolorowych segmentów swojej czapki.

– Witajcie, zacni gwardziści. – Wyszczerył zęby, przez co jego umalowana twarz wyglądała w tym momencie bardziej przerażająco niż zabawnie. – Król spodziewał się waszego przybycia.

– Co ty nie powiesz? – zapytał kpiącym tonem Byas.

– Prowadź, błaznie – polecił Veilen i pociągnął za sobą kapłana, który przypatrywał się zaintrygowany chyżym podskokom kolorowo odzianego, niedużego człowieczka przed nimi.

Gideon podążał wraz z Veilenem za błaznującym dworzaniem i pewnie nie odrywałby wzroku od jego wygłupów i akrobacji, gdyby nie spostrzegł bogato wyszywanych gobelinów zdobiących kamienne ściany zamku. Każda z tkanin przedstawiała inną scenę, ale wszystkie były ściśle powiązane z historią stolicy. Kapłan podziwiał sztukę, z jakim przedstawiono koronację pierwszego króla – Abveliusa, dynamikę bitwy w trakcie oblężenia zamku, proces budowy kolejnych wież w stolicy, bajecznie przedstawioną zawartość królewskiego skarbcza oraz wiele innych scen, których znaczenia nie pojmował. Domyślał się za to wartości każdego gobelinu, głównie na podstawie złotych i srebrnych nici, które zostały weń wplecione.

Zanim zdążył się zorientować, cała szóstka stanęła przed masywnymi drzwiami do sali tronowej. Błazen odwrócił się do nich rozbawiony tym faktem i rozanielonym głosem oświadczył, że władca czeka za drzwiami, zupełnie jakby gwardziści byli tutaj po raz pierwszy w życiu. Veilen zgromił go wzrokiem i nakazał zaanonsować ich przybycie. Najwyraźniej pragnął mieć już za sobą rozmowę z królem, co trochę kapłana zaskoczyło, ale tłumaczył to sobie nawalaniem innych obowiązków mężczyźni.

Po tym, jak kolorowy człowieczek zniknął za drzwiami, Veilen poinstruował Wrecedarma, w jakiej kolejności będą iść, polecając, aby nie odzywał się nieproszone i zwięźle odpowiadał na królewskie pytania.

Gideona ponownie zaczęło ogarniać zdenerwowanie. Dotąd zaafierowany był samą podróżą i zamkiem, nie zastanawiał się więc nad tym, jak zostanie przyjęty przez władcę, ale król sam po niego posłał, powinien być zatem traktowany jak gość. Królewski gość. Ta myśl dodała mu nieco otuchy. Wyprostował się i kiedy przyszedł czas, ruszył śmiałym krokiem za Veilenem.

Sala tronowa wydała się kapłanowi ogromna – prawdopodobnie była największym pomieszczeniem, w jakim kiedykolwiek się znalazł. Zatrzymał się obok gwardzisty przed marmurowymi schodkami prowadzącymi na podwyższenie, gdzie na tronach siedziała królewska para. Przyjrzał się krótko surowemu wyrazowi twarzy władcy, nim opadł na jedno kolano wraz z oficerem, który pochyliwszy pokornie głowę, zameldował o ukończeniu misji powodzeniem i sprowadzeniu kapłana z Rogowa Górnego – Wrecedarma Gideona.

Nastąpiła krótka cisza, po czym Veilen polecił szeptem, aby kapłan wstał. Wrecedarm wykonał polecenie i spojrzał zaintrygowany na władcę. Dotąd widywał jego podobiznę jedynie na królewskiej walucie. Na żywo zdawał się wyglądać dużo dostojniej.

Król Olaf przyjrzał się badawczo kapłanowi od stóp do głów. Odprawił wszystkich gwardzistów i ruchem ręki polecił mu stanąć bliżej. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za gwardzistami, władca spojrzał prosto w niepewne oczy Gideona i władczym głosem kazał mu się przedstawić.

– Wrecedarm Gideon. Jestem kapłanem z Rogowa Górnego – powtórzył informacje, które wcześniej przekazał Veilen.

Władca przez chwilę milczał, jakby medytował nad czymś istotnym, po czym odezwał się ponownie:

– Słyszałem o tobie od pewnego włóczęgi, który pojawił się w Soblevie. Opowiadał różne rzeczy, które pragnę zweryfikować, nim przejdziemy do meritum.

– Oczywiście, panie – odparł Gideon, jednak przypomniał sobie polecenie Veilena, natychmiast ugryzł się w język.

– Jesteś bardzo poważaną osobistością w Rogowie Górnym, czyż nie? – zapytał Olaf.

– Jestem tamtejszym kapłanem i przewodnikiem duchowym moich wiernych, którzy w ramach wdzięczności otaczają mnie szacunkiem i poważaniem – zgrabnie odrzekł Wrecedarm.

– Na czym opiera się wasza wiara?

– Modlimy się i...

– Nie, nie o to mi chodzi. – Król zastanowił się przez chwilę. – Kim jest wasz bóg?

– Nasz bóg? Cóż... Stworzył wszystko, co nas otacza, również nas samych. Opiekuje się nami i prowadzi do celu, który dla nas wyznaczył.

– Stworzył wszystko? – upewnił się Prezeus.

– Tak.

– A co z innymi bogami, którzy również uchodzą za kreatorów świata?

– Nasza religia uznaje ich za bogów fałszywych, którzy próbują podszywać się pod naszego, aby zyskać sobie tym samym uznanie ludzi.

– Ciekawe... – Władca potarł podbródek. – Rozumiem, że ty jako kapłan masz kontakt z tym waszym bogiem?

– Zdarza się, że przemawia do mnie we śnie, kiedy chce mi przekazać coś ważnego. Czasami uprzedza mnie o nadchodzącej suszy, wyjątkowo groźnej burzy czy nagłej śmierci kogoś z mieszkańców.

– Mieszkańców Rogowa Górnego? Czyli to raczej regionalny bóg?

– W pewnym sensie tak. – Wrecedarm zaangażował całą swoją uwagę w wymyślanie odpowiedzi na królewskie nieszablone pytania, gdyż nie było w tej rozmowie miejsca na pomyłkę. – Nie jestem jedynym kapłanem, rzecz jasna, ale nie mam pojęcia, gdzie szukać innych duchownych czy nawet wiernych. Nasz bóg, przez moją osobę, opiekuje się społecznością naszego miasteczka. Najwyraźniej nie chce mnie zanadto obciążać odpowiedzialnością za większą liczbę dusz.

– Nie masz więc obowiązku nawracania niewiernych? – dopytywał król.

– Nie. Mam za to obowiązek przyjęcia do naszej duchowej społeczności każdego, kto wyrazi chęć, aby do niej przynależeć.

– Jak w takim razie wytłumaczysz mi fenomen włóczęgi, który agitował moich poddanych? Nie przybył tutaj na twoje polecenie? – Władca spojrzał surowo na poddenerwowanego kapłana.

– Nie, mój królu. Tym, co go tutaj przywiodło, był sam bóg albo najwyklesza głupota.

– Bóg powiadasz? Co przez to rozumiesz?

– Następstwem jego pojawienia się w stolicy jest moje przybycie i rozmowa z tobą, głową całego państwa. Być może w ten sposób bóg chce dać wszystkim szansę na nawrócenie się.

– Ciekawa interpretacja. – Olaf uśmiechnął się kpiąco.

– Niezbadane są zamiary Najwyższego.

– Kapłanie, zanim poznasz cel, dla którego cię tutaj sprowadziłem, chciałbym jeszcze dowiedzieć się czegoś o rzekomych wizjach zła, które nadciąga.

– Wizjach? – Gideon udawał, że nie za bardzo rozumie, o co chodzi władcy.

– Zaiste. Włóczęga opowiadał, że nadciąga wielkie zło, które chce wszystko zniszczyć. Podobno wielu szanowanych mieszkańców waszego miasteczka doświadczyło tego zła przez wizje, które im objawiono.

– Ach tak. Rzeczywiście, bóg wybiera czasem kogoś z wiernych, aby podzielić się z nim wiedzą o zagładzie, która nadciąga.

– Czy ty również doświadczyłeś takiej wizji?

– Oczywiście, doświadczyłem jej pierwszy.

– Czy mógłbyś mi to w jakiś sposób zobrazować?

– Wasza wysokość chce doświadczyć takiej wizji? – Gideon zacierał w myślach ręce, kombinując, jakie może odnieść korzyści z nawrócenia się samego króla.

– Nie – odparł krótko Prezeus I. – Chcę jedynie, abyś mi opowiedział, co ujrzałeś. Jakie zło rzekomo na nas czyha?

– Ach tak, co widziałem? – Głos kapłana nie krył rozczarowania. – Bóg objawił mi zło, które nadciąga. Wielka zagłada, której...

– Jak wyglądała? – przerwał mu król, kryjąc zniecierpliwienie pod niewzruszoną maską.

– Cóż, w mojej wizji całe niebo zasnuło się krwią po sam horyzont. Towarzyszyło temu zmartwychwstanie wszystkich pogrzebanych, którzy upiorną armią ruszyli przed siebie ściskając zniszczenie i śmierć. A kto umarł, przyłączył się do reszty upiorów, by wiecznie trwać w okowach zła, które ogarnie cały świat. Bóg przekazał mi, abym się nie lękał, gdyż wybrał mnie osobiście na obrońcę mojej społeczności wiernych. Zapewnił mnie, że silny wiarą powstrzymam falę destrukcji i przywrócę światło tam, gdzie zapanował mrok.

– Zatem masz być zbawcą swoich wiernych?

– Tak zostało mi to przekazane w wizji. – Wrecedarm skromnie spuścił głowę. – Nie śmiem dyskutować z bogiem.

– Oczywiście. – Olaf uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Myślę, że już zaspokoilem swoją ciekawość i możemy w końcu poruszyć temat, który sprawił, że poprosiłem cię o przybycie, wielebny.

Na prośbę mi to raczej nie wyglądało – odparł w duchu kapłan, po czym uśmiechnął się do króla i zapytał, cóż takiego zaprzęta królewskie myśli, że potrzebuje konsultacji z kimś tak mało znaczącym jak on.

– Myśli? – Król wstał z tronu i ruszył po schodkach do kapłana. – Coś raczej zaprzęta moje oczy – odparł zagadkowo i poprowadził zbitego z tropu Wrecedarma wzdłuż sali tronowej.

Wszystkie okna były szczelnie otulone grubymi zasłonami, przy jednym zaś stało dziwne urządzenie, składające się z trójnogiego statywu i metalowej błyszczącej rury, która znikła między bogato zdobionymi kurtynami.

– Chciałbym coś pokazać wielebnemu – poinformował Olaf. – Pragnąłbym się dowiedzieć, co o tym sądzisz.

Gideon przyglądał się przez chwilę znajomo wyglądającemu urządzeniu, a kiedy w końcu uświadomił sobie, że jest to teleskop, o którym niegdyś czytał, spojrział zdumiony na króla.

– Ależ panie, jestem kapłanem, nie astronomem.

– Mam tego świadomość – odparł sucho Prezeus I.

– Nie znam się ani na gwiazdach, ani na zjawiskach atmosferycznych.

– To nieistotne. – Sztuczny uśmiech spełził z twarzy władcy i zastąpił go ślepy upór. – Masz spojrzeć przez ten teleskop – rozkazał, patrząc surowo na kapłana.

Gideon, chcąc nie chcąc, musiał spełnić rozkaz króla. Przypomniał sobie słowa burmistrza, wolał więc nie drażnić władcy. Uśmiechnął się życzliwie do Olafa i ochotczo podszedł do teleskopu. Koniec tuby niknął za zasłonami, nie miał więc pojęcia, na co może być skierowany. Nachylił się i chwyciwszy dłonią tubus, przyłożył oko do okularu.

W obiektywie znajdował się obraz odległych gór, zza których dało się dostrzec krwawo-czerwoną lunę rozpostartą na nieboskłonie, niczym rozlane wino. Kapłan analizował zjawisko przez kilka chwil, jednak nie posiadając nawet podstawowej wiedzy z zakresu zjawisk meteorologiczno-astronomicznych, postanowił przypisać je do jedynego, jakie znał.

– To jest jakaś zorza, prawda? – zapytał fachowo.

– Zorza? – Głos władcy brzmiał szczerym rozbawieniem. – Zorza...

Gideon poczuł szarpnięcie i nim zdążył się zorientować, stał twarzą w twarz ze wzburzonym władcą, który trzymał go teraz mocno za poły kubraka.

– Słuchaj no, klecho! – Prezeus cedził słowa przez zaciśnięte z gniewu zęby. – Nie mam ani czasu, ani ochoty przekomarzać się z tobą, zrozumiałeś!? Sam przed chwilą opowiadałeś o niebie zasnutym krwią, o czerwonym nieboskłonie, który zapoczątkuje tę bujdę, w którą wierzysz!

– Panie mój. – Królowa Virejna pojawiła się nie wiadomo skąd i położywszy rękę na ramieniu króla, starała się go uspokoić. – Chyba zapomniałeś o szacunku należnym naszemu gościowi? – zapytała lodowato.

Władca zgromił ją spojrzeniem, które dzielnie wytrzymała, po czym puścił kapłana i niczym dziki zwierzę w klatce zaczął nerwowo przechadzać się po sali tronowej.

Wrecedarm podziękował królowej skinieniem głowy i prędko zaczął kombinować, jak wyjść cało z tej pułapki. Niemal słychać było grzechot trybików w jego umyśle, który pracował teraz ze zdwojoną szybkością.

– Panie mój – odezwał się w końcu – bardzom nierad, że moje słowa sprowokowały cię do gniewu, ale widok, który mi pokazałeś, nie może być przepowiednią, którą mi objawiono.

– A to dlaczego? – Król zatrzymał się nagle i spojrzał wyzywająco na struchlałego kapłana.

– Po pierwsze, wasza wysokość, gdyby zło zaczęło już zalewać świat, zostałbym o tym uprzedzony we śnie, a po drugie...

– Może twój bóg zagapił się i wypadłeś mu z pamięci? – Olaf zadrwił bezlitośnie.

– A po drugie – kontynuował śmiało Gideon – pod krwawym niebem miały maszerować zastępy upiorów i ożywionych trupów – dokończył z satysfakcją.

Zapadła cisza. Wargi króla drżały niecierpliwie, aby się otworzyć i zgnieść brutalnymi słowami argumentację, którą przedstawił Wrecedarm. Umysł mu na to jednak nie pozwalał, przynajmniej słuszność kapłanowi. Stali tak w milczeniu: władca – starając się usilnie wynaleźć kontrargument, kapłan – czekając z duszą na ramieniu, czy logiczny wywód myślowy wystarczy, aby powstrzymać bestię, która czaiła się w Prezeusie, i królowa – gotowa stłumić kolejny wybuch agresji swojego małżonka.

– Wasza wysokość... – Ton głosu Gideona był najbardziej uniżony, jak tylko potrafił. – Zapewniam cię, że to jedynie zbieg okoliczności. To zjawisko atmosferyczne nie ma nic wspólnego z przepowiednią o...

Jego wywód przerwał hałas dobiegający zza drzwi sali tronowej. Dało się słyszeć przytłumione krzyki i odgłosy szamotaniny. Nim ktokolwiek zdążył zorientować się w sytuacji, odrzwia rozwarły się pod naporem dwóch strażników, którzy wtoczyli się do komnaty tronowej niczym pijani. Za nimi swobodnym krokiem próg przestąpił niepozorny mężczyzna z gęstą brodą i ze zmierzwionymi kruczoczarnymi włosami. Zignorował groźby zbrojnych i skierował kroki prosto w stronę władcy. Nim reszta straży zdążyła dopaść do awanturnika, król rozkazał, aby się wstrzymali.

Mężczyzna pokonał szerokość sali żwawym krokiem, a kiedy stanął tuż przed dumnie stojącym Prezeusem, opadł na jedno kolano.

– Nareszcie się pojawiłeś – zagaił władca ze słyszalną pretensją w głosie. – Z czym przybywasz?

– Panie mój – głos wywiadowcy był głęboki i chrapliwy – wyruszyłem, tak jak mi poleciłeś, w stronę czerwonej łuny. Pokonałem Dolinę Ciszy oraz Góry Szare, docierając aż do granicy królestwa. Łuna, którą widziałeś, roztacza się nad Jałową Rozpadliną.

– Jałowa Rozpadlina – wymamrotał król Olaf. – Dostrzegłeś coś niezwykłego?

– Panie mój... – Głos wywiadowcy zadrzał, a oczy rozszerzyły się ze strachu na samo wspomnienie widoku, który zobaczyły. – Widziałem całe zastępy sunące w naszym kierunku... Nieumarłe, ale i nieżywe postacie, dzierżące antyczne rodzaje broni, odziane w przegniłe szmaty i przerdzewiałe pancerze, zjawy i upiory zataczające kręgi i formujące się w falangi. Z Jałowej Rozpadliny nadciąga armia żywych trupów – zakończył meldunek twardo, po wojskowemu.

Król odwrócił powoli wzrok na kapłana, który cały zeszywniał, jakby sam był martwy. Trybiki w jego umyśle stanęły, nie podejmując już żadnego wysiłku w tak absurdalnej sytuacji. Gideon patrzył tępo na wywiadowcę i trwałby tak zapewne całą wieczność, gdyby nie uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Jakaś resztką zdrowego rozsądku nakłoniła go, aby wykonał wdech, co natychmiast pobudziło jego ciało do działania. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast ogarnęła go nagła słabość, nogi ugięły się pod nim, a z ust wydobyło się tylko ciche:

– To musi być pomyłka.

– Mnie to nie wygląda na pomyłkę – warknął władca.

– Nie... To musi być jakiś żart... – Wrecedarm wciąż próbował pozbierać myśli.

– Jaki żart? – zapytał opryskliwie władca. – Nie dociera do ciebie, klecho? Wszystko się spełniło!

Kapłan spojrział na królową, jakby szukał w niej ratunku lub wsparcia, lecz ona również wyglądała na szokowaną i przyglądała mu się z fascynacją i ze strachem.

Gideon poczuł nagły impuls, aby wyznać prawdę, uciec od odpowiedzialności za swoje słowa. Co to by jednak zmieniło? Jeśli jakimś cudem udałoby mu się przekonać królewską parę, że tak naprawdę wszystko zmyślił, że nie ma żadnego boga, żadnej przepowiedni, że to tylko niespotykany zbieg okoliczności... Niechybnie zostałyby stracony, być może nawet natychmiast. Jeżeli zaś nie uwierzą jego wyznaniom, uznają, że czyni to ze strachu i z pewnością będzie próbował zbiec, a wtedy zrobią wszystko, co będą mogli, aby mu to uniemożliwić. Jedynym wyjściem jest subtelne kontynuowanie tego przedstawienia, do czasu, aż nadarzy się okazja do ucieczki.

Trybiki w głowie Wrecedarma ruszyły z oporem. Odzyskał władzę nad swoim umysłem i mógł ponownie planować kolejne posunięcia.

– To wszystko – zaczął nieśmiało, jednak szybko włą odpowiedni ton doświadczenia i wiedzy w swój głos – dzieje się za szybko, za wcześnie. Nie było żadnych znaków.

– Nie zmienia to faktu, że się dzieje – odparł dobitnie król. – Ponieważ jesteś, klecho, na razie jedyną osobą, która może temu zaradzić i odeprzeć armię, masz się zabrać do roboty! – Ton głosu władcy nie znosił sprzeciwu.

– To oczywiście – odparł hardo Gideon. – Jednak jestem jedynie sługą, narzędziem w rękach jedynego boga. To od niego zależy, jak potoczą się nasze losy.

– Ode mnie zaś zależy, czy twoja głowa nie potoczy się dalej niż reszta ciała – zagroził król Olaf Prezeus I. – Miej to na względzie, gdy będziesz gawędził ze swoim bogiem.

– Muszę spędzić noc na modlitwach, żeby dowiedzieć się, co mam czynić dalej – odparł Wrecedarm, udając, że makabryczne groźby władcy nie robią na nim wrażenia. – Jutro rano z pewnością będę znał pełen wymiar tego... wiekopomnego wydarzenia – zakończył patetycznie z delikatnym ukłonem.

– Obyś się nie mylił! – Władca jednoznacznie zaakcentował swoje słowa, po czym wezwał strażę i rozkazał odprowadzić kapłana do komnaty w drugiej wieży oraz dopilnować, aby nic złego mu się nie przydarzyło.

Gideon tym razem zupełnie nie zwracał uwagi na bogaty wystrój zamku. Jego umysł zaprzątnięty był nowo powstałą sytuacją, z której musiał się wykaraskać, i to nie przebiegając w środkach. Ocknął się z zamyślenia dopiero w chwili, kiedy strażę wprowadziły go do komnaty, w której miał spędzić noc, i zatrzasnęły za nim drzwi. Dźwięk przekręcanego w zamku klucza przypieczętował jego los.

Kapłan rozejrzał się po obszernej komnacie, a ujrawszy łóżko, automatycznie do niego podszedł, aby usiąść. Swój worek, pełen zbędnych gadżetów, położył obok na podłodze. Sam zaś umościł się na miękkim materacu i oparłszy głowę o spoczone dłonie, trwał tak, czekając na pomysł, który wyłoni się z wszechobecnego zamętu jego umysłu.

Musiał działać. Nie potrafił przewidzieć, co przyniesie kolejny dzień, jednak doskonale wiedział, że nie będzie nad tym panował. Żałował, że nie został w Rogowie Dolnym, gdzie nikt nigdy by go nie znalazł i miałby święty spokój. Teraz musiał udobruchać króla i obiecać mu gruszki na wierzbie z miną najlepszego hazardzisty. Tak, to, co robił, najbardziej zbliżone było do hazardu.

Wyprostował się i wziął głęboki oddech. Najwyraźniej przyszedł już czas, aby opuścić ciepłe pielesze, w jakich żył przez te wszystkie lata. Trzeba było uciekać. Tylko dokąd? Na pewno nie na wschód. Wciąż nie dowierzał nowinie, którą przyniósł tamten człowiek, jednak jego zachowanie mówiło samo za siebie. Jeżeli to, co opowiedział, było prawdą, miał do czynienia z najbardziej przerażającym zbiegiem okoliczności, jakiego w życiu doświadczył. Armia żywych trupów nadciąga, aby zniszczyć królestwo. Dokąd zatem miałby uciekać? Zastanowił się przez moment. Za morze. Słyszał o wyspach na północnym zachodzie, dokąd uchodzili liczni przestępcy i zdrajcy. Rozległa sieć jaskiń i gęste lasy uniemożliwiały znalezienie kogokolwiek z poszukiwanych. Zasyje się zatem na kilka lat w głuszy, a kiedy wszystko przycichnie, wróci do królestwa, jeżeli będzie do czego wracać, i przekradnie się na południe, do sąsiedniego państwa.

Zatem postanowione – stwierdził w duchu i otrząsnąwszy się z szoku spowodowanego niezwykle nowiną, zaczął kombinować, czy byłby w stanie dać nogę już teraz.

Półtorej godziny intensywnych rozmyślań spełzło na niczym. Ucieczka przez okno nie wchodziła w rachubę. Znajdowało się zdecydowanie zbyt wysoko nad ziemią. Nawet gdyby uplótł linę ze wszystkiego, czym dysponował, nie starczyłoby do pokonania połowy drogi w dół. Gdyby był młodszy, próbowałby zapewne zejść po ścianie, chwytając się występow i zagłębień w murze. Stracone lata jednak nigdy już nie powrócą.

Drzwi zostały zaryglowane z zewnątrz, a przytłumione głosy strażników wskazywały, że pełnili wartę na korytarzu, gdyby więc sforsował zamek, zostałby pojmany.

Mógłby spróbować jeszcze innej sztuczki, o której czytał w jednej z książek przygodowych, a mianowicie wyjść przez okno na dach, zostawiając za sobą ślady sugerujące, że uciekł oknem na dół, a kiedy strażnicy zwabieni hałasem rzuciliby się w pogoń po schodach na dół, on spokojnie ulotniłby się za ich plecami. Jednak na takie akrobacje tym bardziej był za stary.

Jedynym racjonalnym i możliwym do zrealizowania rozwiązaniem było przekonanie władcy, że tylko on jest w stanie pokonać upiorną armię i wybawić jego królestwo, a kiedy opuści zamek, aby to uczynić, słuch po nim zaginie.

Póki co musiał przemyśleć w jak najdrobniejszych szczegółach, co opowie jutro władcy i w jaki sposób nakłoni go do powierzenia mu misji ocalenia królestwa. To jedyny moment, kiedy będzie mógł przejąć inicjatywę, od tego bowiem, co powie królowi, będzie zależało, co się z nim jutro stanie.

Wycieńczony psychicznie Wrecedarm Gideon położył się na łóżku i zaczął przygotowywać misterny plan zmanipulowania władcy.

Rozdział 4

UCIECZKA

Noc nie była dla kapłana porą wypoczynku. Prawdopodobnie położył się spać ostatni na zamku, a obudzono go niedługo po tym, jak wstał sam władca, czyli przed wschodem słońca. Dwóch strażników bezceremonialnie wpadło do komnaty Gideona i siłą zwlekło go z łóżka, powtarzając uporczywie, że król już czeka.

Sądził, że zaprowadzą go do sali tronowej, jednak zbrojni obrali inną drogę, a przynajmniej tak mu się wydawało, gdyż otumaniony brakiem snu umysł kapłana i co chwilę opadające powieki wprowadzały w jego świadomości dużo zamieszania. Po dłuższym marszu, kiedy przeszli w poprzek korytarza z gobelinami, stwierdził, że jednak ma rację.

W końcu, po wielu wirażach i wałęsaniu się ciasnymi przejściami, stanęli przed niepozornymi drewnianymi drzwiami, które, jak Wrecedarm wywnioskował z gestykulacji jednego ze strażników, miał przekroczyć. Poprawił zatem wymięte ubranie, nieco wygładził nieogarnięte włosy i spoliczkowawszy się parę razy, aby się rozbudzić, wszedł pewnym krokiem do komnaty.

Pomieszczenie okazało się niedużą jadalnią. Przy stole usytuowanym pod szerokim oknem siedziała królewska para zajęta śniadaniem. Stół nie był specjalnie duży, ugiął się więc wypełniony po brzegi najrozmaitszymi potrawami.

Centralne miejsce na blacie zajmowały srebrne półmiski pełne aromatycznie przyprawionych wędlin oraz koszyki ze świeżym, jeszcze ciepłym pieczywem: okrągłymi bochnami i miękkimi trójkątnymi bułeczkami. Wraz z nimi w koszykach spoczywały solidne kawałki najrozmaitszych żółtych serów, otulonych miękkimi bawełnianymi skrawkami materiału. Po prawej stronie władcy leżał sporych rozmiarów srebrny talerz pełen parujących jeszcze, pieczonych słowików podanych w całości, tak jak Król Olaf lubił najbardziej. Obok w kryształowej misce piętrzyły się wieprzowe ozorki, uduszone według specjalnej receptury nadwornego kuchmistrza. Po stronie królowej Gideon dostrzegł półmisek pieczonych i smażonych ryb morskich oraz pojemnik z zielonego cienkiego szkła wypełniony po brzegi jajkami przepiórczymi. W zasięgu ręki miała również zdobioną drewnianą miskę pełną parującego kuskusu z rodzynkami, orzechami laskowymi i migdałami. Wszelkie luki na stole zostały wypełnione przez służbę owocami: jabłkami, gruszkami, winogronami, morelami, a nawet wiśniami.

Gideonowi na sam widok tych wszystkich wspaniałości ślina zaczęła ciec do gardła gęstym strumieniem. Ostatnim posiłkiem, jaki jadł, była bułka od Toma, a nawał wrażeń, których doświadczył przez ostatnie kilkanaście godzin, spotęgował jego głód do granic dobrego wychowania.

Powitał uniżenie królewską parę, jednak nikt z obecnych nie zwrócił na niego uwagi. Myśląc, że może go nie usłyszeli, już miał wyrazić się głośniejszym i bardziej stanowczo, kiedy podszedł do niego królewski lokaj Tin Cago i odsuwając jedno z krzesel naprzeciwko królewskiej pary, spojrział wymownie na kapłana. Ten, uradowany obietnicą posiłku, usiadł natychmiast. Po chwili czekania, która wydawała się Gideonowi wiecznością, służący postawił przed nim bogato zdobiony cynowy puchar pełen złocistego płynu oraz pozłacany talerz z kompletem błyszczących sztućców. Kapłan ochoczo złapał za widelec, chcąc nałożyć sobie nieco z tych frykasów, jednak natychmiast się powstrzymał. Siedział dokładnie na wprost królewskiej pary, a zupełnie nie znał się na etykietce dworskiej. Czy powinien częstować się ze strony króla, czy królowej? A może z obu? Czy powinien jeść tylko te potrawy, które spożywała królewska para, czy może wyłącznie pozostałe? Z pomocą przyszedł lokaj, który postawił przed nim miskę parującej zupy cebulowej. Wrecedarm przyglądał się jej przez moment rozczarowany, jednak głód wziął górę nad ego, chwyciwszy więc za łyżkę, zaczął pochłaniać krzepiący gęsty płyn.

Kapłan zjadł danie w kilka minut, a kiedy odstawił na bok pustą miskę, król łaskawie wskazał ręką, aby poczęstował się pieczywem i wędlinami. Nie trzeba było dwa razy go zachęcać. Być może z powodu głodu albo

przepychu, jaki panował na stole, Wrecedarm mógłby przysiąc, że nigdy nie jadł lepszego śniadania.

Kiedy Prezeus I uznał, że kapłan wystarczająco się pożywił, wezwał sługę i polecił uprzątnąć stół przed gościem. Pochłonięty posiłkiem Gideon, kiedy tylko się zorientował, co zamierza uczynić Tin Cago, chciał zaprotestować, jednak wystarczył jeden rzut oka na władcę, aby grzecznie podziękował za strawę i skupił uwagę na królu.

Olaf sprawiał wrażenie mniej porywczego niż przy ich pierwszym spotkaniu. Siedział, wpatrując się od niechcenia w kapłana. Królowa zaś była spięta i czujna tak samo jak wieczorem.

– No więc? – zapytał zniecierpliwiony król.

Gideon spojrzał pytająco na władcę. Czy powinien ocenić posiłek, który miał zaszczyt dzielić z królewską parą, czy może powinien podziękować? Ale przecież podziękował.

Władca przewrócił oczami i pokręcił gniewnie głową. Już od dawna nie miał do czynienia z takim imbecylem. Miał mu powierzyć los całego królestwa? Wolne żarty.

– Czy twój bóg coś mówił? – zapytał w końcu, próbując nie irytować się na tego dumnia.

– Otóż – zaczął Wrecedarm, po czym odchrząknął, jakby planował przekazać niezręczną informację – w trakcie nocnych modlitw nie uzyskałem żadnej wskazówki, która naprowadziłaby mnie na rozwiązanie naszego kryzysu. – Zerknął na sztynniejącą z gniewu twarz władcy. – Jednak po wielu godzinach modlitw zmorzył mnie sen i bóg przemówił do mnie w tym śnie. Polecił mi, abym udał się do klasztoru u podnóża Gór Białego Szczytu.

– Klasztor u podnóża Gór Białego Szczytu? – zapytał niepewnie król.

– Tak, panie.

Olaf trwał przez chwilę zamyślony, jakby kontemplował coś ważnego. Po kilku minutach wyprostował się na krześle i zapytał tonem pełnym godności, gdzie znajdują się Góry Białego Szczytu.

Wrecedarm uniósł brwi w zdumieniu. Przecież każde dziecko znało położenie pasma górskiego oddzielającego Jałową Rozpadlinę od północno-wschodniej części Królestwa Anferu. Każde!

– Nie mam pojęcia, panie – odparł.

– Na północny wschód od stolicy, tuż przed Jałową Rozpadliną – rzekła królowa, patrząc z niedowierzaniem na mężczyznę. – Każde dziecko to wie.

– Zamilcz, kobieto – wypalił król, piorunując ją wzrokiem.

Virejna niewiele sobie robiła z tych spojrzeń, zbyt często ich doświadczała. Uśmiechnęła się przepraszająco i wbiła wzrok w resztki kuskusu na stole.

– Cóż dalej? – władca ponownie zwrócił się do kapłana.

– Na razie tyle – odparł pewnym głosem Gideon, nie zastanawiając się nad dalszym ciągiem łągostwa.

– Tyle? – zapytał Prezeus I. – Co znaczy: „Na razie tyle”?

– Dalsze instrukcje – Wrecedarm szybko przeszedł do defensywy – z pewnością otrzymam na miejscu.

Twarc Olafa poczerwieniała i przybrała wyraz dzikiego zwierza. Mięśnie na szyi i rękach napięły się, jak gdyby król szykował się do skoku na swoją ofiarę. Virejna spostrzegłszy, co się święci, próbowała go uspokoić, jednak było za późno. Władca silnym ruchem ręki odtrącił na bok natarczywą małżonkę i powstawszy z miejsca, wbił wzrok w struchlałego Gideona.

– Słuchaj no, klecho – wycedził głosem zbliżonym do syku węża – chyba zapomniałeś, z kim rozmawiasz. Żądam konkretów, planów, prognoz, a nie jakichś zapewnień czy przypuszczeń. Zrozumiałeś?! – wydarł się na kapłana, któremu ze zdenerwowania śniadanie powoli cofało się z żołądka. – Moje królestwo stoi u progu wojny z nieznanym wrogiem, a ty snujesz przypuszczenia i zapewnienia?

– Królu, nie mam wpływu na boskie plany i zamierzenia. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, jest nie tylko przełomowym wydarzeniem dla świata, ale także prorocstwem, a ono rządzi się własnymi prawami. – Trybiki w umyśle Gideona ponownie pracowały na najwyższych obrotach.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie mamy i nigdy mieć nie będziemy wpływu na tempo wydarzeń zawartych w proroczwie – wyjaśnił zrećźnie Wrecedarm, a nie słysząc żadnego sprzeciwu czy negacji, kontynuował: – Powiniennem jak najszybciej wyruszyć do

klasztoru, w którym oczekuje mnie mój bóg.

– Po co, skoro i tak nie mamy wpływu na tempo wydarzeń? – zapytał Olaf i usiadł na krześle z kpiącym uśmiechem.

– Królu mój – odezwała się Virejna zniecierpliwiona podejściem męża do całej sprawy – sam wezwałeś kapłana na konsultację, wysłuchawszy więc jego opinii, zaaprobuje ją albo odeślij go tam, skąd przybył.

– Zamilcz – powtórzył władca.

Królowa zamilkła, jednak Wrecedarm zdołał dostrzec skrywaną nienawiść pod skruszoną maską nieposłusznej żony.

– Panie, królowa słusznie prawi – kapłan odwzajemnił protekcję ze strony Virejny. – Kazałeś sprowadzić mnie do swojego zamku, wypytałeś dokładnie o groźbę, która zawisła nad królestwem, a teraz negujesz moje rady czy może raczej przeciwstawiasz się woli mojego boga. Wiedz, że jestem twoim lojalnym poddanym, ale po śmierci przyjdzie mi tłumaczyć się ze swoich uczynków przed bogiem, a nie przed tobą. Masz więc do wyboru: albo pozwolić mi działać i w najgorszym wypadku samemu odpierać siły ciemności, albo odsunąć mnie od całej sprawy i również samemu radzić sobie z przeciwnikiem.

Król Olaf zacisnął gniewnie zęby. Nie tolerował zwracania się do niego takim tonem, nawet gdy jego podwładny, tak jak w tym wypadku, miał rację. Prawdą było, że nie miał nic do stracenia, gdyż i tak nie planował powierzyć pełnej inicjatywy w ręce klechy.

Sięgnął po jedno z jabłek i ze stoickim spokojem zaczął ćwiartować je nożem.

– Dobrze – rzekł w końcu. – Wyruszysz do klasztoru jeszcze dziś, jednak całe przedsięwzięcie ma przebiegać w sekrecie.

Gideon skłonił się unizienie, powstrzymując się od uśmiechu, który cisnął mu się na usta.

– Nie puszczę cię jednak samego, jesteś zbyt cenny. Wyruszy z tobą dwójka lub trójka moich najlepszych ludzi.

– Królu mój, nie wydaje mi się... – zaczął Gideon.

– Co znowu ci się nie wydaje? – Prezeus przerwał mu w pół zdania.

– Uważam, że tak duża grupa ludzi będzie zwracać na siebie niepotrzebną uwagę. Samemu będzie mi dużo łatwiej przedostać się niepostrzeżenie do klasztoru.

– Zginiesz, nim zdołasz pokonać połowę drogi. Wschodnie tereny królestwa nie są tak bezpieczne jak zachodnie – zaprotestował władca.

– Myślę, że sobie poradzę – Gideon obstawał uparcie przy swoim.

Olaf Prezeus I zerwał się z krzesła i z wściekłością cisnął jabłkiem w kapłana, który w ostatniej chwili zdołał zrobić unik.

– Jeżeli mówię, że sobie nie poradzisz, to tak właśnie będzie! Nie pyskuj władcy! – Król w swoim nagłym wybuchu gniewu zapluł połowę stołu. – Dostaniesz obstawę, która będzie cię pilnować i strzec. A teraz wynoś się, zanim stracę nad sobą kontrolę. – Wskazał Gideonowi wyjście.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Kapłan wstał prędko od stołu i wyszedł na korytarz, zatraskując za sobą drzwi. Został odprowadzony przez strażników do swojej komnaty i zamknięty w niej na cztery spusty.

Sprowadzono go ponownie przed oblicze władcy dopiero po południu, znów zrywając go z łóżka. Kiedy znalazł się w sali tronowej, dostrzegł, że przed królem stoją trzy osoby. Wrecedarm w mig się domyślił, że mają to być jego towarzysze podróży. Dołączył do nich, zanim jednak zdołał przyjrzeć się lepiej swoim nowym kompanom, uwagę wszystkich przykuł władca.

– To będą twoi towarzysze: Jarell oraz Adriela. – Mówiąc to, wskazał na mężczyznę i kobietę stojących tuż obok. – Gildorf – oznajmił, wskazując drugiego mężczyznę – nie będzie wam towarzyszył. Wysyłam go na zachód, aby rozeznał się, czy wróg nie planuje zaatakować od strony morza.

– Rozumiem – odparł kapłan, dziękując w duchu, że będzie go pilnować tylko dwójka.

– Jarell jest utalentowanym wojownikiem i prawym rycerzem, w pełni mu więc ufam. Adriela jest czarodziejką. Jej talenty z pewnością wam się przydadzą.

Dopiero teraz Gideon przyjrzał się swoim towarzyszom. Rycerz był wysoki i barczysty, jak oficerowie gwardii, którzy go sprowadzili do zamku. Rysy twarzy sugerowały jednak szlachetne pochodzenie i zdecydowaną ogładę. Czarodziejka zaś tak go urzekła swoją urodą, że nie mógł oderwać od niej oczu. Długie ciemne włosy spływały jej po ramionach, podkreślając filigranową budowę, szczupłą talię i kształtny biust.

– Kapłanie – głos władcy przywołał Wrecedarma do porządku. – Ci ludzie mają cię strzec i pilnować, abyś cało dotarł do celu. Mają również za zadanie informować mnie na bieżąco o sytuacji. Jeżeli więc uciekniesz, dowiem się o tym natychmiast i każę cię odnaleźć, a później osobiście pozbawię cię życia – zapewnił mściwie.

– Będę lojalny – skłamał Gideon.

– Tym lepiej dla ciebie. Wyruszenie natychmiast.

Gideon podziękował władcy i ruszył za swoimi towarzyszami do pomieszczenia, z którego zabrał go błazen królewski. Tym razem nie zwracał uwagi na gobeliny. Zastanawiał się intensywnie, kiedy może mieć możliwość ucieczki oraz jak wykorzystać najdogodniejszy moment.

Gdy weszli do komnaty, oczom kapłana ukazał się widok bardzo podobny do tego, którego doświadczył dzień wcześniej. Ta sama kobieta stała przy ołtarzu, na którym spoczywała ta sama piramidka, i tylko kuszników było dwa razy więcej niż uprzednio.

Cała trójka stanęła z boku i obserwowała, jak czarodziejka za ołtarzem otwiera taflę przestrzeni. Kiedy powierzchnia tafli zaczęła falować, Jarell ruszył pierwszy. Bez wahania zniknął za zieloną powierzchnią, jakby wchodził do swojego domu, a nie w nieznaną region królestwa.

Wrecedarm domyślił się, że teraz jego kolej, chwycił więc pewniej swój podróżny worek i ostrożnie podszedł do portalu. Przez chwilę się zastanawiał, czy to nie jest odpowiedni moment na ucieczkę, ale przecież po drugiej stronie czekał już ten parszywy paladyn. Zrezygnowany, zrobił krok i przeszedł przez lepką pajęczynę tafli. Natychmiast ogarnął go powiew świeżego powietrza, jednak chłodniejszego, niż się spodziewał. Razem z rycerzem znaleźli się na dosyć jałowym, lekko górzystym terenie, usianym omszałymi głazami i gdzieniegdzie pojedynczymi drzewami, które wyglądem przywoływały na myśl zaprawionych traperów. Kiedy Gideon się obrócił, zobaczył portal lśniący na tle wysokiego skalistego zbocza jakiejś góry. Po chwili z tafli, niczym nimfa z jeziora, wyłoniła się Adriela.

– Klecho, to dla ciebie. – Rzuciła mu pod nogi sporych rozmiarów zawiniątko. – Dodatkowy bagaż w razie potrzeby.

Wrecedarm rozwinął pakunek, znajdując w środku ciepły płaszcz z kapturem, skórzane wysokie buty, grubą koszulę, prowiant na kilka dni i solidny stalowy sztylet w czarnej pochwie. Bez słowa przepakował wszystko do worka, oprócz płaszcza, który zarzucił sobie na ramiona. Gotowy do dalszej drogi, podszedł do towarzyszy, którzy właśnie żywo o czymś dyskutowali.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Po zachodniej stronie Gór Żelaznych – odparła Adriela.

– Do celu zostało nam sporo drogi, jednak zanim ruszymy, musimy coś ustalić. – Jarell spojrzał poważnie na duchownego. – Po pierwsze, my decydujemy o przebiegu wędrówki, gdyż lepiej znamy okolice. Po drugie, nasza misja jest tajna, więc nie zwracamy na siebie uwagi. Po trzecie, trzymamy się razem, chyba że zadecydujemy inaczej. Rozumiemy się?

– W pełni – oświadczył kapłan.

– Wspaniale. Musimy teraz wyznaczyć nasze położenie. Kaspira przeniosła nas w promieniu jednego, dwóch kilometrów od trzech wysokich skał, które są dla nas punktem orientacyjnym.

– Zaraz... A dlaczego właściwie nie przeniesiono nas bezpośrednio do klasztoru? – zdziwił się Gideon.

– Na świecie są określone obszary, które nadają się do łączenia ze sobą taflą przestrzeni. Obecnie znajdujemy się na takim, który jest najbardziej wysunięty na wschód naszego królestwa – wyjaśniła elokwentnie czarodziejka.

– Czyli już nigdzie dalej na wschód nie można się przenieść? – Gideon skrzętnie notował w pamięci te informacje.

– Niezupełnie. Są jeszcze dalsze obszary czy wręcz lokacje, które umożliwiają takie połączenie, ale znajdują się w niebezpiecznych miejscach, na przykład w skalnej ścianie, na krawędzi jakiegoś urwiska czy pośrodku bagien.

– Rozumiem. – Wrecedarm ponownie powstrzymał uśmiech napierający na jego usta. – Szukajmy zatem tych trzech skał.

Poszukiwania punktu orientacyjnego nie zajęły im dużo czasu. Już po kwadransie paladyn dostrzegł wystające zza niewielkiego wzniesienia trzy skalne słupy, które rzeczywiście bardzo wyróżniały się z otoczenia. Kiedy do nich podeszli, czarodziejka wydobyla ze swojego plecaka zwinięty rulon pergaminu, który po rozwinięciu okazał się mapą całego Królestwa Anferu. Kapłan, zaglądając jej przez ramię, mógł dostrzec dokładną pozycję, w jakiej się znajdują, zaznaczoną niedużą niebieską kropką.

Na zachód od nich widniało całe pasmo Gór Żelaznych, na wschodzie były zaś bagna, poprzecinane Rzeką Jezior, oraz miasto Kastengrav. Na północ od miasta zaczynał się wznosić łańcuch Gór Białego Szczytu, który kształtem przypominał księżyc w nowiu. Oba łańcuchy górskie przedzielone były Doliną Ciszy, przez którą płynęła Rzeką Wąwózowa, będąca przedłużeniem Rzeki Jezior.

– Gdzie dokładnie znajduje się klasztor, którego szukamy? – zapytał Gideon.

– Jakies trzydzieści stopni na północny wschód od naszej pozycji, po wschodniej stronie łańcucha Gór Białego Szczytu.

– Czyli będziemy musieli przedostać się przez cały łańcuch górski? – Gideon nie dowierzał trasie, którą mają pokonać.

– Na razie mamy inne zmartwienia – odparł paladyn. – Musimy przedostać się przez rzekę. – Wskazał wąską niebieską nitkę łączącą na mapie dwa duże jeziora.

– A jest to problematyczne, bo... – zastanawiał się na głos Wrecedarm.

Czarodziejka przewróciła oczami i dźgnęła palcem w znajdujące się na mapie miasto Kastengrav.

– Najbliższy most znajduje się tutaj, a my chcemy uniknąć wszelkich skupisk ludzkich, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Gdzie zatem jest kolejny most? – Gideon zbierał informacje do planu ucieczki.

– Tutaj – powiedział Jarell, wskazując odcinek Rzeki Jezior znajdujący się na południe od ich pozycji. – Oraz tutaj. – Przesunął palec daleko na północ od miejsca, gdzie aktualnie byli, zatrzymując go na jednym z zakrętów Rzeki Wąwózowej. – Na południu musielibyśmy przedostać się przez rozległe trzęsawiska, a chcąc przejść północnym mostem, musielibyśmy przemaszerować całą Doliną Ciszy, następnie zaś niemal najszerszy odcinek Gór Białego Szczytu, aby dostać się do klasztoru.

– To rzeczywiście problematyczne – odparł kapłan bardziej do siebie niż do towarzyszy.

– Nie ma nad czym się zastanawiać – stwierdził rycerz i skrupulatnie zwinął mapę, po czym oddał ją czarodziejce, która schowała rulon do plecaka. Następnie wyznaczyli kierunek marszu i ruszyli przed siebie.

Szli bez pośpiechu. Nie zdążyliby dotrzeć do rzeki za dnia, a przekroczenie jej nocą było zbyt niebezpieczne. Uzgodnili, że rozbiją obóz niedaleko brzegu i z samego rana przekroczą bród.

Teren wokół nich był ciągle monotony. Krótka wysuszona trawa sterczała z surowej kamienistej ziemi i tylko gdzieś tam mijali zwierzęta głązy lub wymęczone przez wiatr i brak wody drzewa. Surowość okolicy podkreślały ptaki padlinożerne, przelatujące co jakiś czas wysoko nad ich głowami.

Przez kilka kolejnych godzin wędrówki nie spotkali nawet zwierzęcia na swojej drodze. Na domiar złego żadna z towarzyszących kapłanowi osób nie odzywała się, jeśli nie musiała. Dokuczała mu ta wszechobecna cisza i dyscyplina zarówno paladyna, jak i Adrieli. Szukał okazji do rozmowy. Mimo że Jarell sprawiał wrażenie bardziej skorego do nawiązywania kontaktu, Wrecedarm pragnął rozmawiać z piękną czarodziejką, kiedy więc zrobili postój, a rycerz w tym czasie poszedł rozeznaczyć się w terenie, Gideon postanowił wykorzystać okazję i zagaić do towarzyszki.

– Jesteś więc czarodziejką? – zapytał niezręcznie.

Kobieta nie uraczyła go nawet spojrzeniem, nie wspominając o odpowiedzi na durne pytanie.

– Nigdy dotąd nie spotkałem się z magią – kapłan nie zrażał się postawą Adrieli. – Czytałem o niej, słyszałem trochę opowieści, ale zetknięcie się z magicznymi zjawiskami to dla mnie zupełna nowość. Nie powiem, sam również doświadczam niesamowitych sił oddziałujących na otoczenie, ale to zupełnie inny rodzaj... wrażeń. Jako kapłan jestem świadkiem boskiej ingerencji w nasz świat, choć jednak siły te są o wiele potężniejsze niż jakakolwiek magia, są przy tym tak subtelne, że tylko wprawne oko tudzież bystry umysł potrafią je wyłapać i zinterpretować. Czary są za to widowiskowe, namacalne i niezmiernie pociągające – zakończył niezgrabnie.

Adriela dalej siedziała na trawie i wpatrywała się w jeden punkt, jakby głęboko rozmyślała.

– Czy trzeba urodzić się czarodziejem, czy są to umiejętności, które można nabyć? Bo gdybym mógł nauczyć się lub ty mogłabyś mnie nauczyć władania magią, byłbym w stanie pomagać moim wiernym w jeszcze większym zakresie niż teraz. Może leczyłbym pewne choroby albo wspomagał ich w życiowych dramatach? Myślę, że byłbym dla nich jeszcze większą opoką i czuliby się bezpieczniej, mając tak wszechstronnego przewodnika duchowego. Co myślisz? – Spojrzał wyczekująco na kobietę.

– Nie – odparła, po czym wstała i przeniosła się gdzieś indziej.

Ileż ona ma wdzięku – pomyślał Gideon i z zachwytem obserwował, jak odchodzi, kołysząc biodrami.

Paladyn po powrocie z rekonesansu zarządził zmianę kierunku marszu, dostrzegł bowiem w oddali szalały pasterskie. Wyglądały na opuszczone, ale nie mogli ryzykować, że wzbudzą czyjeś zainteresowanie. Musieli zawrócić za wzniesienie, zza którego przyszli, i pod jego osłoną obejść łukiem teren wypasów. Na samą myśl o tym kapłan zaczął odczuwać ból nóg ze zdwojoną siłą.

– Jeżeli chcemy dotrzeć dzisiaj do brzegu rzeki, musimy również przyspieszyć – poinformował rycerz.

– Ruszajmy zatem! – Adriela żwawo zebrała rzeczy i poszła w kierunku, z którego przyszli.

Gideon również podniósł bagaż i z mozołem pomaszerował za czarodziejką. Była jedyną motywacją, która popychała go naprzód i wstrzymywała od buntu przeciwko forsownej podróży. Prawie żałował, że będzie musiał ją opuścić.

Kiedy najcieplejsza pora dnia dawno już minęła, a na niebie zaczęły gromadzić się szare chmury, Jarell zaczął planować, gdzie mogliby rozbić obóz. Było oczywiste, że przed zmrokiem nie uda im się już dotrzeć do Rzeki Wąwózowej. Szli dalej, jednak rycerz bacznie się rozglądał za miejscem dogodnym do przenocowania. Po kilku kilometrach udało im się w końcu trafić na odpowiednią okolicę – niewielką równinę osłoniętą od wiatru wzniesieniem, na którym znajdował się wymarły, pozbawiony szaty roślinnej zagajnik. Kawałek płaskiego terenu i dostęp do suchego drewna zapewniały najodpowiedniejsze warunki obozowania.

Jarell rzucił na ziemię plecak i ruszył do zagajnika po drwa na opał. Adriela w tym czasie zabrała się za przygotowywanie podłoża pod nocleg, usuwając z niego kamienie i okalając nimi miejsce na ognisko. Kiedy skończyła, rozłożyli z kapłanem cienkie koce, które miały im posłużyć za posłania. Gideon przezornie rozłożył swój najbliższy posłanie, gdzie miało zapłonąć ognisko, od strony wzniesienia, po czym ruszył, aby pomóc paladynowi przynieść drewno na opał. Czarodziejka wyraziła sprzeciw.

– Mamy trzymać się razem, Jarell sobie poradzi – zapewniła.

– Dobrze, pomyślałem tylko, że mu pomogę – wyjaśnił Wrecedarm i usiadł urażony na swoim posłaniu.

– Gdyby potrzebował pomocy, poprosiłby o nią.

Kapłan zrobił naburmuszoną minę, ale w głębi duszy był szczęśliwy, że mógł wymienić parę zdań z tą piękną kobietą. Ponownie znalazł się w takim momencie swojego życia, kiedy cieszyły go drobiazgi, na które jeszcze kilka dni temu nie zwróciłby uwagi. Z tą myślą otulił się szczerlnie płaszczem i czekał cierpliwie na powrót paladyna.

Jarell wrócił w najbardziej odpowiednim momencie, czyli kiedy zaczęło się ściemniać. Rzucił drwa na stertę, a garść mniejszych gałązek ułożył w kamiennym okręgu. Gideon czekał w napięciu, aby zobaczyć, jak rycerz radzi sobie z krzesiwem, sam bowiem nigdy nie nauczył się nim posługiwać. Mężczyzna jednak układał stos gałęzi dalej, dodając coraz grubsze i grubsze, aż zupełnie odciął dostęp do tych najdrobniejszych, które najłatwiej zajęłyby się ogniem. Kiedy kapłan zaczął już tracić nadzieję na to, że wojownik kiedykolwiek w swoim życiu rozpałił ognisko, ten ułożył ostatnią, grubą jak ramię gałąź i wyprostował się, oceniając swoje dzieło.

– Skończyłeś? – zapytała zniecierpliwiona czarodziejka, a kiedy paladyn przytaknął, podeszła do drewnianego stosu i wycelowała weń swoje smukłe ramię. – *Ferro* – szepnęła, a z jej dłoni pomknęła ledwie widoczna kula ciepła, która po nagłym zderzeniu ze stosem buchnęła żywym płomieniem. Cienkie gałązki momentalnie zajęły się ogniem i po krótkiej chwili żółte języki zaczęły prześlizgiwać się między resztą trzaskającego wesoło stosu.

Wrecedarm siedział z otwartymi ustami, urzeczony prostotą całego zabiegu. Czarodziejka coraz bardziej mu imponowała.

Kiedy skończyli już urządzać obóz, sięgnęli do zapasów żywności, które zostały im przydzielone. Wszyscy otrzymali te same produkty: suszone mięso, ciężki bochen chleba razowego, trochę owoców i bukłak słabego wina. Adriela od razu zaczęła marudzić, że znowu dostali jakieś ochłapy, jakby nadworna kuchnia cierpiała na brak żywności, a paladyn w milczeniu kiwał tylko głową, żując kawałek suszonej wołowiny. Wrecedarm nigdy nie jadł konserwowanej żywności, nie bardzo więc potrafił odnieść się do pretensji swoich towarzyszy. Był jednak bardzo głodny, a to wystarczyło, aby pasek suchego mięsa wydał mu się nad wyraz apetyczny.

Kiedy zjedli i zaspokoili pragnienie, rycerz zapytał czarodziejkę, czy ustalają nocne warty. Gideon, usłyszawszy taki pomysł, zamarł w bezruchu, nasłuchując, jaką podejmą decyzję. Na szczęście kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie i oznajmiła, że zamaskowała ich obecność za pomocą czarów. Każdy, kto będzie przechodził nieopodal, zamiast ich obozu dostrzeże tylko grząskie trzęsawisko.

Normalnie wzmianka o takim zakłęciu wzbudziłaby w kapłanie ekscytację, jednak teraz ogarnął go błogi spokój. Bał się, że jego plan ucieczki pokomplikuje się, jednak póki co nic takiego nie nastąpiło.

Szczęście mi sprzyja – pomyślał, po czym oznajmił towarzyszom, że dopadło go zmęczenie i kładzie się spać. Nie zwrócili na to większej uwagi, kapłan zawinął się więc w koc i położył na ziemi plecami do ciepła bijącego od płonącego ognia.

W latach młodości, kiedy był bezdomnym włóczęgą i musiał mieć baczenie na przedstawicieli prawa oraz innych włóczęgów, wykształcił w sobie umiejętność zapadania w wilcze drzemki. Potrafił obudzić się bez niczyjej pomocy, kiedy tylko chciał. Kiedy żył poza prawem i społeczeństwem, umiejętność ta wiele razy ocaliła mu skórę. W Rogowie Górnym zaś wykorzystywał ją do punktualnego wstawania rano, bez żadnych zegarmistrzowskich wynalazków. Teraz umiejętność ta ponownie miała zadecydować o jego dalszym losie. Musiał się obudzić, kiedy pozostałą dwójkę zmorzy sen. Wtedy będzie mógł działać. Uśmiechnął się i po dłuższej chwili zasnął.

Obudził się ponad dwie godziny później, jednak po przyciszonych głosach stwierdził, że jego kompani wciąż czuwają. Już miał pogрузić się ponownie we śnie, kiedy zdał sobie sprawę, że przedtem nie prowadzili rozmów w jego obecności. Postanowił się wsłuchać.

– Sam nie wiem, co o tym sądzić – rycerz skwitował wypowiedź kobiety, której kapłan nie zdążył podsłuchać.

– Przypuśćmy, że to wszystko się rzeczywiście dzieje. Myślisz, że on naprawdę może to powstrzymać? Spójrz na niego – szeptała Adriela.

– Jego wygląd może być niepozorny, ale serce szczerze i odważne. Jeśli rzeczywiście jest wybrańcem swojego boga...

– Zlituj się! – Kobieta przewróciła oczami. – Spójrz na niego obiektywnie i odpowiedz mi, czy, twoim zdaniem, byłby w stanie cokolwiek powstrzymać? Jest tak nieporadny, że przy odrobinie nieuwagi odgryzłby sobie język, żując tę wołowinę, i pewnie nie zauważyłby nawet różnicy w smaku.

– Niepokoi mnie twoja postawa. Mamy umożliwić mu dotarcie do klasztoru, a zachowujesz się, jakbyś miała z nim osobiste porachunki – zauważył paladyn.

– Po prostu mu nie ufam. Moim zdaniem mataczy. Skąd mamy wiedzieć, że w tym klasztorze rzeczywiście coś na niego czeka?

– Wiesz – Jarell zastanowił się przez chwilę – to nie ma żadnego znaczenia. Wykonujemy królewski rozkaz i naszym jedynym zmartwieniem jest, aby wykonać go sumiennie. Reszta nie leży w naszej gestii, tak samo jak ocenianie jego prawdomówności.

Słowa rycerza najwyraźniej przekonały kobietę, gdyż zamilkła. Po dłuższym czasie dalszego milczenia Wrecedarm stwierdził, że niczego więcej się już nie dowie, i ponownie zapadł w wilczą drzemkę.

Ocknął się po kolejnych kilku godzinach. Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, nasłuchując dźwięków otoczenia, jednak wyglądało na to, że jego kompani położyli się już spać, gdyż było słychać jedynie niemrawe trzaski dopalającego się ogniska.

Otworzył powoli oczy. Łuna bijąca od płomieni była nieporównywalnie mniejsza, niż kiedy się kładł, ogień więc już się dopalał. Bardzo powoli przeturlał się na prawy bok, aby rzucić okiem na sytuację po drugiej stronie paleniska.

Rycerz i czarodziejka leżeli owinięci kocami. Gideon, nie zmieniając pozycji, obserwował swoich towarzyszy, czekając na jakikolwiek ruch, który mógł zdradzić poziom ich przytomności, jednak wszystko wskazywało na to, że głęboko śpią. Rad temu wielce, kapłan podniósł się z ziemi i starając poruszać bezszelestnie, sięgnął po worek podróżny i płaszcz. Bardzo powoli zarzucił na siebie ciemnoszary materiał, po czym przewiesił worek przez ramię. Już miał ruszyć w przyzywającą go ciemność, kiedy ciszę mroku rozdarło ochryple i donośne krakanie jakiegoś drapieżnego ptaka.

Wrecedarm aż zadrżał z przestachu. Obrócił się błyskawicznie w stronę śpiących towarzyszy, wyczekując ich przebudzenia. Serce podeszło mu do gardła, wykonując w piersi szalony maraton, jak gdyby chciało wyskoczyć i uciec. W kilka sekund, mimo panującego chłodu, jego czoło zrosiły krople potu, które w krótkim czasie połączyły się w cienkie strużki zalewające kapłanowi oczy. Jego napięte mięśnie były gotowe w każdym momencie rzucić się do ucieczki w mrok albo z powrotem pod leżący na ziemi koc.

Sekundy, które mijały, wydawały mu się wiecznością. Jego napięte jak postronki nerwy nakazywały mu trwanie w miejscu, podczas gdy rozum błagał o ucieczkę ile sił w nogach.

Kolejne sekundy zamieniały się w minuty, a im więcej ich upływało, tym spokojniejszy robił się kapłan. Serce zwolniło, oddech się pogłębił, a mięśnie zaczęły relaksować. Gdy ponownie odzyskał równowagę między ciałem i umysłem, był w stanie postawić nieśmiały krok do tyłu. Następnie druga noga minęła pierwszą i znalazła się jeszcze dalej. Stopniowo wycofywał się z obozu, pozostawiając po sobie tylko sponiewierany koc. Kiedy znalazł się już wystarczająco głęboko w ciemności, spojrzał ostatni raz na wystającą spod zmechaconego zielonego materiału piękną twarz czarodziejki. Jej rozluźnione rysy i lekko rozchylone pełne usta przyprawiły Gideona o przyspieszone tętno. Żegnaj, piękna – pomyślał, po czym z westchnieniem, jak gdyby porzucał cenny skarb, obrócił się na pięcie i pewnym krokiem udał się w jeszcze gęstszy mrok.

Wspiął się po wzniesieniu i stanął na krawędzi martwego zagajnika. Obejrzał się kontrolnie za siebie, lecz słaby blask ognia obozowego zniknął. Kapłan zaniepokoił się, jednak przypomniał sobie, że czarodziejka zamaskowała obóz zaklęciem. Pokiwał głową z uznaniem dla jej kunsztu, po czym wszedł między wyschnięte pnie drzew.

Zagajnik był dość gęsty. Wrecedarm, nie widząc wiele w ciemności, poruszał się po omacku, odgarniając co rusz gałęzie przed sobą. Starał się nie robić przy tym hałasu, aby nie zdradzać swojej obecności. Jednak pragnął jak najszybciej przedostać się na drugą stronę gąszczu, aby dotrzeć do rzeki przed świtem i ruszyć z jej biegiem na północ. Kolejnym celem byłoby północne wybrzeże królestwa, skąd mógłby przedostać się na jedną z Wysp Wygnańczych, o których tyle rozmyślał zamknięty w komnacie na dworze Olafa.

Po krótkim czasie pluł sobie w brodę, że nie zabrał żadnej żagwi z ogniska, którą mógłby przyświecać sobie drogę. Potykał się co rusz o leżące na ziemi pnie przewróconych bądź połamanych drzewek, zaplątywał nogi w wyschnięte powoje jeżyn i malin, a na domiar złego stracił orientację i nie był pewien, w jakim kierunku porusza się obecnie.

Po kilkunastu kolejnych minutach mozolnego brnięcia przez gąszcz Gideon postanowił odpocząć. Zdjął worek z ramienia i szukając dogodnego miejsca, aby usiąść, zaczął krążyć po gęstwinie martwej leśzczyny. W pewnej chwili potknął się o wystający z ziemi kamień i runął jak długi przed siebie. Zamiast jednak zwalić się na stosunkowo miękkie podszycie leśne, zdał sobie sprawę, że podłoże, na którym wylądował, zapadło się pod nim. Poczł, jak zsuwa się lekko wilgotnym tunelem w dół. Próbował zapierać się rękami o ściany, ale bezskutecznie. Zamiast tego zahaczył głową o jakiś występ, aż mu zęby zadzwoniły, a ciało zwiotczało jak u szmacianej lalki. Na wół bezwładnie zakończył podróż w niedużym pomieszczeniu oświetlonym łożowymi kagankami.

Rozdział 5

VISIUS

Jak na kogoś, kto zsunął się błotnistym korytarzem, kapłan pozbiarał się stosunkowo szybko. Półmrok, który panował w pomieszczeniu, nie zdradzał wielu szczegółów otoczenia, jednak Gideon rychło zdał sobie sprawę, że znalazł się w urządzonej izbie. Mizerne płomienie kaganków oświetlały stół stojący pośrodku pomieszczenia, a pod ścianą wyzierały z mroku zakurzone grzbiety książek spoczywających na drewnianym regale.

Kiedy Wrecedarm rozeznał się już wystarczająco w otoczeniu, postanowił zbadać, czy podróż tutaj nie kosztowała go złamania lub innych obrażeń. W pierwszej kolejności omacał sobie głowę, którą niefortunnie zawadził o jakąś przeszkodę. Była cała z wyjątkiem guza, który zaczął już zaznaczać swoją obecność na owalu jego nieforemnej czaszki. To w zasadzie całkowicie mu wystarczyło, lecz dla pewności zrobił jeszcze małą gimnastykę, aby się upewnić, że wszystkie części ciała ma sprawne. Nagle zamarł w połowie skłonu, przerażony. Kto mógłby mieszkać w takiej norze, a przede wszystkim – czy gospodarz był obecny?

Kapłan, wytężając wzrok, przypatrywał się najciemniejszym kątom pomieszczenia, jednak nie dostrzegł nikogo, kto mógłby przebywać tu razem z nim.

– Jest tutaj kto? – zapytał głośno.

– Ktoś tutaj jessst – odparł mu ochrypły, przyciszony głos z mroku.

Kapłan aż podskoczył ze strachu. Z bijącym sercem starał się namierzyć źródło złowieszczonego głosu, jednak panika skutecznie zniekształcała jego odbiór rzeczywistości.

– Słucham? – zapytał drżącym głosem, cofając się odruchowo o krok.

– Ktoś tutaj mieszkaaa – tym razem głos rozbrzmiał wyraźniej i zdecydowanie bliżej.

Wrecedarm odruchowo wbił spojrzenie w mrok i po chwili zamarł z przerażenia. Dwa rozżarzone punkciki, które przedtem brał za refleksy świetlne odbite od płomieni kaganków, okazały się ślepiami jakiejś istoty. Była mniej więcej jego wzrostu i zbliżała się prosto do niego.

Kapłan zrobił jeszcze kilka kroków w tył, aż przyłgnął plecami do zimnej ściany pomieszczenia. Uświadomiwszy sobie, że znalazł się w potrzasku, przełknął nerwowo ślinę i bezwiednie skulił się w sobie.

– Ależ nie ma powodu do niepokoju – zapewniły ślepia. – Muszę tylko trochę bardziej rozświetlić pokój.

Już po chwili zapłonęła lampa oliwna, podwieszona pod sufitem na solidnym mosiężnym łańcuchu, oświetlając ciemniejsze zakamarki pomieszczenia. Z mroku wyłoniły się poprzecierany fotel obity brązową skórą, drewniana sfatygowana ława, sporych rozmiarów kufer, sekretarzyk postawiony pod ścianą oraz gospodarz przybytku we własnej osobie.

Gideon aż wstrzymał oddech, kiedy jego oczy ujrzały, z kim ma do czynienia. Na środku izby stał mężczyzna w podeszłym wieku, odziany w przykurzone i poprzecierane, niegdyś modne ubranie. Jego długie i zupełnie białe włosy splecione były w wymyślny warkocz sięgający mu do połowy pleców. Smukłe żylaste dłonie zakończone były pokaźnej długości brudnymi paznokciami, a nieobute stopy przypominały wyglądem łapy dzikiego zwierzęcia. Największe wrażenie jednak wywarła na kapłanie twarz nieznanego mężczyzny. Poprzecinana licznymi zmarszczkami, była jakby nienaturalnie wydłużona. Jej dzikie rysy podkreślały żywe i lśniące czerwienią oczy, osadzone głęboko w czaszce. Kiedy gospodarz uśmiechnął się, a jego blade lico wykrzywiła cienka linia równie bladych ust, Gideon utwierdził się w przekonaniu, że to na pewno nie jest człowiek w całym tego słowa znaczeniu.

– Witaj, nieznajomy – odezwał się mężczyzna. – Cóż cię sprowadziło w moje skromne progi? – Paskudny uśmiech ponownie przeciął jego upiorną twarz.

Wrecedarm niemal osunął się na podłogę z przerażenia. Nieznajomy dostrzegł, co się święci, i pochwyciwszy kapłana błyskawicznym ruchem, oparł go na swoim ramieniu i pomógł mu usadowić się w fotelu, sam zasiadł zaś na krześle.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał z troską.

– Tak, w najlepszym – skłamał duchowny.

– Wydajesz się... spięty. – Gospodarz uśmiechnął się nonszalancko.

– Przepraszam, ja... – Gideon starał się nie okazywać strachu. – Uderzyłem się w głowę.

– Jesteś ranny? Krwawisz? – Oczy mężczyzny zapłonęły w podnieceniu.

– Nie, po prostu kręci mi się w głowie – wyjaśnił szybko kapłan. – Przechodziłem przez las, potknąłem się i wpadłem do tego korytarza...

– Ach, nocne spacerunki po lesie – przerwał mu gospodarz. – Również je praktykuję. – Uśmiechnął się, ukazując nienaturalnie zakrzywione zęby.

– Przepraszam za to najście, ale nigdy w życiu bym nie przypuszczał, że...

– ...ktoś mógłby mieszkać w takim miejscu? – dokończył za niego rozmówca. – Cóż, mieszkałem niegdys w przyjemniejszym lokum, ale wdałem się w nieodpowiednie towarzystwo i musiałem się wyprowadzić.

Gideon pokiwiał głową, udając, że rozumie, o czym mówi nieznajomy.

– Ale gdzie moje maniery? – Mężczyzna wstał i wyciągnął smukłą rękę do kapłana. – Jestem Visius. Szkutnik.

Wrecedarm podał rękę gospodarzowi. Była zimna jak lód. Uśmiechnął się niemrawo i również się przedstawił.

– Miło mi – zapewnił Visius. – Wnioskuje z twojej miny, że przeraziła cię temperatura mojego ciała. Nie będę trzymał cię dłużej w niepewności. Nie jestem zwyczajnym człowiekiem... Jestem przeklęty.

– Przeklęty? – Gideon nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Jestem wampirem. – Nieznajomy uśmiechnął się paskudnie, a jego oczy zapłonęły niepokojąco.

Ostatnie słowo wbiło kapłana w oparcie fotela. Czytał w miejskiej bibliotece o tych śmiertelnie groźnych istotach. Przypomniał sobie nawet pewien fragment, który je podsumowywał: „Nie ma ucieczki, nie ma nadziei, jest tylko przerażenie”.

– Nie obawiaj się jednak – mężczyzna uniósł ręce w geście niewinności. – Nie zamierzam robić ci krzywdy. Jak się zapewne domyślasz, niewiele mam gości, bardziej od twojego życia cenię więc sobie twoje towarzystwo.

– Nie... Nie będziesz próbował... No wiesz... – wydukał Gideon.

– Otworzyć ci żył i wycisnąć z nich ostatnie krople krwi? Ależ skąd. Tam, na powierzchni – mówiąc to, wskazał palcem na sufit – jest mnóstwo, całe morze krwi. Nie ma zaś zbyt wielu ludzi pozbawionych uprzedzeń. Ty jako kapłan znasz ludzką naturę i wiesz, jak podle potrafia osądzać coś, czego nie rozumieją. Pragnę jedynie rozmowy, wymiany poglądów, historii i anegdot. Porozmawiać z kimś inteligentnym i czytany to zaiste czysta przyjemność dla kogoś takiego jak ja.

– Rozmowy – powtórzył zbity z tropu kapłan. – O czym więc chciałbyś rozmawiać?

Wampir uśmiechnął się z satysfakcją i rozparł wygodniej na krześle. Poprawił pomięte i spłowiałe ubranie, jakby wybierał się na ważne spotkanie, i zaczął:

– Widzisz, żyję w tej norze z dala od siedzib ludzkich już jakieś dziewięćdziesiąt kilka lat albo nawet dłużej. Ciekawią mnie rzeczy oczywiste, na przykład to, kto obecnie włada naszym królestwem.

– Olaf Prezeus I.

– Olaf Prezeus I – powtórzył wolno Visius, starając się zapamiętać. – Jest dobrym władcą?

– Cóż... Nie wiem – przyznał Wrecedarm. – Jest porywczy, rzucił we mnie jabłkiem.

– Słucham? – zdumiał się gospodarz. – Znasz go więc osobiście?

– Odbyliśmy kilka... rozmów. Prosił o konsultacje dotyczące... spraw duchowych.

– Niewiarygodne. Sam władca rozmawiał z tobą... A królowa? Na pewno jest piękna.

– Ma swój urok – odparł kapłan, wspominając zimny wyraz twarzy żony Prezeusa.

- A stolica dalej mieści się w... – wampir próbował sobie przypomnieć nazwę miasta, lecz w głowie miał pustkę.
- Soblevie? – nakierował Visiusa Gideon, a kiedy tamtem przytaknął, odparł, że owszem.

Wampir odchylił się na krzesło w zadumie. Sprawiał wrażenie rozczarowanego informacjami, które przekazywał mu kapłan. Spodziewał się nowości, rewelacji. Czegoś, co nada jakkolwiek wartość życiu intruza.

Wrecedarm, widząc, jak gospodarz na niego spogląda, szybko się zorientował, co chodzi wampirowi po głowie, i postanowił obrać inną taktykę działania.

- Odbudowali miasto niemal toczka w toczkę.
- Odbudowali? – zdumiał się wampir.
- Naturalnie. Trzeba było to zrobić po... wielkiej wojnie z Rycerzami Ciernia – wypalił Gideon.
- Rycerzami Ciernia? A cóż to za jedni? – Gospodarz nachylił się z uwagą, aby nie uronić ani jednego słowa.
- Rycerze Ciernia byli... – Wrecedarm aktywował tę część mózgu, która odpowiadała za zwodzenie wiernych – tajemniczym zakonem, który ni z tego, ni z owego uderzył na nasze królestwo.
- Jakże to? – Visius prawie wychodził z siebie, ciekawy dalszych informacji.
- Zaatakowali z morza na zachodnim wybrzeżu – odparł kapłan bardziej do siebie niż do rozmówcy.
- Kiedy to było?
- Jakieś dwadzieścia lat temu. Byłem jeszcze nastolatkiem, ale do dziś pamiętam przerażenie mojej matki, kiedy uświadomiła sobie, że wcieliła mnie do wojska. Przeciwnik parł jak burza, paląc na swojej drodze wszystko, co się nawinęło pod niszczycielskie maszyny bojowe. Zrównali z ziemią setki wiosek i dziesiątki miast. Sytuacja była beznadziejna, król prawie wywiesił białą flagę, jednak... – Gideon zawiesił głos, budując napięcie.
- Jednak co? Co się wydarzyło? – gospodarz niecierpliwie wiercił się na krzesło, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu historii.

– Pewien dowódca sprzeciwił się rozkazowi władcy, aby złożyć broń. Zamiast tego zorganizował mały przewrót, chcąc objąć władzę na czas wojny. Władcę pojmano i pod eskortą dziesięciu najlepszych gwardzistów strzeżono w lochach. Baoir, czyli ten dowódca – wyjaśnił szybko kapłan – wydał później rozkaz obrony miasta. Rozdano broń wszystkim, którzy byli wystarczająco sprawni, aby mogli się bronić. Zaangażowano do walki kobiety, dzieci, starców, a nawet służbę zamkową i niewolników.

- Ty też tam walczyłeś? – zapytał rozemocjonowany Visius.
- Niestety, mój oddział nadciągał z odsieczą stolicy, jednak nigdy tam nie dotarliśmy. Zostaliśmy pojmani przez siły przeciwnika.
- Ale doszło w końcu do bitwy?
- Naturalnie. Oblężenie miasta trwało czterdzieści dni i nocy. Walki były zaciekle, lecz wróg nie był w stanie sforsować murów obronnych. Mimo to Rycerze Ciernia swoimi maszynami oblężniczymi niemal obrócili Soblevie w ruinę. Po czterdziestu dniach późną nocą udało im się w końcu przełamać obronę i wtargnąć za miejskie mury.
- Poląła się krew? – wampirowi ponownie rozbłysły dzikie oczy.
- To była istna rzeź. Mordowano kobiety i dzieci, starców tratowano kołnami. Zrozpaczona ludność, nie mając już nic do stracenia, rzucała się w wir bitwy, waląc na oślep, zabijając wroga oraz swoich. Tylko armia utrzymywała jako taki porządek i szyki. Bitwa trwała do samego rana, ale wróg został pokonany. Ilość krwi przelanej w obrębach murów zabarwiła ziemię i bruk. Mówili, że nie było miejsca, gdzie można by postawić stopę na podłożu innym niż zwłoki.

- Fantastyczne. – Visius był najwyraźniej zachwycony tym, co usłyszał. – Wszyscy zginęli? – zapytał z nadzieją.
- Przetrwiała grupa żołnierzy i garść mieszkańców, jednak szybko zabiła ich zaraza, która wybuchła w wyniszczonym Soblevie. Miasto opustoszało. Przez kolejne dwa lata stolica mieściła się w wybudowanym w tym celu forcie. Dopiero po tym czasie odważono się powrócić do porzuconych ruin i odbudować miasto.

Wampir był wyraźnie podniecony opowieścią o krwawej bitwie i mordowaniu, kapłan więc, zaczynając się obawiać, mimo zapewnień gospodarza, o własne życie, postanowił zmienić temat rozmowy na mniej makabryczny.

Odczekał trochę, aż złowrogie błyski błakające się w oczach Visiusa przygasną, po czym chrząknął i sam zaczął wypytywać rozmówcę.

– Wspomniałeś, że niegdyś mieszkałeś gdzie indziej. Dlaczego musiałeś przenieść się w takie miejsce?

– Cóż, kiedyś byłem człowiekiem i mieszkałem w jednym z portowych miast Anferu. Byłem szkutnikiem, miałem mały zakład, w którym wyrabiałem łodzie rybackie oraz barki transportowe. Miałem żonę i dwójkę dzieci. Żyłem dostatnio i spokojnie, do pewnego wieczoru, kiedy po zachodzie słońca zjawił się w moim warsztacie pewien mężczyzna. Wyglądał na zamożnego obywatela królestwa, dlatego mimo późnej pory zgodziłem się go przyjąć i wysłuchać. Miałem na brzegu kilka łodzi na sprzedaż – zamówień zrealizowanych, jednak z różnych przyczyn nieopłaconych. Jegomościa zainteresowała jedna z nich i wyraził chęć jej wypróbowania. Nie było mi w smak wypływać na morze po zachodzie słońca, ale w jego dłoni błysnęło kilka sztuk złota, które nakłoniły mnie do zmiany zdania. Kiedy znaleźliśmy się na pełnym morzu, mężczyzna rzucił się na mnie. Był wampirem. Gdy wgrzył się w moją szyję, udało mi się owinąć wokół jego ramienia linę kotwiczną. Czułem, jak ulatuje ze mnie życie, jednak ostatkiem sił wyrzuciłem go za burtę, wraz z kotwicą, która pociągnęła go w odmęty morskiej toni. Krwawiąc obficie, zacząłem płynąć w stronę brzegu. Musiałem stracić przytomność, gdyż ocknąłem się dopiero o świcie w dryfującej łodzi. Póżywy dotarłem w końcu na ląd, jednak kilka kolejnych dni przeleżałem z gorączką w domu. Z dnia na dzień siły opuszczały mnie coraz bardziej, aż pewnego wieczoru poczułem TO. Było jak dziki instynkt nakazujący mi przetrwać za wszelką cenę. Nie odczuwałem strachu ani współczucia, byłem ponad ludzkimi emocjami. Liczyło się dla mnie tylko przetrwanie. Potrzebowałem krwi. Zamordowałem całą swoją rodzinę. Zaspokoilem swój głód i poczułem się niezwyciężony. – Visius zrobił pauzę, przypominając sobie cudowne uczucie, które go wtedy ogarnęło. – Głód jednak rośnie w miarę jedzenia, jadłem więc dalej. Stałem się nieostrożny i musiałem uciekać. Tułałem się od miasta do miasta, a w każdym kolejnym zostawiałem po sobie krwawy bałagan. Pozostałe wampiry, kryjące się w cieniu i pragnące pozostać w ukryciu, nie podzielały moich metod i stylu życia. Wyznaczyły nagrodę za moją głowę, dlatego musiałem uciekać. Próbowałem osiedlać się w kolejnych miastach, a nawet we wsiach, jednak wszędzie nastawali na moje życie. Stoczyłem kilka walk, wiele razy ledwie uszedłem z życiem. W końcu postanowiłem zniknąć, przyciąć się gdzieś na kilka lat, aż sytuacja się uspokoi. Tak właśnie trafiłem tutaj.

– Spędziłeś w tej dziurze tyle czasu?

– Ponad dziewięćdziesiąt lat – przyznał wampir.

– Nie wolisz wrócić do cywilizacji, tylko tkwisz tutaj? – Wrecedarm nie potrafił zrozumieć motywacji gospodarza.

– Widzisz... – Visius się uśmiechnął. – Dla ciebie to z pewnością tylko zatęchła nora...

– Bez urazy, ale mieszkasz w jamie pod ziemią – kapłan igrał z emocjami gospodarza.

– Tylko żywa istota może wykazać się taką ignorancją. – Wampir pokręcił głową pobłaźliwie. – Są na świecie miejsca, które niosą ze sobą życiodajną energię, podobną do tej, jaką zapewnia krew. Ta, jak się wyraziłeś, jama jest właśnie takim miejscem. Ty tego nie odczuwasz, gdyż jesteś żywy, ale ja czuję się tutaj, jakbym zażywał kąpieli we krwi. Ładuję się tą energią bez potrzeby wysysania jej z innych stworzeń. Prawdę powiedziawszy, już prawie zapomniałem, jak smakuje krew... – Wbił w kapłana łakome spojrzenie, pełne niezaspokojonej żądz.

Nastąpiła cisza, w której trakcie Wrecedarm zorientował się, że wszystkie zapewnienia gospodarza co do jego bezpieczeństwa nie były warte funta kłaków. Z pewnością ponownie ogarnęło go TO uczucie, które wyprawilo na tamten świat całą jego rodzinę.

Gideon wiedział, że czas na subtelne manipulacje minął. Musiał działać, i to natychmiast, zanim inicjatywę przejmie mroczny nieznamy.

– Pozwolisz, że podkręcę jeszcze trochę płomień w lampie? – zapytał Wrecedarm i nie czekając na odpowiedź, wstał z fotela i podszedł do wiszącego szklanego pojemnika z oliwą.

– Tylko nie za bardzo, nie przepadam za światłem – odparł powoli Visius, szykując się do posiłku.

Gideon ujął lampę w obie ręce i udając, że sobie nie radzi z pokrętłem, odhaczył pojemnik z łańcucha. Był stary, można by rzec, że antyczny, jednak co najważniejsze – duży. Kapłan ujął go pewnie, podkręcił płomień najbardziej jak tylko się dało i uniósł go nad głowę, próbując odwieść z powrotem.

Niespodziewanie jednak cisnął lampę prosto w siedzącego wampira, a sam rzucił się do ucieczki jedyną drogą, jaką znał, czyli szybem, którym tutaj wpadł.

Poruszał się zupełnie na oślep, nie mogąc przeniknąć mroku, jaki panował w wąskim tunelu. Wnioskując jednak z ryków i syków wściekłego gospodarza, musiał poruszać się jeszcze szybciej. Czuł się jak kret przemieszczający się korytarzem, z tym wyjątkiem, że wychodziło mu to wyjątkowo niezdarnie. Chwytał się, czego tylko mógł, i desperacko piął się w górę. Kiedy tylko miał taką możliwość i podparcie, odpychał się nogami. Ziemia osypywała mu się na głowę i wdzierала pod ubranie, płaszcz zaczepiał o wystające fragmenty ścian szybu, a buty ślizgały się po wilgotnej ziemi. Mimo to kapłan parł dalej, starając się przetrwać za wszelką cenę.

Kiedy już prawie dotarł do wylotu, poczuł żelazny uścisk na swojej kostce. Próbował wyszarpać nogę, ale Visius nie zamierzał wypuścić swojej zdobyczy. Wrecedarm chwycił się kolejnego występu i wyteżył mięśnie do granic możliwości. Podciągnął się, gdy nagle występ, którego się chwycił, został mu w ręku, a znad głowy posypał się na kapłana grad kamieni. Szczęśliwie żaden nie trafił Gideona w głowę, jednak duża część sturlała się boleśnie po jego plecach. Visius nie miał najwyraźniej tyle szczęścia, gdyż noga kapłana znowu była wolna. Ze zdwojoną siłą poczuł wyczołgiwać się z tunelu, aż w końcu ogarnął go upragniony powiew świeżego, nocnego powietrza.

Wygramolił się na leśną ściółkę, a usłyszawszy za sobą ruch, zaczął szukać po omacku broni. Niemal natychmiast natrafił na swój worek podróżny. Niewiele myśląc, obrócił się gwałtownie, wyprowadzając bagażem cios na odlew. Jego oprawca, trafiony prosto w skroń, zatoczył się w tył i zsunął ponownie do szybu.

Wrecedarm natychmiast rzucił się do ucieczki. Przedzierał się przez martwy gąszcz ze zwinnością łani, zadziwiając tym samego siebie. Wciąż jednak czuł na karku cuchnący śmiercią oddech wampira. Wyschnięte gałęzie smagały go po twarzy i szarpały jego ubranie, jednak duchowny z każdym kolejnym sygnałem sugerującym nieuchronnie zbliżającego się potwora przyspieszał, nie bacząc na ból ogarniający jego nie najmłodsze już ciało.

Po kilku minutach wybiegł spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń. Szybki rzut oka na okolicę pomógł mu określić w przybliżeniu kierunek, gdzie znajdował się obóz, ruszył więc pędem w dół wzniesienia, a nie wytrzymałszy już dłużej napięcia, zaczął drzeć się na całe gardło:

– Wampir! Wampir! Pomocy!

Słyszał za sobą ruch w gąszczu wymarłego zagajnika. Wiedział, że ma niedużą przewagę nad Visiusem, choć więc prawie nic nie widział w ciemności, postanowił jeszcze bardziej przyspieszyć. Na początku nawet dobrze mu szło, lecz po chwili poślizgnął się na luźnym kamieniu i runął na ziemię. Zaczął turlać się z górki niczym kłoda drzewa, a kiedy w głowie przestało mu wreszcie szumieć, świat zaś przestał wirować, zdał sobie sprawę, że leży w lichym blasku ogniska w obozowisku, które niedawno opuścił. Jego oszołomieni towarzysze stali nad nim w pełnej gotowości bojowej.

– Wampir – wydukał Gideon i błyskawicznie przepelzł za nogi Jarella.

Adriela wpatrzyła się w mrok i wskazała ciemną postać zwinnie zbiegającą ze zbocza w ich kierunku.

Paladyn przyklękł na jedno kolano i pochyliwszy głowę, zaczął szeptać niezrozumiałe dla kapłana inkantacje.

Wrecedarm z przerażeniem obserwował, jak Visius zbliżał się coraz bardziej, a żadne z jego towarzyszy nie reagowało. Skulił się w sobie i zamknął oczy, spodziewając się najgorszego. Niespodziewanie jednak poczuł nagłe wibracje ziemi, jakby nieopodal przejeżdżał wyjątkowo ciężki wóz. Otworzył oczy i natychmiast dostrzegł jasną aurę, która otoczyła rycerza. Drobiniki ziemi spod jego nóg powoli wznosiły się w powietrze, jakby prawa fizyki przestały je obowiązywać. Zdziwiony Gideon skupił się ponownie na wampirze, który był już tak blisko, że mogli dostrzec jego żarzące się krwawo ślepieca.

Kiedy kapłan stracił jakąkolwiek nadzieję, że któreś z jego towarzyszy zacznie działać, paladyn powstał błyskawicznie, prostując ramiona na boki, jakby się przeciągał. Spod jego stóp wybuchła potężna fala jasnej energii,

rozprzestrzeniając się w każdym możliwym kierunku, tworząc rozrastającą się kopułę. Kiedy fala uderzyła w niczego niespodziewającego się Visiusa, zmiotła go niczym uschnięty liść, odrzucając kilkanaście metrów w tył.

Wrecedarm nie widział, gdzie wylądował jego prześladowca, jednak po chwili dostrzegł go ponownie, gdy próbował sforsować statyczną już barierę. Niczym opętany, wampir wbiegał na jasną ścianę energii, drapał ją, kopał, a nawet próbował gryźć, jednak żaden z ataków nie był w stanie nadwyrężyć osłony.

Adriela, obserwując napastnika, który niczym mucha objajająca się o szybę miotał się w miejscu, wyciągnęła w przód obie ręce i wykonała kilka przedziwnych gestów, przywołując moce żywiołów. Wielobarwne pierścienie na palcach jej obu dłoni rozjarzyły się, każdy swoją barwą, a sama czarodziejka jakby urosła w oczach Gideona. Z fascynacją obserwował jej zwinne ruchy, które przypominały mu egzotyczny taniec.

Niespodziewanie czarodziejka skupiła ponownie swoją uwagę na zagrożeniu i zaczęła wykonywać przedziwne gesty skierowane w stronę wampira. Kamienie w promieniu kilku metrów od wciąż miotającego się Visiusa zaczęły po kolei eksplodować, niczym krasnoludzkie bomby, zasypując go setkami odłamków. Eksplozje były coraz częstsze i coraz silniejsze. Wybuchały coraz większe kamienie, również te zagrzebane głęboko pod ziemią. Dźwięki huku zlewały się ze sobą, aż w pewnym momencie dało się jedynie słyszeć nieprzerwaną kanonadę. Kapłan nie był już w stanie dostrzec niegdysiejszego rozmówcy, gdyż w miejscu, gdzie stał, wzbijały się w powietrze chmury ziemi, pyłu i kurzu. Wyglądało, jakby ziemia pod stopami Visiusa postanowiła go pochłoniąć.

Kiedy czarodziejka uznała, że już wystarczy, opuściła ręce i zaległa cisza. Wszyscy czekali w napięciu na kolejny zryw wampira, jednak ten nie dawał żadnych znaków życia.

Kurz opadł, a w miejscu, gdzie nastąpiła seria eksplozji, dało się dostrzec tylko przysypany luźną ziemią lej.

Gideon zerwał się na równe nogi i spojrzał pytająco na towarzyszy. Wyglądali na spokojnych, lecz wciąż czujnych.

Paladyn zdezaktywował jasną barierę energii i dobywszy posrebrzanego buzdyganu, ruszył ostrożnie do wyrwy w ziemi. Kiedy stanął na krawędzi leja, dostrzegł tylko przeoraną glebę wymieszaną z darnią. Obrócił się do Adrieli, aby dać jej znać, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, kiedy spod luźnej warstwy ziemi, niczym drapieżny ptak, wystrzelił w powietrze skrzydlaty gargulec. Jednym ruchem szponiastej nogi kopnął rycerza, który runął kilka metrów w tył, sam zaś wzniosł się wysoko w powietrze, aby zapikować w dół i raz na zawsze skończyć z nieproszonym gościem i jego towarzyszami.

Ledwie Jarell upadł ciężko na trawę, czarodziejka uniosła w górę lewą rękę i skomplikowanymi ruchami palców i nadgarstka zaczęła przygotowywać kolejne zaklęcie. Nagle zerwał się wiatr, który z każdą chwilą zaczął przybierać na sile.

Wampir, który już szykował się do ataku, musiał teraz bić skrzydłami jak oszalały, aby utrzymać swoją pozycję i nie dać się porwać wichurze. Walczył zawzięcie, jednak siła żywiołu była większa i w końcu przegrał, poniesiony w dal.

Dostrzegłszy to, czarodziejka przyspieszyła gestykulację ręką, przeobrażając wicher w trąbę powietrzną, która zmateriałizowała się wokół latającego stwora.

Wrecedarm stał oniemiały, obserwując, jak czarna plama będąca Visiusem obraca się w powietrzu z niesamowitą prędkością, targana niczym szmaciana lalka.

Wampir robił, co mógł, aby wyrwać się z zamętu, lecz miotany we wszystkie strony, nie był w stanie samodzielnie uczynić żadnego ruchu. Świat wirował i dezorientował Visiusa, który mógł jedynie czekać, aż ta piekielna karuzela dobiegnie końca i będzie w stanie uciec.

Czarodziejka, widząc, że przeciwnik opada z sił, uniosła w górę drugą rękę, intrygując tym samym kapłana, który czekał w napięciu, co wydarzy się tym razem. Natychmiast owionął go chłód i wstrząsnęły nim dreszcze. Poczuł na policzkach i karku ostre igiełki mrozu, które niesione wraz z wiatrem przeobraziły się w widoczne smugi drobinek lodu zmierzające zewsząd do wciągającej wszystko trąby powietrznej. Po chwili dało się słyszeć dzikie ryki oraz wrzaski przebijające się przez hałas wichury. Trwało to jeszcze przez dłuższy czas, jednak niewzruszona kobieta tylko przyspieszyła ruchy rąk.

Gideon opadł na kolana, skulony w sobie, otulając się szczelnie płaszczem. Czekał, aż walka się skończy, aż wicher ustanie i znowu zapanuje spokój i cisza. Miejsce fascynacji zakłęciami Adrieli zajął lęk o własne życie. A jeśli kobieta nie przestanie i będzie dalej podtrzymywać te anomalie pogodowe? Duchowny nie czuł już rąk wciśniętych głęboko pod pachy, twarz paliła go od zimna. Chciał prosić, aby czarodziejka przestała, jednak zeszywniałe mięśnie twarzy uniemożliwiały mu wydobyć choćby jednego słowa. Lodowate powietrze wdzierало się do nosa i ust, wypełniając płuca przeraźliwym zimnem. Coraz trudniej było mu oddychać i czuł, że opuszczają go siły. Wola walki powoli zanikała, a jego mięśnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Powoli przewracał się na ziemię, nie mając sił dłużej trwać w tej pozycji. Upadek na zimne podłoże wstrząsnął jego zanikającą świadomością, a oczy zamknęły się łagodnie, wyczekując naglego blasku światła, o którym tyle mówiono, że pojawia się w chwili śmierci. Zamiast tego jednak zapanował nagły spokój.

Gideon otworzył obolałe oczy. Znowu ogarniały go niezmacony mrok i cisza, przerywane słabym blaskiem i syczeniem resztek obozowego paleniska. Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Adriela stała nieopodal, rozglądając się czujnie, a Jarell, pochylając się nad czymś, z furią okładał to swoim buzdyganem. Kapłan spróbował wstać, ale natychmiast wstrząsnął nim potężny dreszcz i stracił przytomność.

Kiedy w końcu ocknął się i uniósł ciężkie powieki, dostrzegł dwie postaci pochylające się nad nim. Najwyraźniej został przekreślony na plecy.

– Klecho, słyszysz mnie? – pytała rozmazana sylwetka po lewej stronie.

– Kapłanie? – Druga postać robiła coś z jego twarzą.

Gideon chciał odpowiedzieć, jednak wydobył z siebie tylko świst wydychanego powietrza i nagły kaszel.

– Musisz go ogrzać – paladyn przyglądał się z niepokojem bladej twarzy duchownego.

– Co robiłeś w lesie, klecho? – Adriela zdawała się nie słyszeć polecenia towarzysza.

– Ja... – kapłan próbował odpowiedzieć, jednak ponowny atak kaszlu uniemożliwił mu dokończenie zdania.

– Co robiłeś w lesie? – czarodziejka twardo powtórzyła pytanie.

– Zimno...

– Na wszystkich bogów, ogrzej go! – Paladyn spiorunował wzrokiem kobietę.

Adriela niechętnie wyciągnęła przed siebie rękę i otuliła kapłana kokonem ciepłego powietrza, które w szybkim czasie zdołało przeniknąć i rozgrzać przemarznięte części ciała.

– Co robiłeś w lesie? – kobieta zapytała po raz trzeci.

– Poszedłem... za potrzebą – wydukał z wysiłkiem Gideon.

Rycerz sięgnął po koc leżący nieopodal, przykrył nim kapłana i odciągnąwszy towarzyszkę wystarczająco daleko w mrok, spojrzął w jej zimne oczy.

– Co to miało być? Zgłupiałaś do reszty? Mamy pilnować, aby nic mu się nie stało, a nie przesłuchiwać go jak jakiegoś zbira.

– Chciałam usłyszeć, co ma do powiedzenia – odparła zimno czarodziejka.

– Usłyszałaś. Poszedł za potrzebą, czego jeszcze ci trzeba? Traktujesz go jak wroga, a jest naszym sprzymierzeńcem. – Wściekły Jarell wychodził z siebie.

– Tak? To może zapytasz go, dlaczego zabrał ze sobą bagaż? Często idziesz za potrzebą z całym swoim dobytkiem? – Adriela zmiażdżyła spojrzeniem skonfundowanego rycerza.

Paladyn zacisnął zęby i zamilkł. Rzucił okiem na leżącego przy ledwie żarzącym się palenisku Wrecedarma, oświadczył, że przyniesie drewna do podsycenia ognia, po czym zniknął w mroku.

Kobieta westchnęła ciężko i wróciła zaopiekować się wyziębionym kapłanem.

Kiedy ognisko ponownie zapłonęło, a Gideon rozgrzał się wystarczająco i doszedł do siebie, zgodnie postanowili ruszyć w dalszą drogę, w obawie przed kolejnymi niebezpieczeństwami mogącymi cziąć się w okolicy. Jednocześnie zdecydowali się ominąć las szerokim łukiem. Prędko spakowali rzeczy, a rycerz zarządził, aby cała trójka powiązała się w pasie jego liną niczym stado krów prowadzone na pastwisko. Tym sposobem jeśli któreś z nich zostanie

napadnięte w mroku, towarzysze od razu się zorientują. Wymuszało to również na wszystkich podążanie w grupie bez możliwości odłączenia się.

Gideon, wymęczony przygodą, którą niedawno przeżył, nie miał ani siły, ani chęci, aby przeciwstawiać się trzymaniu go na uwięzi. Nie mógł doczekać się świtu, tymczasem nad ich głowami rozpościerało się nocne niebo pełne gwiazd. Szedł posłusznie za wiodącym ich rycerzem i żywił nadzieję, że za dnia jego towarzysze zdejmą mu obcierający jego biodra powróż i zmniejszą swoją czujność.

Pierwszy plan ucieczki się nie powiódł, ale miał w zanadru jeszcze drugi, który skuteczni w trakcie przekraczania brodu.

O świtaniu dotarli w końcu do brzegu rzeki, gdzie Adriela zarządziła postój. Jarell miał za zadanie rozeznac się w terenie, a ona i kapłan mieli w tym czasie odpocząć. Gideonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Rzucił na ziemię sfatygowany już worek, po czym wygrzebawszy z niego koc, owinął się nim szczelnie i oparty o niewysoką skarpgę usnął.

Kiedy Jarell wrócił z rozpoznania, zastał czarodziejkę przeszukującą swoje rzeczy.

– Wiesz, tak myślę – zaczął, a nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony kobiety, kontynuował: – może ten nocny atak to nie był przypadek? Wiem, że w żadnym stopniu mu nie ufasz – mówiąc to, wskazał głową duchownego śpiącego pod skarpgą – ale może miał ważny powód, aby wejść do tego zagajnika? Jestem błogosławionym wojownikiem i doskonale znam metody działania zła. Być może sprowadzono go tam podstępem, aby uśmiercić? Myślałem nad tym i doszedłem do wniosku... – Rycerz stracił cierpliwość, widząc, jak czarodziejka dalej przetrząsa nerwowo swoje rzeczy. – Czy możesz poświęcić mi odrobinę uwagi? Co ty w ogóle robisz?

– Chciałam zdać raport królowi z naszej nocnej potyczki. Sięgnęłam więc po kryształ kontaktowy, ale... nigdzie nie mogę go znaleźć. – W jej głosie dała się słyszeć lekka nuta paniki. – Wygląda na to, że go zgubiłam.

Paladyn otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz pokręcił tylko głową i ciężko wypuścił powietrze. Ledwie zaczęli swoją misję, a już borykali się z tyloma problemami. Podszedł do kobiety i chwycił jej rozbiegane ręce.

– Adrielo – powiedział powoli – wydaje mi się, że atak na kapłana był zamierzony. Moim zdaniem powinniśmy trzymać się skupisk ludzkich.

– Co mam przez to rozumieć?

– Wróg gromadzi armię martwych. Jeśli będziemy przemieszczać się po odludnych terenach, zdoła nas niepostrzeżenie osaczyć i pochwycić w swoje szpony. Jeżeli wampir był zwiadowcą, mogą nas dopaść w ciągu kilku dni. Być może zależy im na wyeliminowaniu kapłana. Jeżeli tak, spróbuj przedostać się niepostrzeżenie, omijając wszelkie miasta i wsie.

– Chcesz, abyśmy udali się do Kastengravu – odgadła czarodziejka.

– Tak. Ruszylibyśmy wzdłuż rzeki i przed wieczorem znaleźlibyśmy się na uczęszczanym trakcie po jej drugiej stronie. Wtopimy się w tłum i tym samym utrudnimy zadanie przeciwnikowi. Przebywając wśród żywych, nie zdoła się ukryć i nas zaskoczyć.

– Nie wiem, czy masz rację, ale rzeczywiście musimy udać się do Kastengravu, aby zdobyć nowy kryształ kontaktowy. Bez naszych raportów król będzie tkwił w martwym punkcie, a jeżeli poniesiemy klęskę, nawet się o tym nie dowie. – Adriela wstrząsnął dreszcz strachu na samą myśl o takim obrocie spraw.

Kiedy słońce wzniosło się wysoko nad horyzontem, rycerz zarządził wymarsz. Razem z Adriela zwlekli kapłana z ziemi i przedstawili mu dalszy plan podróży.

– Nie musimy przedostawać się przez rzekę? – zapytał, kryjąc rozczarowanie pod maską ulgi.

– Nie. Idziemy prosto do Kastengravu – wyjaśnił paladyn.

W kapłana wstąpiła nowa energia. Podążają do miasta. W obrębach murów zgubienie tej dwójki będzie dziecinną igraszką, a niepostrzeżone wydostanie się z miasta – czystą przyjemnością.

– W drogę zatem! – zawołał ochotczo i zarzuciwszy sobie worek na ramię, poszedł zważym krokiem za Jarellem.

Rozdział 6

ŻÓŁTE ZASŁONY

Duże miasto jest specyficznym miejscem. Mnogość mieszkańców sprawia, że trudno się wyróżnić z tłumu. Dwunastoletni Berian Rink zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Był nadzwyczaj przeciętnym chłopcem: przeciętnego wzrostu, przeciętnej postury, bez charakterystycznych cech zewnętrznych, z przeciętną aparycją. Jedyne, co go wyróżniało spośród rówieśników, to fakt, że jego rodzice nie zarabiali wystarczająco, aby zapewnić mu jakikolwiek rozwój. Miał co jeść, miał dach nad głową oraz opiekę ojca i matki, lecz, jak to zazwyczaj bywa, chłopiec potrzebował dużo więcej, żeby realizować swoje młodzieńcze ambicje.

Berian uwielbiał czytać książki, czym zaraziła go ciotka, która nie mogła znieść myśli, że jej siostrzeniec w wieku dziesięciu lat nie potrafi składać jeszcze liter. W kilka tygodni nauczyła go czytać i pisać, po czym ofiarowała mu jedną z nielicznych książek, które posiadała.

Rink pochłonął dzieło w kilka dni, zauroczony ilością informacji, jakie zostały w nim zawarte. Po skończeniu ogarnął go nagły i niepokonany głód wiedzy, z którego istnienia jak dotąd nie zdawał sobie sprawy. Prosił ojca i matkę, aby kupili mu kolejną książkę, oni jednak nie mogli sobie pozwolić na zbędne wydatki. Kiedy nie przestawał suszyć im głowy, zabronili mu spotykać się z ciotką i zamiast zajmować się głupotami, poszukać rzemieślnika, który przyjąłby go na termin.

Chłopiec nie chciał jednak tracić czasu na bezpłatną pomoc w zakładzie rękodzielniczym, kiedy był ciekaw całego świata. Wymyślił sobie, że jeśli przeczyta wystarczającą liczbę książek, będzie posiadał wiedzę dużo większą niż niejeden rzemieślnik i będzie mógł pracować gdzie tylko zechce. Musiał jednak w pierwszej kolejności wymyślić sposób na zdobycie tych wszystkich dzieł literackich.

Był za mały, aby przyjęto go gdziekolwiek do pracy, ale pewnego dnia zaświtał mu w głowie wspaniały pomysł. Mógł wykorzystać swoją dziecięcą nieporadność i niewinność, tak jak czyniły to bezdomne dzieciaki żebrzące na ulicy. Sprawa wydawała się banalnie prosta, mianowicie wystarczyło prosić ludzi o pieniądze, a oni je dawali. Doświadczenie jednak szybko nauczyło Beriana, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana. Jego uliczni rówieśnicy byli dla niego konkurencją, i to o wiele zdolniejszą w wyłudzeniu datków. Nie było w tym jednak nic dziwnego, gdyż bardzo wyróżniali się z otoczenia zamożnych, a nawet średniozamożnych mieszczan. Nieraz uciekali się do podstępów czy kradzieży, których ofiarą padali ich darczyńcy.

Rink miał świadomość, że gdyby kiedykolwiek dopuścił się kradzieży, ojciec spuściłby mu takie lanie, że prawdopodobnie przez resztę swojego życia nie byłby w stanie siedzieć. Delikatne oszustwo jednak nie było łamaniem żadnego z zakazów rodziców. Chłopiec wiedział, że aby wyróżnić się z chmary wszędzie obecnych konkurentów, musiał wzbudzać więcej litości niż oni.

Berianowi udało się w końcu, metodą prób i błędów, wykreować się na schorowanego, być może nawet umierającego, pozbawionego opieki i schronienia, bezradnego chłopca, którego widok – leżącego bez sił na bruku – chwycił za serce dużo mocniej niż starania natarczywych bezdomnych chłopców obskakujących co zamożniejszych mieszkańców Soblewa.

Niezaprzeczalny sukces Rinka nie mógł jednak przejść niezauważony przez jego konkurentów, którzy w myśl zasady „wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem” zjednoczyli siły, aby wyeliminować cwaniaka, który zgarniał większą pulę datków niż oni.

Trzeciego dnia po Dniu Syrusa wszyscy chłopcy pragnący pozbyć się niczego niespodziewającego się Rinka zebrali się w siódmkę w małym zaułku łączącym się z jedną z głównych arterii Soblewa. Ukrywszy się za

porzuconym i zniszczonym wozem kupieckim, obserwowali bacznie ulicę, którą według jednego z chłopców zawsze przechodził ich konkurent.

Czatowali na niego ponad godzinę. W końcu dostrzegli, jak idzie ulicą, kulejąc nieudolnie i zwracając swoją umorusaną węglem twarz o błagalnym spojrzeniu do mijających go ludzi. Bez zastanowienia rzucili się jak psy myśliwskie na zwierzynę. Dopadli go i błyskawicznie wciągnęli z powrotem w zaułek.

Zdezorientowany Berian nie stawiał początkowo oporu, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Rozpoznawszy jednak w kilku zaciętych minach twarze bezdomnych konkurentów, natychmiast zrozumiał, co zaraz się wydarzy.

Jego ojciec nigdy go nie nauczył, jak należy się bić bądź jak sprawnie ratować się z tarapatów, w związku z czym Rink był zdany na improwizację. Berian natychmiast wykorzystał nieuwagę jednego z chłopców i wyrwawszy z uścisku prawą rękę, wymierzył mu potężny cios pięścią w wychudzony policzek.

W ciągu kilku sekund szarpanina przerodziła się w regularną bójkę, która z kolei w bardzo krótkim czasie zamieniła się w formę egzekucji. Rink leżał skulony na zimnym bruku, a napastnicy, otoczywszy go z każdej strony, zadawali mu bolesne kopniaki i razy pięściami. Chłopcy nie chcieli go zabić, co najwyżej uwiarygodnić jego kreację przed litującymi się nad nim mieszkańcami Sobleva. Bardzo prawdopodobne, że dopięliby swego, gdyby nie przechodząca ulicą zakapturzona postać, która gdy tylko dostrzegła, co się dzieje w zaułku, natychmiast ruszyła z pomocą bitemu chłopcu. Chwyciwszy z ziemi fragment ułamanego trzonka od łopaty, w kilka sekund rozgoniła pastwiące się dzieciaki.

Kiedy już została sama z pobitym Berianem, pochyliła się nad nim i ostrożnie pomogła mu usiąść na zakurzonym bruku. Postać otarła dłonią zakrwawioną i zapłakaną, brudną twarz chłopca, po czym upewniwszy się, że nic poważnego mu się nie stało, zapytała, dlaczego go tak skatowali.

Rinka zaskoczył damski głos dobiegający z głębi kaptura. Szybko jednak odpowiedział, że chłopcy chcieli go wyeliminować z ulicy, gdyż stanowił dla nich konkurencję. Kobieta milczała przez chwilę, po czym sięgnąwszy do obszernej kieszeni swojej połataney i poszarpanej szaty, wyjęła sporych rozmiarów sakiewkę i wręczyła chłopcu, mówiąc, że nie będzie musiał już więcej zebrać. Następnie wyprostowała się i bez słowa zniknęła z powrotem w tłumie mieszkańców zdążających zatłoczoną ulicą.

Oniemiały Rink siedział przez jakiś czas w bezruchu, zdumiony tym, co się przed chwilą wydarzyło, po czym ostrożnie rozsypał rzemyk sakiewki. W środku znajdowały się same srebrne monety, dziesiątki srebrnych monet. Chłopiec rozejrzał się szybko, czy nikt go nie obserwuje, po czym ponownie zasznurowaną sakiewkę wcisnął prędko w kieszeń spodni i zerwawszy się na równe nogi, puścił się pędem do domu. Z takim zapasem pieniędzy będzie mógł w końcu spełnić swoje marzenie i kupić tyle książek, ile zdoła unieść, albo nawet więcej.

Skryta za kapturem kobieta, przedzierając się przez coraz większy tłum ludzi, rozważała w głowie, czy przypadkiem nie popełniła głupoty, ofiarowując chłopcu taką sumę pieniędzy. Powinna działać pod wpływem nie emocji, ale chłodnej kalkulacji. Jednak musiała utrzymać kontakt ze swoją kobiecą naturą, jeśli planowała w przyszłości zostać matką.

Tak naprawdę nie to jest teraz ważne, stwierdziła w końcu, uwalniając się od rozterki moralnej. Miała wiele do zrobienia – i to dużo ważniejszych rzeczy niż wyrwanie z ubóstwa jednej sieroty.

Przeszła ulicą jeszcze kilkaset metrów, po czym skręciła w trochę mniejszą ulicę Bursztynową, skupiającą na całej swojej długości sklepy z biżuterią oraz szykownymi ubiorami. Minęła beznamiętnie przykuwające krzykliwą kolorystyką i wyeksponowanymi towarami witryny sklepowe, po czym skręciła ponownie w skromną uliczkę, której nazwy nawet nie знаła. Brukowana nawierzchnia szybko się skończyła, ustępując miejsca coraz większemu błotowi, wiecznie zalegającemu na pozbawionej rynsztoku uliczce. Kobieta, brnąc nieraz po kostki w błotnistej glinie, przedostała się w końcu na obszerny, wydeptany przez setki stóp plac okolony drewnianymi budynkami mieszkalnymi, z których tylko kilka zasługiwało na to miano. Reszta wyglądała jak porzucone i nieremontowane od dziesiątek lat, straszące zawaleniem się upiory miejskie. Dziury w zapadających się dachach, wypadające z ram okna, oberwane okiennice i zbutwiałe drzwi czyniły te domostwa w oczach kobiety niezdatnymi do zamieszkania. Wiedziała jednak, że każde wolne pomieszczenie w obrębie nieszczelnych, sypiących się ścian było zajęte nieraz przez całe rodziny. Omiotła smutnym wzrokiem spracowane twarze ludzi snujących się po okolicy, po czym

skierowała swoje kroki do wąskiego przejścia między dwoma piętrowymi budynkami. Musiała bardzo uważać, przedzierając się przez wypełnioną śmieciami przestrzeń. Pod jej stopami aż trzeszczało od potłuczonego szkła oraz rozmaitego śmiecia, zalatującego zgnilizną i padliną. Kobieta ostrożnie przedostała się w końcu na drugą stronę przejścia, wychodząc na tyłach jednej z popularnych w okolicy karczm. Rozległy piętrowy budynek był wyposażony w bramę, w której znajdowało się wejście do części mieszkalnej, jednak kobietę interesowała izba karczemna. Przeszła zatem przez korytarz bramy z łukowym sklepieniem, wychodząc tym samym na ulicę Korzenną. Budynek od frontu wyglądał na dużo bardziej zadbane, niż się tego spodziewała. Duży drewniany sztyl wiszący nad wejściem głosił: „Rudy Zając”. Witrażowe okna na parterze, poskładane z wielokolorowych kawałków szkła, skutecznie uniemożliwiały zaglądnienie z ulicy do wnętrza budynku, co zasugerowało kobiecie, że nie wszystko, co odbywa się w środku, jest legalne. Tuż przed przekroczeniem progu karczmy rozejrzała się jeszcze badawczo po okolicy, a mając pewność, że nikt jej nie obserwuje, weszła do środka.

Wnętrze Rudego Zająca przypominało w zasadzie każdą inną karczmę w stolicy. Po lewej stronie znajdował się szynkwaz, zza którego karczmarz miał baczenie na wchodzących i wychodzących gości. Niemal naprzeciwko wejścia, w prawym rogu wznosiły się drewniane schody prowadzące do pokoi gościnnych na piętrze, a po lewej stronie w głębi można było dostrzec drzwi do kuchni. Kwadratowe stoły, którymi była usiana cała izba karczemna, wyglądały na mocno zużyte. Wszystkie karczmy były podobnie, jednak zawsze różniły się zapachem wnętrza. W tym wypadku woń unosząca się wewnątrz była mieszaniną tłuszczu, podłej jakości piwa, łożu i potu.

Uwielbiam takie miejsca – pomyślała gorzko kobieta i zaczęła przemierzać powoli salę, rozglądając się za znajomą twarzą. Mężczyzna, z którym miała się spotkać, siedział przy stoliku stojącym w najciemniejszym rogu izby, pod schodami prowadzącymi na piętro. Dostrzegłszy go, dosiadła się bez słowa, zajmując miejsce plecami do reszty bywalców karczmy.

– Witaj, Gildorfie – przywitała się, zdejmując kaptur. – W całym Soblevie nie było już podlegszej knajpy? – zapytała z przekąsem.

– Była, ale zostawiłem ją na kolejne spotkanie – odparł mężczyzna z uśmiechem. – Nie śledzono cię?

– Ty mi to powiedz, szpiegu.

– Chodzi mi o to, czy twój mąż niczego nie podejrzewa.

– Wiesz przecież, że jest teraz bardzo zajęty. Nie ma czasu interesować się moją osobą – odparła kpiąco, a widząc niepewne spojrzenie rozmówcy, zmieniła temat. – To jak, masz coś nowego w sprawie moich rodziców?

– Cóż... I tak, i nie.

– To tak czy nie?

– Przecesałem ostatnie z miast, które wytypowałeś, jednak bezskutecznie. Brałaś pod uwagę możliwość, że mogli schronić się na wsi?

– Brałam pod uwagę taką ewentualność, ale zbyt dobrze znam moją matkę. Nie wytrzymałaby tygodnia wśród odoru zwierząt, tego jestem pewna.

– Hm... – mężczyzna zamyślił się przez chwilę. – W takim razie mamy tylko nowy trop.

– Jaki? – kobieta zamieniła się w słuch.

– W zasadzie... – Gildorf już miał zacząć, kiedy do ich stolika podszedł pijany, cuchnący moczem mężczyzna szukający okazji do spotęgowania swojego rauszu.

– Kolego, nie chciałbyś może... Napić się... Ze mną? – wybełkotał ochryłym głosem, chwiejąc się na boki.

– Widzisz chyba, „kolego”, że mam już towarzystwo. – Gildorf wskazał siedzącą naprzeciwko kobietę, która natychmiast wbiła wzrok w podłogę pod swoimi stopami, przysłaniając twarz dłonią.

– O... Jak tak... Jak tak, to przep... Przepraszam – odparł niewyraźnie pijak i zataczając się, poczłapał do innego stolika.

– W porządku? – mężczyzna położył dłoń na spoczonej ręce kobiety.

– Tak, nic się nie stało – kiwnęła niemrawo głową, uspokajając oddech.

– Jak mówiłem, mamy nowy trop wiodący do Majrinu.

– Majrin? To południowo-wschodnia część królestwa... – Kobieta rozważała coś przez moment w myślach. – Mało prawdopodobne – orzekła w końcu.

– Tak czy inaczej, to jedyne, co mamy. Chyba że wymyśliłaś coś nowego?

– Prawdę powiedziawszy, zastanawiałam się nad możliwością powrotu rodziców do ich rodzinnych stron, tam gdzie się poznali.

– Zaraz, zaraz... – Gildorf poczuł przymus zaktualizowania sytuacji. – Mówiłaś, że czekali na pomoc od twojego męża, czy tak?

– Zgadza się, ale wiesz... Minęło już półtora roku. Myślę, że mogli zdać sobie sprawę z faktu, że mój mąż zламаł dane słowo i zignorował swoją część umowy.

– Myślisz zatem, że mogli pogodzić się ze swoim losem i wrócić w swoje strony?

– Gildorfie, oni mają już tylko siebie. – Głos kobiety załamał się od nagłego smutku, jaki ją ogarnął. – Jeżeli jest tak, jak myślę, wrócili do Ziin w Travyanie.

Mężczyzna odchylił się na krześle i z namysłem potarł podbródek. Ziin było jednym z większych kupieckich miast Królestwa Travyan – krainy bez głodu i wojen, do której trudno było się przedostać, nie będąc rodowitym Travyaninem.

– Nie jestem w stanie teraz tego sprawdzać. Wiesz na pewno, że król wysłał mnie na zachód, abym zabezpieczył wybrzeże. Travyan jest za daleko, abym mógł działać równocześnie tam i tutaj. Dopiero kiedy minie kryzys, będę mógł poświęcić temu uwagę.

– Rozumiem, masz naturalnie swoje obowiązki względem królestwa – kobieta pokiwała smutno głową.

– Zgadza się – Gildorf przyjrzał się zrezygnowanemu obliczu rozmówczyni i ponownie imadło współczucia zacisnęło się na jego sercu. Zupełnie jak za pierwszym razem, kiedy usłyszał od kobiety historię jej rodziców uciekających przed pragnącymi ich śmierci baronami. Wtedy przyrzekł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby odnaleźć jej matkę i ojca oraz zadbać o ich bezpieczeństwo. – Mogę jednak w tym czasie zbadać trop, który podjęliśmy. Mam w Majrin swojego człowieka, który wszystkim się zajmie.

Kobieta obdarzyła go promiennym uśmiechem i z wdzięcznością ujęła jego dłoń. Nigdy nie zdoła odwdziżyć się za to, co dla niej robi. Był dla niej kimś więcej niż tylko bezinteresownym człowiekiem starającym się jej pomóc. Był dla niej nadzieją na to, że kiedyś tacy ludzie jak on obejmą władzę i zmienią świat w lepsze miejsce.

– Dziękuję, Gildorfie.

– Drobiazg – machnęła niedbale ręką, wyswobadzając ją tym samym z delikatnych, kobiecych rąk. – A teraz, jeśli pozwolisz, wrócę na zamek, gdyż nocą wyruszam na nabrzeże. Wyjdę pierwszy, a ty jakiś czas po mnie. Upewnię się, czy rzeczywiście nikt cię nie śledził – wstał z miejsca i lawirując między stolikami, wyszedł z karczmy.

Kobieta zgodnie z poleceniem założyła kaptur i opuściła Rudego Zająca kilka minut po nim. Kiedy znalazła się na ulicy, od razu skręciła w lewo, kierując swoje kroki do starej dzielnicy mieszkalnej.

Ruch w Soblevie był tego dnia wyjątkowo intensywny. Być może przyczynił się do tego fakt, że władca przeprowadzał przegląd wojska, i to osobiście. Takie wydarzenia zawsze interesowały gawieź i pobudzały społeczny odruch plotkowania. Rozeszło się więc stosunkowo szybko, że król Olaf Prezeus I szykuje się na wyprawę wojenną, choć nikt jeszcze nie wymyślił, z kim Anfer miałyby walczyć. Inna plotka głosiła zaś, że przegląd wojska jest tylko pretekstem do odszukania kryjącego się w szeregach armii złodzieja, który ukradł władcy jedwabną szlafmycę podarowaną mu przez królową tuż po ślubie. Kobieta nie mogła powstrzymać się od śmiechu, słysząc to przypuszczenie.

Kiedy opuściła w końcu szeroki bruk ulicy Korzennej, weszła do najstarszej części miasta, gdzie sypiące się ze starości piętrowe kamienice straszły swoimi pozbawionymi okien fasadami niczym pustymi oczodołami w czaszce. Kobieta ostrożnie lawirowała między wrakami budynków, nasłuchując czyjejś obecności. Ryzyko zaważenia się którejś z budowli było duże, jednak większym ryzykiem było natrafienie na jakiegoś opryszka, który wiedząc, że straż miejska nie zapuszcza się w ten rejon, obrał to miejsce za kryjówkę. Kobieta upewniła się, czy wciąż ma sztylet ukryty pod szatą, po czym weszła do jednego z opuszczonych murowanych budynków.

Wnętrze było całkowicie zrujnowane. Wszędzie na podłodze zalegały kawałki gruzu i połamane szczątki dawnych mebli, których wartość, nawet opałowa, nie była wystarczająca, aby biedota je rozgrała. Kobieta minęła zarwane, zbutwiałe schody i skierowała się długim korytarzem w stronę tylnego wyjścia na podwórze.

Przechodziła dalej z jednego budynku do drugiego, aż w końcu dotarła do celu. Jedna z kamienic sąsiadowała z zamożną dzielnicą mieszkalną, a właśnie tam kobieta chciała się dostać. Skrót, który wybrała, był co prawda jednym z najmniejbezpiecznych w całym Soblevie, ale dzięki niemu oszczędziła sporo czasu i uniknęła przebijania się przez zatłoczony rynek.

Podeszła do jednego z okien na parterze i zręcznym ruchem przeskoczyła na drugą stronę, stawiając stopy na równej i czystej kostce brukowej, sprowadzonej do budowy ulicy aż zza morza. Rozejrzała się z satysfakcją po otaczających ją kolorowych fasadach wymyślnie przyozdobionych budynków mieszkalnych, otoczonych eleganckimi ogrodzeniami lub uroczymi płotkami odgradzającymi prywatne posesje od ulicy. Dzielnica była tak usytuowana, aby odizolować gwar gawiedzi i pospólstwa od tego spokojnego zakątka. Nie bez powodu zresztą nazwano to osiedle Oazą.

Kobieta ruszyła w stronę niedużego piętrowego budynku z cegły, gładko otynkowanego i pomalowanego na ciepły brąz. Stała przed jesionowymi, pokrytymi żółtą farbą drzwiami z solidną mosiężną kołatką, zamocowaną dwoma gwoździami kowalskimi, i bez zastanowienia zastukała nią głośno.

Odpowiedziała jej cisza. Kobieta przestraszyła się, że nikogo nie ma. Jednak po dłuższej chwili usłyszała zza jesionowych desek odgłos zbliżających się kroków. Zamek zgrzytnął dwa razy i w otwartych drzwiach stanął, zaintrygowany niezapowiedzianą wizytą, Abserius.

– Tak? – zapytał nieco zaniepokojony widokiem zakapturzonej postaci stojącej u progu. – Mogę w czymś pomóc?

Kobieta powolnym ruchem zsunęła kaptur z głowy, wpatrując się wymownie w oczy mężczyzny.

Niegdysejszy doradca króla zamarł. Jego twarz ściągnęła się, pełna rosnącego napięcia, które całkowicie go sparaliżowało.

– Wpuścisz mnie? – zapytała łagodnie kobieta, po czym nie czekając na odpowiedź, wtargnęła do środka.

Abserius obejrzał się za nią oszołomiony, po czym rozejrzał się po ulicy za świadkami tego, co przed chwilą zaszło. Pusta okolica uspokoiła go nieco, jednak na wszelki wypadek zamknął drzwi na dwa zamki i odwrócił się do nieproszonego gościa.

– Zamiast tak na mnie patrzeć, mógłbyś zaprowadzić mnie do salonu – zaproponowała kobieta.

– Tak, tak... Oczywiście... – Abserius otrząsnął się z szoku i pozbierał myśli. – Tędy. – Wskazał pomieszczenie obok.

Kiedy weszli do salonu, odsunął kobiecie krzesło przy stojącym na środku stole, po czym sam usiadł naprzeciwko.

– Może coś do picia? – zaproponował, jednak kobieta machnęła przecząco ręką.

– Wydajesz się spięty – zauważyła.

– Nie, nie, to nic takiego...

– Przecież widzę, że coś cię trapi. Powiedz, o co chodzi.

Mężczyzna westchnął ciężko. Musiał zebrać się na szczerość, tym bardziej w sytuacji, kiedy wydarzenia następowały wbrew jego woli.

– Z całym szacunkiem, pani, ale jeżeli król dowie się, że do mnie przyszałaś...

– Mój mąż ma teraz inne rzeczy na głowie. Nie przejmuj się nim.

– Postaram się – odparł Abserius, niepocieszony obrotem sytuacji.

– Masz ładny dom – zauważyła królowa, rozglądając się badawczo po salonie, kiedy jej wzrok zatrzymał się na portrecie młodej kobiety, oprawionym w posrebrzane, rzeźbione ramy. – To twoja żona? – zapytała.

– Tak, to Moira – odparł mężczyzna nieco zbity z tropu.

– Bardzo ładna.

– Była piękna. Nawet kiedy leżała umierająca na żółtą gorączkę – zapewnił Abserius. – Choroba wykańczała ją przez trzy tygodnie. To o wiele dłużej niż zapewniano, a ona dalej była dla mnie piękna. – Mężczyzna posmutniał, wspominając umęczoną chorobą twarz swojej żony. – Z całym szacunkiem, pani, ale co cię sprowadza do mojego domu? Nie jestem już królewskim doradcą, król mnie oddalił.

– Dlatego tutaj jestem. Zależy mi na losie królestwa bardziej niż jemu – odparła bez ogródek Virejna.

– Pani, jak możesz tak mówić o naszym władcy? – wzburzony mężczyzna niemal podniósł głos.

– Abseriusie, służyłeś wiernie mojemu mężowi i królestwu, a mimo to zostałeś oddalony. Myślałam, że ty najlepiej rozumiesz, kto włada Anferem. – Królowa uniosła brew.

– Król Olaf jest być może porywczy, ale...

– Być może. – Kobietę ogarnął pusty śmiech. – Wiesz, Abseriusie, że pochodzę z królewskiego rodu? Moi rodzice władali Królestwem Travyanu, a ja od najmłodszych lat przyglądałam się i uczyłam, jak należy to dobrze robić. Mój ojciec był wspaniałym władcą, który nie bał się kompromisów, ale kiedy zachodziła taka potrzeba, nie uznawał ich. Lud kochał jego i moją matkę, a baronowie, żądni władzy i majątków, nienawidzili ich. Byłam świadkiem podejmowania decyzji o najwyższej wadze, świadkiem ich dobroci i współczucia względem poddanych, świadkiem tego wszystkiego, czego nie doświadczyłam u boku mojego męża, a czego potrzebuje królestwo.

– Pani, król Olaf nie jest być może taki jak twój ojciec, ale...

– Zamilcz! – Virejna uderzyła ręką w blat stołu. – Jeżeli jesteś lojalny w stosunku do królestwa, wysłuchasz mnie. Jeżeli zaś służysz tylko jednemu człowiekowi, który ma za nic prawo, tradycję i swoich poddanych, zaraz stąd wyjdę.

Abserius znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony chciał jak najlepiej dla królestwa, a z drugiej obawiał się tego, do czego królowa pragnie się posunąć, a także tego, że chce go w to zaangażować. Jednak miał rzadką okazję, aby mimo sytuacji, w jakiej był obecnie, wciąż trzymać rękę na pulsie Anferu. Zgodził się zatem wysłuchać swojej pani z zastrzeżeniem, że robi to dla dobra królestwa, a nie dla niej.

– Jak sobie życzysz – odparła nonszalancko. – Przedstawię ci zatem swoje zamiary, a następnie uzgodnimy, co wydarzy się dalej – oświadczyła królowa, poprawiając dyskretnie sztylet, wciąż ukryty pod szatą.

Przez jedno z okien domu Abseriusa można było dostrzec, jak siedział z królową przy stole, a jej usta wypowiadały kolejne słowa, które niczym magiczne zaklęcia zmieniały twarz mężczyzny, przywołując na nią niedowierzanie, następnie strach, aż w końcu skrajne wzburzenie. Kiedy zerwał się z miejsca, żeby stanowczo zaprotestować, z przerażeniem dostrzegł sąsiada przechodzącego za oknem. W mgnieniu oka znalazł się przy parapecie i jednym szybkim ruchem zaciągnął grube żółte zasłony.

Rozdział 7

KASTENGRAV

Kastengrav było obowiązkowym przystankiem na szlaku handlowym przecinającym całe Królestwo Anfer. Duże zagęszczenie w okolicy kopalń i miejscowości przemysłowych było błogosławieństwem dla każdego kupca, który był zmuszony pozbyć się towaru w jak najkrótszym czasie. Popyt w Kastengravie istniał zawsze i na wszystko. Miasto było bowiem lokalnym centrum zaopatrzenia dla ludności w promieniu wielu dziesiątek kilometrów. Równocześnie stanowiło cel pielgrzymek wielu wynalazców, pragnących zrewolucjonizować proces wydobycia i przemysł górniczy. Tak wysoki poziom zainteresowania miastem sprawiał, że było ono jednym z najbardziej rozwiniętych w całym Anferze, jak i najbardziej zamożnym, co od razu rzucało się w oczy. Wszystkie wzniesione w obrębie murów budynki były przemyślane i skrupulatnie wykończone wysokiej jakości materiałami, a ulice, czyste i szerokie, wyłożone były równym, zadbanym brukiem, którego pozazdrościć mogła sama stolica. Prawa panujące w mieście dawały zaś mieszkańcom wiele swobody w prowadzeniu własnych zakładów rzemieślniczych i produkcyjnych, pod warunkiem jednak, że na każdym wyrobie znalazła się sygnatura „Kastengrav”.

Atrakcyjność miasta przyciągała nie tylko ludzi, ale także wielu krasnoludów, chcących wyrwać się ze swojej hermetycznej społeczności i pragnących zasłynąć wyrobami wśród szerszej klienteli. Często byli uważani przez ziomków za zdrajców lub nieudaczników, którzy byli zmuszeni wciskać towar ludziom, gdyż nie spełniał krasnoludzkich norm jakości. Krasnoludzkie wyroby bowiem uznawane były powszechnie za nowoczesne i dużo trwalsze w porównaniu z ludzkimi – tradycyjnymi, masowo produkowanymi z myślą o jak największej sprzedaży. Wśród wielu handlarzy zachwalających towary wyrabiane przez tę rasę funkcjonowało nawet powiedzenie: „Mały, ale trwały”. Wielu rzemieślników, górników oraz zwykłych mieszkańców przekonało się na własnej skórze o trafności tej maksymy, kiedy ich narzędzia, trzykrotnie droższe od zwykłych, po wielu latach ciężkiej pracy były w lepszej kondycji niż oni sami. To ugruntowało pozycję „małych ludzi” wśród mieszkańców Kastengravu i choć ich kultura oraz szeroko rozumiane obycie różniły się na wielu płaszczyznach, krasnoludy zostały zaakceptowane przez społeczeństwo jako równoprawni obywatele miasta, choć nadal krzywo patrzono na mieszane związki małżeńskie, których owocami były ludziaki, jak ich powszechnie nazywano. Ta mieszana rasa, cechująca się przeciętnym wzrostem i wybitną muskulaturą, okazała się wspaniałymi górnikami, drwałami oraz robotnikami, chętnie zatrudnianymi przez ludzi i krasnoludy, mimo że żadna ze stron nie uznawała ich za swoich pobratymców. Zapewne w innych warunkach dochodziłoby do scysji na tle rasowym, jednak w Kastengravie wszystkich łączyły wspólne interesy i każdy znał swoje miejsce w wyznaczonej hierarchii społecznej. To właśnie stanowiło o sile i dynamicznym rozwoju miasta na tle innych metropolii królestwa. Gdyby zaś wystąpiły jakiegokolwiek społeczne przejawy nietolerancji, miasto utrzymywało potężny garnizon straży miejskiej, gotowej do natychmiastowej reakcji i zapewnienia licznych celi więziennych znajdujących się w miejskich podziemiach.

– Ależ tutaj dużo krasnoludów – zauważył Gideon, kiedy wraz z towarzyszami przebiegał przez zatłoczoną ulicę Gościnną, prowadzącą na przestrzał przez Kastengrav.

– Oraz straży miejskiej – dodał paladyn, oglądając się za kolejnym mijającym ich dwuosobowym patrolem.

– Pamiętajcie, aby nie zwracać na siebie uwagi – przypomniła Adriela. – Mamy uchodzić za pielgrzymów.

Mężczyźni kiwnęli głowami na znak, że pamiętają, i w milczeniu podążyli dalej za prowadzącą ich czarodziejką.

Wrecedarm swego czasu odwiedził wiele różnych miast, jednak żadne nie zaintrygowało go tak jak Kastengrav. Nawet Rogowo Dolne było mniej fascynujące niż otaczająca go eklektyczna infrastruktura. Część budowli była wzniesiona ręką ewidentnie ludzką, część krasnoludzką, a jeszcze inne łączyły w sobie mniej lub bardziej zręcznie oba style, tworząc urokliwe, monumentalne budowle o przykuwającym wzrok industrialnym charakterze.

Gdyby tylko Harion i Egius mogli to zobaczyć – pomyślał kapłan, mijając bliżej nieokreśloną budowlę o ruchomej fasadzie, złożonej z mosiężnych, lśniących w słońcu, napędzających się wzajemnie kół zębnych.

Ulica Gościnną zaprowadziła całą trójkę prosto na obszerny rynek, znajdujący się niemal w samym centrum miasta. Okolony sklepami wszelkich branż, pozostawiany straganami i stoiskami, wyglądał w zasadzie jak każdy miejski rynek. Wyróżniała go jednak zainstalowana pośrodku skomplikowana konstrukcja, przypominająca swoim wyglądem bliżej nieokreślony mechanizm, zasłonięty wysoką na dwa piętra szklaną kopułą. Różnej wielkości koła zębate, przekładnie oraz wahadła poruszające się w zawrotnym tempie we wszystkich możliwych kierunkach powodowały oczopląs u każdego, kto wpatrywał się w ich pracę zbyt długo.

– Cóż to takiego? – wydusił z siebie zdumiony Gideon, gdy tylko dostrzegł konstrukcję.

Pozostała dwójka towarzyszy milczała, równie zdumiona widokiem urządzenia, którego przeznaczenia nie mieli jednak czasu analizować.

Bez zbędnych dywagacji przebili się przez mrowie zabieganych mieszkańców i stanęli u podstawy ogromnej konstrukcji. Dopiero teraz zwrócili uwagę na liczne, wpasowane w rozmaitych miejscach urządzenia, tarcze wskazujące czas, datę, zjawiska atmosferyczne, pogodę, lokalne święta oraz rocznice historycznych wydarzeń, w tym również tarczę odliczającą dni do kolejnego Dnia Syrusa.

Trójka kompanów stanęła jak wryta, uświadomiwszy sobie, że stoją przed najbardziej skomplikowanym zegarem miejskim, jaki kiedykolwiek widzieli i prawdopodobnie zobaczą w swoim życiu.

Pierwsza odezwała się Adriela, nie odrywając wzroku od różnej długości wahadeł, kiwających się na kursach kolizyjnych, zsynchronizowanych ze sobą tak, że mijały się nieraz o włos:

– Nie ma co się zatrzymywać – powiedziała niewyraźnie, zahipnotyzowana rytmicznymi wahaniami mechanizmów.

– Tak... – zawtórował jej Jarell, obserwując rozbieganym wzrokiem napędzające się wzajemnie koła zębate.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – oświadczył Wrecedarm przyklejony do szklanej kopuły niczym małe dziecko do witriny z łakociami.

– Idziemy! – Kobieta pociągnęła za sobą obu mężczyzn z powrotem w tłum. – Obejdziemy wszystkie sklepy na obwodzie rynku. Im szybciej znajdziemy kryształ kontaktowy, tym wcześniej ruszymy dalej.

Kapłan wyraził głośno aprobatę, jednak nie spieszyło mu się do opuszczenia tego miejsca. Wciąż szukał okazji do czmychnięcia gdzieś w bok i zgubienia się w tłumie, co było obecnie niewykonalne, gdyż paladyn nie odstępował go nawet na krok. Gideon musiał wymyślić jakiś pretekst lub zaczekać na odpowiedni moment.

Obejście wszystkich sklepów na rynku wydawało się prostym i szybkim w realizacji zadaniem. Nic bardziej mylnego. Nie każda branża mogła dysponować magicznym artefaktem w swoim asortymencie, więc czarodziejka na wstępie wykluczyła sklepy zaopatrzenia domowego, sklepy narzędziowe i z żywnością. Niestety, lwia część szyldów określała dosyć mętnie rodzaj towaru, jakim handlował właściciel. Tak więc trójka podróżników była zmuszona odwiedzić lokale o enigmatycznych nazwach: „Przeróżności”, „Wszystko i Nic”, „Coś Niecoś”, „Trochę Tego i Tamtego”, „Mówisz i Masz”, „Płacisz i Masz” oraz „Wszystko”.

– Tak – mruknęła znużona czarodziejka. – Wszystko oprócz kryształu kontaktowego.

Wyszli właśnie z ostatniego sklepu, który dawał im nadzieję na znalezienie tego, czego szukali. Było południe, a oni tkwili w punkcie wyjścia.

– Niemożliwe, aby w tak wielkim ośrodku handlu nie posiadali takiego artefaktu – zapewnił paladyn. – Powinniśmy szukać dalej.

– Będzie szybciej, jeśli się rozdzielimy i spotkamy się tutaj za jakąś godzinę – zaproponował Wrecedarm, jednak szybko pożałował swojego podstępu, gdyż pozostała dwójka błyskawicznie odrzuciła propozycję jako zbyt niebezpieczną.

– Cokolwiek by się działo, trzymamy się razem – oświadczył Jarell dobitnie, po czym ruszyli za kobietą w głąb miasta.

Kapłanowi zaczął już doskwierać głód, więc zaproponował, aby zrobili sobie przerwę i dla odmiany znaleźli jakąś karcznię. Rycerz poparł kapłana, ponieważ również zmęczyła go wędrówka w poszukiwaniu igły w stogu siana. Czarodziejka pozostawała jednak nieugięta i oświadczyła, że zjedzą dopiero wtedy, kiedy znajdą to, czego szukają. Zrezygnowani mężczyźni, powłócząc nogami, ruszyli więc dalej za przewodniczką, która wiodła ich tym razem wąską alejką na zachód.

Kluczeniu uliczkami nie było końca, aż niespodziewanie ponownie znaleźli się na ulicy Gościnnej. Kobieta załamała ręce i była bliska rwania swoich pięknych włosów z głowy, kiedy uwagę kapłana przykuł, wykonany z miedzianej blachy, szyld z napisem: „Lombard”. Gideon natychmiast przypomniał sobie Rodgara i jego asortyment, który obejmował dosłownie wszystko.

– Może lombard? – zapytał zmęczonym głosem i wskazał ręką chyboczącą się na wietrze miedzianą blachę.

Czarodziejka automatycznie chciała go złać za marudzenie, któremu się przez ostatnie półtorej godziny oddawał, jednak kiedy dotarł do niej sens wypowiedzianych przez niego słów, obejrzała się prędko w kierunku, który wskazywał.

– Lombard – powtórzyła wolno, jakby nagle doznała długo wyczekiwanego olśnienia. – Oczywiście, że lombard. – Niczym narowisty koń ruszyła z miejsca, pozostawiając za sobą kompanów, którzy potrzebowali chwili, aby ją dogonić.

Budynek znajdował się na rogu ulicy Gościnnej oraz nieoznaczonego żadną tabliczką brudnego zaułka, od którego strony znajdowało się wejście do lombardu.

Ariela pierwsza przekroczyła próg, a tuż za nią znaleźli się w środku Gideon oraz Jarell. Wystrój wnętrza bardzo przypominał Wrecedarmowi przybytek Rodgara w Rogowie Dolnym. Tutaj również wszędzie stały regały pełne różnorodności, jednak w przeciwieństwie do podziemnego lombardu panował tu zaskakujący porządek. Cały asortyment poukładany był równo na półkach, które nie były zbite ze zwykłych heblowanych desek, ale stanowiły elementy eleganckich lakierowanych mebli, których próżno było szukać w podziemnym mieście. Wnętrzu dodawały przepychu oprawione w ozdobne ramy obrazy wiszące na ścianach oraz rozmaite dzieła sztuki poustawiane zmyślnie w całym pomieszczeniu. Naprzeciwko wejścia znajdowała się długa na całą szerokość ściana dębowa lada z przeszklonym blatem, zza której ląpał na nich bystrymi oczami właściciel tego interesu – przysadzisty krasnolud.

Minęło już sporo czasu, odkąd miał u siebie jakiegoś klienta, widząc zatem troje ludzi wkraczających do środka, postanowił wydusić z nich ostatniego miedziaka, jeśli będą czegoś potrzebować, lub wypuścić ich z garścią miedziaków, jeżeli planują coś zastawić.

Kiedy trójka nieznajomych podeszła w końcu do kontuaru, krasnolud uśmiechnął się promiennie i powitał ich, przedstawiając się grzecznie. Równocześnie fachowym okiem starał się ustalić, z kim ma do czynienia oraz ile będzie w stanie zarobić na tej trójce.

– Witam, jestem Marv. Wszystkie moje towary są przedniej jakości – zachwalał swój asortyment. – Daję na nie miesięczną gwarancję.

– To bardzo pięknie – odparła beznamiętnie czarodziejka – ale przyszliśmy tutaj po jedną, bardzo konkretną rzecz.

– Zamieniam się w słuch. – Marv był bardzo kontent, że to kobieta będzie ubijać z nim interes. Planował tak ją zbajerować, że jutro wróci tutaj z koleżankami.

– Potrzebujemy kryształu kontaktowego.

Krasnolud ze zdumienia aż uniósł brwi. Był w posiadaniu takiego artefaktu od ponad pięciu lat i od tamtej pory nikt się nim nie interesował. Najwyraźniej źle ocenił nieznajomych, gdyż kryształ był stosunkowo rzadkim i z całą pewnością cennym przedmiotem. Miał więc prawdopodobnie do czynienia z osobami, które obeznane były z tematem. Nie zmieniało to jednak jego zamiarów, aby zarobić na tej transakcji, która właśnie zaczęła zapowiadać się wyjątkowo obiecująco.

– Kryształ kontaktowy... Zdaje mi się, że gdzieś posiadam jedną sztukę... Momencik. – Marv zniknął na zapleczu, gdzie chował najcenniejsze towary, których kradzieży nie byłyby w stanie odzłować. Już po chwili wrócił

do klientów z niepozornie wyglądającą drewnianą szkatułką, którą postawił na szklanym blacie przed kobietą. – Proszę uprzejmie.

Adriela, trochę zaniepokojona łatwością, z jaką krasnolud znalazł artefakt, bardzo ostrożnie uchyliła wieczko skrzynki. Wewnątrz na miękkim materiale spoczywał minerał, którego szukała.

Kryształ przypominał swoim wyglądem zwykły górski kwarc, jednak mimo że był przezroczysty, opalizował wszystkimi kolorami, zależnie od światła, które na niego padało. Niezwykle przejrzysta bryła była poprzecinana ułożonymi promieniami ciemniejszymi igiełkami, będącymi w rzeczywistości magiczną energią, którą był nasycony. Im wyraźniejsze były, tym więcej energii zawierał taki artefakt. Minerał był misternie okuty błyszczącym srebrem z wygrawerowanymi krasnoludzkimi runami.

Czarodziejka ujęła kryształ w dłoń i natychmiast poczuła, że ma do czynienia z prawdziwym artefaktem magicznym, a nie z ładnie wykonaną podróbką. Energia płynąca z kamienia rozlała się po ramieniu kobiety, powodując delikatne mrowienie skóry na całej ręce.

– Ile? – zapytała, powstrzymując entuzjazm. Nie chciała dawać krasnoludowi pretekstu do zawyżenia ceny.

Marv przeprowadził w głowie ostatnie szacunki i kalkulacje, po czym, gładząc się po swojej rudej brodzie, przedstawił sumę, jaką pragnie otrzymać.

Kapłanowi opadła szczeka, kiedy usłyszał kwotę. Nie był pewien, czy całe wyposażenie jego gabinetu było tyle warte. Spojrzał zszokowany na stojącego obok paladyna, myśląc, że może się przesłyszał, jednak Jarell również stał z mieszaniną niedowierzania i zdumienia na twarzy.

– No chyba sobie żartujesz – parsknęła czarodziejka. – Za tyle złota moglibyśmy nabyć rumaka bojowego z pełnym opancerzeniem.

– Albo nawet dwa – mruknął wciąż oniemiały rycerz.

– Cóż mogę poradzić? – Marv rozłożył bezradnie ręce. – Jakość kosztuje, a kamień został wykonany przez moich ziomków, tyle jest więc wart.

– Nie zapłacimy takiej kwoty – oświadczyła twardo Adriela.

– Cena nie podlega negocjacji – odparł krasnolud, wzruszając ramionami. – Prowadzę interes i nie mogę sztucznie zaniżać wartości towarów. To byłoby nie w porządku w stosunku do mojej konkurencji. Jeżeli to dla was za drogo, poszukajcie innego egzemplarza, ale nie sądzę, abyście gdzieś znaleźli kryształ tak przedniej jakości.

Kobieta chciała coś ostro odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Zamiast tego obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Obaj mężczyźni, niczym posłuszne ogary, ruszyli za nią.

Kiedy zatrzasnęli za sobą drzwi, odeszli kawałek w głąb pustego zaułka, aby się naradzić. Adriela była wściekła na krasnoluda za jego beczelną postawę, jednak wiedziała, że to być może ich jedyna okazja.

– To co robimy? – zapytał niepewnie Gideon.

– Szukamy dalej, nie mamy nawet połowy tej kwoty – stwierdził rycerz.

– Wystarczająco dużo czasu straciliśmy już na poszukiwaniach – oświadczyła poirytowanym tonem czarodziejka. – Musimy mieć ten kryształ i jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

– Jak niby mamy to zrobić? – zapytał zrezygnowany Jarell.

– Może powołamy się na Olafa. Przecież królowi nie odmówi – zaproponował Wrecedarm.

– Nasza misja jest tajna. – Kobieta prawie wychodziła z siebie, tłumacząc kapłanowi po raz kolejny ich sytuację. – Nikt nie może poznać prawdziwego celu naszej podróży ani tożsamości naszego mocodawcy. To...

– Sprawa wagi państwowej – dokończył Gideon, cytując mantrę kobiety powtarzaną średnio trzy razy dziennie. – Ale coś musimy zrobić.

– Owszem – odparła Adriela po chwili zadumy. – Musimy go ukraść.

– Ukraść? – kapłan upewnił się, czy dobrze usłyszał.

– Tak. Od nas zależy przyszłość Anferu, więc musimy zrobić wszystko, aby...

– Nie zamierzam nikogo okradać – zaproponował Jarell.

– Słucham? – Czarodziejka nie wierzyła własnym uszom. – Nie mamy innej możliwości.

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczył zimno rycerz. – Obowiązuje mnie kodeks, którego przysięgałem przestrzegać do końca swoich dni. Nie złamię go tylko dlatego, że ty nie widzisz innego wyjścia.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

– Poszukamy innego kryształu i kupimy go jak uczciwi ludzie.

– Uczciwi ludzie? Ważą się losy naszego królestwa, a według ciebie najważniejsza jest w tej chwili uczciwość? – Kobieta ogarniała szal. – Wiesz gdzie mam ten twój kodeks? Mógłbyś przestać myśleć tylko o sobie i poświęcić się dla całego kraju, nie?

– Tutaj nie chodzi o mnie, ale o kradzież. Pozbawimy kogoś jego własności, a to już jest występki.

– Ten karypel celowo zawyża cenę, to on próbuje nas okraść! Nie dociera do ciebie, że to chciwy cwaniak, który chce z nas wydusić, ile tylko zdoła?

– Nie wiesz tego, a ja nie zamierzam brać udziału w twojej paranoi.

– Słuchaj no, praworządny tępaku. – Adriela chwyciła rycerza za poły ubrania i zaczęła go szarpać. – Król spodziewa się efektów, a ja zamierzam spełnić jego oczekiwania. Jeżeli swoją małostkowością narazisz naszą misję, osobiście doniosę o tym władcy, a wtedy twój kodeks będzie najmniejszym z twoich zmartwień. Rozumiesz?

Paladyn, nieporuszony, milczał, dając do zrozumienia, że nie zamierza ustąpić. Od wczesnej młodości uczył się żyć honorowo i kierować się kodeksem, który był dla niego sensem istnienia. Tylko życie według pewnych zasad było coś warte i tylko takie umożliwiała rozwój i postęp społeczeństwa. Nie było mowy o ustępstwach, a fakt, że kobieta tego nie pojmowała, tylko go w tym utwierdzała.

Czarodziejka puściła mężczyznę i rozwścieczona jego głupotą zaczęła przechadzać się nerwowo w kółko, niczym dziki zwierz w klatce. Musiała zdobyć kryształ, ale nie kosztem rozłamu w drużynie. Musieli trzymać się razem i polegać na sobie mimo różnic światopoglądu i wyznawanych wartości. Skoro nie mogli dojść do porozumienia, musiała działać sama, bez udziału towarzyszy.

– Dobrze, wygląda na to, że nie mam co liczyć na mężczyzn i muszę poradzić sobie sama – oświadczyła w końcu. – Pilnuj, aby nikt nie wszedł do środka – zwróciła się do rycerza i ruszyła ponownie do lombardu.

– Co zamierzasz? – zapytał zaniepokojony Jarell.

– Jestem kobietą, obniżę cenę po swojemu – odparła dziarsko, po czym szarpnęła za klamkę i już po chwili drzwi zatrzęsnęły się za nią głucho.

Jarell nie miał pewności, co zamierza uczynić jego towarzysza. Cenił własny honor, jednak nie kosztem czci kobiety, za którą czuł się odpowiedzialny. Ponadto Adriela miała przecież męża, którego honoru w tym momencie również musiał bronić. Wierzył, że wszystko można rozwiązać, nie uciekając się do podłości, podstępów czy rozwiązłości.

Pełen napięcia przywarł do brudnej powierzchni drewnianych drzwi i przystawiwszy ucho, najmocniej jak tylko potrafił nasłuchiwał, gotów w każdym momencie wparować do środka i przerwać wszelkie niegodziwości, które będą się tam odbywały.

Gideon, mimo osłupienia, jakie wywołała u niego kłótnia towarzyszy, zachował wystarczająco dużo rozsądku, aby natychmiast wykorzystać sytuację do zniknięcia i zgubienia się w tłumie panującym na ulicy Gościnnej.

Przemknął ostrożnie za plecami przytulonego do drzwi rycerza i nie powodując żadnego poruszenia wśród tłumu, przeciął ulicę Gościnną, kierując się do opuszczonej uliczki pełnej drewnianych skrzyń i beczek. Przecisnął się niezgrabnie obok zalegających rupieci i oglądając się za siebie niespokojnie, skręcił w pierwszą odnogę alejki. Tuż za rogiem jednak wpadł na coś zagradzającego mu dalszą drogę. Kiedy oszołomiony rozeznał się w sytuacji, jego oczom ukazał się masywny ludziak stojący mu na drodze i wpatrujący się w niego z paskudnym uśmiechem. Był to ostatni widok, jaki zdołał zapamiętać, gdyż chwilę później usłyszał głucho uderzenie, a w oczach mu pociemniało. Osunął się na kocie łby i stracił przytomność.

Osadzony w lichej łupinie własnego jestestwa, dryfował po rozległym morzu snów. Obrazy i uczucia prześlizgiwały się pod nim niczym mgielne opary, pozostawiając po sobie nieprzyjemne uczucie lepkości. Obrazy, rozciągnięte i zniekształcone, zaczęły marszczyć się na niezgłębionej tafli nieświadomości, która, zmącona

wzmagającym się wiatrem niepokoju, falowała nierówno, miotając kapłanem na wszystkie strony. Wśród spienionych emocji i obrazów dostrzegł nagle niewyraźną twarz kobiety. Nie znał jej, jednak przecucie podpowiadało mu, że była jego matką. Kolejny podmuch wiatru rozbił o burtę wizję, która została zastąpiona przez kolejną, wyłaniającą się po drugiej stronie łupiny: młody Gideon uciekał brudną ulicą przed piekarzem, tuląc, niczym najcenniejszy skarb, bochen chleba, którego wściekły mężczyzna nie zamierzał mu darować. Obraz przeniknięty strachem i bólem rozmył się w trakcie kolejnego uderzenia nawałnicy. Sztorm, który się rozpetał, niemiłosiernie rzucał teraz kapłanem. Potężne bałwany na ułamki sekund przybierały postać kolejnych scen z życia Wrecedarma, aby rozbić się po chwili z hukiem. Nagle uczucie niepokoju zostało zastąpione panicznym strachem, bezradnością i niedowierzaniem, które niczym ogromny cień zawisły nad kapłanem. Odwrócił się, przeczując niebezpieczeństwo, które czai się za nim. Ogromna fala, w której dostrzegł oddziały nieumarłych potępieńców, brnące przez płonące miasta, wyrosła z topieli niczym góra. Wrecedarm zasłonił się rękami, jednak było to bezcelowe. Bałwan runął na łupinę, przewracając ją do góry dnem i wciągając w topiel snów, posyłając ją na samo dno świadomości.

Kapłan otworzył oczy. W głowie mu szumiało, jakby wypił o jedną butelkę za dużo. Wziął głęboki oddech, zbierając siły, żeby wstać, lecz gdy tylko spał mięśnie, aby usiąść, nagła błyskawica bólu powstrzymała jego zamiar. Skrzywił się i ciężką ręką złapał za obolałą głowę. Towarzyszący temu metaliczny grzechot uświadomił mu, że coś jest nie tak. Zdał sobie sprawę, że nie leży na ulicy. Panujący półmrok wystarczył, aby Gideon stwierdził, że znajduje się w pomieszczeniu. W zimnym, zatęchłym i wilgotnym pomieszczeniu, do którego nie docierały żadne dźwięki z zewnątrz. Łańcuch, którym był przykuty za nadgarstek do ściany, zadzwonił głucho, kiedy Gideon podniósł się w końcu na nogi. Pomieszczenie musiało być z pewnością czyjąś piwnicą, której połowę przystosowano do niewolenia ludzi, odgradzając ją żelazną kratą.

Wrecedarm był zupełnie zbitý z tropu. Jedyne, co pamiętał, to uliczka, w którą skręcił, i... Coś tam było. A może ktoś? Ludziak! Wpadł na niego i najwyraźniej się przewrócił... Ale dlaczego go uwięziono?

Rozmyślenia przerwał mu głośny zgrzyt otwieranych drzwi. Następujące po nim kroki wprawiły Gideona w niepokój, ale dawały szansę na wyjaśnienie sytuacji. Z półmroku wychynęły dwie postaci, które stanęły tuż przy żelaznej kratce odgradzającej resztę piwnicy. Było to dwóch zamaskowanych mężczyzn, którzy przyglądali mu się w ciszy. Jednym był ludziak, prawdopodobnie ten sam, na którego Wrecedarm wpadł w alejce, drugi nie wydawał się kapłanowi znajomy – niski, jakby przygarbiony, sprawiał wrażenie schorowanego, jednak jego żywy głos zdecydowanie temu przeczył.

- Obudziłeś się. Dobrze – pochwalił kapłana.
- Kim jesteście? – zapytał Gideon, wciąż wierząc, że zaszło jakieś nieporozumienie.
- Ważne, kim ty jesteś – odparł garbaty.
- Jestem ... – Gideon próbował przypomnieć sobie przykrywkę wymyśloną przez czarodziejkę, ale nadal miał straszny mętlik w głowie. – Nikim – stwierdził w końcu.
- Nie kłam – huknął ludziak, waląc pięścią w kratę.
- Widzieliśmy cię z twoimi ochroniarzami. Jesteś z pewnością zamożnym szlachcicem albo chociaż przedsiębiorcą, skoro wymagasz takiej asysty. – Niski mężczyzna pokiwał głową z uznaniem. – Nie znaleźliśmy przy tobie ani grosza, więc z pewnością to oni dysponują pieniędzmi.
- Ochroniarze? – Wrecedarm nie bardzo pojmował, o co im chodzi.
- Obserwowaliśmy was, więc nie próbuj się wykręcać.
- Nie jestem żadnym szlachcicem ani przedsiębiorcą! Czego ode mnie chcecie? – Kapłan powoli tracił cierpliwość, słuchając tych bzdur.
- Załadamy za ciebie okupu. Wtedy cię wypuścimy, a na razie zostaniesz tutaj.
- To jest jakaś pomyłka... Jestem kapłanem, nie jestem wcale bogaty!
- A ja jestem leśną wróżką. – Garbaty udał, że macha skrzydełkami, co wywołało wybuch dzikiego rechotu jego towarzysza. – Lepiej coś zjedz, nie chcemy, abyś czuł się źle traktowany, w końcu jesteś naszą inwestycją. – Postawił

na ziemi drewnianą tacę z kawałkiem pieczonego mięsa i chlebem, po czym podsunął ją kijem wprost pod nogi kapłana.

– Nie mam żadnych pieniędzy, nie jestem szlachcicem! – powtórzył Gideon, lecz rozmówcy kierowali się już do wyjścia, nieporuszeni jego słowami.

Po chwili kapłan został ponownie sam jak palec, otoczony półmrokiem piwnicy. Niewiele mogąc poradzić na swój los, sięgnął po drewnianą tacę z jedzeniem. W zaistniałej sytuacji przynajmniej głód mógł się pozbyć. Zabrał się za przeżuwanie ledwie ciepłego mięsa z kilkudniowym chlebem. Nie był to wykwintny posiłek, ale głód jest najlepszym kucharzem. Kiedy skończył i przełknął ostatni kęs, ogarnęła go senność, której z racji swojego położenia nie zamierzał przepędzać. Przybrał najwygodniejszą pozycję, na jaką mógł sobie pozwolić, i w ciągu kilku minut zapadł ponownie w głęboki sen.

Z błęgiego stanu wyrwały kapłana hałasy dobiegające z góry. Kiedy wsłuchał się bardziej, okazały się krzykami poprzeplatany dźwiękami bliżej nieokreślonych zniszczeń. Po niedługim czasie nastąpiła cisza, którą z kolei przerwała potężna eksplozja. Drzwi do piwnicy, zamienione w płonące drzazgi, posypały się po schodach, zostawiając za sobą zadymiony szlak destrukcji.

Przerażony Gideon, nie mając bladego pojęcia, co właściwie się dzieje, zaczął w panice szarpać łańcuch. Robił, co tylko mógł, aby się uwolnić i spróbować uciec, zanim nieznanymi napastnikami zejść na dół i dopiero wtedy odczuje na własnej skórze, w co nieświadomie się wplątał. Z całych sił starał się oswobodzić rękę z kajdan, które mu założyli porwawcze, jednak im mocniej próbował, tym większy ból sobie zadawał. Kiedy stwierdził, że to na nic i musi przeciąć łańcuch, usłyszał za sobą szmer. Z duszą na ramieniu odwrócił się w stronę kraty, przygotowany na ostatni widok w swoim życiu. Natychmiast ogarnęły go mieszane uczucia. Przed żelazną kratą stali jego towarzysze, przyglądając mu się z ulgą.

– Odnależliście mnie! – Gideon ostatkiem rozsądku nasycił ton swojego głosu sztuczną radością.

Adriela przyglądała się kapłanowi sceptycznie, lecz po chwili przyłożyła rękę do zamka w kracie, który natychmiast strzelił iskrami i roztopionymi fragmentami żelaza. Rycerz pchnął furtę i oboje weszli do celi.

– Wszystko w porządku? – zapytał paladyn, oswobodzając kapłana z żelaznego uścisku kajdan.

– Przeżyję – odparł Wrecedarm, przyglądając się wciąż nieporuszonej czarodziejce. – Idziemy? – zapytał kobietę.

– Najpierw chciałabym się dowiedzieć, jakim cudem zostałeś porwany?

– Słucham?

– Przecież cały czas byłeś z Jarellem.

– Owszem i w momencie, kiedy zaaferowałem się drzwiami lombardu, zostałem obezwładniony i ogłuszony za jego plecami.

– Jak to za plecami? – zapytała czarodziejka, zerkając na rycerza.

– Musiałem się upewnić, że nic ci nie grozi i nie zamierzasz nadwyrężyć swojej czci – odparł twardo Jarell.

– W związku z tym postanowiłeś narazić całą misję, pozwalając, aby wprowadzili klechę? – Ton kobiety sugerował zbliżający się nieuchronnie wybuch gniewu.

– Nie jestem w stanie się rozdziwić ani przewidzieć każdego zdarzenia, jakie się szykuje – bronił się mężczyzna.

– Dlatego właśnie powinieneś skupić się na kwestii najważniejszej. Czyż nie? – Lodowaty ton Adrieli wzbudził poczucie winy w samym Gideonie, o paladynie nie wspominając. – Nic ci do tego, co czynię ze swoim życiem – zakończyła beztłoniście.

– Wiecie co? – Kapłan postanowił trochę załagodzić napięcie. – Jestem cały i zdrowy, a wasza akcja ratunkowa mogła wzbudzić czyjeś zainteresowanie, więc może pokłócicie się później, a teraz wydostaśmy się stąd w końcu.

W tej kwestii wszyscy okazali się zgodni i pozbierawszy z podłogi rzeczy Wrecedarma, ruszyli do wyjścia. Gdy pokonali schody, kapłanowi ukazał się widok nieprzeciętnego zniszczenia. Salon, do którego weszli, wyglądał jakby przetoczył się przez niego huragan. Wszystkie meble były powywracane, a cała zastawa, naczynia i wszelkie bibeloty zaścierały grubo i elegancki dywan leżący na podłodze. Część zasłon w oknach była pozrywana, oberwana lampa

zwisała z sufitu na jednym z trzech solidnych łańcuchów. Gideon dałby sobie rękę uciąć, że przyczyną takiego stanu rzeczy była z pewnością jego towarzyska, z którą, jak już zdążył się zorientować, nie należało zadzierać.

Kiedy w końcu wydostali się z budynku, kapłan ze zdumieniem zauważył, że panuje już zmrok.

– Owszem, dlatego musimy jak najszybciej wydostać się z miasta i ruszyć w drogę – odparła ponuro czarodziejka, szybkim krokiem prowadząc mężczyzn do głównej ulicy.

Ledwie zdolali dotrzeć do ulicy Gościnnej, gdy z naprzeciwka z jednej z uliczek wysypał się czteroosobowy oddział straży miejskiej, wiedziony przez ludziaka i już niegarbatego mężczyznę, którzy gdy tylko dostrzegli trójkę podróżników przed sobą, natychmiast wskazali ich strażnikom. Tamtym nie trzeba było dwa razy powtarzać – rzucili się w stronę zdumionego kapłana i jego towarzyszy, krzyżąc, żeby zostali na swoich miejscach.

Adriela natychmiast pociągnęła mężczyzn z powrotem w głąb uliczki, z której przed chwilą wyszli. Ruszyli biegiem przed siebie, skręcając to w prawo, to w lewo, w odnogi prowadzące w nieznanym im rejonie Kastengravu.

Po kilkunastu minutach kluczenia między zabudowaniami w końcu udało im się na dobre zmylić pogoń i teraz już spokojnie, lecz ostrożnie, przemykali kolejnymi wąskimi przejściami, unikając większych arterii miejskich. Czuli się jak zaszczute zwierzęta w labiryncie, z którego nie znali wyjścia. Wszystkie nerwy i zmysły mieli napięte niczym postronki, gotowi w każdej chwili zareagować na kolejne zagrożenie. Kiedy czarodziejka dostrzegła zza narożnika jednego z budynków zbliżający się oddział straży miejskiej, który już raz zgubili, prędko zarządziła cofnięcie się w głąb uliczki i przedostanie się nią na tył oddziału. W tym czasie jednak pojawiło się w okolicy kolejnych sześciu strażników, wiedzionych tym razem przez wściekłego właściciela lombardu.

Gdy tylko trójka bohaterów przeszła cicho za plecami jednego oddziału straży, natychmiast wpadła na drugi, znajdując się tym samym w potrzasku. W mgnieniu oka zostali otoczeni przez dziesięciu uzbrojonych ludzi, którzy nie zamierzali z nikim pertraktować. Adriela po krótkim zastanowieniu uznała sytuację za patową i wbrew własnej woli poleciła towarzyszom poddanie się. Całą trójkę zakuto w kajdany i powiedziano prosto do garnizonu, gdzie mieli czekać w areszcie do następnego dnia, aż zostaną przesłuchani przez dowódcę straży. Tuż przed wejściem przejęło ich trzech zbrojnych, którzy wprowadzili ich do środka budynku.

Budynek garnizonu był nad wyraz okazały. Bardziej przypominał ratusz niż siedzibę straży miejskiej, a to za sprawą eleganckich kolumnienek zdobiących bogato wykończoną elewację oraz zmyślnej sztukaterii wieńczącej gładkie sufity, wiszące nad błyszczącą kamienną posadzką wewnątrz budowli. Podziemia garnizonu, gdzie cała trójka została zaprowadzona, nie były już tak wyszukane. Gołe kamienne ściany okalały wąskie korytarze, oświetlane gdzieniegdzie pojedynczymi łożowymi kagankami. Coraz intensywniejszy smród sugerował, że są coraz bliżej celi więziennych, w których mieli spędzić co najmniej resztę nocy.

Po kilkunastominutowym kluczeniu wąskimi przejściami dotarli w końcu do kraty, za którą znajdowały się kamienne schodki prowadzące na jeszcze niższy poziom podziemi. Jeden ze strażników otworzył furtę i cała grupa zeszła na dół, docierając w końcu do obszernego pomieszczenia, przypominającego do złudzenia piwniczną celę, w której został zamknięty Wrecedarm. Część ścian w identyczny sposób została odgradzona kratą, a reszta przestrzeni zastawiona była przeróżnymi przedmiotami, zapewne skonfiskowanymi w trakcie czynności służbowych.

Całą trójkę wprowadzono do celi, jednak najpierw zarekwirovano im cały ekwipunek, który posiadali, i złożono go na stojącym pośrodku pomieszczenia stole, z wyjątkiem pierścieni czarodziejki, które strażnik schował do metalowej kasetki stojącej na jednej z wysokich półek pod ścianą. Zbrojni jeszcze jakiś czas przetrząsali bagaże pojmanych, wykładając każdą rzecz na blat stołu, a kiedy skończyli, bez słowa wyszli z pomieszczenia, zostawiając więźniów samych sobie.

– Wspaniale, po prostu wspaniale! – wybuchła nagle czarodziejka, machając rękami. – Powinniśmy być poza miastem godziny temu, a tymczasem tkwimy tutaj niczym szczury w klatce. Pięknie to rozegraliście, panowie.

– Słucham? – oburzył się Jarell. – O co ci chodzi? Dlaczego to niby nasza wina?

– A może moja? To ja pozwoliłam uprowadzić klechę? Ja dałam się po cichutku porwać jakimś przygłupom, zamiast trzymać się grupy? Nie... Ja przecież w tym samym czasie robiłam, co mogłam, abyśmy jak najszybciej opuścili to przekłete miasto!

– Tak, co tylko mogłaś... Wyjaśnij mi może, dlaczego ten krasnolud również nasłał na nas strażników i dlaczego postawiono nam zarzut kradzieży i oszustwa?

– Coś musiałam zrobić, skoro ty zasłaniałeś się swoim kodeksem. – Wzruszyła ramionami.

– Mówiłaś, że przekonasz go do obniżenia ceny.

– Kłamałam! – krzyknęła Adriela. – Nie zamierzam negocjować z jakimś pokurczem!

– Nie dziw się więc teraz, że jesteśmy, gdzie jesteśmy – odparł rycerz i ostentacyjnie obrócił się do kobiety plecami.

Zapadła cisza, którą po dłuższej chwili rozmyślań przerwał kapłan:

– Trzymałem się grupy, nie moja wina, że zostałem obezwładniony.

Nikomemu już nie chciało się komentować tej wypowiedzi. Kobieta, zrezygnowana, siedziała oparta o ścianę z nosem spuszczonego na kwintę, paladyn zaś, po drugiej stronie celi, stał oparty o kratę z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wpatrzony tępo w sobie tylko znany punkt w przestrzeni.

– Nie możesz zniszczyć zamka, tak jak w piwnicy? – Gideon zwrócił się do kobiety.

– Zabrali mi pierścienie – oświadczyła czarodziejka dobitnie, jakby rozmawiała z przygłupem. – Bez nich nic nie mogę.

Wrecedarma zszokowała ta informacja. Był pewien, że czarodziejka dysponuje magicznymi mocami bez udziału żadnych... pierścieni. Czy więc rzeczywiście władała magią, czy tylko biżuteria była magiczna?

Przyjrzał się ponuremu wyrazowi twarzy kobiety. Nadal była dla niego tak samo piękna i charyzmatyczna. Nawet kiedy się złościła, była pełna uroku i wdzięku, którego mogła jej pozazdrościć niejedna kobieta.

Jakkolwiek dążył cały czas do tego, aby wyrwać się z towarzystwa tej dwójki, zawsze w głębi duszy żałował, że musi opuścić Adrielę. Mimo jej wrednego charakteru uznała go swoją osobą, no i urodą.

– Słuchajcie – powiedział zdecydowanie. – Możemy obrażać się na siebie nawzajem i wytykać sobie błędy albo zastanowić się w trójkę, jak zaradzić tej sytuacji.

– Jak niby chcesz zaradzić tej sytuacji? Prześlizgniesz się przez kraty, obezwładnisz strażnika i nas uwolnisz? – prychnęła czarodziejka rozbawiona samą myślą o takim przebiegu wydarzeń.

– Na pewno coś wymyślimy – odparł zdeterminowany kapłan.

– Jesteśmy w areszcie. Ludzie nie uciekają stąd tak po prostu.

– Zwyczajni ludzie może nie, ale my? – zapytał przewrotnie. – Mamy do wykonania misję i nie zatrzymają nas żadne mury czy kraty. Musimy ratować Anfer i wykorzystać wszystkie nasze umiejętności, aby stanąć na wysokości zadania.

– Nie posiadam już żadnych umiejętności – oświadczyła gorzko kobieta.

– To prawda – przyznał kapłan – ale Jarell posiada.

Adriela zerwała się z miejsca niczym oparzona. Klecha miał rację. Rycerz posiadał przecież wiele umiejętności, które nie wymagały posiadania żadnych artefaktów. Wystarczyła jego szlachetność i niezachwiana wiara.

– On ma rację – zwróciła się do rycerza. – Zrób coś.

– Ale co? – prychnął wojownik. – Posiadam zdolności przydatne w bitwie, i to z siłami zła, a nie w usankcjonowanym prawnie areszcie.

Po chwili namysłu zapał Adrieli zgasł. Jarell miał rację, nic tu po jego aurze. Musieli cierpliwie czekać na przesłuchanie, a kiedy to nastąpi, będą zmuszeni do ujawnienia swojego mocodawcy oraz misji, a następnie cierpliwie czekać, aż informacja dotrze do władcy, wtedy zaś... No właśnie, albo król Olaf każe ich uwolnić, aby kontynuowali zadanie, albo wyrzeknie się nieudolnych agentów i zostawi ich w więzieniu, samemu przejmując inicjatywę. Gdyby mogła chociaż skontaktować się ze swoim mężem...

Kryształ!

Czarodziejka spojrzała podniecona po swoich towarzyszach, po czym podeszła do kraty i wlepiła wzrok w stół zawalony ich ekwipunkiem. Trochę to trwało, ale w końcu wypatrzyła zarys kamienia pod zawiniątkiem z suchym prowiantem.

– Nie wszystko stracone – oświadczyła.
– To rozumiem – uradował się Gideon. – Co wymyśliłaś?
– Musimy zdobyć kryształ kontaktowy. – Wskazała znacznie oddalony od nich stół.
– Jak? – zapytał zmieszany paladyn.
– Nie wiem jeszcze... Musimy coś wymyślić. Myślcie! – poleciała i gorączkowo zaczęła układać w głowie plan odzyskania artefaktu.

Razem z nią szare komórki zaangażowali jej towarzysze, którzy podekscytowani nadzieją na szybkie opuszczenie celi stawali na głowie, aby wykombinować rozwiązanie.

Mijały minuty, a z nimi kolejne nawałnice burzy mózgow, które, niestety, nie zdołały posunąć ich problemu choćby o krok. Wciąż borykali się z podstawowym zagadnieniem – jak sięgnąć po kryształ?

Mówi się, że czas leczy rany. W tym wypadku trafniejsze byłoby stwierdzenie, że czas zabija zapał, którego z każdym kolejnym kwadransem całą trójka miała coraz mniej. Każdy pomysł rodzący się w ich napiętych do granic możliwości umysłach obumierał wobec kolejnych przeszkód, których nie byli w stanie pokonać. Kiedy sytuacja wydawała się już przesądzona, bystrość umysłu kapłana rozjarzyła się niczym supernowa, oświetlając nową drogę, która miała ich wyprowadzić z zatęchłych więziennych murów.

– Już wiem – oświadczył Gideon, analizując w głowie szansę powodzenia swojego planu. – Jarellu, czy możesz mi opowiedzieć o tej barierze, którą nas obroniłeś przed wampirem?

– Cóż... – Rycerz był zbity z tropu, ale przystał na prośbę kapłana. – Jest to duchowa energia, którą potrafisz rozprzestrzenić wokół siebie, aby nie dopuścić do jego wnętrza żadnego zła.

– A czy ta bariera osłoni cię również przed magią?

– Tak. Kiedy usprawniono tę technikę obrony setki lat temu, pomyślano również o tym, aby była w stanie chronić przed atakami magicznymi, które mogłyby przesądzić o...

– Czyli żadna magia nie przedostanie się przez tę barierę? – kapłan przerwał wywód rycerza.

– Nie powinna – odparł wciąż niepojmujący niczego wojownik.

– Myślisz, że artefakty magiczne również jej nie sforsują?

– Na pewno nie.

Gideon, zachwycony odpowiedzią mężczyzny, spojrzął po twarzach towarzyszy, czekając, aż pojmą jego tok rozumowania. Po minucie głuchej ciszy postanowił w końcu opowiedzieć im na głos, co wymyślił:

– Zaraz – Adriela chciała się upewnić, że dobrze zrozumiała, co kapłan zamierza. – Chcesz, aby Jarell aktywował barierę, która odepchnie kryształ, a ten z kolei, według ciebie, odbije się od przeciwległej ściany i pofrunie prosto w naszym kierunku?

– Zgadza się.

– To jest, twoim zdaniem, plan? – zapytała z niedowierzaniem.

– Masz jakiś lepszy? – Wrecedarm przybrał wyraz wykładowcy wyczekującego na odpowiedź studenta na egzaminie, a nie doczekawszy się ani jednego słowa, pokiwał znacząco głową. – Spróbować nie zaszkodzi, prawda?

Czarodziejka wzruszyła ramionami. Nie była przekonana do wizji kapłana, ale rzeczywiście taka próba nic ich nie kosztowała, więc głupotą byłoby nie spróbować. Jeżeli wszystko się uda, jeszcze przed świtem powinni być wolni.

Gideon wykombinował plan działania, jednak to paladyn był jego kluczowym elementem, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Jeżeli wygeneruje zbyt silną barierę, kryształ utkwi między nią a ścianą, oddalając się tym samym jeszcze bardziej. Jeśli zaś bariera będzie zbyt słaba, artefakt nie zyska wystarczającej prędkości, aby odbić się od muru, i również zostanie pod przeciwległą ścianą. Presja była duża, ale w ich sytuacji nie mieli już nic do stracenia, mogli tylko zyskać.

Rycerz w skupieniu ukląkł na jedno kolano, kumulując wewnętrzną energię i dostrajając ją do swoich zamiarów. W niedługim czasie poczuł ciepło w okolicy serca, które rozlało się po całym jego ciele. Drobinki piachu i bród

z kamiennej podłogi uniosły się w powietrze, wieszcząc niechybnie, że kumulacja jest blisko. Nikogo zatem nie zaskoczyło, że wojownik powstał błyskawicznie, prostując ramiona w bok.

Fala energii rozprzestrzeniła się we wszystkich kierunkach, sprawiając, tak jak przewidział to kapłan, że kryształ został przez nią zmieciony i ciśnięty w stronę kamiennej ściany naprzeciwko. W tym momencie rycerz zdezaktywował barierę, ta jednak, niestety, zdążyła jeszcze raz zderzyć się z magicznym artefaktem, który tym razem wzniosł się ostrym łukiem i zahaczając o niewysoki sufit, zaczął opadać w stronę stołu, z którego przed chwilą został zmieciony. Gideon wstrzymał oddech, obawiając się, że wrócą do punktu wyjścia, jeżeli kamień ponownie wyląduje wśród ich rzeczy na blacie, lecz szczęście im dopisało, gdyż minerał odbił się od krawędzi blatu i potoczył po brudnej posadzce prosto pod stopy wyczekującej w napięciu czarodziejki.

Adriela natychmiast schyliła się po klucz do ich wybawienia, zupełnie jakby się obawiała, że mógł zachować jeszcze wystarczająco dużo energii kinetycznej, aby ponownie odbić się i potoczyć w przeciwnym kierunku.

Nie dowierzając szczęściu, uniosła kryształ, przyglądając się w zachwycie to jemu, to swoim towarzyszom, po czym nie czekając na jakikolwiek komentarz z ich strony, aktywowała go, aby skontaktować się ze swoim mężem Gildorfem.

Rozdział 8

PODZIEMIA

Mrok opadł na Kastengrav niczym kurtyna teatralna, dając wytchnienie obywatelom – aktorom, którzy przez cały dzień odgrywali swoje role w miejskim zgiełku. Niemal wszyscy udali się na zasłużony odpoczynek do swoich rodzin, znajomych bądź przybytków, w których piwo łało się strumieniami. Byli jednak tacy, którzy preferowali innego rodzaju relaks.

Feriel leżał na dachu starego magazynu, wpatrując się w jasne chmury przemykające na tle ciemnego nocnego nieba. Co jakiś czas zerkał na jedno z okien w budynku naprzeciwko, a kiedy dostrzegł w nim blask świec, natychmiast zerwał się z miejsca i przepętlął za wierzchołek dachu magazynu, przywarłszy do jego powierzchni niczym jaszczurka. Nasunął na głowę czarny kaptur płaszcza i wyglądając zza szczytu pokrycia dachowego, obserwował przez okno wnętrze pomieszczenia.

W oknie pojawiła się młoda kobieta i kolejno zapaliła świece rozstawione po izbie. Jej kręcone jasne włosy spływały swobodnie na szczupłe ramiona okryte cienką bawełnianą białą bluzką, charakterystyczną dla pracownicy miejskiej biblioteki. Kiedy wdzięcznym krokiem obeszła całą swoją sypialnię, oświetlając ją dostatecznie ciepłym blaskiem świec, usiadła na łóżku i niespiesznie zaczęła rozpinać guziki bluzki. Nie przyszło jej do głowy, że na dachu starego magazynu naprzeciwko okna może czaić się młody mężczyzna, który właśnie wyjął lunetę.

Feriel wyostrzył obraz w okularze i w napięciu czekał, aż dziewczyna uwolni ostatni guzik i zacznie się widowisko. Nie doczekał jednak kulminacyjnego momentu. Ostry, przenikliwy pisk niczym rozżarzony szpikulec przeszył jego umysł.

Zamknął oczy, zacisnął zęby i zsunął się bezwładnie po śliskich dachówkach parę metrów w dół. Kiedy pierwszy szok minął, mężczyzna uświadomił sobie, że źródłem całego zamieszania jest jego kryształ kontaktowy. Prędko wygrzebał go z jednej ze swoich przepastnych kieszeni i ujął w spoconą ze stresu dłoń. Na jego twarzy natychmiast zagościła ulga, którą niedługo później zastąpiła koncentracja.

Feriel leżał na plecach przez dobrych kilka minut, wpatrując się tępo w przestrzeń i zaciskając palce na kryształach, po czym, jak gdyby nigdy nic, ukrył kamień z powrotem w kieszeni i obróciwszy się na brzuch, ponownie podpełzł do szczytu dachu. W oknie, które obserwował, było ciemno. Dziewczyna najwidoczniej zdążyła już przebrać się w koszulę nocną i pogasić wszystkie świece. Mężczyzna przyłożył jeszcze raz lunetę do oka, jednak mrok w sypialni obserwowanej był nieprzenikniony. Zaklął cicho, nerwowym ruchem włożył lunetę do skórzanego pokrowca przypasanego u boku, po czym zwinnymi ruchami opuścił dach magazynu, lądując na ulicznym bruku. Spokojnym krokiem ruszył wzdłuż opustoszałej ulicy, kierując się do swojego wynajmowanego pokoju.

W końcu, po tak długim milczeniu, odezwał się do niego jego przełożony, powierzając mu zadanie odbicia trójki więźniów z miejskiego aresztu. Dobrze pół roku nie miał nic konkretnego do roboty, poza szwendaniem się po ulicach Kastengravu i nawiązywaniem nowych, nieraz wątpliwych znajomości. Raz w tygodniu miał składać szczegółowy raport z panujących nastrojów społecznych oraz nietypowych wydarzeń. Brakowało mu aktywnych działań, choćby najprostszych, jak zdobycie ważnej informacji czy namierzenie kogoś w mieście. Zaczął nawet wątpić, czy w stolicy ktoś jeszcze o nim pamięta, okazało się jednak, że wciąż jest przydatny dla królewskiego wywiadu. To podniosło go na duchu.

Wynajęte lokum, do którego zmierzał, aby przygotować się do zadania, znajdowało się po wschodniej stronie miasta, czekał go więc jeszcze dosyć długi spacer, nim zajmie się powierzoną mu misją. Byłby w stanie tu i teraz ruszyć na odbicie więźniów, ale byłoby to dużo bardziej ryzykowne i nie mógłby zagwarantować ich bezpieczeństwa w trakcie wyprowadzania ich poza zasięg strażników. Na początku swojej kariery tak właśnie działał – dostawał

rozkaz i bezrefleksyjnie zabierał się do jego wykonania, bez jakichkolwiek przygotowań. Zapewniło mu to ksywkę „Spontanik” wśród kolegów po fachu, a ostatecznie osadziło go w Kastengravie jako „śpiocha”, który miał za zadanie biernie wykonywać swoje wywiadowcze obowiązki. Raz na jakiś czas „budzono go” i powierzano mu prawdziwe zadanie, jak teraz. Taka nieregularność bardzo go drażniła, dała mu jednak czas, aby nauczył się skrupulatnie planować swoje misje. Nieustanne utrzymywanie jego prawdziwej tożsamości w tajemnicy uczyło go cierpliwości.

Miasto dzisiejszego wieczoru było nad wyraz spokojne. Z jednej strony była to zaleta, gdyż natychmiast można było wyłapać nagłe wydarzenia oraz szybko lokalizować patrole straży. Z drugiej zaś strony łatwo było zwrócić na siebie uwagę, co było ostatnią rzeczą, na jaką Ferial mógł sobie pozwolić. Znikomy ruch na ulicach nie ułatwiał mu przemieszczania się po mieście niepostrzeżenie, co było kolejnym argumentem za tym, aby najpierw udał się do siebie. To zapewni mu alibi na ten wieczór.

Pogoda była łaskawa w ostatnich dniach i wyglądało na to, że w najbliższym czasie nic się nie zmieni w tej materii. Niebo było czyste, księżyc świecił jasno, oświetlając ciemne zaułki miasta, w których hulał lekki, ciepły wietrzyk. To z kolei sprawiało, że patrole straży miejskiej ochoczo przechadzały się po mieście, zamiast kisić się w dymie i smrodzie zalegającym w karczmach i gospodach, gdzie wieczorami również wiele mogło się wydarzyć.

Ferial po długim marszu w końcu dotarł do ulicy, przy której wynajmował poddasze u przemiłej właścicielki kamienicy, która po śmierci męża odziedziczyła cały jego majątek. Mężczyzna minął właśnie dwuosobowy patrol straży i ostentacyjnie wszedł do dwupiętrowego budynku ze stromym, wysokim dachem, pod którym znajdowała się wynajmowana przez niego izba.

Cały parter budynku zajmowała właścicielka, mając do dyspozycji sypialnię, dwa duże pokoje gościnne, jadalnię, kuchnię oraz łazienkę. Takie warunki uchodziły za luksusy w kamienicach o tym standardzie. Schody prowadzące na kolejne piętra znajdowały się na końcu korytarza, naprzeciwko kuchni, tak więc nikt, kto wchodził na górę, nie mógł umknąć uwadze gospodyni. Kiedy tylko wywiadowca postawił krok na pierwszym stopniu schodów, w drzwiach kuchennych pojawiła się niewysoka, zasuszonego ciała postać pani Isfirii Arton.

– Ach, to pan... – Ton jej głosu zdawał się wyrażać zawód.

– To ja – odparł mężczyzna. – Spodziewała się pani kogoś innego?

– Aaa... Nieważne. – Kobieta z rezygnacją machnęła ręką uzbrojoną w ścierkę, jednak po krótkiej chwili postanowiła podzielić się z mężczyzną swoimi troskami. – Ten ludziak z pierwszego piętra miał mi dzisiaj zapłacić drugą połowę czynszu, ale od rana go nie widziałam. Myślałam, że to może on wrócił... Ale chyba już nie wróci – dokończyła z rezygnacją.

– Aha – mruknął Ferial i zamyślił się na chwilę. Jego gospodyni była nad wyraz uczciwą kobietą, chociaż życie nie oszczędzało jej przez ostatnie lata. – Pani Isfiri, jeżeli nie zjawi się do rana z drugą połową czynszu, osobiście go tutaj przyprowadzę – zapewnił.

– Pan zawsze mówi mi takie miłe rzeczy – oświadczyła kobieta. – Ale to wielkie miasto. Jak chce go pan znaleźć?

– Już moja w tym głowa – mówiąc to, uśmiechnął się wywiadowca. – To jednak dopiero jutro, a teraz idę spać. Miałem naprawdę ciężki dzień – oświadczył znużonym głosem.

– Ależ naturalnie, nie będę panu przeszkadzała. Zrobić panu jutro śniadanie?

– Jajecnicę...

– Tę z pieczarkami?

– Właśnie tę. – Ferial pogładził się po brzuchu. – Niebo w gębie, pani Isfiri.

– Dobrze, będzie jajecznica – obiecała kobieta. – A tak orientacyjnie, kiedy planuje pan jutro wstać?

– No... Na pewno przed południem. Przepraszam, ale jestem naprawdę wykończony. – Mężczyzna wskazał znacząco ręką szczyt schodów.

– Naturalnie, pan idzie. Dobrej nocy.

– Wzajemnie, pani Isfiri – odparł Ferial i znużonym krokiem wznowił wspinaczkę po drewnianych stopniach.

Wchodząc do swojej izby na poddaszu, pożyczzył jedną ze świec stojących na korytarzu. Zaryglował za sobą dokładnie drzwi, po czym ustawił świecę na stoliku nieopodal łóżka, rozebrał się, opatulił pościelą i zdmuchnął płomień.

Po kilkunastu minutach leżenia w mroku mężczyzna powoli wysunął się z pościeli na podłogę i bezszelestnie wczuł pod łóżko, gdzie spod obluźowanej deski podłogowej wydobyl niedużą drewnianą szkatułkę. W środku znajdował się najcenniejszy przedmiot, jaki posiadał i bez którego nie byłby w stanie wykonywać wielu nocnych wypadów – gogle umożliwiające widzenie w absolutnej ciemności. Technologia taka była możliwa dzięki kamieniowi blasku, czyli żółtemu minerałowi wydobywanemu potajemnie przez wyspecjalizowaną grupę królewskich górników. Minerale po odpowiedniej obróbce był następnie szlifowany w soczewki, które umieszczano w tego typu goglach. Gdy tylko Ferial założył je na głowę, mrok się rozstał, ukazując obraz izby, cały zabarwiony na żółto.

Kiedy wywiadowca poradził już sobie z otaczającą go ciemnością, podszedł po cichu do swojej szafy, na której dnie, pod rozmaitymi przedmiotami, znajdowały się jego ubrania operacyjno-taktyczne. Odział się odpowiednio do zaplanowanego przez siebie przebiegu akcji, cały na czarno. Założył lekkie wysokie buty z miękką podeszwą, czarne rękawice, wystarczająco cienkie, aby nie przeszkadzały mu w zręcznych manipulacjach palcami, oraz czarny skórzany szeroki pas pełen przeróżnych kieszonek i zaczepów do przytwierdzania rozmaitego sprzętu.

Gdy już wyposażył się wystarczająco w przeróżne gadzety, usiadł w ciszy na podłodze pod oknem, oparł się plecami o ścianę i wsłuchując się w dźwięki dochodzące z ulicy, czekał, aż wybije północ, gdyż właśnie o tej porze następowała zmiana patroli straży miejskiej. Jedni wracali do koszar, drudzy zaś przejmowali rewir od tych pierwszych. Zawsze jednak wiązało się to z kilkunastominutowym przekazaniem patrolowanego obszaru, czyli sprawozdaniem z przebiegu ostatnich ośmiu godzin służby. Te kilkanaście minut było dla wywiadowcy na wagę złota, gdyż wszystkie patrole spotykały się w ustalonych punktach i nie ruszały stamtąd, aż nie skończyły przekazania obszaru.

Kiedy północ była już blisko, Ferial sięgnął do blaszanego pojemnika stojącego w kącie i wyciągając z niego garść sadzy, dokładnie zaczął sobie nią całą twarz. Donośny dźwięk rynkowego zegara rozprzestrzenił się po całym mieście, oznajmiając, że właśnie zaczęła się nowa doba. Wywiadowca otworzył po cichu okiennice i przez wąskie okienko znajdujące się u szczytu ściany budynku przedostał się zwinnymi kocimi ruchami na dach kamienicy. Niczym gargulec przycupnął na szczycie, obserwując ulicę pod nim, a nabrawszy pewności, że nikt się w tę okolicę nie zapuścił, ruszył bezszelestnie na drugą stronę dachu.

Od dziecka wykazywał nadzwyczajną zręczność i dryg do akrobatyki. Nie dość, że w dzieciństwie potrafił wspiąć się na szczyt każdego drzewa, to w dodatku szybko nauczył się przeskakiwać między drzewami niczym wiewiórka. Kiedy zaś przeniósł się do miasta, odkrył, że potrafi wykonywać podobne akrobacje, ale między budynkami, przeskakując z jednego dachu na drugi. Od tamtej pory tylko w ten sposób poruszał się nocą po mieście, unikając tym samym niepożądanych spotkań i mając lepszy ogłd sytuacji rozgrywających się na bruku ulicznym.

Ferial wziął rozbieg i odbiwszy się jedną nogą od krawędzi dachu, przeleciał nad wąskim zaułkiem, lądując zwinnie na pokryciu dachowym sąsiedniego budynku. Podróżowanie w ten sposób było może bardziej męczące i wymagające uwagi, ale też dużo szybsze, co w obecnej sytuacji miało dla mężczyzny nie lada znaczenie.

Musiał jednak uważać na niektóre nieremontowane od lat budynki z obluźowanymi dachówkami, a nieraz ze spróchniałymi stropami, pod którymi mógłby się zapaść, niczym niedźwiedź wpadający w pułapkę. Kilka razy w swoim życiu zdarzyło mu się ześlizgnąć na obluźowanej dachówce czy gonicie i spaść na ulicę. Szczęśliwie dla niego, potrafił lądować tak zwinnie, że mimo dużych wysokości wychodził z tych sytuacji jedynie z siniakami i obtarciami. Lata doświadczeń umożliwiły mu zapamiętanie, które dachy były zdradliwe, a którym mógł bezgranicznie zaufać.

Opracowując w głowie jak najszybszą trasę, skierował się zwinnie w stronę brzegu rzeki przepływającej przez Kastengrav, która oprócz zaopatrywania ludności w wodę napędzała również wiele maszynierii w tej części miasta. Była darmowym źródłem energii, zapewniającym wielu wynalazcom oraz przedsiębiorcom ciągłość pracy. To z kolei sprawiło, że władze Kastengravu, zamiast trudzić się jej opodatkowaniem, obarczyły ich obowiązkiem dbania

o czystość Rzeki Jezior i o miejską część brzegu, co pochłaniało więcej wydatków, niż mogli odzyskać w postaci należytą płatności.

Feriel nie miał jednoznacznej opinii o takim układzie. Z jednej strony rzeka, jak i brzeg, rzeczywiście były zadbane, a miasto mogło skupić uwagę na pilniejszych potrzebach mieszkańców. Z drugiej jednak strony mężczyzna obserwował coraz rozleglejszą ekspansję produkcyjną nad Rzeką Jezior. Kiedy zjawiał się w mieście po raz pierwszy, rzeka przepływająca przez Kastengrav była na wpół dzika, z bogatą fauną i florą, była żywa. Obecnie została niemal doszczętnie wyjałowiona, niczym sztucznie zaprojektowany kanał wodny mający służyć wyłącznie przemysłowi. Niegdyś spokojne wody, z roku na rok były coraz bardziej wzbudzane sztucznymi metodami, aby polepszyć wydajność drewnianych kołowrotów, przekładni i pozostałych nowatorskich urządzeń służących do przekazywania energii. Postęp był nieunikniony, szczególnie w takim mieście jak Kastengrav.

Wędrówka przebiegała bardzo sprawnie, Feriel więc w ciągu niecałych dwudziestu minut znalazł się w miejskim porcie. Przeskoczył nad ślepą uliczką, lądując na solidnym dachu nowo wybudowanego magazynu, i kucnął przy krawędzi, nasłuchując czyjeś obecności. Jego wrażliwy słuch od razu wyłapał cichą rozmowę dwóch mężczyzn. Chwilę trwało, nim udało mu się zlokalizować źródło dźwięków, a kiedy w końcu dostrzegł sylwetki, przeklął cicho, gdyż znał ich doskonale. Byli to oficerowie straży miejskiej, którzy, jak wywnioskował z ich rozmowy, przygotowywali się do ujęcia złodzieja mającego włamać się tej nocy do magazynu. Zapewne dostali od kogoś cynk, a teraz omawiali sposób działania.

Feriel nie mógł zejść na ulicę. Ryzykowałby ujęcie przez nadgorliwych stróżów prawa, którzy prawdopodobnie rzucą się na każdego, kto podejrze do budynku. Mężczyzna rozejrzał się, szukając innej drogi, którą mógłby przedostać się nad brzeg rzeki. Niestety, wyglądało na to, że musiał przeskoczyć na oddalony o wiele metrów żuraw, który transportował wielkogabarytowe towary z barek przed ogromne wrota magazynu.

Wywiadowca ocenił swoje szanse na udany skok. Akrobacja była wykonalna, lecz musiały przy tym narobić hałasu, a to z pewnością zwróci uwagę oficerów. Nie mógł jednak czekać, aż zasadzka na złodzieja zostanie łaskawie zakończona. Nie miał czasu. Na szczęście podczas szkolenia przez królewski wywiad nauczono go paru prostych sztuczek dywersyjnych.

Mężczyzna podszedł do wymurowanego komina sterczącego spomiędzy dachówek magazynu i solidnym ostrzem noża, który zabrał ze sobą na wypadek potrzeby perswazji, wydułbał spomiędzy burych cegieł większy kawałek zaprawy murarskiej. Wziął zamach i cisnął bryłką w okno opuszczonego budynku nieopodal magazynu. Dźwięk tłuczonego szkła natychmiast poderwał z miejsca oficerów, którzy popędzili co tchu do wybitego okna. W tym czasie Feriel wziął solidny rozbieg i nie przejmując się hałasem, który robił, popędził do krawędzi dachu. Cała tajemnica w wykonywaniu dalekich skoków polega na tym, aby skoncentrować się na celu za rzeczywistym miejscem lądowania. Wtedy podświadomie mięśnie czynią większy wysiłek, planując skok dalszy niż w rzeczywistości. Mężczyzna wybił się palcami lewej stopy z krawędzi szczytu dachu i przeleciawszy solidną odległość, niczym kamień wyrzucony z procy, uderzył z łoskotem o drewnianą elewację portowego żurawia. Wiedział, że hałas natychmiast przyciągnie oficerów, którzy już prawdopodobnie zorientowali się, że ktoś jest na dachu, błyskawicznie więc wspiął się po elewacji na długie, wzmocnione stalą drewniane ramię żurawia. Słyszał na ulicy pod sobą gorączkową dyskusję, mającą na celu ustalenie, co mogło być źródłem hałasu, jednak wiedział, że strażnicy już nie byli w stanie go dostrzec. Przeczłogał się po ramieniu do grubej, zakończonej hakiem liny zwisającej swobodnie nad powierzchnią rzeki, objął ją zwinnie nogami i zwiesił się głową w dół. W tej pozycji powoli zsunął się nad czarną, szumiącą cicho taflę wody. Kiedy znalazł się na wyciągnięcie ręki od niej, zacisnął nogi na haku i sięgnął do wewnętrznej kieszeni stroju. Wyciągnął cienką, lepką, przezroczystą błonę, którą skrupulatnie przykleił do twarzy, zasłaniając nią usta i nos. Upewniwszy się, że szczelność maski uniemożliwia mu wzięcie wdechu, poluzował uścisk nóg na haku i z cichym pluskiem wpadł w ciemną toń Rzeki Jezior.

Gdy tylko się zanurzył, poczuł na twarzy, jak błona puchnie i powoli zaczyna dostarczać mu niezbędny do przetrwania tlen. Potrzebował chwili, aby zaaklimatyzować się w niemal lodowatej wodzie górskiej rzeki. W końcu jednak oszczędnymi ruchami popłynął blisko dna razem z prądem. Gogle umożliwiały mu doskonałe rozeznanie się w nieprzeniknionej ciemności. Podwodny świat niezmiernie go fascynował swoimi barwami, kształtami i harmonią.

Gdyby tylko mógł, zostałby poławiaczem pereł albo łowcą morskich potworów, o których zachłannie słuchał w opowieściach nadmorskich kupców i rybaków, którzy nieraz przejeżdżali przez miasto. Wiele razy rozważał, czy nie rzucić wszystkiego, co do tej pory osiągnął, i nie wyruszyć na nabrzeże, gdzie mógłby zacząć zupełnie nowe życie jako niezależny badacz morskich głębin. Był przekonany, że są pod wodą miejsca, do których nie dotarł jeszcze żaden człowiek, pełne nieznanymi stworzeń, roślin i zaginionych skarbów.

Feriel otrząsnął się z marzeń i wrócił do rzeczywistości. Płynął już dosyć długo i minął dwa mosty. Dopływał właśnie do trzeciego, za którym, przy wymurowanym nabrzeżu, znajdował się cel jego podróży, a mianowicie stary kanał łączący się z siecią podmiejskich korytarzy, o których wiedziała tylko grupka najbardziej zaufanych urzędników miejskich. Sieć ta oplatała podziemnymi mackami niemal całe miasto, zapewniając ważnym osobistościom schronienie w razie zagrożenia.

Mężczyzna zwinnymi ruchami wpłynął w wąski okrągły wylot starego kanału. Dalej droga wiodła przez rurę o średnicy około jednego metra, która wznosiła się w górę, aż dochodziła do jednego z zalanych korytarzy podziemnego kompleksu. Feriel powoli wynurzył głowę nad powierzchnię śmierdzącej, zatęchłej wody zalegającej w ciemnym tunelu, a upewniwszy się, że nikt tutaj na niego nie czyha, oparł się nogami o wątpliwe podłoże i się wyprostował. Szczury w korytarzu natychmiast zamarły, zaintrygowane istotą ludzką wyłaniającą się z topieli, aby chwilę później uznać sytuację za groźną i rozpierzchnąć się do swoich kryjówek.

Wywiadowca wygramolił się z brudnego szlamu na jeden z dwóch chodników biegnących pod każdą ze ścian, po czym sprawnym ruchem odkleił przezroczystą błonę od twarzy i schował ją z powrotem do wewnętrznej kieszeni. Był przemarznięty na kość, a temperatura panująca w podziemiach była znacznie niższa niż na powierzchni, wydobył więc z kieszeni na rękawie małą buteleczkę pełną bursztynowego płynu. Odkorkował ją i jednym haustem wypił zawartość. Po jego sztywnym od zimna ciele rozlała się natychmiast fala gorąca, powodując niemożliwe do opanowania dreszcze. Już po chwili jednak był gotowy do kontynuowania misji, czując, jak w jego ciało wstępuje nowa energia.

Podziemne korytarze obejmowały jakieś siedemdziesiąt procent powierzchni całego miasta, co oznaczało, że z powodzeniem można było w nich zabłądzić, nie znając drogi. O ile na powierzchni ulice różniły się od siebie, o tyle korytarze pod nimi wyglądały wszystkie niemal identycznie – były murowane z kamienia i brudne. Ogrom tuneli i przejść sprawiał, że mężczyzna zawsze odczuwał czyjąś obecność, choć nigdy nie zdarzyło mu się trafić na żadną rozumną istotę. Mimo to nie odważyłby się stwierdzić, że nie żyją tutaj stwory, które obrały sobie to ponure miejsce za dom. Po mieście krążyły nawet plotki o jaszczuropolobnym humanoidzie, który widywany nocą na powierzchni, zniknął pod kratami kanałowymi niczym szczur. Nowy system kanałów był jednak położony płycej niż te podziemia, jeśli więc nawet w tych historiach tkwiło ziarno prawdy, niemożliwe było, aby przedostał się tutaj, tak samo zresztą jak inne mityczne stworzenia żyjące ponoć w miejskiej kanalizacji.

Wywiadowca ponownie wrócił myślami do swojej sytuacji. Chodnik, którym szedł, zwęzał się nagle, aby za zakrętem ponownie przyjąć pierwotną szerokość. To był charakterystyczny moment całej trasy, który świadczył o tym, że za kolejnym rozwidleniem dotrze pod garnizon straży miejskiej. Co ciekawe, sklepienie w tej okolicy wznosiło się wyżej i było wykończone eleganckimi łukami. Z lewej strony pojawił się zakratowany korytarz z solidną furtą zagrządzającą przejście. Podeszedł do niej. Krata była zabezpieczona farbą, jednak tu i ówdzie wyzierały rozległe ogniska rdzy. Mężczyzna naparł delikatnie na furtę, a czując opór, puścił zimne pręty i zaczął grzebać w saszetkach przytwierdzonych do pasa. W jego rękach pojawił się zestaw wytrychów, które teraz niespiesznie dobierał do zabytkowego typu zamka. Kilka minut później przejście stało przed nim otworem. Feriel niemal bezgłośnie otworzył furtę i przymknął za sobą, przewiązując pręty kraty cienką nicią. Tak przygotowane przejście nie budziło żadnych podejrzeń, a otwarcie go wymagało tylko stanowczego pchnięcia.

Wąski korytarz, w którym znalazł się mężczyzna, biegł prosto, przechodząc w równie wąskie, wysokie schody prowadzące w górę. Po wspięciu się na sam szczyt Feriel stanął przed krótkim przejściem zaślepionym ścianką zbitą z nieheblowanych desek. Bardzo ostrożnie, uważając, aby nie wywołać najmniejszego bodaj hałasu, podeszedł do niej i przyłożywszy do chropowatej powierzchni ucho, bacznie nasłuchiwał. Jego wrażliwy słuch nic jednak nie wyłapał, a to oznaczało, że śmiało mógł działać dalej. Przesunął rękami ściankę, która gładko i bezgłośnie schowała się

w murze. Za drewnianą powierzchnią znajdował się zwisający gruby materiał, z którego sterczały rozmaitej długości nici. Ferial pewnym ruchem odgarnął zasłonę i przeszedł obok niej, znajdując się w jednym z podziemnych przejść garnizonu. Poprawił gobelin, zza którego tu przybył, po czym bardzo ostrożnie, przywarłszy do zacienionej ściany, ruszył w głąb kompleksu.

Dotarcie do aresztu było dla mężczyzny bułką z masłem. Opuszczone, ciche i ledwie oświetlone kamienne korytarze stwarzały wymarzone warunki potajemnej infiltracji obiektu. Ferial z wyprzedzeniem słyszał kroki zbliżających się strażników, a kiedy byli już blisko, przywierał do zacienionego fragmentu ściany i czekał, aż zagrożenie minie. Zlewał się z mrokiem równie skutecznie, jak elf z poszyciem leśnym, jednak na wszelki wypadek zawsze miał w pogotowiu krótką drewnianą pałkę do ogłuszania. Nie mógł zostawiać za sobą trupów, gdyż wartownicy nie byli wrogami królestwa, wręcz przeciwnie – strzegli jego praw i porządku, co było jednym z filarów podtrzymujących władzę i autorytet króla.

Kiedy minął go kolejny wartownik nieświadom jego obecności, Ferial odczekał, aż zniknie z pola widzenia, i bezgłośnie podszedł do ciężkich okutych drzwi po lewej stronie korytarza, którym zmierzał. Tutaj również bacznie wsłuchiwał się w dźwięki dobiegające z pomieszczenia. Drewno było jednak grube i skutecznie wytłumiało wszelkie hałasy, które mogłyby mu pomóc rozeznać się w sytuacji panującej w pomieszczeniu. Nie chciał ryzykować wtargnięcia prosto do komnaty zajętej przez strażników, przyłożywszy więc ucho, zamknął oczy i ponownie wsłuchał się w wibracje przekazywane przez grube dębowe deski. Po jakimś czasie usłyszał coś jakby kroki, które z każdą chwilą stawały się coraz wyraźniejsze. Zdał sobie sprawę, że hałas nie dobiega z pomieszczenia, tylko z głębi korytarza. Nie było już czasu na rozważanie sposobu działania. Ferial prędko wślizgnął się do sali, ostrożnie zamykając za sobą odrzwia.

Szybki rzut oka na nowe otoczenie uspokoił jego napięte nerwy, gdyż komnata okazała się „wolna od wrogów”, jak to lubił opisywać w swoich raportach. Jedynymi osobami, które w niej przebywały, było troje więźniów tkwiących w celi na końcu pomieszczenia. Według informacji, które otrzymał, były to właśnie te trzy osoby, które miał stąd wyprowadzić. Nie mógł jednak pozwolić sobie na pomyłkę po zejściu tak daleko. Cała trójka wydawała się zmieszana jego obecnością, choć kobieta, jedyna w towarzystwie, natychmiast uniosła palec do ust nakazując mu działanie w ciszy, po czym wskazała palcem na znajdujące się po prawej stronie schody prowadzące w górę. Wywiadowca doskonale pamiętał, że u ich szczytu nie ma żadnych drzwi, a jedynie metalowa krata, podobna do tej, którą sforsował w kanałach, wszelkie dźwięki i hałasy mogły więc dotrzeć do strażników na wyższym poziomie. Ferial kiwnął głową na znak, że rozumie, o co chodzi, po czym ostrożnie podszedł do kraty odgradzającej więźniów.

– Ciebie przysłał Gildorf? – zapytała kobieta.

– To zależy, czy rozmawiam z tymi, z którymi powinienem – odparł ostrożnie wywiadowca. – Moneta losu?

– Nigdy nie przestanie się obracać – odparła czarodziejka. Był to odzew na ustalone hasło, którym miał się posłużyć ich wyzwoliciel.

– Dostałem zadanie, aby uwolnić waszą trójkę i wyprowadzić poza mury miasta – oświadczył Ferial, nabrawszy pewności, że rozmawia z odpowiednimi osobami.

– Musimy pozbierać ekwipunek – zauważył Jarell.

– W szkatułce na jednej z półek znajdują się moje pierścienie. – Adriela wskazała przeciwległą ścianę. – Muszę je odzyskać.

Mężczyzna skinął głową i przeszedł na drugą stronę komnaty. Kiedy zdjął z półki szkatułkę, o którą chodziło kobiecie, rozległ się zgrzyt otwieranego u szczytu schodów zamka w zakratowanym przejściu. Wywiadowca natychmiast wcisnął pudełko za pazuchę, szukając gorączkowo kryjówki, w której mógłby się schować przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Sala była jednak zbyt dobrze oświetlona i nie miała żadnych załomów czy wnęk w murach. Nie pozostawało mu więc nic innego jak improwizacja. Przywarł do ściany, którą tworzyły biegnące w górę schody, i dzierżąc w dłoni drewnianą pałkę, czekał.

Do pomieszczenia wszedł brodaty tęgi mężczyzna w skórzanym kaftanie o barwach straży miejskiej Kastengravu. Nie rozglądając się po komnacie, ruszył od razu w stronę przeciwległej ściany, pod którą piętrzyły się skrzynie i beczki z zarekwirowanymi towarami. Kiedy tylko brodaczy wyłonił się zza winkla, Ferial znalazł się tuż za jego

plecami, bezszelestnie depcząc mu po piętach. Technika cienia, której musiał się uczyć na szkoleniu aż do upadłego, była wymagająca, ale nad wyraz skuteczna, o ile pozostawał w martwym polu widzenia przeciwnika i nie hałasował. Podążał za strażnikiem krok w krok aż do beczki pełnej nielegalnie wwiezionych do miasta wędzonych płatów smoczego mięsa. Było prawdziwym rarytatem na rynku, jednak wymagało specjalnego pozwolenia na wprowadzenie go do obrotu. Wartownik wydobyl z dna beczki dwie solidne poacie aromatycznego mięsiva, po czym nie zwracając najmniejszej uwagi na zamarłych w napięciu więźniów, obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do wyjścia. Wywiadowca nie odstępował brodatego strażnika na krok, przyklejony do jego pleców, aż tamten zaczął wspinać się po schodach. Kiedy Ferial usłyszał zgrzyt zamykanego zamka, natychmiast zabrał się do otwierania szkatuły. Podał kobiecie przez kratę jej pierścienie i nie tracąc czasu, przykucnął, aby rozprawić się z systemem zapadek w kracie ich więzienia. Wytrychy gładko poradziły sobie ze współczesnym zamkiem, w ciągu więc kilku zaledwie minut cała trójka była już zorganizowana i gotowa do ucieczki. W ostatniej jednak chwili przed opuszczeniem aresztu kapłan, wbrew protestom ich wybawcy, zaczął uzupełniać prowiant pożywieniem z beczek stojących pod ścianą. Paladyn uznał takie działanie za zgodne z jego kodeksem, gdyż zarekwirowane dobra nie należały już do nikogo, dlatego ochoczo przyłączył się do Wrecedarma, wynajdując jak najświeższe produkty, które zaczęli upychać w wolne przestrzenie w bagażach.

Gdy skończyli, Ferial delikatnie uchylił drzwi na korytarz, upewniając się, że mają możliwość niepostrzeżonej ucieczki, po czym cała czwórka opuściła areszt. Gdy przemierzali podziemne przejście, wywiadowca polecił, aby gasili za sobą wszelkie źródła światła, żeby zdezorientować i spowolnić ewentualny pościg.

Opuścili korytarz, znikając za gobelinem. Wywiadowca wręczył każdemu po krótkiej metalowej zaślepionej u dołu rurce, zakończonej u góry czymś na kształt grubego pędzla. Kiedy podpalili sterzące włosie, z wnętrza dziwnych pochodni zaczęły dobywać się jasne iskry, strzelające w powietrze i oświetlające w ten sposób mrok wokół nich.

Ferial podążał przodem, prowadząc oswobodzoną trójkę przez brudne i śmierdzące trzewia Kastengravu. Szli w milczeniu, komunikując się głównie gestami lub szeptem. Zarówno czarodziejka, jak i paladyn podchodzili bardzo ostrożnie do kwestii bezwarunkowego zaufania swojemu przewodnikowi, który, byli tego niemal pewni, przez niektóre korytarze prowadził ich po wielokroć. Interpretowali to dwojako: albo mężczyzna grał na zwłokę, albo czynił tak, aby się upewnić, że nikt za nimi nie podąża. Tak czy inaczej, żadne z dwójki podróżnych nie kwestionowało trasy, nie chcąc grać w otwarte karty z kimś, kogo zupełnie nie znali.

Podróż przebiegała bezproblemowo, jednak był jeden moment, kiedy przewodzący im wyzwoliciel mocno się zaniepokoił. Weszli właśnie do większego pomieszczenia, będącego czymś w rodzaju węzła komunikacyjnego. W różnych kierunkach rozchodziło się stąd kilkanaście tuneli. Mężczyzna zatrzymał całą grupę i kazał im czekać w bezruchu. Sam zaś podszedł do leżącej na środku sterty gruzu, której najwyraźniej przedtem tutaj nie było. Ferial oświetlił sklepienie nad miejscem, gdzie spoczywała góra kamieni, i ze zdumieniem przechodzącym w nagłą gonitwę myśli odkrył dziurę w suficie, która niechybnie łączyła to pomieszczenie z nową siecią kanałów rozciągającą się nad ich głowami. Nie potrafił zrozumieć, co tutaj się wydarzyło. Grubość sufitu przekraczała tutaj znacznie wzrost dorosłego człowieka, a samo sklepienie, mimo upływu lat, było w bardzo dobrym stanie. Po oględzinach wywiadowca stwierdził, że sterta leżąca pośrodku pomieszczenia spoczywała tutaj co najmniej od kilku tygodni. Być może to nie było nic takiego, jednak Ferial powinien jak najszybciej zraportować o tym swojemu przełożonemu. Niestety, musiało to poczekać do zakończenia misji.

Mężczyzna skinał na nieruchomą trójkę ludzi za sobą, aby podążyli za nim do jednego z tuneli prowadzących na północny wschód od miasta. Od tego momentu wzmógł czujność, rozglądając się badawczo po mijanych korytarzach. Nie mógł sobie pozwolić na błąd bądź nieuwagę, mogących skutkować utratą zdrowia lub nawet życia zbiegów, których miał wyprowadzić w jednym kawałku. Baczenie pilnował, aby wszyscy trzymali się blisko niego i nie opóźniali marszu.

Mimo pewnych obaw wywiadowcy dalsza podróż przebiegła spokojnie i bezproblemowo. Pochodnie, które dał towarzyszącom, zdążyły już się wypalić, jednak przezornie zabrał ze sobą jeszcze jeden zestaw, który natychmiast im

wręczył. Wiedział, że niebawem będzie im niezbędny. Stali właśnie w ślepych zaułku na chodniku, obok którego szlamowata woda znikła pod ścianą naprzeciwko nich.

– Kanał prowadzi kilkanaście metrów dalej i łączy się z kolejnym korytarzem. Na jego końcu znajdziecie drabinę, która wyprowadzi was na powierzchnię w ruinach dawnej wartowni. Miejsce to jest omijane przez okolicznych mieszkańców szerokim łukiem, gdyż wierzą, że jest nawiedzone. Radziłbym, abyście tam właśnie przenocowali. Okolice roi się nocą od drapieźników, więc bezpieczniej będzie, jeżeli wyruszycie w dalszą drogę za dnia – rzekł do nich przewodnik.

– Kilkanaście metrów? – zapytał paladyn, niepewny co do pomysłu pokonywania pod wodą takich odległości.

– Plus minus – odparł lekceważąco Feriel. – Pochodnie, które trzymacie, płoną również pod wodą, oświetlą więc wam drogę. Zostanę tutaj, aby się upewnić, że nikt za nami nie podążał. Od tej pory musicie liczyć wyłącznie na siebie.

– A jeżeli ktoś za nami podążał? – zapytał kapłan.

– Postaram się, aby przestał – zapewnił złowrogo wywiadowca.

– Czas nagli – oświadczyła Adriela, zanurzając się w śmierdzącej, ciemnej toni.

– Dziękujemy – rzucił przez ramię Jarell, idąc w ślady towarzyszeki.

Gideon zupełnie nie był przekonany do nurkowania w kanale, jednak póki co musiał trzymać się blisko swoich obrońców. Po dłuższej chwili walki ze sobą on również zanurzył się po szyję w cuchnącej rzece brudu.

Przeplnięcie takiego odcinka nie było dla kapłana większym problemem w przeciwieństwie do zmuszenia się, aby otworzyć oczy w zatęchłej wodzie. Płynął za paladynem, Adriela zaś tuż za nim, mając na niego baczenie. Pochodnie rzeczywiście zdawały egzamin w zanurzeniu, ułatwiając im rozeznanie się w otaczającej ich przestrzeni.

Ku swojemu przerażeniu Gideon dostrzegł jakieś obłe, podłużne stworzenia, które przemykały blisko dna niczym morskie węże. Miał nadzieję, że nie są drapieźnikami i nie będą próbować polowania na trójkę intruzów. Przemieszczał się najszybciej jak tylko mógł, starając się nadążyć za zwinnym wojownikiem. Płynęli, zdawać się mogło, dłużej niż powinni, kiedy w końcu Wrecedarm dostrzegł, jak Jarell wynurza się przed nim na powierzchnię. Kapłan zupełnie odruchowo obejrzał się za siebie i zamarł. Płynąca za nim czarodziejka, pełna przerażenia, oganiała się pochodnią od trzech obłych stworzeń, które ją zaatakowały. Miotała się na wszystkie strony, a z każdym kolejnym odparciem ataku dziwnego węgorka kurczył się jej zapas tlenu. Wrecedarm, niewiele myśląc, ruszył kobiecie na pomoc. Podpłynął do niej i chwyciwszy ją za wolną rękę, pociągnął za sobą w stronę zaczynającego się niebawem suchego korytarza. Adriela, ciągnięta przez towarzysza, wciąż oganiała się od natarczywych stworzeń, których zaczynało przysypywać coraz więcej. Przerażenie kobiety zaczęło być wypierane przez gniew, który szybko przemienił się w furję. Gdyby kapłan nie ciągnął jej za sobą, przestałaby zważać na kończące się w płucach powietrze i całą energię poświęciłaby na zabijanie atakujących ją stworów. Zanim by się obejrzała, zostałyby kolacją żarłocznych wężopodobnych istot.

Ledwie zdołali się wynurzyć i wygramolić na powierzchnię, kobieta zrobiła użytek z jednego ze swoich pierścieni i rozwścieczona plunęła pióropuszem płomieni prosto w taflę brudnej wody. Mężczyźni, porzuciwszy dopalające się pochodnie, natychmiast skulili się za jej plecami, nie chcąc znaleźć się przypadkiem między nią a jej ofiarami. Napad szale czarodziejki nie trwał długo, jednak jej towarzyszom wydawał się nieskończony. Kiedy ochłonęła i pozbierała się, jak gdyby nigdy nic ruszyła dalej ciemnym korytarzem. Jarell pierwszy odważył się podążyć za nią, choć po jego zachowaniu widać było, że spodziewał się nawrotu furii w każdej chwili. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło i już po kilkunastu minutach dotarli do metalowej przerdzewiającej drabinki przytwierdzonej do ściany, nad którą znajdowała się drewniana kłapa w suficie. Sforsowanie jej nie było proste, jednak siła paladyna razem z odrobiną magii poradziły sobie z przeszkodą, umożliwiając całej trójce wydostanie się na powierzchnię.

Ruina, o której mówił im przewodnik, rzeczywiście zasługiwała na to miano. Zapadnięty strop i sypiące się mury tworzyły żałosny obraz niegdyśszej dumy budownictwa militarne. Na szczęście wśród gruzów ostały się ściana nośna oraz nienaruszony fragment dachu. Adriela zarządziła tam nocleg. Mimo otaczających ich murów nie mogli pozwolić sobie na rozpalenie ogniska, przy którym mogliby się ogrzać. Gideon był niepokieszony takim obrotem

spraw, jednak już po chwili zmienił zdanie, kiedy czarodziejka rozebrała się, aby wysuszyć za pomocą magii swoje przemoczone ubranie. Niewiele dostrzegł w półmroku, jednak jego bujna wyobraźnia skutecznie sobie z tym poradziła. Kiedy ponownie się ubrała, poleciła towarzyszom, aby stanęli w bezruchu i skierowała swoje magiczne moce na nich. Wrecedarm czuł, jak ogarnia go coś na kształt bańki ciepłego powietrza, które mimo że nie parzyło, w ciągu minuty odparowało całą wodę z jego ubioru.

Kiedy wszystkie bagaże były już suche, Adriela wyznaczyła godziny warty dla siebie i paladyna, który bardzo ochoczo przystał na taki plan. Gideon zaś przeklinał w duchu ich zdyscyplinowanie. W końcu znaleźli się na powierzchni i mógł mieć kolejną okazję do uwolnienia się od tej niedorzecznej misji, na którą się zgodził. Jednak po ostatnich wydarzeniach nie miał tak naprawdę sił ani ochoty na wałęsanie się nocą samemu po nieznanym pustkowiu. Jego mimowolni towarzysze zapewniali mu bądź co bądź bezpieczeństwo, może więc powinien trzymać się ich tak długo jak to tylko możliwe? Miał świadomość, że z każdym kolejnym dniem oddala się coraz bardziej od morskiego brzegu, skąd planował udać się na Wygnańcze Wyspy, ale obecnie niewiele był w stanie na to poradzić. Z tą myślą zapadł w sen.

Rozdział 9

WSPARCIE

Gildorf siedział w skupieniu przy dębowym biurku i rozmyślał. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd jego żona opuściła stolicę, przewodząc misji, a już wpakowała się w poważne kłopoty, które jemu nigdy się nie przytrafiły. Nie wątpił, że Feriel stanie na wysokości zadania i zdoła wyprowadzić całą trójkę bezpiecznie poza miasto, jednak czyhało na nich jeszcze dużo rozmaitych zagrożeń. Czy jego żona sprosta dalszym wyzwaniom tej misji? Był z nią rzecz jasna Jarell – człowiek odważny i honorowy, gotów oddać życie w obronie Adrieli, lecz to mogło nie wystarczyć. Nawet jeśli jego żona nie będzie narażona na żadne niebezpieczeństwo, co było mało prawdopodobne, misja wciąż stanowiła poważne wyzwanie, a zależało od niej zbyt wiele. Wiedział również, że w wypadku porażki, niezależnie od tego, czy królestwo przetrwa, czy nie, król Olaf już nigdy nie powierzy jej kolejnego przedsięwzięcia.

Co powinien w tym momencie zrobić? Jako mąż mógł w pełni zaufać możliwościom Adrieli i wierzyć w to, że osiągnie sukces. Jako szpieg króla powinien lojalnie poinformować władcę o sytuacji i zrobić wszystko, aby misja zakończyła się powodzeniem. Choć to rozwiązanie miało jedną wadę – mianowicie musiałby nadwyrężyć zaufanie, którym obdarzyła go Adriela, kontaktując się z nim i prosząc o potajemną pomoc. Ale jako mąż powinien zadbać o jej bezpieczeństwo, niezależnie od jej ambicji.

Ciężki orzech miał do zgryzienia. Czy ważniejsza była dla niego lojalność wobec króla, czy własnej żony? Kiedy zadał sobie to pytanie, nagle ogarnął go wstyd. Przecież odpowiedź była aż nazbyt oczywista.

Zapadł się w oparciu krzesła i zaczął łamać sobie głowę, w jaki sposób powinien się zorganizować. Dostał rozkaz udania się na zachodnie wybrzeże, a Adriela była po przeciwnej stronie Anferu, nie mógł więc osobiście trzymać ręki na pulsie. Chyba że... Tak, to mogłoby się udać, jednak ryzykowałby bezpieczeństwo królestwa, powierzając swoje zadanie komuś innemu. Choć i tak musiał zaangażować wszystkich wywiadowców rozsianych po zachodniej stronie Anferu. Nikt nie będzie wiedział, że go tam tak naprawdę nie ma. Po odpowiednim przygotowaniu tylko jedna osoba zostanie czynnie zaangażowana w jego działanie.

Zorganizowanie wszystkiego zajęło mu więcej czasu, niż przypuszczał, dlatego o północy, kiedy już dawno powinien znajdować się w Fajilinie, dopiero skończył pakować plecak. Rozglądał się właśnie po komnacie, zastanawiając się, czy na pewno zabrał wszystko, czego będzie potrzebował, kiedy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Obrócił się i zobaczył stojącego w wejściu Tina Cago – osobistego sługę króla Olafa. Niewysoki, szczupły, łysiejący mężczyzna skłonił się lekko, po czym poinformował Gildorfa, że Kaspira oczekuje go w swojej pracowni.

– Jest dość zniecierpliwiona – dodał służący. – Król zaś pragnąłby się dowiedzieć, dlaczego jeszcze pan nie wyruszył do Fajilinu, skoro wydał wyraźny rozkaz.

– Niebawem zjawię się w jej pracowni. A królowi przekaz, że musiałem jeszcze pozamykać pewne otwarte kanały informacyjne, które mogłyby zagrozić tajności całego przedsięwzięcia – odparł szpieg zgodnie i niezgodnie z prawdą.

Sługa skłonił się ponownie i opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi.

Gildorfa nie zdziwiło, że władca trzyma rękę na pulsie i bacznie przygląda się jego posunięciom. Miał tylko nadzieję, że nie zacznie go kontrolować podczas misji i zadowoli się jedynie składanymi codziennie raportami. Z tą myślą zebrał swoje rzeczy i opuścił komnatę, udając się do pracowni Kaspiry.

Nieczęsto tam bywał. Nie oznaczało to jednak, że słabo się znali. Wiele razy brali udział we wspólnych zadaniach, co bardzo ich do siebie zbliżyło i być może to ona byłaby teraz jego żoną, gdyby nie Adriela, którą wtedy szkoliła. Młoda adeptka magii, nieświadoma miłosnych aspiracji swojej mentorki, niemal natychmiast zadurzyła się w Gildorfie i zanim Kaspira zdążyła się zorientować, skradła mu serce. Arcymagini była jednak dojrzałą

i doświadczoną kobietą, przełknąwszy więc dumę, pogodziła się z zaistniałą sytuacją. Wiedziała, że takie rzeczy po prostu się zdarzają, i nie miała tego nikomu za złe.

Mimo że mężczyzna był teraz żonaty, nadal utrzymywał z Kaspirą życzliwe relacje. Byli wobec siebie lojalni i kryli się wzajemnie przed gniewem króla Olafa. Adriela bardzo mierzyła ta zażyłość, jednak kiedy Gildorf pewnego dnia nie wytrzymał i opowiedział jej historię ich znajomości, kobieta przestała być zazdrosna. Dotarło do niej, że gdyby arcymagini chciała mieć jej męża, dopięłaby swego.

Pracownia Kaspiry znajdowała się na najniższym poziomie podziemi Zamku Ośmiu Dam. Arcymagini ceniła sobie spokój, a poza tym zajmowała się magią eksperymentalną, co niosło ze sobą ryzyko niekontrolowanego uwolnienia magicznej energii. W takim wypadku liczba ofiar zostałaby skutecznie ograniczona właśnie dzięki położeniu pracowni z dala od dworu królewskiego.

Gildorf bez pukania wszedł do pomieszczenia. Za każdym razem, kiedy tutaj trafiał, nachodziły go te same refleksje – że znalazł się w jakimś tajemniczym lochu. Mimo braku okien i jakichkolwiek źródeł światła komnata była doskonale oświetlona, co stanowiło dla mężczyzny odwieczną zagadkę, jednak zbyt mało wiedział o magii, aby głębiej się nad tym zastanawiać. Pomieszczenie miało wiele wnęk w ścianach, w których usytuowano meble – regały z książkami czy ogromny stół roboczy, pozastawiany tak przedziwnymi przedmiotami, że niewtajemniczonemu trudno było stwierdzić jednoznacznie, które z nich zostały stworzone przez matkę naturę, a które ręką ludzką. Poza tym sala była pełna porostawianych w różnych miejscach, dziwacznie wyglądających instalacji i urządzeń. Jediną rzeczą, jaką szpieg potrafił zidentyfikować, była murowana studnia głębinowa naprzeciwko wejścia do pomieszczenia. Świeża i czysta woda była niezbędna przy sporządzaniu magicznych mikstur i eliksirów.

Siedząca przy blacie zawalonego księgami stołu kobieta oderwała się od lektury, kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi do pracowni. Zobaczywszy mężczyznę, pokręciła z dezaprobatą głową, zamknęła księgę i podeszła, aby się przywitać.

- Dwie godziny spóźnienia – wytknęła mu, całując go po przyjacielsku w policzek. – Zgubiłeś się czy co?
 - Wybacz mi, ale musiałem coś... zaaranżować – odparł, zamykając za sobą szczerlnie drzwi. – Będę potrzebował twojej pomocy – oznajmił przyciszonym głosem.
 - Pomocy? – Kaspira zmarszczyła brwi. – Znowu coś schrzaniłeś?
 - Nie ja. Nie pytaj kto. Im mniej wiesz, tym lepiej.
 - Param się magią, wiedza to mój żywioł – prychnęła.
 - Zaufaj mi, proszę, i nie draż tematu.
 - Dobrze. – Arcymagini przewróciła oczami. – Jakiej pomocy ode mnie oczekujesz?
 - Musisz mnie przenieść jak najbliżej Kastengravu. – Szpieg zacisnął usta, czekając na łańcuch reakcji, który zaraz nastąpi.
 - Do Kastengravu? Król kazał mi przenieść cię na zachód do... Zaraz... Czy to nie w tamtych okolicach twoja... Aha... – Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.
 - Nie potwierdzam i nie zaprzeczam, ale musisz mi pomóc.
 - Gildorfie, wiesz przecież, że zawsze jestem gotowa kryć twój kształny tyłek, ale Prezeus wydał mi konkretny rozkaz. Mam cię przenieść do Fajilinu. Co mu powiem, kiedy się dowie, że cię tam nie ma?
 - Nie dowie się. Wszystko zorganizowałem i jeżeli będziemy mieli szczęście...
 - Szczęście? Cóż, uspokoiłeś mnie. – Uśmiechnęła się kpiąco.
 - Muszę dostać się jak najbliżej Kastengravu. Zbyt wiele od tego zależy.
- Kaspira westchnęła. Nie uśmiechało się jej ewentualne tłumaczenie przed Olafem swojego postępowania, ale znała Gildorfa i wiedziała, że przychodził do niej po pomoc tylko wtedy, gdy nie miał innego wyjścia. Nie mogła go zawieść, kiedy w grę wchodziła jego żona.
- Mam okłamać króla? – zapytała prosto z mostu.
 - Tylko jeśli zapyta.

– Bo przecież nigdy nas nie kontroluje – zakpiła kobieta i ponownie westchnęła. – Dobrze, zrobię to dla ciebie, ale chcę coś w zamian.

– Dziękuję – mężczyzna odparł z ulgą. – Proś, o co chcesz.

– Od tego śłączenia nad zwojami, retortami i artefaktami nabawiłam się bólu w plecach. Mógłbyś mi je rozmasować? Niezręcznie jest mi prosić kogoś innego...

– Masaż? Nie ma sprawy. Jak tylko wrócę – obiecał.

– Jesteśmy zatem umówieni. – Uśmiechnęła się. – Czyli co, chcesz, abym przeniosła cię w to samo miejsce, dokąd przeniosłam Adrielę? – zapytała, zmieniając temat.

– Właściwie to nie. Muszę znaleźć się jak najbliżej Kastengravu.

– To był najdalej wysunięty na wschód bezpieczny punkt, w jaki mogłam ich przenieść – wytłumaczyła Kaspira.

– Muszę znaleźć się jeszcze bliżej – oświadczył zdeterminowany mężczyzna.

– Chyba sobie żartujesz. Pozostałe lokacje niosą ze sobą śmiertelne zagrożenie...

– Podejmę to ryzyko – przerwał jej stanowczo.

Kobieta przyglądała mu się bacznie przez pewien czas, a kiedy doszła do wniosku, że nie będzie w stanie wyperswadować mu jego zamierzenia, bez słowa poprowadziła go do rozłożonej na stole mapy królestwa, upstrzonej zielonymi, żółtymi i czerwonymi kropkami. Przez chwilę wodziła bystrym wzrokiem swoich piwnych oczu po arkuszu, po czym wskazała palcem jedno z jezior na północny zachód od Kastengravu.

– Żółty punkt oznacza, że teleportacja jest bardzo niebezpieczna, ale przy odrobinie szczęścia nie zginiesz.

– Jezioro? – zapytał niepewnie szpieg.

– Jezioro – odparła kobieta. – Prawdopodobnie dno jeziora.

– Prawdopodobnie?

– Mapę sporządzono kilkaset lat temu, więc nie mam informacji, dlaczego ta lokacja jest tak niebezpieczna, ale podejrzewam, że znajduje się na samym dnie jeziora.

Gildorf trochę się zmieszał. Jego pewność siebie gdzieś na chwilę uleciała, jednak po krótkiej gonitwie myśli zacisnął zęby i kiwnął na znak, że się zgadza.

– Zróbmy to.

– Mogę otworzyć taflę tu i teraz, przygotuj się więc najpierw.

– Jestem spakowany – oświadczył, pokazując plecak. – No tak... Bagaż przygoździ mnie do dna – uświadomił sobie.

– Tak samo jak ekwipunek. – Arcymagini wskazała kuszę i krótki miecz przywieszony u pasa.

– Kiepska sprawa – przyznał mężczyzna i zaczął pozbywać się wyposażenia.

Starannie je dobrał, aby zoptymalizować przebieg przedsięwzięcia, jednak cały wysiłek poszedł na marne, gdyż wszystko było zbyt ciężkie, aby bezpiecznie mógł opuścić głęboką toń jeziora. Zostawił tylko własnoręcznie wykonany nóż, z którym nigdy się nie rozstawał, oraz kryształ kontaktowy. Przypasał je zamiast miecza i odziany jedynie w luźne spodnie i koszulę stanął przed Kaspirą, gotów do podróży. Kobieta zdążyła przez ten czas przygotować się do otwarcia portalu.

Wszystko przebiegło bez żadnego problemu, a kiedy tafla przestrzeni w końcu się ustabilizowała, Gildorf wziął głęboki wdech i gotowy na nagłą zmianę ciśnienia, pewnym krokiem przekroczył przejście.

Arcymagini najwyraźniej się nie pomyliła, gdyż od razu po wejściu w portal poczuł ucisk w okolicy czaszki, wszechogarniające zimno oraz coś jakby stan zawieszenia w przestrzeni. Kiedy otworzył oczy, dostrzegł tylko mrok. Chwilę później zaczęły go szczypać, szybko je więc zamknął. Nie miał wiele czasu, dlatego natychmiast zaczął się wynurzać. Zrobił kilka wyuczonych ruchów rękami i nogami, szybko się jednak zorientował, że coś jest nie tak. Ciągle miał wrażenie, jakby opadał coraz głębiej. Ponownie otworzył oczy, aby mieć pewność, że płynie we właściwym kierunku. Kiedy wzrok przyzwyczał się trochę do ciemności, zaczął dostrzegać gdzieś nad sobą jasno świeczące punkty. Kiedy ze zdumieniem uświadomił sobie, że patrzy na rozgwieżdżone niebo, spojrzął w dół i z wrażenia wypuścił całe tak skrupulatnie przetrzymywane powietrze z płuc. Dostrzegł pod sobą skrzącą się

niewyraźnie w świetle gwiazd niewielką powierzchnię jeziora, która z każdą sekundą powiększała się coraz bardziej. Nie znalazł się na dnie jeziora, ale bardzo wysoko nad nim i właśnie spadał jak kamień.

Przerażenie, które go ogarnęło, sparaliżowało całe jego ciało. Nie potrafił zebrać się do stawienia czoła niespodziewanej sytuacji, w jakiej się znalazł. Jedyne, co mógł w tym momencie robić, to biernie przyglądać się rosnącej pod nim tafli wody. Narastająca świadomość zbliżającej się śmierci w końcu przełamała jego stupor i umożliwiła mu realną ocenę sytuacji.

Mknął w stronę jeziora niczym pocisk wystrzelony z katapulty i wiedział, że jeżeli nie ograniczy swojej powierzchni w chwili spotkania z lustrem wody, skończy jak pomidor rzucony o ścianę.

Tafla jeziora była coraz bliżej, musiał więc jak najszybciej obrócić swoje ciało tak, aby stosunkowo bezboleśnie „wślizgnąć się” w wodną toń. Zadanie nie było proste, jednak brak bagażu i osprzętu zdecydowanie ułatwiało mu ten wyczyn. Dopiero teraz zaczął odczuwać prędkość, z jaką spadał w dół, i wydawało mu się, że wciąż przyspiesza. Musiał wziąć głęboki wdech, aby nie utonąć, ale pęd powietrza zatykał go, uniemożliwiając mu napełnienie płuc życiodajnym tlenem. Wciąż walczył z narastającym uczuciem paniki, lecz w końcu udało mu się zapanować, o ile mógł, nad sytuacją. Przybrał odpowiednią pozycję ciała, wziął głęboki wdech i z duszą na ramieniu wpadł w czarną otchłań jeziora.

Mimo jego starań siła uderzenia wypchnęła mu z płuc całe zgromadzone tam powietrze, a prędkość włoczyła go głęboko w mrok wody. Kiedy jego błędnik w końcu się uspokoił, Gildorf wiedział, że zanurzenie dobiegło końca, natychmiast więc ruszył ku zmaconej jego upadkiem powierzchni. Brak tlenu w krwiobiegu nie ułatwiało mu zadania, powodując coraz większy ból przy każdym kolejnym ruchu. Mimo to mężczyzna płynął dalej, coraz rozpaczliwiej machając kończynami. Instykt przetrwania nakazywał mu wzięcie wdechu, ale resztki zdrowego rozsądku zaciskały mu usta coraz bardziej. Walka z wodą zdawała się trwać bez końca, pozbawiając go sił przy każdym kolejnym okupionym cierpieniem działaniu, mającym na celu dotarcie na powierzchnię jeziora. Kiedy w końcu jego mózg, rozpaczliwie wołając o tlen, zaczął zaburzać stan świadomości, Gildorf odruchowo wziął wdech. Lodowata woda wypełniła płuca, które dopiero teraz zaczęły palić prawdziwym ogniem. W tym samym momencie jego twarz ogarnęło rześkie, górskie powietrze nocy.

Krztusząc się lodowatą wodą, mężczyzna robił, co mógł, aby pozostać na powierzchni. Jego osłabiony organizm rozpaczliwie potrzebował dotlenienia, lecz obkurczone płuca nie pozwalały mu swobodnie nabrać powietrza. Wiedział, że potrzebuje wytchnienia, chwili spokoju, która ułatwiłaby mu zapanowanie nad niekontrolowanymi skurczami przepony. Nie miał wyjścia, musiał jak najszybciej dotrzeć do brzegu, zanim jego stan fizyczny się pogorszy. Rozejrzał się wokół, ale nie był w stanie przeniknąć otaczającego go mroku. Obrął więc za kierunek słabą lunę światła na horyzoncie, bijącą prawdopodobnie od Kastengravu. Dotarcie do brzegu było katorżniczą pracą, jednak szpieg okazał się nad wyraz zdeterminowany i po jakimś czasie padł wycieńczony na niedużą piaszczystą plażę.

Przez kolejny kwadrans systematycznie pozbywał się jeziora ze swoich płuc, czując, jak z każdym wykrztuszeniem wody udaje mu się wciągnąć więcej powietrza. Kiedy w końcu był w stanie normalnie oddychać, fala adrenaliny, która zalewała całe jego ciało, zaczęła ustępować, wprawiając szpiega w drugie stadium hipotermii. Wieloletnie doświadczenie nakazywało mu ruszać dalej, aby jak najszybciej się rozgrzać, lecz wycieńczenie skutecznie walczyło z rozsądkiem. W końcu, po wielokrotnym przypominaniu sobie, po co się tutaj znalazł, podźwignął się niezgrabnie i powłócząc sztywnymi z zimna nogami, ruszył wolnym truchtem w stronę bladej łuny światła.

Ruch bardzo mu pomógł – Gildorf rozgrzał się i ponownie zaczął trzeźwo myśleć. Jedyne kłujący ból w płucach nie ustępował, ale mężczyzna był zmuszony zignorować go w myśl zasady, że skoro boli, to znaczy, że żyje. Przebył już spory odcinek drogi, kiedy usłyszał po lewej stronie szum wody. Zgodnie z posiadaną wiedzą powinna to być Rzeka Jezior, która przepływała bezpośrednio przez Kastengrav. Najrozsądniej było więc podążyć dalej wzdłuż jej biegu. Brzeg okazał się równy, choć miejscami zarośnięty sitowiem i podmokły, ale dla szpiega była to i tak dużo łatwiejsza trasa niż włóczenie się nocą nieznanymi góorskimi bezdrożami.

Podróżowanie wzdłuż szumiącej wodnej serpentyny stanowiło dla mężczyzny moment wytchnienia. Wiedział już, gdzie znajduje się cel jego podróży, i nie musiał martwić się, że zboczy z obranego kierunku. Mimo zmęczenia, które mu towarzyszyło, odkąd tutaj trafił, przepełniał go entuzjazm. Wykaraskał się kilka razy ze śmiertelnego zagrożenia bez uszczerbku na zdrowiu i w stosunkowo szybkim czasie odnalazł drogę do miasta. Wszystko miało się ku lepszemu.

Ledwie zdążył o tym pomyśleć, gdy jego uszu dobiegł nienaturalnie głośny szelest w pobliskim sitowiu. Natychmiast zatrzymał się w pół kroku i w napięciu wsłuchał się w odgłosy otoczenia. Okolicę, którą przemierzał, zamieszkiwały rozmaite zwierzęta, lecz również stwory, o których nie wiedział zbyt wiele, kładąc więc powoli dłoń na rękojeści swojego noża, żywił nadzieję, że źródłem hałasu jest tylko kaczka. Kiedy jednak wpatrzył się intensywniej w ciemność, zdołał dostrzec dwa nieduże żółte ślepia wlepione prosto w niego. To nie była kaczka. Nim zdążył uświadomić sobie, z czym ma do czynienia, stwór niczym błyskawica wystrzelił z zarośli i z całym impetem wskoczył na zaskoczonego szpiega, przewracając go na plecy. Gildorf wyszarpnął z pochwy głownię swojego noża i natychmiast poderwał się na równe nogi. Istota, która go obaliła, zniknęła bez śladu. Jeżeli dobrze pamiętał, tego typu ataki były charakterystyczne dla szlamozerców – gadzich istot wielkości dużego psa, o silnych, skocznych tylnych kończynach i pysku pełnym ostrych jak sztylety zębów. Jednak stwory te najczęściej atakowały z wody, wciągając w kipiel zwierzęta korzystające z wodopoju. Jak na zawołanie coś szarpnęło go za nogę, obalając na brzuch, i z ogromną siłą zaczęło ciągnąć w stronę rzeki. Mężczyzna w odruchu starał się czegoś złapać, lecz było to niewykonalne. W kilka sekund znalazł się pod wodą, szarpany za nogawkę spodni przez wyjątkowo okazałego szlamozercę. Walka była zaciekle. Gildorf nic nie mógł dostrzec w mętnej ciemnej toni, starał się więc namierzyć swojego oprawcę rękami, którymi machał na oślep. Stwór zaś wyginał swoje gibkie, oślizłe ciało, coraz zacieklej szarpiąc materiałem. W końcu jednak zdał sobie najwyraźniej sprawę, że jego atak nie przynosi przewidzianego rezultatu, i przypuścił kolejny, na ramię mężczyzny. Gildorf, czując, co się święci, postanowił wykorzystać sytuację i chwycił stwora mocno za gardziel, zadając mu ciosy ostrzem noża. Kotłujący się pod wodą szlamozerca zrozumiał, że natrafił na groźniejszego od siebie przeciwnika i za wszelką cenę starał się wyswobodzić. Szpieg jednak nie zamierzał zwolnić uchwytu, dopóki istota nie przestanie wierzczać, co też w końcu nastąpiło. Nieruchome truchło stwora podryfowało z prądem, podczas gdy mężczyzna wygramolił się na brzeg, ponownie przemoczony i przemarznięty. Gildorf był wściekły. Miał już serdecznie dosyć wody, zimna i otaczającego go mroku. A najbardziej frustrował go fakt, że nie ma przy sobie swojego ekwipunku. Został jedynie z nożem i kryształem kontaktowym. Natychmiast postanowił zrobić z niego użytek i porozumieć się z Ferielem, aby ten zapewnił mu wszystko, czego będzie potrzebował w dalszej drodze. Wydobyl kryształ ze skórzanego futerału i połączył się z wywiadowcą.

Wyznaczonym miejscem spotkania było Drzewo Wisielców – wiekowy powykręcany orzech rosnący nieopodal zachodniej bramy Kastengravu. Drzewo zawdzięczało swoją nazwę licznym nieszczęśnikom, którym życie dało się we znaki do tego stopnia, że decydowali się je zakończyć, wieszając się na gałęzi. Każda z tych tragedii zostawiała po sobie fragment sznura – obecnie zwisało posepnie jednaście postronków. Niektóre były stare, postrzępione i zbutwiałe, inne z kolei wyglądały, jakby zawisły tutaj wczoraj.

Gildorf refleksyjnie przyglądał się tym „przerwanym żywotom”, kołyszącym się delikatnie na wietrze. Nie potrafił zrozumieć, jak można odebrać sobie życie. Zawsze nachodziła go myśl, że to trwałe rozwiązanie tymczasowych problemów. Wszystko przecież kiedyś przemija, po każdej nocy wschodzi słońce i budzi świat do życia.

Z zadumy wyrwał go Ferial, który po cichu podszedł do swojego przełożonego i jakby czytając w jego myślach, powiedział:

- Coś, co wydaje się głupie, ale działa, nie jest głupie.
- Po trupach do celu – skwitował szpieg i przywitał się powściągliwie z podwładnym.
- Mam wszystko, o co prosieś, choć nie była to bułka z masłem. – Wywiadowca wręczył szpiegowi worek wypchany ekwipunkiem.

– Nie marudź, dostaniesz pokaźną premię – zapewnił mężczyzna i zaczął przetrząsać wnętrze w poszukiwaniu ciepłego kaftanu.

– Rozumiem, że mam nie wspominać w raporcie o dzisiejszym spotkaniu?

– Jakim spotkaniu? – Gildorf ponownie zawiązał bagaż i zmienił temat rozmowy. – Były jakieś problemy z wykonaniem zadania? – zapytał.

– Cóż, prawdę powiedziawszy, wszystko poszło gładko, a spokój na ulicach świadczy o tym, że strażnicy jeszcze się nie zorientowali, że mają uciekinierów.

– Wybornie – pochwalił podwładnego szpieg.

– Cała trójka była zdrowa, gdy ich opuszczaliśmy. Poradziłem im, aby rozbili obóz w ruinach strażnicy, na północny wschód od miasta. To odludne miejsce, uważane przez tutejszych za nawiedzone, powinni więc być tam bezpieczni.

– Myślisz, że rzeczywiście tam się zatrzymali?

– Jeżeli mają choć odrobinę oleju w głowie, to tak zrobili. Skrajną głupotą byłoby włączenie się nocą po nieznanym górskim terenie.

– Zaiste – przyznał szpieg. – Ruszam zatem, żeby dotrzeć na miejsce, zanim zwiną obóz.

– Jest jeszcze coś, o czym chciałbym poinformować. – Wywiadowca ponownie przykuł uwagę przełożonego. – Kiedy prowadziłem ich podziemiami, dotarliśmy do jednego z nielicznych węzłów komunikacyjnych, gdzie zastałem sporych rozmiarów dziurę w sklepieniu, łączącą podziemia z systemem kanałów miejskich.

– Dziurę?

– Tak, jednak nie to było najbardziej osobliwe. Kiedy odprowadziłem trójkę zbiegów, przytrafiło mi się coś dziwnego.

– Mów jaśniej – ponaglił Gildorf.

– Napotkałem na swojej drodze jaszczuropodobną istotę, o której pół miasta rozprawia po zmroku. Z początku sądziłem, że to tylko zbiorowa histeria, jednak widziałem tego stwora na własne oczy. Sądzę, że dziura w sklepieniu i jego obecność to nie przypadek.

– Jaszczuropodobna istota? – zapytał zaintrygowany szpieg.

– Była ogromna, jak zapaśnik walczący na arenie.

– Hm... Zapewne chciałbyś przyjrzeć się tej sprawie z bliska? – zapytał Gildorf, znając zapał swojego podwładnego.

– Z wielką chęcią – przyznał Ferial, czując ekscytację na samą myśl o powrocie do kanałów z solidnym arsenałem.

– Nie ma mowy – uciął temat mężczyzna, wpatrując się twardym wzrokiem w podekscytowaną twarz wywiadowcy. – Masz się skupić na podejrzanych wędrowcach przybywających ze wschodu.

– A co z jaszczurem? – zapytał poirytowany Ferial. – Ma sobie swobodnie grasować po ulicach?

– Poinformuj anonimowo władze miasta o swoim odkryciu w podziemiach. Kiedy będą łątać dziurę, ktoś z pewnością natknie się na tego jaszczura, a wtedy kwestią czasu będzie, kiedy go dopadną.

– Mogą być ofiary – wywiadowca nie ustępował.

– Słuchaj – stanowczo odparł Gildorf, kładąc rękę na ramieniu młodzieńca. – Chcesz spędzić w tym miejscu resztę życia jako wywiadowca? Wykonywanie moich rozkazów bez mrugnienia okiem świadczy o pełnym zaufaniu do przełożonego. Jeżeli nie zdobędziesz się na to zaufanie względem mnie, ja nie będę mógł ufać tobie w kwestiach najwyższej wagi. Cierpliwość jest naszym sprzymierzeńcem. Myślałem, że już ją opanowałeś? – zapytał znacząco.

– Tak jest – odparł pokornie Ferial, po czym bez słowa oddalił się w kierunku miasta.

Szpieg jeszcze przez pewien czas wpatrywał się w plecy podwładnego, aż ten zniknął w mroku. Lubił tego chłopaka i cenił go za jego talenty, ale wciąż dostrzegał w nim narwanego młokosa, z którym miał już wystarczająco dużo problemów.

Ostatni raz objął wzrokiem kołyszące się na wietrze szczątki sznurów, po czym zarzucił worek na ramię i udał się w stronę brzegu rzeki. Czekala go jeszcze jedna kąpiel.

Rozdział 10

SKRÓT

Gideona obudziły odgłosy krzątania w obozowisku. Otworzył ciężkie powieki i natychmiast zamknął je ponownie pod naporem promieni słonecznych przebijających się przez resztki stropu zrujnowanej strażnicy. Skrzywił się i obrócił twarz w stronę cienia.

– Dzień dobry – usłyszał niski głos paladyna.

Ponownie otworzył oczy i usiadł, rozglądając się zaspanym wzrokiem.

– Właśnie miałem cię budzić. – Jarell stał nieopodal, zwijając swoje posłanie.

– Dobry – odparł kapłan niewyraźnym głosem, a po chwili zapytał, która godzina.

– Po siódmej. Musimy zaraz ruszać w drogę.

– W drogę? A śniadanie? – oburzył się Wrecedarm, czując jak skręca go w brzuchu z głodu.

– Śniadanie nie ucieknie, a my nie możemy zwlekać. Zjemy po oddaleniu się od Kastengravu.

Kapłan westchnął ciężko, przetań dłońmi zmęczoną twarz, po czym bardzo nierad z zaistniałej sytuacji podniósł się z ziemi i również zabrał za pakowanie bagażu.

Czekał ich cały dzień wędrówki po górach, z dala od cywilizacji. Wrecedarm zupełnie nie czuł się na siłach, aby stawić czoła takiemu wyzwaniu, jednak nie miał nic do gadania. Nie mógł sprzeciwić się swoim towarzyszom, tym samym bowiem sprzeciwiłby się władcy, a to oznaczałoby rychłą śmierć. Został niewolnikiem własnych kłamstw, co było swoistym paradoksem, ponieważ niegdyś pomogło mu wyrwać się z ubóstwa.

Rozmyślania przerwała mu Adriela, która zjawiała się nie wiadomo skąd, aby oświadczyć rycerzowi, że idzie złożyć raport władcy.

– Nie szukajcie mnie, wróćcie niebawem – zapewniła.

Gdy się oddalała, Gideon nie mógł oderwać od niej wzroku, podziwiając jak zwykle jej powab i wdzięk.

– Pamiętaj, że ma męża – odezwał się rycerz.

– Słucham? Chyba nie insynuujesz, że... – zaperzył się kapłan.

– Przecież widzę, z jaką poządlivością na nią patrzysz – przerwał mu Jarell.

– Poządlivością? Jestem kapłanem, nie wiem, co to poządlivość. To najzwyklejsza... fascynacja, i tyle.

– Nazywaj to, jak chcesz, bylebyś trzymał ręce przy sobie – przestrzegł paladyn. – Bynajmniej nie ostrzegam cię przed sobą, ale przed nią. Adriela nie zna litości.

– Masz w tej kwestii jakieś doświadczenie? – odgryzł się wojownikowi.

– Ja? – Rycerz roześmiał się głośno. – Złożyłem śluby czystości, zarówno ciała, jak i serca oraz myśli. Gdybym czynił cokolwiek wbrew woli mojego boga, zostałbym pozbawiony łaski, a z nią wszystkich mocy, którymi zostałem obdarowany.

– Ja nie składałem ślubów czystości – przyznał kapłan.

– Może powinieś, zanim zupełnie zawróci ci w głowie. – Wojownik uczynił wymowny gest rękami wokół swojej twarzy.

– Wczoraj pod wodą uratowałem jej życie, a ona nawet mi nie podziękowała – wyznał rozgoryczony Wrecedarm.

– Cóż, taka już jest, dumna i nieporuszona. Ja dziękuję ci w jej imieniu. Oraz w imieniu jej męża – podkreślił na koniec rycerz i usiadł na fragmencie przewróconej ściany, czekając, aż czarodziejka wróci i będą mogli ruszyć w drogę.

Gideon nic już nie odpowiedział. W milczeniu skończył się pakować i usiadł na ziemi, oparłszy się o zimny kamienny mur. Nie potrafił poukładać w głowie emocji, których doświadczał przy kobiecie. Z jednej strony nie miałyby nic przeciwko wspólnie spędzonym chwilom, z drugiej zaś – czarodziejka go drażniła i przerażała. Nie spotkał jeszcze w swoim życiu kobiety, która tak silnie targalaby jego uczuciami.

Po niedługim czasie do obozowiska wróciła Adriela, a widząc, że obaj mężczyźni są już spakowani i gotowi do dalszej drogi, zarządziła wymarsz.

Wyszli z ruin strażnicy i pokonawszy zieloną polaną pełną białych, nieznanymi im kwiatów, stanęli na ubitym trakcie prowadzącym z Kastengravu na północ, między południową częścią Gór Białego Szczytu a Rzeką Wąwózową. W tym właśnie miejscu zaczynała się Dolina Ciszy, którą mieli podążać cały dzień.

Po dwugodzinnym marszu Adriela wraz z paladynem uznali, że są już wystarczająco daleko od Kastengravu i mogą się zatrzymać na posiłek. Znaleźli ustronne miejsce niedaleko traktu, skąd mogli mieć baczenie na okolicę, i rzuciwszy bagaże na stertę, zajęli się przygotowywaniem obozu. Jak zwykle Jarell zniknął gdzieś w poszukiwaniu drew na ognisko, a Adriela została, aby pilnować kapłana i przygotować wszystko na miejscu. Wrecedarm chciał zagadać do czarodziejki, jednak coś mu podpowiadało, że to nie jest najlepszy pomysł. Jej wyniosłość i pragmatyzm skutecznie powstrzymywały jego chęć wymiany zdań, ale pragnął usłyszeć chociaż słowa podziękowania za to, co dla niej wczoraj zrobił.

– Mogłabyś mi chociaż podziękować – wypalił.

– Słucham? Mówiłeś coś, klecho? – zapytała, udając, że nie usłyszała.

– Uratowałem ci wczoraj życie. Mogłabyś mi chociaż podziękować.

– Mogłabym, gdyby rzeczywiście tak było – stwierdziła krótko i wróciła do obkładania kamieniami miejsca na ognisko.

– Utonęłabyś, gdybym cię nie wyciągnął – obruszył się Gideon.

– Słuchaj, klecho. – Adriela spojrzała na niego jak na niższą formę życia. – Jestem czarodziejką, poradziłabym sobie. Nie musiałeś mną szarpać i w panice ciągnąć na powierzchnię, gdyż doskonale panowałam nad sytuacją.

– Z pewnością – odparł Wrecedarm, przypominając sobie, z jakim zapamiętaniem kobieta miotała się w furii pod wodą. – Wybacz, że w ogóle wpadłem na tak irracjonalny pomysł – odparł rozeźlony i obrócił się plecami.

Napięcie rozładował Jarell, który wrócił z naręczem gałęzi mających posłużyć do rozpalenia dyskretnego ogniska. Ponieważ czekała ich długa i mozolna droga, Adriela przyrządziła wszystkim pieczone płaty smoczego mięsa, które popili naparem ze świeżych igieł sosnowych. Gdy wszyscy już się posilili, wojownik rozłożył na trawie mapę i wraz z czarodziejką zaczęli opracowywać trasę. Nie mieli prostego zadania. Łatwiejsza droga wiodła szlakami, lecz przedostanie się nimi na drugą stronę łańcucha górskiego zajęłoby im mnóstwo czasu, za to podróżowaliby we względnie komfortowych warunkach. Drugą możliwością było przedzieranie się przez ostępy, aby jak najszybciej dostać się na drugą stronę. Takie rozwiązanie niesło ze sobą wiele niebezpieczeństw. Mogliby zabłądzić bądź zostać zaatakowani przez tyle różnych stworów, że nie warto było nawet zaczynać ich wymieniać.

– Rozumiem, że nie mam tutaj nic do powiedzenia? – zapytał zrezygnowanym głosem Gideon.

– Nie masz – odparła krótko kobieta.

– Dlaczego? – zdumiał się paladyn. – Kapłan też jest częścią tej wyprawy.

– Dobrze – Adriela przewróciła oczami. – Wypowiedz się, jeśli chcesz.

Gideon przyjrzał się mapie i się zamyślił. Droga szlakami była kusząca, jednak dłuższa wędrówka po górach wykończyłaby go fizycznie. Trasa na przełaj z pewnością go zabije. Gdyby istniała jakaś trzecia możliwość... Wtem dostrzegł trzy symbole na mapie – dwa znajdowały się po zachodniej części łańcucha, a trzeci po wschodniej.

– A co to takiego? – Wskazał palcem.

– To są... kopalnie – rzekł paladyn, zdumiony, że ich wcześniej nie zauważył. – Stare kopalnie żelaza i miedzi... To nie jest głupi pomysł.

– Co wy znowu wymyślacie? – zapytała poirytowana Adriela.

– Gdybyśmy przeszli kopalniami, oszczędzilibyśmy drogi – wytłumaczył paladyn. – Wielebny, jesteś genialny.

– Zaraz, zaraz! – Czarodziejka natychmiast uniosła ręce w geście protestu. – Te kopalnie nie funkcjonują od trzydziestu lat. Jaką mamy pewność, że są drożne? Żadnej – odparła za nich.

– Adrielo, pomyśl chwilę. Jeżeli ruszymy szlakami, droga zajmie nam od trzech do pięciu dni, o ile nie wpadniemy w żadne tarapaty. Jeśli pójdziemy na przełaj, przez najwęższą część łańcucha, zajmie nam to, w teorii, nie więcej niż trzy dni, jednak nie wiemy, z czym przyjdzie nam się zmierzyć po drodze. Wejście do kopalni znajduje się pół dnia drogi stąd, a sama trasa nie zajmie nam więcej niż dwa dni. Uważam, że opłaca się zaryzykować. W połowie trasy znajduje się drugie wejście, zawsze więc możemy się wycofać, nie tracąc zbyt wiele czasu.

Czarodziejka nie wyglądała na zadowoloną, że kapłan znalazł dogodne rozwiązanie, ale musiała zgodzić się z rycerzem. Ta trasa rzeczywiście była najdogodniejsza i oferowała wiele możliwości.

– Zatem ruszymy przez kopalnie – oświadczyła i beznamyślnie zabrała się za zwijanie obozowiska.

Gideon był bardzo zadowolony, że wykazał się przed kobietą na przekór jej opinii o nim. Tym samym musiał jednak odłożyć swoje plany ucieczki. Nie będzie ryzykował błędzenia po kopalni, tym bardziej że przecież nie znosił podziemi... Po jaką cholere w ogóle zabrał głos? Płuł sobie w brodę, ale co się rzekło, to się rzekło. Musiał uważać, bo chęć zaimponowania Adrieli zaburzała mu zdrowy rozsądek, a w jego sytuacji oznaczało to podążanie na rzeź. Przynajmniej spędzi jeszcze trochę czasu z tą piękną kobietą, zanim uda się w swoim kierunku.

Po zagaszeniu ognia i zebraniu wszystkich rzeczy troje podróżników ruszyło dalej w stronę wejścia do kopalni. Słońce nie zdążyło jeszcze osiągnąć zenitu, jednak musieli jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Trzydziestu lat to wystarczający szmat czasu, aby matka natura uporała się z zamaskowaniem wejścia do sztolni, potrzebowali więc choćby ostatniej godziny dnia, aby je odnaleźć.

Im głębiej zapuszczali się w Dolinę Ciszy, tym bardziej przyjazna robiła się okolica. Żółta sztywna trawa z czasem ustąpiła miękkim i zielonym, soczystym łąkom, na których zaczęła pojawiać się płowa zwierzyna, pasąc się beztrasko. Zarośla, które dotąd mijali, przemieniły się w otaczające ich z każdej strony lasy, pełne rozśpiewanych ptaków i przemykających po obrzeżach dzików. Wyglądało na to, że nie był to uczęszczany szlak, co bardzo podróżnikom odpowiadało. Cisza i spokój panujące w dolinie w pełni odzwierciedlały jej nazwę.

Im dłużej wędrowcy przemierzali szlak, tym bezpieczniej zaczęli się czuć. Nawet wtedy, gdy w pewnym momencie korony drzew zamknęły się nad nimi, otaczając ich gęstym lasem, napierającym ze wszystkich stron. Szlak, dotąd wyraźny, zaczął niknąć pod ściółką leśną, co spowolniło tempo ich marszu, zmuszając do uważniejszego odnajdywania drogi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy w końcu dotarli do celu wędrowki – zarośniętych ruin osiedla górniczego wybudowanego nieopodal wejścia do kopalni. Wszystkie drewniane budynki zostały niemal doszczętnie pochłonięte przez naturę, pragnącą odzyskać wydarte jej przez ludzi dobra. Tylko kamienne fragmenty zabudowań skutecznie stawiały opór ekspansji otaczającego je lasu.

– To tutaj? – zapytał niepewnie kapłan.

– Tak – odparł Jarell, rozglądając się bacznie. – Wejście do kopalni powinno znajdować się gdzieś na tamtym zboczu. – Wskazał ręką wschód.

Gideon ogarnął spojrzeniem gęsto porośnięte drzewami i zaroślami zbocze i zwątpił. Słońce zajdzie za niecałą godzinę, a oni musieli przeczesać ładnych kilka hektarów terenu.

– Co tak patrzysz, klecho? – zapytała Adriela, rzucając swój plecak na ziemię. – Bierz się za poszukiwania – poleciła i nie czekając na jakąkolwiek reakcję ze strony kapłana, ruszyła z paladynem w kierunku zbocza.

Wrecedarm stał przez chwilę, nie dowierzając strategii swoich kompanów. Chodząc powoli po zboczu i rozglądając się na boki, wyglądali jakby wybrali się na grzybobranie, a nie szukali wejścia do sztolni. Nie posiadali żadnych map ani wskazówek, gdzie powinni szukać wejścia? Niesłychane! Gideon pomyślał, że sam spróbuje znaleźć takie dokumenty, i skierował się do jednego ze zrujnowanych budynków. Gdy wszedł do środka, ruszył od razu do przewróconego regału, gnijącego na mchu. Otworzył z trudem jedną z szuflad i wyciągnął ze środka skórzane, brudne i przemoczone zawiniątko. Rozplątał je i znalazł spleśniały, wilgotny plik jakichś szpargałów. Gdy zaczął je przeglądać, okazały się planami sieci torowisk służących do wydobywania urobku i wywożenia go na

północ, gdzie teren opadał i według planów powinno znajdować się... Ta część dokumentów okazała się zupełnie nieczytelna. Gideon upuścił zawiniątko na ziemię i zabrał się za przeglądanie reszty szuflad, gdy nagle coś go tknęło. Pochwycił ponownie plany torowiska i przyjrzał się im bliżej. Jeżeli istniały tory do wywozu urobku z kopalni, to po nich można będzie trafić do wejścia jak po przysłowiowej nitce do kłębka. Musiał tylko znaleźć jakiś charakterystyczny punkt odniesienia, który podpowiedziałyby mu, gdzie trafi na torowisko... Studnia!

Kapłan wyszedł ze zrujnowanego budynku i ruszył w głąb osiedla, poszukując ujęcia wody. Znalazł je niemal natychmiast. Drewniany daszek oparł się niszczycielskiemu wpływowi czasu i wciąż sterczał dumnie na kamiennym obmurowaniu studni. Teraz musiał odszukać budynek na północny zachód od niej – od północnej strony ruiny powinny przebiegać wąskie tory prowadzące prosto do sztolni.

Wrecedarm zawzięcie rwał płaty mchu, odkrywając kolejne połacie gołej ziemi, aż w końcu jego oczom ukazała się jedna, a później druga zardzewiała szyna. Podekscytowany swoim odkryciem, zwołał towarzyszy, aby pomogli mu zrywać kolejne płaty mchu.

Zarówno Adriela, jak i paladyn byli zaskoczeni sposobem poszukiwań wybranym przez kapłana, jednak nie mieli nic do zarzucenia jego metodzie. Natychmiast zabrali się za odkrywanie kolejnych fragmentów torowiska, które z czasem zawiodło ich w zupełnie inne rejony, niż pierwotnie przypuszczali.

– Gdyby nie wielebny, do jutra byśmy szukali tej sztolni – pochwalił kapłana Jarell, zrywając pędy jeżyn porastające drewniane stemple blokujące wejście do kopalni.

Kiedy w końcu udało im się odgruzować przejście, słońce zdążyło już schować się za wzgórzem, powierzając Dolinę Ciszey zapadającemu mrokowi. Adriela niespodziewanie zarządziła rozbięcie obozu, gdyż przed wejściem do kopalni chciała jeszcze przeszukać osiedle górnicze. Skoro kapłanowi udało się znaleźć plany torowiska, to może odkryją również plany samej kopalni? Bardzo by im pomogły zaoszczędzić cenny czas. To musiało jednak poczekać do jutrzejszego wschodu słońca.

Obserwując, jak trójka towarzyszy rozkopuje poszycie leśne, szpieg nie miał pewności co do ich dalszych posunięć. Sądził, że chcą tutaj rozpocząć wspinaczkę, aby przedostać się na drugą stronę gór. Wyglądało jednak na to, że czegoś szukają. Kiedy znalazł dogodniejszą pozycję, udało mu się dostrzec, co wykopali spod ściółki. Chcieli znaleźć wejście do kopalni, ale po co?

Kiedy zapadła ciemność i zapłonęło ognisko, Gildorf mógł podejść na tyle blisko, by podsłuchać część ich rozmów, co pozwoliło mu zrozumieć wszystko, czego dotąd nie potrafił pojąć. Planowali przejść kopalnią na drugą stronę gór. Szpiegowi taki pomysł wydał się szalony, a co gorsza – skutecznie utrudniający podążanie za nimi. Niewiele wiedział o tych sztolniach, poza faktem, że jakieś dwadzieścia lat wstecz zaginę tam jeden z królewskich wywiadowców. Czytał raporty z jego wyprawy. Podejrzewano, że w opuszczonej kopalni znaleźli schronienie okoliczni bandyci napadający na karawany kupieckie. Według ustnego sprawozdania wywiadowcy, zdanego przez kryształ kontaktowy, sztolnie okazały się puste, jednak on sam nigdy stamtąd nie wyszedł, co mogło sugerować, że nie były aż tak puste.

Gildorf rozumiał, że przejście tamtędy zaoszczędzi im masę czasu, jednak uważał to za zbyt ryzykowne posunięcie. Nie mógł się ujawnić, aby zaprotestować, bo gniew Olafa był niczym w porównaniu z gniewem Adrieli. Miał pewność, że z miejsca zostałby oskarżony o szpiegowanie żony, brak zaufania oraz ingerowanie w jej samodzielną misję. Tak, jego żona byłaby wściekła, a to odbiłoby się na wszystkich w jej zasięgu.

Gildorf bezszelestnie wycofał się w głąb lasu, aby znaleźć ustronne miejsce na spoczynek. Musiał wcześniej wstać, aby nie zgubić ich w kopalni, choć z tego, co rozumiał, wyglądało na to, że będą jeszcze przeszukiwać rano ruiny osiedla górniczego w poszukiwaniu planów podziemnych korytarzy. Nawet gdyby takie znaleźli, nie dawały im gwarancji bezpiecznego przejścia sztolniami na drugą stronę gór. Takiej gwarancji jednak nic nie mogło im zapewnić.

Gdy tylko wzeszło słońce, Adriela obudziła swoich towarzyszy i po sprawnym zwinięciu obozowiska zarządziła poszukiwania dokumentów mogących im pomóc w przedostaniu się przez kopalnię.

Przetrząsnęli każdy zakamarek osiedla górniczego, jednak nigdzie nie znaleźli tego, czego szukali. W ich ręce wpadły za to dokumenty dotyczące wydajności kopalni, akta górników, raporty z wypadków pod ziemią, sprawozdania z awarii i projekty rozbudowy osiedla pod dużo większą liczbę rodzin górniczych.

– Dlaczego właściwie zamknięto tę kopalnię? – zapytał Gideon, któremu wydało się dziwne, że najpierw planowano zwiększyć wydobywanie, zatrudniając dodatkowych górników, a następnie zamknięto sztolnie i opuszczono osiedle.

– Pewnie z polecenia władcy – odparła czarodziejka, która miała teraz inne priorytety niż zabawa w zgadującą zagadkę.

– To dziwne, skoro planowali rozbudowę osiedla.

– Co za różnica? – poirytowana Adriela rzuciła na ziemię kolejną partię bezużytecznych papierów. – Tutaj nic nie ma, nawet jednej mapy, szkicu.

– Trudno, będziemy musieli sami znaleźć drogę – oświadczył Jarell, próbując uspokoić sfrustrowaną czarodziejkę. – To w końcu kopalnia wydobywcza, a nie jakiś labirynt najeżony pułapkami.

– Tak, masz rację – kobieta westchnęła i ostatni raz omiotła wzrokiem pomieszczenie, chcąc mieć pewność, że niczego nie pominęła. – Chodźmy zatem, bo straciliśmy już zbyt wiele czasu.

Zebrali swoje rzeczy oraz wcześniej przygotowane pochodnie, po czym po kolei zagłębili się w ciemny, mokry i zimny korytarz kopalni.

Szli bardzo powoli, niepewni, co może ich spotkać. Sztolnia przez długi czas prowadziła prosto, aż wejście widniejące za ich plecami zamieniło się w mały punkcik światła. Wtedy korytarz skręcił w lewo i nieco się poszerzył. Pochodnie, które ze sobą zabrali, nie dawały szczególnie dużo światła, jednak wystarczały, aby zorientować się w otoczeniu. Na ogół otaczały ich gołe kamienne ściany, co jakiś czas jednak mijali stemple podtrzymujące sklepienie sztolni, które w tych miejscach było najwyraźniej słabsze. Wędrówka zdawała się nie mieć końca. Za każdym razem, kiedy docierali do rozwidlenia, metodycznie wypróbowywali każdą odnogę, co przeważnie kończyło się tylko stratą czasu, gdyż większość odnóg prowadziła do litej ściany. Gdzieniedzie mijali resztki porzuconych narzędzi górniczych oraz poprzewracane, dziurawe już od upływu czasu wagoniki, w których transportowano na zewnątrz urobek. Towarzyszyła im tak dojmująca cisza, że co jakiś czas musieli odzywać się do siebie, aby rozładować napięcie. Kapłan ponownie płuł sobie w brodę, że wymyślił ten durny plan, a wszystko po to, aby zaimponować tej zimnej i nieczułej babie. Pocieszał się, że chociaż spędzi z nią jeszcze kilka dni, ale okazało się, że nawet jej nie widzi wyraźnie w ciemności, o rozmowie już nawet nie wspominając. Podjął najgorszą z możliwych decyzji, a teraz musiał znieść jej konsekwencje. Nie myślał o tym, że mogło być gorzej, do momentu, kiedy dotarli do zawału skalnego zagrażającego im dalszą drogę. Adriela w pierwszej chwili chciała zawracać, jednak paladynowi udało się wyperswadować jej ten pomysł, ponieważ zmarnowałiby niemal cały dzień marszu. Nie wiedzieli, która dokładnie może być godzina, lecz poziom ich znużenia sugerował, że dochodził już wieczór. Powinni więc być niedaleko drugiego wejścia do kopalni. Musieli tylko poradzić sobie z przedostaniem się przez zawał.

Po dwóch godzinach ciężkiej pracy udało im się w końcu oczyścić bardzo wąskie przejście wśród góry osypanych skał. Przesmyk, który wydrążyli, ciągnął się przez ponad cztery metry osuwiska i wychodził z drugiej strony do jakiegoś większego pomieszczenia.

Kiedy zdołali się tam w końcu precyzyjnie, ich oczom ukazał się makabryczny widok. Zawał, spod którego się wydostali, rozciągał się również po ich lewej stronie, gdzie prawdopodobnie znajdowało się drugie wejście do sztolni. Spod kamieni wystawały dwa ludzkie szkielety, okryte podartymi, dziurawymi szmatami, które kiedyś były z pewnością odzieżą. Wyglądało na to, że góra kamieni runęła, przygniatając ich ciała, co być może nie zabiło ich od razu, ale na pewno przyczyniło się do ich śmierci. Tym bardziej że, jak zdołała zauważyć czarodziejka, ich czaszki pozostały nienaruszone.

– Sklepienie runęło zapewne w czasie, kiedy spali. – Paladyn wskazał strzępy koców wystające spod pogruchotanych szkieletów.

– Wygląda raczej na to, że drugie wejście jest zasypane – Adriela nie kryła rozgoryczenia. – Dalej sztolnia biegnie w głąb góry, niemal na pewno więc było tutaj kolejne wejście. Tyle że tych głązów nie ruszymy żadną siłą.

Gideon stał w milczeniu, wpatrując się tępo w puste oczodoły czaszek, żywiąc nadzieję, że tak nie skończy. Pierwszy raz miał do czynienia z ludzkimi szczątkami odartymi ze swojej cielesności. Widok ten napawał go taką grozą, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

– Musimy więc ruszać dalej – oświadczył rycerz w odpowiedzi na uwagę kobiety.

– Teraz? Powinniśmy raczej przespać się i ruszyć dalej jutro. Idziemy już jakieś dwanaście godzin, chciałabym odpocząć.

– Rozbijemy zatem obóz tutaj – odparł paladyn.

– Nie – zaprotestował Gideon. – Nie mogę tutaj spać... Nie chcę... Musimy iść dalej.

– Nie ma mowy, jestem zmęczona. Ruszymy jutro – sprzeciwiła się czarodziejka.

– Nie zostanę tutaj! – zakwilił Wrecedarm, zupełnie tracąc nad sobą panowanie. – Oni tutaj zginęli... Nie mogę... Po prostu... – Kapłan otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, jednak tylko poruszał nimi bezgłośnie.

– Dobrze, już dobrze. – Rycerz spojrzął znacząco na Adrielę. – Znajdziemy inne miejsce na obóz, prawda?

Czarodziejka przewróciła oczami i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Mięczak – mruknęła, mijając kapłana, i ruszyła w głąb korytarza.

Gideon niemal natychmiast poszedł za nią, nie oglądając się za siebie. Robił, co mógł, aby zagłuszyć wspomnienie zmiażdżonych szczątków, jednak wciąż przed oczami widział dwa niemal nagi szkielety.

Po dwóch kwadransach dotarli do kolejnego zawału, lecz tym razem z lewej strony odchodził korytarz. Ostrożnie zagłębili się w tunel i już po chwili się okazało, że przejście było ślepe. Ktoś jednak wykuł w jednej ze ścian mniejsze przejście prowadzące w głąb góry. Kiedy przecisnęli się przez nie, ku swojemu zaskoczeniu odkryli, że znaleźli się w pieczarze, która z pewnością nie została wydrążona żadnym ludzkim narzędziem. Popatrzyli po sobie zdumieni i ruszyli dalej. Liczyli na to, że pomieszczenie połączy się ponownie ze sztolnią kopalni, omijając tym samym zawał, który zagroził im przejście. Pieczara ciągnęła się jednak bez żadnej odnogi, okalając ich wysokimi, gładkimi ścianami. W pewnym momencie kapłanowi wydało się, że dostrzegł coś na jednej z nich. Odłączył się od towarzyszy i zaintrygowany oświetlił niemal całkowicie płaską granitową skałę. Jego oczom ukazały się dziwaczne kolorowe malunki, których nie potrafił rozczytać, choć nie sprawiały wrażenia skomplikowanych.

– Co to jest? – zapytał kompanów, którzy natychmiast podeszli do oświetlonego fragmentu ściany.

– Bazgroły – uznała czarodziejka, rzucając kapłanowi kpiące spojrzenie.

– To nie są bazgroły. – Jarell nerwowo rozglądał się na boki, jakby się spodziewał, że zaraz coś ich zaatakuje. – To są malowidła ziemniostworów.

– Czego? – Adriela nigdy o czymś takim nie słyszała.

– Ziemniostwory to istoty żyjące pod ziemią. Są wrażliwe na światło, więc nawet nocą trudno je spotkać na powierzchni. Z tego względu polują na wszystko, na co tylko zdołają. Żyją w niewielkich plemionach i zależy im tylko na przetrwaniu.

– To tak jak nam – odparła nieporuszona kobieta.

– Nie lekceważ ich – ostrzegł paladyn. – Są szybkie, sprytnie i bezlitosne. Widzą w ciemności i znają podziemia jak własną kieszeń, a my właśnie zostaliśmy intruzami, którzy wkroczyli na ich teren. Być może już wiedzą, że tutaj jesteście. – Rycerz ściszył głos do szeptu.

– Mam rozumieć, że chcesz zawracać? – Adriela uniosła brwi z niedowierzaniem.

– Dalsza droga jest zbyt ryzykowna. Wolałbym raczej wspinać się po pionowej ścianie, niż podążać przez ich teren.

– Jeżeli chciałeś mnie nastraszyć, to ci się nie udało. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nawet nie wiemy, czy jeszcze tutaj są. Może wyniosły się dawno temu? Te malowidła wyglądają na stare...

– Takie z pewnością są, jednak ziemiestwory nie są koczownikami. Zasiedlają teren i spędzają tam wieki, dopóki nie wygoni ich wróg, choroba albo głód.

– Wiele pożywienia tutaj nie widzę, a i o katar nietrudno – czarodziejka obstawała przy swoim. – Uważam, że nie powinniśmy martwić się na zapas – oświadczyła.

– Kapłanie, co uważasz? – Jarell szukał poparcia u towarzysza.

– Myślę – Gideon przeanalizował ich sytuację – że to dlatego zamknięto kopalnię. Jeżeli tak, to żyli tutaj już trzydzieści lat temu, wciąż więc mogą tu przebywać.

– Czyli co? Powinniśmy zawrócić? – zapytała Adriela głosem pełnym kpiny.

– Nie – odparł zimno Gideon. – Powinniśmy puścić cię przodem.

Czarodziejka zmrużyła groźnie oczy, jednak najwyraźniej doceniła złośliwość kapłana, gdyż nic nie odpowiedziała.

– Ja dowodzę tą misją – wyłożyła rycerzowi. – Idziemy dalej, powoli i w ciszy. – Obróciła się na pięcie i ruszyła w ciemność.

Mężczyźni, chcąc nie chcąc, poszli za nią, choć nie dzielali jej pewności siebie.

– Głupi upór na pewno nam nie pomoże – mruknął rycerz. – Trzymaj się blisko mnie – nakazał kapłanowi i dobywając buzdyganu, puścił Gideona przodem.

Z pieczary przeszli w końcu do wąskiego korytarza, który serpentyną wiodł ich w głąb góry. Różnił się od sztolni górniczej – był węższy i wyższy, gładko wykończony, jakby wypłukany wodą. W dodatku nigdzie nie było śladów żadnych stempli czy innego rodzaju wzmocnień. Od czasu do czasu mijali kolejne, bardziej lub mniej wyraźne malowidła, które z czasem tak im spowszedniały, że przestali zwracać na nie uwagę. Byli zmęczeni, lecz nie mogli ryzykować postojem. Musieli jak najszybciej opuścić podziemia, choć nie znali drogi. Adriela, dotąd tak pewna siebie, sama zaczęła się zastanawiać, czy uda im się wyjść z tej przygody bez szwanku. Mimo hardej miny była poważnie zaniepokojona informacjami, które usłyszała od paladyna. Rozsądek podpowiadał, aby uciekali, póki mogą, jednak ambicja nakazywała jej przeć naprzód i stawić czoło wszelkim przeszkodom, jakie staną na ich drodze.

Po dłuższym przeciskaniu się wąskim korytarzem stanęli na rozdrożu. Tunel miał pięć rozgałęzień. W jednej chwili cała trójka pomyślała, że niektóre z tuneli mogą prowadzić do gniazda ziemiestworów. Powodem był smród dobywający się z trzech korytarzy po lewej. Z dwóch prawych odnóg zaś czuć było jakby świeży powiew powietrza. Jednogłośnie wybrali skrajnie prawy tunel i bez namysłu ruszyli nim dalej. Szybko dotarli do ogromnej jaskini. Korytarz, którym dotąd szli, przerodził się w szeroką kamienną kładkę wiszącą nad ogromną rozpadliną.

Jarell przystanął przy krawędzi i oświetlił otchłań pod nimi. Nie dostrzegł jednak dna. Wyglądało na to, że przepaść ciągnie się dziesiątki, jeśli nie setki metrów w dół. Ostrożnie przedostali się na drugą stronę kamiennego mostu, lecz gdy tylko stanęli przed wejściem do kolejnego tunelu, z mroku tuż przed nimi wyłoniły się paskudne, bezkształtne rysy upiornej popielatej maski, szczerzącej długie, zakrzywione żółte zębiska. Oczy stwora były zupełnie białe, jakby pokryte bielmem, a czubek podłużnej czaszki zwieńczał gruby warkocz tłustych ciemnych włosów.

Wędrowcy stanęli jak wryci, zaskoczeni widokiem stwora, który zagroził im przejście. Nim jednak zdążyli zareagować, ziemiestwór wydał z siebie przeraźliwy skrzek, niosący się echem po grocie. Trójce podróżników zmroziło krew w żyłach i odruchowo rzucili się do ucieczki. Element zaskoczenia skutecznie zdruzgotał morale grupy, z czarodziejką na czele. Zdążyła wyprzedzić paladyna i kapłana, który ostatni gnał w panice za towarzyszymi. Nagle, nie wiadomo skąd, w powietrzu zaczęły świstać kamienie miotane z dziesiątek proc. Grad pocisków zasypał uciekinierów i choć nie były duże, ich siła uderzenia mogła obalić dorosłego mężczyznę. Wrecedarm przekonał się o tym na własnej skórze, kiedy kamień wielkości dużego orzecha trafił go w lewe kolano. Mężczyzna zachwiał się i zatoczył, upadając ciężko tuż przy krawędzi kamiennej kładki. Natychmiast poderwał się z powrotem, ignorując tępy ból w stawie kolanowym, jednak w tym samym momencie kolejny pocisk trafił go prosto w łopatkę. Kapłan się obrócił, tracąc przy tym dopiero co odzyskaną równowagę, a nie mając już żadnego punktu podparcia, runął przerażony w mrok otchłani.

Mknął w dół niczym strącony w przepaść kamień, otoczony mrokiem. Był przekonany, że gdyby tylko cokolwiek widział, umarłby ze strachu, jeszcze zanim roztrzaska się o kamienne dno rozpadliny. Czuł oblepiający go pęd powietrza, rosnący z każdą sekundą. Wiedział, że nie ma szans na przeżycie. Zaraz uderzy o kamienne dno przepaści albo zostanie nabity na jeden z pnących się ku górze stalagmitów. Tak czy owak, dołączy do reszty ofiar tej przeklętej kopalni. Odruchowo zamknął oczy i wstrzymał oddech, czekając w napięciu na nieunikniony koniec.

Nagle uderzenie wstrząsnęło całym jego ciałem, lecz zamiast bólu czy nagłego błysku światła zwiastującego śmierć, ogarnęło go przejmujące zimno. Kiedy otworzył usta, natychmiast zostały zatkałe lodowatym kneblem, który uniemożliwiał mu wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Zamiast tego słyszał jedynie bulgotanie, zupełnie jakby znalazł się pod powierzchnią lodowatego jeziora. Może właśnie tak wygląda śmierć? A może rzeczywiście znalazł się pod wodą?

Wrecedarm zaczął poruszać rękami i nogami. Uczucie to pokrywało się z jego doświadczeniem pływania pod wodą, pełen nadziei przyspieszył więc i zsynchronizował ruchy, kierując się do góry, w stronę powierzchni.

Gdy tylko się wynurzył, rozejrzał się po otaczającym go mroku. Dostrzegł słaby blask swojej pochodni, która nie miała tyle szczęścia co on i spadła na wąski kamienisty brzeg zbiornika wodnego. Gideon bez namysłu popłynął w tamtym kierunku. Gdy tylko wydostał się na twardą skałę, jego uszu dobiegły przeraźliwe, skrzeczące dźwięki dochodzące wysoko znad jego głowy. Kiedy spojrzał w górę, zobaczył nad sobą ledwie dostrzegalną łunę pochodni jego towarzyszy, które niedługo później zgasły. Ponownie zapadła cisza. Kapłan trwał chwilę w bezruchu, bojąc się, że zwróci na siebie uwagę stworów, jednak przenikający do żywej kości chłód zmusił go do powolnego ruszenia się w stronę jego jedynej nadziei – dogasającego źródła ognia.

Podłoże, po którym stapał, było usiane tyloma przeszkodami niewidocznymi w mroku, że Gideon musiał opaść na kolana i przemieszczać się dalej po omacku niczym pokraczne niewidome stworzenie. Jego ręce natrafiały co rusz na ostre krawędzie skał i kamieni, obłe kształty trudnych do zidentyfikowania przedmiotów lub znajome w dotyku drobiazgi, na przykład mały metalowy ciężki krążek, który kapłan schował do kieszeni, przekonany, że znalazł najwyraźniej jakiś pierścień czy obrączkę.

Dojrawszy w końcu do dopalającej się żagwi, Wrecedarm rozniecił płomień, aby ogrzać przy nim skostniałe, poranione dłonie. Przy okazji postanowił przyrzeć się znalezionej skarbowi, który spoczywał w jego kieszeni. Wyjął pierścień i skierował go bliżej światła. Obrączka nie była złota ani nawet srebrna. W zasadzie nie była to nawet biżuteria, a jedynie pojedyncze kółko z kolczugi. W pierwszej chwili Gideona ogarnęło wielkie rozczarowanie, jednak po chwili przypomniał sobie, ile dziwnych przedmiotów trafiło pod jego dłonie, kiedy zmierzał do płomienia.

Podniósł resztkę łuczywa i oświetlając sobie drogę przy samej ziemi, ruszył tą samą trasą, którą pokonał na czworaka. Z mroku zaczęły wyłaniać się najróżniejsze rzeczy – niektóre mrożące krew w żyłach, jak bezładnie porozrzucone kości, ale duża część znalezisk mogła jeszcze znaleźć zastosowanie. Cały skalisty brzeg rozpadliny usiany był różnym ekwipunkiem oraz drewnianymi fragmentami osprzętu górniczego.

Kapłan nabierał trochę drew i zaniósł je pod powierzchnię skalistego mostu, z którego został zrzucony. Tam rozniecił nieduże ognisko, przy którym zostawił swoje przemoczone ubrania. Sam zaś ze znalezionej resztką lampki górniczej ruszył na przeszukiwanie brzegu. Ponieważ stracił bagaż w trakcie upadku, postanowił poszukać go na kamienistym brzegu. Wśród niedużej sterty kości znalazł plecak, nawet w przyzwoitym stanie. Kiedy go podniósł, okazało się, że nie jest pusty. Wewnątrz kapłan odkrył mocno skorodowany sztylet, jakiś pokruszony minerał, trochę zbutwiałych ubrań oraz coś, co go najbardziej zaintrygowało, a mianowicie skórzane gogle z jednym pomarańczowym szkiełkiem. Wrecedarm przyłożył je do oka i zamarł ze zdumienia. Ciemności ustąpiły. Podziemia widziane przez niepozorne pomarańczowe szkiełko przestały kryć przed Gideonem jakiegokolwiek tajemnice. Widział wszystko jak za dnia – każdy szczegół otoczenia. Choć nie pojmował działania tego przedmiotu, ze zdwojonym entuzjazmem zaczął przechadzać się po okolicy.

Artefakt umożliwiający przenikanie wzrokiem ciemności był dla niego niczym najcenniejszy skarb. Dzięki niemu udało mu się odnaleźć własny bagaż, który wpadł między dwie sterzące skały. Po niemal godzinie Wrecedarm odzyskał spokój ducha. Siedział otoczony różnymi przedmiotami, grzejąc się przy płomieniu ogniska i zabijając głód zapasami smoczego mięsa. Do pełni komfortu brakowało mu tylko jego towarzyszy albo przynajmniej paladyna.

Nie rozumiał, co takiego wydarzyło się w jego życiu, ale zupełnie inaczej zaczął postrzegać świat i siebie samego. Przerazenie, które go dotąd paraliżowało, gdzieś uciekło, zupełnie jakby przeszedł przez niewidzialną barierę, która go więziła. Nareszcie był w stanie trzeźwo osądzić sytuację i podjąć adekwatne kroki. Wiedział, że nie mógł tkwić na dnie rozpadliny całą wieczność. Będzie musiał wydostać się na górę i... No właśnie, ta część dalszych działań była najtrudniejsza. Czy powinien wykorzystać sytuację i zawrócić, wydostać się z tego przekłętego miejsca i rozpocząć nowe życie? Czy może powinien obrać trudniejszą ścieżkę i spróbować uratować swoich kompanów, o ile nie jest jeszcze za późno? Zdrowy rozsądek nakazywał uciekać, jak zawsze, kiedy nadarzała się ku temu okazja. Jednak jakaś nowo powstała część jestestwa kapłana, której nigdy dotąd nie poznał, rwała się do tego, aby ocalić towarzyszy. Serce Gideona zapłonęło poczuciem przyzwoitości.

Wrecedarm wziął ponownie do ręki znalezione gogle i doszedł do wniosku, że to może być prostsze, niż mu się wydaje. Najpierw jednak musi dostać się na górę. Wstał i poszedł przyjrzeć się wysokiej ścianie rozpadliny przez pomarańczowe szkieleto. Szybki rekonesans wywołał uśmiech na jego twarzy. W jednym z załamania w ścianie dostrzegł wykute wąskie i wysokie stopnie, które prowadziły do góry. Wspinaczka nie będzie z pewnością łatwa, ale po tym, co przeżył, powinna być miłą odmianą. Zebrał wszystkie swoje rzeczy i założywszy gogle na głowę, ruszył w żmudną drogę na górę.

Wspinaczka zajęła Gideonowi dużo mniej czasu, niż się spodziewał. Zdecydowanie czuł się silniejszy, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, a dowodem była trasa, którą przed chwilą pokonał. Jeszcze kilka dni temu wołałby umrzeć z głodu tam na dole, niż zaryzykować wydostanie się. Przypasał sobie nawet sztylet, gotowy użyć go w razie zagrożenia. Czy to wyrwanie się ze szponów śmierci tak go odmieniło?

Ostrożnie stanął na kamiennej kładce i rozejrzał się, nasłuchując, czy nic mu nie zagraża. Wyglądało na to, że nie było w okolicy żadnych ziemiosworów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że wszystkie zgromadziły się w gnieździe, podeksytowane obietnicą uczt, której z pewnością dawno nie zaznały. Wrecedarm pewnym krokiem ruszył w stronę rozwidlenia pięciu korytarzy, aby obrać najbardziej śmierdzący z nich. Zagłębił się w niego, niepewny, co znajdzie na końcu.

Po kilkunastu minutach skradania się kapłan dostrzegł ujście korytarza do jakiegoś pomieszczenia. Ostrożnie przycisnął się za rogiem i dokładnie sprawdził, z czym będzie miał do czynienia.

Przed nim rozpościerała się gigantyczna komora, wznosząca się dziesiątki metrów wwyż. Okolona była chodnikiem, który biegnąc tuż przy ścianie, okrążał całe pomieszczenie, wijąc się coraz wyżej. Pośrodku komory Gideon dostrzegł dużych rozmiarów nieckę skalną, ozdobioną dużymi kolorowymi symbolami namalowanymi na skalnym podłożu. Grota wydawała się opuszczona, jednak zewsząd dało się słyszeć miarowe charczenie, które było najwyraźniej chrapaniem ziemiosworów. Od pojmania Jarella i Adrieli minęły dobre trzy godziny. Czy możliwe, że stwory zdążyły już ich pożreć i teraz, najedzone, pogrążyły się we śnie? Wrecedarm odrzucił taki scenariusz. Musiał wierzyć, że zarówno czarodziejka, jak i paladyn żyją i są gdzieś więzieni bądź „magazynowani”.

Ostrożnie, aby nie narobić hałasu, kapłan wszedł do komory. Najpierw podszedł do krawędzi niecki, aby sprawdzić, co tam się mieści. Zagłębienie wypełniały setki, jeśli nie tysiące ogryzionych kości. Jeszcze trzy godziny temu taki widok wstrząsnąłby nim do głębi, teraz zaś ucieszył się tylko, że nie ma wśród nich żadnych świeżych szczątków. Spojrzał w górę, próbując ogarnąć wzrokiem wznoszący się dookoła chodnik. Teraz dopiero spostrzegł, że co kilka metrów znajdują się w ścianie korytarze prowadzące w głąb skały. To zapewne ich komórki mieszkalne – pomyślał Wrecedarm, przypominając sobie podobny schemat w książce traktującej o złotomrowiach z dalekiego południa. Jeżeli ziemioswory posiadały jakąkolwiek hierarchię, wysoko postawieni członkowie ich społeczności mieszkali zapewne wyżej i prawdopodobnie tam właśnie przetrzymywano najsmaczniejsze kąski.

Gideon dobył sztyletu i ostrożnie ruszył chodnikiem na wyższe poziomy komórek. Prędko się okazało, że miał rację. Korytarze odchodzące od chodnika prowadziły do niewielkich pomieszczeń, w których znajdowało się od dwóch do nawet pięciu ziemiosworów, zwiniętych na zimnej skale i pogrążonych we śnie. Znamienne, że istoty z najniższych komórek nie miały owłosienia na głowach. Najwyraźniej jedynie wysoki status społeczny zezwalał na noszenie włosów. Kapłan przypomniał sobie osobnika, który tak ich wystraszył. Posiadał on gruby i długi warkocz, co potwierdzało przypuszczenie, że powinien szukać towarzyszy na najwyższych poziomach gniazda. Nie tracąc

czasu, udał się chodnikiem na samą górę. Przeczucie go nie myliło. Już niedaleko szczytu usłyszał odgłosy zupełnie odmienne od charkotu ziemiostrawców. Ujął pewniej sztylet w dłoń i zbliżył się do jamy, z której dobiegały dźwięki. Bez wątplenia należały do Adrieli, która najwyraźniej nie potrafiła się pogodzić ze swoją sytuacją.

Gideon przeszedł korytarzem i stanął u wejścia do komórki mieszkalnej. Na samym środku leżały trzy ziemiostrawy pogrążone w głębokim śnie. W jednym z nich kapłan rozpoznał stwora z grubym warkoczem. Wyglądało na to, że zdobycz należała tylko do nich. Wrecedarm minął cuchnące potwory i podszedł do spętanych w kącie towarzyszy. Zostali zakneblowani i mocno spętani bardzo cienkim włóknom wrzynającym się w ciało przy gwałtowniejszym ruchu. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że kobieta wydaje dźwięki z bólu, jaki zadają jej pęta. Rycerz zdawał się lepiej znosić cierpienie – siedział nieporuszony, ze spuszczoną głową, jakby spał.

Kapłan bardzo powoli położył czarodziejce rękę na ramieniu, co mimo wszystko ją wystraszyło, aż podskoczyła.

– Spokojnie – wyszeptał jej do ucha – zaraz was uwolnię.

Znalazł fragment włókna, który nie wpijał się kobiecie w ciało, i sprawnym ruchem przeciął je sztyletem.

– Nie rób gwałtownych ruchów i nie atakuj, musimy wyjść stąd żywi – polecił Adrieli i zabrał się za uwalnianie paladyna.

Zdumienie Jarella nie miało granic, gdy uświadomił sobie, kto go właśnie oswobadza. Gdy wszyscy byli już wolni, Wrecedarm podał im ich bagaże i polecił w milczeniu podążać krok w krok za nim.

Droga powrotna zdawała się nie mieć końca. Kapłan nie tylko musiał uważać na to, aby jego towarzysze nie runęli z kamiennego chodnika w dół, ale nadzorował również tempo ich marszu, wstrzymując wędrówkę przy każdym głośniejszym dźwięku wydanym przez wrogie istoty. Gdy tylko opuścili gniazdo i znaleźli się ponownie w korytarzu, Gideon wydobył z worka dwie lampki górnicze i wręczył kompanom. Nim jednak kobieta zdążyła je zapalić, zdjął z głowy gogle i schował prędko do swojego bagażu. Od tego momentu to Adriela ponownie dowodziła, z czego zdała sobie od razu sprawę. Nie zwlekając, wyszła naprzód, wiodąc mężczyzn ciemnym tunelem. Skierowała się ponownie do mostu, po którego przekroczeniu zagłębili się w tunel po drugiej stronie. Wyglądało jednak, że będą musieli zawrócić, gdyż korytarz kończył się ścianą. W ciepłym świetle płomienia górniczej lampki Wrecedarm dostrzegł na twarzy kobiety frustrację pomieszaną z determinacją. Nie chciała zawracać, obawiając się ponownego schwytania, jednak co innego mogli zrobić?

– Nie rozumiem. – Jarell wyglądał na zbitego z tropu. – Wysypało się stąd całe ich mrowie. Przecież nie wyszli ze skały.

Adriela zbliżyła płomień do kamiennej ściany, jednak nigdzie nie było żadnej szczeliny czy choćby najmniejszego otworu, przez który mogliby się przecisnąć. Nie potrafiła pojąć, tak samo jak rycerz, skąd w takim razie... Zaraz, ziemiostrawy są, jak się okazało, całkiem skoczne... Kobieta uniosła lampkę górniczą, oświetlając nieduży otwór w sklepieniu.

– Tędy – poleciła.

Jarell podsadził dwójkę towarzyszy, a na końcu sam wspinał się przez otwór, który wyprowadził ich ponownie do znajomo wyglądającej sztolni, pnącej się ostro w górę.

– Nie powinniśmy raczej podążać równym chodnikiem? – zapytał Gideon, kiedy niemal biegli za czarodziejką w górę korytarza.

– Czuć stamtąd świeże powietrze, a im szybciej wydostaniemy się na powierzchnię, tym szybciej będziemy bezpieczni – odparła Adriela. – Byle na świeże powietrze.

Po morderczym sprincie pod górę, trwającym zdecydowanie zbyt długo jak na kondycję kapłana, trójka kompanów dotarła w końcu do ujścia tunelu. Wydostali się na świeże nocne powietrze, jednak poczucie ulgi i bezpieczeństwa szybko ustąpiło ogarniającej ich grozie. Niebo, pod którym się znaleźli, zasnutę było krwawą czerwieńią, a ze zbocza, na którym stali, dostrzegli w odległości wielu kilometrów mrowie oddziałów grupujących się wokół wielkiego jeziora na południe od nich. Kapłan z szeroko otwartymi ustami osunął się na miękkich nogach i stracił przytomność.

Rozdział 11

NADCHODZĄCY FRONT

Siódmy dzień miesiąca przywitał Soblevo deszczem. Gromadzące się nocą chmury postanowiły najwyraźniej wstrzymać się aż do poranka. Wraz ze wschodem słońca rozpoczęła się prawdziwa ulewa, która jednak szybko zamieniła się w stale kapiący kapuśniaczek, na tyle słaby, że nie przeszkadzał nikomu w normalnym funkcjonowaniu, jednak dostatecznie intensywny, żeby bruki uliczne cały czas pozostawały mokre.

Gdy tylko Abserius wyjrzał rano przez okno swojego domu, zrozumiał, że czeka go senny i przydługi dzień. Stracił stanowisko, dał się wplątać w intrygę królowej, a na domiar złego potrzebował nowego zatrudnienia. Posiadał co prawda środki umożliwiające mu dostatnie życie przez wiele lat, jednak musiał czymś się zająć, aby nie zwariować od myśli kłębiących mu się pod czaszką. Potrzebował czuć się użyteczny. Dlatego właśnie postanowił poświęcić dzisiejszy dzień na znalezienie nowego zajęcia. Posiadał koneksje, które powinny zapewnić mu odpowiednie stanowisko, ale musiał najpierw poznać charakter swoich potencjalnych posad. Miał umówione trzy spotkania z przedstawicielami trzech różnych branż. Wcześniej jednak zamierzał spotkać się ze swoją żoną. Nie podejmował żadnych ważnych decyzji bez niej. No, prawie żadnych...

Po wypiciu czarnej kawy i przegryzieniu resztek z wczorajszego obiadu, Abserius wyszedł z domu i witając po drodze sąsiadów, skierował się w głąb miasta. Ruch na ulicach był adekwatny do pogody. Mimo późnej godziny część sklepów pozostawała wciąż zamknięta – najwyraźniej właściciele zaspali albo wyjrżeli rano przez okno i machnęli ręką, wracając do swoich bliskich w łóżku. Nawet strażnicy miejscy wążęsalili się po ulicach półprzytomni, ziewając co jakiś czas szeroko.

W takie dni jak dziś życie stolicy zwalniało swoje zawrotne tempo, aby wraz z poprawą pogody nabrać znowu prędkości i ponownie napędzać skomplikowany mechanizm najważniejszego miasta w całym Anferze.

Były królewski doradca wy dostał się z ciasnych uliczek, trafiając do najspokojniejszej części Soblewa – dzielnicy świątyni. Liczne zielone tereny oraz brak jakichkolwiek ośrodków handlowo-usługowych czyniły z niej istną oazę spokoju dla przepełnionych troskami świata doczesnego dusz. Można było tutaj spotkać poetów, malarzy, szaleńców, przestępców, sędziów. Neutralny skrawek ziemi, na którym wszyscy, niezależnie od swoich uczynków czy klasy społecznej, byli równi wobec swoich bogów. Abserius spędzał tutaj zdecydowanie zbyt mało czasu, aby w pełni docenić klimat tego miejsca. Przychodził kilka razy w miesiącu tylko po to, aby, tak jak dzisiaj, odwiedzić grób swojej żony. Spędzał tam kilkanaście minut i podążał dalej, goniony licznymi obowiązkami. Dziś miał jednak dużo wolnego czasu. Postanowił więc, że podda się atmosferze tego miejsca – posłucha śpiewu ptaków, szumu drzew, deszczu kapiącego na liście, poobserwuje zwykłych ludzi... Najpierw jednak odwiedzi żonę.

Przeszedł zielonym szpalerem leszczyn, docierając do prostopadle biegnącej ścieżki, ciągnącej się wzdłuż wysokiego, równo przyciętego żywopłotu. Skręcił w prawo i łagodnym łukiem, tak jak wiodła go droga, ruszył przed siebie, aż osiągnął cel – drewnianą furte, sprawiającą wrażenie, jakby wyrastała prosto z zielonych, soczystych pędów ligustru. Ledwie przekroczył jej próg, a znalazł się na uświęconej cmentarnej ziemi, pełnej mauzoleów, posągów oraz zwykłych, skromnych nagrobków wyrastających bezpośrednio z zielonej trawy.

Plan zagospodarowania cmentarza nie był przypadkowy, choć na pierwszy rzut oka mógł się taki wydawać. Pozornie chaotycznie usytuowane groby tworzyły jednak pewien dosyć skomplikowany wzór, umożliwiając w tajemniczym system osobom znalezienie konkretnego zmarłego na podstawie nazwiska rodzowego lub daty śmierci. Niewielu mieszkańców stolicy zdawało sobie jednak z tego sprawę, tak samo jak z faktu, że Dzień Syrusa był przywilejem WSZYSTKICH obywateli królestwa.

Abserius nigdy jednak nie musiał korzystać z systemu usytuowania grobów. Cała jego rodzina była pochowana w Olnie – rodzinnym mieście położonym w południowej części królestwa, nad rzeką Skrajną. W Soblevie pochował tylko żonę, a drogę do niej znał na pamięć.

Mijał kolejne nagrobki, nie zwracając szczególnej uwagi na daty czy nazwiska pochowanych. Dążył do konkretnego miejsca, które niezawodnie określało, gdzie powinien szukać Moiry – do niedużej białej płyty, przy której powinien skrócić w lewo. Gdy w końcu ją minął, zagłębił się między kolejnymi miejscami spoczynku nieobecnych już obywateli Sobleva i skierował na północ, gdzie kilkadziesiąt metrów dalej spoczywała jego żona. Nagle jednak zatrzymał się skonsternowany i zawrócił. Tyle razy tędy przechodził i nigdy dotąd nie zastanowił go mały nagrobek, będący dla niego punktem nawigacyjnym. Stał nad niedużą obłą tablicą nagrobną, po czym przykłęknął, aby odczytać wyjątkowo drobne pismo, ledwie widoczne na startej powierzchni kamienia. Spoczywała tam trzyletnia dziewczynka, zmarła w okresie wielkiej zarazy, która ponad pięćdziesiąt lat temu nawiedziła stolicę. Był to tragiczny okres dla wszystkich mieszkańców miasta, gdyż choroba zaatakowała jedynie najmłodsze dzieci.

Chociaż na cmentarzu znajdowało się zaledwie kilkanaście grobów dziecięcych z tamtego okresu, zaraza zebrała gigantyczne żniwo. Najbiedniejsi mieszkańcy byli zmuszeni powierzyć malutkie ciała swoich pociech żywiołowi ognia, gdyż nie było ich stać na pochówek na cmentarzu.

Abserius wyprostował się i w zamyśleniu ruszył na grób swojej żony. Gdy dotarł na miejsce, od razu zwrócił uwagę na niedawno posadzone białe konwalie, które Moira tak uwielbiała. Wiedział, kto je posadził: oplacał cmentarnego ogrodnika, aby dbał o grób jego małżonki. Co tydzień ogrodnik zajmował się niecałym metrem kwadratowym zieleni na grobie.

Przykłęknął przed szarą kamienną płytą i przesunął czule palcami po wygrawerowanych literach tworzących imię i nazwisko, zupełnie jakby chciał jeszcze raz poczuć ciepły dotyk ciała Moiry.

– Nie było mnie przez pewien czas, choć wiem, że ty zawsze jesteś przy mnie. – Spróbował się uśmiechnąć, lecz nagła fala wspomnień zniweczyła jego starania. – Ostatnio wiele wydarzyło się w moim życiu. Opowiadałem ci, jak król mnie odsunął... Zawiodłem jego zaufanie, choć uważam, że postąpiłem słusznie. Ledwie zdążyłem się z tego otrząsnąć, a w drzwiach naszego domu stała królowa z bardzo konkretnym żądaniem. Musiałem dokonać pewnego wyboru i mam nadzieję, że nie będziesz miała mi tego za złe. – Uniósł brwi, wpatrując się w śnieżnobiałe dzwonki konwalii. – Wierzę, że wybaczysz mi wierność ludowi Anferu i zrozumiesz moje postępowanie. Zrobiłem to dla wszystkich mieszkańców królestwa oraz tych, którzy jeszcze się nie narodzili. Ufam, że dzięki temu sytuacja w państwie ulegnie zmianom, że nastaną nowe, lepsze czasy. – Abserius westchnął. Przez moment poczuł, jakby jego żona patrzyła na niego z wyrzutem, podczas gdy on gęsto się usprawiedliwiał. – Tak strasznie cię kocham – wyznał, spuszczając głowę. Łzy zaczęły napływać mu do oczu, których spojrzenie było utkwione w soczystej zielonej trawie. – Jesteś dla mnie wszystkim i choć nie ma cię już w moim świecie, wiem, że czuwasz nade mną. Nigdy nie przestanę cię kochać – powtórzył przysięgę małżeńską, którą złożył dwie dekady temu, i zalał się łzami.

Rozpacz, która powoli zaczęła oplatać go czule swoimi ramionami, przygniotła jego ciało do mokrej ziemi i nie chciała wypuścić ze swoich zimnych objęć. Leżał pod nagrobkiem, wspominając urodę i dobroć Moiry – jej dwie najwspanialsze cechy, za którymi tak bardzo tęsknił.

Nie wiedział, jak długo trwał skulony na wilgotnej trawie pod stalowymi chmurami, jednak w pewnym momencie coś nakazało mu się podnieść. Zdążył już się uspokoić, wylać nagromadzony żal na białe kwiaty konwalii. Wstał i kiedy po raz ostatni dzisiejszego dnia odczytywał bezlitosny napis na nagrobku, zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. Obrócił się i dostrzegł trzy zakapturzone postacie stojące pod rosnącą nieopodal wierzbą płaczącą. Wpatrywały się w doradcę przez jakiś czas, a gdy jedna z nich zdjęła powoli kaptur, mężczyźnie aż zaparło dech. Stał naprzeciwko swojego władcy, który w towarzystwie dwóch królewskich gwardzistów najwyraźniej go poszukiwał. Abserius ledwie powstrzymał się od klęknienia przed Olafem. Był wszak królem, on jednak już mu nie służył jako doradca. Został zwolniony z tego obowiązku, nie zamierzał więc okazywać mu szacunku.

Prezeus nie sprawiał wrażenia poruszonego tym brakiem etykiety. Bez słowa zbliżył się do byłego doradcy i wbił w niego lodowate spojrzenie. W tym momencie mężczyźnie przeszło przez myśl, że intryga królowej wyszła na jaw

i teraz przyjdzie mu za to zapłacić. Ogarnęła go fala paniki, ograniczając całą jego pomysłowość do jednego – ucieczki. Nim jednak zdążył choćby kiwnąć palcem, Prezeus I przejął inicjatywę.

– Potrzebuję doradcy – oświadczył beznamiętnym głosem.

– Zostałem zwolniony z tej funkcji – odparł Abserius, odzyskując powoli panowanie nad emocjami.

– Chcę, abys wrócił.

– Zostałem niemal oskarżony o zdradę – przypomniał mu mężczyzna.

– Podtrzymuję swoje stanowisko w tamtej sprawie. – Król zmrużył gniewnie oczy na samo wspomnienie. – Jestem jednak zmuszony poprosić cię o ponowne słuzenie mi radą. – Wyraz twarzy Olafa świadczył jednoznacznie, że prosząc o cokolwiek, gardzi sobą.

– Dlaczego miałbym się zgodzić? – Doradca wyczuwał niechęć króla. – Co zmusiło władcę Anferu do tak uwłaczającej prośby? – zapytał prosto z mostu, nie dbając o piękne słówka.

Prezeus rozejrzał się dyskretnie po okolicy, a nabrawszy pewności, że są sami, wypowiedział tylko jedno słowo.

– Wojna? – powtórzył zaskoczony Abserius.

– Z nieznanym wrogiem – sprecyzował król.

W mężczyźnie natychmiast odezwało się poczucie obowiązku, jednak wspomnienie niedawnych wydarzeń szybko ostudziło jego zapał. Stał niezdecydowany, ważąc w myślach i sercu dwa zupełnie odmiennie poglądy.

– Potrzebuję twojego oglądu sytuacji i twojej opinii – wyłożył Olaf, jak gdyby wyczuł jego wahanie. – Anfer cię potrzebuje.

Doradca stał nieporuszony. Krople wody zaczęły spływać po jego włosach na ściągniętą od intensywnego rozmyślenia twarz. Nie wiedział, co powinien czynić. Był pełen obaw, że kiedy wróci na zamek, intryga królowej wyjdzie na jaw, a wtedy zostanie niechybnie stracony razem z nią. Olaf Prezeus I nie darowałby mu kolejnej nielojalności. Jednak nadchodząca wojna oznaczała mnóstwo decyzji władcy, które mogą ingerować w niemal każdy aspekt życia poddanych. Dobrze by było, gdyby ktoś hamował władcze zapędy tyrana. Bez dwóch zdań zarówno królestwo, jak i poddani Anferu potrzebowali jego powrotu na stanowisko. Już od dawna państwo nie było w stanie wojny, a to oznaczało odkurzenie licznych dekretów, w których należało dokonać zmian. Było to zagadnienie, o którym Olaf nie chciał słuchać przez wcześniejsze lata. Teraz nadarzała się okazja, aby przyprzeć go do muru.

– Jeżeli rzeczywiście nadciąga wojna, najwyższy czas, aby zatwierdzić królewską pieczęcią nowe dekryty wojenne, które sporządziłem lata temu – zasugerował Abserius, choć po wzroku Prezeusa odgadł, że traktuje to jako szantaż.

– Jutro oczekuję cię na zamku – oświadczył władca, po czym odwrócił się i zniknął za żywopłotem wraz ze swoimi gwardzistami.

Doradca stał przez dłuższą chwilę, wpatrując się tępo w przestrzeń. Niezupełnie to chciał osiągnąć. Bardziej jednak zaniepokoiła go nowina o wojnie. Stracił urząd zupełnie niedawno. Czy to możliwe, aby dyplomacja nie sprostała jakimś pertraktacjom, o których nawet nie wiedział?

Mężczyzna przypomniał sobie lodowate spojrzenie Olafa i prędko uzmysłowił sobie, że mogło nigdy nie dojść do żadnych pertraktacji. Prezeus rwał się do prowadzenia wojny jak mało który z jego poprzedników. Tylko dlaczego określił przeciwnika jako „nieznanego wroga”? Czyżby doszło już do jakiegoś ataku? Czy może...

Abseriusa zmroziła przerażająca myśl, aż włosy stanęły mu dęba na głowie, a całe ciało przeszył lodowaty dreszcz. A jeżeli to pułapka? Z pewnością zamiary królowej wyszły na jaw – za sprawą podstępny albo wyszukanych tortur – i teraz Prezeus szykuje okrutną zemstę.

Przerażony mężczyzna wstrzymał oddech i nerwowo rozejrzał się po okolicy, przepełniony nagłym lękiem, jednak nadal tkwił na cmentarzu zupełnie sam. Właśnie... Jeżeli władca chciał się go pozbyć, to dlaczego nie kazał go pojmać, kiedy miał ku temu okazję? Byli na cmentarzu zupełnie sami.

Doradca złapał się za obolałą ze stresu i z napięcia głowę. Wiedział, że musi się uspokoić albo zaraz zwariuje. Przyszedł spędzić trochę czasu ze swoją Moirą, a spotkało go takie zaskoczenie.

Położył lewą dłoń na szarej kamiennej płycie i spojrzał pełnym miłości wzrokiem na kwiaty konwalii.

– Być może niebawem się zobaczymy, kochanie – powiedział powoli. – Jeżeli jednak tak się nie stanie, bądź przy mnie, bo czeka mnie dużo pracy.

Kapłan otworzył oczy i zerwał się na równe nogi. Rozejrzył się spłoszonym wzrokiem, po czym nogi ponownie się pod nim ugięły. Usiadł ciężko na postaniu. Był dzień. Nie potrafił jednak określić pory, gdyż znajdował się w załomie skalnym i nie widział słońca. Nieopodal jego towarzysze siedzieli przy malutkim ognisku i patrzyli na niego zaniepokojeni.

– Ocknąłeś się. To dobrze – stwierdziła Adriela.

– Gdzie jesteście? – zapytał Gideon, kładąc się ponownie osłabiony.

– U podnóża zbocza, na które wyszliśmy z kopalni – wyjaśnił paladyn. – Musiałem cię znieść, bo osunąłeś się jak rażony piorunem.

– Miałeś wysoką gorączkę, pewnie złapałeś coś w sztolniach – zasugerowała czarodziejka. – Zjesz coś? – zapytała, wskazując pocięte paski smoczego mięsa owinięte na patykach zatkniętych nad płomieniem ogniska.

Wrecedarm nie był w pełni przekonany, czy to, co pamięta, wydarzyło się naprawdę, czy to tylko jego majaki.

– Gdy wyszliśmy ze sztolni... – zaczął słabym głosem – czy rzeczywiście nad nami... niebo...

– Chodzi ci o niebo zasnutę krwią? – zapytał rycerz. – Twoja przepowiednia się wypełnia – zapewnił, obracając swój patyk nad ogniem.

Kapłan westchnął ciężko. Nie wierzył, że to możliwe. Nie rozumiał, jak to się stało. Przecież to zmyślił. Wszystko było jednym wielkim oszustwem wciskany ciemnocie Rogowa Górnego, aby mógł dostatnio żyć i być ceniony wśród mieszkańców. Nie był żadnym prorokiem ani zbawcą czy obrońcą. Bardzo chciał to wykrzyczeć całemu światu, zdając z siebie odpowiedzialność za wszystko, co mówił, przyznać się do kłamstwa, do swoich słabości i ułomności... Tylko kto teraz by mu w to uwierzył?

Leżał tak w bezruchu, pogrążony w czarnych myślach, gdy jego uszu dobiegły rozważania towarzyszy, co powinni czynić dalej: zaczekać, aż kapłanowi się polepszy, czy niezwłocznie ruszać dalej?

– Ruszajmy – rzekł prędko, siadając ponownie. – Nie zwlekajmy, musimy dostać się jak najszybciej do klasztoru – oświadczył, żywiąc nadzieję, że na miejscu zyska więcej okazji do ucieczki.

Kobieta wyjątkowo przychylnie przyjęła jego postulat. Po brawurowej akcji kapłana w podziemiach i po tym, co ujrzała na własne oczy po wyjściu z kopalni, a o czym naopowiadał on władcy, czarodziejka nabrała do niego szacunku i postanowiła trochę inaczej go traktować.

– Kapłan ma rację – oświadczyła. – Powinniśmy ruszyć jak najszybciej. Pakujcie się, zjemy w drodze. – Wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Kiedy zegar w Kastengravie wybijał południe, a mieszkańcy miasta, pełni energii, gwarnie przetaczali się ulicami, załatwiając swoje sprawunki, Ferial, wykończony jak rzadko, właśnie kładł się do łóżka. Wbrew poleceniom przełożonego podjął się odnalezienia istoty, którą widział. Przez całą noc i przedpołudnie włączył się uzbrojony po kanałach i podziemiach, tropiąc jaszczura, którego planował ubić na miejscu niczym szkodnika. Niestety, w ciągu czternastu godzin spędzonych na polowaniu nie zdołał go nawet zobaczyć. Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię albo nigdy nie istniał. Wywiadowca zaczął się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście spotkał na swojej drodze to stworzenie, kiedy wyprowadził więźniów, czy była to tylko jego wyobraźnia? Zrezygnowany zaniechał dalszych poszukiwań i postanowił odpocząć.

Rozebrał się i ledwie przytomny wślizgnął się pod pościel, od razu zapadając w głęboki sen. Nie dane mu jednak było wypocząć tego dnia. Po niedługim czasie coś wyrwało go brutalnie z błogiego wypoczynku – odezwał się kryształ kontaktowy.

Feriel starał się zignorować natarczywy dźwięk, przyciskając do uszu miękką poduszkę wypełnioną gęsim puchem. To, rzecz jasna, nie pomogło, rozdrażniony zerwał się więc z łóżka i sięgnął do szuflady, gdzie przed wyruszeniem na łowy schował magiczny minerał.

Ledwie zdążył ująć go w dłoń, gdy usłyszał zdenerwowany głos przełożonego:

– Gdzie się podziewałeś tyle czasu?! Od świtu staram się z tobą skontaktować!

– Przepraszam, musiałem działać incognito i nie mogłem nosić przy sobie kryształu – skłamał wywiadowca niewyraźnym głosem.

– Incognito? – zdumiał się Gildorf, który wyraźnie polecił swojemu podwładnemu gromadzić informacje o przybywających do miasta nieznanym.

– Rozpracowuję podejrzaną grupę, która zjawiała się w mieście. Mają chyba...

– Nieważne – przerwał mu szpieg. – Słuchaj uważnie, bo nie mam czasu, aby się powtarzać. Od wschodu nadciąga w waszą stronę armia. Na oko osiem, może dziesięć tysięcy. Tylko piechota.

– Co? – Wywiadowca nie był pewien, czy dobrze usłyszał, a jeśli tak, to czy przypadkiem nie są to majaki senne. – Osiem tysięcy samej piechoty... To chyba żart? Kto tworzy taką armię? – zapytał poniekąd rozbawiony taką myślą. Wiadomo było, że armia złożona z samej tylko piechoty nie mogła być wszechstronna i została by rozgromiona przez dziesięciokrotnie mniej liczną konnicę. Nie wspominając już o zdobywaniu miasta, które nie byłoby możliwe bez maszyn oblężniczych i łuczników.

– Tego jeszcze nie wiem, ale jeżeli pewien człowiek się nie myli, mamy do czynienia z armią nieumarłych.

Ferielowi zakręciło się w głowie, czy to od zmęczenia, czy po usłyszeniu wstrząsających nowin. Osiem do dziesięciu tysięcy ożywieńców? Jak to możliwe? Jakie siły byłyby potrzebne do stworzenia takiej armii? Armii, która nie potrzebowała pożywienia, odpoczynku ani snu... A już na pewno maszyn oblężniczych i jazdy konnej.

Z palcami zacisniętymi na kryształach położył się na łóżku, próbując pozbierać myśli. Miał w swoim życiu parę okazji, aby rozprawić się z ożywionymi trupami stworzonymi przez pozbawionych resztek sumienia nekromantów. To były ciężkie walki. Dopiero dekapitacja rozwiązywała mroczne zaklęcie i ponownie uśmiercała gnijące ciało.

– Musisz natychmiast zorganizować obronę miasta. Nie jestem pewien, ile macie czasu, ale martwe zastępy nie potrzebują odpoczynku w marszu, szacuję więc, że niewiele ponad dobę... Jesteś tam?

– Tak... – wywiadowca ocknął się z szoku i natychmiast pobudził do działania. – Wszystkim się zajmę, jesteśmy w kontakcie – zapewnił i zerwał się z łóżka jak oparzony.

Działał jak w transie. Nie pamiętał, kiedy się ubrał i wybiegł na ulicę. Odzyskał świadomość dopiero w momencie, kiedy niemal wpadł pod kopyta konia ciągnącego wóz z węglem.

– Z drogi, łachudro! Pijany czy jak?! – zawołał woźnica, spinając lejce, aby zatrzymać konia.

Feriel przeprosił skinieniem ręki i wziął kilka głębokich wdechów. W stanie wycieńczenia mógł popełnić jakąś głupotę. Świat, który go otaczał, wydawał się nierealny, a on nie potrafił ogarnąć wszystkich otaczających go bodźców.

Jeżeli zginie, zanim przekaże wiadomość burmistrzowi, miasto zostanie zrównane z ziemią, a wszyscy mieszkańcy wycięci w pień. Musi być ostrożny, czujny i uważny... Potrzebuje kawy. Mocnej kawy.

Natychmiast skierował swoje kroki do jedyne miejsce, w którym zdoła odzyskać trzeźwość rozumu – do Czarnego Rumaka.

Knajpa nie wyróżniała się niczym szczególnym na tle pozostałych karczem w Kastengravie, z wyjątkiem oferowanych napojów. Oprócz piwa, wina, nalewek i bimbrów można było dostać tutaj najprawdziwszą krasnoludzką kawę.

Przybytek był zdominowany przez krasnoludy i ludziaki, pojawienie się człowieka wzbudziło zatem niemałe zainteresowanie stałych bywalców. Kiedy zaś wywiadowca zasiadł przy szynkwacie wśród rosnących ludziaków i muskularnych krasnoludów i zamówił Otchłań, zewsząd wybuchł kpiący śmiech szczerze rozbawionych gości Czarnego Rumaka. Nawet właściciel lokalu uśmiechnął się pod wąsem, pobłaźliwie przyglądając się nietypowemu klientowi.

– Napytasz sobie biedy, synku – odezwał się w końcu. – Nasza kawa nie jest dla każdego.

– A ja nie jestem każdym – zapewnił Ferial. – Będę wdzięczny za pośpiech.

Goście spojrzeli po sobie rozbawieni tupetem człowieka i widząc, że nie pozwoli odwieść się od podjętego zamiaru, zaczęli namawiać swojego ziomka, aby przygotował mu napar, o który prosi. Szykowało się niezłe widowisko.

Właściciel pokręcił z rezygnacją głową i zabrał się do roboty. Po kilku minutach trzymał w ręku nieduży gliniany kubek, pełen czarnego i gęstego jak smoła, parującego płynu. Postawił go przed człowiekiem i zaproponował, że jeżeli wypije wszystko duszkiem, nic nie zapłaci. Uradowani taką wizją klienci stłoczyli się wokół mężczyzny, nie chcąc pominąć nawet sekundy z szykującego się przedstawienia. W ruch poszły monety, a nawet całe sakiewki, przy zakładaniu się, jakie skutki wywoła u człowieka ich kawa.

Ferial rozejrzał się po zgromadzonych i uniósł gliniany kubek w geście toastu.

– Za Anfer! – zawołał i wychylił gęsty, obrzydliwie gorzki napój do samego dna. Natychmiast ogarnął go odruch wymiotny, który zaczął cofać napar do ust. Wywiadowca wyteżył całą swoją wolę, aby nie ulec reakcji organizmu. Im dłużej wytrzymywał, tym czuł się gorzej. Przenikliwie gorąco zaczęło ogarniać całe jego ciało, promieniując od łożadka aż po palce stóp, rąk i czubek głowy. Nagły ból zaatakował jego czaszkę, jakby ktoś zganiał ją imadłem i próbował wycisnąć z niej gałki oczne. Wszelkie bodźce zewnętrzne przestały do niego docierać. Ogarnął go mrok, któremu towarzyszyło przenikliwe dzwonięcie w uszach. Nie był do końca pewien, czy siedzi, czy leży na podłodze. Wiedział jednak, że niebawem objawy zaczną ustępować. Obrzydliwie gorzki smak płynu powoli zanikał, a wszechogarniające gorąco zastąpiły dreszcze. Po chwili dzwonięcie w uszach ustało, a wzrok wyklarował się i mężczyzna ponownie odzyskał świadomość otaczającego go miejsca. W ciągu kolejnych kilkunastu sekund odzyskał w większości sprawność ciała i umysłu i powoli podniósł się ze stołka. Gdy stanął pewnie na nogach, wyprostował się i rozejrzał po zdumionych, a nawet przerażonych twarzach otaczających go gości knajpy. Skinieniem głowy podziękował właścicielowi, po czym ruszył do wyjścia. W zalegającej ciszy słychać było jedynie jego kroki oraz skrzypienie i trzaśnięcie zamykających się drzwi. Wydarzenie to przeszło do historii Czarnego Rumaka, powtarzane przez właściciela niczym opowieść grozy.

Kiedy Ferial opuszczał knajpę, burmistrz Kastengravu – krasnolud o imieniu Dravgal – właśnie porządkował dokumenty w swoim gabinecie. Czekало go niebawem spotkanie z trzema przedstawicielami nowo powstałej spółki górniczej. Chcieli nawiązać z miastem współpracę, która przyniesie obustronne korzyści. Umowę planowali podpisać jeszcze dziś. Coś podpowiadało Dravgalowi, że spółka niekoniecznie przestrzega etyki branżowej, co zapewne określa jako „odstępstwo od wyznaczonych standardów”, jak to zazwyczaj bywało w wypadku cwaniaków tego pokroju. Burmistrz cenił sobie przejrzystość interesów, które prowadził w imieniu miasta, więc nigdy nie wahał się wyrzucić za drzwi dobrze sytuowanych obywateli królestwa i zamożnych przedsiębiorców z koneksjami, którzy proponowali mu szemrane interesy. Niezależnie jednak od intencji rozmówców, zawsze dbał o to, aby przyjmować ich w schludnym i wysprzątanym gabinecie.

Gdy uporał się już ze stosem dokumentów zalegających na biurku i właśnie układał alfabetycznie książki w biblioteczkę, zamarł nagle z grubym tomem *Prawo miejskie w dziejach* w ręku, gdyż odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Obrócił się powoli w stronę drzwi. Były wciąż zamknięte, jednak obok nich stał mężczyzna, patrząc wyczekująco na krasnoluda.

– Jak pan tutaj wszedł? – zdumiał się Dravgal. – Zresztą nieważne... Proszę wyjść, nie mam teraz czasu dla interesantów. Moja asystentka umówi pana na spotkanie – oświadczył i wrócił do porządkowania woluminów.

– Panie burmistrzu – odezwał się mężczyzna, ignorując polecenie – obawiam się jednak, że musimy porozmawiać TERAZ.

Burmistrz obrócił się oburzony. Za kogo ten człowiek się uważał? Nie dość, że nachodził go w gabinecie, to jeszcze nie stosował się do jego poleceń? To obraza wysokiego urzędnika państwowego!

– Pan się chyba zapomina – oświadczył twardo krasnolud. – Albo natychmiast opuści pan mój gabinet, albo pomoże panu straż miejska.

– Albo pan natychmiast mnie wysłucha, albo Kastengrav zostanie zniszczone. – Wywiadowca wlepił świdrujące spojrzenie w coraz bardziej czerwoną twarz Dravgala.

– Dość tego! – wściekł się burmistrz. – Dołożę wszelkich starań, aby...

– Do miasta zbliża się armia – przerwał mu Ferial. – Osiem do dziesięciu tysięcy piechoty.

– Co to za bzduiry? Armia? Nasza armia? Co ty pleciesz, człowieku?! – Krasnolud był bliski wyjścia z siebie.

– Burmistrzu, jestem królewskim wywiadowcą. Zostałem poinformowany przez mojego przełożonego o zbliżającym się zagrożeniu. Nie mamy wiele czasu, musimy zorganizować obronę miasta.

– Królewski wywiadowca? – Dravgal pokręcił kpiąco głową. – Ja zaś jestem królewskim urzędnikiem i jeżeli nie masz żadnych dokumentów potwierdzających twoją bajeczkę, osobiście dopilnuję, abyś zgnął w królewskim więzieniu.

Ferial natychmiast sięgnął za pazuchę i położył na blacie eleganckiego biurka stosowne papiery.

Dravgal, nie spiesząc się, podszedł do fotela, zasiadł w nim i wciąż kręcąc z poirytowaniem głową, wziął łaskawie do rąk pomięte arkusze. Wyglądały na autentyczne, opatrzone królewskimi pieczęciami i podpisanymi najwyższych królewskich urzędników, jednak krasnolud wciąż pozostawał sceptyczny.

– Więc jesteś wywiadowcą i zostałeś przydzielony do mojego miasta... Dlaczego nic o tym nie wiem? – zapytał, wciąż poirytowany.

– Nikt nie powinien o tym wiedzieć oprócz mojego przełożonego.

– A kto jest twoim przełożonym?

– Nie mogę tego wyjawić.

– Aha. Nikt nic nie wie, nikt niczego się nie dowie, a ja mam uwierzyć niemal na słowo, że to wszystko prawda? – Burmistrz rzucił niedbale dokumenty na blat i odchylił się na oparcie, bębniąc nerwowo palcami o podłokietnik fotela. – Muszę zweryfikować to, co tutaj napisano, u samego władcy, jeszcze więc dzisiaj wyśle posłańca do stolicy. W ciągu tygodnia powinna przyjść odpowiedź – wyjaśnił nonszalancko.

– Z całym szacunkiem, burmistrzu, ale nie mamy tyle czasu. – W Ferialu zaczął wzbierać gniew. – Wiem, że masz ważne spotkanie z przedstawicielami spółki górniczej, ale mamy tylko dobę, aby przygotować obronę miasta.

– Skąd wiesz o spotkaniu? – zdumiał się Dravgal.

– Wiem o wielu rzeczach... O tym, jak chciałeś potajemnie podnieść podatki, nie informując przedsiębiorców, jak zaniechałeś przebudowy ratusza, aby wzmocnić miejski budżet, nawet o tym, że w swoim biurku masz wydrążoną skrytkę na nóż, który przekazywany jest w twojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Krasnoludzka stal kuta warstwowo i rękojeść z drewna orzechowego. Dostałeś go od ojca w dniu ślubu, razem z pewną posiadłością, której nigdy nie wykazałeś w spisie swojego majątku. Jest usytuowana między Rzeką Jezior a Dzikim Ostępem. Mam wymieniać dalej? – zapytał najgrzeczniej jak tylko potrafił zdumionego krasnoluda, siedzącego teraz z otwartymi ustami i ściągniętymi brwiami.

– Inwigilujecie mnie? – wykrztusił w końcu burmistrz.

– Jak każdego wysoko postawionego urzędnika królewskiego – wyjaśnił Ferial. – Potrzebuję upoważnienia do kierowania obroną miasta.

Dravgal natychmiast sięgnął do szuflady i wyciągnął odpowiedni dokument, który po wypełnieniu i podpisaniu wręczył człowiekowi. Wciąż miał wątpliwości, ale w obecnej sytuacji musiał zawierzyć jego prawdomówności.

– Udaj się z tym upoważnieniem do Faskira, dowódcy straży miejskiej.

– Wiem, o kim mowa – zapewnił Ferial. Schował wszystkie dokumenty z powrotem za pazuchę, odwrócił się bez słowa i skierował się do wyjścia.

– Wywiadowco – zagadnął jeszcze burmistrz. – Kiedy zjawią się wojska króla? – zapytał.

– Póki co jesteśmy zdani na siebie – oświadczył Ferial i wyszedł z gabinetu.

Rozdział 12

NIEOCZEKIWANY ZWROT WYDARZEŃ

Rozległe równiny otaczające trójkę wędrowców skutecznie utrudniały kamuflaż. Mimo wysokich górskich traw byli widoczni z odległości ponad kilometra, co nad wyraz niepokoiło czarodziejkę i paladyna. Miało to jednak tę zaletę, że oni również mogli z łatwością dostrzec zagrożenie.

Mimo upalnej pogody cała trójka biegła ile tchu przez złotoszmaragdowe morza żdźbeł, kierując się na północ, w stronę odległego, ledwie widocznego klasztoru, wykutego w skale w jednym z południowych zboczy Gór Białego Szczytu. Adriela przewidywała, że w tym tempie, uwzględniając jeszcze dwa dłuższe postoje, powinni dotrzeć na miejsce przed północą.

Pędzili tak już ponad dwie godziny i choć nie przemieszczali się z zawrotną prędkością, pokonali już dwa razy dłuższy odcinek, niż gdyby zwyczajnie maszerowali.

Adriela nie nawykła do biegania. W końcu była czarodziejką. Kosztowało ją więc wiele wysiłku, aby dotrzymać tempa rycerzowi, który mimo ciężaru rynsztunku przewodził całej trójce. Kobieta nie przepadała za wysiłkiem fizycznym, gdyż brzydziła się zapachem swojego potu i wszelkimi objawami wycieńczenia. Nierówny oddech, żelazisty posmak w ustach, sztywne od wysiłku nogi i pot zalewający oczy były zaprzeczeniem jej magicznej natury. Na duchu podnosił ją jedynie kapłan – jeśli ona była wycieńczona, to klecha umierał. Jego nabrzmiała od wysiłku, czerwona i spocona twarz wizualnie uzupełniała rżenie, jakie wydawał, próbując złapać oddech. Niezgrabne ruchy wszystkich kończyn jednoznacznie wskazywały zupełny brak kondycji. W konsekwencji słabła również jego koordynacja. Potykał się co kilka minut, a co kilkanaście przewracał. To jednak nie hamowało jego determinacji. Podnosił się niezgrabnie i ledwie powłóczęc nogami, brnął dalej za swoimi towarzyszami.

Jak na złość tego dnia na niebie nie zagościła ani jedna chmura, która mogłaby przysłonić słońce i tym samym zapewniać wytchnienie wędrowcom. Na szczęście posiadali spore zapasy wody, więc co jakiś czas robili kilkuminutowy postój, aby nawodnić organizm i wyrównać oddech.

Kiedy Adriela z niecierpliwością wyczekiwała kolejnego odpoczynku zarządzonego przez Jarellę, w jej głowie rozbrzmiał klarowny sygnał kryształu kontaktowego. Chwilę później usłyszała w myślach zimny, wyrachowany głos swojego władcy:

– Jak przebiega misja?

– Panie mój, jesteśmy coraz bliżej celu – zapewniła. – Przed nocą powinniśmy dotrzeć do klasztoru.

– Lepiej się pospieszcie – wysyczał zimno Olaf. – W stronę Kastengravu sunie armia. Jeżeli miasto zostanie zniszczone, odpowiedzialność spadnie na was – zagroził i zerwał kontakt.

Kobieta mimowolnie się zatrzymała, przez co kapłan wpadł prosto na nią i oboje przewrócili się na trawę. Paladyn, zaniepokojony hałasem, również się zatrzymał i cofnął do towarzyszy.

– Co się stało? – zapytał, stawiając Adrielę na nogi.

– Przerwa – oświadczyła kobieta, odkorkowując manierkę i pociągając kilka konkretnych łyków wody.

– Teraz lepiej? – zapytał rycerz.

– Nie. – Adriela spojrzała na niego podejrzliwie. – Król się ze mną skontaktował...

– Co powiedział? – zainteresował się Wrecedarm.

– Wie, że na Kastengrav nadciąga armia, choć ja go nie informowałam.

– Jesteś pewna? – Jarell zmarszczył brwi.

– Ledwie zdążyłam zacząć z nim rozmowę, przestrzegł mnie, że jeżeli miasto zostanie zniszczone, odpowiedzialność za to spadnie na nas. Pytanie, skąd dowiedział się o armii.

Zapadła cisza. Nikt nie potrafił znaleźć racjonalnego wyjaśnienia, paladyn zaproponował więc nieracjonalne rozwiązywanie zagadki:

– Może mamy ogon?

– Myślisz, że władca najpierw powierzył mi misję, a następnie nakazał mnie śledzić? Po co? Sugerujesz, że mi nie ufa?

– Olaf nie ufa nikomu – zauważył trafnie rycerz. – Niczego nie wykluczam.

Kobieta zamyśliła się nad słowami towarzysza, jednak nie zadowolilo jej takie wyjaśnienie. Tyle niespodziewanych wydarzeń spotkało ich po drodze, że było mało prawdopodobne, aby ktoś śledził ich od samej stolicy. Chyba że... Jeżeli Gildorf maczał w tym palce, to go zabije. Prosiła przecież o dyskrecję. Zanim jednak wyciągnie być może pochopne wnioski, będzie musiała sama na spokojnie przemyśleć całą sprawę. Ma na to jeszcze mnóstwo czasu, nim znajdą się w klasztorze. Schowała manierkę do plecaka i oświadczyła, że w tej sytuacji muszą się spieszyć jeszcze bardziej.

Gideonowi nie trzeba było powtarzać. Pierwszy wystrzelił przed siebie, nie mogąc się doczekać, aż otoczą go klasztorne mury. Przez całą drogę kombinował, w jaki sposób wykołować czarodziejkę i paladyna i rozplątać się w powietrzu, kiedy już znajdą się na miejscu, a im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej ta myśl zaczynała go uwierać. Ogarniały go wątpliwości, czy rzeczywiście powinien porzucać towarzyszy. Wiedział, że takie postępowanie było niewłaściwe, co jednak mógł zrobić w sytuacji, w której się znalazł? Nie był przecież nikim wyjątkowym... Ani bohaterem, ani dowódcą. Był jedynie nic nieznaczącą postacią, która znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Nie dałby rady stawić czoła temu zagrożeniu, lepiej więc będzie dla wszystkich, kiedy przestaną na niego liczyć i sami przejmą inicjatywę. Musi uciec, już nawet nie dla siebie samego, ale dla nich.

Brnęli dalej przez wysokie trawy. Teren to opadał, to wznosił się ponownie, drażniąc ich jeszcze bardziej w wycieńczającej podróży. Z każdym kolejnym kilometrem byli coraz bardziej zmęczeni, a zapasy wody kurczyły się w zatrważającym tempie.

Tuż przed zachodem słońca urządzili jeszcze jeden postój, aby coś zjeść i odpocząć przed ostatnim odcinkiem trasy. Wszyscy byli na skraju wytrzymałości. Uznali więc, że nie ma sensu dłużej się katować. Szybki marsz będzie dla nich wydajniejszy, choć zostało im do przebycia ponad dziesięć kilometrów. Chcąc nie chcąc, przełknęli ostatnie kęsy smoczego mięsa i ruszyli w dalszą drogę.

Zanim słońce zdążyło zająć na dobre za horyzont, na niebie pojawiła się niemal pełna pomarańczowa tarcza księżycy, która wznosząc się coraz wyżej na granatowym nieboskłonie, jaśniała coraz bardziej, oświetlając drogę podróżnym.

Mimo sprzyjających warunków dalsza trasa wymagała od wędrowców wzmoczonej uwagi. Dzielne życie zamarło, ustępując miejsca nocnym stworzeniom, które w takim miejscu jak to nie przepuściłyby okazji do zdobycia posiłku. Jarell doskonale zdawał sobie sprawę z zagrożeń, jakie na nich czyhały w mroku równin. Skrupulatnie wstrzymywał marsz za każdym razem, gdy wydawało mu się, że coś słyszy.

Ziemię, które przemierzali, znane mu były z opowieści o czarnoskrzydłych – dzikich ptako-gadach zamieszkujących okoliczne jamy i rozpadliny skalne. Jak nietrudno było zgadnąć, ich nazwa wywodziła się z zabarwienia pióro-lusek, które zapewniały im idealny kamuflaż w gęstej ciemności. Latały bezszelestnie, jednak kiedy pikowały na swoją ofiarę, ich upierzenie wydawało charakterystyczny furkot, którego nie sposób było pomylić z niczym innym. Ofiara, która usłyszała ten dźwięk, miała jedynie parę sekund na reakcję. Czarnoskrzydłe spadały jak burza, celując masywnymi nogami w głowę ofiary, aby ją ogłuszyć lub osłepić. Stanowiły więc poważne zagrożenie dla wędrowców, którzy w głównej mierze patrzyli pod nogi, nie interesując się tym, co na niebie.

Gdy tylko Jarell usłyszał jakikolwiek podejrzany dźwięk, przypadał do ziemi, a dwoje towarzyszy wraz z nim – i trwali w bezruchu, nieraz nawet kilka minut, dopóki rycerz nie pozwalał na wznowienie marszu.

Jak nietrudno się domyślić, pokonywanie dalszej drogi w taki sposób znacznie opóźniło dotarcie do klasztoru. Dopiero więc koło północy wędrowcy stanęli u podnóża krętej drogi prowadzącej po stromym zboczu do bramy monasteru. Prawie pół godziny zajęła im wspinaczka wijącą się serpentyną, aż w końcu dotarli pod wielką drewnianą, okutą żelazem bramę klasztorną. Dopiero teraz Adriela dostrzegła, jak masywne były mury rozciągające się przed nimi. Były grube i wysokie, jednak próżno było w nich szukać cech murów obronnych. Zdecydowanie służyły raczej izolacji tego miejsca od świata zewnętrznego niż odpieraniu zbrojnych ataków.

Nie znalazłszy żadnej kołatki czy stróżówki odźwiernego, rycerz dobył buzdycanu i uderzył nim solidnie kilka razy w twardą powierzchnię wrót. Hałas, który spowodował, z pewnością obudziłby umarłego, jednak przez dłuższy czas nikt się nie zjawił, paladyn zapukał więc ponownie. Również tym razem nie przyniosło to żadnego efektu. Podróżni stali zniecierpliwieni przed wejściem, zastanawiając się, czy w ogóle ktoś jest w środku. Z zewnątrz klasztor wyglądał na opuszczony, ale każde miejsce odosobnienia sprawiało takie wrażenie, nie pozostawiało im więc nic innego, jak czekać i dobijać się dalej. Po niemal półgodzinie rycerz ostatecznie zrezygnował i zatknął broń z powrotem za pas.

– I co teraz? – zapytał nieopatrznie zbity z tropu Wrecedarm.

Wojownik wraz z czarodziejką spojrzeli na niego zdumieni. Przecież znaleźli się tutaj z inicjatywy kapłana, a teraz pytał, co mają robić?

– Ty pytasz nas? – zadrwiła Adriela, nie dowierzając słowom, które padły właśnie z jego ust.

Gideon już miał coś odpowiedzieć, kiedy rozległ się dźwięk zdejmowanego rygla. Lewe skrzydło bramy uchyliło się nieznacznie, a w szparze pojawił się szczupły, zupełnie лысы mężczyzna odziany w szary i znoszony habit.

– Czego tutaj szukacie? – zagrmiał szorstko, taksując uważnie każdego z osobna.

– Potrzebujemy noclegu – wyjaśnił paladyn. – Jesteśmy strudzeni podróżą, a okolica wydaje się raczej niebezpieczna nocą.

– Noclegu... – mężczyzna westchnął ciężko i z niechęcią pokiwał głową. – Wejdźcie.

Gdy tylko zamknął za nimi bramę, powiodł ich nieoświetlonym dziedzińcem po wąskiej kamiennej ścieżce. Biegła wśród uprawnych poletek w gęszcz niedużego sadu, na którego końcu stanęli przed kamienną ścianą z wąskim przejściem zastawionym metalową kratą. Odźwierny wyciągnął zza pazuchy żelazny klucz i ze szczęką otworzył skrzypiące wejście. Znaleźli się w korytarzu oświetlonym skąpo kilkunastoma kagankami zwisającymi ze ścian na krótkich łańcuchach. Mnich bez słowa wiodł ich przed siebie, aż znaleźli się w miejscu, które całej trójce zaparło dech w piersiach. Przed ich oczami rozpościerał się wirydarz – prostokątny ogród pełen ziół i rozmaitych kwiatów, otoczony krążkami. Pośrodku ogrodu stała niewielka, plująca wodą fontanna z białego kamienia, służąca również za źródło wody dla mnichów. Zapach ziół tak oszołomił całą trójkę, że nie zwrócili uwagi na brak sklepienia nad głowami. Dopiero kiedy owionął ich chłodny, rześki nocny powiew wiatru, zwrócili oniemiałe spojrzenia w górę.

– Nie ociągajcie się – zganił ich przewodnik, który zdążył wyprzedzić ich o kilkanaście metrów. – Żwawo! – polecił i ruszył dalej krążkami do kolejnego wejścia po przeciwnej stronie wirydarza.

Ponownie znaleźli się w kamiennym korytarzu. Tym razem jednak był on szerszy i lepiej oświetlony. Gideona uderzył brak jakiegokolwiek wystroju pomieszczeń. W Zamku Ośmiu Dam trudno było znaleźć fragment ściany niezastłony gobelinami, portretami, obrazami czy bronią. Tutaj zaś gołe ściany ciągnęły się przez całą długość korytarza, poprzecinane gdzieniegdzie wejściami do innych pomieszczeń.

Pokonali przejście i weszli do refektarza – wysokiej sali, w której centralne miejsce zajmował długi drewniany stół, po którego obu stronach stały dwie równie długie drewniane ławy. Mnich minął je niedbale i skręcił w lewo, kierując się do wąskich drzwi osadzonych w zachodniej ścianie. Rozwarł je i gestem zaprosił przybyszów do środka.

– Zaczekajcie w parlatorium, aż przyjdzie opat – oświadczył głosem nieznośnym sprzeciwu.

Jarell wszedł pierwszy, za nim Gideon. Adriela się zawahała. Niespecjalnie ufała mnichowi, a ostatnie doświadczenia nakazywały jej zachować zdwojoną czujność.

– Kiedy zjawi się opat? – zapytała podejrzliwie.

– Jak tylko go obudzę, ubierze się i do was zejdzie – wyłożył mnich, lecz widząc wahanie kobiety, westchnął znużony. – Jest po pierwszej w nocy, wszyscy od dawna śpią.

Czarodziejka ustąpiła pod naporem niezbitego argumentu i również weszła do pomieszczenia.

Parlatorium przypominało nieduży gabinet. Pod ścianą obok wejścia znajdowało się małe biurko, naprzeciwko którego stały dwa krzesła. Próżno było jednak szukać tam biblioteczki czy szafki. Jedyne książki, jakie się tam znajdowały, spoczywały na blacie biurka, ułożone w stos – jedna na drugiej, niczym krzywa wieża.

Gdy tylko odźwierny zostawił ich samych, rycerz zwrócił się do kapłana z pytaniem, czy to na pewno ten klasztor.

– Jestem pewien – Gideon potwierdził gorliwie, zastanawiając się, co z tego wyniknie. A jeśli nie zostaną przyjęci na nocleg? Jak wtedy kontynuować to przedstawienie, aby uwolnić się z groteskowego koszmaru?

Z zadumy wyrwał go skrzypnięcie drzwi. Do parlatorium wszedł opat klasztoru – wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna odziany w biały habit. Przywitał się skinieniem głowy z niespodziewanymi gośćmi, wskazał im dwa miejsca przed biurkiem, sam zaś stanął po drugiej stronie blatu. Dopiero teraz, w świetle świec, bohaterowie dostrzegli wyjątkowo szpetną twarz swojego gospodarza. Nie chodziło o nieestetyczne rysy, ale o liczbę blizn przecinających szorstką skórę na czole, policzkach i nosie, a także lewe oko, zasnutę bielmem.

– Proszę mi wybaczyć długi czas oczekiwania – zaczął łagodnie – ale zważając na porę, powinienem tylko przekręcić się na drugi bok – zakończył ostro i dobitnie.

– Przykro nam, że niepokoimy wasze zgromadzenie o tak niedorzecznej porze, ale przywiódł nas tutaj niecodzienny spłot wydarzeń, na który, choć bardzo byśmy chcieli, nie mamy na razie wpływu – wyjaśnił gładko Jarell.

– Rozumiem – odparł opat po chwili namysłu. – Jestem Littar i pełnię funkcję opata tego klasztoru. W czym zatem mogę wam pomóc?

– Potrzebujemy schronienia – odparła Adriela.

– Schronienia? – zdumiał się opat.

– Właściwie to noclegu – wtrącił się Gideon. Znał nieco język klasztorny i wiedział, że „schronienie” oznaczało wstąpienie w szeregi zgromadzenia.

– Hm... Nie jestem pewien, czy będę mógł wam pomóc. Mamy tutaj pewne zasady...

– Nie będziemy nikomu przeszkadzać, jakby nas tutaj w ogóle nie było – obiecał Wrecedarm niepewny wyniku tej rozmowy.

– Chodzi o to – zaczął tłumaczyć opat, wlepiając swoje upiorne oko w kapłana – że jesteśmy męskim zgromadzeniem. Obecność młodej kobiety – mówiąc to, przeniósł wzrok na czarodziejkę – może stworzyć pewne zagrożenie.

– Nie zamierzam nikogo uwodzić – obruszyła się Adriela.

Littar spuścił głowę, zmęczony tłumaczeniami, po czym, po kilku uspokajających wdechach, ponownie zwrócił wzrok na przybyłych.

– Nie jesteśmy zwykłym zgromadzeniem klasztornym. Przyjmujemy w nasze szeregi wyrzutków społecznych. Zarówno włóczęgów, jak i złodziei, gwałcicieli i morderców. Uczymy ich, czym jest dobro, przez pracę i odosobnienie. Odbывают tutaj swoistą pokutę za swoje czyny i występki. Obecność młodej kobiety może obudzić w niektórych braciach niezdrowe żądze, które zniweczą ich starania o przejęcie kontroli nad własnym życiem – wyjaśnił łopatologicznie. – Ponadto wystawieni na pokusę, będą starali się przed nią bronić, a wtedy mogą stanowić zagrożenie.

– Poradzę sobie z paroma napaleńcami – prychnęła kobieta.

– Chodziło jej o to, że jest pod moją stałą opieką – Jarell prędko zmienił wydźwięk słów towarzyszki, gromiąc ją wzrokiem.

– Wyczuwam w tobie duży spokój – Littar zaintrygowany zwrócił się do wojownika. – Jesteś rycerzem zakonnym?

– Paladynem – odparł skromnie mężczyzna.

– Paladynem – powtórzył opat i zamyślił się na dłuższą chwilę. – Obecność kobiety nie jest tutaj wskazana – odezwał się w końcu – ale ty możesz wnieść wiele dobrego w zagubione serca moich braci. Przydzielę wam cele – obiecał. – Brat Otto was do nich zaprowadzi, ale najpierw posilicie się w refektarzu, bo zapewne jesteście głodni po podróży.

Posiłek, którym zostali ugostzczeni, był bardzo skromny, jednak wystarczył do zapełnienia trzech skurczonych żołądków. Następnie odzwierny Otto zaprowadził przybyłych na piętro, gdzie pokonali istny labirynt korytarzy, nim dotarli do przydzielonych im cel.

– Każde śpi oddzielnie, nie ma bowiem wśród tych murów miejsca na zgorszenie – przestrzegł mnich, łypiąc podejrzliwie na rycerza i kapłana. Otworzył drzwi do pomieszczeń i oddalił się, zostawiając podróżnych samych sobie.

– Nareszcie – westchnął Wrecedarm. – Im szybciej minie ta noc, tym prędzej będziemy wiedzieć, co mamy czynić w dalszej kolejności. Wybaczcie mi, ale muszę pogrążyć się w modlitwie. Nie przeszkadzajcie mi zatem. Jutro rano przedstawię wam dalsze zamysły mojego boga.

– Również będę się modlił – obiecał Jarell.

– W takim razie ja położę się spać. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść – rzuciła beztrosko czarodziejka, po czym wszyscy rozeszli się do swoich kwater.

Noc przebiegła spokojnie, mimo chmur burzowych, które zasnuły całe niebo, przysłaniając księżyc i gwiazdy i pogrążając klasztor w głębokim mroku. Jakimś cudem jednak, mimo licznych błysków rozświetlających niebo, nie dało się słyszeć ani jednego grzmotu, a na ziemię nie spadła bodaj kropla deszczu. Taka to właśnie była spokojna-niespokojna noc.

Nazajutrz, gdy tylko na korytarzach klasztoru dał się słyszeć codzienny ruch, czyli koło siódmej rano, Adriela bezceremonialnie została obudzona przez kogoś, kto najwyraźniej był odpowiedzialny za pobudkę braci i chodził od drzwi do drzwi, łomocząc pięścią w każde z nich.

Przeciągnęła się na niewygodnym materacu, po czym przecierając oczy, usiadła, opierając się o niskie wezglowie. Udało się. Dostarczyła kapłana całego i zdrowego do klasztoru. Nie zawiodła.

Odsunęła wypełnioną słomą kołdrę i sięgnęła po ubranie. Mimo że wywiązała się ze swojego zadania, wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Jak tylko kapłan obwieści im, co dalej, skontaktuje się z królem Olafem, aby przyjąć nową porcję obowiązków. Miała tylko nadzieję, że nie będzie musiała wracać do stolicy i tam gnić, gdy tyle się dzieje. Wolałaby zostać przy kapłanie. Choć ją drażnił i był nieporadny niczym dziecko, udowodnił swoją wartość i zyskał jej zaufanie. Ponadto nie można się było przy nim nudzić.

Kobieta zapięła pas, po czym wstała i stanęła przy drzwiach, nasłuchując niknącego powoli gwaru. Nie chciała wzbudzać zainteresowania swoją osobą, a także sprawą, z jaką tutaj przybyli. Kiedy na korytarzu w końcu zapanował spokój, wyslizgnęła się cicho ze swojej kwatery i zapukawszy delikatnie w drzwi, przekroczyła próg celi Jarella. Zastała go w samych spodniach, szukającego koszuli. Omiotła wzrokiem jego umięśniony, pokryty licznymi bliznami, wyrzeźbiony tors, po czym udając zawstydzoną, obróciła się plecami, aby zwrócić mu trochę prywatności.

– Dobrze spałeś? – zapytała, chcąc rozładować krępującą ciszę.

– Znośnie – wychrypiał zaspany rycerz, nakładając koszulę na grzbiet. – Miałem dziwny sen... – przypomniał sobie ni z tego, ni z owego.

– Mnie nic się nie śniło – Adriela kontrolnie zerknęła za siebie, a widząc, że jej towarzysz zawiązuje już rzemyki przy skórzanym kaftanie, obróciła się do niego z powrotem. – A ty co śniłeś?

– Byłem w jakimś zamku. To chyba był zamek... Byłem skrępowany sznurem czy łańcuchem... I nagle zdałem sobie sprawę, że coś się za chwilę wydarzy, ale nie mogę sobie przypomnieć...

– Co w tym śnie takiego dziwnego?

– Atmosfera, jaka tam panowała. Uczucie desperacji i beznadziei... To było takie realne... – Przez twarz paladyna przemknął cień lęku, którego kobieta jak dotąd nigdy u niego nie widziała.

- To tylko sen – zapewniła. – Najważniejsze, że kapłan jest tam, gdzie miał się znaleźć.
- Mówił już, co dalej? – zainteresował się paladyn.
- Jeszcze u niego nie byłam. Lepiej, abyśmy we dwojkę wysłuchali tych rewelacji.
- Ma niespotykany dar. – Jarell zatknął buzdygan za pas i skierował się do wyjścia. – Nie uważasz?
- Tak, to z pewnością niezwykły człowiek – przyznała kobieta, wychodząc na korytarz.

Podeszli do drzwi celi swojego towarzysza i zapukali delikatnie, choć stanowczo. Nie doczekawszy się jednak żadnej odpowiedzi, rycerz nacisnął klamkę. Drzwi ani drgnęły. Spróbował ponownie, lecz bez skutku. Spojrzał zaniepokojony na Adrielę i napał na deski ramieniem.

– Zaryglował się? – zapytała zbita z tropu czarodziejka.

Jarell nic nie odpowiedział. Bez słowa usiłował sforsować zamek, jednak bezskutecznie.

– Przesuń się – rozkazała Adriela i zamknąwszy oczy, wyciągnęła ręce w stronę drzwi. Wszystkie magiczne pierścienie na jej palcach rozjarzyły się, każdy swoją barwą.

Paladyn, spodziewając się najgorszego, odsunął się prędko, jednak ku jego uldze nie nastąpiła żadna eksplozja, jedynie drzwi zaczęły miarowo wibrować w futrynie. Trwało to jakiś czas, po czym rozległ się charakterystyczny dźwięk chowanego rygła. Rycerz nie śmiał się ruszyć. Dopiero kiedy kobieta opuściła ręce, a pierścienie przygasły, wparował do kwatery kapłana. Pomieszczenie było puste.

– Gdzie on się podział? – zapytała ostrym niczym brzytwa tonem czarodziejka.

Wojownik jeszcze raz ogarnął wzrokiem nieduże pomieszczenie kwatery.

– Gdzie? – Adriela niemal krzyknęła na swojego towarzysza.

– Widzę tyle, co ty – odparł rycerz.

Nagle dostrzegł otwarte okno i bez słowa wybiegł z pomieszczenia. Pędem skierował się do schodów na końcu labiryntu korytarzy, a następnie na dół, gdzie w refektarzu grupa mnichów spożywała właśnie śniadanie. Zignorował ich pełne zdumienia miny i wybiegł na zewnątrz do wirydarza. Natychmiast owionęło go rześkie, poranne górskie powietrze. Nie miał jednak czasu na rozkoszowanie się chwilą. Stał przy fontannie i omiół spojrzeniem całą skałę, w której wykuty został klasztor. Niewiele pomieszczeń usytuowanych było z tej strony. Bez problemu jednak rozpoznał otwarte okno celi kapłana. Znajdowało się nad częścią krużganków po lewej, na które łatwo było się z niego wydostać. Stamtąd mógł udać się poza obręb murów, jak i wspiąć się na górę, w której został wykuty klasztor, praktycznie mógł być więc wszędzie.

Kiedy rycerz wrócił do czarodziejki, ta siedziała na łóżku załamana, z głową wspartą na spoconych dłoniach.

– Nawiał przez okno – oświadczyła beznamiętnie.

– Wiem. Mógł się stąd udać właściwie wszędzie – wyjaśnił rycerz.

– Ale... Dlaczego? – kobieta spojrzała na mężczyznę pełna wątpliwości.

Jarell otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale westchnął tylko i wzruszył ramionami.

– To już tylko on wie. Może jego bóg nakazał mu działać dalej samemu, może nie chciał narażać nas, a może...

– Może zwyczajnie uciekł? – przerwała kobieta rozgoryczonym głosem.

– Nie wolno nam w to wierzyć – odparł zmieszany paladyn.

– Daj spokój – Adriela poderwała się gniewnie z łóżka. – Czuję, że już wcześniej próbował prysnąć. Zostaliśmy omamieni przez zwyczajnego tchórza i kłamcę!

– Dość! – Wojownik uniósł dłoń, aby powstrzymać towarzyszkę od dalszego sączenia jadu. – Na pewno wiemy tylko tyle, że go nie ma. Musimy ustalić, co w związku z tym robimy dalej.

Kobieta pokręciła głową i westchnęła zrezygnowana. Jeszcze kilka godzin temu była dumna ze swoich dokonań, doprowadziła wszak kapłana do klasztoru. Teraz sytuacja obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i cała misja okazała się bezcelowa. Niezależnie od tego, co nastąpi dalej, muszą skontaktować się z królem.

Czarodziejka wyciągnęła kryształ kontaktowy i ze zrezygnowaną miną uniosła go wymownie na wysokość wzroku rycerza.

Ten zacisnął tylko mocniej zuchwę i bez słowa opuścił pomieszczenie. Nie chciałby teraz znaleźć się w skórze Adrieli. Chętnie wzięłby całą winę na siebie, jednak to była jej misja i jej odpowiedzialność. Oboje doskonale wiedzieli, jak zareaguje władca. Będzie wściekły i biada wszystkim, którzy w tym czasie znajdą się w jego zasięgu.

Jarell zamknął za sobą drzwi i poszedł zebrać bagaże. Nie chciał być świadkiem, jak Olaf będzie wytykał kobiecie porażkę. Wiedział, że choć Adriela była twardą, być może najtwardszą kobietą, jaką znał, jej ambicja mogła wycisnąć z niej gorzkie łzy w trakcie rozmowy z władcą. Wiedział również, że nic tam po nim, bo jego towarzyszka nie pozwoli mu, aby się nad nią litował ani ją pocieszał. Sama będzie chciała przez to przebrnąć i ponieść konsekwencje. Głupia duma, nazywana przez idiotów samodzielnością, pozbawi ją poczucia wartości i obarczy winą, która nie leży po niczyjej stronie.

Paladyn znał doskonale te mechanizmy. Sam doświadczył ich lata temu i wiedział, że działają destrukcyjnie, bo kto otwiera serce dla ambicji, zamyka je przed spokojem. Ciągła pogoń za celami, choćby najbardziej szlachetnymi, sprawia, że ludzie przestają zwracać uwagę na to, gdzie się znaleźli, a kto nie wie, gdzie jest, nie wie, dokąd zmierza. Również w swoim życiu.

Kiedy obładowany bagażami wrócił do celi kapłana, zastał czarodziejkę opartą o parapet wciąż otwartego okna.

– Co dalej? – skierował pytanie do jej pleców.

– Król... – Adriela zawahała się, szukając odpowiednich słów, które najtrafniej opisałyby reakcję władcy – był bliski skazania na śmierć nas oraz naszych potomków do pięciu pokoleń w przód. Nakazał nam udać się w obręb czerwonej łuny na rekonesans i zdawać mu raporty o siłach i posunięciach wroga.

– Zdawać raporty? – zdumiał się wojownik, gdyż zajęciem tym parali się szpiedzy i wywiadowcy. – Jak długo?

– Aż nas zdemaskują i, jak to ujął król: „Wyrzną w pień”. – Adriela obróciła się do towarzysza. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, jednak w oczach czaił się strach.

Jarell wiedział, że nie żartuje, a to oznaczało podjęcie decyzji, która przesądzi o ich dalszym losie. Jeśli nie wykonają rozkazu, w oczach Olafa dopuszczą się zdrady królestwa. Po zażegnaniu kryzysu poświęci wszystko, aby ich znaleźć i zgładzić. Wykonanie jego polecenia wiązało się zaś z ogromnym ryzykiem, które również z dużym prawdopodobieństwem przypieczętuje ich los. Tak czy siak byli pogrążeni. Musieli zatem myśleć w pierwszej kolejności o bezbronnych obywatelach królestwa, którzy stali na drodze upiornej armii, skoro dla nich nie było już ratunku. Anfer nie składał się tylko z Zamku Ośmiu Dam i Olafa Prezeusa I, ale z milionów poddanych, których przyszłość leżała poniekąd w ich rękach. Swoim działaniem mogli uratować wiele istnień i doprowadzić do zwycięstwa nad nieznanym wrogiem.

Patrząc na wyraz twarzy Adrieli, Jarell uświadomił sobie, że ona również dokonała już wyboru. Bez słowa podał jej plecak i oboje ruszyli w stronę wyjścia.

Rozdział 13

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE

Gildorf, odkąd tylko wzeszło słońce, obserwował ponure mury klasztoru. Znalazł schronienie między trzema wielkimi głazami nieopodal zbocza góry, w której wykuty był monastyr. Noc spędzona bez najmniejszego bodaj płomienia ogniska na zimnych skałach nie należała do najprzyjemniejszych. Cieszył go jednak fakt, że przebiegła bezdeszczowo i wszystko, co miał na sobie, było suche.

Czekał w napięciu, jakie kolejne wydarzenia przyniesie ze sobą ten poranek. Jego żona wypełniła misję i doprowadziła kapłana do celu, jednak armia zbliżająca się do Kastengravu wymuszała na wszystkich natychmiastowe decyzje i niezachwiane poczucie służby królestwu. Był bardzo ciekaw, jak rozwinęła się sytuacja w obrębie murów klasztornych. Czy kapłanowi został objawiony sposób pokonania wroga, czy jego bóg miał inne zamysły? Mógłby skontaktować się z Adriela i subtelnie wypytać ją o sytuację, obawiał się jednak, że małżonka może poczuć się nadmiernie kontrolowana, a tego właśnie starał się uniknąć.

Oderwał na moment wzrok od monastyru i spojrzał na południowy wschód. Czerwona łuna trwała na niebie niczym krew rozlana wśród chmur. Szpieg odnosił wrażenie, że w ciągu nocy nie tylko przesunęła się bliżej Kastengravu, ale także się rozszerzyła, obejmując teraz znacznie większy obszar. Wyglądała jak potężny jezior wysuwający się w kierunku krasnoludzkiego miasta, aby je pochłonąć. Miał szczerą nadzieję, że kapłan wiedział, co robi, kierując się w miejsce tak bliskie zagrożenia.

Szpieg ziewnął i się przeciągnął, prostując zeszywniałe ramiona. Był przemęczony i głodny. Planował podkraść trochę jedzenia Jarellowi, kiedy cała trójka będzie spać, jednak wbrew jego przypuszczeniom nie rozbili obozu, tylko przyspieszyli, aby jak najszybciej dotrzeć do klasztoru. Musiał zatem czekać na inną okazję albo coś upolować. Ledwie o tym pomyślał, dostrzegł kątem oka ruch wśród górskich traw. Chwila wyteżonej obserwacji i już wiedział, że ma przed sobą pełnowartościowy posiłek w postaci północnego królika górskiego. Był to rzadki, zagrożony wyginięciem gatunek, jednak w obecnej sytuacji przetrwanie było dla mężczyzny ważniejsze niż jakiś zwierzak. Ostrożnie zaczął skradać się w stronę swojego posiłku. Kiedy był już o kilka kroków od niczego niespodziewającego się królika, powoli dobył noża. Zbliżał się bardzo cicho, nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd. Chwycił pewnie rękojęść i kiedy miał właśnie szykować się do skoku, aby pochwycić i zabić swoją ofiarę, rozległ się zgrzyt otwieranej bramy klasztoru. Gildorf bez namysłu padł na ziemię, kryjąc się w trawie. Królik zaś uciekł, sploszony hałasem, w tylko sobie znanym kierunku.

Szpieg natychmiast wrócił na uprzednią pozycję i kryjąc się wśród głazów, obserwował swoją żonę, która w towarzystwie rycerza przemierzała krętą drogę prowadzącą w dół zbocza. Mężczyznę zaintrygował fakt, że nie było z nimi kapłana. Czyżby został po drugiej stronie murów? Dokąd w takim razie zmierzali jego towarzysze? Zabrali ze sobą cały dobytek i wyglądało, jakby opuszczali klasztor na dobre.

Gildorf zaczekał, aż pokonają całą drogę w dół, aby przekonać się, jaki kierunek obiorą. Przypuszczał, że władca polecił im wrócić do Sobleva, choć możliwe, że wyruszyli gdzieś z polecenia kapłana.

Kolejne pytania pojawiały się w jego głowie, wprowadzając zamęt. Kulminacyjnym momentem była chwila, kiedy zdał sobie sprawę, że Adriela wraz z Jarellem kierują się wprost na krwawą łunę. Zdecydowanie coś musiało się wydarzyć w klasztorze i chciał się dowiedzieć, co takiego.

Pozostał w ukryciu, aż dwoje podróżnych znalazło się wystarczająco daleko, aby mógł niezauważony dostać się do monastyru. Jeśli się spręży, powinien dogonić ich w ciągu kilku godzin.

Opuścił kryjówkę i z wawym krokiem udał się pod bramę klasztorną. Musiał działać potajemnie, gdyż wszystko wskazywało na to, że kapłan wciąż przebywał w środku i źle by było, gdyby na siebie trafili. Stanął pod masywnymi

murami miejsca odosobnienia mnichów i nie namyślając się, zaczął bezceremonialnie wspinać się po kamiennej ścianie. Wchodził już na wiele budowli w swojej karierze i musiał przyznać, że mur monasteru był dla niego nie lada wyzwaniem. Nie był murowany, ale wykuty z jednego kawałka skały. Twardy kamień nie ulegał erozji w takim stopniu, jak piaskowiec czy wapień, przez co miał duże problemy z wynajdywaniem jakichkolwiek występow bądź załamów skalnych zapewniających mu podparcie. Nie było jednak rzeczy niemożliwych i po kilku minutach szpieg znalazł się w końcu na szczycie muru.

Mimo że mur nie pełnił funkcji obronnej, okazało się, że znajduje się tam przejście ciągnące się przez całą jego długość i niknące w szczelinie skalnej na jednym z jego końców. Być może korytarz służył odźwiernemu do sekretnej obserwacji przybyłych pod bramą? Tego pewnie nigdy się nie dowie, ale cieszył go fakt, że podejmując rekonesans, będzie miał ułatwione zadanie.

Skierował się do szczeliny, gdzie znajdowało się wąskie przejście prowadzące do równie wąskiej klatki schodowej biegnącej w dół. Po niedługim czasie szpieg opuścił zimny kamienny korytarz i znalazł się w wirydarzu. Pech chciał, niestety, że wyszedł prosto na dwoje starszych mnichów, którzy akurat zbierali zioła do plecionych koszyków. Ich zaskoczone miny sugerowały, że mogą zaraz sprawić nie lada kłopoty. Gildorf nie miał więc innego wyjścia, jak ich zawczasu uciszyć. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, natychmiast zbliżył się do nich i energicznym ruchem położył palec na ustach. Zdumieni mnisi trwali wciąż w bezruchu, nie bardzo wiedząc, jak mają się zachować. Oto nieznanym im mężczyzna wtargnął potajemnie do ich siedziby i mając do dyspozycji sporych rozmiarów ostrze noża, ucisza ich palcem.

– Chcę się tylko czegoś dowiedzieć – zapewnił szpieg, widząc ich zmieszanie.

Kobieta w końcu kiwnęła nieśmiało głową, a po chwili mężczyzna przyciągnął towarzyszkę bliżej siebie.

Gildorf powoli opuścił dłoń sprzed twarzy i widząc, że najwyraźniej para mnichów jest gotowa do rozmowy, rozluźnił się.

– Nocą przybyła tutaj trójka podróżników – zaczął powoli, jakby tłumaczył coś skomplikowanego – ale przed chwilą wasze mury opuściła tylko dwójka.

– Widzieliśmy, jak odchodzą – odezwała się kobieta.

– Tak, to było przed chwilą – przyznał szpieg. Mniszka kogoś mu przypominała, jednak nie mógł sobie uświadomić kogo. – Odeszła dwójka, a przybyła trójka. Wiecie coś o tym trzecim?

– Panie? – Starsza mniszka spojrzała wyczekująco na swojego towarzysza.

Panie? – zdumiał się Gildorf.

– W nocy przybyła trójka i odźwierny przydzielił im cele – wyjaśnił mężczyzna. – Słyszałem przez drzwi, jak rozmawiali.

– O czym? – szpieg zmarszczył brwi. Jego rozmówcy zdecydowanie kogoś mu przypominali.

– Nie słyszałem dobrze – przyznał mnich, rozglądając się po pustym wirydarzu. – Możemy jednak zaprowadzić cię do tego trzeciego podróżnika, który został.

– Czyli jest tutaj?

– Naturalnie. On został, a dwójka jego towarzyszy odeszła, ale nie wiemy dlaczego. Sam będziesz musiał porozmawiać z tym mężczyzną.

– Nie mogę... Nie jestem w stanie wam tego wyjaśnić, ale on nie może wiedzieć o mojej obecności. Muszę jedynie uzyskać wyjaśnienie, dlaczego on został, a tamci odeszli.

– Możemy ci pomóc – kobieta spojrzała na swojego towarzysza.

– Ależ tak – podchwycił tamten. – Musisz się jednak ukryć, ktoś może cię zobaczyć. Zaprowadzimy cię w bezpieczne miejsce.

– Bardzo jesteście uprzejmi – szpieg był zdumiony ich chęcią współpracy. Musiał zachować ostrożność, gdyż ich znajome twarze i nietypowa skłonność do pomocy nieznanemu intruzowi były mocno niepokojące.

Para dziwnych mnichów powiodła go z wirydarza niedużym przejściem we wschodniej ścianie. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, na którego końcu widniał słaby blask kaganka.

– Ostrożnie, posadzka miejscami jest wybrakowana – przestrzegła kobieta. – Nikt oprócz nas się tutaj nie zapuszcza, więc będziesz mógł bezpiecznie na nas zaczekać.

Gdy w końcu dotarli do poświaty kaganek, okazało się, że oświetla wijącą się w dół klatkę schodową.

– Uwaga na śliskie stopnie – przestrzegł starszy mnich i ruszył pierwszy w dół.

Po pokonaniu jakichś osiemdziesięciu stopni cała trójka trafiła do korytarza prowadzącego w mrok. Mnich zdjął ze ściany kaganek i powoli ruszyli dalej.

Gildorf był zdumiony rozległością podziemi klasztoru, tym bardziej że wyglądały na nieużywane od lat. Co jakiś czas mijali zamknięte drewniane drzwi to po lewej, to po prawej stronie. Korytarz skręcił w pewnym momencie w lewo i na samym jego końcu ukazały się kolejne drzwi, tym razem jednak obite stalową blachą i wzmocnione okuciami.

Mniszka podeszła do nich i otworzyła dużym żelaznym kluczem. Pchnęła ciężkie drzwi i cała trójka weszła do środka.

– Tutaj mam zaczekać? – zapytał zaniepokojony szpieg.

– Tutaj będziesz bezpieczny – wyjaśniła kobieta. – Nikt nie zapuszcza się w te podziemia i nie wie, że posiadamy klucz do tego miejsca, więc nie wydaj nas. – Mrugnęła porozumiewawczo, po czym odsunęła się pędkiem.

Zanim Gildorf zdążył zorientować się w sytuacji, leżał już na podłodze celi więziennej ogłuszony przez mnicha.

Mało osób zdawało sobie sprawę z istnienia tego klasztoru, a jeszcze mniej wiedziało, że przed wieloma dziesiątkami lat monaster pełnił funkcję więzienia dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców. Trzymano ich w podziemnych celach, właśnie tutaj, gdzie skazani na dożywocie, spędzali resztę swoich dni pogrążeni w mroku i zimnie.

Dwoje mnichów zamknęło skrupulatnie drzwi do celi i ruszyło z powrotem do wirydarza.

– Czy powinniśmy się martwić? – zapytała zatroskana kobieta.

– Teraz już tak – odparł jej towarzysz ze smutkiem w głosie. – Do zmroku musimy opuścić te mury.

Gideon obudził się i otworzył zaspane oczy. Nikłe światło wpadające przez okno jego celi sugerowało wczesny wieczór. Spróbował zmienić pozycję, lecz wąski kanał, w którym się znajdował, skutecznie uniemożliwiał mu wykonywanie skomplikowanych ruchów. Skrzywił się, kiedy nieopatrznie zahaczył głową o odstający kamień, po czym bardzo ostrożnie i powoli zaczął wypełzać ze swojej kryjówki.

Kiedy poprzedniej nocy wszyscy rozeszli się do swoich kwater, kapłan natychmiast zaczął obmyślać plan ucieczki. Wolał nie ryzykować przemykania po klasztornych korytarzach, gdyby go bowiem nakryli wałęsającego się cichcem z bagażem na ramieniu, raczej nie udałoby mu się wyjaśnić racjonalnie swojego zachowania. Całe szczęście, że dostał kwaterę z oknem. Otworzył je i wyrzwał na zewnątrz. Mrok zasnutej chmurami nocy sprawił, że zupełnie nic nie mógł dostrzec. Nie miał pojęcia, na jakiej jest wysokości ani co tak naprawdę znajduje się pod nim. Mimo to postanowił zaryzykować. Kiedy był zajęty wiązaniem pościeli w linę, która miała umożliwić mu zejście przez okno na dół, chłód górskiej nocy wypełnił jego celę i ten właśnie chłód zupełnie odmienił jego zamiary. Gdy podchodził z zaimprovizowanym sznurem, aby przywiązać go do ciężkiej dębowej ławy stojącej pod oknem, poczuł nagle powiew ciepłego powietrza. Rozejrzał się zdumiony i odkrył, że drewniana kratka zainstalowana w posadzce przykrywa kanał grzewczy doprowadzający do wszystkich pomieszczeń ciepłe powietrze. Kiedy zajrzał do środka, natychmiast zmienił zamiar. Pościelił ponownie łóżko, tak aby sprawiało wrażenie nienaruszonego, i postanowił przejść kanałem do innego pomieszczenia, gdzie będzie mógł w spokoju przeczekać, aż jego towarzysze znajdą otwarte na oścież okno i dojdą do wniosku, że ledwie się rozstali, on czmychnął przez nie, i wyruszą na jego poszukiwania. On w tym czasie znajdzie sobie wygodne lokum w klasztorze, gdzie nikt go na pewno nie znajdzie i po kilku dniach ruszy w swoją stronę.

Plan jednak nie przebiegł dokładnie tak, jak życzyłyby sobie tego Wrecedarm. Okazało się, że kanał grzewczy był niezwykle wąski i kapłan ledwie się w nim mieścił. Na dodatek zwięźał się przy ścianie i ten mały szczegół

uniemożliwił mu realizację zamierzenia. Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak przeczekać całe zamieszanie, które wywoła, w nieszczęsnym wąskim tuneliku. Przyzwyczajają się do swojej kryjówki przez kilka godzin i dopiero w okolicach świtu udało mu się w końcu zasnąć. Nie trwało to jednak długo. Obudził się, kiedy jego towarzysze wtargnęli do kwatery. Wstrzymał oddech, starając się nie wydać nawet najcichszego dźwięku. Leżał na plecach i przez nieduże oczka drewnianej kratki obserwował, jak rycerz i czarodziejka miotają się bezradnie po pustym pomieszczeniu. Trochę to trwało, nim się uspokoili i pogodzili ze stratą kompana. Następnie Jarell wyszedł, zostawiając Adriela samą. Gideon widział jej napiętą, przejętą i niemal wystraszoną twarz, kiedy ścisnęła w dłoni kryształ kontaktowy. Zrobiło mu się jej żal, choć wiedział, że prędzej czy później i tak by ich porzucił. Nie mógł się doczekać, aż w końcu wyniosą się z klasztoru i będzie mógł odetchnąć z ulgą, wolny od całego przedsięwzięcia. Póki co wszystko przebiegało zgodnie z jego planem. Jarell i Adriela uwierzyli, że uciekł w nocy przez okno, a teraz informowali o tym Olafa, który zapewne każe im wrócić do Sobleva, gdzie prawdopodobnie ukarze ich srodze. Jak się jednak okazało, Gideon nie przewidział wszystkiego. Z rozmowy, którą czarodziejka odbyła z paladynem, wynikało, że władca wysłał ich na pewną śmierć. Mieli udać się w obręb krwawej łuny i szpiegować posunięcia wroga do momentu, aż zostaną zdemaskowani i zabici. Wrecedarm nie tak to sobie wyobrażał. Nie chciał skazywać nikogo na śmierć, wręcz przeciwnie – sądził, że kiedy jego zabraknie, cała misja zostanie odwołana.

Gdy w końcu został sam, zamiast utęsknionej ulgi ogarnęły go czarne myśli i wyrzuty sumienia. Robił, co mógł, aby je zagłuszyć, pozbyć się ich i cieszyć uzyskaną wolnością. To jednak było dużo trudniejsze, niż przewidywał. Wewnętrzny konflikt, który w nim rozgorzał, zaabsorbował go do tego stopnia, że poświęcił mu całą swoją uwagę i energię. Przekonywał sam siebie, że dobrze robi, porzucając swoich towarzyszy, a następnie uświadamiał sobie, że to, co uczynił, skazało ich na zagładę. Nie chciał opuszczać Adrieli i Jarella, chociaż tak bardzo pragnął uwolnić się od niedorzecznej odpowiedzialności za cały ten bałagan. Sprzeczności nękające jego duszę wymęczyły go do tego stopnia – chociaż może było to zwyczajne wycieńczenie fizyczne – że zasnął, nie wiedząc nawet kiedy.

Teraz, wypoczęty i z mniejszym zamętem w głowie, wydostał się z trudem z ciasnej kryjówki, po czym rozprostował zeszywniałe kończyny. Okno wciąż było otwarte, wpuszczając do pomieszczenia wieczorne rześkie powietrze.

Wrecedarm usiadł ciężko na łóżku i wlepił tępe spojrzenie w podłogę. Wciąż nie wiedział, co ma robić, choć doskonale wiedział, co powinien zrobić. Nigdy dotąd nie miał takich dylematów. Zawsze uciekał, kłamał, oszukiwał, byle być z dala od zamętu i niebezpieczeństwa. Teraz zaś był gotowy ryzykować własne życie dla ludzi, których znał kilka dni. Chociaż czy naprawdę był na to gotowy? Ogarniał go paniczny lęk na samą myśl, że miałyby wyruszyć w rejon, gdzie roilo się od żywych trupów, i to zupełnie sam. A jeśli nie znajdzie swoich towarzyszy? Czy warto ryzykować życie dla nadziei, że na nich trafi? Przeszył go dreszcz. Co w sytuacji, gdy znajdzie kompanów? Jak im się wtedy wytłumaczy, co im powie?

Ogarnął go nagły ból głowy i poczuł znużenie. Tak bardzo żałował, że w ogóle kiedykolwiek wymyślił tę całą historię z nadciągającym zagrożeniem. Było tyle sposobów na zdobycie poważania i zaufania mieszkańców Rogowa Górnego, a on wybrał najłatwiejszy – kłamstwo. Żałował tego, co zrobił. Tego, że przez jego matactwa dwoje ludzi, których zdążył już trochę poznać, poniesie najwyższą ofiarę. Czarodziejka urzekła go swoją urodą, choć charakter miała bardzo trudny. Nie to jednak było istotne, ale fakt, że miała męża – kochającego ją człowieka, który zapewne planował spędzić u jej boku resztę życia. Być może dążyli do założenia rodziny, życia z dala od problemów...

Jarell zaś był najuczciwszym i najbardziej prawym z ludzi, których poznał. Był nieskazitelnym niczym górski strumień, a serce miał czyste jak kryształ. Życie paladyna było zdecydowanie więcej warte niż jakiegoś samozwańczego, zwodniczego kapłana – obłudnika, który w całym swoim życiu nie zrobił zupełnie nic dla drugiego człowieka. Każde jego działanie, każdy gest, każda myśl były skierowane na niego. Egoizm i egocentryzm były podsumowaniem całego jego życia.

Gideon poczuł, jak rośnie mu w gardle gula, a do oczu napływają łzy. Nie chciał już tak żyć, pragnął się zmienić. Musiał udowodnić sobie i całemu światu, że w głębi duszy nie jest takim człowiekiem, że jest dobry i współczujący. Tylko czy stanie na wysokości zadania? Skoro przez całe życie był tchórzem, to jak teraz miałyby zdobyć się na odwagę i ruszyć w same trzewia nadciągającego zła? Nagle przypomniał sobie słowa jednego ze swoich wiernych,

który gołymi rękami skręcił wilkowi kark: „Bałem się jak nigdy, ale przecież życie mojego syna było ważniejsze od strachu”.

To tylko abstrakcyjne uczucie, nieoparte żadnymi argumentami – pomyślał kapłan. Przecież nie wiem, co wydarzy się naprawdę, jak więc mogę bać się z wyprzedzeniem?

Wrecedarm Gideon powoli wstał z łóżka, podniósł worek podróżny i podszedł do otwartego na oścież okna. Miał dosyć tego, kim był. Postanowił, że czas zmienić swoje życie na takie, z którego będzie dumny. Czas lęku i wygody minął, nadszedł czas odwagi i poświęcenia.

Zarzucił bagaż na ramię i niezgrabnie wspiął się na gzyms za oknem. Do zmroku pozostało jeszcze trochę czasu, nie powinien więc mieć większych problemów z zejściem na dół i odnalezieniem drogi, którą jego towarzysze mogli podążać. Musiał ich ratować, choćby miał przypłacić to życiem, które, jak się okazało, i tak nie było wiele warte.

Rozdział 14

KRWAWA ŁUNA

Szpiegiem wstrząsnął zimny dreszcz. Otworzył ciężkie powieki i podźwignął się z lodowatej posadzki. Roztarł ręką sporej wielkości guza, który wyrósł w miejscu uderzenia, i wsłuchał się w otoczenie. Oprócz cichego chrobotania, prawdopodobnie myszy albo szczura, nie docierał do niego żaden dźwięk. Mniszka miała rację, najwyraźniej nikt się tutaj nie zapuszczał, bo i po co? Opuszczone pomieszczenia, wyglądające jak cele więzienne, mogły służyć jako magazyny, jednak co mnisi żyjący w ubóstwie mieliby magazynować?

Mężczyznę otaczał gęsty mrok i choć sądził, że po pewnym czasie jego wzrok przyzwyczai się do panujących warunków, wciąż pozostawał ślepy. Ostrożnie ruszył przed siebie, badając otoczenie wyciągniętymi rękami. Prędko trafił na zimny kamień ściany. Posuwając się wzdłuż niej, obszedł całe pomieszczenie, tworząc w myślach wizualizację miejsca, w którym się znalazł. Było wielkości małej izby i brak w nim było jakichkolwiek mebli czy przedmiotów – ot, puste pomieszczenie. Gildorf zatrzymał się przed wzmocnionymi drzwiami i centymetr po centymetrze zaczął je badać dłońmi. Od wewnętrznej strony również były obite grubą blachą i brak w nich było jakiegokolwiek otworu, który mógłby posłużyć mu do kontaktu z kimkolwiek na zewnątrz, jeśli jakimś cudem ktoś by tamtędy przechodził. Drzwi sprawiały wrażenie nie do ruszenia, o sforsowaniu nawet nie wspominając. Blacha była zdrowa, nieporzdzewiała i wciąż mocno przylegająca do grubych dech. Szpieg musiał zatem szukać innego punktu zaczepienia. Przesunął dłońmi po krawędzi muru, w który wpuszczone były zawiasy, i bardzo skrupulatnie badał jego powierzchnię. Już po krótkiej chwili delikatny uśmiech zagościł na jego twarzy. Wszystkie ściany były z kamienia, jednak ten fragment był murowany z cegły. To oznaczało, że przy odrobinie szczęścia i cierpliwości uda mu się dostać do zawiasów, dłubiąc w starej zaprawie nożem.

Właśnie miał wyciągnąć ostrze ze skórzanej pochwy, kiedy odezwał się dźwięk kryształu kontaktowego. Ledwie zdążył włożyć rękę do kieszeni i chwycić pewnie w dłoń magiczny kamień, usłyszał dźwięczny głos królowej:

- Gildorfie, jesteś tam?
- Jestem, moja pani. – Szpieg był zaskoczony, że Virejna kontaktuje się z nim w ten sposób.
- Wiem, że mieliśmy nie rozmawiać ze sobą... ale sytuacja mnie do tego zmusza.
- Słucham, pani. – Mężczyzna czekał zaintrygowany, co królowa ma mu do powiedzenia. – Wydarzyło się coś?
- Olaf wydał rano rozkaz... Kazał twojej żonie i Jarellowi opuścić klasztor i udać się na rekonesans w obręb czerwonej łuny.
- Rekonesans? – zdumiał się szpieg.
- Podobno zgubili kapłana. To sprawiło, że mój mąż wpadł w szał i nakazał im gromadzić informacje o wrogu, dopóki... – Głos królowej się załamał.
- Dopóki co?
- ...dopóki nie zostaną wykryci i zgładzeni – dokończyła z bólem w głosie. – Gildorfie, tak mi przykro, nie wiem, co mogłabym...
- Adriela i Jarell wyruszyli zatem w głąb krwawej łuny szpiegować wroga na polecenie króla – podsumował mężczyzna, starając się na zimno, bez emocji, połączyć fakty i obmyślić dalszy plan działania.
- Zgadza się – przyznała smutno królowa.
- Dziękuję ci, pani, że mnie powiadomiłaś o decyzji swojego męża, a mojego króla, która z pewnością sprawi, że poniesie jej konsekwencje. – Szpieg nie krył mściwego tonu głosu. – Jestem pewien, że zarówno moja żona, jak i Jarell poradzą sobie doskonale z tym wyzwaniem. Nie widzę powodu do niepokoju.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz...

– Zachowaj spokój, o pani. Z pewnością już niedługo zakończymy ten nedorzeczny kryzys i ponownie będziemy mogli skupić się na rzeczach najważniejszych: odnalezieniu twoich rodziców. Niezależnie od tego, co będzie się dalej działo, nie możemy kontaktować się ze sobą. Ryzyko jest zbyt wielkie. Gdybyśmy zostali zdemaskowani, życie każdego zamieszanego w tę sprawę byłoby zagrożone.

– Ty jesteś tutaj szpiegiem – zakończyła Virejna i posłusznie zerwała połączenie.

Gildorf schował kryształ i przez moment rozmyślał w bezruchu, jak dalej rozegrać karty, które otrzymał. Następnie dobył noża i ostrożnie, aby nie połamać głowni, zabrał się za dłubanie w ceglany murze.

Trudno było mu stwierdzić, po jakim czasie – może po godzinie, a może po dwóch – dogrzebał się do wmurowanych zawiasów i obluzował je na tyle, że był w stanie wyłamać oba i przecisnąć się przez szparę powstałą między drzwiami a rozoranym przez niego murem. Musiał teraz jak najszybciej opuścić klasztor i ruszyć za Adriela, choć bardzo go kusiło, aby odnaleźć parę mnichów i dowiedzieć się, jakie motywy nimi kierowały bądź na czyje polecenie go uwięzili. Sprawa była nad wyraz zagadkowa, tym bardziej że ich twarze wydały mu się znajome...

Szpieg stanął nagle jak wryty. Właśnie sobie uświadomił, kogo mu przypominała para mnichów. Prawdopodobieństwo tego spotkania było tak małe, że musiał ich odnaleźć i upewnić się, zanim wyruszy za swoją żoną. Drugiej szansy mógł już nie mieć.

Wydostał się w końcu z podziemi do wirydarza, gdzie rano napotkał tajemniczą dwójkę, jednak nie było tam żywego ducha. Ostatnie promienie słońca tańczyły na wodzie spływającej po niedużej fontannie, co zasugerowało mężczyźnie, że prawdopodobnie wszyscy mnisi zgromadzili się przy wspólnym posiłku.

Chwilę później był już w refektarzu, budząc ciekawość i zmieszanie zaskoczonych mnichów. Natychmiast podszedł do niego odźwierny, starając się dowiedzieć, kim jest i w jaki sposób dostał się do środka. Gildorf jednak przypatrywał się mnichom przy stole, starając się odnaleźć znajome twarze. Zamiast tego udało mu się jedynie wychwycić dwa opuszczone miejsca na ławie, niedaleko szczytu stołu. Nie zwracając zupełnie uwagi na potok słów wylewających się z ust mężczyzny, złapał go zdecydowanym ruchem za habit i wskazawszy palcem na lukę między jego braćmi, zapytał, gdzie znajdzie brakującą parę. Mnich uparcie powtarzał, że nieznajomy ma opuścić ich zgromadzenie, lecz słowa nie odnosiły żadnego skutku. Szpieg, coraz bardziej sfrustrowany, chwycił odźwiernego mocniej i przybliżywszy go do swojej twarzy, powtórzył powoli pytanie. Ledwie zdążył to zrobić, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obrócił się i dostrzegł za sobą wyjątkowo paskudną twarz poprzecinaną licznymi bliznami.

– Zaprowadzę cię – odezwał się szpetny mnich w białym habicie.

Gildorf puścił upartego odźwiernego i bez słowa ruszył za opatem klasztoru.

– Dlaczego poszukujesz tych ludzi? – zapytał Littar, wiodąc szpiega schodami na górę.

– Nie mam złych zamiarów – zapewnił Gildorf. – Muszę tylko czegoś się od nich dowiedzieć.

– To może tylko przypadek, ale niedawno gościliśmy trójkę wędrowców. Dwójka opuściła nasze mury bez słowa, trzeci z nieznajomych zaś rozpląnął się w powietrzu. Nie masz przypadkiem czegoś wspólnego z tymi wydarzeniami?

– Jeszcze na początku dnia starałem się dowiedzieć, dlaczego przybyli tutaj we trójkę, a wyszli tylko we dwoje, ale teraz jest to zupełnie nieistotne – zapewnił Gildorf.

Opat klasztoru nie drażył więcej tematu. Powiodł mężczyznę korytarzami, aż dotarli do mało uczęszczanej części mieszkalnej, gdzie wskazał mu drzwi prowadzące do jednej z kwater.

– Musisz mi przyrzec, że nie uczynisz mojemu bratu i mojej siostrze nic złego. – Littar przeszył świdrującym spojrzeniem oczy szpiega.

– Chcę tylko z nimi porozmawiać – zapewnił Gildorf, a na dowód prawdomówności wyjął nóż i wręczył go opatowi. Mężczyzna w habicie bez zastanowienia wsunął ostrze z powrotem do pochwy przy pasie mężczyzny.

– To nie będzie konieczne – zapewnił. – Wierzę twoim słowom. – Littar odwrócił się i zniknął na końcu korytarza.

Spieg, nieco zdumiony, podszedł cicho do drzwi wskazanych mu przez opata i przystawił ucho do desek. Głosy, które usłyszał, wskazywały, że para mnichów znajduje się w środku. Nacisnął klamkę i pewnym krokiem wszedł do kwatery.

Chyba jeszcze nigdy nie widział u nikogo tak zaskoczonego wyrazu twarzy. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta byli zajęci pakowaniem rzeczy do przepastnych plecaków. Stali oniemiałi nad łóżkiem zasłanym ubraniami, z twarzami pełnymi zdumienia i grozy. Gildorf wykorzystał ten moment, aby lepiej im się przyjrzeć, i już po chwili miał pewność co do ich tożsamości.

– Nie zabijaj nas – wychrypiąła przerażona kobieta.

– Damy ci pieniądze, ziemię... Co tylko zechcesz – zapewnił mężczyzna, starając się zasłonić kobietę własnym ciałem. – Powiedz, że nas nie znalazłeś.

– Gdybym tak uczynił – odparł spieg, z namaszczeniem ryglując drzwi od wewnątrz – złamałbym serce waszej córce.

Przerażona para wciąż stała jak wryta, najwyraźniej nie pojmując słów, które usłyszała.

– Virejna poszukuje was od chwili, kiedy postanowiliście uciec ze swojego królestwa. Jest moją władczynią i przyrzekłem jej, że was odnajdę. Całych i zdrowych – dodał na koniec, widząc wciąż niepewne miny swoich rozmówców.

– Nie zabijesz nas? – wykrztusił ojciec Virejny, nie dowierzając w to, co słyszy.

– Zapewniam, że pod moją opieką będziecie bezpieczni. Wasza córka nie mogła przemówić do rozsądku swojemu mężowi, królowi Olofowi. Zdradził was. Pojął Virejnę za żonę, nie oferując w zamian pomocy, której od niego oczekiwaliście. Kiedy stało się to dla niej jasne, starała się pomóc wam na własną rękę, jednak zdążyliście już zniknąć.

– Nasza córka naprawdę jest twoją królową! – Kobieta nabrała pewności, że ma do czynienia z kimś, kto rzeczywiście zna Virejnę. – Czy dobrze jej się wiedzie?

– Przede wszystkim zamartwia się o was. Nie macie nawet pojęcia, ile szczęścia mieliśmy, wpadając na siebie. Jestem królewskim szpiegiem, posiadam kontakty w niemal każdym rejonie naszego kontynentu, jestem na bieżąco ze wszystkimi wydarzeniami, a mimo to nigdy by mi do głowy nie przyszło, aby was tutaj szukać. Winszuję kryjówki. – Pochwalił królewską parę.

– Czy to oznacza, że możemy już przestać się ukrywać? – ojciec Virejny był pełen nadziei.

– Niezupełnie. To, że znalazłem się w tym klasztorze, wiąże się z zupełnie inną historią, najpierw więc muszę zakończyć zadanie, którego się podjąłem. Kiedy skończę, odeskortuję was do Sobleva, gdzie spotkacie się ze swoją córką. Do tego czasu musicie jednak pozostać tutaj. Nie wychylajcie się i grajcie swoją rolę jak dotychczas. Nie podejmujcie żadnych podejrzanych działań, musicie pozostać niezauważeni w tłumie.

– Ile mamy na ciebie czekać? – Głos kobiety był pełen rozczarowania.

– Nie jestem pewien... Jeżeli wszystko pójdzie gładko, to kilka dni. Dajcie mi jednak dwa tygodnie. Po tym czasie upewnijcie się, że niebo pozostaje błękitne, i starajcie się przedostać na własną rękę do Sobleva. To tyle, muszę już ruszać. – Gildorf skłonił się dwornie, po czym opuścił kwaterę pary królewskiej i ruszył na dół śladami swojej żony.

Poza rozświetlonym na czerwono niebem Wrecedarm widział niewiele. Zdążył już zapaść zmrok, a kapłan wciąż nie dotarł do granicy krwawej łuny. Prawdę powiedziawszy, nie wiedział nawet, czy rzeczywiście podąża śladami swoich towarzyszy. Założył, że obrali najkrótszą drogę prowadzącą na obszary wroga, również więc sobie taką trasę wyznaczył. Przespanie niemal całego dnia dało mu siły potrzebne w trakcie tej wędrówki. Nie był znużony drogą, raczej podekscytowany podróżą w nieznanne. Czuł się wspaniale, jak nowo narodzony, kiedy podjąwszy słuszną decyzję, ruszył wbrew swoim lękom na pomoc towarzyszom. Tak z pewnością czuli się bohaterowie powieści, którzy podejmowali brawurowe decyzje, nie zważając na swój komfort czy własne bezpieczeństwo.

Gideon był przepełniony energią i siłą, jakich nie doświadczył od kilkunastu lat. Nie było w tym jednak nic dziwnego, stawał bowiem właśnie czoła swojemu przeznaczeniu, które, jakkolwiek było, sam wymyślił.

Prawda, która w końcu do niego dotarła, była taka, że przez tych kilka dni, które spędził z piękną czarodziejką i ze szlachetnym rycerzem, zdołał nawiązać z nimi relację bliższą niż z kimkolwiek z Rogowa Górnego. Żałował, że postąpił tak nieczysto i wpędził w niemałe tarapaty swoich towarzyszy. Gdyby mógł cofnąć czas, przyznałby się do wszystkiego po walce z Visusem, choć wtedy zapewne nigdy by się nie podjął ratowania kogokolwiek.

Kiedy kapłan zaczął potykać się na nierównym terenie, wydobyl z plecaka gogle i założył je na głowę. Po minucie usłyszał przeciągły, dziwny dźwięk przecinający niebo. Spojrzał w górę i dostrzegł wielki czarny kształt, który spadał prosto na niego. Od razu przypomniał sobie, jak Jarell opowiadał im o czarnoskrzydłych atakujących nocą. Rzucił się w bok na sekundę przed atakiem masywnego stwora. Ptako-gad nie zdążył już wyhamować i z łoskotem uderzył w ziemię. Gideon natychmiast poderwał się na równe nogi, dobywając sztyletu i kierując ostrze w stronę zagrożenia. Czarnoskrzydły podźwignął się ciężko i załopotał czarnymi jak smoła skrzydłami, starając się wzbic ponownie w powietrze, jednak bezskutecznie. Kapłan zauważył, że jedno ze skrzydeł sterczało pod nienaturalnym kątem. Ptako-gad wydał z siebie przeciągły skrzek, po czym ruszył hardo na niedoszłą ofiarę. Poruszał się bardzo niezgrabnie. Wrecedarm więc, niewiele myśląc, pochwycił bagaż i rzucił się pędem do ucieczki. Nie minęło parę sekund, gdy ponownie usłyszał charakterystyczny furkot skrzydeł. Pomyślał, że kolejny czarny stwór upatrzył go sobie na kolację, jednak nie on okazał się celem. Skrzeki czarnoskrzydłego podążającego śladem kapłana urwały się nagle, kiedy został ogłuszony przez innego przedstawiciela swojego paskudnego gatunku.

Wrecedarm nie przestawał jednak biec. Mknął jak górską kozica, przeskakując nad skałkami, omijając dziury i zagłębienia. Adrenalina buzująca w jego żyłach gnała go coraz szybciej, aż w pewnym momencie stanął jak wryty. Cały świat, który go otaczał, nabrał odcienia czerwieni, widocznego nawet przez gogle, które nosił. Zdjął je prędko i zdał sobie sprawę, że właśnie przekroczył granicę krwawej łuny. Kiedy spojrział w górę, przeszył go dreszcz grozy, a gęsia skórka zjeżyła włosy na karku. Niebo falowało nad nim niczym niespokojne morze krwi przelewające się z jednej strony nieboskłonu na drugą. Było jak bulgocząca krwawa zupa. Pod kapłanem ugięły się kolana, kiedy na własne oczy zobaczył to, przed czym przestrzegał swoich wiernych, jednak w tym wypadku to nie były kłamstwa i mactwa, lecz rzeczywistość.

Zamęt, który powstał w jego głowie, skutecznie wyprowadził go z równowagi. Nie był już w stanie rozsądzić, co jest jego wymysłem, a co dzieje się naprawdę. Zaczął nawet rozważać możliwość, że rzeczywiście jest jedynym człowiekiem, który może zaradzić temu zagrożeniu.

Minęło trochę czasu, nim przypomniał sobie, w jakim celu się tutaj znalazł. Musiał powstrzymać nawałnicę myśli, która wirowała mu w głowie niczym wściekłe tornado, i skupić się na tym, co obecnie było dla niego najważniejsze – na przyjaciółach, którzy potrzebowali jego pomocy. Odzyskał w końcu władzę nad swoimi nogami i w tym samym czasie zdał sobie sprawę, że znalazł się na terytorium wroga. Odruchowo przykucnął, chowając się niemal cały w wysokiej trawie, i zacisnął mocniej dłoń na sztylecie. Rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu niebezpieczeństwa, jego nogi w każdej chwili były gotowe do ucieczki, ręce czekały na okazję, aby zrobić użytek z broni, serce zaś przepełnione było paniką, spętana przez wyostrome zmysły. Wrecedarm przez krótką chwilę czuł się jak dziki zwierz, który wyszedł z ciepłej i bezpiecznej nory na nocny żer. Świat, w którym się nagle znalazł, w niczym nie przypominał tego, który znał. Był wrogi do granic możliwości i nie czuć było w nim życia.

Podświadomie Gideon żałował, że nie wyruszył w przeciwnym kierunku. Świadomie zaś wiedział, że musi przeć naprzód, niezależnie od zdrowego rozsądku, który teraz krzyczał jak opętany. Tak, musiał ruszać, ale dokąd? Rozejrzał się bacznie jeszcze raz. Dostrzegł na horyzoncie ciemny kształt dużego zagajnika. Będzie czuł się bezpieczniej, kiedy opuści otwartą przestrzeń i schroni się między pniami drzew. Tam zastanowi się, co ma czynić dalej.

Kapłan powoli położył się w gęstej, wysokiej trawie i zaczął przemieszczać się w stronę oddalonych o kilkaset metrów drzew. Przedsięwzięcie było żmudne i kłopotliwe, gdyż Gideon, czołgając się, trafiał co rusz na wystające z ziemi kamienie, jednak dużo bezpieczniejsze niż maszerowanie na widoku. Nie miał przecież pewności, że nie był dotąd obserwowany, a w tak wysokiej trawie mógł swobodnie przemieszczać się niezauważony, choć sam również

wiele nie widział przed sobą. Raz na kilka minut wystawiał ostrożnie głowę ponad morze traw, aby rozeznąć się w swoim położeniu, po czym ponownie przywierał do zimnej ziemi.

Po prawie dwóch godzinach czołgania się w gąszczu Wrecedarm odczuwał zmęczenie. Jego ubranie było brudne od ziemi i trawy, jak gdyby nie prał go od miesiąca. Na kolanach powycierał materiał niemal na wylot, a całe ciało wołało, aby przestał w końcu znęcać się nad nim i odpoczął. Mężczyzna nie miał jednak ani chwili do stracenia i dalej parł przed siebie, aż w końcu dotarł do pierwszych zarośli zagajnika. Nie bez obaw wczołgał się w gęsty krzak jeżyn, a kiedy nabrał pewności, że otaczająca go szata roślinna jest wystarczająco gęsta, aby zamaskować jego obecność, podniósł się z trudem z ziemi, żeby rozprostować zdrętwiałe kończyny.

Wkoło panowała nienaturalna cisza, która od razu zaniepokoiła kapłana. Nie było słycać żadnych ptaków, zwierząt żerujących o tej porze czy nawet szumu drzew na wietrze. Gideon rozejrzał się zaniepokojony i niemal natychmiast przywarł z powrotem do ziemi. Przez gąszcz drzew przebijało światło płomienia ogniska, oddalonego o dwa, może trzy rzuty kamieniem od niego. Kto je rozpałił? Wróg czy może jego towarzysze? Niestety, musiał to sprawdzić.

Wrecedarm ostrożnie ruszył w stronę słabego blasku płomienia w oddali. Przemykał od drzewa do drzewa, skrywając się za pniami niczym leśny elf. Nie mógł, niestety, obrać najkrótszej drogi. Musiał kluczyć tak, aby robić jak najmniej hałasu, co nie było łatwe, gdyż wszędzie zalegały uschnięte, połamane wiatrem gałęzie. Serce waliło mu jak młot w kuźni, a żyły, pełne buzującej w nich adrenaliny, tętniły pod skórą tak głośno, że zdawało mu się, że zaraz ktoś to usłyszy. Nigdy w życiu nie robił niczego podobnego, a doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej się znalazł. Jeśli przed nim znajdował się obóz jego przyjaciół, będzie musiał podejść jak najciszej, aby Adriela nie upiekła go żywcem w odruchu obrony. Jeśli zaś miał do czynienia z obozem wroga, nie mógł dać się wykryć i schwytać, gdyż z pewnością zostałyby zabity. Powinien jak najwięcej zaobserwować i zapamiętać, aby przekazać informacje czarodziejce i rycerzowi, kiedy już ich spotka.

Gideon posuwał się wciąż naprzód, wiedziony bardziej poczuciem obowiązku niż ciekawością czy szczerą chęcią. Blask przeświecający przez gałęzie drzew i krzewów rósł z każdym kolejnym, przemyślnie stawianym krokiem, aż w końcu ukazał mu się w pełnej krasie między dwoma pniami wysokich brzoź. Wrecedarm znalazł się na granicy obszernej polany, na której zostało rozpalone ognisko. Wkoło, w niewielkich odległościach, rozbitych było kilka namiotów wojskowych. Dostrzegł również coś, co zmroziło mu krew w żyłach i potwierdziło najgorsze obawy. Po lewej stronie polany stał nieduży oddział trupów. Żywych trupów w przeróżnym stadium rozkładu. Na szczęście dla kapłana większa część oddziału kryła się poza blaskiem ognia, jednak Gideon i tak zdołał dostrzec puste oczodoły łysych czaszek, odbijających blask płomieni niczym wypolerowane hełmy, zwisające spod poszarpanych ubiorów resztki skóry i mięśni, a także część przegnitych organów wewnętrznych, ciągnących się po ziemi za niektórymi z żołnierzy.

Upiorny oddział stał w bezruchu, wpatrzony w nicość, jakby czekając na dalsze rozkazy. Pod względem uzbrojenia przypominał raczej bandę najemników, gdyż każdy dzierżył inny rodzaj mniej lub bardziej skorodowanej broni i tylko nieliczni odziani byli w przegniłe pancerze. Gdyby nie stali w formacji i nie wpatrywali się razem w bliżej nieokreśloną przestrzeń swoim pozbawionym wyrazu spojrzeniem, w niczym nie przypominaliby regularnego wojska, którym niechybnie byli. To właśnie to nieobecne spojrzenie najbardziej przerażało Gideona. Jeśli rzeczywiście były zwierciadłem duszy, to każda z tych istot była jej pozbawiona.

Wrecedarm cały zeszytywniał – oto przed nim po raz kolejny dopełniła się fałszywa przepowiednia. Oddziały nieumarłych pod kopułą krwawego nieba szykowały się do zaatakowania Królestwa Anfer. Jaka w tym wszystkim była zatem jego rola? Właśnie, jego rola... Kapłan otrząsnął się z szoku i uspokoił skołataną nerwy. Musiał dowiedzieć się jak najwięcej o szykującej się inwazji, nie mógł sobie teraz pozwolić na żadną słabość. Rozejrzał się jeszcze raz po obozie i dostrzegł w półmroku na tyłach oddziału nieumarłych dwa namioty rozbite na uboczu. Stały u podnóża drewnianej niedokończonej konstrukcji, czegoś, co skojarzyło się kapłanowi z wieżą oblężniczą. Przed wejściem do namiotów pełnili wartę strażnicy, jednak gdyby zdołał przekraść się niepostrzeżenie na tyły, mógłby przy odrobinie szczęścia spenetrować wnętrze, nie wszczynając żadnego alarmu.

Poprawił gogle na twarzy i ruszył brzegiem zagajnika, okrążając polanę z obozowiskiem. Kiedy znalazł się już za oddziałem wroga, na tyłach drewnianej wieży i poza blaskiem ognia, odważył się na opuszczenie gąszczu i postawienie stóp na otwartej przestrzeni polany. Bacznie obserwując nieumarłych pilnujących wejść do namiotów, przekradł się pod niedokończoną drewnianą konstrukcją. Wszystko szło jak z płatka do momentu, kiedy Gideon potknął się i runął jak długi w trawę. Zamarł w bezruchu, spodziewając się w każdej chwili reakcji ze strony wartowników, ale nic takiego nie nastąpiło. Zdumiony, spojrzął w stronę obozu, aby się upewnić, że rzeczywiście nie wzbudził żadnej sensacji. Następnie bardzo powoli zaczął się podnosić, lecz ponownie zahaczył o coś nogą. Przeszkoda, która go powaliła i nie chciała puścić, okazała się jednym z dwóch plecaków porzuconych w trawie. Ten konkretny należał, zdaje się, do Adrieli.

W pierwszej chwili Gideona ogarnęła euforia, że ich znalazł, jednak szybko sobie przypomniał, gdzie się znajduje, i uczucie szczęścia zostało wyparte przez niepokój i strach. Wyglądało na to, że jego towarzysze zostali pojmani albo nawet zabici... Czy to możliwe, że się spóźnił? A może zostali zaskoczeni przez wroga i nie dbając o ekwipunek, najzwyczajniej uciekli? Kolejne warianty wydarzeń kłębiły się w umyśle kapłana, napełniając go coraz silniejszym niepokojem i zwątpieniem. Prawdę powiedziawszy, nie brał pod uwagę, że czarodziejka i paladyn mogli zostać zgładzeni, a przecież powinien. Nie mógł pokładać całej nadziei w domyśle, że żyją, tym bardziej teraz, kiedy pojawiły się przesłanki sugerujące, że nie udało im się ująć z życiem. Ponownie uświadomił sobie, że nie może pozwolić dojść do głosu żadnej słabości. Jeżeli jego towarzysze polegli, tylko on jest w stanie przekazać stolicy jakiegokolwiek informacje o wrogu. Musiał działać dalej ze zdwojoną ostrożnością. Jeśli naprawdę się okaże, że jego towarzysze zostali zabici – Wrecedarm zacisnął mocniej dłoń na rękocyfku sztyletu – dołoży wszelkich starań, aby ich pomścić.

Z tą myślą ruszył dalej w stronę najbliższego namiotu. Obszedł go ostrożnie i zatrzymał się za tylną ścianą z grubego płótna. Przyłożył do materiału ucho, nasłuchując, czy w środku ktoś jest, jednak nic nie usłyszał. Wyglądało na to, że wewnątrz było puste. Naciął niewielki otwór w materiale i zerknął do środka. Na jego szczęście panował tam mrok. Kapłan, zachęcony takim stanem rzeczy, ostrożnie powiększył rozcięcie w płótnie do rozmiarów niedużego wejścia, po czym zwinnie wślizgnął się do środka. Ledwie to zrobił, serce przepełniła mu szczerą radość, gdyż jego oczom ukazali się poszukiwani przez niego towarzysze. Siedzieli oparci plecami i przywiązani grubą liną do centralnego masztu namiotu. Głowy mieli spuszczone. Gideon dopiero po chwili zauważył potężnego siniaka na pięknej twarzy czarodziejki i broczące krwią ramię rycerza. Po raz kolejny przyszło kapłanowi uwolnić towarzyszy z niewoli. Obudził ich subtelnie, aby nie narobili niepotrzebnego krzyku, po czym przeciął sztyletem krepujące ich więzy i pomógł im podźwignąć się na nogi. Wyglądali na osłabionych, choć jego obecność zdecydowanie dodała im energii. Kapłan poprowadził ich ostrożnie przez wycięty otwór w namiocie i powiódł cichcem w stronę zagajnika, zgarniając po drodze ich bagaże. Kiedy znaleźli się wystarczająco daleko od obozu, mogli nareszcie trochę się rozluźnić i nawiązać rozmowę.

– Gdzieś ty się podziewał? – zapytała niemal histerycznie kobieta. – Dlaczego uciekłeś?

– Adrielo! – Paladyn położył łagodnie dłoń na jej ramieniu. – Drugi raz zostaliśmy uratowani przez Gideona, podejrzewam więc, że to jego bóg go prowadzi. Chciałbym posiadać taką opiekę wyższych sił jak ty, kapłanie – zwrócił się do Wrecedarma. – Gdyby nie uciekł, cała nasza trójka zostałaby pojmana i nie byłoby już dla nas nadziei – wyjaśnił czarodziejce.

Kapłan kiwnął odruchowo głową, potwierdzając tym samym wersję, którą przedstawił Jarell, jednak niemal natychmiast ogarnęło go dojmujące poczucie winy.

– To niezupełnie tak... – Gideon nie mógł już dłużej ciągnąć kłamstw i oszustw. Przyszedł czas na prawdę. – Muszę przyznać się wam do czegoś – oświadczył przygnębionym głosem. – Nie jestem żadnym kapłanem. Jestem oszustem. Wymyśliłem Wrecedarma Gideona, aby zdobyć uznanie i szacunek mieszkańców Rogowa Górnego. – Dostrzegł zmieszanie czarodziejki, więc kontynuował. – Wychowałem się w biedzie i stosunkowo szybko zostałem sierotą bez środków do życia. Chcąc nie chcąc, zostałem włóczęgą podróżującym od miasta do miasta, poszukującym sensu w moim marnym życiu. Pewnego razu, oglądając przedstawienie wędrownego trupy aktorskiej, wpadłem na pomysł, jak mógłbym ułożyć sobie życie. Wymyśliłem własnego boga i religię, prędko się jednak okazało, że to za

mało. Potrzebne było jeszcze zagrożenie wiszące wiecznie nad głowami wiernych, a ja miałem być ich jedynym wybawcą. – Zerknął na ściągnięte brwi paladyna i westchnął. – Sztuczka się udała. Zmanipulowałem najbardziej wpływowych mieszkańców Rogowa Górnego i sprawiłem, że uwierzyli w wymyśloną przeze mnie przepowiednię. Zdobyłem szacunek, uznanie, wpływy i pieniądze. Byłem kimś, miałem zapewniony byt i ludzi, którzy o mnie dbali. – Spuścił pokornie głowę. – Nigdy w życiu bym nie przypuszczał, że wszystko rozwinie się w tym kierunku... Że moja przepowiednia okaże się prawdą.

– Zaraz, zaraz... – Adriela próbowała usystematyzować natłok nowych informacji. – Chcesz powiedzieć, że jesteś oszustem? Nigdy nie byłeś kapłanem, a cała ta przepowiednia to jedna wielka bujda?

– Zgadza się – przyznał skruszony Wrecedarm, podnosząc wzrok na czarodziejkę. – Nie miałem już sił, aby dłużej to ciągnąć, po tym jak król posłał was tutaj na śmierć.

– Skąd o tym wiesz? – zdumiała się kobieta. – Coś kręcisz... Nie było cię przy naszej rozmowie – stwierdziła zmieszana.

– Byłem. – Kapłan westchnął ciężko. – Schowałem się w kanale grzewczym w podłodze, bo chciałem, abyście pomyśleli, że uciekłem. Wtedy byłbym w końcu wolny od tego wszystkiego... – Spojrzał na wciąż nieufne twarze swoich towarzyszy. – Musicie mi uwierzyć. Wszystko, czym was dotąd karmiłem, było jednym wielkim kłamstwem.

– Teraz więc mamy ci uwierzyć? – prychnęła czarodziejka. – W co ty pogrywasz, klecho?!

– Nie nazywaj mnie tak – Gideon z uporem obstawał przy swoim.

– Och, przepraszam... – Adriela uniosła ręce w geście obronnym. – To jak mam do ciebie mówić? Fałszywy klecho? Kłamco? Krętaczu? Tchórze?

– Nazywam się Rigast Toscmere – wyjaśnił ponurym głosem.

– Miło mi – zakpiła Adriela, wyciągając do niego rękę. – No więc, Rigastie Toscmere, fałszywy klecho, krętaczu, kłamco i tchórze, co według ciebie powinniśmy teraz z tobą zrobić? Zabić? Pojmać i zaprowadzić przed oblicze króla? A może...

– Dość! – przerwał jej paladyn, po czym pełnym bólu wzrokiem spojrzął kapłanowi w oczy. – Wierzyłem w ciebie – wyznał krótko. – Byłeś dla mnie jedyną nadzieją na zażegnanie tego kryzysu. Jak mogłeś tak nas wykorzystać? – zapytał niemal łamiącym się głosem.

– Nie miałem wyboru. Zapędziłem się w kozi róg, rozmawiając z królem, i musiałem podążać dalej szlakiem swoich kłamstw, aby nie domyślił się prawdy, lub stawić czoła jego gniewowi i w najlepszym wypadku wylądować w lochu. Byłem tchórzem – wyznał gorzko. – Znajomość z wami wyciągnęła ze mnie wszystko to, co przez całe życie skrupulatnie spychałem w otchłań zapomnienia: odwagę, odpowiedzialność i prawdę. Wyruszyłem za wami z klasztoru, aby wam pomóc. Nie chcę już dłużej łąć i oszukiwać samego siebie. Chcę na nowo zbudować wasze zaufanie, dlatego wyznałem wam prawdę. Zasługujecie na nią.

– Szkoda, że ty na nic nie zasługujesz – skwitowała czarodziejka.

– Adrielo, bądź co bądź ten człowiek ponownie uratował nas z opresji – upomniał ją rycerz.

– Jarellu – odparła nonszalancko. – Nie zapominaj, że gdyby nie on, nie wpadlibyśmy w żadne tarapaty, bo nie wyruszylibyśmy na tę bezsensowną misję – zakończyła gorzko.

– Słuszna uwaga – przyznał wojownik.

– Wolelibyście, abym nadal was okłamywał? – zapytał zbity z tropu Rigast. – Nawet nie wiecie, jak mi lekko po wyznaniu wam prawdy. Czuję się, jakbym zrzucił niesamowity ciężar z ramion... Nie oczekuję od was wdzięczności, ale zrozumienia. Popełniłem błąd... Duży błąd. Jestem jednak gotów teraz ponieść konsekwencje, jakie ze sobą niesie. Wam pozostawiam decyzję, co dalej ze mną zrobicie – oświadczył odważnie.

Jego przemowa, choć szczerza i płomienna, nie poruszyła serc zdradzonych towarzyszy. Tłumaczył to sobie ich zmieszaniem i pełną nieufnością w stosunku do niego. Nie byli w stanie ustalić, co jest kłamstwem, a co prawdą. Powiedział im przecież, że zmyślił całą przepowiednię, a oto stali w obrębie krwawej łuny, tuż obok obozu pełnego martwych żołnierzy. Byli świadkami rzeczywistych zdarzeń, które według niego miały być tylko fantazją.

Nie mógł ich winić za taką reakcję.

– Zanim zdecydujemy, co z tobą począć, musimy odzyskać nasz ekwipunek – oświadczył Jarell.
– Zabrałem wasze plecaki – Rigast wskazał bagaże leżące w trawie.
– Bez nich możemy się obejść – oświadczyła sucho czarodziejka.
– Odebrali mi mój buzdycan i pierścienie Adrieli – wyjaśnił rycerz. – Bez tego jesteśmy bezbronni.
– Mogę je odzyskać – oświadczył szybko kapłan.
– Tak, na pewno – parsknęła czarodziejka. – Znikniesz w mroku i tyle będziemy cię widzieli, jak zwykle.
– Nie można ci ufać – paladyn przyznał rację towarzysze.
– Już drugi raz oswobodziłem was z niewoli, nie mówcie mi więc o zaufaniu. Przez całe swoje życie nie byłem z nikim w takim stopniu szczery, jak z wami teraz. Czy wam się to podoba, czy nie, odzyskam wasz ekwipunek i wrócę do was, abyście mogli podjąć decyzję, co dalej ze mną zrobić.

Nie czekając na ripostę, Rigast okręcił się na pięcie i ruszył przez gąszcz zarośli w stronę polany zajętej przez wroga. Pokonał niemal tę samą drogę i zatrzymał się tym razem na tyłach drugiego namiotu. Jego działania przebiegały tak samo jak wcześniej, a jedyna różnica polegała na tym, że puste wnętrza namiotu oświetlały dwie duże lampy. Wzdłuż ścian były poustawiane skrzynie, kufry, beczki, a nawet jutowe worki. Pośrodku zaś stały dwa zbite napręde stoły.

Tosmer nie planował tracić czasu, od razu więc zabrał się za przeszukiwanie wszelkich zakamarków. Musiał działać bardzo ostrożnie, gdyż od dwóch nieumarłych wartowników z ciężkimi mieczami oburęcznymi oddzielała go tylko płócienna ściana namiotu. Nie było miejsca na najmniejszy błąd, na najcichszy szmer, który mógłby zdradzić jego obecność.

Rigast rozpoczął poszukiwania od miejsc najbardziej oczywistych i już po kilku minutach znalazł buzdycan rycerza, upchnięty w kąt między dwiema drewnianymi skrzynkami. Zabrał się więc natychmiast za poszukiwanie pierścieni i równie szybko dostrzegł je, leżące jak gdyby nigdy nic na jednym ze stołów. Gdy zgarniał je ręką do kieszeni, coś przykuło jego uwagę. Na blacie leżała rozpostarta mapa, na której jeszcze przed chwilą spoczywała magiczna biżuteria czarodziejki. Mapa była bardzo podobna do tej, którą posiadali jego towarzysze, jednak dostrzegł pewne istotne różnice. Ktoś naniósł na nią punkty okolone nachodzącymi na siebie okręgami. Wyglądało to jak osobliwy szlak, prowadzący z Jałowej Rozpadliny przez lokalizację obozu, w którym się znajdował, aż do Kastengravu, gdzie z kolei rozwidła się na dwa oddzielne fronty. Jeden prowadził na zachód, przez Soblevo do Fajilinu, drugi zaś biegł na południowy zachód i kończył się na... Rogowie Górnym.

Rigast ponownie nie dowierzał własnym oczom. Jakie mogło być prawdopodobieństwo, że wrogie wojska będą zmierzać prosto do jego miasta?

Zaraz... Przecież właśnie miał przed sobą mapę inwazji. Bez namysłu zwinął ją w rulon i... Nie, przecież nie mógł jej zabrać. Gdyby wróg odkrył, że weszli w posiadanie mapy, natychmiast zmieniłyby swoje zamiary, a wtedy straciliby przewagę. Odłożył arkusz na miejsce i jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzał. Szlak wiodł z Jałowej Rozpadliny, jednak czym były punkty okolone okręgami? Obozami wroga? Punktami zaopatrzenia? Nagle jego wzrok przykuł fragment pergaminu wystający spod mapy. Wyciągnął go na wierzch i jego oczom ukazał się schemat drewnianej konstrukcji przypominającej wieżę obłężniczą. Ze szczytu wieży wydostawał się wysoki promień, który następnie rozszczepiał się w kopułę zakrywającą potężny obszar wkoło. A więc to te wieże znaczyły szlak martwej armii. Czyżby to one powodowały krwawą łunę nad ich głowami? Jaki mógł być tego cel? Promień, który wychodził ze szczytu wieży, został opisany na schemacie jako... życiodajna energia?

Nagle kapłan przypomniał sobie Visiusa i jego słowa. Wszystko zaczęło układać się w logiczny ciąg, który, jeżeli był słuszny, mógł doprowadzić do zguby Anferu. Musiał jak najszybciej przekazać wiadomość o swoim odkryciu Adrieli i Jarellowi.

Zastał towarzyszy mniej więcej w tym samym miejscu, w którym ich porzucił. Czarodziejka właśnie kończyła opatrywać ranę paladyna bandażami ze swojego plecaka. Rigast oddał im ich własność i w kilku słowach opowiedział, co zobaczył.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał rycerz.

– Ja właściwie też. – Czarodziejka zapinała ostatnie paski w plecaku. – Widziałeś mapę inwazji, a na niej wyznaczony ciąg tych konstrukcji. – Wskazała ręką niedokończoną wieżę na polanie.

– Zgadza się – potwierdził Toscmr. – Każda z tych wież jest przekaźnikiem życiodajnej energii, której źródło znajduje się gdzieś w Jałowej Rozpadlinie.

– Co to za energia? – Jarell nie bardzo się orientował, o czym mówi Toscmr.

– Nie wiem – przyznał kapłan. – Pamiętacie tamtego wampira? – zapytał po chwili milczenia. – Zdybałem go w jego norze pod tym wzniesieniem, z którego zbiegłem. To on opowiedział mi o tej energii. Żył pod ziemią, bo jej skupienie było tam wyjątkowo silne i zapewniało mu życie bez przymusu picia krwi. Ta energia, czymkolwiek jest, ożywia zmarłych. Z każdą kolejną wieżą martwe zastępy będą rosły.

– Dlaczego zatem krwawa łuna nie kończy się tutaj, gdzie jesteśmy, tylko ciągnie się dalej w stronę Kastengravu? – zapytała sceptycznie kobieta. – Nie jest nawet ukończona. – Ponownie wskazała ręką drewnianą konstrukcję.

– Ponieważ... – zaczął Rigast.

– Ta wieża nie jest ostatnia. – Jarell zaczął rozumieć. – To nie jest obóz, ale jakiś punkt zaopatrzenia. Co jakiś czas rozbijają obóz w zadrzewionym terenie, aby mieć dostęp do surowca. Ta polana musiała powstać stosunkowo niedawno.

– Jeżeli rzeczywiście jest tak, jak twierdzi ten fałszywy klecha łgarz, to wystarczy, że przerwiemy ciąg komunikacyjny tej energii, aby sabotować działania wroga – wymyśliła czarodziejka.

– Nie wiemy jednak, czy wróg nie jest przygotowany na taką ewentualność. – Toscmr podał w wątpliwość pomysł kobiety.

– Co przez to rozumiesz? – zainteresował się wojownik, poświęcając teraz całą swoją uwagę temu zagadnieniu.

– Nie wiemy, ile posiadają zapasowych wież, które mogą zastąpić te zniszczone. Zważcie, że tutaj konstrukcja jest niedokończona, a mimo to zastępy ożyły. Gdzieś muszą mieć ukrytą drugą wieżę. Jeżeli przypuścimy atak na jedną z nich, może się okazać, że nic nie osiągniemy. Stracimy tylko czas, ryzykując życiem, a na dodatek odkryjemy nasze najlepsze karty.

– To co według ciebie powinniśmy zrobić? Pewnie uciec? – zakpiła czarodziejka.

– Adrielo – wtrącił się Jarell – zachowaj swój jad na wroga.

Kobieta spojrzała urażona na swojego towarzysza, jednak posłusznie zamilkła.

– Uważam, że powinniśmy odciąć energię u jej źródła. To zniszczy cały łańcuch i obróci w proch każdego ożywienia. Za jednym uderzeniem pozbędziemy się całych zastępów.

Paladyn spojrzał na Adriele, a ona na niego. Oboje zastanawiali się, czy słowa człowieka, który tak ich potraktował, są coś warte. Plan, który im przedstawił, niewątpliwie miał sens. Jedynym słabym punktem był jego autor. Ani wojownikowi, ani czarodziejce nie uśmiechało się, aby brał z nimi udział w realizacji takiego przedsięwzięcia, jednak zostawienie go samopas było bardziej ryzykowne. Nie mieli wyboru, musieli zabrać go ze sobą i w pewnym stopniu mu zaufać, choć wiedzieli, że będzie to od nich wymagać wiele wysiłku.

– Ruszamy natychmiast – zarządziła Adriela. – Pamiętaj jednak – zwróciła się do Rigasta – jeden fałszywy ruch i z przyjemnością pozbawię cię twojego nędznego życia – obiecała, zakładając pierścienie z powrotem na palce.

Rozdział 15

NARADA WOJENNA

Kastengrav w rekordowo krótkim czasie zostało przygotowane do obrony przed armią nieumarłych. Wszystkie oddziały straży miejskiej zostały zmobilizowane, wyposażone w broń i poinstruowane przez Feriela, w jaki sposób mają ponownie uśmiercić nadciągających na nich ożywieńców. Rozdzielono zadania między dowódców oddziałów i po ścisłej konsultacji z wywiadowcą Faskir obsadził łucznikami oraz kusznikami mury miasta. Każdy zdrowy i w pełni sprawny mieszkaniec został natychmiast zatrudniony do barykadowania bram i ulic. Ferial nie zgodził się na ewakuację ludności cywilnej, gdyż zorganizowanie wszystkiego zajęłoby lwią część dnia, a nie mieli nawet minuty do stracenia. Poleciał kilku oddziałom, aby zgromadziły wszystkich bezbronnych mieszkańców w samym sercu miasta – na rynku, który zamieniono w punkt oporu. Każda ulica tam prowadząca została zabarykadowana w kilku miejscach, a przy barykadach oczekiwali uzbrojeni ochotnicy, którzy chcieli wziąć udział w obronie. Miasto nie dysponowało wieloma środkami militarnymi, ale Ferial i Faskir wykorzystali wszystko, co tylko mogli, aby zapewnić bezpieczeństwo i odpierać szturm tak długo, jak tylko będą w stanie. Kastengrav szykowało się do bitwy po raz pierwszy od setek lat.

– Powiadasz więc, że atak ma coś wspólnego z tą dziwną zorzą, którą obserwujemy od jakiegoś czasu? – Faskir starał się pojąć, z czym mają do czynienia.

– To nie zorza, to... – Ferial zamyślił się. – Nie wiem wprawdzie, co to, ale wiem, że przemieszcza się w naszym kierunku, a wraz z tym zdąża do nas armia ożywieńców – wyjaśnił.

– Jesteś pewien? – długowłose blond wojownik wciąż miał wątpliwości.

– Taką informację otrzymałem od mojego przełożonego, to zatem jedyne, na czym możemy się oprzeć. – Wywiadowca sam miał pewne wątpliwości. Nie mógł jednak okazywać ich otwarcie, aby nie siać zwątpienia wśród obrońców. – Gdy nadciągnie krwawe niebo, armia wroga będzie tuż, tuż.

– Wierzę ci – odparł Faskir – ale mam nadzieję, że się mylisz.

– Ja też. – Ferial poprawił kolczugę i kuszę przewieszoną przez plecy. – Mam nadzieję, że to wszystko tylko głupi żart.

Wszyscy mieszkańcy Kastengrav byli zdenerwowani i niepewni dalszego losu, jednak największe spustoszenie w ich sercach siał czas oczekiwania. Obrona miasta była gotowa, a mimo to każdy sprawdzał po dziesięć razy te same rzeczy, byleby zająć czymś niespokojne i czarne myśli.

Postawiony na głowie dzień powoli przemijał, a z murów nadal nie przychodził żaden sygnał obwieszczający nadciągające zagrożenie. Faskir wraz z Ferielem odbierali jedynie krótkie raporty o poszczególnych mieszkańcach, którzy w jakiś sposób wydostali się poza zachodni mur miasta i uciekali w stronę Gór Żelaznych. Długowłose wojownik polecił, aby nie rozgłaszać tych incydentów, gdyż mogą wywołać panikę lub niepotrzebny nikomu w tym momencie zamęt. Ferial popierał to stanowisko, choć był bardzo zaniepokojony możliwością tak łatwego przedostania się przez mury. Czyżby istniało sekretne przejście, o którym nie miał pojęcia? Czy może doszło do zwykłego przekupienia straży? Sam już nie wiedział, które z wyjaśnień jest gorsze.

Czas oczekiwania na jakiegokolwiek zdarzenie tak się dłużył wywiadowcy, że dosięgło go wycieńczenie, na które dotychczas nie zwracał uwagi. Starał się z nim walczyć, jednak ostatecznie uznał, że szkoda na to energii. Miasto nie mogło być już bardziej przygotowane do bitwy, równie dobrze mógł więc uciąć sobie drzemkę. Znalazł nieopodal murów spokojniejszy kąt i oparłszy się plecami o koło porzuconego wozu, szybko zapadł w sen.

Śniła mu się walka. Przeciwnik osaczył go, a on siał spustoszenie swoim rapierem. Gdy już myślał, że usieknął wszystkich, odwrócił się, a wtedy nastąpiła potężna eksplozja, odrzucając go w tył niczym szmacianą lalkę.

Gwałtownie się obudził. Przez moment, oszołomiony, nie potrafił się rozeznać, czy otaczający go świat to wciąż sen, czy rzeczywistość. Wewnętrzny spór rozsądził dźwięk dzwonów alarmujących o nadciągającej armii.

Feriel poderwał się na równe nogi i rozejrzał wciąż nieprzytomnym wzrokiem. Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc chmury i niebo karmazynem... Nie, zaraz... To nie zachód słońca zabarwił nieboskłon.

Wywiadowca ruszył pędem w stronę murów obronnych. Wszędzie na ulicach panowało poruszenie graniczące z paniką. Obrońcy cały dzień wyczekiwali tej chwili, a kiedy nadeszła, nie bardzo wiedzieli, co mają robić. Feriel wydał kilka konkretnych rozkazów mijanym dowódcom, po czym zwinnie niczym kot wspiął się na blanki wschodniego muru. To, co zobaczył, w niczym nie przypominało czegokolwiek, co w życiu widział.

Przed nim rozciągało się krwawoczerwone niebo, kołujące się niczym wzburzone morze. Nagle jego wzrok przykuł nieduży, oddalony o wiele kilometrów punkt, rosnący z każdą chwilą – wroga armia. Z czasem punkt przeistoczył się w niedużą plamę, a następnie wydłużył w nieskończenie długi szereg, który kilometr przed miastem zaczął się formować.

Wszyscy byli przerażeni tym, co zobaczyli. Tysiące zastępów w absolutnym milczeniu ustawiały się w kohorty. Nie padały żadne polecenia czy rozkazy, słychać było jedynie przerdzewiałe pancerze i wyszczerbione ostrza.

Feriel od razu skupił się na szukaniu nekromantów, którzy sterowali ożywieniami, jednak, tak jak się spodziewał, nie dostrzegł ani jednego. Prawdopodobnie wtopili się między piechotę, aby nie dostać pierwszą strzałą między oczy.

Wywiadowca powtórzył wszystkim obrońcom w pobliżu, żeby celowali w głowę, tylko to bowiem jest w stanie zatrzymać martwiaka, i zajął pozycję obok Faskira przygotowującego łuk i strzały. Feriel również zdjął z pleców kuszę i naciągnął ją. Miał do dyspozycji niemal trzy tuziny bełtów, co w innych okolicznościach okazałoby się liczbą ogromną, teraz jednak oddałby wszystko za drugie tyle.

– Oszczędzajcie pociski, nie szyjcie na oślep – zakomenderował blond wojownik, jak gdyby czytał wywiadowcy w myślach. – Oczekuję, że każdy położy co najmniej dwudziestu.

Feriel doceniał bojową postawę Faskira, ale patrząc na blade z przerażeniem twarze i drżące ręce obrońców Kastengravu, wiedział, że nie zbliżą się nawet do połowy oczekiwanej liczby. Tym bardziej że oddziałom wroga wciąż nie było końca. Zanim pierwsza kohorta zdążyła się ustawić, słońce całkowicie już zaszło, pogrążając powoli wojska przeciwnika w mroku. Wśród obrońców miasta wzrastał niepokój. Jak mieli celnie trafiać kryjącego się w mroku wroga?

Faskir kilkoma krótkimi poleceniami uciszył narastający gwar niepewności. Nakazał spokój i skupienie. Po chwili jednak szemrania wróciły, kiedy w panującym półmroku dostrzeżono ciągniętą przez wojsko wysoką wieżę obelężniczą zwieńczoną dziwną kopułą. Ku zdumieniu wszystkich budowla stanęła jednak z tyłu armii, czego nikt się nie spodziewał, patrząc na masywną konstrukcję.

Feriel zastanawiał się intensywnie, do czego ma im posłużyć ta wieża. Nie wyglądała groźnie i na razie była tylko jedna, ale bardzo wysoka... Czyżby to tam zgromadzeni byli wszyscy dowódcy, niczym gracze rozgrywający partię szachów nad szachownicą? Miał nadzieję, że jednak się myli, gdyż budowla znajdowała się zdecydowanie poza zasięgiem ich najlepszych łuków i kusz.

Zapadła pełna grozy cisza, a gęstą atmosferę można było ciąć nożem. Ostatnie kohorty wroga zajęły swoje pozycje i opadł gęsty mrok nocy. Dopiero wtedy pierwsza linia łuczników napięła broń i posłała w najbliższych nieumarłych grad płonących strzał. Z ziemi pod nogami ożywieńców buchnęły języki płomieni, rozlewając się błyskawicznie wokoło i pogrążając pierwsze linie przeciwników w morzu ognia.

Feriel uśmiechnął się pod nosem, a Faskir poklepał go z uznaniem po ramieniu. Wywiadowca zarządził, aby przygotować odpowiednią mieszankę smoły, trocin, pyłu i innych łatwopalnych substancji, którą następnie rozlano na przygotowanym w tym celu gruncie przed murami miasta. Płomienie, które powinny dotrzeć do przedświt, nie miały na celu powstrzymać wrogich żołnierzy, ale zapewnić widoczność obrońcom Kastengravu. Satysfakcja wywiadowcy nie trwała jednak długo, gdyż chwilę później martwe oddziały ruszyły do szturm.

Olaf Prezeus I siedział na honorowym miejscu w sali wojennej i wpatrywał się przez okno w karmazynowe promienie zachodzącego słońca, ślizgające się po dachach niżej położonych budynków. Wraz z nim w sali przebywało sześćoro najważniejszych dowódców królewskich, którzy, pochyleni nad wielką mapą Anferu, sprzeczali się między sobą, zajęci ustalaniem skutecznej strategii obrony przed nieznanym zagrożeniem ze wschodu. Trwało to już od dłuższego czasu, jednak władca nie zamierzał im przerywać. Im bardziej będą nerwowi, tym łatwiej będzie nimi manipulować, aby poprowadzić tę wojnę po swojemu. To jednak długotrwały proces, który wymagał opanowania i cierpliwości. Obserwował zatem odległy krąg tarczy słonecznej, który zaczął już powoli zachodzić za horyzont. Zdawał się powoli tonąć w oddali, choć król wiedział, że to jedynie złudzenie optyczne. Gdy tylko ostatnie promienie przestały błyszczeć na najwyższych oknach zamkowych wież, drzwi do sali otwały się z hukiem. Do środka wszedł Tin Cago, po czym żwawym krokiem podszedł do swojego suwerena i nachyliwszy się, poinformował go o czymś, szepcząc do ucha. Gdy skończył, bez słowa opuścił salę wojenną, zamykając za sobą szczelnie drzwi.

– Dowódcy! – Teraz Olaf wstał z miejsca, a reszta potulnie usiadła w milczeniu. – Dostałem właśnie informację, że Kastengrav zostało zaatakowane przez wroga.

Zaległa głucha cisza. Wszyscy obecni na sali byli wstrząśnięci. Najwyraźniej nikt nie przypuszczał, że wydarzenia postępują w takim tempie. Skoro tak, należało bezzwłocznie zacząć działać. Ze swojego miejsca powstał Ebern – potężny wojownik dowodzący królewską jazdą ciężką.

– Panie mój – rzekł dumnie – jeszcze dzisiaj zbiorę ludzi i ruszymy na odsiecz miastu.

– Nie puszczę cię samego. – Naprzeciwko Eberna powstał Corvil, starszy i siwy już mężczyzna o zaciętym wyrazie twarzy i lśniących, bystrych oczach. – Jazda potrzebuje piechoty. Ruszamy wraz z tobą.

– Nie darzę uwielbieniem krasnoludzkiego miasta – odezwała się Walanga – ale moi łucznicy również chcą mieć swój udział w zwycięstwach tej wojny. – Elfka powstała z miejsca. – Jedziemy z wami.

– Wstyd by mi było, gdybym nie mógł wspomóc miasta moich ziomków, a tak muszę zapewnić wam zaopatrzenie – odezwał się Besvol. – Przyda się również miastu po odsieczy. Magazyny tylko czekają na wydanie rozkazu.

– Sądzę, że skutecznie będzie zaangażować parę moich maszyn bojowych – wtrącił się Irion. – Wypróbujemy nowe Kulomioty Ogniove i Smocze Ogony.

– Zatem postanowione. – Ze swojego miejsca powstał najmłodszy i najzdolniejszy z dowódców, Giz'Den.

Był nadwornym strategiem koordynującym wspólne działania wojsk królewskich.

– Królu, potrzebujemy twojej aprobaty. Ruszymy do Kastengravu z odsieczą – oświadczył po wojskowemu.

– Nie przypominam sobie, abym komukolwiek udzielił głosu – oświadczył lodowato Olaf, kierując sztylety swoich spojrzeń na każdego z osobna. – Siadać! – rozkazał krótko, a kiedy wszyscy dowódcy potulnie wypełnili polecenie, wyprostował się butnie i prychnął z pogardą. – Myślicie zapewne, że odsiecz miastu jest priorytetem. Ja jednak patrzę dalej niż koniec ostrza miecza i jeśli ktokolwiek z was kiwnie choć jednym palcem, aby ruszyć z ratunkiem do Kastengravu, osobiście dopilnuję, aby został stracony jako zdrajca i awanturnik.

– Co mówisz, panie? – Corvil powstał ponownie z miejsca. – Mamy pozwolić przeciwnikowi złupić miasto? Perłę technologiczną Anferu? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie udzieliłem ci głosu – stwierdził sucho Prezeus.

– Sam go sobie udzieliłem – oświadczył twardo siwy dowódca. – Niektóre sytuacje nakazują podjęcie radykalnych działań. Wy tłumacz nam, proszę, swoje postępowanie.

Oczy Olafa zwięzły się groźnie. Za kogo uważał się ten staruch, aby tak się do niego zwracać? Winien był szacunek i posłuszeństwo swojemu królowi.

– Kieruje mną wyłącznie dobro Anferu. Nie muszę nikomu tłumaczyć się z podjętych decyzji.

– Według ostatnio wprowadzonego przez twojego doradcę Abseriusa dekretu wojennego masz, panie, obowiązek wtajemniczenia wszystkich czołowych dowódców w swoje zamiary – przypomniał władcy Giz'Den, który również nie zgadzał się z decyzją swojego pryncypała. – Jesteśmy oficjalnie w stanie wojny, musisz więc zdradzić nam swoje plany.

Prezeus był wściekły. Jak tylko skończy tę wojnę, każe powiesić i poćwiartować swojego pseudodoradcę, a następnie upokorzy wszystkich dowódców dziesięć razy bardziej niż oni jego przed chwilą. Jak śmieli? Nędzne, małostkowe, ograniczone robaki!

– Nie wiemy, z czym mamy do czynienia – odparł w końcu z wyrachowaniem. – Żadne z królestw ościennych nie przyznaje się do tego ataku, nikt nie wypowiedział mi wojny. Najpewniej mamy do czynienia z siłami spoza naszego świata. Naszą jedyną szansą jest zaskoczyć wroga. Jeżeli ruszymy z odsieczą do Kastengravu, okażemy słabość, odkrywając nasze zamiary. Ponadto, nie wiedząc, czego możemy się spodziewać, narażeni jesteśmy na zasadzkę. Będziemy zbierać wszystkie możliwe informacje o przeciwniku, aż dowiemy się o nim więcej niż on o nas. Wtedy go zmiażdżymy.

– Wtedy, czyli kiedy? – Ebern chciał poznać konkrety.

– Nie możemy dopuścić, aby wróg dotarł do stolicy – odparł znacząco władca.

– Zaraz... – Ebern pokręcił głową. – Do stolicy? Linia naszej obrony ma zaczynać się w Soblevie?

– Zaczynać i kończyć – sprostował Prezeus.

– To przecież szaleństwo! – Corvil poderwał się z miejsca. – Mamy pozwolić, aby przeciwnik panoszył się po wschodniej części królestwa tylko po to, aby zdobyć o nim mętne informacje? Wymordują połowę ludności Anferu!

– Większa część ludności żyje po zachodniej stronie królestwa – sprostował zimno król.

– Co za różnica? Mamy patrzeć z założonymi rękami, jak płoną kolejne miasta i wsie?

– Ależ skąd. Wy w tym czasie przygotowujecie obronę Sobleva. Zwycięzymy w jedynej bitwie, która rozegra się tutaj. – Olaf już widział oczami wyobraźni swoją sławę, która przejdzie do historii i przyćmi ten cały niedorzeczny Dzień Syrusa – największe święto współczesnego Anferu. To będzie „Bitwa pod Soblevem” – narodowy dzień zwycięstwa, który wyniesie na najwyższy piedestał jego, Olafa Prezeusa I.

– W życiu nie słyszałem większej bzdury! – wybuchł siwy dowódca. – Wesprzyjmy Kastengrav chociaż piechotą, mamy jej aż nadto – dodał błagalnym głosem.

– Podjąłem już decyzję – król uciął wszelkie dyskusje.

– Nie wszystkie podjęte decyzje okazują się słuszne – zasugerował znacząco Ebern. – Giz'Denie, co o tym myślisz?

– Nie podoba mi się pomysł spisywania na straty wschodniej części Anferu, ale obrona statyczna jest rzeczywiście najskuteczniejszą z form defensywnych.

– Najskuteczniejszą z form obrony jest atak – Corvil nie zamierzał odpuścić. – Jest również element zaskoczenia, kiedy zamiast bronić się, przypuszczamy szturm.

– Władca ma rację, Corvile. – Wąłanga wstała z miejsca i pochyliła się nad mapą. – Królewska Puszcza jest wymarzoną wprost miejscem na działania partyzanckie, które będą jednym z elementów zaskoczenia wroga.

– Wiesz, co myślę o elfiej partyzantce? – Starszy wojskowy bardzo starał się trzymać język na wodzy, jednak coraz trudniej mu to przychodziło. – Jakoś wam nie pomogła dwieście trzydzieści lat temu w Wojnie Głośnego Echa.

– Bo przeciwnik podpalił las – prychnęła elfka, oburzona tupetem mężczyzny.

– A kto ci obiecuje, że tym razem będzie inaczej? – Corvil zdumiał się naiwnością kobiety.

– Zapasy wojenne pozwolą nam bronić się jakiejś sześć do siedmiu miesięcy, ale trzeba wziąć pod uwagę również cywilnych mieszkańców Sobleva – dywagował Besvol – wychodzą więc trzy, może cztery miesiące.

– Najważniejsze, aby utrzymać wysokie morale. – Giz'Den układał w głowie możliwe scenariusze obrony Sobleva. – Jeżeli mają przeważającą liczbę maszyn obłężniczych, mogą obrócić miasto w gruzy. Trzeba będzie o tym pomyśleć...

– Tym się nie przejmuj – wtrącił się Irion. – Kończę właśnie Niszczyciela Gigantów, wielofunkcyjne urządzenie, które powstrzyma niemal każdą maszynę obłężniczą. Potrzebuję tylko nieco funduszy, aby ukończyć moje dzieło.

– Oho, jak Irion mówi, że potrzebuje nieco funduszy, to oznacza, że nie wystarczy na żołd dla żołnierzy – zakpił Corvil.

– Gdybyśmy nie utrzymywali tak absurdalnie liczebnej piechoty, moglibyśmy zbudować nie tylko moje urządzenie, ale także ze dwa miasta – odgryzł się wynalazca.

Kłótnie i debaty rozgorzały na dobre. Sytuacja wyglądała tak jak przed zachodem słońca, z tym wyjątkiem, że za oknem zaczynał panować mrok, Prezeus zaś siedział teraz z delikatnym uśmiechem na twarzy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Wszyscy byli zbyt zajęci swarami, aby myśleć racjonalnie i dostrzec satysfakcję na obliczu swojego władcy. Tak przynajmniej mu się wydawało. Zapomniał o jednej osobie, siedzącej w zacienionym kącie po przeciwnej stronie komnaty i przysłuchującej się każdemu słowu wypowiedzianemu przez władcę Anferu – swojej żonie.

Królowa Virejna wpatrywała się w męża pełna obrzydzenia i pogardy dla jego głupiego, niemal mściwego uporu. Znała go dostatecznie długo, aby wiedzieć, że dąży po prostu do pełnej kontroli nad wojskami, do nieograniczonej władzy, niczym tyran, którym zapewne już dawno temu by został, gdyby nie Abserius. Dawniej nienawidziła swojego męża, jednak po tym, co przed chwilą usłyszała, słowo „nienawiść” nie oddawało już jej uczuć.

Mogła otwarcie sprzeciwić się małżonkowi w towarzystwie dowódców, którzy na pewno by ją poparli, jednak doświadczenie podpowiadało jej, że tym samym tylko pogorszy sytuację zarówno ich, jak i swoją, a przecież potrzebowała względów męża, aby doprowadzić do finału swój plan. Nie mogła się wychylać, musiała przełknąć gorzki, jaką w niej wywoływały jego decyzje. Nie dla siebie, lecz dla Anferu.

Rozdział 16

MACHINACJE

Przedostanie się trójki podróżników przez wrogi teren do Jałowej Rozpadliny było nad wyraz trudnym i wymagającym zadaniem. Cały obszar, jak się okazało, usiany był dziesiątkami mniejszych obozów, w których gromadziły się oddziały ożywieńców. Rycerz podejrzewał, że są to umarli, którzy polegli bądź zostali pochowani na tych terenach i teraz zostali zbudzeni, aby dopomóc nieznannej sile w zniszczeniu Anferu. Prawda to czy nie, wędrowcy byli zmuszeni do zachowania czujności na każdym kroku. Każdy ich ruch musiał być przemyślany, gdyż wszędzie roiło się od wążających się martwiaków. Dopiero teraz cała trójka uświadomiła sobie, z jak dużą liczbą przeciwników ma do czynienia. Przez tysiące lat ktoś umierał i był grzebany w królestwie, a każdy kolejny krok wroga budził te wszystkie martwe istoty i wcielał je do jego armii. Jarell szybko określił potencjał bojowy przeciwnika jako nieograniczony, gdyż kiedy dojdzie w końcu do bitwy, wszyscy polegli obrońcy Anferu obrócą się przeciwko swojemu królestwu, za które zginęli.

Musieli zatem bez zwłoki przemieszczać się dalej, choć z każdym kolejnym krokiem było to coraz trudniejsze.

Od Jałowej Rozpadliny nie dzieliła ich duża odległość, lecz ciągle ukrywanie się, nakładanie drogi, aby ominąć wroga, i cierpliwe przeczekiwanie przemarszów jego oddziałów sprawiały, że bezcenny czas przeciekał im przez palce. Adriela wysnuła teorię, że zbudzeni martwi nie są jeszcze spętani zaklęciem wojennym i chociaż byli ożywieni, pozostawali zupełnie niegroźni. Teoria została, niestety, tylko teorią, gdyż nikt z trójki podróżników nie wykrzesał z siebie wystarczającej dozy szaleństwa, aby to sprawdzić w praktyce. Zbyt wiele zależało od powodzenia ich misji. Posuwali się zatem powoli, lecz sukcesywnie w kierunku celu. Mimo to towarzyszyła im jeszcze jedna przeszkoda, mianowicie brak zaufania do kapłana, który, jak teraz twierdził, nie jest kapłanem.

Zarówno Adriela, jak i paladyn byli zupełnie zbici z tropu. Nie potrafili już osądzić, czy słowa ich towarzysza są prawdą, kłamstwem, czy może tym, co nakazuje mówić mu jego bóg? To oni powinni prowadzić jego, a tymczasem już dwukrotnie zostali przez niego ocaleni i wciąż byli wodzeni za nos, co szczególnie Adrieli bardzo dokuczało, gdyż to ona formalnie przewodziła tej wyprawie. Najgorsze jednak było to, że nie wiedzieli, do czego mógł być zdolny ich niepewny wybawca. Być może znowu ich zwodził, a może rzeczywiście mówił prawdę? Jeśli tak, to była ona równie nieprawdopodobna, jak cała ta sytuacja. Na wszelki wypadek oboje mieli oko na Wrecedarma Gideona *alias* Rigasta Toscmery i nikt nie zaczynał z nim nawet rozmowy. Mieli już wystarczający mętlik w głowach.

Przed świtem dotarli do kolejnego zagajnika, za którym, według ich mapy, powinna rozpościerać się Jałowa Rozpadlina. Zanurzenie się w szatę roślinną umożliwiło im nieco szybszy marsz. W zadrzewionym terenie byli mniej widoczni i bardziej skłonni do brawurowych akcji przemykania za plecami przeciwnika, co równocześnie odbudowywało ich utraconą pewność siebie.

Kiedy ominęli kolejną grupę martwiaków przemieszczających się wolno na południe, żwawym krokiem wydostali się w końcu spomiędzy zarośli na otwarty teren, który niedaleko przed nimi urywał się, przechodząc w niemal pionową kamienną ścianę biegnącą w dół, na samo dno Jałowej Rozpadliny. W oddali ujrzeli zaś to, o czym mówił im Rigast – potężny słup jasnej energii, który piął się do nieba, barwiąc je karmazynem. Chmury w tym miejscu wirowały jak szalone, tworząc napełniający wszystkich grozą krwawy wir, wyglądający niczym makabryczne oko cyklonu.

Towarzysze Toscmery ponownie zaczęli się zastanawiać, czy są tylko pionkami w grze boga kapłana, czy jednak mówił im prawdę? Szybko jednak przerwali rozmyślenia, kiedy uświadomili sobie, ile drogi jeszcze ich czeka. Samo pokonanie kamiennej ściany, aby dostać się na dół, mogło zająć cały ranek albo nawet dłużej, a każda minuta była na wagę ludzkiego życia, bez zbędnych ceregieli zabrali się więc do przygotowań.

Gdy tylko wzeszło słońce, oddziały nieumarłych odstąpiły od szturm na Kastengrav i wycofały się poza zasięg strzał obrońców miasta. Feriela zdumiał taki manewr. Przypuszczał, że atak będzie trwał nieustannie, aż padną z wyczerpania. To była jedna z wielu zalet nieumarłych – nie odczuwali zmęczenia i nie potrzebowali snu. Mimo to jednak armia odstąpiła, gdy tylko pierwsze promienie słoneczne przebiły się zza horyzontu. Nie rozumiał takiej strategii, ale był za nią wdzięczny. Przez noc wystrzelił jakieś sto pięćdziesiąt bełtów, z czego tylko jedna trzecia dosięgnęła celu, a jedynie połowa z nich trafiła w głowę. Innym obrońcom nie poszło wcale lepiej. Teraz kiedy błonia z powrotem pustoszały, widać było jak na dłoni skuteczność obrony. Pod murami leżało zaledwie kilkaset zwłok.

Wywiadowca nie mógł nadziwić się kuriozalnemu oblężeniu. Przeciwnik nie posiadał żadnych maszyn oblężniczych, z wyjątkiem tajemniczej wieży, której znaczenia Feriela wciąż nie poznał, a metody walki umarłaków pozostawiały wiele do życzenia. Oddziały przeciwnika nie były wyposażone w liny z kotwicami czy drabiny. Niczym stado mrówek wrogowie wspinali się po murze, aby móc zaatakować w bezpośrednim starciu. O dziwo, nie każdy z przeciwników dysponował bronią, niektórzy rzucali się na obrońców z gołymi rękami bądź obnażonymi zębami, jeśli takie jeszcze mieli. Mimo że podkładali się do dekapitacji, w większości wypadków strażnicy spychali wrogów z muru, zamiast ścinać im głowy. Feriela liczył się z takim zachowaniem obrońców. Sam, kiedy po raz pierwszy stał się z ożywieńcem, brzydził się go do tego stopnia, że trzymał go stale na odległość sztychu miecza, bojąc się zadać jakikolwiek cios.

Jedyną jasną stroną stoczony bitwy było to, że po stronie broniącego się miasta poległ niecały tuzin strażników, co było bardzo dobrym wynikiem jak na pierwsze starcie. Była jednak również pewna sprawa, która nad wyraz niepokoiła Feriala. Przez całą noc nigdzie nie dostrzegł ani jednego dowódcy – nekromanty, a sądząc po działaniach przeciwnika, było ich co najmniej siedmiu. Ataki były zsynchronizowane do tego stopnia, że wywiadowca poważnie zaczął dopuszczać możliwość, że nekromanci kryli się w drewnianej konstrukcji na tyłach swoich wojsk. Z wysoko położonego punktu mogli mieć ogłęd całej sytuacji, a wspólne działania mogły wynikać z ich łatwej komunikacji między sobą. Będzie musiał poruszyć ten temat z Faskirem, jak tylko go znajdzie.

Nie zwlekając, ruszył na poszukiwanie dowódcy straży miejskiej. Zszedł z murów i udał się ulicą w stronę jednego z tymczasowych punktów dowodzenia, mieszczącego się w niedalekiej karczmie.

Mimo że przeciwnik odstąpił od dalszego szturm, wszędzie panowało poruszenie. Nie wiadomo było, jak długo potrwa „odwilż”, wszyscy więc szykowali osprzęt, broń i amunicję do kolejnego ataku. Wytypowani strażnicy ruszyli w głąb miasta, aby poinformować o sytuacji obrońców rozstawionych na ulicach oraz zawiadomić rodziny poległych o niepowetowanej dla nich stracie.

Feriela ocenił morale ludzi jako wysokie, mimo zmęczenia oraz zdezorientowania ruchami wroga. Wszyscy byli zdeterminowani, aby odeprzeć atak, i gotowi do poświęceń.

Wywiadowca skręcił w prawo z ulicy, którą podążał, w niewielką alejkę, gdzie już z daleka rzucał się w oczy sztyl karczmy Kwiczący Prosiak. Przy wejściu pełniło straż dwóch wartowników, których mężczyzna pozdrowił wojskowym gestem, nim wszedł do środka.

Wnętrze karczmy, niegdyś swojskie i przytulne, zmieniło się nie do poznania. Wszystkie okna zostały zabite deskami. Szynekwas i kuchnia wypełnione były pancierzami i bronią, a wszystkie stoliki zgromadzone zostały pośrodku sali, gdzie utworzono z nich jeden ogromny blat, zasłany teraz mapami, planami i wojskowymi znacznikami strategicznymi.

Faskir, pochylający się właśnie nad planami miasta i okolicy, podniósł głowę, gdy tylko usłyszał otwierane drzwi, a kiedy zobaczył wywiadowcę, skinieniem ręki przywołał go do siebie.

- Jak nastroje na zewnątrz? – zapytał, ponownie wlepiając wzrok w pokreślone arkusze.
- Bardzo dobrze, zważając na to, że straciliśmy jedenastu ludzi – oświadczył zmęczonym głosem Feriela.
- Dwunastu – poprawił go dowódca. – Rany Aletira okazały się zabójcze. Obecnie w lazarecie przebywa już tylko czternastu rannych.

Wywiadowca przecesał zmierzwione włosy brudną ręką i westchnął głęboko. W takim tempie nie wytrzymają nawet dziesięciu dni. A będzie gorzej, jeżeli ataki będą trwały również za dnia.

– Jakies nowe wieści? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Cóż... obrońcy południowego muru twierdzą, że cały cmentarz znajdujący się poza miastem ożył i dołączył do oddziałów przeciwnika.

– To potwierdzona informacja? – zaniepokoił się Ferial.

– Niedawno wysłałem tam dwóch ludzi na rekonesans. Jak dotąd nie wrócili, ale zważywszy na okoliczności, trochę im pewnie zajmie potwierdzenie tej plotki. A ty dowiedziałeś się czegoś nowego? – Faskir oderwał wzrok od planu Kastengravu i spojrzał wyczekująco na towarzysza broni.

– Niespecjalnie – przyznał gorzko mężczyzna. – Wciąż nie mam pojęcia, gdzie należałoby szukać nekromantów sterujących umarłymi. Podejrzewam, że są zgromadzeni w tej drewnianej konstrukcji.

– Skąd taki pomysł? – zapytał zaintrygowany Faskir.

– Ataki wroga są zdecydowanie zsynchronizowane i wygląda na to, że mają skupiać całą naszą uwagę na najbliższych znajdujących się przeciwnikach. Zauważ, że ich strategia wymyka się jakiegokolwiek logice prowadzenia bitwy. Zmasowany atak umarłaków jest nieskuteczny, jednak mimo to mamy pełne ręce roboty przy odpięciu ich z lini muru. Wydaje mi się, że jest to celowe działanie, aby odwrócić naszą uwagę od tego, co znajduje się na dalszym planie.

– Uważasz, że coś szykują?

– Może czekają na posiłki? Może planują przykrą niespodziankę? Nie wiem... Ale póki żyją nekromanci, jesteśmy na straconej pozycji – westchnął ciężko Ferial.

– Tak, ale dopóki żyjemy, wciąż mamy szansę. – Faskir nie zamierzał popadać w czarnowidztwo.

– Masz rację. – Wywiadowca otrząsnął się z czarnych myśli. – Jestem zmęczony, to wszystko.

– Jak my wszyscy – westchnął dowódca. – Powiedz ludziom, aby wypoczęli. Sam też się prześpij, bo coś czuje, że kolejna noc będzie jeszcze bardziej absorbująca.

– Rozkaz! – Ferial zasalutował niedbale, po czym skierował się do wyjścia. – Jeszcze jedno. – Odwrócił się do dowódcy. – Spalcie zwłoki poległych – powiedział i opuścił Kwiczącego Prosiaka.

Gdy tylko znalazł się z powrotem na ulicy, zatrzymał grupę strażników i kazał im dopilnować, aby każdy z obrońców odpoczął przed kolejnym starciem. Potwierdzili rozkaz salutem, choć nie do końca zdawali sobie sprawę, z kim mają do czynienia. Na szczęście powołanie się na ich dowódcę od razu zbudowało autorytet Feriala.

Teraz pozostało mu już tylko samemu odpocząć. Nim jednak będzie mógł zatonąć w błogim śnie, musiał jeszcze zaopatrzyć się w bełty i skontaktować się z Gildorfem. Skierował więc kroki do kuźni, w której urządzono polową zbrojownię. Nietrudno było ją znaleźć, gdyż przed wejściem oczekiwała sporych rozmiarów kolejka obrońców, w większości czekających, aby naprawić broń po nocnej bitwie. Wywiadowca ominął mały tłumek i wszedł do środka. Od razu ogarnął go zaduch i harmider. Oba paleniska były rozpalone, a pół tuzina krasnoludów uwijało się, aby zdążyć z robotą przed zmrokiem.

Ferial zaczepił jednego z kowali, który właśnie łała jakąś kolczugę, i poprosił o przydział bełtów.

– Musisz zaczekać – oświadczył krasnolud. – Jak ktoś skończy swoją robotę, przyniesie ci bełty. Trzeba kuć żelazo, póki gorące – zakończył głosem nieznośnym sprzeciwu i ponownie skupił się na wplataniu stalowych oczek w dziurawy pancerz.

Ferial chciał zaprotestować, ale nie miał sił na kłótnię z krasnoludami. Znalazł sobie przytulny kąt, usiadł na drewnianej ławie i wyciągnął kryształ kontaktowy. Obracał go przez dłuższą chwilę w dłoniach, nim usłyszał w głowie głos swojego przełożonego:

– Jak sytuacja?

– Trzymamy się – zapewnił Gildorfa. – Przeciwnik jest liczny, ale nieudolny. Nie wiem jednak, czy to pozory, czy rzeczywisty brak doświadczenia w walce.

– Ilu mają dowódców? – zapytał szpieg.

– Nie mam pojęcia. Żaden jak dotąd się nie ujawnił... Mają wysoką drewnianą konstrukcję, jakby wieżę, ale nie znamy jej przeznaczenia.

– Wieżę? – zdumiał się Gildorf. – Jedną?

– Tylko jedną – potwierdził wywiadowca.

– Może do komunikacji?

– Nie wiem. Przez całą bitwę nic się z nią nie działo... Zagarnęli też ponoć umarłych z cmentarza, którzy powstali i dołączyli do oddziałów – przypomniał sobie nowinę, którą usłyszał od Faskira.

– Ożywiają więcej umarłych? – Szpieg wydawał się wstrząśnięty tą informacją. – To znaczy, że poległych obrońców też?

– Kazałem spalić zwłoki. Nie możemy pozwolić sobie na żadną dywersję – stwierdził krótko Ferial. – Kiedy dotrze królewska armia? – zapytał z nadzieją.

– Dostałem informacje, że władca nie zamierza ruszać wam z odsieczą – odparł niepewnym głosem szpieg.

– Co? – Oczy Feriala rozszerzyły się ze zdumienia. – Jak to nie zamierza?

– Chce ugrać coś dla siebie... Ale nie obawiaj się, postaram się wpłynąć na niego, aby jednak wysłał do was wojska. Musicie wytrwać jak najdłużej – polecił podwładnemu.

– Tak zamierzamy. Obrońcy są w dobrej kondycji, z łatwością więc powinniśmy wytrzymać kilka dni... O ile nas czymś nie zaskoczą.

– Bądź dobrej myśli. Jeszcze dzisiaj postaram się wpłynąć na króla, a jeżeli mi się uda, to na dniach wyruszą do was żołnierze – obiecał Gildorf.

– Mam nadzieję, że masz rację – Ferial zakończył połączenie i schował kryształ kontaktowy do kieszeni.

Siedział dalej, wsłuchując się w miarowy i przenikliwy stukot młotków płatnerskich, syczenie miechów i dzwonienie stali. W innej sytuacji taki nawał dźwięków drażniłby go, ale teraz działał na niego kojąco. Po krótkiej chwili powieki zaczęły mu ciążyć, aż w końcu opadły, izolując mężczyznę od bolesnej rzeczywistości.

Już nie był w kuźni. Leciał nad górami, a im wyżej się wznosił, tym głębiej zapadał w sen. Rześkie powietrze otulało jego ciało niczym bezpieczny kokon, którego nie naruszy nic z tego świata.

Nagle wizję rozerwał na strzępy przenikliwy dźwięk dzwonu alarmowego.

Ferial poderwał się z ławy i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem. Obok niego spoczywał potężny pęk beltów owinięty w szmatę. Wywiadowca bez zastanowienia porwał pociski i biegiem ruszył na zewnątrz.

Na ulicach panował już mrok, rozświetlony czerwonym poblaskiem kłębiącego się nad miastem krwawego nieba. Obrońcy biegali poruszeni, zajmując swoje stanowiska. Ferial ruszył pędem, lawirując między pozostałymi, aby dostać się na mur. Pokonał strome schody, przeskakując po kilka stopni, i już po chwili ukazał mu się ten sam widok, co wcześniej – ożywione zastępy umarłych gromadziły się pod miastem, szykując się do ataku. Tajemnicza wieża wciąż tkwiła w bezruchu na tyłach całej armii, niczym figura szachowa przed ruchem w skomplikowanej rozgrywce.

Wyglądało na to, że czeka ich powtórka z wczorajszej nocy, choć trudno było stwierdzić, czy tym razem nieumarli nie zaskoczą obrońców jakimś niespodziewanym działaniem, które przeważałoby szalę zwycięstwa.

Ferial wziął parę głębokich wdechów, po czym napiął kuszę i załadował bełt. Tym razem postara się strzelać celniej.

– Przygotować się! – zawołał. – Pokażemy im, że to miasto nie ugnie się przed śmiercią.

Trop prowadził do zagajnika, chociaż słowo „trop” nie było adekwatnym określeniem śladu, którym podążał szpieg. Mniej więcej od momentu, kiedy wszedł w krwawą łunę, zwyczajne ślady zniknęły i zaczął się szlak wygniezionej trawy prowadzący w gąszcz, zupełnie jakby ktoś się czołgał. Znalazł co prawda niedaleko stąd ślady walki i krew, jednak strzępy tkanek wskazywały na walkę czarnoskrzydłych. Nie dostrzegł nigdzie ludzkiej krwi, albo więc ktoś krył się w trawie, albo dopadła go poważna kontuzja. Nie miał pewności, za kim podąża, ale wiele szczegółów

wskazywało, że był to kapłan. Dlaczego jednak podróżował sam, i to w tym samym kierunku, co Adriela z Jarellem? Być może kiedyś rozwikła tę zagadkę, teraz jednak musiał skupić się na odnalezieniu śladów w zagajniku.

Gdy tylko Gildorf zagłębił się między gałęzie drzew, ogarnęło go dziwne uczucie niepewności. Musiał być ostrożny, nie wiadomo, co mógł skrywać gąszcz zarośli. Metr po metrze odnajdywał kolejne ślady, a z każdym kolejnym nabierał pewności, że zostawił je Wrecedarm Gideon. Wciąż nie bardzo rozumiał, co zaszło w klasztorze między kapłanem a jego towarzyszami, ale wyglądało na to, że niebawem ich ślady spotkają się i ponownie ruszą razem.

Ledwie zdążył o tym pomyśleć, kiedy przez przeredzoną szatę roślinną dostrzegł polanę z namiotami i oddziałem. Natychmiast przypadł do gruntu i w bezruchu zaczął nasłuchiwać. Wszędzie wokoło panowała głucha cisza. Przez dłuższą chwilę Gildorf zastanawiał się, co dalej począć. Nie mógł przecież przejść obojętnie obok obozu wroga, tym bardziej że istniało ryzyko, że gdzieś w okolicy został pojmany kapłan, a może również Adriela z Jarellem. Musiał przeprowadzić ostrożny rekonesans...

Nagle, niczym grom z jasnego nieba, uderzyło go wspomnienie obietnicy, jaką złożył Ferialowi. Tak był zaaferowany szukaniem śladów kapłana i snuciem domysłów o minionych wydarzeniach, że zupełnie zapomniał o Kastengravie. Musiał natychmiast naprawić swoje uchybienie.

Wydobył z ubrania kryształ kontaktowy i skierował swój potok myśli na królową Virejnę.

– Mieliśmy się nie kontaktować – rozbrzmiał głos królowej.

– Wiem, pani. Doszły mnie jednak niepokojące wieści, jakoby król nie zamierzał wesprzeć zbrojnie obleganego Kastengravu.

– Niestety, mój małżonek jest wyjątkową kanalią. Zamierza poświęcić miasto na rzecz jednej wielkiej bitwy, która ma się odbyć w stolicy i w której zamierza zwyciężyć – wyjaśniła królowa.

– To szaleństwo! Oddziały nieumarłych nie znają litości. Jeżeli wedrą się do Sobleva, wymordują wszystkich. Nie będzie pertraktacji ani brania jeńców, a bez króla i stolicy nie będzie Anferu.

– Szaleństwo to drugie imię mojego męża – przyznała gorzko Virejna.

– Nie możemy pozwolić na zdobycie Kastengravu. Jest zbyt cenne dla Anferu, ale nie to jest najważniejsze... – Gildorf zawiesił głos.

– To jeden z głównych ośrodków handlu naszego królestwa. Codziennie przybywają tam nowi kupcy. Wyobraź sobie, ilu naszych poddanych zginie, jeśli miasto zostanie zdobyte. – Głos królowej drżał z emocji.

Szpieg nie myślał o życiu poddanych. W Kastengravie znajdowały się szczegółowe plany Sobleva, za pomocą których można było przeprowadzić w pełni skuteczny szturm na stolicę. Nie mógł jednak otwarcie przyznać przed królową, że ludzkie życie w tej sytuacji nie było dla niego priorytetem.

– Pani, jeżeli wróg planuje zdobyć stolicę, nie będzie bezmyślnie zabijał mieszkańców. Najpierw podda ich torturom, aby wyciągnąć jak najwięcej informacji o Soblevie i innych miastach. Im więcej ich zdobędzie, tym większą przewagę zyska i tym mniejsze będą szanse na odparcie szturm przez stolicę. Nie możemy dopuścić, by przeciwnik dostał w swoje ręce choćby jednego mieszkańca Kastengravu – przestrzegł Gildorf, rozglądając się wokoło, czy wciąż pozostaje w ukryciu.

– Na bogów... – Królowa wydawała się wstrząśnięta. – Dlaczego w zamku jest tylu głupców, którzy nie potrafią prawidłowo ocenić sytuacji, tak jak ty? – zapytała rozgoryczona.

– Pani, musisz wpłynąć na władcę, aby wysłał posiłki do Kastengravu. W przeciwnym wypadku będziemy zgubieni. – Szpieg dostrzegł nagle drewnianą konstrukcję wieży, być może taką samą, o jakiej opowiadał mu Ferial. – Muszę kończyć. Wzbraniam się przed tymi słowami, ale przyszłość Kastengravu leży w twoich rękach, królowo – skończył dobitnie i zerwał połączenie.

Virejna siedziała jeszcze przez jakiś czas po rozmowie przy stoliku w swojej komnacie, rozmyślając o słowach szpiega. Choć jej mąż poskromił w niej poczucie bycia królową Anferu, wiedziała, że musi zrobić wszystko, aby władca wysłał odsiecz do Kastengravu. Zbyt wiele od tego zależało i najwyraźniej nikt poza szpiegiem nie zdawał sobie z tego sprawy.

Posłała zatem zaufaną służkę po Abseriusa, aby omówić z nim sytuację i przedsięwziąć odpowiednie kroki.

Gdy królewski doradca w końcu się zjawił, był nieco wystraszony i zmieszany. Virejna nie dziwiła mu się wcale, wiedziała bowiem o tym, co się wydarzyło kilka dni temu. Kazała mu zamknąć za sobą drzwi na rygiel i podejść do trzaskającego wesoło kominka. Kiedy wykonał jej polecenie, upewniła się, że za drzwiami nikt nie podsłuchuje, po czym dołączyła do swojego gościa. Zbliżyła się niepokojąco blisko do twarzy Abseriusa i cichym szeptem powiedziała:

– Mogą nas podsłuchiwać...

– Pani, dlaczego mieliby to czynić? – zapytał poruszony Abserius.

– Mój mąż ma urojenia, a jeszcze ta wojna... – wyjaśniła królowa. – Musimy omówić kwestię Kastengravu – wypaliła bez ogródek.

– Kastengravu? Nie bardzo rozumiem... Przecież decyzje zostały już podjęte. – Abserius przeczuwał, że królowa coś knuje.

– Tak, przez mojego męża. – Virejna z obrzydzeniem wypowiedziała ostatnie słowo. – Czyli przez najbardziej ograniczoną umysłowo osobę w zamku.

– Pani... – Doradca nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć na taką uwagę o swoim suwerenie.

– Chodzi o to – Virejna przerwała mu, zanim zdążył zebrać myśli – że wynikły nowe okoliczności.

– Co to znaczy? Królowo, musisz mówić jaśniej, gdyż nic z tego nie pojmuję.

– Mój informator twierdzi, że wróg nie bez powodu zaczął inwazję od krasnoludzkiego miasta. Prawdopodobnie chce wydobyć jak najwięcej informacji o stolicy, nim zdecyduje się na szturm. W Kastengravie znajdują się szczegółowe plany większości miast i ich budynków. W tym Sobleva i Zamku Ośmiu Dam. Wydusi z mieszkańców wszystkie przydatne informacje, nim w końcu ich zabije. Kastengrav jest kluczem do naszych bram.

– Informator? – zdumiał się królewski doradca. – Któż to taki?

– Nie mogę tego zdradzić, ale zapewniam cię, że jest bardzo dobrze zorientowany w sytuacji i bezgranicznie mu ufam.

– Bezgranicznie? – zapytał podejrzliwie Abserius, zachodząc w głowę, kim może być ten człowiek.

– Abseriusie, musimy przekonać Olafa do wysłania wojsk z odsieczą miastu. Mieszkańcy Kastengravu nas potrzebują. Jeżeli wróg wedrze się za mury, przegramy tę wojnę.

Doradca zamilkł zamyślony. Królowa bezsprzecznie miała rację, co po raz kolejny mu zaimponowało i wzbudziło respekt do tej niepozornej kobiety. Nie mógł, niestety, przystać na jej zamiar.

– Pani – rzekł z szacunkiem – doceniam twoją chęć pomocy Kastengravowi, ale nie możesz się w to mieszać. Postaram się samemu nakłonić króla do zmiany decyzji.

– Razem będziemy mieć większą siłę głosu – Virejna nie ustępowała.

– Teoretycznie tak... Praktycznie zaś twój mąż, a mój król, nie szanuje ciebie, nie wysłucha więc tego, co masz mu do powiedzenia. Zainteresuje go jednak to, że przychodzimy z tym razem. Zacznie oskarżać nas o spiskowanie przeciwko niemu, a wtedy... – Abserius wzdrygnął się na samą myśl o konsekwencjach. – Po prostu będzie lepiej, jeżeli pójdę do niego sam. Mamy co ukrywać, chciałbym więc uniknąć jakichkolwiek podejrzeń – oświadczył i nie czekając na reakcję królowej, skłonił się dwornie, po czym opuścił komnatę.

Nie zajęło mu wiele czasu, aby odnaleźć władcę. Prawdę powiedziawszy, już za pierwszym razem trafił w dziesiątkę, kierując się do sali wojennej. Zastał Olafa odzianego w kolczugę, z królewską szablą u boku, pochylonego nad mapą Anferu. Był sam, Abserius mógł więc bez zbędnych ceregieli przejść do sedna.

– Panie mój – zwrócił się konspiracyjnym tonem – wiesz już może, kto jest szpiegiem wroga na twoim dworze?

Olaf podniósł znad mapy wzrok pełen niezrozumienia.

– Uważam, że posunięcie z zebraniem wszystkich dowódców było bezbłędne – dodał Abserius. – Teraz oficjalnie nie wyruszymy na pomoc oblężonemu miastu, a wróg łyknie to jak ryba haczyk.

– Mów jaśniej. – Władca zgromił go wzrokiem.

– Oczywiście jest, że mamy w swoim otoczeniu zdrajców, których przekupił przeciwnik, aby dostarczali mu informacje z pierwszej ręki. Z dużym prawdopodobieństwem mówimy o kimś z wysokim stopniem wojskowym. Wróg na pewno już wie, że zamierzasz budować obronę dopiero w Soblevie. To była najbliższościwsza dezinformacja, jaką słyszałem. – Abserius udawał szczerzy zachwyty decyzją swojego króla. – Uważam jednak, że powinniśmy pójść krok dalej i zdyskredytować zdrajcę w oczach naszego wroga.

Olaf Prezeus I milczał. Przetrwał słowa swojego doradcy i wyrzucał sobie w głębi duszy, że nie wziął pod uwagę tak oczywistego faktu, jak zdrajca w jego szeregach. Przecież oni wszyscy tylko czekali na okazję, aby wbić mu nóż w plecy... Robaki. Na szczęście ten kmiot Abserius na coś się przydał.

– Co zatem proponujesz? – zapytał.

– Powinieneś bezzwłocznie wysłać wojska z odsieczą, aby rozdzielić między uzyskanymi informacjami a twoimi działaniami wzbudził wątpliwości przeciwnika. Prawdopodobnie planowałeś na tym poprzestać. Ja jednak uważam, że powinieneś, panie, wprowadzać jak najwięcej dezinformacji, która skołuje przeciwnika i pomoże nam wytropić zdrajcę. Jeśli wojska wyruszą jutro rano, czas reakcji wroga będzie wolniejszy. Później zmienisz rozkaz i każesz oddziałom jedynie werbować okolicznych chłopów, aby wcielić ich do armii.

– Mięso armatnie zawsze się przyda – przyznał władca.

– Następnie wydasz rozkaz, żeby ponownie ruszyli do Kastengravu.

– A co z chłopami?

– Ruszą z nimi, aby werbować w innych wsiach. Docelowo armia uda się zaś do Kastengravu. Trzeba stwarzać pozory, że wykonujemy skomplikowane ruchy, żeby przeciwnik zaczął się zastanawiać nad raportami od swojego szpiega. Zrobimy zamieszanie i odbijemy oblężone miasto.

– Mój plan jest inny – zauważył zimno Prezeus.

– Panie, nie możemy dopuścić, aby miasto dostało się w ręce wroga. Zawiera zbyt wiele ważnych informacji o królestwie i stolicy. Jest jak skarbnica wiedzy, którą przeciwnik wykorzysta przeciwko nam. Wszystkie ważne informacje o Soblevie zostały zgromadzone w Kastengravie.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? – Król zgromił wzrokiem swojego doradcę.

– Inaczej, panie, podstęp mógłby się nie udać, a tak przeciwnik uważa, że nie masz błędnego pojęcia o zawartości krasnoludzkiego miasta. Masz przewagę, królu.

– Mam zatem wysłać odsiecz do miasta?

– Zgadza się. Już z pewnością rozeszły się plotki o tym, że pozostawiasz Kastengrav na pastwę losu, a ty urządzisz publiczny wymarsz wojsk z miasta. Mieszkańcy zobaczą, że źle cię ocenili, zaufali złym ludziom zamiast tobie, królu. Będą wiedzieć, że mogą na ciebie liczyć, nawet jeśli inni będą twierdzić inaczej.

Olaf stał nad mapą i rozmyślał nad planem swojego doradcy. Musiał przyznać, że miał ręce i nogi oraz ogromną szansę powodzenia. Na przeszkodzie stał tylko jeden drobny detal.

– A twój zasrany dekret? – zapytał, wykrzywiając usta w złowieszczym, obrzydliwym uśmiechu. – Nie mogę podejmować decyzji w tajemnicy przed moimi dowódcami. Muszę ich zapoznać ze swoimi zamiarami. Sam o to zadbałeś – zakończył dobitnie.

– Właśnie dlatego wprowadziłem ten dekret, aby zdrajca połąkł przynętę. W zaistniałej sytuacji wykorzystamy inny dekret wojenny, który głosi, że w obliczu podejrzenia o zdradę władca ma obowiązek ukrywać wszystkie newralgiczne informacje i zamiary. – Abserius nie był rad, że musiał wyjawić władcy to prawo, jednak obecnie nie miał wyjścia.

– Upoluję tego zdrajcę – przysiągł mściwym tonem Olaf.

– Nie możemy, panie, poczynić żadnych kroków w tym kierunku. Musimy puścić go samopas. Nawet jeżeli poznamy już jego tożsamość, nie warto go zabijać, gdyż będziemy mogli wykorzystać go jako marionetkę do ciągłego mylenia przeciwnika. Jeżeli zręcznie to poprowadzisz, królu, oni sami go zabiją.

Prezeus zamyślił się dłuższą chwilę, po czym przyznał rację swojemu doradcy.

– Wyślę wojska jutro rano – oświadczył. – Ty zaś dopilnuj, aby zwerbowano jak najwięcej chłopów. Mięso armatnie to wspaniały pomysł.

Rozdział 17

MRO CZNY ZAMEK

Zejście do Jałowej Rozpadliny stanowiło dla trójki wędrowców największe jak dotąd wyzwanie. Pionowa ściana miała co prawda półki i wnęki pomagające we wspinaczce, ale czym innym było pięcie się do góry, a czym innym schodzenie po takiej ścianie. Mało tego, wszyscy byli zmęczeni nocnym marszem i przemykaniem przez tereny zajęte przez wroga, a rana Jarella dodatkowo komplikowała tak wymagające przedsięwzięcie.

Cała trójka ponownie przewiązała się jedną liną w pasie, na wypadek gdyby ktoś zsunął się i runął w dół. Pierwsza zaczęła schodzić Adriela, po niej Rigast, a nad nimi paladyn, który, mimo obrażeń, dalej był najsilniejszy z całej trójki i w teorii powinien być w stanie udźwignąć dwójkę zwisających towarzyszy. Był jednak również najcięższy, gdyby więc to on popełnił błąd i odpadł od skały, pociągnąłby kapłana i czarodziejkę za sobą. Nie było idealnego rozwiązania.

Na początku przedsięwzięcie szło nawet nieźle, jednak im niżej schodzili, tym większa otaczała ich mgła. Jałowa Rozpadlina słynęła ze swojego mikroklimatu. Kiedy wszędzie świeciło słońce na bezchmurnym niebie, nad kamienistym zagłębieniem gromadziły się burzowe chmury. Kiedy zimą wszędzie zalegały śniegi, tam panowała odwilż, a teraz, gdy na górze wstawał nowy pogodny, wietrzny dzień, na dole kłębiła się gęsta i mroźna mgła.

Adriela, która pierwsza zanurzyła się w zimnych oparach, natychmiast pożałowała swojej pozycji. Trzymała się kurczowo występu skalnego, czekając, aż fałszywy kapłan zejdzie trochę niżej, luzując linę, a im dłużej trwała w bezruchu, otulona mroźnymi kłębamii mgły, tym bardziej kostniały jej palce, ciałem zaś wstrząsały dreszcze zimna. Kiedy patrzyła w dół, widziała tylko zarys nóg, było więc jej jeszcze trudniej znajdować oparcie pod podeszwy butów. Działała niemal po omacku, a już kilka chwil później podobnie musieli postępować jej towarzysze, których również otoczyły mgliste opary.

Wspinaczka w dół, przebiegająca w miarę sprawnie, przekształciła się w loterię, w której wygrana oznaczała zejście o kolejne pół metra, przegraną zaś mogła być śmierć. Cała trójka podjęła wyzwanie, jednak po godzinie dalszego żmudnego schodzenia wszyscy zaczęli się niepokoić, gdyż byli przekonani, że powinni już osiągnąć dno rozpadliny.

– Adrielo! – zawołał rycerz. – Rozgoń trochę tę mgłę i powiedz nam, jak daleko jeszcze mamy schodzić.

– Dobry pomysł – podchwycił Toscmer. – Powoli opadam z sił.

– A niby jak mam to zrobić, skoro obie ręce mam zajęte? – zirytowała się czarodziejka. – Może któryś z was mi podpowie?

Zapadła cisza. Kapłan nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, a rycerz sądził, że dwójka towarzyszy doskonale wie, co powinni zrobić.

– Musisz się puścić – wyjaśnił krótko.

– Co? – zapytali chórem Adriela i Rigast.

– Nie utrzymam jej! – zaperzył się kapłan.

– Nie zaufam temu kłamcy! – prychnęła czarodziejka.

– Słuchajcie, nie mamy czasu na kłótnie. Moja rana ponownie zaczęła krwawić, albo zrobicie, co powiedziałem, albo musimy znaleźć jakąś półkę skalną, na której odpoczniemy.

– W tej mgłę nic nie widać – odparł Toscmer. – Jak zamierzasz znaleźć jakąkolwiek półkę skalną?

– Otóż to. Musimy rozeznaczyć się w sytuacji, zanim zdarzy się jakieś nieszczęście. Jeżeli jesteśmy blisko dna, zbiorę siły i postaram się wytrzymać. Jeśli zaś jesteśmy jeszcze wysoko, muszę odpocząć.

Była to argumentacja, której ani Adriela, ani Rigast nie mogli się przeciwstawić. Wbrew własnej woli i zdrowemu rozsądkowi kobieta i kapłan wcielili w życie pomysł Jarella. Rigast znalazł wygodny występ, o który zaparł się nogami. Rękami zaś wczepił się niczym nietoperz w zwietrzałą skałę wapienną. Adriela, z duszą na ramieniu, napięła linę i bardzo powoli luzowała uchwyt rąk na skale, aż w końcu zawisła, podpierając się jedynie nogami. Odwróciła się twarzą w dół i zaczęła przywoływać moce żywiołów. Niespodziewanie dla mężczyzn zerwał się wiatr, który stopniowo narastał, aż mgła, zalegająca wszędzie niczym mleko, zaczęła się przecierać.

Paladyn spojrział w górę i dostrzegł ogrom drogi, jaką zdołali pokonać. Nie był jednak w stanie określić na tej podstawie, ile zostało im jeszcze do zejścia, czekał więc cierpliwie na to, co powie Adriela.

– Już prawie jesteśmy! – zawołała kobieta. – Zostało nam nie więcej niż wysokość najwyższej wieży Zamku Ośmiu Dam.

Jaell odetchnął z ulgą. Powinien poradzić sobie z tym wyzwaniem. Szkoda było tracić teraz czas na szukanie miejsca do odpoczynku.

– Schodzimy zatem dalej – polecił, czując, jak cienka strużka krwi spływa mu po ramieniu.

Końcowy odcinek nie zajął im dużo czasu, a kiedy w końcu znaleźli się na kamiennym podłożu, usiedli zmęczeni. Zrobili krótką przerwę na zmianę opatrunku paladynowi i zjedzenie czegoś, po czym Adriela ponownie rozwinęła mgłę, aby rozejrzeć się po otaczającym ich terenie.

Jałowa Rozpadlina przerażała Rigasta swoją surowością. Nigdzie nie widział choćby najmniejszej rośliny. Otaczały go twarde skały wydrążone przez wiatr, wodę i czas. Tworzyły kamienne wzburzone morze, przez które musieli przedostać się do źródła tajemniczej energii ożywiającej nieumarłych. Na pierwszy rzut oka nie było prostej drogi, choć wyglądało na to, że nie będą musieli nigdzie się wspinać. W paru miejscach dostrzegli wejścia pod ażurową powierzchnię skały. Tunele, które biegły pod ich stopami, rozchodziły się niemal we wszystkich kierunkach. Jałowa Rozpadlina usiana była dziurami, rozpadlinami, głazami i wąskimi kładkami, gdzieniegdzie łączącymi się w miarę jednolite dno.

– Czy tylko mi się wydaje, że dotarcie do celu potrwa wieki? – zapytał cynicznie Rigast. – Jak żyję, nie widziałem tak trudnego terenu.

Jego towarzysze milczeli. Rycerz zastanawiał się, czy dadzą radę przedostać się po ażurowym skalistym dnie Jałowej Rozpadliny, czarodziejka zaś zachodziła w głowę, jak mają orientować się w mgłę, jeżeli nie byli w stanie dostrzec nawet swojego celu?

– Idziemy górą czy dołem? – zapytał Jarell.

– Nie wiem nawet, w którym kierunku powinniśmy zmierzać – przyznała gorzko Adriela.

– To co robimy? – zapytał znużonym głosem Rigast. – Czekamy, aż mgła opadnie?

Wszyscy ponownie zamilkli, głowiąc się, co począć dalej. Z jednej strony musieli jak najszybciej znaleźć się u celu, z drugiej zaś nie mogli sobie pozwolić na pochopne decyzje. Jeżeli mgła nie opadnie, stracą tylko czas, a jeśli wyruszą, kierując się intuicją, prawdopodobnie zgubią się i niepotrzebnie nadłożą drogi.

– Wiem! – krzyknął podekscytowany nagłym olśnieniem Rigast, po czym sięgnął do worka podróżnego i zawzięcie zaczął go przetrząsać.

Kompani patrzyli na niego z mieszaniną rozbawienia i niepokoju, jednak już po chwili na ich twarzach malował się tylko niepokój.

– Proszę bardzo. – Tosmer trzymał w triumfalnym geście nieduży mosiężny przedmiot z tajemniczymi symbolami wrytymi na wierzchu. – Z tym nie powinniśmy się zgubić.

Adriela wraz z paladynem pochyliłi się nad przedmiotem, ale jego wygląd niczego im nie wyjawiał.

– Na co patrzymy? – Jarell pierwszy zadał nurtujące oboje pytanie.

– Jak to? – zdumiał się ich wybawca, po czym skonsternowany odchylił wieczko metalowego płaskiego cylindra, ukazując cienką strzałkę, chybczącą się na boki i zataczającą łuki wokół własnej osi.

– To jakieś urządzenie? – Czarodziejka zmarszczyła brwi, wodząc wzrokiem za strzałką.

– Nie żartujcie sobie... – Kapłan sprawiał wrażenie mocno zawiedzionego swoimi towarzyszami. – To kompas – wyjaśnił im, ale widząc wciąż nietęgę miny, przewrócił oczami. – Wiecie, czym jest busola? To jest taka lądowa busola. – Potrząsnął cylindrycznym urządzeniem.

– Aha... Czyli wyznaczy nam kierunek do celu? – Rycerz starał się zrozumieć, jak ma im pomóc metalowe pudełko.

– Kompas wyznacza północ, ten symbol płatka śniegu u góry. Jeżeli ustalimy, jaki kierunek świata powinniśmy obrać, to nie zabłądzimy.

– Czyli mówisz, że to zadziała? – Kobieta wciąż była pełna wątpliwości.

– Tak, zadziała, o ile mi zaufacie. Naprawdę nie widzieliście przedtem kompasu? – Rigast wciąż nie mógł uwierzyć.

– Ej, jestem czarodziejką, a nie jakimś wędrownym kuglarzem – obruszyła się Adriela. – Władam czystą magią, nie potrzebuję żadnych... sztuczek.

Rigast machnął ręką zrezygnowany. Trudno było mu porozumieć się z tą kobietą na co dzień, a co dopiero w sytuacji, kiedy wychodziła na jaw jej niewiedza. Najważniejsze, że w końcu obdarzą go choć krztyną zaufania. Może wreszcie dostrzegą w nim zmianę?

– To idziemy górą czy dołem? – powoli pytanie paladyn.

– W tej mgle możemy nie zauważyć jakiejś dziury, wolałabym więc przedostać się pod powierzchnią – stwierdziła kobieta po namyśle.

– Słusznie – przyznał Tosmer. – Musimy tylko określić, w jakim kierunku powinniśmy zmierzać.

Adriela ponownie przywołała wiatr, który rozgonił na chwilę kłęby oparów, ukazując im w oddali blade, upiorne światło czerwonego słupa energii rozpraszającego się na niebie. Rigast wyciągnął sztylet z pochwy i zarysował pierścień otaczający strzałkę kompasu w tej samej pozycji względem północy, co ich cel, czyli jakieś dziesięć stopni na południe od wschodu.

– Teraz możemy ruszać – stwierdził fachowym tonem.

Cała trójka zebrała rzeczy i prowadzona przez Adriela, zanurzyła się w jeden ze schodzących pod powierzchnię ażurowych tuneli.

Cały dolny poziom Jałowej Rozpadliny składał się w zasadzie z szerokich przejść, wijących się i rozgałęziających we wszystkich niemal kierunkach. Szczęściem dla podróżników większość z tuneli prędzej czy później łączyła się ze sobą ponownie. Były jednak również takie, które wiodły do pustych pieczar bez wyjścia bądź nagle się urywały.

Wędrówka przypominała podróż ślepcą. Kiedy droga kończyła się ścianą bądź pomieszczeniem bez wyjścia, Adriela zwracała towarzyszy do najbliższego rozwidlenia i obierali kolejny korytarz, wyczekując, co tym razem zastaną na jego końcu. Nie potrafili określić, jak długo już szli. Gęsta mgła wciąż zalegała na powierzchni, wlewając się przez otwory nad ich głowami. Czas jakby zastygł w miejscu, a trójka towarzyszy wciąż brnęła dalej, wiedzona jedynie rozchybotaną wskazówką kompasu. Z czasem ogarnęło ich znużenie, jednak nie zatrzymywali się, aby odpocząć. Cały czas myśleli o tym, że muszą jak najszybciej dotrzeć do karmazynowego promienia energii. Zbyt wiele od tego zależało.

Poczynili kilka kolejnych kroków, gdy niespodziewanie mgła zgęstniała jeszcze bardziej. Byli zmuszeni zwolnić, sunąc noga za nogą, aby nie wpaść na żadną przeszkodę.

Gdy idąca na czele czarodziejka starała się rozgonić mgłę, a podążający za nią kapłan pilnował kierunku marszu, Jarell, zamykający pochód, ze zdumieniem obserwował, jak mgła, przypominająca żywe stworzenie, oplata jego towarzyszy. Przelewała się niczym gęsty płyn po ich ramionach i plecach. Mógłby przysiąc, że żadna mgła tak się nie zachowuje.

– Chyba coś widziałam. – Adriela zatrzymała się raptownie.

– Co? – Rigast niemal wpał na plecy czarodziejki.

– Nie wiem... To było jakby... – Szukała odpowiednich słów, jednak im dłużej ich szukała, tym bardziej powątpiewała w to, co zobaczyła. – Idziemy dalej – zdecydowała w końcu.

Ruszyli ponownie, przeciskając się przez wyjątkowo ciasne przejście, a kiedy parę minut później znaleźli się w obszernej pieczarze, tym razem Toscmier zatrzymał się niespodziewanie.

– Słyszeliście? – zapytał wystraszony.

– Nic nie słyszałem. – Rycerz wyteżył słuch.

– O, znowu. – Rigast stał z szeroko otwartymi oczami i ustami.

– Tam – czarodziejka wskazała gdzieś w mgłę. – To znowu to!

– Musicie to słyszeć! – Kapłan nie zwracał najmniejszej uwagi na Adrielę.

– Spójrzcie tylko – Głos kobiety przepełniała panika. – Jest wielki!

Jarell zaniepokojony, gdyż ani nic nie słyszał, ani nic nie widział, dobył buzdyganu i wyteżył wszystkie zmysły, aby nie dać się zaskoczyć nadciągającemu zagrożeniu.

Wodził wzrokiem od lewej do prawej i z powrotem, trzymając broń w gotowości i szykując się do odparcia ataku, choć jeszcze nie wiedział czego. Mimo że wyteżył wzrok i słuch, obserwował tylko coraz bardziej nerwowe zachowanie swoich towarzyszy, których coraz ciasniej, niczym mackami, otulało gęste mgliste mleko. Podświadomie czuł, że dzieje się coś złego, coś, czego nie potrafił opisać słowami, a kiedy dostrzegł węża utkanego z mgły, który wspinał się po kapłanie, spojrzął pod nogi. Jego omijały opary. Wtedy właśnie zrozumiał, z czym mają do czynienia. Schował broń i przykłęknął na kolano.

– Przestańcie, przestańcie! – Toscmier darł się w niebogłosy, leżąc na ziemi i zasłaniając uszy rękami. – Nie chcę! Nie będę!

– Gińcie! – czarodziejka siała wokół siebie spustoszenie kłębami magicznego ognia. – Szczejnijcie! – syczała przez zęby.

Rycerz klęczał przez dłuższą chwilę, skupiając się na swojej duchowej energii, po czym powstał gwałtownie, tworząc wokół barierę ochronną. Rozszerzająca się kopuła natychmiast zmiotła całą okoliczną mgłę, tworząc przejrzysty bąbel, w którym znalazła się cała trójka bohaterów.

Adriela i Rigast natychmiast otrząsnęli się ze swojego obłędu, rozglądając się niewyraźnym wzrokiem.

– Adrielo! – zawołał Jarell. – To czarna magia.

Kobieta w lot pojęła, co przed chwilą zaszło. Wyciągnęła w stronę kapłana ręce ułożone w skomplikowany sposób, po czym szepcząc coś pod nosem, zaczęła przebierać palcami w powietrzu, jakby przywracała w nich czucie.

– *Defertimanurosantosissimuronalindor* – zadeklowała zakłęcie, po czym nastąpił krótki błysk fioletowego światła.

Rigast natychmiast odczuł działanie czar. Wszystkie włosy stanęły mu dęba, a przez ciało przeszedł ciepły dreszcz, który zaczął przepełniać energią każdy centymetr jego zmęczonego ciała. Czuł się jak nowo narodzony, jakby po wielu tygodniach trudów wyspał się w miękkim łóżku. Wzrok mu się poprawił, a umysł uspokoił, poszerzając tym samym percepcję.

Po chwili czarodziejka to samo zakłęcie zastosowała wobec siebie, a kiedy skończyła, dała znać Jarellowi, który zdezaktywował barierę.

– Co się stało? – Toscmier był wciąż oszołomiony nagłym przebiegiem zdarzeń.

– Zakłęcie-pułapka – wyjaśniła krótko kobieta.

– Czarna magia – odpowiedział rycerz.

– I to bardzo dobra, nic nie wyczułam – Adriela wyraziła podziw dla kunsztu osoby, która spętała to miejsce klątwą.

– Ale jak w takim razie... Dlaczego Jarell...

– My, paladyni, jesteśmy odporni na ten rodzaj czarów – wytłumaczył wojownik. – Zło omija nas, brzydzi się nami, tak samo jak my nim. Kiedy zobaczyłem, jak bardzo mgła łągnie do was, a do mnie wcale, pojąłem od razu, z czym się zetknęliśmy. Teraz jednak, kiedy oddziałują zakłęcia ochronne Adrieli, jesteśmy bezpieczni. Możemy ruszać dalej.

Kapłan nie był przekonany co do prawdziwości tych słów, ale posłusznie poszedł za czarodziejką.

– Dlaczego kiedy rzuciłaś na mnie zaklęcie, poczułem taką ulgę i wstępującą we mnie energię? – zapytał niespodziewanie, gdy stanęli w kolejnym rozwidleniu korytarzy.

– Zaklęcie chroni przed czarną magią, która z natury jest zła. Można by rzec, że zło samo w sobie, tak zresztą jak dobro, ma magiczną moc, choć nie tak silną jak czary – tłumaczyła rzeczowo. – Każde zło, jakie nas spotyka bądź które wyrządzamy, zakotwicza w nas cząstkę tej magii, która trwa, dopóki nie zostanie wyparta przez dobro lub zaklęcie ochronne. Zło nie jest jedynie zjawiskiem czy pojęciem. Jest realną siłą, która potrafi zniszczyć człowieka albo zniewolić i wykorzystać do własnych celów. Fakt, że po rzuceniu na ciebie zaklęcia ochronnego lepiej się poczułeś, świadczy o tym, ile tego w sobie miałeś – zakończyła znacząco.

Rigast zamilkł zamyślony. Czy rzeczywiście był tak podatny na działanie zła? Przecież jako kapłan starał się pomagać ludziom, nie krzywdził nikogo... Kłamał, to fakt, ale to nie były wielkie kłamstwa... No, może odrobinę nagiął wolę swoich wiernych, aby robili to, czego chciał, ale przecież taka manipulacja nikomu nie szkodziła. W zasadzie nazwałby to subtelną perswazją, która oddziaływała na dobre serca tych wszystkich ludzi, tak chętnie mu pomagających, obdarowujących go i podlizujących mu się. Czyli pogłębiał ich dążenie do czynienia dobra. Czy to mogło być złem?

– Ten tunel chyba prowadzi na powierzchnię – Adriela przerwała jego rozważania moralne. – Wyjdźmy rozejrzeć się, czy na pewno dobrze nas to ustrojstwo prowadzi – mówiąc to, wskazała kompas w rękę kapłana.

Mężczyźni bez słowa ruszyli za przewodniczką. Zagłębili się w nieco węższy niż zwykle tunel, pnący się łagodnie w górę, aż w końcu, tak jak przewidywała kobieta, dotarli na otwartą przestrzeń. Mgła nie była tutaj już tak gęsta.

– Jesteśmy blisko. – Jarell wskazał oddaloną o kilka kilometrów potężną budowlę, z której wydobywał się słup czerwonej energii. – To chyba jakiś zamek – stwierdził.

– Nawet nie zboczyliśmy bardzo z trasy. – Rigast przyjrzał się kompasowi.

Adriela stała ze zmarszczonymi brwiami, obserwując oddaloną od nich budowlę. Usta miała zaciśnięte i wyglądało na to, że intensywnie coś rozważa.

– Co się dzieje? – zapytał rycerz, widząc jej skupione oblicze. – O czym myślisz?

– O tym – zaczęła powoli kobieta – że skoro energia ożywająca umarłych wydobywa się na pustkowiu z jedyne w promieniu dziesiątek kilometrów zamku, to za wszystkim stoi jakaś śmiertelna istota, a nie żadne bóstwo, co by wskazywało, że nasz niewydarzony kapłan rzeczywiście wyznał nam prawdę. – Spojrzała pobłażliwym wzrokiem na Toscmę.

– Przecież wam mówiłem! – Rigast załamał ręce. – Nie zamierzam więcej was okłamywać.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć. – Adriela ponownie spojrzała w stronę oddalonego zamku. – Wygląda jednak na to, że to prawda.

– Jeśli mamy do czynienia z KIMS, to nie powinniśmy mieć większego problemu z zażegnaniem tego zagrożenia. Najczarniejszym ze wszystkich możliwych scenariuszy był ten, w którym za wszystkim stały nadprzyrodzone moce i niemożliwa do pokonania siła przepowiedni.

– Ostatnio sam już zacząłem wątpić, co jest prawdą – przyznał Rigast. – Cieszę się, że to jedynie zbieg okoliczności.

– Pewności jeszcze nie mamy, na razie tylko poszlaki. – Czarodziejka poprawiła swój plecak i ruszyła w stronę budowli. – Dalszą trasę pokonamy górą – zarządziła.

Do zamku dotarli o zachodzie słońca. Wznosił się na solidnej skale, osadzonej nieco wyżej niż reszta gruntu. Wspięli się na nią i o zmroku w końcu dotarli do wysokich i grubych murów, które okazały się mocno nadgryzione zębem czasu. Cała budowla była w ruinie. Wszędzie dookoła leżały fragmenty ścian, które musiały ulec erozji i oderwać się od reszty, oraz drewniane elementy dachu, strącone na dół przez wiatry i burze.

– Nie wygląda, jakby ktoś tutaj urzędował – zauważył kapłan.

– Pozory mylą. – Jarell wskazał palcem w stronę kilku wysoko osadzonych okien, z których bił poblask płomieni świec. – Musimy uważać.

Przeszli ostrożnie wzdłuż kamiennej ściany, szukając jakiegos̄ dyskretnego wejścia, aż w końcu takie znaleźli – nieduże rozpadające się drzwi, prawdopodobnie przeznaczone niegdyś dla służby. Przez lata zdążyły wypaczyć się i zablokować, rycerz więc wyłamał nogą kilka desek u dołu i po kolei wczołgali się do środka przez powstały otwór.

Znaleźli się w ciemnym korytarzu, który, jak zdążyli się zorientować, biegł w prawo i w lewo od wejścia.

– Niewiele tu widać – stwierdziła czarodziejka, otrzepując ubranie z pyłu i kurzu.

– Mamy jeszcze te dziwne pochodnie z Kastengravu? – zapytał Rigast z nadzieją.

– Nie – odezwał się rycerz ponurym głosem. – Nie mamy nawet zwykłych łuczyw.

– Dobrze, już dobrze, dajcie mi chwilę. – Adriela, zniecierpliwiona, skończyła otrzepywać spodnie, po czym wykonała kilka skomplikowanych gestów lewą ręką, a z ciemności nad nimi wyłoniła się świetlista kula, rozświetlając otoczenie w promieniu kilku metrów. – Wystarczy wam czy wciąż za ciemno? – zapytała.

– Wystarczy – odparł Jarell. – Mimo wszystko nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

– Co ty nie powiesz! – Adriela sprawiała wrażenie poirytowanej białoleniem swoich towarzyszy. – To którą teraz?

Rozejrzeli się w obie strony, jednak nie byli w stanie niczego dostrzec poza obrębem światła. Być może dalszy przebieg misji będzie zależał od tego, jaką decyzję teraz podejmą, a mogli polegać jedynie na swoim szczęściu.

– Ja bym poszedł w lewo. – Rigast spojrział na Adrielę.

– Zatem wszystko jasne. – Kobieta poprawiła plecak. – Idziemy w prawo – orzekła i wyminęła kompanów, zagłębiając się w ciemny korytarz.

Mężczyźni ruszyli za nią, trzymając się blisko, aby być zawsze w blasku magicznej kuli.

Zamek był cichy, wręcz bezdźwięczny. Wśród kamiennych ścian było słycać jedynie kroki wędrowców i pobrzękiwanie ich ekwipunku. Od czasu do czasu rozlegał się odgłos kopniętego przez przypadek śmiecia bądź odłamka gruzu. Cała trójka szła w skupieniu, mając świadomość, że znajdują się w samym sercu zła, które zaatakowało Anfer. Nie wiedzieli, z czym mają do czynienia, byli więc bardzo ostrożni i czujni.

Korytarz skręcił nagle w lewo, a niedługo później dotarli do drewnianych drzwi po ich lewej stronie.

– Wchodzimy czy idziemy dalej? – zapytał Toscmier, widząc wahanie na twarzach Jarella i Adrieli.

Paladyn i czarodziejka spojrzeli po sobie, następnie na drzwi, później w głąb ciągnącego się dalej korytarza i ponownie na drzwi. Nie przyspieszyło to jednak ich decyzji.

– Długo jeszcze będziecie się zastanawiać? – Kapłan przewrócił oczami.

– Taki mądry jesteś? – Adriela zgromiła go wzrokiem.

– Jedno fałszywe posunięcie i możemy nie wyjść stąd żywi – wyjaśnił Jarell.

– W związku z tym będziemy dumać przed przekroczeniem każdego progu? Nie mamy na to czasu. Jeśli nic nie słycać, to wchodzimy – oświadczył odważnie Rigast.

Adriela nie do końca zgadzała się z kapłanem, jednak w tym przypadku chyba miał rację. Powinni jak najszybciej uporać się z zagrożeniem, zanim wróg zrówna Kastengrav z ziemią.

Nacisnęła klamkę i pchnęła mocno stare skrzydło drzwi. Nie otworzyły się na oścież, ale zaparły o posadzkę, zostawiając jednak wystarczającą szparę, aby zdołali precyzyjnie się do środka.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było całe zdewastowane. Wszędzie poniewierały się drewniane fragmenty rozbitych skrzyń, kufrów, regałów, półek oraz zbutwiałe szmaty i przerdzewiałe metalowe elementy, które niegdyś były zapewne bardzo użyteczne.

– To chyba jakiś magazyn – zasugerował rycerz, rozglądając się dookoła.

– Na to wygląda. – Kobieta przyglądała się przez dłuższą chwilę roztrzaskanemu regałowi leżącemu w kącie. – Nie daje mi spokoju ten zamek – wypaliła nagle.

– Co przez to rozumiesz? – Jarell spojrział na nią, zaintrygowany.

– Nie widziałam, aby widniał na jakiegokolwiek z królewskich map. Według wszystkich kartografów w ciągu ostatnich czterystu lat nie było tutaj żadnych budowli. Niedawno interesowałam się Jałową Rozpadliną. Czytałam

wszelkie możliwe kroniki i prace, a nawet pamiętniki z podróży. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Jałowa Rozpadlina jest jałowa i nie ma tu nic ciekawego, a przecież tutaj ktoś musiał żyć. Najwyraźniej jakiś bogaty ród...

– Adrielo – przerwał jej rycerz – pamiętaj, że nasze królestwo przechodziło burzliwe okresy i być może któryś władca nakazał wymazanie tego zamku z kart historii Anferu. Pamiętasz, co było z generałem Daliussem?

– Za zdradę został usunięty z większości kronik i opracowań historycznych. – Czarodziejka nieco się uspokoiła na tę myśl. – Po prostu zdumiewa mnie, że nic nie wiemy o tej budowli. Lubię być przygotowana – wyjaśniła.

– Ja również, ale czasem trzeba po prostu improwizować, tak jak nasz szanowny wielebny. – Wojownik zaakcentował ostatnie słowo, zerkając na Toscmerna. – Musimy gromadzić informacje na bieżąco. Wiemy na przykład, że od dawien dawna nikt tutaj nie urzędował. Przynajmniej na parterze – poprawił się szybko. – Zobaczmy, co zastaniemy na piętrze.

Czarodziejka skinęła głową, najwyraźniej usatysfakcjonowana odpowiedzią paladyna, po czym ruszyła do kolejnych drzwi po przeciwległej stronie pomieszczenia.

– Też chyba magazyn – zaryzykował stwierdzenie Rigast, kiedy znaleźli się w następnej sali.

– Na to wygląda – stwierdziła obojętnie Adriela.

Czarodziejka bez słowa przeszła do kolejnych drzwi.

Penetrowali pomieszczenie za pomieszczeniem i korytarz za korytarzem, mając nadzieję, że w końcu trafią na jakąś klatkę schodową, która umożliwi im dotarcie na kolejne piętro, i kiedy byli już mocno znużeni poszukiwaniami, znaleźli się w dawnej kuchni, zagraconej antycznymi niemal przyborami do gotowania i potłuczonymi naczyniami.

– Dostyc tego – stwierdziła krótko Adriela. – Wracamy. Musieliśmy coś pominąć.

– Chyba żartujesz – oburzył się kapłan.

– Adriela ma rację – poparł towarzyszkę paladyn. – Coś nam umknęło.

– Owszem. Nawet wiem co. – Rigast rozejrzał się wymownie.

– O co ci chodzi? – Czarodziejkę na powrót zaczęło ogarniać zniecierpliwienie na samą myśl o wymianie zdań z ich niewydarzonym zbawcą.

– Jesteśmy w KUCHNI – powiedział Toscmern, a nie doczekawszy się żadnej entuzjastycznej reakcji ze strony towarzyszy, załamała ręce. – Ja wiem, że nie jestem tak bystry jak wy ani tak odważny czy odcytany, ale pewne rzeczy pozostają w sferze doświadczenia. Nie wiem, czy zwróciliście uwagę na specyfikę pomieszczeń na parterze. – Rigast zawiesił głos w nadziei, że jego kompani coś odpowiedzą, jednak milczeli, wpatrując się w niego nieodgadniomym wzrokiem. – Minęliśmy dwa magazyny, warsztat, pomieszczenia dla służby, a teraz jesteśmy w kuchni. Coś wam to mówi?

– Słuchaj no, błażnie – Adriela straciła cierpliwość – nie mamy czasu na twoje zagadki, powiedz więc w końcu, o co ci chodzi, albo przestań marnować cenny czas.

– To jest poziom dla służby. Jakiegokolwiek komnaty znajdują się na piętrach.

– Domyślamy się – stwierdził rycerz.

– A domyślacie się, skąd biorą się potrawy na waszych stołach, burżuje? – Rigast stracił panowanie nad sobą. – Pewnie nie, bo macie w głębokim poważaniu służbę. Gdyby było inaczej, wiedzielibyście, że najpewniejszy sposób, aby jedzenie trafiło na stół ciepłe, to usytuować kuchnię jak najbliższej jadalni, ale na oddzielnym poziomie. Widzicie tamte szerokie drzwi? – Wskazał zachodnią ścianę pomieszczenia. – Jestem pewien, że znajdują się za nimi schody na piętro, prosto do jadalni. Ale co tacy reprezentanci elity jak wy mogą o tym wiedzieć?

Zaległa cisza. Magiczna kula nie dawała wiele światła, ale Rigast był przekonany, że zarówno Adriela, jak i Jarell zawstydzili się.

– Jeśli chcecie zmarnować jeszcze więcej czasu niż ja na swój wywód, który przynajmniej czegoś was nauczył, to idźcie, cofnijcie się i szukajcie schodów, które znajdują się tuż przed waszymi nosami. Ale mam też drugie rozwiązanie: możecie przestać traktować mnie z wyższością, jakbym był upośledzony, i zacząć współpracować. To jednak będzie od was wymagało krztyny zaufania do mojej osoby. Wiem, że w ostatnim czasie nie wykazałem się

cechami kogoś, komu można bez lęku coś powierzyć, ale jestem tutaj razem z wami, w siedlisku zagrożenia, które chce zniszczyć nasze królestwo. Musicie więc podjąć jakąś decyzję, i to teraz. – Tosmer patrzył na nich płomiennym wzrokiem, czekając na odpowiedź.

– Niezła gadka. – Głos Adrieli przeciął zalegającą w półmroku ciszę. – Od razu widać, że niezły z ciebie kaznodzieja – prychnęła uszczypliwie i minęła go, chcąc zbadać przejście, o którym powiedział.

– To oznaczało, że jest nam przykro – wyjaśnił szybko paladyn. – Masz rację, musimy się zjednoczyć, inaczej nic nie zdziałamy. – Rycerz podszedł do kapłana i położył ciężką dłoń na jego ramieniu. – Wybaczysz nam naszą pychę?

Rigast skinął w milczeniu głową i również położył dłoń na ramieniu rycerza. Gest ten sprawił, że poczuł się w końcu równy swoim towarzyszom.

– Halo, panowie, idziecie czy dalej będziecie się obłapiać? – Głos czarodziejki niósł się zza szerokich drzwi. – Znalazłam schody.

Klatka schodowa była szeroka i wyraźnie przystosowana do wnoszenia nią potraw na tacach i paterach, a więc miała również niskie stopnie, aby ułatwić służbie wspinaczkę z pieczoną wieprzowiną czy jesiotrem w kawiorze.

Kiedy dotarli w końcu na piętro, byli pewni, że dalej pójdzie im łatwiej. Niestety, gdy tylko opuścili korytarz, zderzyli się z brutalną rzeczywistością.

Znaleźli się w podłużnej komnacie wypełnionej stojącymi pod zmurszałymi ścianami rzeźbami, równie zdewastowanymi, jak reszta zamku. Nieruchome figury, pokryte kurzem, wlepiły w nich swoje puste spojrzenia i wyciągały kikuty odłupanych kończyn. Widok był na tyle groteskowy, że cała trójka stanęła jak wryta, nie wiedząc z początku, na co patrzy. Otrzeźwił ich dopiero ruch w głębi sali. Jedna z figur, dosyć nikiłej postury i pozbawiona lewego ramienia, ruszyła prosto na nich. W świetle magicznej kuli błysnął korbacz trzymany w ocalałym ręku.

Wszyscy zamarli z przerażenia, aż w końcu figura weszła w jaśniejszy obszar pomieszczenia, a wtedy Jarell odetchnął z ulgą i dobył buzdyganu.

– Ja to załatwię – rzucił do Adrieli i ruszył na spotkanie przeciwnikowi.

Dopiero wtedy Rigast się zorientował, że to nie groteskowa figura, ale jeden z zapewne licznych nieumarłych wartowników, którzy wałęsają się po korytarzach zamku.

Paladyn podszedł do umarlaka na odległość ciosu, jednak natychmiast musiał odskoczyć przed ciężką stalową i naszpikowaną kolcami kulą na łańcuchu, którą zamachnął się przeciwnik.

Truposz był szybszy, niż przewidywał rycerz. Najwyraźniej miał do czynienia z zaawansowaną nekromancją, a to nie wróżyło niczego dobrego.

Jarell przybrał postawę bojową i zaczął zataczać powolny krąg wokół przeciwnika, starając się wy badać jego refleksy i zmysł taktyczny. Ożywieniec bardzo aktywnie reagował na każdy, nawet najmniejszy gest wojownika, mimo że zasnutę bielmem, wyschnięte gałki oczne nie poruszały się, trwając w upiornym i pustym spojrzeniu.

Paladyn przybrał eksperymentalnie jedną z pozycji bojowych, sugerujących, że zaatakuję z góry. Umarlak natychmiast uniósł swoją broń wyżej, gotów w każdym momencie wykonać blok.

Rycerz jeszcze nigdy nie spotkał się z tak rozwiniętymi odruchami u marionetki jakiegokolwiek nekromanty. Chciał wykonać jeszcze ostatni test, a mianowicie popularny zwód zwany Lisim Ogonem, i zobaczyć, jak przeciwnik zareaguje na taki manewr. Nim jednak zdołał zmienić swoją pozycję, głowa ożywienia eksplodowała w trzaskiem.

– Wybacz, ale nie mamy na to czasu – skwitowała Adriela, opuszczając rękę. – Pobawisz się kiedy indziej.

Wybrali drzwi po przeciwległej stronie upiornej galerii i ruszyli dalej.

Spenetrowanie piętra zajęło im jakiś kwadrans, a im głębiej się zapuszczali, tym większe zdumienie budził w nich zamek. Mimo że był zdewastowany i poważnie nadgryziony zębem czasu, w niektórych pomieszczeniach zachowały się meble i przedmioty, które nie miały większych szans na przetrwanie. Ewidentnie ktoś ich doglądał i naprawiał jak tylko potrafił. Sala biesiadna wyglądała wręcz na zdaną do użytku. Komnata była uprzątnięta, meble całe i dokładnie odkurzone, a z sufitu zwiisał potężny kandelabr, uzbrojony w dziesiątki stosunkowo mało używanych świec. Nawet gruby obrus rozłożony na długim blacie stołu był skrupulatnie pocerowany.

Przed dotarciem do kolejnych schodów, prowadzących na drugie piętro, Jarell stoczył krótką potyczkę z jeszcze jednym ożywieńcem, na którego wpadli w wąskim korytarzu. Również tym razem dzieło nekromanty wykazało się niespotykanym talentem bitewnym, choć nie tak wybitnym, jaki prezentował paladyn.

Drugie piętro wydało im się mniejsze, choć było to zapewne spowodowane tym, że składało się z apartamentów. Nie było tutaj licznych małych wartowni jak piętro niżej. Nie było również płataniny wijących się korytarzy. Potężne komnaty były usytuowane stosunkowo blisko siebie, nie wymagały więc błędzenia i zawracania ze ślepo zakończonych stróżówek. Co ciekawe, im wyżej wchodzili, tym bardziej zadbany wydawał się przybytek. Bogato wykończone komnaty niewiele straciły ze swojego uroku i za czasów swojej świetności musiały z pewnością robić duże wrażenie i budzić zazdrość u gości.

Trójka towarzyszy ostrożnie przeszła przez pierwszy apartament, spodziewając się w każdej chwili ataku znienacka, jednak wszystko szło jak z płatka. Przeszli na przestrzał przez kolejną bogato wykończoną komnatę i znaleźli się w wąskim korytarzu, w którym niemal od razu odnaleźli równie wąską, wijącą się spiralnie wysoko w górę klatkę schodową.

– No nareszcie – odetchnęła Adriela. – Wyglądają na schody prowadzące na wieżę.

– Jeżeli tak, to chyba pomijają trzecie piętro – zauważył rycerz.

– Tam gdzie widać było światła... – przypomniał na głos Rigast. – Czy to znaczy, że mamy szansę niezauważeni dokonać dywersji?

– Zależy, co zastaniemy na górze. – Jarell poprawił buzdygan za pasem. – Ale miejmy nadzieję, że uda się załatwić wszystko po cichu.

Adriela pierwsza wspięła się po kamiennych stopniach i paręnaście metrów wyżej również pierwsza weszła do dużego pomieszczenia. Było okolone drewnianymi schodami wijącymi się pod ścianą wysoko w górę, prawdopodobnie aż na sam szczyt wieży. Czarodziejka pomyślała, że miejsce to przypomina izbę dymną z wiejskiej chaty, tyle że zamiast otwartego paleniska pośrodku pomieszczenia znajdowała się tam kamienna studnia, z której wydobywał się promień energii. Piął się w górę przez całą wysokość wieży.

Gdy jej towarzysze również osiągnęli szczyt schodów, zamarli, zadziwieni widokiem karmazynowego słupa światła. Paladyn wykonał dziwny gest prawą ręką, mający przypomnieć swojemu bogu, aby go chronił, Rigast zaś stał z rozdziawionymi ustami i zupełnym zamętem w głowie. Nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego. Ba, nawet nie czytał o czymś takim.

Poruszeni, podeszli bliżej studni, aby lepiej się przyjrzeć zjawisku.

Obmurówka studni sięgała im do pasa i miała zbliżoną średnicę i wysokość. Na niej zaś dostrzegli przedziwny przedmiot, z którego wydobywała się ożywiająca umarłych krwawa energia. Wyglądem przypominał kryształową skrzynię o fantazyjnym sześciennym kształcie. Od dna skrzyni w głąb studni zwieszał się stożkowaty element, który mimo swojej matowej powierzchni świecił słabym blaskiem. Nad odwróconym stożkiem umieszczone były cztery różnych rozmiarów okrągłe płyty, wypukłe z wierzchniej strony. Trudno było określić ich barwę czy strukturę, gdyż między nimi wirowała zągęszczona energia, która znajdowała ujście dopiero nad ostatnim z krążków, ułożonym na szczycie zdumiewającej konstrukcji.

– Co to, u licha, jest? – Rigast wydał z siebie niemal histeryczny jęk.

– Nie wiem. – Czarodziejka sprawiała wrażenie, jakby straciła rezon. – To znaczy... Nie jestem pewna. – Szybko odzyskała wigor. – Wygląda na jakieś urządzenie służące do... ukierunkowania... a może przekształcania jakiejś niewidzialnej energii w to. – Wskazała delikatnie pulsujący czerwony słup.

– Rozwalamy? – Jarell złapał za buzdygan.

– Nie! – Adriela nagłym ruchem ręki zagroziła mu dojsście do studni. – Wyczuwam silną magię. Nie możemy tego tak po prostu zniszczyć, nie rozumiejąc, z czym mamy do czynienia. Skutki mogłyby być katastrofalne.

– Chcesz przez to powiedzieć, że będziemy szukać po zamku planów tego czegoś? – Toscmier uniósł sceptycznie brwi.

– Mam lepszy pomysł. – Kobieta wyjęła kryształ kontaktowy. – Poradzę się Kaspiry, może ona nam pomoże.

Przez kilka minut stali w milczeniu, wpatrując się w urządzenie. Czarodziejka raz na jakiś czas podchodziła bliżej, przyglądając się jego szczegółom, jednak nic nie mówiła. W końcu wyprostowała się, schowała kryształ i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Prawdopodobnie – zaczęła Adriela – mamy do czynienia z magicznym wzmacniaczem jakiegoś niespotykanego typu. Kaspira powiedziała, że przed wielu laty pracowała nad takim urządzeniem wraz z Irionem, królewskim wynalazcą – wyjaśniła kapłanowi. – Nie udało im się jednak zbudować nawet prototypu, gdyż w jej pracowni wybuchł pożar, pochłaniając wszystkie kluczowe plany. Zostały jej tylko szkice tych soczewek. – Wskazała okrągłe płyty wewnątrz urządzenia. – Gdy je znajdzie, odezwie się do mnie, żebyśmy je porównały. Jeśli się okaże, że to rzeczywiście urządzenie tego typu, zniszczenie go nie wchodzi w grę.

– Dlaczego? – Rigast uwielbiał słuchać o magii, a tym bardziej wtedy, kiedy opowiadała o tym piękna czarodziejka.

– Bo w takim wypadku ten odwrócony stożek na spodzie to pryzmat, który wylapuje energię i przekierowuje ją w rozproszonej formie dalej do magicznych soczewek. To tłumaczyłoby takie zagęszczenie energii magicznej między nimi. Soczewki są różnych rozmiarów i grubości, gdyż każda z nich ma inne zadanie. Razem jednak, rozmieszczone w odpowiednim układzie, uporządkowują energię w konkretnym celu. Kiedy usuniemy którąś z soczewek lub zmienimy jej położenie względem pozostałych, wszyscy możemy zginąć, a niekoniecznie uda nam się zniszczyć wzmacniacz.

– To co robimy?

– Czekamy. Musimy mieć chociaż możliwość porównania tych soczewek ze szkicami Kaspiry, abyśmy mogli podjąć jakiegokolwiek ryzyko.

Ledwie czarodziejka skończyła mówić, gdy nad ich głowami rozległo się skrzypienie desek. Po drewnianych schodach pnących się w górę wieży schodziło do nich niezdarnie czterech wyjątkowo szkaradnych ożywieńców.

Paladyn odruchowo sięgnął po broń i już miał ruszyć im na spotkanie, kiedy w drzwiach, którymi weszli, pojawiło się kolejnych dwóch, zmierzających żwawym krokiem w ich stronę.

– Biorę tych na gorze – rzuciła Adriela i wyciągnęła przed siebie obie ręce, szykując się do uwolnienia magicznej energii ze swoich pierścieni.

Jarell, z buzdyanem w ręku, już zmierzał w stronę swoich przeciwników, gotów walczyć do ostatniej kropli buzującej w jego żyłach krwi.

Rigast zaś stał nieporadnie, nie wiedząc za bardzo, co powinien robić. Obnażył ostrze swojego sztyletu i odruchowo cofnął się pod ścianę, rozglądając się nerwowo za nowym zagrożeniem.

Coś błysnęło – to Adriela posłała błyskawicę prosto między oczy najniższego stojącego z martwiaków, który zwałił się natychmiast po drewnianych stopniach i legł nieruchomy dopiero na posadzce. Po chwili rozległ się głośny trzask – to Jarell pogruchotał piszczel jednego ze swoich przeciwników.

Kapłan wodził nerwowym wzrokiem od rycerza do czarodziejki, nie mogąc się zdecydować, czy któremuś pomóc, czy też się nie mieszać, aż w pewnym momencie dostrzegł coś, co zjeżyło mu włosy na głowie. Z wejścia po przeciwległej stronie pomieszczenia wszedł kolejny umarłak. Był wyjątkowo wielki i najwyraźniej jeszcze do niedawna cieszył się pełnią życia, gdyż, najzwyczajniej rzecz ujmując, wyglądał zdrowo w porównaniu ze swoimi szkaradnymi towarzyszami broni. Jego stan wewnętrzny zdradzały jedynie puste, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu oczy, utkwione w stojącej do niego tyłem czarodziejce. Ożywieńiec uniósł w górę wyjątkowo paskudnie wyglądające, szerokie ostrze swojej szabli i ruszył do ataku.

Rigast chciał krzyknąć, dać znać towarzysze, aby się odwróciła, zbliża się bowiem do niej zagrożenie. Jednak nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego dźwięku, zupełnie jakby sparaliżowała go jakaś niewidzialna siła. Sekundy dzielące wielkoluda z szablą od kobiety ciągnęły się w głowie Toscmery w nieskończoność. Nie próżnował jednak – ze wszystkich sił starał się odzyskać utraconą władzę nad swoimi strunami głosowymi, aby ostrzec czarodziejkę przed niechybną śmiercią. Próby nie odnosiły żadnego rezultatu i kiedy już oczyma wyobraźni widział Adrielę osuwającą się bezwładnie na podłogę, zalaną własną krwią, coś szarpnęło go w przód. Nie był pewien, co

właśnie się wydarzyło, ale wiedział jedno – biegł prosto na wielkiego umarlaka i wcale go to nie przerażało, wręcz przeciwnie, nie mógł się doczekać, kiedy się z nim zetrze. Minął magiczną studnię, zrobił szybki manewr okrążający i błyskawicznie znalazł się na plecach wielkiego ożywieńca, trzymając się kurczowo jego zimnej i twardej w dotyku szyi. Ten, gdy tylko poczuł na sobie nieznaną ciężar, całą swoją uwagę skupił na Rigaście. Miotał się po pomieszczeniu, chcąc zrzucić napastnika i rozprawić się z nim tak, jak jeszcze przed chwilą chciał rozprawić się z czarodziejką.

Kapłan trzymał się jednak zbyt kurczowo. Przywarł do pleców olbrzyma z szablą niczym jeździec do swojego rumaka i gdy tylko miał ku temu sposobność, dźgał go swoim sztyletem gdzie popadnie.

To jednak nie wywierało na umarlaku najmniejszego wrażenia. Miotał się coraz energiczniej, aż w końcu zmienił taktykę i zaczął uderzać plecami w ściany. Po kilku takich uderzeniach sztylet Rigasta zadzwonił, upadając na posadzkę, a po kilkunastu również sam kapłan zsunął się obolały pod nogi napastnika. Wielkolud, gdy tylko odzyskał swobodę, obrócił się do leżącego na ziemi mężczyzny i wznosił nad głowę paskudne ostrze swojej szabli. W jego oczach nie było nienawiści czy żądz mordy. Były puste, pozbawione wyrazu, co jeszcze bardziej przerażało Toscmę. Nie chciał w nie patrzeć, nie chciał być świadkiem własnej śmierci. Zaciśnął mocno powieki, czekając na śmiertelny cios. Zamiast tego jednak usłyszał huk, a następnie brzdęk ostrza i łoskot upadającego ciała. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą Adrię z ręką wyciągniętą w jego kierunku. Chwyił ją natychmiast i podźwignął się na nogi.

– Zatrzyma ich tylko uszkodzenie czaszki – wyjaśniła kapłanowi, wskazując na leżące u ich stóp zwłoki z resztkami czegoś, co kiedyś było głową. – A teraz wybacz, ale... – Uniosła wymownie kryształ kontaktowy i z powrotem podeszła do studni.

– Wszystko w porządku? – Jarell podszedł do Rigasta i zbadał pobieżnie, czy kapłan jest cały i zdrowy.

– Tak... Myślę, że tak. – Toscmę wciąż był oszołomiony walką i tym, że wyszedł z niej bez szwanku.

– Nie idziesz na łatwiznę. – Rycerz wskazał na bezgłowego olbrzyma. – Coś nowego. – Poklepał towarzysza po ramieniu i podniósł szablę. – W moim zakonie mamy taką tradycję, aby zbierać trofea po swoich pierwszych pokonanych wrogach. – Wręczył broń wciąż roztrzęsionemu Rigastowi.

– Ale... to nie ja go zabiłem, tylko Adrię – wydukał kapłan.

– Nie mówiłem o zabijaniu, ale o pokonywaniu. – Paladyn mrugnął do towarzysza, zatknął buzdygan za pas i wolnym krokiem odszedł w kierunku czarodziejki.

Kapłan stał przez chwilę, próbując pozbierać myśli. Przyjrzał się matowemu ostrzu szabli, trzymanej teraz dwurącz, i poczuł dumę. Podobała mu się taka tradycja, a jeszcze bardziej cieszył go fakt, że wojownik go docenił. Uśmiechnął się sam do siebie i dołączył do przyjaciół.

– Mam dobrą i złą wiadomość. – Czarodziejka schowała kryształ kontaktowy i wpatrywała się teraz przenikliwym wzrokiem w magiczne soczewki wewnątrz wzmocniacza.

– Dobra wiadomość jest taka, że żyjemy. – Jarell uniósł kciuk do góry.

– Tak... – Czarodziejka uśmiechnęła się bez wyrazu. – Jakimś cudem mamy do czynienia z takim samym urządzeniem, jakie konstruowała Kaspira. Wprowadzono jedynie parę mało istotnych zmian...

– To jest ta dobra wiadomość – domyślił się Toscmę. – Jaka jest zatem zła?

– Cóż... – Kobieta nabrała głośno powietrza w płuca. – Jedynym sposobem, aby unieszkodliwić to urządzenie, jest zniszczenie go jego własnym potencjałem energomagicznym.

– Hm... Przypuśćmy, że zrozumieliśmy, co właśnie powiedziałaś. Jak mamy to zrobić? – Paladyn ściągnął brwi, skupiając całą swoją uwagę na słowach kobiety.

– Ostatnia soczewka – Adrię wskazała element osadzony na szczycie wzmocniacza – kształtuje ostateczny magiczny profil energii, która oddziałuje na molekuly otaczającego ją świata fizycznego.

– Ożywia umarłych? – Rigast starał się zrozumieć, o czym opowiada kobieta.

– W tym wypadku tak. – Czarodziejka otworzyła usta, jakby szukała odpowiednich słów. – Jedynym bezpiecznym czy może raczej dającym nam jakiejkolwiek szansę na przeżycie rozwiązaniem jest spowodowanie, aby

energia po opuszczeniu urządzenia wróciła do niego... wzmocniona.

– Nie brzmi to tak, jakby zwiększało nasze szanse. – Teraz Toscmier zmarszczył brwi.

– Tak będzie, jednak musimy przedtem wytłumić energię wewnątrz wzmacniacza – wyjaśniła Adriela.

– Jak? – Rycerz skrzyżował ramiona na piersi. – Znasz jakieś zakłęcie?

– Niestety, nie. To znaczy znam, ale musiałabym ustalić dokładne pasmo magiczne energii oraz... Nieważne. – Czarodziejka pokręciła energicznie głową. – W tym wypadku mamy prawdopodobnie do czynienia z magicznym olejem tłumiącym – wyjaśniła, a widząc niepewne miny mężczyzn, znowu zaczęła szukać odpowiednich słów, aby im to wytłumaczyć. – Jest to substancja, która zaburza potencjał energomagiczny, sprowadzając go do bezczynnikowej stałej apria, która...

– Jak wygląda? – Jarell przerwał jej, gdyż nawet gdyby chciał, i tak by nie zrozumiał, o czym opowiada kobieta.

– Gęsty opalizujący płyn – odparła czarodziejka, wdzięczna, że nie musi im już nic tłumaczyć.

– Podsumujmy. – Rigast położył sobie palce na skroniach, starając się ułożyć w logiczną całość informacje, które usłyszał. – Należy wlać do urządzenia olej, który wytłumi energię, co umożliwi nam obrócenie górnej soczewki, aby odbiła energię z powrotem?

– Tak – potwierdziła Adriela. – Z tym, że soczewka jest jednokierunkowa. Będę musiała zamienić ją w dwukierunkową, a następnie zasklepić magiczny przepływ wierzchniej części, co zawróci energię, po czym skupi ją w przeciwnym kierunku.

– Ja już chyba wolałem, kiedy wydawałaś nam po prostu polecenia. – Wojownik spojrział porozumiewawczo na Rigastę, który również nic nie pojmował z magiczno-technicznego żargonu ich towarzyszek.

– Musicie zdobyć ten olej – powiedziała Adriela, poirytowana nieco ich ignorancją. – Ja w tym czasie przeprowadzę pomiary, aby przygotować soczewkę. Będziemy mieli tylko jedno podejście, wszystko musi więc pójść gładko.

– A czy jesteś pewna, że znajdziemy gdzieś tutaj taki olej? – zapytał paladyn, tknięty wątpliwościami.

– Nie – Adriela z miejsca zaprzeczyła. – Istnieje jednak bardzo duże prawdopodobieństwo, że trzymają go gdzieś w zamku na wypadek nagłej potrzeby.

– Trzymają? – Rigast zaintrygowało użyte sformułowanie. – Skąd wiesz, że są jacyś ONI?

– Do stworzenia takiego wzmacniacza potrzeba wielu tęgich głów, i to biegłych w różnych dziedzinach, mamy więc do czynienia z paroma osobami o niebywałej wiedzy i ogromnym doświadczeniu.

– Muszą być na trzecim piętrze – domyślił się Jarell.

– Powinni mieć jakieś laboratorium albo pracownię, w której trzymają elementy konstrukcyjne i pewnie zapas oleju wytłumiającego. Pospieszcie się – dodała i ponownie skupiła się na urządzeniu.

Jarell skinął głową i wraz z kapłanem ruszyli do drugiego wyjścia z pomieszczenia.

– Gdzieś tam zapewne są schody prowadzące na niższy poziom – wyjaśnił rycerz.

– Siłą rzeczy – przyznał Rigast.

Po pokonaniu drzwi oraz dwóch zakrętów w korytarzu rzeczywiście trafili na klatkę schodową prowadzącą w dół. Im dłużej przebywali w zamku, tym większą mieli pewność, co znajdą na końcu korytarza bądź schodów, którymi zmierzali. Budowla okazała się schematyczna i również tym razem przewidywalna. Dotarli do jasno oświetlonego pochodniami przejścia prowadzącego do średniej wielkości pustego pomieszczenia, w którym stały potężne drewniane balie, pełne wątpliwej świeżości wody.

– To chyba łaźnia. – Paladyn rozejrzał się dokładnie.

– Proponuję iść w lewo. – Rigast wskazał uchylone drzwi.

Ostrożnie, aby nie wydały najmniejszego dźwięku, otworzyli je i weszli w kolejny oświetlony korytarz. Poruszali się bardzo powoli, wyczuleni na najcichszy nawet odgłos. Piętro było zamieszkałe, w każdej chwili spodziewali się więc spotkania z jakimś przeciwnikiem, który, z taktycznego punktu widzenia, powinien być bardziej zaskoczony ich obecnością niż oni jego. Przewaga taktyczna była kluczowa w tym momencie i mogła przesądzić o wszystkim.

Doszli do końca przejścia i trafili na drzwi. Otworzyli je i wślizgnęli się do środka. Izba, w której się znaleźli, była oświetlona jednym mizernym kagankiem postawionym przy niedużym, jednoosobowym prostym łóżku. W panującym półmroku trudno było im się rozeznać w wyglądzie pomieszczenia. Kiedy weszli głębiej, szukając kolejnego wyjścia, drzwi za nimi zatrasnęły się z hukiem. Obrócili się natychmiast z bronią w pogotowiu, a chwilę później kaganek za ich plecami zgasł, pogrążając izbę w całkowitym mroku.

Jarell natychmiast szarpnął kapłana i rzucił się pędem w stronę wyjścia. Nim jednak zdążyli tam dobiec, obaj leżeli już nieprzytomni na starym, chociaż wciąż miękkim dywanie.

Rozdział 18

ZEMSTA

Rigast otworzył ciężkie powieki, a jego głowę przeszył ostry ból. Mrugnął kilkakrotnie, poprawiając ostrość widzenia, i podniósł bezwładnie zwisającą głowę.

Siedział w równomiernie oświetlonej izbie przerobionej na pracownię lub laboratorium (nie był do końca pewien). Ręce miał spętane za wysokim oparciem staromodnego krzesła, które skrzypiało niemiłosiernie przy najmniejszym ruchu.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, wypełnione było po brzegi dziwnie wyglądającą aparaturą alchemiczną (w której z pewnością jedynie Adriela potrafiłaby się zorientować), makabrycznie wyglądającymi narzędziami wystającymi z niedomkniętych skrzyń i kufrów upchniętych pod blatami długich stołów, regałami wypełnionymi zakurzonymi księgami oraz flaszками pełnymi różnokolorowych płynów i enigmatycznymi przedmiotami o tak rozmaitych i niespotykanych kształtach, że mogły być nawet nieznanymi Toscmerowi przyborami kuchennymi.

Rigast, gdy tylko przestał analizować otoczenie, zdał sobie sprawę, że nim się tutaj znalazł, nie był przecież sam. Nerwowo rozejrzał się po izbie w poszukiwaniu Jarella. Kilka kroków od niego, po prawej stronie, dostrzegł na granicy pola widzenia sylwetkę rycerza. Wyglądało na to, że wciąż jest nieprzytomny. Rigast próbował obudzić towarzysza, jednak udało mu się tylko narobić niepotrzebnego hałasu. Po chwili skrzydło znajdujących się po lewej stronie drzwi otworło się z łoskotem i stanął w nich niepozornie wyglądający, mizerny człowieczek.

– Ach, widzę, że już się obudziliśmy – zaskrzeczał, łypiąc pełnym wyższości spojrzeniem.

Tuż za nim do pomieszczenia weszło sześć ponurych postaci. Mężczyźni byli odziani w eleganckie, choć od dawna niemodne i znoszone ubrania, a ich dziko wyciosane twarze były równie ponure, co zamek, w którym się znajdowali. Tylko żywe czerwone oczy zdradzały ich drapieżne i porywcze usposobienie.

Rigast bezwiednie wciągnął powietrze głęboko w płuca, uświadamiając sobie, czym są te istoty. Już raz zetknął się z przedstawicielem ich gatunku, który, gdyby nie Adriela i Jarell, zapewne wycisnąłby go do ostatniej kropli krwi.

– Cóż was sprowadza w nasze skromne progi? – zapytał drobny człowieczek, siłąc się na niewinny ton głosu.

Dopiero teraz, kiedy stanął bliżej, Rigast przyjrzał się jego twarzy i dostrzegł, że oczy, które powinny patrzeć na niego, spoglądały na boki w zecie rozbieżnym. Wtedy uświadomił sobie, że ich gospodarz celowo stanął między nim a rycerzem, aby mieć oko na obu.

– Nie jesteśmy rozmowni, co? – zapytał rozbawiony człowieczek. – Może twój towarzysz będzie bardziej wylewny? – Skinął na jednego z wampirów, jednak ten zasyczał tylko niczym kot, obnażając długie żółte kły.

Mizerny mężczyzna przeklął pod nosem, po czym sam podszedł do paladyna i kopnął go mocno w piszczel.

Wojownik od razu odzyskał przytomność, choć potrzebował trochę czasu, aby otrząsnąć się z oszołomienia. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po izbie i najpierw skupił swoją uwagę na grupie osób stojących w głębi pomieszczenia, a dopiero później zatrzymał swój wzrok na niepozornym człowieczku. Znajomym mu skądinąd.

– Ty... – wychrypiał niewyraźnie. – Znam cię...

Drobny jegomość sprawiał wrażenie zmieszanego, jednak prędko odzyskał rezon i odparł obojętnie:

– Nie wydaje mi się. – Na jego ustach zagościł bezczelny uśmiech. – Pytałem właśnie twojego przyjaciela, co was sprowadziło do naszego zamku, jednak albo jest niemową, albo...

– Izylion Drefus – przypomniał sobie rycerz.

– Skąd znasz to imię? – Uśmiech natychmiast spęł z twarzy zezowatego, która zaczęła sztywnieć w grymasie gniewu.

– Byłeś doradcą króla. – Paladyn starał się wytłumaczyć sobie w logiczny sposób obecność tego człowieka w zamku, jednak wciąż miał zamęt w głowie. Czyżby Olaf maczał w tym palce?

– Zgadza się – przyznał Izylion niewyraźnym głosem. – Służyłem wiernie Olafowi do momentu, aż... – Przerwał nagle. Przypatrzył się wojownikowi pod innym kątem i po chwili klasnął uradowany w ręce. – Ależ to Jarell! – zawołał. – Kopę lat. Ty dalej w służbie jego królewskiej niedorajdowości? – zapytał rozbawiony

– W pierwszej kolejności służę Anferowi. – Rycerz zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Znacie się? – wypalił Rigast.

– No proszę... TO mówi. – Drefus zaśmiał się kapłanowi w twarz.

– Izylion był doradcą króla, jednak Olafowi nie przypadły do gustu jego szalone pomysły i przeniósł go na inne stanowisko – wyjaśnił pokrótce Jarell.

– Szalone? – zapytał zaczepnie zezowaty człowieczek, przysuwając sobie krzesło i siadając naprzeciwko pojmanym mężczyznom. – Olaf się mnie bał, gdyż wiedział, że mam rację. – Drefus wbił spojrzenie w paladyna.

– Racja jest jak punkt widzenia. Zależy od punktu siedzenia – zripostował rycerz.

– Jesteś takim samym głupcem jak Olaf. – Izylion odchylił się nonszalancko na krześle. – A może również boisz się postępu? – Zaśmiał się.

– Nadanie przywileju posiadania i noszenia broni ludziom najmniej do tego powołanym nazywasz postępek?

– Zawsze potraficie obrócić wszystko na swoją korzyść, czyż nie? – Izylion prychnął pogardliwie. – Nie chodzi tutaj o, jak to ująłeś, ludzi najmniej do tego powołanych, ale o ludzi bezbronnych: chłopów, mieszczan, kupców... – Pochylił się i ostentacyjnie oparł ręce na kolanach. – Chciałem tylko wyrównać szanse. Zapewnić najmniej wartościowym w oczach naszego władcy jednostkom możliwość obrony, aby mogli samodzielnie stawić czoło ewentualnemu zagrożeniu, a nie płaszczyć się przed możliwymi w nadziei, że łaskawie ujmą się za nimi – wyjaśnił.

– Zabawne, a ja myślałem, że chcesz wywołać wojnę domową. – Jarell wciąż wpatrywał się nieustępliwie w byłego doradcę.

– Każdy kij ma dwa końce, przynajmniej w przyrodzie. Wy zaś stworzyliście kij o tylko jednym końcu, który skierowany jest przeciwko najuboższemu. – Izylion ponownie rozparł się na krześle. – Czy to jest sprawiedliwe, mości paladynie? Czy to jest dobre?

– Poddani zachłyszneliby się takim przywilejem i zapanowałyby chaos.

– Chaos... – powtórzył leniwie zezowaty człowieczek. – Zawsze przeinaczacie znaczenie słów. Nie chaos, a sprawiedliwość. Władza powinna obawiać się ludu, nigdy na odwrót – powiedział mściwie. – Jeżeli poddanym nie odpowiada zachowanie władzy bądź im zagraża, powinni mieć możliwość obrony. Inaczej to zwykła tyrania.

– Zmiany, o których mówisz, nie mogą zostać wprowadzone z dnia na dzień. – Rycerz pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. – Rozdaj broń mieszkańcom choćby jednej małej wioski, a zobaczysz, do czego to doprowadzi.

– Chciałem. – Drefus ożywił się i wyprostował ciało. – Moją propozycją było uzbrojenie na próbę trzech najbardziej oddalonych od siebie wsi na obrzeżach królestwa, ale nawet taki pomysł nie mieścił się w głowie naszego pryncypała. Pozbawił mnie stanowiska i oddelegował... Gdzie? – Rozejrzał się po wszystkich, jakby oczekiwał odpowiedzi. – Do opieki nad archiwami – dokończył gorzko. – I wiesz co? Właśnie tam, spędzając samotne tygodnie wśród starych i zakurzonych dokumentów, wymyśliłem, jak się zemścić. Udowodnię Olafowi, że miałem rację, że regularne wojsko to za mało, aby uchronić poddanych Anferu. Twój król poniesie tragiczne w skutkach konsekwencje swoich decyzji – zakończył dobitnie.

– Zaraz... – Jarell był zaskoczony. – Ty za tym wszystkim stoisz? – nie ukrywał zdumienia.

– Oczywiście, że ja – roześmiał się Izylion. – Kiedy zostałem zesłany do królewskiego archiwum, miałem naprawdę mnóstwo wolnego czasu, który poświęciłem na zgłębienie jego zawartości. Z czasem okrucy informacji, które przyswajałem, układały się w coraz wyraźniejszą drogę, którą po prostu musiałem podążyć. Zacząłem obmyślać zemstę czy może raczej utwierdziłem się w swojej decyzji, bo prawdziwym katalizatorem, który mnie popchnął do zaplanowania wszystkiego, był opracowany przez Kaspierę i tego obłąkańca Iriona magiczny wzmacniacz. Trybiki w moim umyśle natychmiast zaczęły dopasowywać tę układankę i generować nowe

możliwości. Przypomniałem sobie o historii pewnego barona, którą znalazłem w przepastnym archiwum. Był właścicielem posiadłości w Jałowej Rozpadlinie. – Teatralnym gestem wskazał otaczające ich mury. – Predestor, tak się bowiem zwał, był, można by rzec, królewskim myśliwym. Nie polował jednak w lasach i na łąkach, ale po opuszczonych cmentarzach, ruinach i miastach. Jego zwierzyną były wampiry. Raz na kwartał zjawiał się u ówczesnego władcy Anferu, aby ofiarować mu w geście poddaństwa i lojalności swoje trofea myśliwskie. Król w ramach wdzięczności za jego oddanie królestwu hojnie go wynagradzał. Przez kilkanaście lat Predestor był istnym postrachem wśród nocnych łowców. – Tym razem wskazał gestem ponurą grupkę mężczyzn za swoimi plecami. – Jednak, jak to czasem bywa, myśliwy sam stał się zwierzyną. Wampiry zjednoczyły się i wspólnie przypuściły szturm na zamek.

– Zarznięliśmy go jak świnię – wycedził nienawistnym głosem najbliższy stojący z mężczyzn. – Wyrznięliśmy wszystkich na zamku i skąpaliśmy się w ich krwi.

– Dziękuję, Boratusie – przerwał mu Izylion. – Widzicie – odezwał się ponownie do swoich więźniów – Boratus jest ostatnim żyjącym świadkiem tamtych wydarzeń. Po śmierci Predestora zajęli zamek i odkryli jego największą tajemnicę – źródło życia, które pozwala im przetrwać bez potrzeby wysysania krwi z żyjących istot. Nie dowiedziałem się, skąd w królewskim archiwum znalazła się ta relacja, ale nie zamierzałem przepuścić takiej okazji. Natychmiast usunąłem z dokumentów wszelkie wzmianki o całym wydarzeniu oraz o Predestorze i jego zamku. Nie mogłem dopuścić, aby Jałowa Rozpadlina zainteresowała jakiegos narwanego poszukiwacza skarbów bądź łowcę wampirów, jeżeli jeszcze tacy istnieją. Miałem własne plany co do tej budowli. – Ponownie gestem omiół pomieszczenie. – W następnej kolejności wykradłem projekty magicznego wzmacniacza i podłożyłem ogień w pracowni Kaspiry, aby zatrzeć wszelkie ślady. Udało się. Wszyscy uznali, że projekty, nad którymi ślęczała półtora roku, spłonęły bezpowrotnie. Kaspira i Irion porzucili przedsięwzięcie. Ja zaś rozpocząłem przygotowania do podróży, która miała umożliwić ukaranie Olafa za jego małostkowość i pozwolić mi udowodnić, że to ja miałem rację.

Jarell patrzył na Izyliona z otwartymi ze zdumienia ustami. To on stał za pożarem? Ilu jeszcze rzeczy się tutaj dowie?

Starał się przypomnieć sobie, kiedy Drefus opuścił Soblevo, jednak nie potrafił. Gdy piastował stanowisko doradcy, rzucał się rycerzowi w oczy, ale po opuszczeniu królewskiej administracji dla wojownika rozplynął się w powietrzu. Nigdy więcej już go nie spotkał... Do teraz – pomyślał gorzko.

Izylion sprawiał wrażenie uspokojonego stanem paladyna. Wojownik nie tylko był zmieszany i zaskoczony, ale także wyparowały gdzieś jego buta i odwaga.

– Moim pierwszym zwycięstwem będzie zniszczenie Kastengravu – zapowiedział z błogim uśmiechem na twarzy.

– Nie sądzę – Jarell uśmiechnął się kpiąco i pokręcił głową. – Widzieliśmy twoje oddziały. Bez maszyn oblężniczych nie zdołasz sforsować murów miasta. To krasnoludzkie konstrukcje. Nawet z katapultami i taranami oblężenie będzie trwało tygodnie, a do tego czasu...

– Zgadzam się z tobą – przerwał mu niespodziewanie Izylion. – Jednak największą potęgą militarną jest nie wojsko, ale wiedza. Zdziwiłbyś się, ile z pozoru błahych informacji można wyczytać w ogólnie dostępnych dokumentach archiwum królewskiego. Sprawozdania z budów, remontów i usprawnień niemal wszystkich miast Anferu... Kastengrav skrywa pewną tajemnicę, o której się dowiedziałem. – Mrugnął porozumiewawczo do paladyna. – Nie sforsuję murów miasta, to prawda. Mogę jednak je ominąć. Zadbalem już o dywersję, która umożliwi moim oddziałom przedostanie się na ulice Kastengravu pod grubymi krasnoludzkimi i w tym wypadku zupełnie bezużytecznymi murami miasta – Izylion zakończył z diabolicznym uśmiechem na twarzy.

Jarell poczuł, jak serce wyrывa mu się z piersi w bezsilnym przerażeniu. Starał się zachować jasność umysłu, lecz bardzo szybko utracił kontrolę nad emocjami, które pogrążyły go w coraz głębszej apatii.

Nic nie mógł poradzić. Miasto było skazane na zagładę, a on, zniewolony, mógł tylko czekać na nieuchronne.

Mroczne i zimne podziemia Kastengravu przemierzał cichy i ponury pochód, ciągnący się od samego wejścia daleko poza murami miasta. Na czele maszerował potężny humanoidalny jaszczur, prowadzący dużą grupę wampirów, za którymi podążali zniewoleni przez nich ożywieńcy.

Jarrash niechętnie współpracował z krwiopijcami, a oni nieufnie podchodzili do niego. Oba gatunki były drapieżnikami i nie darzyły się sympatią. W obecnej sytuacji łączył ich jedynie wspólny cel – zdobycie miasta. Jaszczur wiedział, że bez jego dywersji wykonanie zadania byłoby nad wyraz utrudnione, póki co nie obawiał się więc o życie. Jednak gdy tylko umożliwi armii wdarcie się na ulice, ulotni się, aby być jak najdalej od tych zdradzieckich stworów.

Minęli kilka zakrętów i znaleźli się w węźle komunikacyjnym korytarzy. Pośrodku zwałów gruzu stała drabina oparta o otwór wybity w sklepieniu. Jarrash wskazał drabinę i zasyczał przeciągle. Tuzin wampirów zaczął wspinać się po drewnianych szczeblach, a za nimi, dzierżąc rozmaite rodzaje broni, posuwał się sznur ożywieńców. Jaszczur stał chwilę, oglądając korowód żywych trupów wspinających się po trzeszczących i uginających się szczeblach drabiny, po czym skinął na pozostałe wampiry, aby udały się dalej za nim.

Szli w ciszy, a nad ich głowami na powierzchni trwała zażarta bitwa, której obrońcy miasta nie wygrają, choć jeszcze tego nie wiedzą.

Jarrash prowadził nekromantów szerokim korytarzem, wysyłając co jakiś czas jednego wraz z jego oddziałem do mniejszego bocznego przejścia prowadzącego na powierzchnię, a kiedy w końcu doszli do metalowej furty, za którą wznosiły się kamienne schody, wskazał pozostałym trzem krwiopijcom, aby udali się na górę. Wampiry bez słowa przekroczyły kratę i powiodły za sobą przydzielone im oddziały umarłego wojska.

Jaszczur zaczął, aż ostatnia z nekromanckich marionetek zniknie na mrocznej klatce schodowej, po czym ruszył żwawo do północnego wyjścia z podziemi.

Zwycięstwo było kwestią czasu. Zaatakowanie miasta od wewnątrz, kiedy lwia część obrońców skoncentrowana była na obronie murów, było niczym powiedzenie „szach” – należało już tylko czekać na zapędzenie królewskiej figury w kozi róg, aby ogłosić mata.

Jarrash będzie już wtedy daleko, wolny od długu życia, jaki na nim ciążył wobec Izylionia. Będzie mógł powrócić do ojczyzny, do samicy i młodych, i zająć należne mu miejsce wśród wojowników swojego plemienia.

Gdy tylko Jarell dowiedział się o podstępie Drefusa, zupełnie opadł z sił, jakby uszło z niego powietrze, i popadł w niepokojący stupor. Rigast pokładał w nim nadzieję na oswobodzenie ich z więzów, lecz wyglądało na to, że rycerz pogodził się z ich przykrym losem. Szczęście, że gdzieś tam była jeszcze Adriela, która z pewnością, gdy nie będą długo wracać, odnajdzie ich i oswobodzi. Była przecież czarodziejką, a władanie magią czyniło ją niepokonaną.

Czyżby? – zaświtało w głowie Toscmiera. – Przecież już tyle razy ocalił jej życie... Jaka była szansa, że poradzi sobie sama z Izylionem i jego poplecznikami? Jaka była szansa, że nie zostanie schwytana?

Niepokój zaczął wypełniać serce Rigasta niczym lodowaty górski strumień, kiedy pomyślał, że kobiecie już teraz mogło coś się przytrafić. Nie mógł obarczać jej taką odpowiedzialnością... A na szlachetnych barkach paladyna spoczywał już i tak wielki ciężar. Musiał w końcu zdobyć się na odwagę i zadziałać samemu. Przecież znaleźli się tutaj przez niego, on więc powinien uporać się z sytuacją.

Kapłan zebrał się w sobie i zaczął porządkować myśli. W pierwszej kolejności, póki miał jeszcze na to czas, powinien zlokalizować olej wytłumiający, o którym mówiła Adriela. Rozejrzał się i zawiesił wzrok na wypełnionym miksturami kredensie. Przebiegł oczami po flaszki, jednak nigdzie nie dostrzegł takiej, która pasowałaby wyglądem do opisanej przez czarodziejkę. Szukał dalej. Przeglądał po kolei wszystkie kąty izby i kiedy zaczął już tracić nadzieję, dostrzegł stojącą na stole, schowaną wśród alchemicznego osprzętu, niedużą szklaną fiolkę pełną opalizującego płynu. Zaczął układać w głowie chytry plan oswobodzenia się i ucieczki.

– Możesz zniszczyć Kastengrav, ale i tak poniesiesz klęskę – rzucił ni z tego, ni z owego w stronę pochylonego nad mapą Izylionia.

Były doradca nie zareagował. Wpatrując się wciąż w arkusz mapy Anferu, omawiał coś z Boratusem.

– Wiemy, do czego służą te drewniane wieże – zapewnił Rigast, starając się sprowokować Drefusa do rozmowy.

Wąty mężczyzna obrócił się powoli i spojrzał pobłażliwie jednym okiem na więźnia, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, że to prowokacja.

– Zamieniam się w słuch – odparł.

– Są przekaźnikami, które poszerzają pole działania twojego wojska. Rozprzestrzeniają krwawą łunę. – Toscmier starał się mówić zwięźle i rzeczowo, jakby specjalizował się w tej dziedzinie.

– Krwawą łunę? – zapytał rozbawiony Izylion.

– Tak ją nazywamy – wytłumaczył nieco zbity z tropu kapłan.

– Podobna mi się – odparł rozmarzonym głosem były doradca. – Krwawa łuna zalała Anfer... Krwawa łuna ogarnęła Anfer... Anfer we władaniu krwawej łuny... – Spojrzał rozmarzony gdzieś w dal, po czym zawiesił wzrok na Rigaście. – Wybacz, zastanawiam się, jak moje dokonanie opiszą w kronikach. – Uśmiechnął się zadowolony.

– Może tak: „Anfer ocalony przed krwawą łuną”? – zaproponował Rigast. – Jesteś skazany na porażkę – zapewnił dobitnie.

Izylion wolnym krokiem podszedł do spletanego Toscmiera i pochylił się, aby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Nie zmanipulujesz mnie – powiedział cicho, po czym obrócił się i ruszył z powrotem do stołu.

– Nie chcę cię zmanipulować. Chcę się dogać – żywo wyjaśnił Rigast. – Słuchaj, nie chciałem brać udziału w tej wyprawie, ale Olaf zagroził mi śmiercią...

– Jakoś mnie to nie dziwi – rzucił niedbale przez ramię Drefus.

– ...a każda próba mojej ucieczki została udaremniiona przez paladyna i... – Rigast szybko ugryzł się w język – ...jego towarzysza, który zginął w kopalni. Byłem stale pilnowany. Gdyby nie to, nigdy bym się tutaj nie znalazł i nie musiałbym wykradać PLANÓW TYCH TWOICH WIEŻ – zakończył, akcentując ostatnie słowa.

Były doradca obrócił się gwałtownie, po czym szybko przywdział maskę obojętności, spod której wyzierało jednak zdenerwowanie.

– Gdzie niby zdobyliście te plany? – zapytał, siłąc się na kpinę.

– W jednym z obozów niedaleko Jałowej Rozpadliny... Taki obóz ukryty w lesie – wyjaśnił nonszalancko kapłan.

– To bez znaczenia – oświadczył Izylion. – Zabierzecie swoją wiedzę do grobu czy może raczej do zastępów mojej armii. – Uśmiechnął się makabrycznie, szczerząc nierówne, pożółkłe zęby.

– Król już zna te plany. Przekazaliśmy wszystkie potrzebne informacje przez kryształ kontaktowy Jarella.

– Łiesz. Nie znaleziono przy was żadnego kryształu. – Izylion rozluźnił się, pewien, że przyłapał swojego rozmówcę na kłamstwie. – Ani planów.

– Bo nie jesteśmy głupi. Ukryliśmy je, zanim weszliśmy do zamku, spodziewając się takiej właśnie ewentualności. – Zatoczył głową koło.

Izylion zacisnął usta. Jeśli ten człowiek mówił prawdę, nie mógł ryzykować porażki. Już sam fakt, że znaleźli z Jarellem jego kryjówkę, budził poważne wątpliwości.

– Jeżeli mnie zabijesz, nigdy nie dowiesz się tego, co wiem. – Toscmier czuł, że zezowaty człowieczek chwytą przynętę.

– Przypuśćmy, że ci wierzę – zaczął ostrożnie były doradca. – Co chcesz osiągnąć, wyjawiając mi te informacje? – zapytał podejrzliwie.

– Jak już wspominałem, zostałem zmuszony do udziału w tej misji. Próbowałem uciec, bo tak naprawdę nie dbam o to, co stanie się z królestwem czy Olafem. Planowałem udać się na Wygnańcze Wyspy i tam żyć z dala od tej całej pokręconej monarchii – wyznał Rigast. – Jedyne, czego chcę, to przetrwać, aby osiągnąć cel swojej podróży. Jeżeli zatem zawrzemy układ, obaj możemy na tym zyskać.

– Zdrajca – wydyszał niewyraźnie paladyn, zerkając z ukosa na mężczyznę.

– Wybacz, Jarellu, ale muszę dbać o siebie. Was zresztą także... Ciebie i twojego poległego towarzysza – dopowiedział prędko Rigast – król skazał na śmierć tutaj, nie jesteś mu więc winien lojalności.

– Służę ludowi Anferu i umrę za niego – zapewnił cicho paladyn.

– Ja nikomu nie służę i nie mam zamiaru tutaj umierać – wyjaśnił prosto z mostu Toscmier. – To jak, dogadamy się? – zwrócił się ponownie do Izylion. – Moje życie w zamian za informacje, które posiadam – zaproponował.

Drobny człowieczek zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym rozejrzał niedbale po pomieszczeniu, szukając wzroku Boratusa, który delikatnie skinął głową.

Rigast doskonale wiedział, że wampir nie zamierzał wypuścić z zamku nikogo, w kim pulsowała chociaż kropla krwi. Zapewne planowali wyciągnąć z niego wszystkie informacje i zabić go.

– Zgoda – Izylion przystał na propozycję mężczyzny. – Zanim jednak obdarzę cię pełnym zaufaniem, wyjaśnisz mi, co planuje Olaf.

– Zgoda. – Na twarzy Toscmiera rozlała się udawana ulga.

– Nie opuścisz również zamku, dopóki nie zdobędę Sobleva – zezowaty doradca postawił kolejny warunek.

– Tutaj i tak czuję się bezpieczniej niż w wojennej zawierusze, którą rozpętałeś. – Rigast starał się, aby jego głos brzmiał szczerze i przekonująco. – Jeżeli mnie rozwiążesz, pokażę ci, co szykuje Olaf.

– Pokażesz? – zdziwił się Boratus.

– Tak – potwierdził kapłan i już po chwili stał oswobodzony, górując nad niższym Izylionem. Podszedł do mapy i wskazał na Kastengrav.

– Po zdobyciu miasta planowałeś, aby twoje oddziały się podzieliły. Jedna grupa miała ruszyć przez góry do Sobleva, druga zaś północnym skrajem Dzikiego Ostępu do Rogowa Górnego, prawda? – zapytał, jakby chodziło o ogólnie dostępną informację.

– Zgadza się – przyznał zdumiony Drefus, wytrzeszczając oczy.

Plan, o którym mówił jego niedawny więzień, został obmyślony zaledwie kilka dni temu. Jakim cudem zdołał już wpaść w ręce nieprzyjaciół?

– Olaf postanowił poświęcić Kastengrav, aby zamydlić ci oczy. Liczy na to, że zgubi cię pewność siebie i zrobisz się nieostrożny. Zaplanował kilka zasadzek na twoje oddziały. Trzy tutaj – mówiąc to, wycelował palcem w północny skraj Dzikiego Ostępu – oraz jego as w rękawie. – Stuknął palcem wskazującym w Królewską Puszczy.

– Co to za zasadzki? – Izylion skrzętnie oznaczał wskazane przez kapłana punkty.

– Irion wraz z Kaspirą opracowują nowy projekt – wyjaśnił Rigast z przejętym wyrazem twarzy. – Nazwali go „Niszczyciel Wież”.

Ledwie kapłan wypowiedział ostatnie słowa, Drefus aż zazgrzytał zębami. Rąbnął wściekły pięścią w stół tak mocno, że szkło znajdujące się na sąsiednim blacie zadzwoniło złowróżbnie.

Rigast rzucił szybko okiem, czy fiolka z olejem jest wciąż cała, po czym wyprostował się znad mapy i spojrzał poważnie na Izylion.

– Twój plan był dobry, ale zabrakło jednego elementu – powiedział z wyższością. – Mnie.

Drefus spojrzał na niego zdezorientowany, kapłan więc od razu zaczęła tłumaczyć, o co mu chodzi:

– Podam fałszywe informacje. Połączę się z Olafem kryształem kontaktowym i przekażę mu nowe wiadomości, które go zgubią. Obrócimy wszystkie zasadzki przeciwko niemu.

– Skąd mogę mieć pewność, że rzeczywiście jest tak jak mówisz? – Byłego królewskiego doradcę zaczęły nachodzić wątpliwości. – Że nie zdradzisz mnie jak Olafa?

– Może lojalność nie jest moją mocną stroną, ale w przeciwieństwie do Olafa ty możesz w każdej chwili poderżnąć mi gardło – przypomniał mu Rigast.

– To za mało... – Izylion zadumał się na chwilę. – Potrzebuję czegoś więcej... Czegoś namacalnego, co potwierdzi, że nie dokonujesz właśnie dywersji dla zawzonego króla.

– Właśnie otrzymałeś – przypomniał mu Toscmier, wskazując mapę.

– Chcę czegoś, czego przychylnie dla mnie skutki odczuję od razu. Chcę dowodu twojej lojalności.

– Mam ci przynieść kryształ kontaktowy? – zaproponował Rigast.

– Nie, to może być podstęp... – Izylion odsunął się kilka kroków w tył, podejrzliwie spoglądając na kapłana. – Musisz inaczej udowodnić, że stoisz po mojej stronie. – Zamyślił się ponownie. Krążył przez moment po izbie, aż w końcu się zatrzymał. – Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać – z przebiegłym wyrazem twarzy zwrócił się do kapłana. – Ktoś nas podsłuchuje. – Skinął głową w stronę siedzącego na krześle paladyna, którego głowa zwisała wciąż smętnie na piersi. – Jednak dobrze byłoby omówić wszystko jak najszybciej, jeśli rozumiesz, do czego zmierzam.

– Chcesz przenieść rozmowę do innego pomieszczenia? – zapytał trochę zdezorientowany kapłan. – Roztropnie.

– Będziemy rozmawiać tutaj, lecz nie odpowiada mi towarzystwo – Izylion zaakcentował ostatnie słowo. – Myślę zatem, że możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. – Jego twarz rozciągnęła się w obląkańczym uśmiechu, ukazując drobne niczym u piranii, żółte zęby. – Zabij rycerza, a zdobędziesz moje zaufanie.

Rigast zupełnie się tego nie spodziewał. Czym innym było wciskanie kitu, którego mizerny człowieczek nie był w stanie zweryfikować, a czym innym potwierdzenie czynem swoich zapewnień. Czynem, który splamił krwią jego ręce. Niestety, jeśli chciał osiągnąć swój cel, musiał bez namysłu podjąć wyzwanie rzucone mu przez Drefusa.

– Zabić? – zapytał lekko zaskoczony. – Nie żebym miał coś przeciwko jego śmierci, choć uważam, że mógłby się jeszcze przydać... Ale rozumiem, że stanowi dla ciebie, a teraz również dla mnie, zagrożenie. – Przesunął dłonią po przetłuszczonych, brudnych włosach, jakby coś rozważał. – Chcesz się go pozbyć, z czym się oczywiście zgadzam, ale wolałbym nie robić tego osobiście, może więc ja go przytrzymam, a reszty dokonają twoi towarzysze? – Wskazał pełne napięcia wampiry, które, gdy tylko usłyszały jego propozycję, zasyczały z odrazą na samą myśl, że mogłyby zatopić zęby w czymś tak nieskalanym złem jak paladyn.

– Moi towarzysze są trochę uprzedzeni do ludzi jego pokroju, masz to zrobić sam. – Izylion nie spuszczał z niego swojego przenikliwego spojrzenia. – Poradzisz sobie czy mam zerwać naszą umowę? – zapytał podejrzliwie.

Rigast spojrział w zimne oczy doradcy i wziął głęboki wdech, przygotowując się do odpowiedzi na postawione mu pytanie.

– Zrobię to – odparł zdeterminowanym głosem, po czym rozejrzał się niepewnie po izbie, szukając jakiejś broni.

– Proszę. – Boratus podszedł i wręczył mu szablę, którą Rigast otrzymał od rycerza. – Nie pobrudź się. – Uśmiechnął się, obnażając dwa długie kły.

Rigast zacisnął drżące palce na rękojeści broni i wolnym krokiem podszedł do Jarella. Stał przed nim, wpatrując się przerażonym wzrokiem w pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, zrezygnowaną twarz dawnego towarzysza. Wyciągnął broń przed siebie, ujął pewniej rękojeść dwoma rękami i położył delikatnie sztych szabli na głowie wojownika, mierząc odległość do zadania ciosu.

– Jesteś parszywym tchórzem, klecho – stwierdził słabym głosem Jarell. – Zrób zatem coś dla mnie i nie każ mi na siebie patrzeć. Stań za moimi plecami, gdzie twoje miejsce, zdrajco, i módl się, aby mój bóg nigdy cię nie znalazł, albowiem jego zemsta będzie okrutna.

Rigast uszanował ostatnią wolę paladyna i przeszedł za niego.

– Nie boję się twoich wymyślonych bóstw – zapewnił niepewnym głosem, po czym ponownie położył ostrze szabli na czubku głowy rycerza. – Postaram się, aby cięcie było czyste, więc się nie ruszaj – poprosił.

Wziął potężny zamach, po czym zadał śmiertelny cios.

Sztych szabli ze świstem minął głowę Jarella i przeciął więzy, które pętały jego nadgarstki.

Wojownik natychmiast zerwał się z krzesła i wyrwał kapłanowi szablę z rąk, kierując ostrze w stronę przerażonych wampirów.

– Zabijcie ich! – wrzasnął histerycznym głosem Izylion, po czym rzucił się w panice do drzwi, za którymi w mgnieniu oka zniknął.

Rycerz stał w pozycji bojowej, gotów w każdej chwili przyspuścić atak na zjeżone i kombinujące, jak się wydostać z pomieszczenia, wampiry. Paladyn najwyraźniej rozpoznał ich zamiary, wolnym krokiem zaczął je więc okrążyć, schodząc z drogi między nimi a drzwiami. Kiedy udrożnił w końcu przejście, natarł w ich stronę ze świętym okrzykiem przepędzającym wszelkie plagastwo.

Mroczne istoty nie potrzebowały jednak zachęty. Jak jeden mąż – z Boratusem na czele – rzuciły się do wyjścia niczym niewiasty, które wystraszył pająk.

Jarell ścigał ich do samych drzwi, które następnie skrzętnie zarygłował. Zostali w izbie sami.

– Znalazłeś olej? – rzucił przez ramię do kapłana, upewniając się, że zamek dobrze trzyma.

– Mam go! – Rigast pomachał fiolką wypełnioną opalizującym gęstym płynem. – Mam także twój buzdygan. – Wzniósł broń rycerza drugą ręką.

– Zamiana – zarządził paladyn, ruszając w stronę Toscmiera. – Dobra robota – pochwalił towarzysza, kiedy obaj odzyskali już swoją broń. – Teraz biegiem do Adrieli. Nie mamy wiele czasu.

Mężczyźni ruszyli do przeciwnych drzwi oświetlonym korytarzem, szukając drogi powrotnej na wieżę.

Rozdział 19

POŻEGNANIA

Kastengrav pograżyło się w chaosie. Misternie zaplanowana taktyka obrony przestała mieć znaczenie wobec sytuacji, jaka zaistniała w mieście. Oddziały nieumarłych, zupełnie niezauważone, rozplenili się w obrębie murów niczym robactwo. Żaden z wariantów obrony nie przewidywał takiego obrotu spraw, wszyscy więc natychmiast wpadli w panikę. Część obrońców ruszyła biegiem w głąb miasta, aby ostrzec cywilnych mieszkańców, pozostali zaś, którzy nie byli właśnie zajęci odpieraniem wroga z murów, nie widzieli innego wyjścia, jak stawić czoła niespodziewanemu przeciwnikowi. Rozpętała się zażarta walka, teraz również wewnątrz miasta, i z pewnością szybko by się zakończyła przegraną Kastengravu, gdyby nie młody strażnik na jednej z licznych wież alarmowych, który gdy tylko zorientował się w sytuacji, z całych sił zaczął bić na alarm. Napędzany adrenaliną pompowaną do krwiobiegu, szarpał sznurem przytwierdzonym do masywnego dzwonu tak zawzięcie, że nie zauważył smukłej postaci czającej się tuż za nim.

Wampir błyskawicznie pochwycił rozgorączkowanego młodzieńca i zatopił ostre kły w wymizerowanej szyi. Pił długo i łapczywie, rozkoszując się smakiem gorącej, tętniącej jeszcze krwi przesyconej strachem. Młokos bardzo szybko przestał wierzcąc i zawisł bezwładnie w śmiertelnych szponach oprawcy. Ten jednak nie przestawał wysysać resztek życia, które pozostały w stygnącym ciele. Pił dalej, przyglądając się od niechcienia bezcelowym działaniom obrońców na murach, którzy, gdy tylko usłyszeli bicie na alarm, zorientowali się, że coś się dzieje wewnątrz miasta. Teraz zupełnie zdezorientowani przyglądali się zmaganiom swoich towarzyszy na ulicach, nie potrafiąc zdecydować, czy zostać na stanowiskach, czy ruszyć z odsieczą pozostałym obrońcom.

Feriel bardzo szybko ich wyręczył, nakazując za wszelką cenę strzec murów. Sam zaś ruszył pędem w głąb Kastengravu, aby spróbować zorganizować skuteczną obronę ulic. Im dalej jednak docierał, tym bardziej był przekonany, że porywa się z motyką na słońce. Straż miejska była w zupełnej rozsypce. Rozpierzchnięci po mieście obrońcy ścierali się w pojedynkę z napotkanymi przeciwnikami bądź przepelnieni strachem szukali jakiegoś schronienia. Duch bojowy, przez tak długi okres utrzymywany na względnie wysokim poziomie, został zatracony. Zbrojni, którzy mimo to zachowali zimną krew i samotnie stawiali czoła nieumarłym przeciwnikom, załamywali się natychmiast, gdy krzyżowali swoje ostrza z bronią poległych towarzyszy, którzy, teraz ożywieni, nastawiali na ich życie przepelnieni żądzą mordu i zniszczenia.

Wywiadowca w lot pojął, że czas organizacji czegokolwiek dawno już minął. Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak skonfrontować się z zastaną rzeczywistością. Przyłożył kuszę do ramienia i ruszył ulicą w głąb Kastengravu w poszukiwaniu większej grupy zbrojnych towarzyszy. Gdy tylko dostrzegł pierwszego ożywienia, posłał w jego stronę bełt. Pocisk niczym błyskawica przeszył noc i nim wróg zdążył w ogóle zauważyć mężczyznę, utkwiał w jego przegniłej twarzy. Martwiak osunął się na ziemię. Feriel tymczasem załadowywał już kolejny bełt. Ledwie skończył, pojawiło się przed nim kolejnych dwóch przeciwników – jeden, który jeszcze do niedawna był strażnikiem miejskim, i drugi, który prawdopodobnie przyczynił się do zmiany frontu swojego obecnego towarzysza. Wywiadowca zdążył przyłożyć broń do ramienia i zwolnił spust. Pierzasty pocisk poszybował w stronę strażnika, który, jak poprzedni przeciwnik, upadł na ziemię ze stalowym grotem wystającym z tyłu czaszki. Drugi ożywieniec sprawiał wrażenie mocno poruszonego tym faktem. Natarł wściekle na Feriela. Mężczyzna nie miał zbyt wiele czasu na reakcję, gdy więc tylko makabryczny stwór znalazł się w zasięgu, wywiadowca zasłonił się kuszą przed zadaniem mu ciosu. Zręcznie zbił mocno sfatygowane ostrze przeciwnika, uderzając go jednocześnie orzechową kolbą kuszy w głowę. Ożywieniec zachwiał się i zatoczył do tyłu, co dało Ferielowi cenny czas na dobyte rapiera i przeszywanie nim oczodołu martwiaka. Gdy tylko cuchnące ciało upadło z głuchym łoskotem na bruk, wywiadowca wsunął rapier do pochwy i załadowawszy kuszę, ruszył w stronę rzeki.

Z każdą pokonywaną przecznicą sytuacja wydawała mu się coraz mniej obiecująca. Bełtów ubywało w zastraszającym tempie, a nie natrafił jeszcze na żywego obrońcę miasta. Przeciwników zdecydowanie przybywało, w przeciwieństwie do strażników, którzy, jak dotąd, tylko go atakowali, zniewoleni rozkazami nekromanckich dowódców. Ferial doszedł w końcu do wniosku, że traci tylko czas i energię, walcząc w pojedynkę z wrogiem. Musiał niepostrzeżenie przedostać się dalej, licząc na to, że gdzieś głębiej w mieście ostały się jakieś zorganizowane grupy oporu.

Zarzucił kuszę na plecy i pobiegł w stronę najbliższego budynku. Odbił się stopą od ściany i chwycił rękami sztyldu Martwego Prosiaka. Podciągnął się, a następnie przeszedł na szeroki parapet, skąd zręcznymi ruchami udało mu się dostać na wyżej osadzony balkon, z którego już bez większego problemu mógł dosięgnąć krawędzi dachu.

Z wyższego poziomu zdecydowanie łatwiej było zorientować się w sytuacji. Przeskakiwał z dachu na dach, zerkając kontrolnie na ulice w poszukiwaniu innych obrońców. Jak dotąd bezskutecznie. Poruszał się zygakiem w stronę Rzeki Jezior, przepływającej niemal przez sam środek Kastengravu, i gdy ze szczytu kolejnego dachu widział już doki, jego uszu dobiegł zgoła żywy krzyk. Błyskawicznie skierował się w tamtą stronę, a gdy dotarł na miejsce, dostrzegł jednego ze znanych mu strażników miejskich zmagającego się z dwoma wyjątkowo napastliwymi ożywieńcami. Obaj jeszcze niedawno bronili miasta razem z nim, ale najwyraźniej nie zostali przeszkoleni wystarczająco dobrze, aby przetrwać tak złowrogi atak.

Ferial przykucnął przy krawędzi dachu i bardzo powoli wziął jednego z martwiaków na cel. Nie chciał trafić strażnika, a że trudno było mu celować w takiej pozycji, trwał tak przez dłuższą chwilę, wczuwając się w rytm ciosów zadawanych przez umarlaka. W końcu w najodpowiedniejszym ku temu momencie nacisnął spust. Zwolnił cięciwę, która natychmiast wyrzuciła bełt. Pocisk poszybował w dół ze świstem, niczym czarnoskrzydły dopadający swojej ofiary. Ożywieńiec runął na ziemię jak rażony piorunem. Zdumiony obrotem sytuacji strażnik wypadł z rytmu walki i niewiele brakowało, a otrzymałby pokaźną ranę na udzie. W ostatniej chwili zdołał sparować cios i cofnąć się o krok, aby zyskać trochę czasu.

– Swój! – zapewnił krzykiem wywiadowca. – Poradzisz sobie? – zapytał, przeładowując broń.

– Teraz tak – odparł strażnik i ze zdwojonym zapalem natarł na przeciwnika.

Ferial przyglądał się wymianie ciosów, która trwała nad wyraz długo. Martwiaki, z którymi przyszło im się zmierzyć, posiadały wyjątkowo dobry dryg do walki, a to oznaczało, że nekromanci nie byli partaczami. Być może nawet znajdowali się gdzieś w pobliżu?

Mężczyzna rozejrzał się po ulicy, jednak nigdzie nie dostrzegł śladu kogokolwiek, kto mógłby sterować umarlakami. Zauważył za to kolejnych wrogów, którzy nadciągali ulicą za plecami zaaferowanego walką strażnika. Kiedy celnym strzałem unieszkodliwił pierwszego z trzech uzbrojonych martwiaków, dwóch pozostałych ruszyło biegiem w stronę wciąż walczących postaci.

Ferial błyskawicznie przeładował kuszę, wymierzył i oddał kolejny strzał. Bełt minął ożywieńca biegnącego na czele i trafił drugiego, pędzącego za nim. Truposz zachwiał się i przewrócił się na twarde bruk. Wywiadowca gorączkowo napinał cięciwę, gdy przeciwnik był coraz bliżej strażnika zmagającego się wciąż ze swoim dawnym podwładnym. Kiedy bełt spoczął w końcu na swoim miejscu, mężczyzna ponownie wycelował i nacisnął spust. Pocisk poszybował w rozświetlony mdłym światłem latarni mrok, tym razem jednak nie sięgnął celu, roztrzaskując się o kocie łby.

Feriela zaczęła ogarniać panika. Powinien ostrzec walczącego niżej mężczyznę, że z za jego pleców nadciąga jeszcze jeden przeciwnik, jednak twarz oficera była tak skupiona, że prawdopodobnie i tak by go nie usłyszał. Musiał załatwić sprawę sam, nim będzie za późno. Lekko roztrzęsionymi z napięcia rękami ponownie naciągnął cięciwę i osadził przed nią bełt. Wyrównał go skrupulatnie, po czym złożył się do strzału. Wycelował w martwiaka i zaczął uspokajać przyspieszony oddech. Wodził kuszą za coraz szybciej nadciągającym nieumarłym, który już zdążył wznieść swój szeroki tasak do zadania śmiertelnego ciosu. Od strażnika dzieliło go zaledwie kilkanaście metrów. Wywiadowca przycisnął mocniej kolbę do ramienia i czekał na dogodną chwilę do zwolnienia cięciwy. Mimo że cel znajdował się w jego zasięgu i na torze lotu bełtu, Ferial wiedział, że wystarczy ułamek sekundy, aby umarlak

ponownie uniknął pocisku. Musiał mieć absolutną pewność, że tym razem nie spudłuje. Całą swoją uwagę skupił na przemieszczającym się celu.

Dziesięć metrów...

Rozluźnił nadmiernie napięte mięśnie karku i wziął głęboki oddech.

Siedem metrów...

Poprawił balans ciała i powoli zaczął wypuszczać ustami powietrze.

Pięć metrów...

Łagodnie naparł palcami na zimny stalowy spust zdobionej kuszy.

Trzy metry...

Mrugnął, poprawiając ostrość widzenia.

Dwa metry...

Subtelnie nacisnął spust.

Bełt opuścił łożę z cichym świstem i runął w mrok, podążając za swoim celem.

Martwiak znalazł się już na tyle blisko strażnika, że mógł w końcu rozłupać mu czaszkę. Wziął jeszcze większy zamach, chwycił mocniej rękojeść tasaka i zadał wyczekiwany tyle czasu cios. Nim jednak ostrze dosięgnęło celu, zapadła absolutna ciemność, a jego bezwładne ciało zaległo tuż pod stopami oficera, który właśnie wyszarpywał ostrze swojego miecza z pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu twarzy ożywieńca, do niedawna jeszcze obrońcy Kastengravu.

– W porządku? – zawołał Ferial przepelnionym ulgą i satysfakcją głosem.

– Tak – mężczyzna obejrzał się na leżące za nim truchło z bełtem w czaszce. – Dzięki. – Wzniósł miecz w geście oznaczającym gotowość do spłacenia długu.

– Musimy zorganizować obronę ulic. Obrońcy na murach mają pełne ręce roboty – wyjaśnił wywiadowca, zakładając kolejny bełt na napiętą już cięciwę.

– Wiem, gdzie możemy znaleźć parę oddziałów... Za mną! – polecił strażnik i ruszył biegiem wzdłuż ulicy.

Ferial, niewiele się zastanawiając, pognął za nim, przeskakując po dachach budynków i siejąc wkoło bełty, jeżeli zaszła taka potrzeba. Dotarli do doków i skierowali się wzdłuż rzeki na południowy wschód ulicą Kamienną. Wywiadowca usłyszał odgłosy zaciętej walki niosące się gdzieś z oddali. Przyspieszył kroku, aby nie zgubić swojego towarzysza, gdyż zdecydowanie byli coraz bliżej celu.

Skreślił za strażnikiem biegnącym wąską alejką, przeskoczył na kolejny dach, po czym zamarł w bezruchu. Z niedalekimi odgłosami walki mieszał się zatrważający kobiecy krzyk rozpacz, dochodzący z północnej strony.

Wywiadowca zareagował błyskawicznie, zmieniając swoją dotychczasową trasę, i popędził ile tchu w stronę, skąd dochodziły wołania o pomoc.

Zorganizowanie obrony było konieczne, ale przede wszystkim musiał nieść pomoc cywilnym mieszkańcom miasta. Strażnik wiedział doskonale, co ma robić, mógł więc zacząć bez wsparcia wywiadowcy. Gdy tylko Ferial upora się z nieoczekiwaną sytuacją, jakakolwiek była, odnajdzie obrońców i pomoże im odpierać wroga.

Przeskoczył nad dwiema kolejnymi uliczkami i znalazł się przy niewielkim placu na tyłach warsztatów specjalizujących się w kopiowaniu krasnoludzkich technologii. Znał to miejsce, choć długo tutaj nie zaglądał. Plac był całkowicie pogrążony w mroku, dlatego Ferial sięgnął po gogle. Gdzieś niedaleko słyszał jakąś szamotaninę, jednak nie był w stanie namierzyć źródła dźwięków, dopóki ponownie nie usłyszał przerażonego krzyku kobiety. Dochodził pomiędzy dwóch budynków po lewej stronie. Zmienił pozycję i znalazł się centralnie naprzeciwko wąskiego przejścia między warsztatami, gdzie dostrzegł młodą kobietę (dałby sobie rękę uciąć, że pracownicę biblioteki, którą podglądał z dachu magazynu), próbującą wydostać się z żelaznego uścisku jednego ze szkaradnych ożywieńców. Trup stał za nią, wyginając boleśnie jej ramiona, podczas gdy jego towarzysz, z paroma strzałami w plecach, tkwił tuż przed nią, gapiąc się na nią swoim nieobecny, mętny wzrokiem. Nie mieli przy sobie żadnej broni, Ferial natychmiast więc złożył się do strzału, celując w głowę krępującego kobietę trupa. Już miał nacisnąć spust, gdy tkwiący nieruchomo umarłak wyciągnął ręce w stronę przerażonej dziewczyny. Ferial natychmiast zmienił

cel, sądząc, że będzie próbował ją udusić, lecz to, co wydarzyło się później, wstrząsnęło wywiadowcą, wywołując zmieszanie i dezorientację. Ożywieniec zaczął zdzierać z unieruchomionej kobiety ubranie, zupełnie jakby szykował się do...

To przecież niemożliwe – pomyślał Ferial, szukając jakiegoś logicznego wytłumaczenia. – Trupy nie kierują się popędem. Tylko żywi mogą...

Nagle zrozumiał i zaczął rozglądać się bacznie po otoczeniu. Kobieta wciąż szarpała się w żelaznym uścisku, krzycząc i płacząc, czy to z przerażenia, czy to z obrzydzenia, obłąkana przez martwego napastnika. Ferial nie mógł jej jeszcze pomóc, gdyż zdradziłby swoją obecność. Wciąż gorączkowo rozglądał się po okolicy, spodziewając się znaleźć to, czego przez tak długi czas wyczekiwał. Adrenalina buzowała mu w żyłach, pobudzając do działania wszystkie mięśnie. Słuch wyostrzył się tak samo jak wzrok, a węch wyłapywał już smród trupów znajdujących się w odległej uliczce. Niespodziewanie dotarła do niego również nowa woń – metaliczna. Zupełnie jakby... zapach KRWI. Dochodziła jednak nie z dołu, niczym ciężki opar, ale była niesiona przez wiatr. Obrócił głowę i już po chwili dostrzegł to, czego szukał. Na wieży alarmowej, zupełnie niedaleko niego, stała ciemna, szczupła postać o rozjarzonym czerwienią spojrzaniu. Wampir. Nekromanta.

Postać wpatrywała się z nieukrywaniem zachwytem na scenę rozgrywającą się daleko w dole. Uśmiechała się lubieżnie, napawając się tak obrzydliwym widokiem i nie mogąc się już doczekać jeszcze bardziej odrażającego finału. Zło w najczystszej postaci.

Ferial, pełen narastającej w nim nienawiści, wznosił kuszę w jej kierunku i żałując, że nie może wykończyć wampira w bardziej makabryczny sposób, wystrzelił. Zanim stwór runął z wieży, bezwładny jak szmaciana lalka, wywiadowca zdążył jeszcze zobaczyć zdumiony wyraz dzikiej twarzy krwiopijcy, po tym jak bełt zagłębił się w jego sercu. Mężczyzna załadował broń ostatnim bełtem i obrócił się ponownie w stronę napastowanej kobiety. Umarli znieruchomieli, choć wciąż trzymali swoją ofiarę, napędzani nieukierunkowaną już energią krwawej łuny.

Zwolnił cięciwę i łuczysko jęknęło, rozprężając się. Żelazny uścisk martwiaka stojącego za młodą kobietą zelżał. Ciało osunęło się po murowanej ścianie budynku.

– Uciekaj! – zawołał Ferial do sparaliżowanej ze strachu dziewczyny. – Ukryj się!

Chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, co się wydarzyło i że chwilowo nic jej nie zagraża. Zatoczyła się na bok, jakby chciała uniknąć niewidzialnej przeszkody, i wciąż roniąc łzy przerażenia, powlokła się nieprzytomnie przed siebie. Wiedziała, że ktoś ją uratował, ale była zbyt roztrzęsiona, aby spojrzeć za siebie. Oplotła rękami obnażone piersi i najzwyczajniej uciekła jak jej polecono.

Ferial zszedł z dachu na niewielki placyk i udał się do trwającego w bezruchu zombi. Wyciągnął rapier i powstrzymując się od rozłupania kołbą kuszy czaszki truposza, zdekapitował go jednym czystym cięciem.

Musiał się spieszyć i zlikwidować tylu przeciwników, ilu tylko zdoła, nim pozostali nekromanci zorientują się w sytuacji i przejmą kontrolę nad niegroźnymi obecnie martwiakami w tym rejonie. Wybiegł na najbliższą ulicę i zaczął dokonywać czystki.

Nie liczył, ale w ciągu niecałej godziny odesłał z powrotem na wieczny spoczynek całą masę wrogów. Trup ścielił się gęsto, gdy Ferial przedzierał się przez miasto, tnąc na prawo i lewo, zupełnie jakby pokonywał wyjątkowo uparte zarośla.

Odgłosy walki, w której miał wziąć udział, ucichły. Oddziały, o których wspominał oficer, z pewnością już dawno oddaliły się w poszukiwaniu kolejnych słupów soli, które będą mogły zdekapitować.

Wola walki Feriela wzrosła, a razem z nią nadzieja na zwycięstwo. Jeżeli za martwe oddziały, które wdarły się do miasta, był odpowiedzialny tylko ten jeden wampir, mieli dużą szansę wytrwać do świtu. Ruszył powoli ulicą w stronę polowej zbrojowni w południowej części miasta. Jeśli miał jeszcze na coś się przydać przy obronie murów, potrzebował bełtów. Obrął najkrótszą drogę, lawirując wąskimi uliczkami i czyszcząc je z przeciwników, gdy nadarzyła się taka okazja.

Wydostał się z Zaułku Kanciarza na szeroką brukowaną ulicę Dekarską i udał się nią dalej na południe w stronę tkwiącej nieruchomo większej grupy ożywienców.

Wywiadowca podszedł leniwym krokiem do jednego z nich i od niechcienia zadał cios. Ostrze rapiera świsnęło w powietrzu, jednak zamiast charakterystycznego odgłosu głowni zagłębiającej się w czaszce trupa, stal zadzwoniła o stal. Zdumiony mężczyzna spostrzegł ostrze przeciwnika wzniesione do góry, a kiedy cofnął się o krok, umarłak ruszył na niego, szykując się do zadania własnego ciosu. Ferial zrobił unik, tnąc przeciwnika w ramię. Chwilę później dostrzegł, że cała grupa nieumarłych, jeszcze przed chwilą tkwiących nieruchomo, sunie w jego kierunku.

Zabawa w kostuchę dobiegła końca. Powrócił do walki o życie. Poświęcił obecnemu przeciwnikowi jeszcze chwilę, po czym, gdy ten padł nieszkodliwiony, zwrócił ostrze rapiera ku pozostałym. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed minutą było ich tutaj mniej. W jego kierunku zdążył tuzin ożywieńców, uzbrojonych i ponownie sterowanych przez jakiegoś nekromantę. Rozejrzył się z nadzieją po otoczeniu, myśląc, że może i tym razem będzie miał tyle szczęścia i namierzy go jak poprzedniego wampira. Niestety, dostrzegł jedynie kolejnych przeciwników wyłaniających się z ciemnych uliczek za jego plecami. Sytuacja stawała się poważna, a jedynym sposobem na ocalenie własnej skóry było zachowanie zimnej krwi i przejście inicjatywy.

Ferial wypatrzył najsłabszą według niego jednostkę i zaatakował. Krążył po ulicy jak szalony tancerz, starając się trzymać każdego z przeciwników na dystans. Nie mógł dopuścić, aby dopadli go chmara. Poświęcał jednemu przeciwnikowi po dwa, trzy ciosy i błyskawicznie przechodził do kolejnego. Strategia była skuteczna – już po kwadransie pozbył się czterech wrogów. Zaczynał jednak odczuwać zmęczenie. Zwinność i prędkość jego kroków słabły, tak samo jak siła i zręczność zadawania ciosów. Ożywieńcy się nie męczyli, szala zwycięstwa zaczęła się więc niebezpiecznie przechylać na ich stronę. Mężczyzna wiedział, że długo tak nie pociągnie, zacznie popełniać błędy, a wtedy tylko czekać, jak nieopatrznie podłoży się prosto pod jakieś przerdzewiałe ostrze. Potrzebował trochę przestrzeni, aby złapać oddech. Musiał zmienić otoczenie i nie dopuszczać do siebie zbyt wielu martwiaków naraz.

Zaczął kierować się powoli w stronę sklepu wielobranżowego, przy którym piętrzyły się liczne drewniane skrzynie. Odparł kolejny atak bułatu i lawirując między przeciwnikami, ruszył biegiem do stosu skrzyń. Uniknął ciosu zadanego mu w głowę, następnego, który miał mu odrąbać nogę, sparował dwa kolejne i już wspinał się po ułożonej konstrukcji na dach budynku. Stał pewnie na glinianych dachówkach i dysząc ze zmęczenia, spojrzał w dół na coraz większą liczbę żywych trupów. Wiedział, że sam nie da im rady. Potrzebował wsparcia, choć zupełnie nie miał pojęcia, gdzie obecnie powinien szukać ocalałych obrońców. Ci na murach prowadzili własną walkę, nie potrzebowali dodatkowych kłopotów.

Ferial po krótkim namyśle postanowił ruszyć w rejon, do którego prowadził go strażnik. Może stworzyli tam bastion, który ułatwia im odpieranie przeciwnika? Obrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę dokoń, starając się wyrównać przyspieszony oddech. Był już w połowie długości dachu budynku, kiedy niedaleko przed nim wyrosły dwie sylwetki nieumarłych. Zatrzymał się gwałtownie i zawrócił, aby obrać inną trasę. Niestety, tam również pojawili się już wrogowie. Znowu go otoczyli, jednak tym razem nie miał już dokąd uciec. Wziął parę głębszych wdechów i – chcąc nie chcąc – ruszył z rapierem w stronę nieuniknionego.

Odnalezienie drogi powrotnej do wieży stanowiło dla mężczyzn nie lada wyzwanie. Wiedzieli, że krwiopijcy z pewnością postawili już na nogi cały zamek, byle ich dopaść, gnali więc na oślep korytarzami niczym szczury w labiryncie. Gdy tylko naprzeciwko nich pojawiali się nieumarli wartownicy, natychmiast zmieniali kierunek... Czyli często. Być może nawet za często, gdyż już po paru minutach zupełnie stracili orientację.

Rigast biegł co tchu za paladynem, starając się za wszelką cenę za nim nadążyć. Wiedział, że jeżeli straci go z oczu i zostanie w tyle, niechybnie zginie. Żałował nawet, że to on, a nie rycerz, dzierży olej wytłumiający. Jednak jeszcze bardziej motywowało go to do wydostania się z labiryntu korytarzy i pomieszczeń.

Błądzili przez dłuższy czas, ścigani przez wartowników depczących im wciąż po piętach, aż w końcu trafili na kamienne schody. Nie prowadziły do wieży, ale w dół, prawdopodobnie na niższe piętro. Nie na to liczyli, jednak bez namysłu ruszyli wytartymi stopniami, byleby zgubić przeciwnika. Chwilę później znaleźli się w kolejnej płataninie korytarzy, których, choć byli już na tym poziomie, zupełnie nie rozpoznawali. Dotarli do rozwidlenia i bez namysłu ruszyli w lewo, niemal wpadając na siebie po ciemku. Długi odcinek wijącego się serpentyną przejścia kończył się

niewyraźnym zarysem drzwi w ścianie. Przedostali się przez nie i prostym jak strzała przejściem ruszyli przed siebie. Minęli przezornie jedną z prawych odnóg i w końcu odnaleźli kolejne schody... wiodące w dół.

– Niech to szlag – szepnęła wojownik.

Niespodziewanie ciemności rozstały się w jednej chwili, kiedy ze wszystkich wygaszonych pochodni umieszczonych na ścianach buchnął płomień.

Jarell rozejrzył się nerwowo, spodziewając się nadciągającego zagrożenia.

– Tędy – pociągnął kapłana za sobą w pominiętą odnogę korytarza.

Znaleźli się w jednym z apartamentów, byli jednak przekonani, że widzą go po raz pierwszy.

– Na pewno jesteśmy na drugim piętrze? – Rigast powątpiewał. – Może to jakieś inne skrzydło?

Rycerz nie odpowiedział. Zamiast tego dopadł do drzwi po przeciwległej stronie i szarpnął za klamkę. W przejściu przed sobą dostrzegli czterech ożywieńców z wyjątkowo paskudnie wyglądającymi ostrzami dzierzonymi w gnijących rękach. Paladyn natychmiast zatrzasnął drzwi i wskazał kolejne przejście po ich prawej stronie. Ponownie ruszyli biegiem przez ciasny korytarz. Manewr się opłacił, gdyż niebawem wpadli do kolejnej bogato wyposażonej komnaty. Tym razem jednak doskonale ją pamiętali. Wystarczyło zatem odtworzyć ich pierwotną trasę i już niebawem powinni znaleźć się z powrotem na wieży. Przecięli apartament i pokonali drzwi dzielące ich od kolejnego pomieszczenia. Tutaj jednak czekała na nich niemiła niespodzianka – w sali stała trzyosobowa grupa wartowników, której przewodził jeden z wampirów. Gdy tylko mężczyźni wpadli do komnaty, wampir wydał z siebie przeciągły, złowieszczy syk, a ożywieńcy jak jeden mąż ruszyli do ataku na intruzów.

– Jarellu, bariera! – zawołał Rigast i wysunął się naprzód, aby zająć czymś nieumarłych przeciwników.

Nie bardzo wiedział, co czyni. Powinien być przerażony samą myślą o stawieniu czoła tylu umarłakom w pojedynkę, tymczasem jego umysł zaprzętała tylko jedna myśl: „Dać paladynowi czas i przestrzeń do stworzenia bariery”. Natarł szablą na najbliższego wroga, jednak już po chwili tego pożałował. Stwór sparował cios i przypuścił kontratak. Toscmier zupełnie się tego nie spodziewał. Nie zastanawiał się nad kolejnym posunięciem, a już na pewno nie zakładał, że jego cios nie odniesie żadnego skutku. Instynktownie zrobił unik przed długim nadziakiem, tracąc przy tym równowagę i przewracając się. Nie wiadomo skąd pojawił się obok kolejny przeciwnik, biorąc potężny zamach brodatym toporem. Kapłan nie sądził, aby zdołał zablokować cios, jednak nie miał wyjścia. Uniósł szablę, spodziewając się najgorszego. Wyszczerbione ostrze ześlizgnęło się jednak po łukowatej kłindze i ugodziło w trupa z nadziakiem, który szykował się właśnie do zadania kolejnego uderzenia. Rigast skorzystał z chwili zamieszania i odsunął się od przeciwników, skupiając teraz całą swoją uwagę na niemal zupełnie odartym z ciała szkielecie, który szarżował na niego z wystawioną włócznią. Mężczyzna zamarł. Nie wiedział, co powinien zrobić. Próbować sparować cios czy zrobić unik? A może...

Wtem zza jego pleców wyłoniła się bariera wytworzona przez paladyna. Minęła kapłana i z impetem uderzyła we wszystkie wrogie istoty w pomieszczeniu, zmiatając je ze swojej drogi na przeciwległą ścianę komnaty. Rozległy się trzaski łamanych kości i drzewc przemieszane z brzękiem stali i głuchym łoskotem upadających zwłok.

Kiedy makabryczna symfonia w końcu ucichła, mężczyznom ukazał się bezkształtny trupi kopiec ciał po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Jarell wyprostował się i bez słowa powiódł kapłana już raz przebytą drogą do schodów prowadzących prosto na wieżę.

Wbiegli na górę i zatraskując za sobą z łoskotem drzwi, wpadli do pomieszczenia z magiczną studnią na środku.

– Gdzieście byli tyle czasu? – rozległ się nerwowy głos czarodziejki.

– Adrielo, musimy zablokować te drzwi – wydyszał rycerz.

– Co tam się wydarzyło?

– Drzwi! – krzyknęli mężczyźni jednocześnie, trzymając broń w pogotowiu.

Czarodziejka bez dalszych pytań wycelowała magiczne pierścienie w stronę wejścia i szepcząc coś niewyraźnie, zaczęła materializować bardzo zimny słupek powietrza.

Drewniane deski zaczęły trzeszczeć złowroźnie, po czym pokryły się białym szronem, który chwilę później zaczął przeistaczać się w coraz grubszą warstwę lodu, rozprzestrzeniającego się również na futrynę i ściany. Po paru minutach wejście było zamrożone tak, że bez ciężkiego sprzętu nie można było się przez nie przedostać.

– Macie ten olej? – zapytała, opuszczając w końcu rękę.

– Mam nadzieję, że tak. – Kapłan podszedł do kobiety, aby pokazać jej fiolkę z opalizującym płynem.

Adriela krytycznie przyglądała się substancji wewnątrz szklanej buteleczki, jednak po chwili odetchnęła z ulgą.

– To jest to – szepnęła. – Nie mamy ani chwili do stracenia.

– Zdecydowanie. – Jarell energicznym krokiem skierował się do drugiego wyjścia. – Wszystko przygotowałeś? – zapytał, mijając czarodziejkę.

– Chyba tak... – Kobieta jeszcze raz szybko przeanalizowała czekające ją zadanie.

Nagle zza ich pleców dobiegły głuche odgłosy dobijania się do drzwi. Obrócili się w stronę lodowej czapy i nasłuchiwali przez moment.

– Do dzieła, Adrielo. – Paladyn poklepał kobietę po ramieniu i gestem przywołał do siebie kapłana. – Musimy strzec drugiego wejścia – wyjaśnił mu. – Zaraz zaroi się tutaj od nieumarłych.

Obaj mężczyźni wyszli z pomieszczenia i zajęli dwa przeciwległe korytarze prowadzące do klatek schodowych.

– Nie możemy dopuścić, aby cokolwiek przedarło się do Adrieli. – Rycerz słyszał już przeciwników, zmierzających do nich schodami. – W razie kłopotów daj znać – polecił Rigastowi, po czym, tak samo jak czarodziejkę, poklepał go po ramieniu, dodając otuchy. – Powodzenia! – Obrócił się i zajął stanowisko.

Rigast bez słowa sprzeciwu, posłusznie jak najlojalniejszy żołnierz, poszedł zagrozić ożywioncom dostęp do drugiego korytarza. Tak samo jak paladyn słyszał już kroki dziesiątek zbliżających się stworów. Niosły się echem, odbijane od kamiennych murów, budząc w mężczyźnie wspomnienie ziemiostrawców, które zablokowały im przejście za kamiennym mostem w podziemiach. Nie czuł jednak przerażenia tak jak wtedy. Wręcz przeciwnie, z każdym coraz bliższym krokiem przeciwników wzbierała w nim odwaga i nieznanne mu dotąd poczucie potęgi. Nie wierzył, że wyjdzie cało z tej bitwy, ale po raz pierwszy w życiu w pełni panował nad swoim losem. Po raz pierwszy sam wybrał swoje przeznaczenie.

Gdy tylko mężczyźni zamknęli za sobą drzwi, czarodziejka zabrała się do pracy. Stała tuż przy studni i zaczęła przyzywać magiczną energię. Czując, jak przenika każdą cząstkę jej ciała, gromadziła ją przez jakiś czas, po czym, gdy nadszedł odpowiedni moment, zabrała się za przekształcenie jej w dosyć skomplikowane zaklęcie, mające na celu odizolowanie studni i jej samej od zewnętrznego, czysto fizycznego świata. Nie mogła pozwolić, aby w trakcie jej działań jakaś, choćby najmniejsza, część magicznej energii wydostała się w niekontrolowany sposób poza układ. Nie знаła prawdziwych możliwości sił, z którymi miała do czynienia. Nie wiedziała nawet, czy uda się jej osiągnąć to, co zamierzała. Musiała mimo wszystko próbować. Stawka była zbyt wysoka, a czasu miała coraz mniej.

Gdy tylko otoczyła siebie i studnię magicznym kokonem, walenie dobiegające zza zamrożonych drzwi przycichło, jakby zasłoniła uszy rękami. Cisza i spokój, które zapanowały, podniosły ją trochę na duchu i pomogły skupić się na zadaniu. W pierwszej kolejności musiała w jakiś sposób wlać olej wytłumiający do urządzenia. Przyjrzała się dokładnie fiolce, którą wręczył jej Rigast. Nie wyróżniała się niczym szczególnym – pękate naczynie zwężało się ku górze, tworząc zatkaną szczelnie korkiem szyjkę zagwintowaną na końcu. Adriela ściągnęła brwi, wyłapując pewną nieprawidłowość. Po co był korek, skoro fiolka miała gwint na zakrętkę? Zaczęła od razu badać urządzenie. Oglądała je z każdej możliwej strony, aż w końcu znalazła otwór, z którego wystawała krótka gruba stalowa igła. Niewiele myśląc, przyłożyła do niego szyjkę i zaczęła wkręcać fiolkę w urządzenie. Stalowy szpikulec przebił się przez korek, umożliwiając substancji spłynięcie w głąb wzmacniacza.

Czarodziejka natychmiast poczuła zaburzenie energii magicznej, zupełnie jakby ktoś bardzo głośno, choć bezdźwięcznie, krzyczał jej prosto w twarz.

Łomotanie w drzwi za jej plecami wzmogło się, przedzierając się przez magiczny kokon.

Energia opuszczająca urządzenie nie zniknęła, ale zbladła, jak promienie słoneczne, które przysłoniła cienka chmura. Adriela zaczęła, aż cała substancja opuści szklaną fiolkę, po czym zwolniła wszystkie kłamy

zabezpieczające górną soczewkę. Bardzo ostrożnie chwyciła ją i zdjęła ze szczytu urządzenia. Szkło okazało się dużo cięższe, niż sądziła. Z pewnym trudem położyła je na ziemi. Choć była bardzo ciekawa wewnętrznej konstrukcji urządzenia, nie miała czasu, aby zaglądać do wnętrza. Olej wytłumiający mógł przestać działać w każdej chwili, a i hałas dobiegający zza jej pleców jeszcze się wzmógł. Kobieta obróciła się zaniepokojona i dostrzegła pierwsze pęknięcia w grubej warstwie lodu. Powstrzymując uczucie paniki, ponownie skupiła się na soczewce. Teraz musiała zmienić jej kierunkowość czy może raczej rozszerzyć jej zakres przesyłowy na dwa bieguny zamiast jednego. Było na to kilka sposobów, jednak Adriela w danej chwili musiała posłużyć się najbardziej skomplikowanym – siłami żywiołów. Pozamieniała pierścienie na palcach, aby osiągnąć określoną kolejność, która znacznie ułatwi jej zadanie. Cały proces zmiany kierunkowości przypominał grę na instrumencie. Czarodziejka musiała w odpowiedniej sekwencji przez określony czas z precyzją przesyłać poszczególne moce żywiołów, regulując ich natężenie, głębokość penetracji i zakres oddziaływania. Proces był skomplikowany i wymagał czasu, którego miała coraz mniej. Nie było miejsca na pomyłkę, bo musiałaby zaczynać całą sekwencję ruchów od nowa. Wzięła głęboki wdech i ignorując wzmagające się odgłosy walki prowadzonej za drugimi drzwiami, zabrała się do manipulowania zakresem przesyłowym soczewki.

Kiedy jedną dłońią uzbrojoną w pierścienie dotykała palcami gładkiej powierzchni soczewki, zupełnie jakby grała na flecie, drugą stabilizowała wysyłane impulsy magiczne, aby mieć pewność, że wszystko przebiega jak należy.

Ziemia – woda – trochę ognia...

Walenie w drzwi zmieniło ton. Słysząc było teraz wyraźne uderzenia w gołe deski.

Dużo wody – ziemia – dużo powietrza – trochę wody – ogień – więcej ognia...

Zgiełk bitwy prowadzonej na korytarzach niebezpiecznie narastał.

Ziemia z ogniem – powietrze – ogień z wodą – powietrze – dużo ziemi – jeszcze trochę powietrza...

Skupienie na twarzy czarodziejki wykrzywiło ją w grymasie bólu. Pot gromadzący się na jej czole skumulował się w potężną strugę, zalewając łuk brwiowy.

Ogień – więcej ognia – powietrze z wodą – mniej ognia – ziemia z wodą – dużo powietrza – mniej powietrza – ogień z wodą i ziemią...

Adriela czuła narastające wibrowanie soczewki, która zmieniała swoją strukturę magiczną... A może to wibracje dochodzące zza jej pleców?

Ogień – woda – dużo powietrza – mniej ognia i dużo ziemi...

Kilka uderzeń w deski drzwi za jej plecami. Dźwięk kruszącego się lodu.

Woda – dużo ziemi – bardzo dużo ognia – dużo powietrza...

Już blisko...

Zgrzyt otwieranych drzwi, wdzierające się odgłosy bitwy, za chwilę trzask zamykanych drzwi, krzyk.

Dużo wody – bardzo dużo powietrza i trochę ziemi – odrobina ognia – mnóstwo ognia – dużo ziemi – woda...

Trzask kawałka lodu rozbijającego się o kamienną posadzkę, łomotanie, dźwięk stali uderzającej o stal.

Woda – dużo ziemi – ogień – dużo wody – mniej ognia – mnóstwo ziemi i wody – ogień...

Już prawie koniec...

Bliżej nieokreślony huk. Odłamki lodu rozpryskujące się po pomieszczeniu.

Ogień – dużo ziemi i wody – powietrze – mniej ognia, ziemi i wody – więcej powietrza, więcej ognia i ziemi – mnóstwo powietrza...

Skończone!

Adriela, wycieńczona, zdjęła dłoń z soczewki i spojrzała za siebie.

Z lodowej czapy zostało niewiele. Drzwi napierały na ażurową w tym momencie ścianę skryształizowanej wody. Fragmenty odłupane wcześniej topiły się na podłodze, tworząc małe przejryste kałuże.

Wtem wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Nastąpił kolejny huk, który tym razem doszczętnie rozniósł lodową zaporę czarodziejki. Sporych wielkości odłamki zasypały kobietę, która była zbyt oszołomiona, aby zdążyć się obronić. Jeden z nich trafił ją w głowę, przewracając na podłogę i pozbawiając przytomności. Magiczny kokon zamigotał i zniknął. Niezabezpieczony wzmacniacz, wciąż jeszcze tłumiony olejem, zaczął pulsować poświatą.

Do pomieszczenia wlał się strumień ożywieńców z młotami bojowymi, gotowych ukatrupić każdą żywą istotę, jaką napotkają.

Niemal w tym samym momencie przez drugie drzwi wślizgnęli się obrońcy korytarzy. Rigast miał paskudną ranę na głowie i boku, paladynowi zaś z ramienia i uda wystawały pierzaste bełty. Zaparli drzwi, aby napastnicy nie mogli ich sforsować, i trzymali tak mocno, jak tylko pozwalały im na to ich obrażenia.

– Adrielo, nie mamy już czasu – rzucił przez ramię Jarell, a kiedy zamiast głosu kobiety usłyszał za sobą chrzęst przegniłych pancerzy, obrócił się zaskoczony. – Rigaście, Adriela! – Odepchnął rannego mężczyznę w głąb pomieszczenia, sam siłując się z napierającymi drzwiami.

Rigast, gdy tylko zdał sobie sprawę, że pomieszczenie roi się od martwiaków, rzucił się w wir walki, chcąc odwrócić uwagę przeciwników od nieprzytomnej czarodziejki. Natarł na nieumarłych i bardzo fortunnym ciosem zdekapitował jednego z nich. Uchylił się następnie przed gradem ciosów i zwinnie okrążył napastników. Skierował się od razu na drewniane schody, które były na tyle wąskie, że mógłby prowadzić wyrównaną walkę jeden na jednego.

Jarell wiedział, że musi przytrzymać drzwi jak najdłużej. Póki co czarodziejka była bezpieczna. Tosmer skutecznie zwabił do siebie wszystkich przeciwników. Nie wiedział jednak, kiedy kolejne oddziały wparują przez sforsowane wejście.

– Adrielo! – zawołał, lecz kobieta nie reagowała, wciąż leżąc nieruchomo przy studni. Dopiero teraz zauważył spoczywającą obok niej soczewkę i odkryty pulsujący wzmacniacz. Musiał coś zrobić, ale co?

Rigast wspinał się po drewnianych stopniach coraz wyżej, wymieniając co kilka kroków ciosy z podążającym za nim korowodem wrogów. Sytuacja zaczynała być beznadziejna. Co zrobi, kiedy dotrze na szczyt schodów i zostanie przyparty do muru? Czy Adriela żyje, czy leży na dole martwa? Ile zdążyła zdziałać?

Łomotanie w blokowane przez paladyna drzwi i dźwięki wymienianych przez Rigasta ciosów przedarły się w końcu do świadomości czarodziejki. Otworzyła ciężkie powieki i powiodła nieprzytomnym spojrzeniem wkoło. Złapała się za obolałą głowę i natychmiast poczuła mokrą plamę na włosach. Krew. Usiadła ostrożnie, starając się powstrzymać niespokojnie wirujący przed oczami świat. Mdlilo ją, a w ustach czuła metaliczny smak. Splunęła zabarwioną na czerwono śliną i ostrożnie podniosła się z podłogi. Dopiero teraz zobaczyła Jarellę siłującego się z wibrującymi drzwiami. Krzyczał coś do niej, jednak nie potrafiła zrozumieć, o co mu chodzi...

Nagle między nią a rycerzem coś runęło na podłogę. Martwiak. Czarodziejka spojrzała w górę i zobaczyła Rigasta zmagającego się z całą chmarą przeciwników. Znowu ją zemdlilo. Pochyliła się do przodu i oparła o kolana. Dostrzegła soczewkę spoczywającą na podłodze. Zerknęła na pulsujące coraz szybciej urządzenie.

Czas... Jak długo była nieprzytomna? Zebrała myśli. Musiała jeszcze zasklepić magiczny przepływ soczewki... Natychmiast!

Podniosła szklany krążek i ponownie posłała w jego kierunku magiczną energię z pierścieni.

Rigast był coraz bliżej szczytu schodów. Uporał się jak dotąd tylko z dwoma ożywieńcami, a w kolejce na stopniach czekało jeszcze pięciu czy sześciu. Krew z rany na głowie pozlepiła mu włosy w sztywne strąki i zalewała część twarzy. Rana w boku kłuła dotkliwie i ograniczała zakres jego ruchów. Zaczynało brakować mu tchu i sił. Musiał szybko coś wymyślić, nim będzie za późno i popełni śmiertelny w skutkach błąd.

Zerknął w dół i z ulgą stwierdził, że Adriela żyje i jest przytomna. Stała przy studni z soczewką, wykonując nad nią skomplikowane gesty rękami.

Tosmer wymienił kilkanaście ciosów z martwiakiem i przesunął się o kilka stopni.

Ponownie zerknął na Adriela i ze zdumieniem stwierdził, że wypukła strona soczewki zaczęła zachodzić srebrną powłoką, przypominając teraz krzywe zwierciadło. Czarodziejka przymierzała się właśnie do wstawienia jej na swoje

miejsce, gdy rozległ się trzask wyważanych drzwi i do sali wparowało sześciu przeciwników. Jarell zmagął się już z dwoma z nich, lecz czterech pozostałych zmierzało prosto na obróconą plecami i zaaferowaną magicznym wzmacniaczem czarodziejkę.

– Adrielo! – krzyknął Rigast, jednak nim kobieta zdążyła zorientować się w sytuacji i odłożyć soczewkę, było już za późno. Największy z martwiaków natarł prosto na nią.

Mężczyzna bez namysłu chwycił oburącz swoją szablę i cisnął nią w dół, trafiając zbliżającego się do kobiety ożywieńca i wytrącając go z równowagi. Dało to Adrieli cenne sekundy na zebranie się do walki. Rigast nic więcej nie mógł na razie uczynić, pozostając bezbronny u szczytu schodów. Zrobił kolejny unik przed ciężkim bijakiem, który o włos minął jego kolano, i przewrócił się plecami na drewniane stopnie. Rana w boku ponownie zakłuła, a krew zalała mu oczy.

To już koniec – pomyślał, kiedy stanął nad nim ożywieńiec z uniesionym w górę młotem. Przez ułamek sekundy ponownie zawładnął nim strach, paraliżujący serce i umysł... Paraliżujący ostatnie sekundy jego życia.

Nie! – rozległo się w jego głowie.

Zerwał się ze schodów i ignorując wszelki ból, rzucił się na swojego niedosłzłego kata, obalając go do tyłu, na resztę przeciwników.

Nie bardzo wiedział, co się dzieje. Przewrócił jednego przeciwnika, a reszta posypała się w dół niczym kostki domina. W parę sekund wszyscy stali się jedną bezkształtną masą, staczającą się z łoskotem. Świat wirowała, a dźwięki zlewały się w jeden łomot, kiedy odbijając się od sam nie wiedział czego, pokonywał boleśnie kolejne stopnie, aż w końcu wszystko się uspokoiło.

Leżał u podnóża drewnianych schodów. Coś spoczywało pod nim i na nim. Czuł zimne martwe ciało na swoim karku i zimną twardą podłogę pod prawą dłońią, jednak nie bardzo był w stanie stwierdzić, czy jest cały i zdrowy.

Powoli wygramolił się z kotłowiska bezwładnych ciał. Po chwili poczołgał się oszołomiony pod ścianę. Oparł się o nią plecami i wytarł dłońią krew z twarzy. Walka trwała w najlepsze. Jarell cofał się osaczony przez trzech przeciwników, Adriela zaś starała się uporać z pozostałymi, wypierając ich powoli z pomieszczenia.

Rigast pomyślał o tym, aby wstać i im pomóc, jednak nie miał na to sił. Oparł głowę o zimną ścianę i powoli zamknął oczy. Był tak wyczerpany, że gdyby nie ten wibrująco-świdrujący przeciągły dźwięk wydobywający się ze studni, z pewnością usnąłby w tej pozycji. Otworzył nagle powieki i skupił się na źródle dźwięku.

Olej tłumiący najwyraźniej przestawał działać, gdyż magiczny wzmacniacz jarzył się coraz jaśniej, wydając coraz głośniejsze dźwięki.

Soczewka!

Mężczyzna, wspierając się o ścianę, podniósł się z trudem i kulejąc na nie do końca posłuszną jego woli nogę, podszedł do leżącej na ziemi srebrzystej soczewki. Studnia wraz z osadzonym na niej urządzeniem zaczęła coraz silniej wibrować. Jeszcze trochę i mogło być za późno.

Rigast mimo przeszywającego całego ciała bólu podniósł srebrny krążek i zakrył nim otwór, przez który wydostawała się magiczna energia. Wibracje się wzmogły, a groźnie wyglądająca poświata natychmiast znalazła ujście przez nieszczelne miejsca przylegania zaczarowanej soczewki. Toscmier zaczął zapinać kłamry zabezpieczające.

Pierwsza zamknięta.

Kiedy druga z trzaskiem znalazła się na swoim miejscu, świat zaczął powoli rozmywać mu się przed oczami.

Po zapięciu trzeciej nogi ugięły się pod nim, odmawiając posłuszeństwa.

Kiedy sięgnął po czwartą, gdzieś z oddali usłyszał wołanie paladyna... Co jednak krzyczał? Nieważne... Nie miał na to czasu.

Zamknął czwartą, a po chwili ostatnia kłamra docisnęła zwieńczenie magicznego wzmacniacza.

Nastąpił nagły rozbłysk i huk, który odrzucił go do tyłu niczym szmacianą lalkę. Uderzył z łoskotem w ścianę, a cały świat pokryty krwawą czerwienią eksplodował nagle oślepiającym białym światłem, które pozostawiło w jego umyśle niewypowiedzianą pustkę.

Szpieg stał na krawędzi urwiska, wpatrując się ze zdumieniem w rozświetlający mrok słup energii, który wydobywał się ze szczytu wieży zamku znajdującego się daleko w Jałowej Rozpadlinie.

Tak jak przypuszczał, ślady kapłana połączyły się ze śladami Adrieli i Jarella. Natrafił na nie niedaleko drewnianej wieży w upiornym obozie. Od tamtej chwili podróżowali ponownie razem i wyglądało na to, że we trójkę zeszli po pionowej ścianie urwiska na dno Jałowej Rozpadliny. Nie rozumiał po co do momentu, kiedy jego uwagę przykuł słup energii przekształcający się wysoko w górze w krwawą łunę. Teraz nie musiał już nikogo tropić i doskonale zdawał sobie sprawę, dokąd cała trójka podążała. Nie bardzo jednak wiedział, co powinien teraz robić. Adriela wraz z towarzyszami dotarła już prawdopodobnie w okolice posępnego zamczyska, a prawda był bolesna – Gildorf był za daleko, aby w razie potrzeby im pomóc. Dojście tam, gdzie oni, zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Sytuacja była taka, a nie inna, i najlepszą rzeczą, jaką mógł obecnie uczynić, była obserwacja potężnego słupa energii, który, jak wszystko na to wskazywało, był bezpośrednią przyczyną powstania krwawej łuny.

Gildorf, nie spuszczać oka z odległej budowli, sięgnął po lunetę i przyłożył ją do oka. Teraz widział dużo wyraźniej ciemne kontury zamku i karmazynowy promień wydostający się ze szczytu smukłej wieży. W pewnym momencie promień jakby zbladł, przygasł, ale wciąż rozświetlał mrok. Gildorf ponownie zaczął ustawiać ostrość, kiedy usłyszał za swoimi plecami bardzo niepokojące dźwięki. Obrócił się natychmiast, przypadając do ziemi. Kilka set metrów za nim pojawił się duży oddział armii wroga.

Straż przednia? – zastanawiał się szpieg.

Przyłgnął do ziemi jeszcze mocniej i skierował lunetę w stronę przeciwnika. Nie był w stanie dostrzec szczegółów ich uzbrojenia, ale już same posunięcia armii mogły mężczyźnie zdradzić choćby ułamek ich strategii.

Oddział poruszał się synchronicznie, rozglądając się na boki. Wyglądali bardziej na wycieczkę krajoznawczą niż zgrupowanie bojowe, które mogłoby stanowić zagrożenie.

Gildorf poczekał, aż ożywieńcy znikną z jego pola widzenia, i wyteżył wzrok, wypatrując regularnej armii. Bardzo był ciekaw jej liczebności oraz wyposażenia. Po dłuższej chwili z mroku wyłoniło się czoło długiej i szerokiej kolumny nieumarłych żołnierzy. Szli ósemkami. Szpieg jeszcze nigdy nie widział tak zwartych oddziałów. Każdy z umarłaków dzierżył zupełnie odmienny rodzaj broni. Kusze i łuki szły obok toporów i włóczni. Na pozór zorganizowana armia wyróżniała się chaosem pod względem wyposażenia.

Kolumna ciągnęła się w nieskończoność. Szpieg jak dotąd naliczył niemal pięciuset żołnierzy, a wyglądało na to, że to dopiero początek. Gildorf przeturlał się na bok, aby schować lunetę, i dokładnie w tym samym momencie pierzasta strzała utkwiała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał.

Mężczyzna odruchowo zamarł, jednak gdy tylko zdał sobie sprawę ze swojego błędu, zerwał się na równe nogi. Nie miał zbyt wiele czasu do namysłu – został wykryty, choć nie był w stanie dostrzec przez kogo. Rzucił się biegiem w stronę zarośli okalających stare powykęcane drzewo. Miał nadzieję, że w mroku nikt nie dostrzeże, gdzie zniknął, choć w głębi duszy był przygotowany na najgorsze. Ukrył się za pnem drzewa i nasłuchiwał w napięciu, czy przeciwnicy ruszyli w pościg. Niepewność rosła w jego sercu z każdą kolejną sekundą, jednak nic nie wskazywało na to, aby jakaś część żołnierzy odłączyła się od sunącej wciąż niemal bezszelestnie kolumny wojska.

Gildorf bardzo ostrożnie wychynął zza pnia. Mylił się. Stosunkowo niewielka grupa, złożona z kilkunastu martwiaków, opuściła szeregi i stała teraz nieruchomo, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed kilkoma chwilami leżał na trawie.

Szpieg odetchnął z ulgą. Uwierzył, że zdołał się wymknąć, że chwilowo był bezpieczny. Nic bardziej mylnego.

Kolejna pierzasta strzała z głuchym tąpnięciem utkwiała w pniu drzewa tuż obok jego głowy. Oddział martwiaków natychmiast ruszył biegiem w jego kierunku.

Gildorf przyłgnął plecami do szerokiego pnia i starając się nie wpadać w popłoch, rozważał swoją sytuację. Nie mógł przejść do ofensywy, przecież nie stawi czoła całej armii. Musiał uciekać, ale dokąd?

Ponownie wychynął zza drzewa i szybko się schował. Ożywieńcy byli coraz bliżej...

Jeszcze jedna strzała trafiła w drzewo.

Mężczyzna nie miał wyjścia, musiał działać natychmiast. Każda sekunda zwłoki oddalała go od szansy przeżycia tego niespodziewanego spotkania. Rzucił się biegiem w stronę urwiska. Nie oglądał się za siebie. Biegł najszybciej jak tylko potrafił, starając się co parę kroków zmieniać kierunek, aby nie trafiła go strzała wypuszczona przez jednego z wrogich łuczników. Gdy był już blisko krawędzi klifu, rzucił się do ślizgu, aby ostatnie metry pokonać jak najbliższej ziemi. Decyzja okazała się słuszna, gdyż nad jego głową śmignęły dwie kolejne strzały.

Kiedy tylko znalazł się na samej krawędzi urwiska, obrócił się na brzuch i zręcznym ruchem, przytrzymując się czego tylko mógł, zsunął się po ścianie w dół. Wisiał przez chwilę bezwładnie, szukając nogami podparcia. Ledwie zdążył je znaleźć i oderwać prawą rękę od krawędzi w poszukiwaniu kolejnego występu, poczuł rozrywający ból w lewej dłoni. Strzała wysłana przez jednego z martwiaków przyszpiliła mu dłoń do gruntu.

Gildorf krzyknął i skrzywił się z bólu, niemal tracąc podparcie pod stopami. Próbował oderwać zranioną dłoń od zakrwawionej trawy, jednak przenikliwy do szpiku kości ból szybko odwiódł go od kolejnych prób. Musiał jak najszybciej podciągnąć się ponownie i prawą ręką uwolnić przywołaną dłoń, aby móc zejść niżej. Tylko czy będzie później w stanie utrzymać się nad przepaścią? W najgorszym wypadku nie będzie musiał, bo gdy tylko wystawi głowę nad krawędź urwiska, natychmiast zaliczy kolejne trafienie, tym razem w czoło. Nie miał, niestety, wielkiego wyboru, musiał zaryzykować. Podparł się stopami i chwycił darni na krawędzi. Wziął głęboki wdech, przygotowując się do szybkiej akcji oswobodzenia ręki, i już miał się podciągnąć nad krawędź klifu, kiedy za jego plecami rozległ się potężny huk, odbijający się przeciągłym echem od kamiennych ścian Jałowej Rozpadliny.

Gildorf się wystraszył. Stracił podparcie pod stopami i ponownie zawisł nad urwiskiem. Rozdzierająca błyskawica bólu przeszła jego lewe ramię. Trwało chwilę, nim jego buty znalazły oparcie na wystęпах skalnych. Obrócił się energicznie, ignorując drętwienie lewego ramienia. Słup energii, jeszcze przed chwilą rozświetlający w oddali mrok, zniknął. Wraz z nim krwawa łuna ustępowała miejsca zwykłemu nocnemu sklepieniu. Wyglądało to jak kamień rzucony w niezmaconą toń nieba, który po zanurzeniu wywołał tylko jedną rozchodzącą się falę. Mężczyzna prawie zapomniał o swojej beznadziejnej sytuacji, obserwując, jak groteskowa fala, płynąca wysoko nad nim, mija go i znika za krawędzią urwiska.

Nie rozumiał, co przed chwilą zobaczył, ale przypominał sobie, co miał zrobić. Podciągnął się nad krawędź przepaści i podpierając na łokciu, zaczął siłować się ze strzałą utkwioną w ziemi. Była wbita tak głęboko, że dalsza próba wyciągnięcia jej zajęłaby mu zbyt wiele cennego czasu. Chwycił drzewce bliżej dłoni i zerkając przed siebie, zamarł ze zdumienia. Równina przed nim, jeszcze przed chwilą pełna oddziałów wroga, był pusta. Nie słyszał już żadnych odgłosów z oddali i nie był w stanie dostrzec na horyzoncie ani jednej postaci. Co się wydarzyło?

Gildorf złamał strzałę i w końcu mógł uwolnić zakrwawioną dłoń. Wgramolił się z powrotem na trawę i poruszając się blisko ziemi, ruszył w stronę, skąd nadciągał na niego złowrogi oddział. Szedł, rozglądając się z nieufnością. Przecież nie mogli tak po prostu zniknąć. Czyżby miał do czynienia ze zjawami? Przyjrzał się swojej zakrwawionej dłoni. Zjawy nie wyrządziłyby mu takiej krzywdy.

Nagle dostrzegł przed sobą rupiecie zalegające w trawie. Podeszedł ostrożnie i stanął nad stertą kości, szmat i przerdzewiałego wojskowego ekwipunku. Trochę dalej zauważył jeszcze parę takich kopczyków, a kilka kroków dalej – kolejne.

Szpieg ruszył biegiem do miejsca, gdzie przegrupowywało się wojsko. Serce waliło mu coraz szybciej, a nogi potykały się na równym podłożu. Gdy tylko dotarł na miejsce, z wrażenia zaparło mu dech. Kolumna ożywieńców, ciągnąca się w nieskończoność, zamieniła się w jeden wielki pokot.

Udało im się – uradował się Gildorf i natychmiast sięgnął po kryształ kontaktowy.

W zamku panowało poruszenie. Król Olaf kazał obudzić w środku nocy wszystkich najważniejszych dowódców wojskowych i zgromadzić, choćby siłą, w sali narad wojennych.

Stał teraz, wyniosły i nieustępliwy, u szczytu długiego stołu, wokół którego zebrali się wszyscy dowódcy, bardzo zmieszani i nieco wystraszeni. Znali bowiem nieobliczalny charakter swojego władcy i nie bardzo wiedzieli, czego tym razem powinni się spodziewać.

Gdy tylko do sali weszła królowa, mająca obowiązek uczestniczyć w każdej tego typu naradzie, drzwi zamknęły się z hukiem, a wszystkie spojrzenia skierowały się na władcę.

Olaf stał wciąż nieporuszony i milczący, wpatrując się w zgromadzonych, jak gdyby starał się ich sprowokować.

– Panie mój – odezwał się w końcu Giz'Den, zniecierpliwiony milczeniem władcy – wyjawisz nam, dlaczego zgromadziłeś nas tutaj w środku nocy? – zapytał, stawiając być może zbyt duży nacisk na ostatnie słowa.

– Jesteśmy w stanie wojny – zauważył Prezeus, miażdżąc wzrokiem młodego stratega. – Jesteście zatem do mojej dyspozycji przez okrągłą dobę. Każde odstępstwo od tej procedury będę odbierał jako zdradę. Czy wyraziłem się jasno? – Zimny ton jego głosu przeszył wszystkich do szpiku kości.

– Tak, panie – rozległ się niewyraźny pomruk zmęczonych i coraz bardziej niepewnych swojego losu wojskowych.

– Zebrałem was tutaj – król zaczął jak gdyby nigdy nic – aby ustalić szczegóły jutrzejszego wymarszu wojsk do Kastengravu.

Wszyscy dowódcy zamrugali nerwowo i rozejrzeli się po towarzyszach, zdumieni tym, co przed chwilą usłyszeli.

– Wymarszu wojsk? – zapytał nieśmiało Giz'Den. Nie chciał ponownie podpaść władcy niedorzecznym pytaniem, jednak funkcja, którą pełnił, obligowała go do reakcji. – Panie mój, mówiłeś przecież, że... – Przeknął nerwowo ślinę. – Mówiłeś, że nie będziemy pomagać miastu.

– A teraz mówię, że z samego rana wojska mają wyruszyć do Kastengravu – wyjaśnił Olaf, akcentując złowieszczo każde słowo. – Całe Soblevo ma oglądać pochód.

– Panie, taka nagła zmiana decyzji jest dosyć zaskakująca – stwierdził Corvil, mierzwiąc nerwowo swój siwy zarost. – Wojsko to nie szabla, którą można w ułamku sekundy dobyć z pochwy. Mobilizacja zajmie dużo czasu...

– Do świtu zostało jeszcze kilka godzin – zauważył beznamiętnie Olaf.

– Królu! – Ebern powstał z miejsca, górując tym samym nad szczupłym władcą. – To jest niedorzeczne. Jak mam zorganizować w kilka godzin wystarczającą liczbę potrzebnych mi wierzchowców? Królewskie stajnie nie zasilą nawet jednej trzeciej mojego oddziału.

– Zapominasz się, Ebernie – Giz'Den zareagował szybciej od króla. – Ja odpowiadam za koordynację wojsk i na moich barkach spoczywa ten problem. Siadaj – rozkazał mężczyźnie, zerkając niepewnie na z pozoru nieporuszonego władcę.

– Łucznicy będą gotowi. – Walanga rozparła się na oparciu krzesła. – Mogą rozpocząć pochód wojsk.

– Jazda rozpoczyna i kończy pochód – zauważył zgorzkniałym tonem Ebern. – Taka jest tradycja.

– Na szczęście tradycja nie wskazuje liczebności jeźdźców w kawalkadzie – zauważył Giz'Den, gładząc w zamyśleniu dolną wargę. – Zmobilizujesz tyle jazdy, ile będziesz w stanie. Dostępne wierzchowce rozpoczną pochód. Reszta jazdy ruszy pieszo. Po drodze do miasta uzupełnimy konie w miasteczkach i we wsiach – zarządził w końcu.

– PIESZO? – Barczysty dowódca jazdy wybałuszył oczy. Z kopiami? Pieszko? W pełnym rynsztunku?

– Ebernie – Besvol położył rękę na ramieniu wzburzonego kolegi – tabor z zaopatrzeniem będzie potrzebował ochrony. Twoi ludzie pomieszczą się na wozach.

– Wy sobie chyba żartujecie! – Ebern nie wierzył w to, co słyszy. – Moje oddziały przez lata szkolą się w jeździe i walce na bojowych wierzchowcach, a wy najpierw chcecie przegonić ich pieszo przez miasto, później na wozach z zaopatrzeniem, i to wszystko na oczach tysięcy mieszkańców Soblewa, a na koniec wyposażyć ich w wychudzone wiejskie szkapy? Myślicie, że moi ludzie się na to zgodzą? Zostaną zakłuty kopiami przy pierwszej nadarzającej się okazji, a morale oddziału jeszcze przed pierwszą bitwą będzie tak niskie, że nie wiadomo, czy nie dojdzie do dezercji. Jesteście szaleni!

– Władca wydał nam rozkaz. – Giz'Den wwiercał się wzrokiem we wzburzoną twarz Eberna.

Także nie zgadzał się z pomysłem króla, ale nie mógł wraz z innymi otwarcie podważać jego decyzji, bo natychmiast zostaliby straceni pod zarzutem zdrady bądź dezercji. Ebern powinien zdawać sobie z tego sprawę.

– Weźmiesz zatem tylu ludzi, ile mamy dostępnych wierzchowców – polecił, ucinając dalszą dyskusję. – Nie mamy czasu na głupie spory.

– Piechota powinna być gotowa do wymarszu na czas – zakomunikował Corvil, zniesmaczony zachowaniem młodszego dowódcy jazdy.

– Irionie – Giz'Den zwrócił się do dowódcy technika – masz na chodzie jakieś zabawki, które mogą nam się przydać w bitwie?

– Obawiam się, że tylko spowalniałbym wasze zastępy – Irion pokręcił głową. – Wolę skupić się na przygotowaniu obrony Sobleva.

– Niech będzie i tak – młody strateg przystał na taką propozycję. – Zatem wszystko ustalone. Rano o ósmej rozpoczniemy pochód. Wyznaczę trasę i dostarczę każdemu z... – Trzask otwieranych z rozmachem drzwi przerwał Giz'Denowi.

Do sali wkroczyła sprężystym krokiem Kaspira. Stała przed bacznie przyglądającym się jej królem oraz zaintrygowanymi dowódcami, pełna wdzięku i powabu, po czym skłoniła się nisko i oświadczyła, że wojna skończona, gdyż krwawa luna zniknęła.

– Adrieli powiodła się misja, panie mój – oświadczyła uradowana. – Anfer jest bezpieczny!

Wszyscy doradcy, jak na rozkaz, rzucili się do okien, aby na własne oczy ujrzeć nowinę. Odsłonili grube, ciężkie kotary i ujrzeli ciemny granat nieba na horyzoncie.

– To prawda! Zniknęła! Zwycięstwo! – rozległy się okrzyki.

Wszystkich ogarnęła niewypowiedziana radość i ulga. Spory, które jeszcze przed chwilą zaprzętały serca i umysły obecnych, odeszły w zapomnienie. Do królestwa wrócił pokój. Kastengrav było bezpieczne, tak samo jak reszta kraju.

Tylko Olaf Prezeus I stał nieruchomo w zamęcie ogólnej wesołości swoich dowódców. Nie czuł szczęścia, raczej niewypowiedzianą pustkę i niedosyt. Miał prowadzić wojnę. Wojnę, która miała wynieść go na historyczne wyżyny. Wojnę, dzięki której miał zostać zapamiętany na wieki. Wojnę, która stała się sensem jego życia... A teraz?

Król stał oniemiały ze wzrokiem utkwionym w rozłożonej na blacie długiego stołu pokreślonej mapie królestwa. Szabla, kolczuga i królewski płaszcz z soboli zaczęły mu nagle ciążyć. Czuł, że powoli zapada się w sobie, coraz głębiej i głębiej, tracąc kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Zupełnie jakby tonął.

Nagle poczuł delikatny dotyk na ramieniu. Obrócił się i dostrzegł obok siebie królową – swoją żonę. Wpatrywała się w niego zielonymi oczami, które w tym momencie zdały mu się nawet ładne i pociągające. Smukłe rysy twarzy były zwieńczone delikatnymi i pełnymi czerwonymi ustami, lekko rozchylonymi w niewypowiedzianym szepcie.

– Mężu mój – jej głos otulił Olafa niczym miękkiej szali – czy pokażesz mi swoje zwycięstwo z wieży? – zapytała, gładząc miękką dłońią jego zimny, szorstki policzek.

Chwycił ją za rękę i bez słowa powiódł za sobą. Nigdy tak się nie czuł w jej obecności. Zapach jej perfum oszalał zmysły, uspokajając jednocześnie burzę myśli kotłujących się w głowie. Jej delikatna dłoń trzymała się go kurczowo, jakby królowa się obawiała, że za nim nie nadąży. On jednak bacznie pilnował, aby jej nie zgubić, nie stracić. Była jego żoną i nigdy dotąd tak mocno tego nie odczuwał.

Wspięli się spiralnymi schodami na sam szczyt najwyższej wieży, z której bardzo często, choć osobno, obserwowali wschód – on zastanawiał się nad licznymi bitwami, które będą znaczyły szlak jego wroga, ona zaś myślami była przy swoich zaginionych rodzicach, którzy od lat nie dawali znaku życia.

Olaf wyprowadził Virejnę na otwartą przestrzeń i stanął przy drewnianej barierce, wpatrując się w ciemny granat nieba rozciągający się aż po sam horyzont. Stała obok niego, również wpatrując się w powoli ustępujący mrok nocy. Chłód nadciągającego świtu, który ją ogarnął, sprawił, że zadrżała. Olaf spojrzął na nią, tak jak jeszcze nigdy dotąd, i objąwszy ją w talii, przysunął bliżej siebie, aby osłonić ją płaszczem od wiatru i zimna.

– Jest takie piękne – powiedziała Virejna, kiedy zza chmur wyłoniły się gwiazdy. – Jest takie bezpieczne – oderwała wzrok od nieba i spojrzęła na swojego męża. – Dzięki tobie – szepnęła czule.

Przysunęła się bliżej i objęła go ramionami w pasie. Zadarła głowę, aby móc lepiej przyjrzeć się człowiekowi, który był za to wszystko odpowiedzialny. Chłód w jego oczach zniknął, rozpułnął się z wiatrem. Patrzył na nią teraz zagubiony chłopiec w ciele mężczyzny, który nie do końca wiedział, co się z nim dzieje. Mężczyzny, który mimo wszystko należał do niej. On był królem, a ona królową i tylko śmierć mogłaby ich rozłączyć.

Wspięła się na palce i przyłgnęła ustami do jego ciepłych warg. Od ślubu nigdy tego nie robili i od razu poczuła niepewność i dezorientację w jego pocałunku. Odruchowo chciała go zakończyć, jednak przytrzymała ją delikatnie, choć stanowczo, i trwali tak, dopóki nie pojął emocji, które w nim wzbudzała.

Pragnął jej. Dotyk jej skóry przywodził mu na myśl delikatne olejki do namaszczenia ciała. Jej zapach był niczym najpiękniejsze królewskie ogrody. Oczy przypominały mu szmaragdy – przejrzyste i bez skazy. Usta zaś...

Ponownie przyłgnął do niej w pocałunku.

Usta były największą słodyczą, jaką mógłby sobie tylko wymarzyć. Były tajemnicą życia, które tak nierozważnie marnował na swoje mrzonki.

Naparła na niego, rozpalając ich pocałunek prawie do białości. Ich dusze zlewały się w jedno, były jednym i nierozzerwalnym węzłem. Węzłem małżeńskim, którego nie dało się rozplątać. Można go było tylko przeciąć.

Wtedy go pchnęła.

Olaf, zaskoczony, zatoczył się w tył i tracąc równowagę, wypadł za drewnianą barierkę. Nie spadł jednak. Jakimś cudem zdołał uchwycić się wystającej z muru belki. Próbował się podciągnąć, jednak szabla, płaszcz i kolczuga były zbyt ciężkie. Nad sobą zobaczył Vireję. Chłód w jego oczach powrócił, kiedy dostrzegł uśmiech na jej twarzy.

– Czas twojej tyranii dobiegł końca – oświadczyła i odwróciła się do niego plecami. – Aha. – Ponownie na niego zerknęła. – Jestem w ciąży, choć nie z tobą. – Jeszcze raz spojrzała mu mściwie w oczy, po czym odeszła.

Olaf Prezeus I przepelniony rosnącą nienawiścią zacisnął mocniej palce na drewnianym występie. Gdyby nie znalazł się w tak niefortunnej sytuacji, zacisnąłby je na gardle tej suki i miażdżył tak długo, aż straciłby w nich czucie. Jeszcze raz spróbował się podciągnąć. Napiął wszystkie mięśnie i bardzo powoli zaczął zbliżać twarz do belki. Wysiłek był ogromny, ale musiało mu się udać. Musiał się zemścić. Krew buzowała mu w żyłach, a mięśnie paliły żywym ogniem. Jeszcze tylko parę centymetrów. Jeszcze trochę wysiłku i...

Palce ześlizgnęły się z wygładzonego wiatrem i deszczem drewna i król Anferu Olaf Prezeus I runął w dół.

Nie krzyczał. Tylko słabi i żałośni okazują strach. On do nich nie należał. Był lepszy od tej całej hołoty. Był odważny, inteligentny... Był królem! Był... martwy.

Kastengrav ocalało. W najczarniejszej godzinie bitwy, kiedy wszyscy zaczęli tracić nadzieję, a liczne oddziały wroga panoszyły się już po całym mieście, wciąż powiększając swoje szeregi, kiedy obrońcy ginęli szybciej, niż nadążali zabijając, kiedy pierwsze płomienie ogarnęły budynki, kiedy brama miasta została rozniesiona w drzazgi, kiedy strach niczym dzika bestia kończył pożerać odwagę i męstwo, czerwień królująca na niebie została zdetronizowana. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znajomy i budzący zaufanie mrok nocnego nieba zawitał ponownie, a wraz z nim stracona nadzieja.

Wróg powrócił tam, skąd przybył – do krainy śmierci. Upiorne oddziały ożywieńców w jednej chwili przestały stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

Miasto przetrwało.

Faskir z dużą ulgą powitał zwycięstwo, organizował bowiem właśnie obronę roztrzaskanej bramy miejskiej.

Jeszcze przed chwilą oczyma wyobraźni widział nieuchronną klęskę, która oznaczała mimowolne dołączenie do wrogich zastępów. Koszmarna wizja zaprzętała jego myśli, kiedy pierwsze skrzydło bramy runęło na zakrwawione ulice. Przeciwnik wdarł się wtedy do miasta, nie robiąc sobie zupełnie nic z gorącej smoły lejącej się z murów, ze strzał miotanych przez łuczników czy gradu kamieni, który go zasypał. Parł naprzód nieustraszony, nieugięty, dążąc do miażdżącego zwycięstwa.

Dowódca straży miejskiej dostrzegł pełen bukłak przy boku jednego ze zmasakrowanych obrońców leżących na lepkiem od krwi bruku. Schylił się, odpiął skórzane naczynie i zaczął łapczywie pić. Gdy skończył, wręczył bukłak jednemu z przechodzących strażników i zmęczonym krokiem ruszył w głąb miasta, aby zorganizować pozostałych przy życiu obrońców.

Na ulicach nie było żywego ducha. Co jakiś czas mijał zwłoki przeciwników i strażników, porzucony ekwipunek, nieskończone barykady, dopalające się części zabudowy... W mieście panował chaos, przetrwało tak niewielu. Gdy tylko trafiał na ocalałych, informował ich, że to już koniec, i kierował do polowego posterunku.

Trzeba było jak najszybciej rozdzielić zadania między całą ludność Kastengravu. Musieli uprzątnąć i spalić wszystkie zwłoki, nim wybuchnie zaraza, opanować wszystkie, nawet najmniejsze pożary, zgromadzić zapasy żywności i podzielić je na dzienne racje dla każdego mieszkańca, co zaś najważniejsze – należało przywrócić prawo i porządek. Z pewnością już dochodziło do incydentów kradzieży, włamań, może nawet gwałtów. Chaos rządził się własnymi prawami, a mieszkańcy byli, jacy byli. Jak najszybsze przywrócenie patroli straży miejskiej było priorytetem.

Faskir skierował kolejną oszołomioną grupę obrońców do polowego posterunku i ruszył w stronę doków. Jeśli w wodzie również pływały ciała, trzeba było działać od razu, nim trupi jad przedostanie się do wody pitnej.

Szedł ulicą i rozglądał się bacznie po najciemniejszych zakamarkach w poszukiwaniu ocalałych. Nagle zdał sobie sprawę, że liczba zwłok na bruku wzrosła dwukrotnie. Po kilkudziesięciu kolejnych metrach ciała leżały tak gęsto, że miał problem z przemieszczaniem się. Roztrącał nogą obcięte głowy, aby znaleźć oparcie dla stopy stawiającej kolejny krok. Dziesiątki, jeśli nie setki trupów zaścielały całą szerokość ulicy, zwisały z dachów, piętrzyły się pod ścianami budynków.

Faskir, zdumiony, zachodził w głowę, który oddział był za to odpowiedzialny, do momentu, kiedy dostrzegł pierwsze bełty sterczące z głów wciąż osadzonych na zimnych martwych karkach. Taka precyzja strzałów nie mogła być zasługą żadnego ze strażników. Brnął dalej przez morze trupów, aż wyszedł na nieduży plac, przypominający najbardziej makabryczny z koszmarów. Wyglądał jak przeorane pole uprawne, tyle że zamiast grud ziemi wszędzie pełno było głów i korpusów. Krew, która nie wsiąkała w kamienne podłoże, stworzyła gęste bordowe błoto klejące się do wszystkiego.

Dowódca straży, poruszony do głębi tym widokiem, brnął wśród bezgłowych zwłok. Każdemu stawianemu krokowi towarzyszyło odrażające mlaskanie wydawane przez podeszwy butów. Pośrodku tego pola śmierci dostrzegł wystającą z grubej warstwy ciał pochyloną postać.

Faskir przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej pomóc nieznanemu, jednak gdy tylko się zbliżył, zrozumiał, że nic już nie jest w stanie poradzić.

Mężczyzna, którego dostrzegł, wyglądał, jakby wzbudził nienawiść wszystkich demonów tego świata. Dziesiątki ran mieniących się szkarłatem ledwie były widoczne spośród wielu tuzinów strzał wrażeń w każde miejsce na jego zmasakrowanym ciele. To jednak najwyraźniej go nie zabiło, gdyż z klatki piersiowej i brzucha wystawały jeszcze dwie długie włócznie, na których oparło się bezwładne ciało, kiedy w końcu wyzionął ducha. Pozycja, w której zginął, sugerowała, że walczył do samego końca i nigdy nie przeszedł na stronę wroga.

Faskir, poruszony męstwem obrońcy, delikatnie i z szacunkiem uniósł bezwładną głowę, aby przyjrzeć się obliczu tego dzielnego wojownika.

– Feriel – szepnął z uznaniem, po czym obrócił się gwałtownie, usłyszawszy hałas w bocznej uliczce.

– Co tutaj się wydarzyło? – zapytał strażnik, wychodząc z ciemnego zaułka na plac. Mężczyzna rozejrzał się równie wstrząśnięty, co jego dowódca.

– Podejdz tu – rozkazał Faskir, a kiedy obrońca stanął obok niego, wskazał zmasakrowane zwłoki wywiadowcy. – Strzeż go – polecił. – Nie pozwól go ograbić, nie pozwól, aby ktokolwiek zbeczczył jego zwłoki. Nikt nie może się zbliżyć do jego ciała. Zasłużył na spokój.

– A kto to jest? – zapytał zdumiony strażnik, łypiąc niepewnie na obrzydliwie zmasakrowanego mężczyznę.

– To wszystko – mówiąc to, dowódca zatoczył ręką koło, wskazując morze ciał – to jego zasługa – wyjaśnił i ruszył do posterunku polowego, żeby ściągnąć nosze.

Dużo ci zawdzięczamy Ferielu – pomyślał, wychodząc na ulicę skąpaną w pierwszych promieniach porannego słońca. – Bardzo dużo.

Rigast siedział oparty plecami o zimną chropowatą skałę. Poranne promienie słoneczne obmywały jego strudzoną i zakrwawioną twarz. Noga dopiero teraz zaczęła dawać o sobie znać przenikliwym bólem, rwącym w okolicy kolana.

Adriela klęczała obok kapłana, opatrując mu paskudną ranę na głowie. Jej zręczne palce czyściły brzegi rozciętej skóry, tak aby nie doszło do infekcji. Gdy skończyła, przyjrzała się krytycznie swojemu dziełu, a po chwili namysłu przystawiła jeden z pierścieni do okazałego rozcięcia.

– To może zabołec – ostrzegła i nim mężczyzna zdążył zaprotestować, przypaliła odsłoniętą tkankę.

Rozległ się cichy syk i rozszedł się swąd palonych włosów. Rigast przez moment myślał, że ból rozsądzi mu czaszkę. Zaciśnął zęby, wybałuszył oczy i wbił palce w kamieniste podłoże. Ból tętnił w jego mózgu, zupełnie jakby był sprzęgnięty z sercem pompującym krew. Po chwili uczucie ucisku miażdżącego czaszkę zaczęło ustępować tępemu pulsowaniu w miejscu rany.

Tosmer, wstrząsany dreszczami, osunął się trochę, jednak po chwili wróciło mu czucie w obolałych mięśniach i ponownie przylgnął plecami do chropowatej skały. Chciał coś powiedzieć, wyrzucił kobiecie barbarzyńskie metody, ale wiedział, że to, co zrobiła, było konieczne.

– Skończyłaś? – zapytał, zamykając oczy i uspokajając oddech.

– Myślę, że tak – odparła pogodnie czarodziejka i wyprostowała się. – Jarellu – zagadnęła natychmiast rycerza – jak twoje rany?

– Bardzo dobrze – zapewnił paladyn, widząc, jak przed chwilą potraktowała kapłana.

Adriela skinęła głową i zabrała się do pakowania plecaka, rozbebeszonego w poszukiwaniu maści odkażającej, której i tak nie znalazła.

– Nie wiem, co się stało z tą maścią... Pewnie gdzieś wypadła, jak uciekaliśmy – stwierdziła przeproszającym głosem.

– Daj spokój, Adrielo – obruszył się kapłan. – To cud, że w ogóle żyjemy.

Po tym, jak Rigast umiejscowił soczewkę na szczycie wzmacniacza, stało się to, czego obawiała się czarodziejka – niekontrolowany impuls energii magicznej wydostał się poza układ i zmiotł mężczyznę, ciskając nim o ścianę.

Tosmer stracił przytomność, a jego towarzysze, nie bardzo świadomi tego, co przed chwilą się wydarzyło, ze zdwojoną furią natarli na zataczających się przeciwników, którzy po chwili leżeli już nieruchomo, pozbawieni sił witalnych.

Pierwszy do kapłana dotarł Jarell, sprawdzając, czy jego puls wciąż bije. Adriela w tym czasie bacznie obserwowała studnię – nie wydobywał się już z niej karmazynowy promień energii, zaczęła jednak złowieszczo buczeć, jakby niebawem miało wydarzyć się coś strasznego.

– Żyje – stwierdził paladyn i zaczął cucić towarzysza.

Złowieszcze buczenie przemieniło się w wibracje tak silne, że cała wieża rezonowała.

– Pospiesz się – poleciła czarodziejka, kiedy podłoga i ściany zaczęły wibrować coraz mocniej.

Z góry posypały się pierwsze wykruszone fragmenty zaprawy, a drewniane schody trzeszczały i skrzypiały, jakby zaraz miały się rozpaść w drzazgi.

Jarell, widząc, co się święci, darował sobie subtelne potrząsanie kapłanem i dzielił go mocno otwartą dłońią po twarzy.

Rigast otworzył nieprzytomne oczy, a czując otaczające go wibracje, szybko doszedł do siebie.

– Musimy uciekać – wyjaśnił wojownik. – Zamek zaraz się rozpadnie. – Pomógł wstać kapłanowi i wspierając go swoim ramieniem, poprowadził wraz z Adriela do klatki schodowej prowadzącej w dół.

Budowla trzęsła się w posadach, gruz sypał się ze ścian i sklepień. Pył wzbił się w korytarzach, ograniczając widoczność i utrudniając oddychanie.

– Tędy – Jarell powiodł towarzyszy w dół, trzymając oboje, aby nie stoczyli się z rozhuśtanych stopni.

U podnóża schodów wpadli na spanikowanego Izyliona, który przecisnął się obok nich i z obłędem w oczach pobiegł na wieżę ratować dzieło swojego życia.

– Wracaj! – krzyknął za nim paladyn. – Nic nie zrobisz!

Już miał ruszyć pędem za byłym królewskim doradcą, jednak Adriela przytrzymała go za ramię.

– Nie mamy na to czasu. – Jej wzrok błagał, aby ich nie zostawiał samych. – Nie wrócisz stamtąd!

Rycerz poświęcił jeszcze parę sekund na ocenę sytuacji i przyznał rację kobiecie. Ruszyli dalej, robiąc uniki przed walącymi się fragmentami sklepienia i zataczając się na ściany przy każdym mocniejszym wstrząsie. Wydawało im się, że idą całą wieczność. Jarell milczał, skupiony na odtworzeniu drogi, którą przemierzali po wejściu do zamku. Nie zwracał szczególnej uwagi na komfort pozostałej dwójki. Ciągnął ich niemal po ziemi, mając w głowie tylko jedno – wydostać się na zewnątrz, nim budowla straci integralność i zacznie zapadać się w sobie.

Pokonywali kolejne piętra niemal po omacku. Adriela wyczarowała kulę światła, jednak w korytarzach wznosiło się już tyle pyłu, że na niewiele się to zdało. Większą przeszkodą niż mrok były problemy z oddychaniem. Cała trójka zasłaniała sobie twarze płaszczami, starając się oddychać jak najmniej.

W połowie drogi przez pierwsze piętro paladyn pomylił drogę i zamiast skrócić w lewo, wybrał prawy korytarz. Zanim jednak zdążył zorientować się w swojej pomyłce, byli już na schodach prowadzących na parter. Szybko znaleźli się w zbrojowni, bardzo blisko wyjścia z zamku.

Tuż po tym, jak wybiegli na zewnątrz, krztusząc się i kaszląc, usłyszeli, jak za ich plecami wali się ściana. Podmuch temu towarzyszący obsypał ich gradem kamieni i gruzu, które jeszcze bardziej zmotywowały ich do ucieczki.

Adriela odruchowo chciała zejść pod ziemię, tak jak uprzednio, jednak Jarell bezkompromisowo pociągnął kompanów w innym kierunku. Szukał podłoża z twardej skały, które nie zapadnie się od wstrząsów i pozwoli im oddalić się na bezpieczną odległość.

Rozległ się kolejny rumor – to wieża nie wytrzymała i złamała się w jednej trzeciej wysokości. Posypały się głązy, a kamienny graniastosłup wieży runął prosto na drewnianą konstrukcję dachu zamku. Od tej chwili budowla zaczęła zapadać się w sobie niczym źle postawiony domek z kart.

Uciekinierzy biegli przed siebie, nie oglądając się i nie zatrzymując. Kula światła oświetlała im drogę, znacząc cieniami miejsca, w których znajdowały się rozpadliny i szczeliny skalne.

Nie mieli pojęcia, jak daleko byli już od zamku, ale nie przestawali uciekać, bojąc się spojrzeć przez ramię. Dopóki słyszeli huki, trzaski i przeciągły rumor, biegli dalej, mając w świadomości, że w każdej chwili mogą zginąć, przygniecieni głazem bądź trafieni odłamkiem skalnym. Wola życia gnała ich naprzód, z każdym kolejnym metrem zwiększając ich szanse na przetrwanie.

Zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy Rigast potknął się i przewrócił. Zawrócili, aby mu pomóc, i zorientowali się, że są już poza zasięgiem sięjącej śmierci i zniszczenie budowli. Przez kilkanaście minut stali, oglądając potężną chmurę pyłu, która wyrosła na miejscu, gdzie stało przedtem ponure zamczysko. To cud, że udało im się przeżyć.

– To co teraz robimy? – zapytał Rigast, badając dotykiem przypaloną przez czarodziejkę ranę na głowie.

Wsparł się na zdrowej nodze i wstał z trudem, uważając na pokierszowany bok. Słońce było coraz wyżej, a Jałowa Rozpadlina zaczęła w końcu się nagrzewać, omiatając przyjemnym ciepłem przemęczonych podróżników.

– Misja skończona – stwierdziła czarodziejka. – Musimy wracać do Soblewa, zdać królowi ostateczny raport z przebiegu wydarzeń.

– Wszystkich? – zapytał niepewnie Toscmier.

– Wszystkich – potwierdziła bezlitośnie Adriela. – Okłamałeś mnóstwo ludzi i bardzo namieszałeś w całym przedsięwzięciu. Myślałeś, że ujdzie ci to na sucho? – prychnęła.

Rigast westchnął i zwiesił głowę. Kobieta miała rację. Naraził całe przedsięwzięcie i sprawiał ciągle kłopoty. Musiał w końcu ponieść konsekwencje swoich czynów, choćby najsurowsze. Nie mógł dalej uciekać.

– Macie rację – przyznał. – Stanę przed Olafem i wyznam prawdę, tak jak należało to zrobić, kiedy wezwał mnie przed swoje oblicze.

– Czyżby? – zapytał rozbawiony rycerz. – Jak chcesz wyznać cokolwiek z za grobu?

Kapłan zdębiał. Nie bardzo rozumiał pytanie postawione przez wojownika, jednak szybko zaczął się domyślać, do czego zmierza paladyn.

– Słuchajcie – zaczął nerwowym głosem. – Wiem, że przysporzyłem wam nie lada problemów, naraziłem was na gniew Olafa, prawie przeze mnie zginęliście, ale nie powinniście sami wymierzać sprawiedliwości. – Spojrzał w nieodgadnioną twarz rycerza. – Jarellu, jesteś najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego poznałem, nie pozwól dojść emocjom do głosu. Nie rób czegoś, czego będziesz żałował. – Odwrócił się do czarodziejki. – Adrielo, wiem, że bywałem denerwujący. Byłem małostkowy i samolubny, ale zmieniłem się... Daj szansę udowodnić, że jestem innym człowiekiem.

– Owszem – przyznała czarodziejka – zmieniłeś się. Wiele razy ratowałeś nam życie, wyruszyłeś za nami w paszczę śmierci, aby nam pomóc dokończyć misję. Naraziłeś własne życie, aby nas chronić... – Zawiesiła głos. – A teraz jesteśmy tutaj zupełnie sami, bez świadków, i dlatego właśnie musisz zginąć – zakończyła, wyciągając w jego kierunku rękę z magicznymi pierścieniami.

Rigasta ogarnął paniczny strach. Nie rozumiał motywacji swoich towarzyszy, ale nie miał możliwości ucieczki. Chociaż czy naprawdę chciał znowu uciekać? Nie. Wziął głęboki wdech i zamknął oczy, oczekując nieuniknionego. Obiecał sobie, że strach już nigdy nie zawładnie jego życiem. Starał się ze wszystkich sił wypędzić go ze swojego serca, nim kobieta zada mu śmiertelny cios. Myślał o swoich decyzjach, dokonaniach, których nie powstydziliby się żaden bohater. Przetrawił to wszystko z odwagą w sercu, nie ugnie się więc lękowi w ostatnich chwilach swojego życia. Wypiął dumnie pierś, gotowy na śmierć, i ze swobodą odetchnął, przepelniony spokojem. Był gotowy.

– Zwariowałaś? – zapytała poirytowana Adriela.

Rigast otworzył zdumione oczy. Jego towarzysze patrzyli na niego pełni niedowierzania, z którego nieśmiało wyzierał podziw dla jego postawy.

– Myślisz, że opatrywałabym ci ranę, gdybym planowała cię zabić? – zapytała.

– No... – Tosmer nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. – Nie pomyślałem o tym – przyznał w końcu.

– Wiesz, kapłanie – zagadnął go paladyn – jesteś najodważniejszym z ludzi, jakiego miałem okazję poznać, choć to, co przed chwilą zrobiłeś, było wybitnie głupie. – Roześmiał się, a wraz z nim Adriela.

Rigast stał, nie bardzo pojmując, co przed chwilą się wydarzyło. Dlaczego tak sobie z niego dworowali?

– Czyli nie zabijecie mnie? – zapytał niepewny swojego dalszego losu.

– Ależ nie, musisz zginąć. – Jarell nagle spowaźniał. – Zawdzięczamy ci życie i powodzenie misji. Nie dopuścimy, aby Olaf dostał cię w swoje ręce.

Rigast wciąż stał zmieszany, starając się ułożyć w logiczną całość zupełnie sprzeczne ze sobą informacje. Czy jego towarzysze oszaleli?

– Jesteś wolny, Rigaście Tosmerze *vel* Wrecedarmie Gideonie, fałszywy kapłanie Rogowa Górnego – oświadczyła z uśmiechem czarodziejka.

– A król? – Mężczyzna był zbyt oszołomiony, aby logicznie łączyć fakty.

– Gdy staniemy przed naszym władcą – zaczął tłumaczyć Jarell – Adriela zda pełny raport z misji, według którego nie udało ci się wydostać na czas z zamku. – Zrobił smętną minę, jakby brał właśnie udział w pogrzebie. – Zginąłeś. Nie ma możliwości, aby pociągnąć cię do odpowiedzialności. – Rycerz rozłożył ręce.

– Ale – kobieta spowaźniała – gniew króla jest długowieczny. Jeśli się dowie, że jednak żyjesz, jego zemsta z pewnością cię dosięgnie, radziłabym ci więc opuścić Anfer.

Rycerz pokiwał głową na znak, że absolutnie zgadza się z czarodziejką. Z Olafem nie było żartów, był nieobliczalny.

Rigast potrzebował chwili, aby przetrwać informacje, którymi został przed chwilą zasypany. Był wolny. Mógł zacząć zupełnie od początku, w dowolnym miejscu na świecie. Czy mogło być coś piękniejszego?

– Dziękuję – powiedział, czując, jak coś go dusi w gardle.

– To my dziękujemy. – Rycerz poklepał go przyjacielsko po plecach.

– Ale mimo wszystko dziwnie się zachowujecie – przyznał podejrzliwie.

– Bo już po wszystkim – wzruszyła ramionami kobieta.

– I żyjemy! – zawołał uradowany wojownik i wykonał coś jakby dziękczynny taniec, co wywołało gromki śmiech ze strony czarodziejki.

Rigast również uśmiechnął się pod nosem. Rzeczywiście, były powody do radości, choć wiedział, że będzie mu brakowało tej dwójki.

– A zatem... – zaczął niepewnie – chyba czas się pożegnać...

Oboje towarzysze spoważnieli i spojrzeli z sympatią na kapłana.

– Zgadza się – przyznał paladyn. – Tutaj nasze drogi się rozchodzą.

Adriela podeszła ochoczo do Rigasta i objęła go ramionami, przytulając mocno do piersi.

– Dziękuję za wielokrotne ocalenie życia – wyszeptła mu do ucha i pocałowała w policzek. – Jednak pamiętaj! – Odsunęła go od siebie. – Jeżeli jeszcze raz się spotkamy, spalę cię żywcem na popiół – ostrzegła pół żartem, pół serio. – Uważaj na siebie. – Uśmiechnęła się promiennie.

Teraz Jarell chwycił go po męsku za przedramię.

– Masz niesamowity potencjał – przyznał z nieukrywanym podziwem. – Nie zmarnuj go – ostrzegł. – I nie zapominaj, kim byłeś – pogroził mu palcem.

– Nie zapomnę – zapewnił Rigast i wzajemnie pokleпали się po ramieniu.

– Zaraz... A gdzie twoja szabla? – Wojownik dopiero teraz zauważył, że kapłan nie ma już przy sobie ani ekwipunku, ani bagażu.

– Cóż... – Rigast gestem wskazał odległe rumowisko.

Paladyn bez zastanowienia wyciągnął buzdycan i wręczył towarzyszowi.

– Mnie, póki co, nie będzie potrzebny, a przed tobą, jak mi się zdaje, długa droga. – Uśmiechnął się.

– Prawdopodobnie tak – przyznał Tosmer. – Dziękuję.

– Na północnym wschodzie Jałowej Rozpadliny znajduje się stosunkowo łagodne wyjście na górę – poradził na odchodnie rycerz i poklepał kapłana po raz ostatni po ramieniu, po czym rozeszli się – każde w swoją stronę.

– Myślisz, że sobie poradzi? – zapytała niepewnie Adriela, wiodąc wzrokiem za oddalającym się mężczyzną.

– To twarde! – zapewnił Jarell. – Przetrwają wszystko.

Już mieli ruszać w dalszą drogę, kiedy odezwał się kryształ kontaktowy Adrieli. Kobieta ujęła w dłoń zimny kamień i ku własnej radości usłyszała głos męża:

– Krążą plotki, że skopałaś tyłki całej armii ożywieńców.

– Kochanie! Nie tylko tyłki – stwierdziła z satysfakcją.

– Czyli udało ci się doprowadzić misję do końca?

– A nawet dalej. Misja skończona, a my z Jarellem jesteśmy cali i zdrowi – zapewniła.

– A klecha? – zapytał Gildorf podejrzliwie.

Adriela wpatrzyła się w plecy oddalonego już o kilkaset metrów Rigasta.

– Kapłan poległ – stwierdziła krótko i dobitnie.

Gildorf, śledzący przez obiektyw lunety samotną postać Rigasta zmierzającego w przeciwnym kierunku niż czarodziejka, nie zaprzeczył. Ufał decyzji swojej żony.

Rozdział 20

POWRÓT DO DOMU

Cztery dni później czarodziejka i rycerz znaleźli się z powrotem w stolicy. Droga powrotna, bez kapłana, który ciągle pakował ich w kłopoty, okazała się całkiem znośna i momentami nawet przyjemna. Nie bez znaczenia był również fakt, że wiszące nad Anferem zło zostało pokonane, co pozwalało parze podróżników w pełni cieszyć się otaczającymi ich krajobrazami i pogodą.

Gdzieś na dnie umysłu strach o to, że krwawa łuna powróci, wciąż dawał o sobie znać, zmuszając bohaterów kilka razy dziennie do odwracania się za siebie, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Jednak gdy tylko minęli Rzekę Jezior, mocno zakorzeniony lęk dokonał w końcu żywota, pozwalając strudzonym wędrowcom w pełni czerpać satysfakcję ze swoich dokonań.

Nie odważyli się wracać przez Kastengrav. Minęli je parę kilometrów na południe i tylko zerknęli z oddali, czy zwarta bryła murów nadal stała. Mury wyglądały na nietknięte, a dymy z kominów wznosiły się dzielnie w stronę ciemniejącego nieba, obwieszczając, że życie w mieście powoli wracało do normy. Był jednak jeszcze jeden, wyraźnie odcinający się na tle nieba, potężny słup dymu, który wskazywał, że bitwa o miasto zebrała swoje śmiertelne żniwo.

Poza murami, w okolicy cmentarza miejskiego, usypano wielki kopiec z ciał poległych obrońców i przeciwników, który następnie, gdy tylko pojawił się sprzyjający wiatr, podpalono w obecności rodzin, bliskich i innych mieszkańców, którzy w ten sposób pragnęli oddać hołd poległym.

Tylko jedno ciało spalono w oddzielnej ceremonii, dużo skromniejszej, choć bardziej doniosłej. W ciałopaleniu wzięli udział wszyscy najważniejsi urzędnicy miasta oraz wojskowi, okazując tym samym szacunek i podziw dla poległego w bitwie Feriela. Ciało zostało ułożone na stosie tak, jak je znaleźiono, aby wszyscy obecni na własne oczy ujrzeli męstwo poległego obrońcy Kastengravu... Pierwszego obrońcy Kastengravu, jak go potem okrzyknięto.

Po dotarciu do miejsca, w którym Jarell i Adriela znaleźli się po przekroczeniu tafli przestrzeni, kobieta dobyte krysztalu kontaktowego i po niecałej godzinie dwójka podróżników znalazła się z powrotem w Zamku Ośmiu Dam.

Ich zdumieniu nie było końca, kiedy się dowiedzieli, że król rzucił się z wieży i władzę przejęła królowa Virejna. Nie spodziewali się takiego obrotu spraw, ich wspólna wersja wydarzeń, mozolnie wałkowana w trakcie podróży, straciła więc zupełnie na znaczeniu. Nie przypuszczali, aby królowa, która, jak się również okazało, była brzemienna, marnowała czas na skrupulatne przesłuchiwanie ich na temat przebiegu misji. Wiedzieli jednak, że z pewnością będzie chciała wysłuchać, co się wydarzyło. To jednak musiało poczekać, gdyż Virejna była bardzo zajęta organizowaniem pomocy dla doświadczonych wojną mieszkańców Kastengravu.

Następnego dnia, gdy rycerz i czarodziejka zdołali w końcu wypocząć jak należy, doradca królowej, Abserius, zjawił się u obojga i zapowiedział, że nazajutrz po porze śniadaniowej władczyni Virejna przyjmie ich na prywatnej audiencji w sali narad wojennych.

Adriela i Jarell spodziewali się audiencji, jednak zaniepokoiło ich trochę miejsce, gdzie mieli spotkać się z królową. Sala narad wojennych była miejscem planowania bitew, inwazji, strategii... Czyżby królowa szła w ślady swojego męża? A może jednak planowała wypytać ich o dokładny przebieg misji? Póki co mogli jedynie domyślać się intencji władczyni. Nie zmieniało to jednak faktu, że musieli przygotować się do spotkania i rozmowy z Virejną.

Nazajutrz po śniadaniu Adriela stała samotnie w swojej przytulnej, obitej cedrowymi deskami komnacie i przeglądała się w lustrze. Założyła długą jasnoniebieską suknię opinającą się na wąskiej talii i nie za obfitym biuście. Suknia była przystosowana do noszenia gorsetu, jednak czarodziejka nigdy go nie potrzebowała i miała

nadzieję, że tak już pozostanie. Wyglądziła ręką fałdkę materiału pod plecionym srebrnym paskiem i przyjrzała się ponownie z uwagą swojemu odbiciu.

Niewyzywająco, nie za wyniosłe, nieordynarnie, elegancko, służebnie...

Mniej więcej o to chodziło.

Opuściła komnatę i udała się prosto pod drzwi sali narad wojennych. Zastała tam oczekującego już Jarella, przyodzianego w ceremonialny kirys, błyszczącą kolczugę i skromny, lecz elegancki szary płaszcz spływający z szerokich ramion rycerza.

Paladyn powstrzymał się od omięcia wzrokiem wyraźnie zaakcentowanych kształtów kobiety i uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Pięknie wyglądasz – stwierdził, nie spuszczać wzroku z jej wypoczętej twarzy.

– Dziękuję – odparła skromnie. – Wspaniały pancerz – oceniła misterny wzór wytłoczony w stalowej powierzchni kirysu.

– Pożyczony – szepnął konspiracyjnie wojownik.

– Chyba nawet wiem od kogo. – Głos za ich plecami sprawił, że oboje odwrócili się gwałtownie.

– Gildorf! – Czarodziejka ostatek woli powstrzymała się od rzucenia się mężowi na szyję. – Długo cię nie było – skwitowała zamiast tego, a gdy dostrzegła zabandażowaną rękę na temblaku, mimowolnie uniosła brwi, okazując zaskoczenie.

– Obowiązki szpiega. – Skłonił się dwornie przed Adriela, a widząc jej niepewne spojrzenie, przywitał się prędko z paladynem, chcąc uniknąć niewygodnych pytań.

– To co? Wchodzimy? – zaproponował, nie mogąc się doczekać, aż etykiecie dworskiej stanie się zadość i będzie mógł ponownie przytulić małżonkę.

Pozostała dwójka skinęła twierdząco i razem przekroczyli próg.

Sala narad wojennych, dotąd ciemna i surowo wyposażona, zmieniła się nie do poznania. Ciężkie zasłony szczelnie ukrywające wnętrze sali przed wścibskimi oczami nieprzyjaciół zniknęły, wpuszczając do środka ciepłe i przyjemne światło słońca. Długi stół, zasłany zazwyczaj mapami, planami i schematami, tonął teraz w kwiatkach, których łagodny zapach skutecznie tłumił zatechłą aurę, zawsze towarzyszącą temu pomieszczeniu. Gołe ściany pokryte zostały miękkimi gobelinami przedstawiającymi najważniejsze bitwy w historii Anferu, a zimną posadzkę przykryto miękką bordową wykładziną.

Kiedy zdumienie całej trójki w końcu ustąpiło, przybyli rozejrzeli się w poszukiwaniu tronu królowej, jednak nigdzie go nie dostrzegli. Ich władczyni stała pod jednym z okien, wpatrując się w błękit nieba, a kiedy w końcu drzwi się zatrzasnęły, odwróciła się do nich. Nie wyglądała jak dotychczas.

Jej ubiór był teraz bardziej odpowiedni dla stanowiska, które objęła – purpurowa suknia z bardzo subtelnym dekoltem sięgała aż do ziemi, obszyta u dołu misterną plecionką ze złotej nici. Talię znaczył tak samo pleciony złoty pas wysadzany ametystami. Ramiona zasłaniała lekka jedwabna peleryna, zwieńczona eleganckim i dostojnym pasem sobolowego futra, kończącego się pod samą szyją. Skronie zdobił złoty diadem królewski, okalający misternie ułożone włosy Virejny.

Królowa stanęła naprzeciwko przybyłych, a kiedy złożyli jej pełen unizoności ukłon, ruchem dłoni nakazała im wstać, po czym uśmiechnęła się promiennie.

– Wezwałam was przed moje oblicze, gdyż niecałe trzy tygodnie temu królestwo ogarnął kryzys, który postawił pod znakiem zapytania dalsze losy Anferu – powiedziała łagodnie, choć oficjalnie. – Niezjący już król wyznaczył waszą trójkę jako pierwszą linię oporu przed nieznanymi siłami, a wraz z wami nieznanego nikomu kapłana, który, jak mi doniesiono – mówiąc to, zerknęła znacząco na Gildorfa – zginął w trakcie misji.

Nikt z obecnych się nie odezwał, królowa więc kontynuowała:

– Od Dnia Syrusa wiele osób było bardzo zaangażowanych w zakończenie tego kryzysu, jednak nikt nie przysłużył się królestwu w takim stopniu jak wy. – Wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowa. – Jesteście bohaterami – oświadczyła doniosłym tonem. – Całe królestwo, wszyscy poddani zawdzięczają wam zwycięstwo. Wasze czyny

przejdą do historii, a wy zostaniecie okryci wieczną chwałą należną bohaterom waszego pokroju. – Skłoniła się z szacunkiem przed oniemiałą trójką herosów. – Mój doradca Abserius wynagrodzi każde z was według zasług. Jeżeli to was nie usatysfakcjonuje bądź nie zadośćuczyni waszym wysiłkom włożonym w ratowanie kraju, powiadomcie mnie, a na pewno dojdziemy do porozumienia. – Zrobiła dłuższą pauzę, dając możliwość zabrania głosu przez kogoś z obecnych, lecz cała trójka jedynie skłoniła się z szacunkiem.

– A zatem – dodała królowa – nie będę was zatrzymywała. Długo nie byliście w stolicy, chcielibyście więc zapewne nacieszyć się obecnością tutaj, a także obecnością swoich bliskich, zanim królestwo ponownie będzie potrzebować waszych talentów i po raz kolejny wyśle was w odległe rejony, z których, mam nadzieję, zawsze będziecie wracać z tarczą. Chwała wam, bohaterowie Anferu! – Virejna zakończyła z szacunkiem, a cała trójka ponownie się skłoniła.

Rycerz wraz z czarodziejką opuścili salę wojenną, Gildorf jednak nie ruszył się z miejsca, czekając, aż drzwi zatrzasną się za jego plecami.

– Prosiłeś mnie o przysługę – królowa już mniej oficjalnym tonem zwróciła się do szpiega.

– Tak, pani – przyznał mężczyzna. – W trakcie wykonywania misji natknąłem się na dwójkę niezwykłych... mnichów, którzy bardzo pragnęli, abyś udzieliła im audiencji, gdyż chcieliby służyć ci radą i wsparciem.

– Mam już zaufanego doradcę – zauważyła nieco zaskoczona władczyni. – Abserius nadzwyczaj lojalnie wykonuje swoje obowiązki – stwierdziła, wspominając spotkanie w jego domu.

– Zgodzisz się jednak ze mną, pani, że im więcej opinii, tym pełniejsze spojrzenie na temat? – zapytał przebiegle.

– Zgodzę się – przyznała Virejna. – Kiedy zatem poznam tych mnichów?

– Czekają za drzwiami. Ja jednak nie będę już narzucał się swoją osobą waszej wysokości i zostawię was samych – Gildorf skłonił się głęboko i wyszedł na korytarz, mijając się z dwójką zakapturzonych mnichów czekających z przejściem na audiencję.

Zamknął za nimi odrzwia i szczęśliwy, że udało mu się dotrzymać danego słowa, ruszył korytarzem w poszukiwaniu swojej żony. Nie uszedł jednak daleko, kiedy z wnąki w ścianie wyskoczyła na niego Adriela, przywierając do niego całym ciałem, jakby nie widziała go od miesiący. Korytarz był pusty, niewiele się więc zastanawiając, przyłgnęli do siebie stęsknionymi wargami, przypominając sobie od razu, jak bardzo brakowało im siebie nawzajem.

– Tęskniłam – szepnęła czarodziejka, kiedy już uwolniła się od pocałunku Gildorfa, po czym wtuliła się mocno w jego silne ramiona.

– Też tęskniłem. – Szczęśliwy mężczyzna napawał się jej bliskością, oszołomiony jej zapachem i delikatnym dotykiem aksamitu jej skóry. – Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa. – Przytulił ją jeszcze mocniej, aby po chwili ponownie pocałować, uległa i przepełniona szczęściem.

Trwali tak, rozkoszując się wzajemną bliskością i ciepłem swoich rozpalonych miłością ciał.

Intymną chwilę namiętności przerwało jednak jakieś natarczywe cmokanie i siorbanie dochodzące z głębi korytarza. Rozejrzeli się zaskoczeni i dostrzegli błazna królewskiego. Stał do nich tyłem, obejmując się ramionami, tak jakby obściskował się z kimś stojącym przed nim. Przekrzywił głowę i wydawał niesmaczne dźwięki, parodiując tym samym dwójkę napotkanych kochanków.

Gildorf pokręcił z obrzydzeniem głową i pociągnął Adrielę do najbliższych drzwi, za którymi znajdowała się jedna z licznych komnat gościnnych. Wślizgnęli się do pustego pomieszczenia. Zachęceni takim obrotem spraw, zaryglowali drzwi i ponownie pogrążyli się w namiętności.

– To jak zamierzasz uczcić nasze zwycięstwo? – zapytała Adriela, kiedy po kilkunastu minutach zapalczywych pocałunków odsunęła się nieco, aby złapać oddech.

– Z tobą oczywiście – odparł rozochocony szpieg, przesuając dłonią coraz niżej po jej talii. – Zanim jednak będziemy mogli zatracić się w sobie, muszę jeszcze coś załatwić – oświadczył pełnym winy głosem.

– Co? – oburzyła się czarodziejka. – Teraz? – zapytała z wyrzutem.

– Niestety, kochanie, ale mam jeszcze pewne zobowiązania względem twojej mentorki.

– Kaspiry? – Adriela nie wierzyła w to, co słyszy. – Powiedz mi, że to coś służbowego – ostrzegła subtelnie.

– No... – mężczyzna trochę obawiał się powiedzieć jej, co obiecał arcymagini. Szczególnie w takim momencie.

Czarodziejka zacisnęła gniewnie wargi i uderzyła go pięścią w ramię. Po czym jeszcze raz i kolejny. Wyglądała teraz jak naburmuszona pannica, a nie mistrzyni żywiołów, która stosunkowo niedawno ocaliła całe królestwo przed armią ożywieńców.

– Kochanie... – Gildorf starał się przywrócić jej dobry nastrój – wiesz, że Kaspira nic dla mnie nie znaczy. Liczysz się tylko ty... To ciebie kocham. – Spojrzał w oczy wyzierające spod gniewnie ściągniętych brwi. – Muszę tylko wykręcić się od czegoś. – Uniósł zranioną rękę. – I jestem cały twój. – Zbliżył się na odległość szeptu, po czym wpatrując się w łagodniejsze już spojrzenie, pocałował ją delikatnie.

Odwzajemniła pocałunek, po czym uśmiechnęła się nieśmiało.

– Masz kwadrans – oświadczyła łaskawym głosem. – Będę czekała u ciebie. – Otarła się o niego zmysłowo, po czym bez słowa opuściła komnatę.

Gildorf patrzył jeszcze chwilę w drzwi, za którymi zniknęła, po czym westchnął z emocji i ruszył wymigać się ze złożonej Kaspirze obietnicy.

Rigast siedział na soczyście zielonej trawie, moczając nogi w cicho szmerzącym strumieniu. Promienie słoneczne łagodziły ból jego strudzonego podróżą ciała. Wkoło panowała absolutna cisza, maćona jedynie cykaniem świerszczy i odległym śpiewem ptaków. Zapach kwiatów rosnących dookoła idealnie komponował się z krajobrazem, który go otaczał – w oddali wysokie, spiczaste góry o szczytach pokrytych białymi czapami śniegu, lasy niezmaćone ludzką obecnością, równiny pełne słońca i delikatnego wiatru.

Toscmier odchylił głowę do tyłu, napawając się błękitem nieba nad sobą. Zamknął oczy i napełnił płuca czystym południowym powietrzem.

Coś go zakłuło w piersi. Kaszlnął, a w ustach poczuł metaliczny smak.

Wizja zniknęła.

Leżał na boku, czując, jak ucieka z niego życie. Krew z przekłutego płuca wypływała mu ustami, wsiąkając w surową, twardą ziemię. Próbował oddychać, jednak nieokiełznany ból skutecznie mu to uniemożliwiał. Jedynym efektem wysiłków było niepokojące charczenie dobywające się gdzieś z rany w jego piersi.

Słyszał nad sobą głosy. Wesołe głosy. Nie rozumiał jednak, co mówią. W jego pole widzenia co rusz wkraczały jakieś buty z wysoką cholewą.

Kaszlnął. Kolejna porcja ciemnej, niemal czarnej krwi pociekła mu po policzku i wsiąkła w ziemię.

To nie tak miało się skończyć. Wygnańcze Wyspy miały być jego oazą, nowym domem... Tymczasem ledwie się tutaj pojawił, został napadnięty i wyglądało na to, że zabity.

Ponownie spróbował wziąć wdech, ale przenikliwy ból pod sercem zamroczył i tak już zmętniały wzrok.

Wspomniał Adrielę i Jarellę. Ich rozradowane twarze tańczyły mu przed oczami, kiedy zaczął zapadać mrok nieuniknionego.

A więc to już? Tak miała się skończyć największa przygoda jego życia?

Miał nadzieję, że jeszcze kiedyś pojawi się w Anferze, że odwiedzi Rogowo Górne i Dolne, Soblevo, Kastengrav...

Dzwonienie w uszach obwieszczało ostatnie chwile na tym świecie. Mrok już zapadł, a świdrujący dźwięk powoli cichł. Po chwili był już martwy.

Rigast otworzył nagle oczy i zerwał się z zimnej ziemi. Rozejrzał nieprzytomnym wzrokiem po otaczającym go mroku. Pomacał się po piersi i odetchnął z nieskrywaną ulgą.

Co za okropny koszmar – pomyślał, siadając na wilgotnej od nocnej rosy trawie. Przetarł dłońmi zmęczoną twarz i zawiesił wzrok na leżącym obok niego buzdyganie, który otrzymał od paladyna.

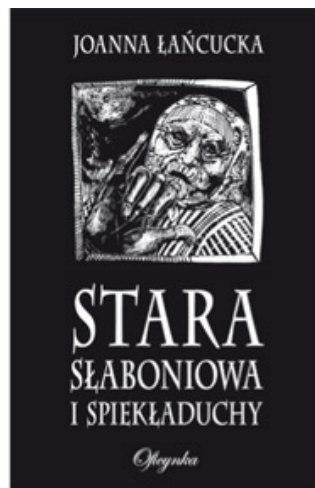
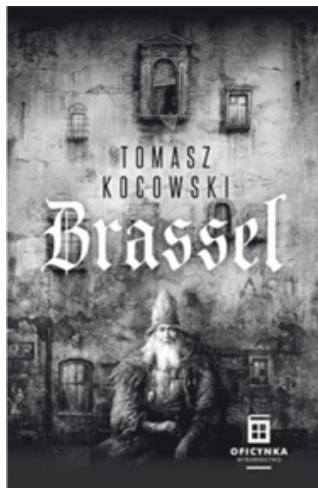
Zamyślił się.

Tak naprawdę nie chciał opuszczać Anferu. Tutaj było jego miejsce, tu był jego dom, tu byli jego przyjaciele. Położył się na wznak i wpatrzył w rozgwieżdżone niebo. Znał je na pamięć. Było mu bliskie, jak najwierniejszy towarzysz. Nie chciał tego zmieniać. Zamknął oczy i planując nową trasę, zapadł w głęboki, spokojny sen.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawiają, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Michał Godlewski, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2022

Opracowanie redakcyjne: Marcin Grabski

Korekta: Anna Marzec

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Tithi Luadthong | Depositphotos.com

ISBN 978-83-67204-20-0



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek